



CATHY CASH SPELLMAN

Rozstania

PRZEŁOŻYŁ: MAREK CICHOCKI



*Tak wiele może się zdarzyć na drodze życia
pełnej pragnień, miłości, łez i zwycięstw.*

WYDAWNICTWO ATLANTIS WARSZAWA 1992

Joe

*Dla mojego męża, który zawsze powtarzał, że nawet najbardziej nieprawdopodobne
marzenia mogą się kiedyś spełnić.*

Kocham cię Joe

OSOBY

Tom Dalton — jego marzenia wyrosły ze wstydu. Prowadzony ambicją doszedł do wielkiej fortuny. Jego przyszłość długo znajdowała się w rękach tych, którzy go kochali i nienawidzili.

Mary Dalton — matka Toma. Jedna chwila szczęścia mogła zniweczyć całe jej życie, gdyby nie ogromne poświęcenie i siła woli.

Billy — znana w całym Nowym Jorku. Jej miłość do Toma graniczyła z szaleństwem i mogła zniweczyć dorobek całego jej życia.

Diamond Jim Mulvaney — był w stanie złamać każdą zasadę, by dojść do celu. Jako przyjaciel był lojalny i szlachetny, jako wróg śmiertelnie niebezpieczny. Stworzył potężne finansowe i polityczne imperium. Deidra — prześliczna córka Jima. Sprzeciwiła się ojcu, by pokazać siłę swej miłości do Toma.

Megan — była dzieckiem nieszczęśliwej miłości. By zabezpieczyć jej przyszłość, Tom przekazał jej w spadku irlandzkie posiadłości.

Wszystkie miejsca, zdarzenia i postaci w tej książce są literacką fikcją, prócz osoby Adrewa Furusetha. Moje poszukiwania szczegółów z życia tego żeglarza spełzły na niczym. Mimo usilnych starań było prawie niemożliwe, by ustalić bliższe fakty, poza datą śmierci. Wszystkie jego czyny poszły w zapomnienie.

Zdecydowałam się jednak włączyć tę postać do mojej powieści, gdyż wydawał mi się doskonale do niej pasować.

Opisując strajk robotników portowych z 1903 roku, starałam się przekazać atmosferę tamtych lat oraz prawdę o robotniczym ruchu w Ameryce. Pomimo wrażenia autentyczności tych zdarzeń wszystkie one są tylko wytworem mojej pisarskiej imaginacji.

PROLOG

Mały chłopiec o skupionej i pełnej bólu twarzy klęczał samotnie przy katafalku. Dotykał zimnych warg zmarłego mężczyzny, leżącego w otwartej dębowej trumnie. Odgarnął troskliwie kasztanowe włosy z jego białego czoła.

— Dlaczego umarłeś, tato — szepnął. — Nie wiem, co mam teraz zrobić?

W posępnym pokoju panowała zupełna cisza.

— Kocham cię.

Chłopiec westchnął ciężko i położył się na podłodze. Postanowił czuwać przy trumnie swego ojca przez całą noc. Cienie rzucane przez palące się świece przybierały migoczące, tajemnicze kształty na ścianach i suficie. Za oknem złowrogo zawodził grudniowy wiatr.

— Ostatniej nocy widziałem zjawę zwiastującą śmierć. Podeszła do okna mojego pokoju, wiesz, tak jak one to zwykle robią, całkiem bezszelestnie. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć i zawodzić. Mówiła o czyjejś śmierci, ale nie wiedziałem, że chodzi o ciebie. Wydawała się wieczny, tak wielki i silny — wyszeptał chłopiec, głaszcząc martwą i przejmująco chłodną dłoń.

— Jesteś tak zimny...

Wstał, zdjął kurtkę i ostrożnie przykrył nią ciało ojca. Potem z powrotem położył się przy katafalku i skulił w kłębek, jak mały szczeniak chroniący się przed przenikliwym zimnem.

Były dni, kiedy ojciec mówił:

— Ten dom jest tak samo twój, jak i ich, synu!

Chłopiec przytakiwał mu, lecz w głębi duszy czuł straszną niepewność. Był tylko nieślubnym dzieckiem i nawet w domu jego ojca traktowano go jak przybłędę.

Chłopiec ze łzami w oczach rozejrzał się po ciemnym pokoju. Każdy przedmiot w tym domu był mu znany z opowieści ojca: gipsowy królik, który stracił oklapnięte ucho w czasie psotnych zabaw dzieci. Ściany obite aksamitem i boazerią. Wypolerowany przez generacje służących lśniący parkiet. Czuł, że to wszystko jest mu w jakiś sposób bardzo drogie.

— Na Boga! Jak się tutaj dostałeś, ty obrzydliwy chłopaku?

Groźny kobiecy głos przerwał nagle ciszę.

— Jak śmiesz nękać nas swoją obecnością?

Chłopiec rozpoznał w starszej kobiecie swoją babkę. Jej pełen niechęci ton przeszył go jak lodowaty sztylet.

— Chciałem ostatni raz popatrzeć na ojca, psze pani — odrzekł i zaraz przeraził się swoich słów. Przypomniawszy sobie, że powinien zwracać się do niej „jaśnie pani”, ale jej nagłe pojawienie się w pokoju całkiem go zaskoczyło.

— Ty bękarcie, jak śmiesz nazywać mojego syna swoim ojcem? Wynoś się stąd, zanim zrobię ci coś złego!

Kobieta ubrana była w żałobną suknię. Na jej twarzy malował się gniew, a w ochrypłym metalicznym głosie pobrzmiwała realna groźba. Cofnął się o krok.

— Sam sobie pójde, nie trzeba mnie wyrzucać. A on i tak pozostanie moim ojcem, czy pani tego chce czy nie.

— Jeśli natychmiast nie opuścisz tego domu, własnoręcznie cię wychłostam — jej głos przybrał wysoki, histeryczny ton, który od dziesiątków lat wzbudzał strach wśród służby.

Chłopiec ostentacyjnie pochylił się nad trumną i ucałował skroń ojca, po czym wybiegł szybko przez otwarte drzwi. Zdążył jeszcze krzyknąć przez ramię:

— Wróce tu jeszcze! Zobaczysz!

Kobieta stała zaskoczona. Nie mogła pojąć, że ktoś ośmielił się obrazić ją w jej własnym domu. Od urodzenia czuła odrazę do plebsu.

— Ty głupcze! — powiedziała z wyrzutem, spoglądając na zmarłego syna.

— Romantyczny, arogancki głupcze! Niech będzie przeklęty dzień, w którym spłodziłeś tego bękarta.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Jej ciężkie kroki odbijały się głośnie echem w marmurowym korytarzu. Świece, stojące wokół trumny, paliły się nadal, tak jakby nikt nie zakłócił spokoju panującego w pomieszczeniu. W kominku dogasał ogień, a wiatr dalej zawodził swą żałobną pieśń.

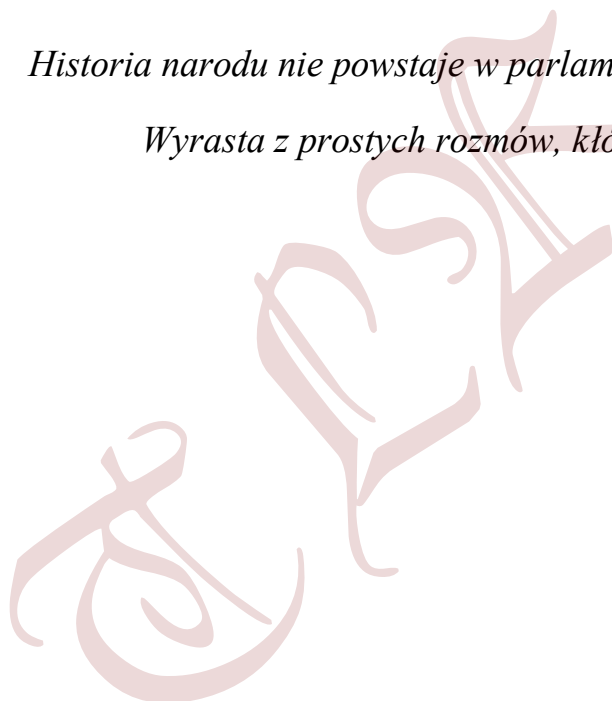
KSIĘGA I

IRLANDIA ROK 1882 I WCZEŚNIEJ

Historia narodu nie powstaje w parlamentach i nie na polach bitew.

Wyrasta z prostych rozmów, kłótni i trudu dnia codziennego.

W.B. Yeats



1.

Posiadłość Drumgillan leżała na łagodnym, zielonym wzgórzu w hrabstwie Westmeath, oddalona pięćdziesiąt mil od pełnego zgiełku Dublina. Nie był to wielki zamek, ale wyróżniał się spośród innych siedzib w okolicy. Przeszedł przez wszystkie próby ostatnich dwóch stuleci. W roku 1646 wzniesiono na jego miejscu niewielką twierdzę, która ciągle się rozrastała. Dobudowano nowe skrzydła i ozdobną fasadę, tak by siedziba odpowiadała prestiżowi jej arystokratycznych właścicieli.

Dawid Hartington — odległy przodek obecnych właścicieli Drumgillan — był młodym oficerem na usługach Oliviera Cromwella, który w 1649 przystąpił do oblężenia Irlandii w imieniu Angielskiej Korony. Dawid wyróżnił się w bitwie o Droghede. W uznaniu jego zasług i odwagi nadano mu posiadłość w sąsiedztwie miasteczka Drumgillan. Wówczas składała się z jednej małej wioski, 50 tysięcy akrów najlepszej ziemi uprawnej, 5 tysięcy akrów bagien, ruin z czasów rzymskich, a także malowniczego wzgórza, na którym Dawid postanowił wybudować swój dom.

Przepiękne krajobrazy Drumgillan były jakby stworzone ręką samego Boga. Rozciągające się aż po horyzont łąki o różnych odcieniach szmaragdowej zieleni można było spotkać tylko w tym żyznym zakątku ziemi. Malownicze kamienne mury przecinały łagodnie falisty krajobraz, tworząc naturalne pastwiska dla owiec. Od zachodu ciągnęły się rozległe trzęsawiska. Ich bezdenne głębiny kryły szczątki prehistorycznych potworów. Wiele pokoleń tubylców wydobywało z bagien torf, którym ogrzewali swoje domostwa.

Na wschód od domu Dawida roztaczał się piękny widok na jezioro o krystalicznie czystej wodzie. Było wystarczająco duże, by pływać po nim łódką, i wystarczająco małe, by objechać je konno w godzinę. Jezioro nadawało okolicy nieco baśniowy wygląd. Tuż obok na łagodnym wzniesieniu rozciągał się ogród pełen ozdobnie strzyżonych krzewów i takiej ogromnej ilości kwiatów, że z powodzeniem można było przystroić nimi pięćdziesiąt pokoi w pałacu. Łagodny spokój, który emanował z pełnej zieleni i kwiatów przyrody, nadawał Drumgillan charakter nieprzemijającej ciągłości, tak jakby sam Pan Bóg postanowił w ten sposób objawić całą doskonałość swojego tworenia.

Hartingtonowie z Drumgillan pozostali wiernymi poddanymi Korony Angielskiej. Wydalili na świat kilka pokoleń dzielnych i wytwornych oficerów, służących w oddziałach fizylierów hrabstwa Westmeath. Później służyli Anglii w bardziej praktyczny sposób, wysyłając towary, głównie len, wełnę i mięso do Londynu i Liverpoolu. W zamian Hartingtonowie byli sownie wynagradzani zaszczytami, a ich pozycja społeczna rosła.

Związek sir Jefferya z lady Geraldine uchodził za wzór spokojnego i bezpiecznego małżeństwa.

— Mam zamiar poślubić Jeffrey Hartingtona — oświadczyła Geraldine Montrose swemu ojcu. Było to w dniu, w którym skończyła dziewiętnaście lat.

— Dlaczego? — Ojciec miał zwyczaj traktować ją jak dojrzałą kobietę, która wyrosła już ze zmiennego i kapryśnego usposobienia.

— Ponieważ jest bogaty, szarmancki i godny zaufania, a poza tym dość przystojny, by spłodzić ładne dzieci. Jest też wystarczająco nieśmiały, bym owinęła go sobie wokół palca, i wystarczająco uległy, by się temu nie sprzeciwić.

Po ślubie, który miał miejsce jeszcze tego samego roku, małżonkowie mogli cieszyć się wspólnym życiem, wypełnionym pracą i pozbawionym jakichś szczególnych wydarzeń. Było tak, jak Geraldine wcześniej sobie zaplanowała. Domowe i rodzinne obowiązki pochłaniały ją całkowicie. Jeffrey przyjął to za rzecz oczywistą i nawet nie zwracał uwagi na jej wysiłki, by prowadzić dom na najwyższym poziomie. Ze swej strony Geraldine nie miała o to pretensji. Zamożność, pozycja oraz miłe i łagodne usposobienie to było wszystko, czego wymagała od swego męża.

Geraldine wydała na świat dwóch synów — Randolfa, prawowitego spadkobiercę tytułu i majątku, i Michela, który był oczkiem w głowie ojca. Randolph był synem, jakiego Geraldine zawsze pragnęła mieć: przystojny i wyrachowany. Posiadał wrodzone pragnienie władzy, które matka umiejętnie podsyciała, widząc w nim godnego następcę i dziedzica rodu. Miał jednak parę wstrętnych cech, z których Geraldine zdawała sobie sprawę. Potrafił być podły i złośliwy wobec dzierzawców i niezbyt miły nawet wobec siebie równych. Jednak zdecydowanie największą skazą w jego charakterze była wyraźna skłonność do okrucieństwa. Ale Geraldine wytłumaczyła sobie, że przecież nikt nie jest do końca doskonały.

Młodszy syn, Michel, natomiast rozczarował Geraldine. Prawdę mówiąc, nie przypominał nikogo z jej rodziny. Po przodkach swego ojca odziedziczył przysadzistą budowę ciała, rude włosy i zbyt czerstwą cerę, by nawet w Irlandii mógł uchodzić za dobrze urodzonego. Pomimo dużych zdolności według niej pozostał grubianinem. Wolał przebywać w towarzystwie parobków ze stajni, rozmawiać z włóczęgami i nie było takiego interesu, którego nie potrafiłby z nimi ubić. Bez wątplenia któryś z jego dawnych przodków musiał zadać się z jakąś chłopką. Dla Geraldiny nie ulegało wątpliwości, że ktoś taki jak Michel nie mógł urodzić się w arystokratycznej rodzinie, chyba że jej krew została wcześniej skażona. Dzięki Bogu, Michel nie urodził się pierwszy, myślała.

2.

Pozwól mi choć na chwilę popracować przy miechu, Sean — mały Michel prosił płaczącym głosem.

Potężny kowal uśmiechnął się i ustąpił malcowi miejsca. Od kiedy chłopiec stał się wystarczająco duży, by wymykać się swoim groźnym nauczycielom, trudno było wyrwać go ze stajni. Uwielbiał Seana i wszystko, co było związane z tym miejscem: zapach koni i prostotę ludzi, którzy o nie dbali. Byli tak bardzo różni od jego własnej rodziny. Dzięki prostym ludziom — kowalom, parobkom, pomocnikom stajennym, ich żonom i dzieciom — Michel mógł zetknąć się z prawdziwym duchem irlandzkiego narodu. Często bawił się z dziećmi chłopów lub pomagał przy pracy na farmie. Nauczył się doić krowy i rąbać drzewo na opał oraz tysiąca innych prac, które dzierżawcy musieli codziennie wykonywać, by zarobić na życie i wypełnić zobowiązania wobec swojego pana.

Od samego początku Geraldine nieufnie odnosiła się do tych znajomości. Zabawy z brudnymi obdartusami ze wsi nie przyniosą niczego dobrego — powtarzała przy każdej okazji. Ale sir Jeffrey, który sam większość czasu spędzał wśród stajennych i wieśniaków, nie brał poważnie tych przestróg.

— Czy myślisz, że będę wystarczająco silny, by zostać kowalem, gdy dorosnę, Sean? — Michel zadał to pytanie z pełną powagą, chociaż miał dopiero dziewięć lat. Z zazdrością przyglądał się potężnej sylwetce kowala odzianego w skórzany fartuch, jego silnym dłoniom i ogorzałej od ognia twarzy. Za pomocą wielkich szczypiec Ścart wyciągnął z paleniska rozpaloną do białości podkowę i zręcznym ruchem położył ją na wielkim kowadle stojącym pośrodku kuźni.

— No cóż, Michel — odparł. — Nigdy nie wątpiłem, że wyrosnie z ciebie chłop na schwał. Przez ostatnie pięć miesięcy urosłeś jak na drożdżach. Ale obawiam się, że kowalstwo nie jest odpowiednim zajęciem dla takiego chłopca jak ty.

— Dlaczego, Sean? Czy tylko dlatego, że mój ojciec jest lordem?

— Wyrosnie z ciebie prawdziwy szlachcic, taki jak twój ojciec i starszy brat.

— To nieprawda, Sean! Mój brat, Randolf, ma odziedziczyć wszystko. Matka nazywa to prawem pierworództwa, co oznacza, że cały majątek, dom, konie, wszystko przypadnie po śmierci ojca Randolfowi. Moja matka ciągle powtarza, że będę musiał podjąć jakąś pracę lub przyjąć patent oficerski w armii, żeby zarobić na życie. Niezbyt lubimy się z Randolfem i jestem pewien, że on nie zrezygnuje dla mnie nawet z części majątku.

— Tak, szczerze mówiąc, twój brat nie należy do ludzi o dobrym sercu. Obawiam się, że jego charakter wcale nie zmieni się z wiekiem.

— Czy ty wiesz, Sean, jak podły potrafi być czasami mój brat? Zdarza się, że w tajemnicy zabiera moje ołowiane żołnierzyki i chowa je w swoim pokoju. Kiedy zaczynam ich szukać, mówi matce, że widział, jak syn Cooksów ukradł je. Wtedy moja matka wpada w straszliwy gniew. Każę potrącić pewną sumę pieniędzy z i tak już skromnego wynagrodzenia Cooksów. Kiedy próbuję jej wytłumaczyć, że to wszystko jedynie intrygi Randolfa, nigdy mnie nie słucha.

Kowal przestał kuć stygnącą podkowę i uważnie przyjrzał się chłopcu. Siedział w kucki na ziemi. Na jego piegowatych ramionach pojawiły się pierwsze rude włosy. Gdyby nie wytworne słowa, których używał, i królewskie pochodzenie, Michel mógłby z powodzeniem uchodzić za jednego z synów Seana.

— No dobrze, ale przecież twoja matka musi w jakiś sposób reagować na to, co się dzieje.

— Karci mnie mówiąc, że to nieładnie rozpowiadać o swoim bracie podobne historie. Twierdzi, że zawsze staję w obronie służby i że źle skończę.

— Czy próbowałeś już porozmawiać z ojcem?

— O tak. Jestem pewien, że wie o kłamstwach Randolfa. Sam słyszałem, jak wiele razy robił awanturę z powodu jego „niewybaczalnego zachowania”. Nie sądzę jednak, by zechciał mieszać się w sprawy rodziny. Zawsze uważał, że wychowywanie dzieci i prowadzenie domu to zajęcia dla kobiety.

— Tak to już jest w małżeństwie, chłopcze. Bogaci czy biedni, większość mężczyzn dla świętego spokoju nie sprzeciwia się swoim żonom. — Kowal z trudem mógł powstrzymać się od śmiechu na myśl, że nawet jego lordowska mość boi się gniewu żony.

— Kiedy kobieta wbije sobie do głowy, że jedno z jej dzieci jest lepsze od drugiego, nie ma na to rady. Żadna siła nie oderwie klaczy od jej ukochanego źrebaka.

Michel pokiwał ze zrozumieniem głową. Ufał Seanowi bezgranicznie. Ten niewykształcony człowiek potrafił wytłumaczyć tak wiele za pomocą prostych słów. Nie to co pan Simpson, nauczyciel Hartingtonów, który nawet najprostszą rzecz był w stanie kompletnie zagmatwać. Dzięki Bogu Michel nigdy nie miał problemów z nauką. Pan Simpson wyczuwał przychylność, jaką jej lordowska mość darzyła swego starszego syna. Dlatego faworyzował Randolfa, natomiast Michelowi poświęcał niewiele uwagi. Jeśli podczas lekcji Michel pozostawał w tyle lub zamyślał się, nigdy nie ominęła go kara. Jeśli zaś pan Simpson przyłapał Randolfa na jakimś ewidentnym oszustwie czy kłamstwie, upominał go tylko łagodnie i radził, by chłopiec popracował jeszcze nad swoim charakterem. Tak niesprawiedliwe traktowanie utrwalało jeszcze to, co wynikało z wrodzonych skłonności obu chłopców. Michel na-

brał pewności co do swej intelektualnej i moralnej wyższości wobec brata. Randolph bez przeszkód mógł natomiast rozwijać swoje wady.

BRAND

3.

Dlaczego jecie aż tyle kartofli? — zdziwił się Michel.

To naiwne pytanie padło podczas jednej z wielu wizyt chłopca na farmie Seana. Jedenaście funtów ziemniaków stanowiło codzienne pożywienie przeciętnej rodziny robotnika w Irlandii. Michel, dla którego kartofle były najpospolitszym z warzyw, nie mógł zrozumieć, jak można jeść ich tyle naraz.

— Matko Boska! — wykrzyknęła kobieta o udęczonym wyrazie twarzy. Pochylona nad stołem oszczędnie wydzielala mężowi i dzieciom porcje ziemniaków z duszoną baraniną i cebulą. Spojrzała na chłopca takim wzrokiem, jakby wypowiedział najcięższe bluźnierstwo.

— Jemy ziemniaki, ponieważ na nic lepszego nie starcza nam pieniędzy. Kartofle dają poczucie sytości i dostarczają siły potrzebnej do pracy — odpowiedział stary człowiek, który siedział na krześle przed rozpalonym kominkiem. Jego twarz pokryta była gęstą siecią zmarszczek.

— Dawno temu farmerom w Irlandii powodziło się znacznie lepiej. — Jego głos był zaskakująco silny i młody. — Mogliśmy bez przeszkód zatrzymać wszystko, co dobry Pan Bóg zesłał nam jako owoce naszej ciężkiej pracy. Ale pewnego dnia Sassenach wprowadził swoje prawa, które uczyniły z nas żebraków i nędzarzy.

Michel słuchał go z ciekawością. Podniósł się z ławy, na której siedział przy stole z surowego drewna, i przysiadł się do starca. Bardzo lubił wiejskich gawędziarzy, których głowy pełne były różnych najbardziej niesamowitych historii i legend.

Stary człowiek odchrząknął, stroił głos niby starodawny instrument. Spojrzał głęboko w oczy chłopca i rozpoczął swoją opowieść tonem tak patetycznym, jakby stał na środku wielkiej sceny.

— W roku pańskim 1170 Irlandią rządziło czterech władców. Każdy z nich władał jedną z czterech prowincji kraju; Ulster, Munster, Leinster i Con — naught. Pewnego razu trzech królów wyruszyło na wielką krucjatę. Jak nietrudno się domyślić, każdy pozostawił w domu śliczną żonę. Władca, który pozostał w Irlandii, upodobał sobie małżonkę jednego z królów, którzy wyruszyli na wojnę. Zwabił ją podstępem do swego zamku i uwięził. Możesz sobie wyobrazić, co się stało, kiedy jej mąż powrócił do domu i stwierdził, że został wykpiony.

Taki był początek strasznego nieszczęścia, jakie dotknęło Irlandię. Bowiem zamiast wyprawić się na Munster i pomścić swą zniewagę, mąż porwanej niewiasty zwrócił się o pomoc do angielskiego króla Henryka II. Kiedy król Henryk wraz ze swym wojskiem przekroczył granice Irlandii, powiedział: „Ten kraj jest prawdziwym rajem na ziemi”. I tak pew-

nego pięknego dnia, roku pańskiego 1171. Henryk II przywłaszczył sobie nasz kraj i przyłączył go do Angielskiej Korony.

— Jak śmiało poważyć się na podobną rzecz? — spytał Michel, otwierając ze zdziwienia oczy.

— A jednak poważył się. Ale na tym nie koniec wszystkich nieszczęść. Henryk podzielił Irlandię jak ciastko. Kawalek dał temu, kawalek drugiemu. Potem wrócił do Londynu, a my mieliśmy spokój przez następne kilkaset lat.

— Co stało się później? — Michel nie mógł doczekać się dalszego ciągu.

— Około 1641 roku Anglia została bez władcy. Wówczas pewien okrutny człowiek imieniem Cromwell, żołdak i zabijaka, przywłaszczył sobie prawo do rządzenia nie tylko Anglią, ale i naszym krajem. Kiedy przybył do Irlandii na czele swych wojsk, rozejrzał się wokoło i już wiedział, co ma czynić. Postanowił zgubić cały irlandzki ród. Czy wiesz, co to oznaczało?

Chłopiec energicznie pokręcił głową.

— To oznaczało, że jeden naród postanowił zetrzeć inny z powierzchni ziemi, tak by więcej nie istniał. Pomyśl tylko. Cały naród miał zniknąć, a z nim jego zwyczaje, historia i pieśni, jego namiętności, spory i kłótnie, po prostu wszystko — stary człowiek zrobił dramatyczny gest ręką i zamilkł na moment.

— Jak się zapewne domyślasz, Michel, tak szalony zamiar nie został wprowadzony w życie. Panowie potrzebowali ludzi do pracy. Dlatego pozwolili Irlandczykom osiedlić się ponownie na farmach. Od tej pory pracowaliśmy dla nich jako kowale, kołodzieje i pomocnicy w stajniach. Ale panowie nie troszczyli się o naród. Traktowali nas gorzej niż niewolników. Dlatego w kraju wybuchało wiele buntów i zamieszek, które jednak pominę w mej opowieści, by szybciej przejść do tego, co najbardziej cię interesuje, jak sądzę, czyli do ziemniaków.

Michel aż podskoczył z radości.

— Wszystkie powstania i bunty kończyły się niepowodzeniem. Panowie włożyli w irlandzką ziemię zbyt dużo pieniędzy, by teraz oddać ją zwykłym chłopom. Aby utrzymać nas w ryzach, zaczęli wprowadzać surowe prawa. Zdarzenia, o których ci teraz opowiem, widziałem na własne oczy.

Sassenach wprowadził nowe prawo karne, które ostatecznie miało złamać nasz opór. Odebrano nam nasz kraj, zabroniono posiadać większą sumę niż pięć funtów, pozbawiono religii, księży i szkół. Nasz język skazano na zagładę. Nasze pieśni i wiersze wyjęto spod prawa, a mężczyzn wywieziono za granicę. Nie było sposobu, by obronić się przed tą niesprawiedliwością. Podatki nakładano tak wysokie, iż nikt nie mógł ich zapłacić. Wystarczyło spojrzeć krzywo na zarządcę, a cała rodzina mogła z dnia na dzień znaleźć się na bruku. Jeśli

jakiś chłop postanowił ulepszyć swoją chatę, na przykład wstawić nowe okno, by do środka wpadało więcej światła, od razu nakładano na niego większy podatek. Uważano, że zbyt dobrze mu się powodzi. To były bardzo ciężkie czasy!

Chłopi pracowali na dzierżawionych od panów działkach. Do tego musieli płacić rosnące z roku na rok podatki i, jakby tego było mało, zobowiązani byli oddać kościołowi dziesięcinę. Czy uwierzysz, Michel? Najpierw zabrali nam naszą wiarę, a później kazali płacić za narzuconą!

Nie było rady. Aby zapłacić podatki, musieliśmy sprzedawać wszystko, co wyhodowaliśmy z takim trudem, do ostatniego ziarenka pszenicy. Zostawały nam tylko kartofle. — Stary człowiek spojrzał znacząco na chłopca spod krzaczastych brwi. — Gotujemy je lub pieczemy na ogniu. Jesteśmy wdzięczni Bogu, że dał nam przynajmniej taką strawę.

Ale wkrótce wydarzyła się rzecz najgorsza. Pewnego dnia 1845 roku, kiedy na wszystkich farmach w okolicy zakończono wykopki, karząca ręka Boga zadała nam śmiertelny cios. Nie umiem ci wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Zawsze wierzyłem, że miłosierny Bóg oszczędzi nam dalszych cierpień i nie rozumiem, po co stawiał nas przed jeszcze jedną próbą. W każdym razie stało się tak, że białe i pulchne kartofle zgniły niemal na naszych oczach. To było na pięć lat przed twoim narodzeniem. Chłopi nie mieli pożywienia ani dla siebie, ani dla swoich dzieci. Skoro nie mieli co jeść, nie mogli pracować, a jeśli nie pracowali, to nie płacili podatków i musieli opuścić swoje domy. Całe rodziny tułały się bez dachu nad głową i umierały z głodu. Czy słyszałeś już kiedyś o łąkach śmierci? Do dzisiaj ludzie omijają je z daleka z obawy przed straszną zgubą.

— Słyszałem o nich.

— Panował taki głód, że niektórzy ludzie napychali żołądki trawą zerwaną z pobocza dróg. Zaraz potem umierali w straszliwych męczarniach. Są tacy, którzy twierdzą, że jeśli znajdziesz się na łąkach śmierci, dusze zmarłych pochwycają cię i porwą w wieczną ciemność. Nie wiem, czy to prawda. Czasami ludzie opowiadają niestworzone historie. — Przez chwilę zastanawiał się, jakby szukał zagubionego wątku. — Tak więc głód pochłonął niezliczone ofiary. Pamiętam, jak ciała umarłych leżały długo w rowach na rozległych łąkach, gdyż nie było gdzie ich pochować. Stały się pożywieniem dla wygłodniałych szczurów i siedliskiem zarazy.

Ci nieliczni, którzy przeżyli, musieli szukać zarobku za granicą, czasem w odległych krajach. Ja sam i moich trzech synów opuściliśmy Irlandię w poszukiwaniu pracy. Zatrudniiliśmy się w portowych dokach. Niełatwo było zdobyć taką pracę, a i tak dostawało się za nią nędzne grosze. Część zarobionych z trudem pieniędzy musieliśmy wysłać do domu, by utrzymać przy życiu resztę rodziny. Nie wszystkim dopisało szczęście. Żona Liamsa, mojego syna, i jego pięcioro małych dzieci zmarli z wycieńczenia i głodu. Okrutny nadzorca O'Le — ary wyrzucił ich na bruk. Dwie córki Seana również nie przetrzymały głodu. Ich matka, Nora, zmarła wkrótce potem z rozpacz.

Jak widzisz więc, Michel, kartofle mają dla nas specjalne znaczenie. Nie możemy liczyć na zbyt wiele, ale dzięki tej skromnej stawie możemy przeżyć.

Starzec potarł dłońmi zdrętwiałe kolana. Jego opowieść dobiegła końca.

— Trzeba przyznać, że od tamtych dni wiele się zmieniło. Mamy nie tylko ziemniaki, ale i trochę mięsa, marchwi i rzepy. Nie jest już tak źle.

Stary człowiek wyciągnął z kieszeni postrzępioną białą chustkę i głośno wytarł nos. Michel spostrzegł łzy w jego oczach. Wstał i z zakłopotaniem rozejrzał się po izbie. Czuł, że musi coś powiedzieć, ale dziwny ucisk w gardle całkiem odebrał mu mowę. W końcu wykrztusił z trudem:

— Jestem ci bardzo wdzięczny, dobry człowieku. Nigdy nie zapomnę historii, którą opowiedziałeś mi dzisiaj... — przerwał nie wiedząc, co ma powiedzieć dalej. Miał zupełny zamęt w sercu i głowie. — Chcę, byście wiedzieli, że nigdy nie pozwolę was skrzywdzić.

Chłopiec instynktownie czuł się winny. Wiedział już, jak straszne było życie ludzi, którzy w pocie czoła pracowali dla jego ojca, całej rodziny Har — tingtonów i dla niego samego. Było mu wstyd, dlatego nie odważył się zadać żadnego pytania więcej. Zerwał się z miejsca i wybiegł na dwór, jakby ścigał go sam diabeł.

Pędził przez łąki jak oszalały. W końcu wyczerpany bez tchu padł na ziemię i długo leżał w gęstej, wysokiej trawie. Oddychając ciężko, patrzył w górę na zasnute mgłą, szare irlandzkie niebo. Było inne niż zwykle. Zmieniło się, a wraz z nim wszystko wokoło. Świadomość surowego i okrutnego piękna irlandzkiej ziemi, które kryło się w historii i przyszłości tego kraju, zaczęła powoli kiełkować w umyśle chłopca.

4.

Mary Dalton była marzycielką. Siadywała często przed chatą ubrana w starą, pocerowaną suknię i wyobrażała sobie, że jest panią w jednym z bogatych salonów w Dublinie. Pod przymkniętymi powiekami widziała błyszczące kandelabry, lśniący srebrny serwis do herbaty na stole i ciężkie adamaszkowe draperie. Całkowicie nieobecna i rozmarzona, zapomniała o swoim szarym życiu pełnym trudów i obowiązków.

Mary była jedyną córką farmera, który dzierżawił niewielką działkę w północnej części rozległej posiadłości Drumgillan. Rodzina Daltonów podzieliła los irlandzkiej szlachty, która podczas angielskiej inwazji straciła wszystko. Przetrwali najcięższy okres i powrócili do Drumgillan z wygnania, ale już nie jako jej właściciele, lecz zubożali dzierżawcy, pracujący dla nowego pana, hrabiego Dawida Hartingtona. Mary wyobrażała sobie często, że — jak jej odlegli przodkowie — jest wielką damą i mieszka w pięknym pałacu. Żyła w wyimaginowanym świecie swoich fantazji, w którym właścicielami Drumgillan i zamku na wzgórzu była nadal rodzina Daltonów, a nie Hartingtonowie.

— Jezus, Maria! Mary! Czy musisz tak się guzdrać z tym cerowaniem? — spytała Siobhan Dalton z rozdrażnieniem, niemal złością w głosie. Miała około czterdziestki, ale jak wszystkie kobiety w wiosce wyglądała znacznie starzej. Pochylona nad kociołkiem mieszała słony bulion z ziemniakami, rzepą i kawałkami mięsa. Mary, wyrwana ze swoich rozmyślań, szybko odstawiała kosz pełen dziurawych skarpetek i podeszła do matki.

— Pozwól, że ci pomogę. Cerowanie skończę po kolacji. Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Połóż się choć na chwilę — Mary spięła włosy z tyłu głowy i chwyciła łyżkę do mieszania.

— Położę się, i to już niedługo, do grobu.

Mary spojrzała ze współczuciem na zmęczoną twarz matki. Nie chciała nigdy podzielić losu zwykłej irlandzkiej kobiety, która większość swego życia spędzała na pracy w domu. Dobrze wiedziała, że matka nie ma dość sił, by urodzić kolejne dziecko, które nosiła w łonie. Siobhan dotychczas dobrze znosiła ciężę, ale tym razem widać było, jak krucha i przemęczona dosłownie z dnia na dzień traci siły. Mary pełna najgorszych przeczuć oczekiwała rozwiązania.

— Jesteś dobrą dziewczyną, Mary — powiedziała Siobhan. — Martwię się tylko, że zostawię cię samą ze wszystkimi obowiązkami na głowie.

Lada chwila do izby wejdą Frank, Paddy, Dev i ojciec — wszyscy przepoceni i brudni. Przepychając się nawzajem, zasiądą do stołu, by napchać puste żołądki chlebem i ziemniakami. Rory zjawi się jak zawsze trochę później, zgrzany, z rozpaloną od ognia twarzą i prze-

siąknięty ostrym zapachem kuźni i stajni. Najmłodszy z braci miał równie marzycielskie usposobienie co Mary, dlatego cieszył się u swej siostry większymi względami niż pozostali.

Christofer, ojciec Mary, wszedł do izby pierwszy. Zatrzymał się na chwilę przy kuchni. Zajrzał do garnka, z zadowoleniem poklepał żonę po pośladkach i rozsiadł się przy stole. Czekał, aż zostanie obsłużony.

— Dziś wieczór potrzebuję porządnej kolacji — odezwał się niskim, ochrypłym głosem. — Ten O'Leary to prawdziwe skaranie boskie. Nie dość, że musimy do końca tygodnia spłacić wszystkie należności, to jutro czeka nas jeszcze całodzienna harówka.

Synowie mruknęli niezadowoleni, przytakując mu głowami. Mary podbiegła do kuchni i razem z matką zaczęła nalewać do misek gorącą zupę. Kiedy obsłużyły już mężczyzn, w pośpiechu przełknęły swoje porcje.

— Usiądź wreszcie, przecież ledwo trzymasz się na nogach — szepnęła Mary do matki. — Posprzątam ze stołu i przygotuję herbatę.

— Jesteś dobrą dziewczyną — odpowiedziała słabym głosem. Jej oczy były pełne udręki i zmęczenia.

Siobhan Dalton zachodziła w ciążę co roku. Niekończący się cykl porodów, nie donoszonych ciąży, martwych noworodków wypełniał całe jej życie, od kiedy wyszła za męża za Christofera. Kościół katolicki akceptował współzycie między małżonkami, ale tylko jako mechanizm do tworzenia nowych zastępów oddanych swej religii katolików. Seks sam w sobie potępiał jako śmiertelny grzech. Chłodne irlandzkie noce i brak innych rozrywek sprawiały jednak, że pomimo kategorycznych zakazów chłopcy szukali przyjemności w łóżkach swoich żon.

Wiejski lekarz przestrzegał Siobhan przed kolejną ciążą. Twierdził, że ryzyko jest zbyt duże. Miała cichą nadzieję, że Christofer to zrozumie. Dla kobiety, która przez cały czas swego małżeństwa pracowała ciężko, seks przestał być przyjemnością i zamienił się w przykry obowiązek. Fizyczne zbliżenie, które w młodości dostarczało Siobhan tyle radości, teraz stało się uciążliwe i pozbawione jakiegokolwiek sensu. Jej związek z Christoferelem był raczej rezultatem rozsądnego wyboru niż miłości. Gdyby istniał sposób, by nie raniąc honoru męża i przykazań Kościoła zrezygnować z seksu, Siobhan na pewno by to zrobiła.

Kobiety posprzątały po kolacji. Brudne naczynia włożyły do drewnianej balii, którą Mary napelniła gorącą wodą z kociołka i zimną deszczówką ze stojącego przed drzwiami wiadra. Umyły i wytarły do sucha gliniane miski, po czym wytaszczyły ciężką balię z chałupy, by wylać brudną wodę do ogródka. Kiedy już uporały się ze sprzątaniami, wróciły do swoich zajęć — Mary do szycia i cerowania, a Siobhan do robienia na drutach. Matka Mary potrafiła w ciągu trzech nocy udziergać cały sweter. Jej palce w błyskawicznym tempie narzucały oczka, a długie metalowe druty dzwoniły jak tryby rozpedzonej maszyny. Żadna kobieta z okolicy nie mogła dorównać jej w tej sztuce.

W izbie panowała cisza. Frank, Peddy i Dev wyszli zaraz po kolacji, by spotkać się z kolegami z sąsiedztwa i pogawędzić trochę o polityce i podatkach. Rory siedział już przy kominku, czytając w wąłym świetle migoczącego ognia. Zawsze pragnął stać się kimś lepszym, pod tym względem był bardzo podobny do siostry. Uważał, że cel osiągnie, czytając książki i zdobywając wiedzę.

— Mam dla ciebie nową książkę — zwrócił się do Mary. Ponieważ ojciec nigdy nie pochwalał ich zamiłowania do literatury, uważając, że jest to marnowanie czasu, mówił do niej szeptem.

— Napisała ją jakaś kobieta, Bronte czy jak jej... Pani z biblioteki powiedziała, że to bardzo ładny romans, dlatego pożyczyłem go z myślą o tobie.

Mary wzięła od niego książkę. Literackie zainteresowania brata skupiały się raczej wokół rewolucyjnych pism i powieści marynistycznych. Jego marzenia o ucieczce i przygodach kierowały się więc w zupełnie inną stronę. Oboje jednak kurczowo trzymali się nadziei na lepsze i ciekawsze życie.

Dziecko, które urodziła Siobhan, przeżyło zaledwie kilka minut. Pępowina, która nieszczęśliwie zacisnęła się wokół drobnej szyi, udusiła je. Mary siedziała całą noc przy łóżku konającej matki. Wycierała pot z jej zimnego czoła i skrapiała wodą spękane, suche usta.

Następnego dnia Siobhan umarła. Sosnowa trumna z jej ciałem spoczęła na dnie grobu. Wiał zimny, wilgotny wiatr. Mary stała wraz z braćmi i ojcem nad usypaną świeżą mogiłą. Nie czuła ostrego podmuchu wiatru, który smagał jej mokre od łez policzki i targał długie rude włosy. Nie słyszała nawet głosu księdza, który zaintonował modlitwę za duszę zmarłej. Była jak nieobecna.

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Niezachwianie wierząc w zmartwychwstanie duszy... — i tak dalej, i tak dalej. Te słowa wydawały się Mary groteskowe. Nie mogły wskrzesić matki.

— Musi istnieć jakieś lepsze życie — powtarzała Mary z uporem. Nagle zdjął ją straszliwy lęk na myśl, że ona również może zejść z tego świata w tak żaloszny i podły sposób.

— Choć do domu, Mary. Nie możemy tu zostać. Jest zimno, nabawisz się jakiejś choroby. — Rory przygarnął ją ramieniem. Silny powiew wiatru zupełnie zagłuszał jego słowa. Mary spojrzała na brata nieprzytomnym wzrokiem. Nagle wybuchnęła płaczem.

— Nie chcę umierać, Rory! Ja nie chcę umierać!

— Nie myśl teraz o tym — Rory przytulił ją jeszcze mocniej do siebie. Tylko on tak naprawdę wiedział, co działo się w duszy Mary.

5.

Michel Harcourt Hartington uchodził za czarną owcę w rodzinie. Fakt, że pomimo arystokratycznego pochodzenia w jego żyłach płynęła chłopska krew, był nie do wybaczenia. Przynajmniej tak uważała lady Geraldine i Randolph. Sir Jeffrey nie zwracał większej uwagi na kontakty młodszego syna z chłopami zatrudnionymi w jego majątku. Uważał, że jest to naturalne zachowanie młodego człowieka, który pragnie poznać twarde i surowe reguły prostego życia na wsi.

Ojciec Michela interesował się jedynie swoimi końmi. Były one jego pasją i obsesją zarazem. Utrzymywał wielką stadninę i osobiście jej doglądał. Wystawiał konie w zawodach, robił zakłady, wygrywał lub, jeśli nie miał szczęścia, przegrywał olbrzymie sumy pieniędzy. Można było odnieść wrażenie, że okazuje koniom więcej uwagi i miłości niż własnej żonie i dzieciom.

— Michel musi się po prostu wyszumieć. Każde źrebię, które wypuści się na wiosnę ze stajni, będzie brykać — argumentował zwykle, gdy Geraldine robiła mu wymówki z powodu młodszego syna. — Trzeba mu popuścić trochę cugli.

Niezależnie od negatywnej opinii żony, sir Jeffrey uważał Michela za bardzo udane dziecko. Był silny, odważny, inteligentny i praktyczny, a co najważniejsze — potrafił obchodzić się z końmi.

Większość swego czasu sir Jeffrey spędzał w komfortowo urządzonej bibliotece, gdzie godzinami ślęczał nad rachunkami. Najchętniej wyrzuciłby je wszystkie do kosza, ale, niestety, potrzebował pieniędzy, by zaspokoić swoją pasję. Dzięki dochodom z majątku i nakładanym na chłopów podatkom mógł kupować nowe konie, kosztowne uprzęże, siodła i wszystko, co było potrzebne do utrzymania wzorowej stadniny.

Sir Jeffrey dziękował w duchu Bogu, że Randolph miał głowę do interesów. Dzięki temu mógł bez obawy zrzucić na niego wszystkie obowiązki związane z finansami posiadłości. Ostatecznie pewnego dnia Randolph i tak stanie się właścicielem Drumgillan. Cała ziemia, chłopci, konie, owce i wioski będą należeć do niego. A jednak myśli, że Randolph miałby odziedziczyć także jego stadninę, nie dawała sir Jeffreyowi spokoju. Prawdę mówiąc wolał, by konie przypadły w udziale Michelowi.

Czasami, gdy o tym myślał, dochodził do wniosku, że Michel byłby jednak lepszym dziedzicem niż Randolph. Były to tylko nic nie znaczące pomysły. Nigdy nie zdecydowałby się złamać prawa pierworództwa. Uważał je za zupełnie słuszne. Dzięki niemu wielkie latyfundia, takie jak Drumgillan, nie ulegały rozdrobnieniu. Pozostawały zawsze w rękach jednego, najstarszego syna. Michel na pewno poradzi sobie, szkoda jednak, że to nie on urodził

się pierwszy. Pomimo podziwu dla finansowych zdolności swojego starszego syna sir Jeffrey nigdy nie darzył go większą sympatią. Bardzo wczesnie dostrzegł ciemne strony charakteru chłopca. Sam widział kiedyś, jak Randolf specjalnie napiął mocno wędzidła tak, by boleśnie wbiły się w delikatne i wrażliwe wargi konia. Sadystyczny uśmiech, który pojawił się wówczas na jego twarzy, przeraził ojca. Randolf dostał porządne lanie, ale sir Jeffrey nie zapomniał tego wydarzenia i już nigdy nie pozwolił synowi nawet zbliżyć się do stajni. Był przekonany, że o charakterze człowieka świadczy sposób, w jaki postępuje ze zwierzętami. Powtarzał często: Nawet jeśli ktoś wydaje ci się na pierwszy rzut oka hojny lub skąpy, słaby lub silny, honorowy czy pozbawiony godności, wpierw zobacz, jak obchodzi się z końmi, a będziesz wiedział o nim całą prawdę. Sir Jeffrey lubił widzieć świat prostym i zrozumiałym.



6.

Mary biegła przez kwitnącą zieloną łąkę. Trzymała koszyk z jedzeniem, którego Rory zapomniał zabrać ze sobą do pracy: cienki płat zimnego mięsa i dwa kawałki pszennego chleba.

Mary uwielbiała brodzić bosymi stopami w soczystej zielonej trawie, przeplatanej kolorowymi pąkami kwiatów i wdychać słodki zapach bzów i rododendronów. Miała dopiero siedemnaście lat. Była wysoka, o cienkiej talii i krągłych, kształtnych piersiach. Każdego ranka, gdy budziła się ze snu, myślała, że tego dnia musi wydarzyć się w jej życiu coś niezwykłego, co całkiem odmieni jej los. Jednak upragniona zmiana nigdy nie nadchodziła.

Mary zawahała się chwilę, czy ma wejść do stajni. Zawołała swego brata. Jej głos był tak dźwięczny i melodyjny, iż mógł oczarować nawet słowika. Ponieważ nikt nie odpowiadał, pchnęła z wysiłkiem olbrzymie drewniane drzwi i weszła do zacienionego wnętrza. Ku swojemu wielkiemu przerażeniu wpadła wprost w objęcia wysokiego, przystojnego mężczyzny. Był to Michel Hartington, który właśnie wychodził ze stajni śpiesznym krokiem. Koszyk z jedzeniem wypadł z rąk zaskoczonej dziewczyny i poturlał się po ziemi. Fakt, iż znalazła się w ramionach jego lordowskiej mości całkiem zbił Mary z tropu. Zawstydzona, z rumieńcami na twarzy spojrzała nieśmiało w rozbawione oczy młodego mężczyzny. Michel trzymał ją mocno w objęciach nieco dłużej niż tego wymagała sytuacja. Przez chwilę drażnił się z nią, po czym puścił wolno.

— Kim jesteś, ślicznotko? — spytał, obrzuciwszy ją przeciągłym spojrzeniem.

— Nazywam się Mary Dalton. Mój brat pracuje w pana stajni jako kowal i właśnie niosłam mu lunch... Obawiam się jednak, że dzisiaj będzie głodny — z rozpaczą spojrzała na rozsypane kawałki jedzenia. Nie była pewna, czy wypada schylić się i pozbierać je z ziemi. Ostatecznie trochę piasku nikomu jeszcze nie zaszkodziło.

Smutny wyraz jej oczu poruszył Michela. Dobrze wiedział, z jak wielkim trudem chłopci zdobywają jedzenie. Porzucił więc nonszalancję i sięgnął do kieszeni.

— No cóż, Mary. Całe nasze życie zmagamy się z przeciwnościami losu. Mam nadzieję, że ta niewielka suma wynagrodzi twoją stratę.

Dziewczyna wzięła monetę.

— Dziękuję jego lordowskiej mości — dygnęła. — Bardzo przepraszam, zupełnie nie wiem, co się ze mną dzisiaj dzieje. Gdyby mój ojciec dowiedział się, jaka niezdara ze mnie, nigdy by mi tego nie wybaczył.

— O nie, Mary. To wyłącznie moja wina. Powinienem bardziej uważać. Naprawdę, przepraszam cię.

Jego uśmiech był szczery. Dziewczyna całkiem zmieszana zachowaniem Michela, ostrożnie podniosła z ziemi koszyk z resztką jedzenia i zniosła go bratu, który przyglądał się całej scenie z wyraźną dezaprobatą. Czuł zamiary Michela. Niejedna wiejska dziewczyna straciła cnotę w łóżku młodego pana i Rory nie chciał, by jego piękna siostra podzieliła ich los. Przywitał ją szorstkim spojrzeniem, tak obcym jego łagodnej naturze. Bez słowa wziął koszyk i wrócił do pracy. Mary przestraszyła się. Wyczuwała instynktownie, że gniew brata ma jakiś związek z tym, co zdarzyło się przed chwilą. Musiała widocznie zachować się bardzo niestosownie w obecności jego lordowskiej mości. Dygnęła szybko przed bratem i płonąć ze wstydu, wybiegła czym prędzej ze stajni.

Michel długo patrzył na nią. Dopiero gdy zauważył niezadowolenie na twarzy młodego kowala, odwrócił się i poszedł w swoją stronę. Był zaskoczony i oszołomiony urodą dziewczyny. W jej ruchach kryła się jakaś szlachetność i ujmująca harmonia, które odróżniały ją od innych wiejskich dziewcząt. Michel postanowił, że jeszcze kiedyś spotka się z Mary.

Przez kolejne dni Michel o niczym innym nie myślał, jak tylko o cudownym i tajemniczym zdarzeniu, które miało miejsce w stajni. Piękna siostra Rory'ego nie dawała mu spokoju. Dlatego bardzo się ucieszył, kiedy pewnego popołudnia podczas konnej przejażdżki ujrzał przypadkiem śliczną dziewczynę, która właśnie szła przez łąkę.

— Mary! — zawołał. Spiał konia i pogalopował w jej stronę. — Chyba nie pomyliłem twego imienia? — spytał.

Spojrzała na niego z uśmiechem. Jej twarz była pełna słońca.

— Tak, Mary Dalton, sir. Spotkaliśmy się w stajni.

Michel podjechał bliżej. Zatrzymał się i zeskoczył na ziemię. Trzymając konia za uzdę, szedł dalej obok dziewczyny.

— Oczywiście, pamiętam. To prawdziwe szczęście, Mary, zobaczyć cię znowu. Byłem pewien, że w końcu się spotkamy.

Spojrzała uważnie w jego błękitne oczy. Chciała sprawdzić, czy kpi z niej, ale zamiast złośliwej ironii ujrzała w nich taką samą serdeczność i dobroć jak wówczas, podczas niespodziewanego spotkania w stajni. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jego obecność wywołuje w niej tak silne emocje. Z jednej strony pragnęła, by Michel poszedł sobie i zostawił ją w spokoju, z drugiej zaś drżała ze strachu na myśl, że może tak zrobić. Chciała przerwać kłopotliwe milczenie, ale nie wiedziała, co właściwie powinna powiedzieć.

Michel czuł podobne zakłopotanie. Zdecydował, że będzie postępować ostrożnie. Instynktownie wyczuwał, że jedno nierozważne słowo może wystraszyć dziewczynę.

— Gdzie mieszkasz, Mary?

— Na farmie w północnej części Drumgillan, wraz z ojcem i czterema braćmi. Najmłodszy, Rory, pracuje jako kowal.

— Twój ojciec musi być szczęśliwym człowiekiem, Mary, skoro ma tylu synów do pomocy. — Michel wiedział, że w ubogich chłopskich rodzinach synów traktuje się jako dodatkową siłę roboczą w gospodarstwie, córki zaś jak prawdziwy dopust boży.

— Gdyby moja biedna matka miała prócz mnie jeszcze jedną córkę do pomocy, może żyłaby nadal.

Michel dosłyszał w jej głosie dziwny żal, który wyrażał coś więcej niż tylko smutek po stracie matki.

— Czy wiesz, kim jestem, Mary? — spytał ostrożnie. Dziewczyna wydawała się tak bardzo delikatna i wrażliwa.

— O tak, sir — oblała się rumieńcem. — Pan jest synem jego lordowskiej mości. Każdy z Drumgillan dobrze pana zna. — Jej oczy rozjaśniły się dziwnym blaskiem, kiedy spojrzała na niego. — Mówią, że rozumie pan prostych ludzi i że to nie podoba się pańskiej matce.

Uśmiechnął się.

— Nie ma takiej rzeczy, o której ludzie ze wsi by nie wiedzieli! Co jeszcze słyszałaś o mnie? — spytał przyjacielskim tonem.

Dziewczyna poczuła się pewniej. Właściwie rozmowa z Michelelem nie była wcale taka straszna. To zupełnie tak, jakby rozmawiała ze swym bratem, Rorym. Gdyby tylko nie ten dziwny wzrok Michela, który wywoływał w jej sercu zupełny zamęt!

— Mówią, że potrafi pan obchodzić się z końmi — ciągnęła dalej Mary, ostrożnie dobierając słowa. — I że ma pan lepsze serce niż jego starszy brat. Wszyscy są zgodni, że dla ludzi z Drumgillan byłoby lepiej, gdyby to pan został dziedzicem.

Zamilkła przestraszona, że powiedziała zbyt wiele.

— I co jeszcze?

Życzliwość, z jaką się jej przyglądał, ośmieliła ją.

— Mówią też, że ugania się pan za kobietami.

Roześmiał się głośno.

— W takim razie nie zdziwisz się, jeśli skradnę ci małego całusa.

Pochylił się nad nią i już miał ją objąć, lecz wyraz panicznego przerażenia, który spostrzegł w jej niewinnych oczach, kazał mu się cofnąć. Ostatnia odpowiedź nie była zachętą do flirtu, jak sądził, lecz szczerym wyznaniem. Był zły na siebie.

— Wybacz, Mary. Zachowałem się nieodpowiednio.

Szli bez słowa. Michel był zaskoczony, że ta wiejska dziewczyna wywarła na nim tak wielkie wrażenie. Nie rozumiał, dlaczego w jej towarzystwie czuł się całkiem onieśmielony, tak jakby miał do czynienia z prawdziwą damą.

Digitized by Google

7.

Jakie są twoje marzenia, Mary? — zapytał Michel, kiedy usiedli razem na łące pewnego letniego popołudnia. Nie miał pojęcia, o czym może marzyć taka dziewczyna jak Mary. Przecież nie mogła mieć najmniejszej nadziei, że jej pragnienia kiedykolwiek się spełnią.

— Chciałabym, żeby moje życie było inne, Michel. Chciałabym być kochana, mieć męża, dzieci i... — zawahała się chwilę — i być prawdziwą damą.

Szczerłość i prostota tego wyznania rozczyliły Michela. Dziewczyna pozostawała wciąż dla niego cudowną zagadką.

— A co byś robiła, gdybyś została damą?

Zastanowiła się przez chwilę.

— Kochałabym swego męża i dzieci tak mocno jak każda inna kobieta, ale... — w jej oczach rozbłysły figlarne iskierki — ale nosiłabym jedwabne suknie i koronki, i kapelusze ozdobione piórami. Moje dzieci chodziłyby do najlepszych szkół, a ja miałabym ogromną bibliotekę pełną różnych książek... i wysłałabym mojego brata, Rory'ego, do Ameryki, i kupiłabym mu dużą farmę — przerwała na moment, by zastanowić się, czy lista życzeń jest kompletna. Po chwili dodała:

— Mieszkałabym w pałacu, gdzie byłoby mnóstwo wielkich pokoi i każdy miałby własną sypialnię. I miałabym jeszcze szczotkę do włosów ze srebrną rączką, i złote klamerki przy pantofelkach.

W jej głosie kryła się gorzka ironia. Najwyraźniej nie traktowała swych marzeń poważnie i nie wierzyła, by kiedykolwiek mogły się spełnić. Michel był głęboko poruszony.

Od tego dnia spotykali się często. Robili to bardzo dyskretnie, by nie wzbudzić podejrzeń i tak nieprzychylnych Michelowi braci Mary.

Dziewczyna otworzyła przed młodym Hartingtonem świat, którego do tej pory nie znał. Jej niewymuszona szczerłość i naturalna kobiecość były tak różne

od tego, z czym Michel stykał się do tej pory. Kobiety z jego towarzystwa zwykle używały swojej urody jako przynęty, by usidlić mężczyznę i wplątać go w sieć przebiegłych intryg. Mary była inna. Gdy tylko czas na to pozwalał, prowadzili długie szczere rozmowy. Mówili sobie o wszystkim i wkrótce stali się przyjaciółmi.

— A o czym ty marzysz, Michel? Jakie pragnienia ma człowiek, którego życie jest nieprzerwaną bajką? — Mary zadała mu identyczne pytanie.

Michel spojrzał uważnie na nią i zastanowił się, co ma jej odpowiedzieć. Gdyby podobne pytanie padło z ust jakiejś panienki z dobrego domu, na pewno w mgnieniu oka wymyśliłby jakąś gładką i dowcipną odpowiedź. Ale wobec Mary chciał pozostać szczery.

— O moim życiu zdecydowano już w dniu moich narodzin. Miałem być wierną repliką moich rodziców, tak jak oni kochać i podziwiać angielskiego króla, śmiać się z tych samych kawałów, uczyć na te same uniwersytety i pogardzać wszystkim, co irlandzkie. A jednak od samego początku pewna cecha charakteru różniła mnie od pozostałych członków rodziny. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze czułem się lepiej w chłopskiej chacie niż w wytwornych salonach. Kocham życie, przyrodę i ziemię. Nie jestem też tak subtelny, to znaczy, nie uważam się za gbura, ale czasami brak mi ogłady. Jestem pory wczy, trudno mnie okiełznać, zmusić do czegoś...

Nie wiedział, jakich słów ma użyć, aby opisać swój charakter. Nigdy przedtem tego nie robił, nawet sam przed sobą.

— Jesteś dokładnie taki, jaki powinieneś być. Nie powinieneś martwić się z powodu swojego charakteru.

Mary spuściła wzrok. Smukłymi palcami pieściła delikatne pąki kwiatów. Jej długie rude włosy falowały na wietrze. Michel pochylił się i odgarnął je troskliwie do tyłu.

— Daleko mi do ideału. Ale kiedy rozmawiam z tobą, wydaje mi się, że wiele rzeczy rozumiem lepiej. Świat... ludzi... siebie samego...!

Mary spojrzała na niego. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale wyglądał znacznie poważniej. Utożsamiał wszystko, o czym Mary zawsze marzyła. Dzięki niemu najskrytsze pragnienia stawały się bliskie spełnienia. Uwielbiała

mu się przyglądać. Jego silna męska sylwetka wywoływała w niej dreszcz podniecenia. Nie mogła wprost uwierzyć, że tak przystojny mężczyzna jak Michel mógł zwrócić na nią uwagę. To było jak piękny sen... ale czy gdyby Mary nie była tak wielką marzycielką, jej życie mogłoby doznać tak cudownej przemiany.

— Czy nie chciałabyś pracować w naszym domu, Mary?

Michel zmienił temat rozmowy. Kiedy zastanawiał się nad swoimi pragnieniami, coraz częściej pojawiała się w nich Mary. Te marzenia przerażały go, graniczyły bowiem z szaleństwem.

— To niemożliwe, Michel. Muszę zajmować się gospodarstwem, przygotowywać jedzenie dla ojca i braci, cerować ich skarpetki...

— Tak tylko pytam. To byłaby dobra okazja, by widywać się częściej — ostrożnie sondował, jaka będzie jej reakcja. Nie był pewien, czy postąpił słusznie składając jej podobną propozycję. Mary wyglądała tak niewinnie. Oczywiście, mógł postąpić jak każdy mężczyzna w jego sytuacji, uwieść dziewczynę i wykorzystać. Ale Mary była jego przyjacielem i nie odważyłby się nadużyć jej zaufania. Chciał po prostu mieć ją bliżej siebie.

Mary spojrzała na niego z wymuszonym opanowaniem. Czego chciał od niej? Jego propozycja oznaczała dla biednej dziewczyny ucieczkę z domowego piekła, wyzwolenie od codziennej harówki na farmie. Praca pokojówki w pałacu zaspokajała jej ambicje, poza tym... byłaby blisko Michela.

Mary musiała ustąpić. Ojciec nie chciał nawet słyszeć o pracy u Hartingtonów.

— Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz, dziewczyno! Przecież nie stanę przy kuchni i nie zacznę gotować dla swoich synów żarcia. Co za pomysły, żeby opuszczać nas w takiej sytuacji. — Wrzeszczał, aż dom trząsł się w posadach. Mary musiała przyrzec, że nigdy więcej nie wspomni o tym szalonym pomysle. W głębi duszy była jednak zdecydowana opuścić dom. Ponad wszystko pragnęła być jak najbliżej Michela. Wszystkie jej sny obracały się wokół tego mężczyzny. Był jednak i inny powód, dla którego gotowa była porzucić rodzinę. Nie śmiała nawet o nim pomyśleć, gdyż wydawał się jej zbyt przyziemny. Chciała zobaczyć z bliska, jak żyją wytworni ludzie, poznać ich zwyczaje, styl i maniery.

Zupełny przypadek sprawił, że mogła w końcu spełnić swoje marzenia. Jeśli ojciec coś raz postanowił, trudno było to zmienić. Kiedy jednak skończyła osiemnaście lat, nagle jej sytuacja w rodzinie uległa radykalnej zmianie. Ojciec oświadczył pewnego dnia, że zamierza ożenić się z niejaką Helen Casy, wdową z sąsiedztwa. Helen wniosła w wianie dwie krowy, trzy świnie, kilka haftowanych obrusów i najgorszy charakter, jaki tylko można było sobie wyobrazić.

Wkrótce zawładnęła całym domem. Mary z trudem znosiła jej ciągłe ataki na zmarłą Siobhan. Pamięć matki była dla dziewczyny święta i gdy tylko nadarzała się okazja, odgryzała się jak mogła znienawidzonej macosze. W końcu sytuacja w domu stała się nieznośna.

— Myślałem o tej pracy u Hartingtonów, Mary — powiedział pewnego wieczora ojciec.

Mary nie była zaskoczona.

— Jeśli ma cię to uszczęśliwić, to nie mam nic przeciwko temu, żebyś ją podjęła.

Mary nie posiadała się ze szczęścia, choć z drugiej strony hipokryzja ojca wywoływała w niej niesmak.

— Odejdę chociażby dzisiaj — dla zachowania pozorów ucałowała ojca w rękę.

Nawet nie spojrzała na Helen, która stała przy kuchni z triumfalnym uśmiechem na twarzy. Mary nie mogła doczekać się, kiedy przekaże tę radosną nowinę Michelowi.

Praca u Hartingtonów nie była lekkim chlebem. Mary miała wolny tylko jeden dzień w miesiącu i jedną godzinę każdej niedzieli, by mogła pójść na mszę do kościoła. Nie skarżyła się, wręcz przeciwnie. Nowe zajęcie okazało się dla niej ekscytującym przeżyciem i nowym doświadczeniem. Uzyskała niezależność i była blisko Michela.

Słodkie chwile, które wolna od zajęć mogła spędzać z Michele, napełniały jej młode serce uczuciem niewysłowionego szczęścia. Zwykle czekał na nią na wzgórzu, z rozwianymi od wiatru włosami, ubrany w skózaną kurtkę i buty do konnej jazdy. Na jego widok czuła, jak krew zaczyna szybciej płynąć w jej żyłach. Biegła w jego stronę z rozwianym szalem i wypiekami na twarzy, pragnąc

tylko jednego — by jak najszybciej znaleźć się w jego silnych ramionach. Gdy tak trwali złączeni uściskiem, czuli oboje, jak wzbiera w nich nie znane dotąd potężne uczucie.

Dla Michela Mary pozostawała wciąż wielką zagadką. Pragnął jej silniej niż jakiegokolwiek innej kobiety w swym życiu. Jednocześnie chciał zachować w niej przyjaciela. Pytanie, jak daleko może zaprowadzić ich ta przyjaźń, dręczyło go i nie dawało spokoju. Małżeństwo z Mary było wykluczone, ale z drugiej strony nie wyobrażał sobie, by mógł pójść z nią do łóżka bez ślubu. Był pewien, że bez trudu potrafiłby ją uwieść. Każde jego dotknięcie wywoływało burzę sprzecznych doznań w sercu niedoświadczonej dziewczyny i Michel dostrzegał to. Była zbyt niewinna, by ukrywać uczucia, ale jej wrażliwość odbierała mu odwagę i pewność siebie. Pragnął ją ochraniać.

Chwilami jednak był niemal gotowy o tym nie pamiętać. Ale zaraz potem ogarniały go wątpliwości. Czasami chcąc uciec przed dręczącym go dylematem, szukał zapomnienia u miejscowych prostytutek. Dawniej ich usługi sprawiały mu przyjemność i odpowiadały usposobieniu, ale teraz miał przed oczyma tylko Mary, jej śliczne aksamitne włosy, pełne piersi i śnieżnobiałe zęby. Zastanawiał się nad swoją przyszłością i nie wiedział, jakie miejsce ma zająć w niej Mary.

8.

Minęło kilka miesięcy odkąd Mary zaczęła pracować w domu Hartingtonów. Pewnego dnia wybrała się z Michelem na wspólną konną przejażdżkę. Słońce, które rzadko potrafiło przedrzeć się przez gęste chmury irlandzkiego nieba, schowało się całkiem za jeden z granatowych, ciężkich cumulusów. Krople deszczu zaczęły padać na ziemię. Mary, która zawsze lubiła deszcz, roześmiała się głośno. Burza była jej żywiołem. Kiedy inne dzieci kryły się pod spódnicami swych matek, wystraszone grzmotami i błyskawicami, ona zawsze wybiegała na podwórko i tańczyła w strumieniach deszczu.

— Mary! — Michel próbował przekrzyknąć wiatr. — Tu w pobliżu jest mała chata. Odkąd sięgam pamięcią, stoi całkiem pusta. Możemy się tam schronić. Wiem, że lubisz deszcz, ale całe ubranie masz przemoczone. To nierozsądne!

Tego dnia Mary miała akurat wychodne. Poszła na farmę swojego ojca pod pretekstem odwiedzenia rodziny. Ale tak naprawdę chciała pożyczyć od ojca konia, by razem z Michelem wybrać się na przejażdżkę. Woląca nie brać wierzchowca ze stajni Hartingtonów, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń.

Dzięki braciom Mary wcześniej nauczyła się jeździć konno. Tego dnia, galopując przez rozległe pola w strugach ulewnego deszczu i zmagając się z porywistym wiatrem, czuła, jak cała drży z podniecenia i emocji. Rytmiczny galop konia, zapach jego spoconej sierści doprowadzały jej zmysły do szaleństwa. Dreszcz nieznanej rozkoszy wprowadził ją w stan zupełnego transu.

Puścili się galopem przez mokrą łąkę w kierunku zniszczonej chaty. Zdyszane konie zostawili pod drewnianą wiatą, sami zaś trzymając się za ręce pobiegli w stronę domku. Jego opuszczone zimne wnętrze wydało się im dziwnie przytulne.

— Jest tutaj trochę torfu na opał i zapalki — Michel spojrzał na przemoczoną i drżącą z zimna Mary. — Czasami przychodzę tu, kiedy pragnę zapomnieć o świecie. To spokojne miejsce sprzyja rozmyślaniom. Czasami nawet nocuję tutaj.

Michel zaczął rozpalać ogień.

— W drewnianej skrzyni pod ścianą są koce. Możesz wziąć jeden, zanim ogień rozpali się na dobre.

Mary z uwagą przyglądała się jego sylwetce. Silne dłonie i umięśnione nogi w obcisłych bryczesach podniecały ją. Do tej pory nie zauważyła, że jego ramiona są tak potężne.

Michel zadowolony, iż udało mu się rozpać ogień jedną zapałką, podniósł się i szybko ściągnął przez grzbiet przemoczoną koszulę. Mary patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Nigdy w życiu nie widziała równie pięknego mężczyzny. Czuła, jak krew zaczyna uderzać jej do głowy. Michel stał przez chwilę przy samym ogniu, aby ogrzać zziębnięte ciało. Zachowywał się tak swobodnie, jakby codziennie paradował półnago w obecności kobiet. Po chwili podszedł do skrzyni, wyjął koc i okrył się nim. Uśmiechnął się na widok zakłopotanej miny Mary. Podszedł do niej i wyciągnął ręce.

— Chodź do mnie. Pozwól, że ogrzeję cię w swoich ramionach.

Jakaś olbrzymia siła popchnęła ją do przodu. Są uczucia tak silne, że żaden człowiek nie zdoła się im oprzeć. Dotyk dłoni i szorstkość jego opalanej skóry wprawiły Mary w stan niewysłowionej rozkoszy.

Michel pochylił się nad nią. Ich usta odnalazły się w pocałunku. Mary nigdy nie sądziła, że wargi mężczyzny mogą być tak delikatne i tak mocne zarazem. Poczowała, jak jego język wtargnął między jej zęby. Jedna dłoń Michela zatopiła się we włosach dziewczyny, druga zaś gorączkowo dotykała jej aksamitnych pleców, drobnych ramion i twardych piersi. Mary wiedziała, że nie mogą posunąć się dalej... nie miała jednak dość sił, by opierać się namiętności, która owładnęła ich zmysłami.

Michel obsypywał Mary pocałunkami. W sercu dziewczyny panował zamęt. Czuła, że powinna go odepchnąć. Próbowwała wyrwać się z jego objęcia, ale Michel trzymał ją zbyt mocno, by mogła się wyswobodzić. Jego zachłanne dłonie i usta doprowadzały ją na skraj szaleństwa. To było przeznaczenie, od samego początku, kiedy po raz pierwszy spotkali się w stajni.

Mary czuła, jak unosi ją fala rozkoszy. Była gotowa na wszystko. Co mogła bowiem stracić? Tylko niewinność. To niewielka cena w porównaniu z rozkoszą, której niecierpliwie oczekiwała. Jej podniecenie było tak wielkie, iż ledwo spostrzegła nagłą zmianę w zachowaniu Michela.

Mężczyzna zatopił twarz w jej aksamitnych włosach i westchnął ciężko. Troskliwie otoczył Mary ramieniem i przycisnął tak mocno do siebie, że wyraźnie poczuła jego twardość. Powoli uspokajali się. Mary wiedziała już, że Michel ją kocha. Tylko miłość mogła bowiem powstrzymać mężczyznę od zaspokojenia żądzy. Nic nie stało na przeszkodzie, by ją teraz wziął. Nie broniłaby się. Była całkowicie w jego mocy. Nie odmówiłaby niczego. Świadomość uczucia, które Michel żywił do niej, zaskoczyła ją. Trwała w jego objęciach, bojąc się poruszyć.

— Och Mary, Mary! — wyszeptał. — Co my robimy? Igramy z losem.

— W twoich ramionach czuję się bezpiecznie, Michel. Marzyłam o tym od tak dawna.

Michel spojrział uważnie na dziewczynę, która z ufnością przytuliła się do niego. Nagle zdał sobie sprawę, że żadna kobieta z jego sfery nie obdarzyłaby go tak bezgranicznym zaufaniem.

— Chciałbym, żeby ta chwila trwała całą wieczność, Mary.

Ciepło, które biło z jej ciała, i delikatny zapach jej skóry napelniały go niebiańską słodyczą. Pragnął jej krągłych piersi i rozpalonych ust — pragnął posiąść ją całą! Jego serce ścisnął straszliwy żal na myśl, że to gorące pragnienie jest niespełnialne. Ponad wszystko chciał uszanować jej niewinność.

Trwali w miłosnym uścisku, wsłuchując się w szum deszczu, który powoli ustawał, przechodząc w gęstą mgłę. Każde mimowolne dotknięcie czy delikatny pocałunek wzbudzały w ich sercach błogość, ale również obawę przed nieuchronnymi konsekwencjami rodzającego się związku.

— Musimy już wracać. Jest późno.

— Będzie mi ciebie brakowało dzisiejszej nocy, Michel.

Ujął w dłonie jej twarz i spojrział prosto w oczy.

— Chciałbym, żebyś wiedziała, że to, co się teraz stało, nie jest dla mnie igraszką ani przelotnym romanssem. Nie wiem jeszcze, co powinniśmy zrobić, ale znajdę jakieś rozwiązanie.

Mary milczała.

— Myślę, że kocham cię. — Powiedział to z ogromną czułością, tak jakby obawiał się, że to żarliwe wyznanie może ją zranić.

-1 ja cię — odparła bez wahania. — Nie powinieneś tak bardzo obawiać się o naszą przyszłość. Wystarczy mi fakt, że się kochamy.

Delikatnie pogłaskał jej policzek. Doceniał to, że próbowała go uspokoić i nie chciała, by się zamartwiał.

— Nie, Mary. To nie wystarcza.

Stali naprzeciwko siebie i patrzyli sobie głęboko w oczy. Wokoło zapadał zmrok. Każde z nich starało się odtworzyć w pamięci wszystkie szczegóły mijającego dnia, by zachować je na czas, kiedy będą musieli się rozstać. Michel pocałował Mary po raz ostatni, po czym opuścili schronienie. Mała zniszczona chatka stała się od tej pory miejscem ich intymnych spotkań. Mijający dzień związał parę kochanków na resztę życia.

9.

Praca służącej była wyczerpującym zajęciem. Mary pracowała od świtu aż do późnego wieczora, kiedy umyła już i poukładała w kredensie wszystkie naczynia po kolacji. Porcelanową zastawę przechowywano w specjalnych, wyściełanych pikowanym materiałem skrzyżniach. W porównaniu z glinianymi kubkami i talerzami, z którymi Mary stykała się w swoim domu, porcelana wydawała się jej tak delikatna i krucha jak skrzydełka motyla. Często podziwiała ozdabiające talerze i filiżanki — malowane pastelowymi kolorami kwiaty i delikatne linie złocień. Kiedy wieczorami przy blasku kandelabrow rozstawiano na stole cały serwis obiadowy, Mary zdawało się, że mieni się i błyszczy niby jakiś królewski skarb. Kucharz opowiedział jej kiedyś, że porcelanę sprowadzono tu aż z odległej Danii. Nazywano ją Flora Danica, czyli Ogród Danii. Wszystkie naczynia były malowane ręcznie przez wytrawnych artystów, którzy całymi dniami ślęczeli nad nimi, by nawet najdrobniejszemu listkowi nadać doskonałą formę. Mary domyślała się, że za jedną taką filiżankę czy spodek można było kupić konia albo krowę. Podobne cacka musiały mieć swoją cenę.

Pewnego dnia, kiedy odkurzała w bibliotece, natrafiła na pewną książkę. Jej autor udowodniał, że architektura pałacu w Drumgillan stanowi zaprzeczenie „irlandzkiego ducha”. To zdanie bardzo ją rozzłościło. Uważała, że autor się myli. Jej zdaniem pałac w Drumgillan doskonale harmonizował z pięknem trochę ponurego krajobrazu Irlandii. Stał na szczycie wzgórza, spoglądając wyniosłe na misterne formy francuskich ogrodów i krystaliczną, migoczącą w blasku słońca tafłę jeziora. Mary słyszała, że pałac w Drumgillan był przebudowywany przez słynnego architekta Jamesa Gandona.

Innym zajęciem wykonywanym przez Mary z ogromną przyjemnością było cotygodniowe polerowanie sreber. Zwykle służba robiła to niechętnie — ale dla Mary, która tylko raz w życiu widziała przelotnie srebrny kielich mszalny w kościele św. Bonifacego, tak częste obcowanie z kosztownymi przedmiotami było prawdziwą przyjemnością. Szef służby domowej pochwalił ją nawet, mówiąc, że od kiedy przysłała do pałacu, srebrny serwis do herbaty lśni, jak nigdy przedtem. Nic dziwnego, skoro dziewczyna spędzała na jego czyszczeniu całe ranki, wkładając w pracę wiele serca i zamięłowania.

Nabożna cześć, z jaką Mary traktowała kosztowne sprzęty w domu Hartingtonów, bawiła Michela. Ale i on był do nich niezmiernie przywiązany. Często też opowiadał Mary o ich pochodzeniu i historii. W ten sposób dowiedziała się o braciach Francini, dekoratorach, którzy przybyli do Irlandii z Włoch i cieszyli się dużym wzięciem wśród bogatych arystokratycznych rodzin. To dzięki ich kunsztowi sklepienia pokoi w Drumgillan zaludniły się mitycznymi postaciami nimf, satyrów i cherubinów. W tym samym czasie inny artysta, Robert Adam, dodał płaskorzeźby zwierząt, ptaków i girlandy egzotycznych roślin. Michel opowiedział Mary również, w jaki sposób powstają gobeliny wiszące na ścianach. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że ich utkanie wymaga aż tyle pracy.

Obrazy przedstawiające polowania i konne wyścigi, których było pełno w pałacu, nie wzbudziły jej entuzjazmu. Natomiast krajobrazy Arthura O'Con — noriego i delikatne pastele Healeyego bardzo jej się spodobały. Kiedy zaś zobaczyła sztych Toma Milтона przedstawiający pałac Drumgillan, poczuła tak wielką dumę, jakby to ona sama była właścicielką posiadłości.

Michel był przywiązany do tradycji. Historia rodu napawała go dumą. Powoli w jego duszy budziło się pragnienie zachowania dynastycznej ciągłości i posiadania syna.

Kilka tygodni później, kiedy Michel wracał ze stajni do domu, posłyszał dobiegający z kuchni głos swego brata, jak zwykle opanowany, a jednocześnie arogancki i pełen złości.

O co chodzi? — pomyślał. Randolph nigdy nie interesował się służbą, nawet nie wszedł do kuchni. Rozpoznał wystraszony, niemal błagalny głos Mary. Potem zapadła cisza i rozległ się charakterystyczny odgłos uderzenia w twarz. Drzwi od kuchni otworzyły się gwałtownie i Mary wybiegła na podwórko, trzymając się za policzek. Tuż za nią biegła stara kucharka, wymachując groźnie rękoma i krzycząc wniebogłosy. Na widok Michela, zmierzającego szybkim krokiem w jej stronę, zatrzymała się i umilkła. Randolph przyglądał się całej scenie, stojąc w otwartych drzwiach. Na jego twarzy pojawił się pełen satysfakcji, sadystryczny uśmiech.

— Proszę o wybaczenie wielmożnego pana — kucharka kłaniała się aż do ziemi. — Obiecuję, że własnoręcznie zbiję tę dziewczuchę na kwaśne jabłko!

Jej głos był pełen uniżonej pokory.

— O co właściwie poszło? — Michel próbował nadać swemu głosowi obojętny ton. — Widzę, że nawet przez chwilę nie możemy być wolni od twoich intryg, Randolph.

— Ależ nic podobnego — Randolph uśmiechnął się złośliwie. — Właśnie przyłapałem tę rudą dziewczynę na gorącym uczynku. Kiedy wszedłem do jadalni, wkładała do kieszeni srebrną łyżeczkę. Gdy chciałem ją odebrać, ugryzła mnie w rękę i uciekła. Na szczęście złapałem ją razem z kucharką w kuchni. Dostała za swoje. Myślę, że drugi raz niczego już nie ukradnie.

Sięgnął po gruszkę leżącą w koszyku na stole i niby od niechcienia zaczął palcem wydlubywać miąższ. Michel walczył przez chwilę z obrzydzeniem.

— Ach tak — spojrzał na wystraszoną kucharkę. — A co ty masz do powiedzenia w tej sprawie?

— Uważam, że dziewczynę trzeba oddać. To już kolejny raz, jak panicz Randolph przyłapał ją na podobnym przestępstwie.

Mój Boże! — pomyślał Michel. — Dlaczego Mary niczego mu nie powiedziała?!... Oczywiście, nie mogła tego zrobić. Wiedziała, że wówczas postawi Michela w sytuacji, w

której musiałby interweniować. Randolph nie był wprawdzie łasy na kolDiety. Można było nawet odnieść wrażenie, że ich nie lubi. Potrzebował ich, by zaspokoić swoją żądzę, nic więcej. Tak ładna dziewczyna jak Mary musiała w końcu zwrócić na siebie jego uwagę. Michel poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Nie mógł znieść myśli, że jego brat obmacywał Mary i robił jej niedwuznaczne propozycje. Odwrócił się wściekły i wyszedł z kuchni trzaskając drzwiami. Towarzyszyło mu rozbawione spojrzenie Randolpha.

Michel wiedział, dokąd Mary uciekła. Znał tylko jedno miejsce, w którym mogła szukać schronienia. Poszedł w stronę zniszczonej chaty. Przemierzając podmokłe łąki, ze złością smagał dłonią wysoką trawę, jakby chciał w ten sposób rozładować swój gniew.

Znalazł Mary leżącą przy palenisku. Szlochała. Michel schylił się, by podnieść ją z ziemi. Chciał przytulić ją, ale dziewczyna gwałtownie odwróciła głowę, wstydząc się łez, spływających jej po policzkach.

— Mary, dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież nie pozwoliłbym zrobić ci krzywdy.

Spojrzała na niego spuchniętymi od płaczu oczyma i wybuchnęła jeszcze głośniejszym szlochem. Gładził jej włosy jak troskliwy ojciec, który chce uspokoić swoje dziecko.

— Bałam się, że będziesz chciał się z nim bić. Wtedy wszystko by się wydało. Wyrzuciliby mnie z Drumgillan i już nigdy nie zobaczyłabym ciebie.

— Nie dopuszczę do tego. Znajdziemy jakieś wyjście.

Jego spokojny głos sprawił, że Mary poczuła się nagle bezpieczna. Przytuliła się do niego. Jej serce biło przyspieszonym rytmem.

— Są chwile, kiedy jestem bardzo szczęśliwa. Myślę tylko o tobie, Michel. Nawet kiedy modlę się do Boga, mam przed oczyma ciebie. Każde rozstanie sprawia mi ból i nie mogę doczekać się ponownego spotkania. Na myśl, że mogłabym utracić ciebie, że twoi rodzice mogą wyrzucić mnie z Drumgillan, ogarnia mnie rozpacz. Z drugiej jednak strony wiem, że nawet jeśli zostanę, nie ma dla nas przyszłości. Wiemy o tym oboje, Michel. Czasami dochodzę do wniosku, że może byłoby lepiej, gdybym umarła z tęsknoty niż z rozpacz.

Michel był wzruszony jej szczerym wyznaniem. Martwił się bardzo sytuacją Mary. Jeśli wróciłyby do rodzinnego domu, musiałaby na powrót wieść beznadziejne życie na farmie pozbawione sensu i widoków na przyszłość. W najlepszym razie mogła liczyć na małżeństwo z jakimś gburowatym chłopem z sąsiedniej wsi. Z drugiej strony, gdyby została w pałacu, naraziłaby się na wielkie niebezpieczeństwo ze strony okrutnego Randolpha. Ale nie tylko to. Uczucie, którym Michel darzył dziewczynę, mogło okazać się dla niej znacznie groźniejsze w skutkach.

Michel kołysał Mary w swych ramionach, gorączkowo poszukując w myślach jakiegoś rozwiązania. Ciepło i zapach ciała dziewczyny kierował jego myśli w całkiem inną stronę. Nachylił się nad nią i bez namysłu pocałował. Przywarła do jego ust tak namiętnie, jakby

tylko czekała na ten gest. Michel czuł, jak wzrasta w nim pożądanie. Drżącymi rękoma zaczął zdejmować z Mary suknię, całować jej nagie ramiona i piersi, chcąc jak najszybciej rozpalić w niej zmysły. Ona, nieprzytomna ze szczęścia, mocno przytuliła się do niego całym swym ciałem.

— Kocham cię, kocham cię — szeptała zdyszana.

Czuła, jak z ogromną siłą przyciska ją do siebie, jak zasypuje pocałunkami, jak niecierpliwie dotyka każdego skrawka jej ciała. Była przerażona i oszołomiona mocą jego pożądania. Instynktownie rozwarła uda i poczuła na sobie słodki ciężar. Spleciona w intymnym uścisku z ukochanym mężczyzną, oddała się odwiecznemu rytuałowi seksualnego wtajemniczenia z niezrozumiałą dla siebie naturalną swobodą.

— Och Michel, nigdy nie myślałam, że to jest tak piękne...!

Nie mogła powstrzymać się od wyrażenia zachwyty, jako że był to najwspanialszy i najszczęśliwszy moment w jej życiu. Przyjdzie czas, kiedy będzie musiała za to zapłacić, ale nie teraz, nie w chwili największego uniesienia. Otworzyła szeroko oczy, kiedy jego sztywne przyrodzenie wdarło się głęboko w jej wnętrze. Twarz Michela była całkiem zmieniona przez błogie szaleństwo, które owładnęło jego zmysłami. Ten widok podniecił Mary tak bardzo, iż nie mogła złapać tchu. Jej duszę zniewoliła równie pożądliva namiętność. W tej pełnej rozkoszy chwili nie myślała o skutkach tego uniesienia. Było to jej całkiem obojętne. Miała tylko jedno pragnienie — żeby ta rozkosz trwała wiecznie.

Michel, wyczerpany miłością, położył się obok Mary. Pozwolił, by oparła głowę o jego silne ramię.

-Najdroższa-uśmiechnął się — jesteś cudowna. Tak bardzo cię kocham.

— Czy robiłeś to z wieloma kobietami?

Jej głos był zupełnie spokojny, jakby dobiegał z oddali. Wydawało się, że Mary odpływa wraz z falą wzburzonych uczuć. Michel spojrzał na nią, by przekonać się, czy żartuje czy też chce sprawić mu przykrość. Ku jego zaskoczeniu na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Nie będę cię okłamywał. Miałem wiele kobiet. Ale to, co się zdarzyło dzisiaj między nami, było wyjątkowe. Z żadną inną kobietą nie czułem tego, co dziś z tobą.

Mary wierzyła mu. Była przekonana, że podobna rozkosz może zdarzyć się tylko raz w życiu.

10.

Rozpusta jest właściwym określeniem jego postępków, Jeffrey! — oświadczyła wyniośle lady Geraldine, widząc zdziwienie na twarzy swego męża. — Obawiam się, że twój syn zrobił dziecko jednej z dziewczyn ze służby.

Ostatnie słowa wypowiedziała z wyraźnym niesmakiem. Czekwała na reakcję męża.

— Co ty powiesz? Nigdy bym nie przypuszczał, że Michel zadaje się z pokojówkami. Którą z nich wybrał?

Sir Jeffrey był wyraźnie rozbawiony poważną i pełną dezaprobaty miną żony.

— Nazywa się Mary Dalton, jeśli chcesz wiedzieć. Jej ojciec pracuje u ciebie jako farmer. Jest wysoka, ma rude włosy i zielone oczy. Pracuje w kuchni i czasami podaje do stołu, kiedy mamy więcej gości i potrzebna jest dodatkowa pomoc. Raczej ładna jak na Irlandkę i wyjątkowo młoda.

— Czy to pewne, że ojcem jest Michel?

— Twój syn raczył oświadczyć, że bierze na siebie całą odpowiedzialność za dziewczynę i że jest w niej zakochany. Czy możesz to sobie wyobrazić?! — w jej głosie pobrzmiewała niechęć granicząca z obrzydzeniem. — Mówi, że chce się z nią ożenić, i chyba nie żartuje. Wiele razy próbowałam uzmysłwić ci, że jego skłonność do zadawania się z plebem doprowadzi w końcu do jakiejś tragedii. I masz ją teraz. Ten problem nie rozwiąże się sam. Michel zachowuje się poniżej wszelkiej krytyki. Jeżeli nie będziemy na niego uważać, narobi nam poważnych kłopotów.

Sir Jeffrey zaczął nerwowo bębnić palcami w blat biurka.

— Lepiej będzie, jeśli porozmawiam z nim osobiście, moja droga. Zgadza się całkowicie, że Michel postąpił karygodnie, ale to już się stało. Nie jesteśmy pierwszą ani ostatnią rodziną, w której podobna rzecz miała miejsce. Mojemu ojcu zdarzyło się to niejedynym razem. Wiesz, jak cholernie płodne są te wiejskie dziewczuchy. Jeśli wszystko załatwi się dyskretnie, nie będzie skandalu.

Nigdy do tej pory sir Jeffrey nie widział swej żony w stanie takiego wzburzenia. Kobiety potrafią być nieznośnie małostkowe w sprawach seksu, pomyślał. Nie miał ochoty przedłużać tej rozmowy.

— Sam to załatwię, Geraldine. To zbyt śliska sprawa. Nie chcę mieszać cię do tych brudów.

Sir Jeffrey ostentacyjnym ruchem nałożył na nos okulary, dając tym samym żonie do zrozumienia, że jest bardzo zajęty i chce zostać sam.

— Z największą przyjemnością pozostawię to tobie. Ostatecznie jesteś ekspertem w tej dziedzinie — odparła lodowatym głosem i zanim sir Jeffrey zdążył cokolwiek odpowiedzieć, wyszła z biblioteki.

Michel Hartington leżał w wysokiej trawie na łące. Przysłaniał ramieniem oczy, by nie raziło go silne słoneczne światło. Był pochłonięty myślami. Postanowił, że zanim nadejdzie zmierzch, przemyśli swą sytuację i znajdzie rozwiązanie. Czuł ucisk w żołądku z niepewności i strachu.

Dziwna rzecz, kiedy po raz pierwszy dowiedział się, że Mary jest w ciąży, poczuł wielką ulgę. Ten nagły zwrot w jego życiu zdawał się zrywać krępujące go więzy i dawać wolną rękę w swobodnym kierowaniu własnym losem.

Tylko spokojnie — upominał w myślach sam siebie. Tylko spokojnie. Trzeba to wszystko dokładnie przemyśleć. Powoli zaczął porządkować rozbiegane myśli. Najważniejsza była jego miłość do Mary — obawiał się jednak, że właśnie to uczucie wywoła największy sprzeciw rodziny. Świadomość, że zostanie ojcem, napełniała go szczęściem. Martwił się jednak, że piętno nielegalnego związku rzuci cień na życie dziecka. Źródła dochodów Michela były znikome. Poza pieniędzmi wuja Neda, które miał odziedziczyć po skończeniu trzydziestu lat, nie miał niczego. Był całkowicie zdany na swoich rodziców.

— Kocham Mary! — wykrzyknął, jakby sam chciał przypomnieć sobie, że ten fakt był dla niego najważniejszy. Roześmiał się głośno. Stojący obok niego rumak, który spokojnie skubał trawę, uniósł do góry łeb i zarżał radośnie.

— Nawarzyłeś sobie piwa, chłopcze. — sir Jeffrey szedł wraz z Michele szeroką aleją w parku wzdłuż szpaleru ogrodowych rzeźb. Dziewięciu ogrodników przez cały rok dbało o ten śliczny zakątek. Ranek był rześki, a powietrze przesiąknięte zapachem róż i rododendronów.

— Nie jesteś pierwszym mężczyzną z naszej sfery, któremu to się przydarzyło, Prawdę mówiąc, kiedy byłem w twoim wieku, miałem taki sam problem. Oczywiście nie można lekceważyć powagi sytuacji, ale moim zdaniem wszystko można jeszcze zatuszować.

Sir Jeffrey chrząknął i rzucił ukradkowe spojrzenie na syna. Jego uporczywe milczenie denerwowało go. W końcu doszedł do wniosku, że jest ono wynikiem zakłopotania i ciągnął dalej.

— Istnieje kilka sposobów rozwiązania całej sprawy. Dziewczyna będzie, oczywiście, musiała opuścić Drumgillan. Myślę, że możemy wesprzeć ją pewną sumą pieniędzy na czas do urodzenia dziecka. Potem pomożemy w wyszukaniu odpowiedniej osoby do jego adopcji.

Myślę, że dziewczyna nie będzie obstawać przy zatrzymaniu dziecka przy sobie, jeśli chce otrzymać gdziekolwiek posadę pokojówki.

Michel z trudem hamował gniew. Twarz poczerwieniała mu z emocji.

Musiał jednak zachować spokój i opanowanie, jeśli chciał, by rozmowa przybrała korzystny dla niego obrót. Nie chciał zrażać sobie ojca, gdyż był on jedynym człowiekiem, który mógł mu pomóc. W przeciwnym razie Mary znalazłaby się na łasce jego matki i swojej własnej rodziny.

— Ojcie, nie mów już więcej, proszę. Musisz najpierw usłyszeć, co czuję. Mam nadzieję, że znajdziesz w swym sercu choć maleńką iskierkę współczucia i wyrozumiałości. Nie lekceważę sytuacji, w jakiej się znalazłem. Wręcz przeciwnie.

Sir Jeffrey przyglądał się uważnie swemu synowi. Czuł dziwny ucisk w gardle. Michel wydał mu się jego wierną repliką z czasów młodości.

— Mary nie jest taka, jak myślisz. To delikatna, kochająca, mądra i szlachetna dziewczyna. Chcę ją poślubić, ojcie.

— Nie możesz nawet o tym myśleć, Michelu! To nie wchodzi w rachubę. Wielu z nas kochało się w irlandzkich dziewczynach, synu, i nikt lepiej nie zna ich zalet jak ja sam. Są pełne życia i żaru, którego brakuje naszym żonom. Wiem, ile szczęścia może dać miłość takiej dziewczyny, wiem bardzo dobrze. — W jego głosie krył się gorzki smutek. — Ale to nie znaczy, że zaraz trzeba się z nimi żenić!

— Czy nie rozumiesz, że ona nosi w łonie twego wnuka?

— Nie bądź melodramatyczny, Michel. Oczywiście, że pragnę mieć wnuka, ale ty chcesz uszczęśliwić mnie wnukiem z nieprawego łoża!

— Kocham Mary, ojcie, przemyślałem to bardzo dokładnie i nie opuszczę jej.

— To bardzo szlachetne, ale i głupie zarazem. W jaki sposób zamierzasz zarabiać na życie? Chyba nie sądzisz, że będziemy was utrzymywać. Masz zaledwie dwadzieścia jeden lat, nie skończyłeś uniwersytetu, nie masz żadnego zawodu. Twój przyjaciele wyśmieją cię i odwrócą się od ciebie. Będziesz napiętnowany. Nie masz wyjścia, musisz podjąć decyzję, którą sam kiedyś byłem zmuszony podjąć. — Z naciskiem wypowiedział ostatnie słowa. Sądził, że w ten sposób najlepiej przekona syna. — Nie dręcz siebie i dziewczyny, czepiając się złudnej nadziei.

Przez chwilę szli w zupełnym milczeniu.

— Co stało się z dziewczyną, którą kochałeś, i z waszym dzieckiem? — spytał nagle Michel.

Sir Jeffrey nie odpowiedział od razu. Założył ręce do tyłu i zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, jak powinna brzmieć jego odpowiedź... a może przez chwilę dał się ponieść wspomnieniom?

— Dziewczyna zmarła wraz z dzieckiem w pewnym przytułku dla samotnych kobiet w Dublinie. Rodzina wysłała mnie za granicę. O ich śmierci dowiedziałem się po powrocie. To było straszne. Czuję się podle. Chłopiec miałby dziś trzydzieści lat.

Michel zbliżył się do ojca i spojrzał mu prosto w oczy. Jego głos był silny i stanowczy.

— Tym bardziej powinno ci zależeć, by zapobiec podobnej tragedii.

— Nie próbuj grać na moich uczuciach, Michel. To małżeństwo nie ma żadnych szans. Jeśli będziesz obstawał przy swoim szalonym pomysłem, to tylko na własne ryzyko. Nie licz na moją pomoc.

Michel stał przez chwilę w milczeniu, jakby wazył w myślach słowa ojca.

— Rozumiem cię — odezwał się wreszcie. — Nie mogę oczekiwać, byś rozwiązał za mnie ten problem. Muszę zrobić to sam.

Sir Jeffrey odetchnął z ulgą.

— Cieszę się, chłopcze, że mnie w końcu zrozumiałeś. Czy mam kazać O'Learemu, by porozmawiał z rodziną dziewczyny?

Michel spojrzał na ojca z politowaniem.

— Obawiam się, że źle mnie zrozumiałeś. Nie oczekuję twojej pomocy i rozumiem dwuznaczność sytuacji, w jakiej się znalazłeś. Nie zmienia to jednak mego postanowienia, że nie opuszczę Maryi naszego dziecka. Zdecydowałem się pójść własną drogą.

Michel mocno uściskał dłoń ojca. Był to gest pełen przebaczenia i zrozumienia syna dla ojca. Michel odwrócił się i poszedł w stronę jeziora.

— Niech mnie diabli! — wymamrotał po nosie sir Jeffrey. Najwyraźniej nie docenił syna. W pewnym sensie nawet czuł dla niego podziw. Stał sam pośrodku parkowej alei i nagle powiedział całkiem głośno.

— Mój Boże, oddałbym wiele, by przed laty mieć tyle odwagi co ten chłopak.

11.

Twarz Christofera Daltona aż posiniała z wściekłości. Walił pięścią w stół z taką siłą, że cały dom trząśł się w posadach.

— Dzięki Bogu, że twoja matka tego nie dożyła! Co za wstyd!

Mary stała oparta o drzwi blada jak kreda, drżąc ze strachu i upokorzenia. Kiedy przyszła na farmę, jej bracia, z wyjątkiem Rory'ego, ostentacyjnie wyszli z domu nie mówiąc ani słowa. Uznali, że Mary popełniła śmiertelny grzech i, co gorsza, ośmieszyła ich w oczach całej wsi. W pubie u O'Shaugnes — si'ego mówiło się już głośno o jej romansie z Michele Hartingtonem.

— Jesteś wstrętną niewdzięczną suką! — wrzeszczał ojciec. — Nie chcę widzieć na oczy tego bękarta! Niech jego lordowska mość sam naprawi to, co spaskudził!

— Sam nie wiesz, co mówisz! — Mary poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Już nie płakała, ogarniał ją gniew. — Chyba nie myślisz...

— Nie ścierpię w swym domu żadnego angielskiego bękarta. Sama jesteś sobie winna. Czy nie przestrzegałem cię, byś nie szła na służbę do pałacu Hartingtonów? Ale ty wolałaś porzucić rodzinę.

— O tak, przestrzegałeś do czasu, kiedy nie znalazłeś sobie innej kobiety do garów i prania twoich brudnych gaci!

Rory wstał ze swego miejsca. Klótnia zaczynała przeradzać się w otwartą wojnę. Mary odziedziczyła po ojcu nie tylko rude włosy, ale i jego nieposkromiony temperament. Kiedy któreś z nich dawało ponieść się nerwom, trudno było przewidzieć, do czego jest zdolne. Rory stanął pomiędzy Mary a ojcem.

— Wynoś się z mego domu i nich cię diabli wezmą! Nie jesteś już moim dzieckiem! — krzyczał ojciec.

— Tym lepiej, nie chcę cię więcej oglądać! — Mary z furią chwyciła chustkę, narzuciła ją na głowę i skierowała się ku drzwiom.

— Nie odchodź, Mary! — błagalnym głosem odezwał się do niej Rory. — On jest zupełnie zaślepiony. Dowiedział się, że ksiądz McKuen mówił o tobie podczas niedzielnej mszy. Znasz przecież niewyparzony język Helen.

Dłoń Mary zatrzymała się na klamce. Odwróciła się i wystraszona spojrzała na brata.

— McKuen mówił o mnie podczas niedzielnej mszy? — zapytała z niedowierzaniem.

— Nie byłem tam, ale słyszałem o tym od wielu ludzi. Nazwał cię nierządnicą i jeszcze gorzej. Ten fałszywie pobożny kołtun powiedział, że rzuci klątwę na każdego, kto spróbuje pomóc tobie lub Michelowi.

— Klątwę? Ale dlaczego?

— Mówił, że chcecie zostać w Drumgillan, a on nie pozwoli, by ktokolwiek z parafii stykał się z kobietą, która żyje w jawnym grzechu.

— Dobry Boże! On chyba oszalał. Nawet jeśli bym została, czy nie jest wystarczającą karą to, że będę miała nieślubne dziecko z mężczyzną, którego kocham i widuję codziennie, a który nie może nic zrobić, aby zmienić naszą beznadziejną sytuację? Czy ten człowiek nie ma serca?

— Jeśli dobrze go znam, to jego serce jest twarde jak skorupa orzecha. Gdyby ją rozłupać, w środku byłaby pusta.

Christofer postąpił krok do przodu, unosząc pięści.

— Nie bluźnij w moim domu, synu. Czy słyszysz?

— Tak, słyszę — z lekceważeniem odparł Rory. — Lepiej byś zrobił próbując swych pięści na głowie tego wyuzdanego wieprza księdza i stanął w obronie własnej córki.

— Całkiem powariowaliście — Christofer z niedowierzaniem pokręcił głową. Bezradnie zwiesił ramiona i wyszedł z pokoju.

— Co zamierzasz, Mary? — To krótkie, proste pytanie całkiem rozładowało jej gniew, ale jednocześnie pozbawiło całej pewności siebie. Starła się nie myśleć o dziecku, które nosiła w łonie. Świadomość macierzyństwa nie była w tej sytuacji pociechą. Poranne mdłości przywróciły jej poczucie rzeczywistości. Ledwie zdołała przyjść o własnych siłach na farmę. Czowała silne bóle i było jej niedobrze. By dodać sobie otuchy, myślała w drodze o Michelu, jego szerokich ramionach, w których czuła się tak bezpieczna.

— A co na to wszystko Michel?

Mary spojrzała na brata. Chciała sprawdzić, czy w jego oczach nie kryje się niechęć wobec młodego Hartingtona, ale znalazła w nich tylko troskę o bezpieczeństwo siostry.

— Powiedział rodzicom, że zamierza ożenić się ze mną. Wywołał tym straszną awanturę. Widzisz, Rory, on nie ma swoich pieniędzy, dlatego musi przekonać ojca, by zechciał nam pomóc.

Rory przytaknął jej bez przekonania. Zbyt często słyszał o podobnych historiach, by teraz mieć jakiegokolwiek złudzenia.

— Czy ufasz mu?

— Ależ naturalnie! — w jej głosie pobrzmiwała nuta naiwnego, dziecinnego oddania. Rory westchnął i pogładził Mary po włosach. Nigdy przedtem tego nie robił. Okazywanie sobie czułości nie leżało w zwyczaju rodziny Daltonów.

— Postanowiłem pojechać do Ameryki, Mary. Jak wiesz, ta podróż od dawna chodziła mi po głowie. Jednak zanim wyjadę, muszę być pewny, że jesteś bezpieczna. Zostanę z tobą, jeśli miałyby się okazać, że Michel zostawi cię na łasce losu. Będiesz wówczas potrzebować wsparcia... zwłaszcza gdy ksiądz zacznie zbyt natarczywie ciebie atakować.

— Dlaczego miałyby to robić? Przecież niczego mu nie zrobiłam.

— To proste. Ksiądz chce w ten sposób pozyskać swoich parafian. Nic tak nie wspiera pozycji kapłana jak „nieustępliwa walka z szatanem”, prawda? Przedstawiając im w taki sposób karę, jaka może ich samych spotkać, wzbudza lęk, szacunek i podziw. Z drugiej strony może liczyć na sympatię lady Geraldine i Randolfa, którzy najchętniej pozbyliby się Michela, umieszczając go daleko od Drumgillan w jakimś regimencie. Spójrz prawdzie w oczy, Mary. Twoja przeszłość nie wygląda różowo.

— Rory, nawet jeśli masz rację, nie zmienisz tego, że jestem w piątym miesiącu ciąży. Muszę zebrać siły, które pozwolą mi przetrwać kolejne cztery miesiące. Chcieli wysłać mnie do Dublina i umieścić w jednym z tych okropnych przytułków dla samotnych matek, ale Michel się sprzeciwił. Myślę, że on coś wymyśli.

— Mary, Mary! Dlaczego to zrobiłaś? Czy nie pomyślałaś o następstwach tak szalonego związku?

Spojrzała na brata, jakby przez chwilę rozważała, czy zrozumie ją, jeśli wyzna mu całą prawdę.

— Czy nigdy nie pragnęłaś znaleźć się w ramionach ukochanej osoby?

Rory uśmiechnął się niezbyt szczerze i ze smutkiem pokiwał głową.

— Ach Mary, oczywiście, że tak, ale dla mężczyzn te sprawy nie są aż tak skomplikowane. Nie muszą płacić tak wysokiej ceny za chwilę zapomnienia. Chodź, Mary, odprowadzę cię do pałacu. Lepiej, żebyś nie pokazywała się teraz sama.

Wystraszona i zagubiona dziewczyna wsparła się na silnym ramieniu brata. Tego dnia po raz ostatni przekroczyła progi swego rodzinnego domu. Już nigdy więcej nie miała go zobaczyć.

— Ojciec — głos Michela przerwał panującą w bibliotece ciszę. — Czy mogę zamienić z tobą kilka słów? Dokładnie przemyślałem naszą ostatnią rozmowę i chciałbym, żebyś mnie wysłuchał.

— Ależ wchodź, chłopcze. Ostatnie dni mnie również dały dużo do myślenia. Usiądź koło mnie.

Sir Jeffrey ogrzewał stare kości przy kominku, siedząc w wygodnym, głębokim fotelu.

— Ojczy, chciałbym być z tobą całkiem szczery. Wydaje mi się, że znalazłem wyjście dla mnie i Mary. Nie przerywaj mi, po prostu daj mi powiedzieć.

— Nie mogę ci w niczym pomóc, Michel.

— Tylko wysłuchaj mnie, a potem dobrze przemyśl moją propozycję. Jesteś uczciwym człowiekiem, dlatego zdaję się na twój osąd.

Sir Jeffrey skinął głową.

— Nie oszukujmy się. Moja sytuacja i tak nie jest dobra. Jako twój drugi syn nie mam żadnych praw do majątku. Randolph odziedziczy po tobie wszystko i, jak znam jego charakter, nie podzieli się ze mną nawet częścią spadku. Za kilka lat i tak będę musiał opuścić Drumgillan.

Sir Jeffrey słuchał z uwagą słów syna. Podobała mu się jego szczerość.

— Kiedy skończę trzydzieści lat — kontynuował Michel — odziedziczę niewielką sumę pieniędzy po wuju Nedzie.

— Jest tak mała, że trudno będzie z niej wyżyć — przerwał mu ojciec.

— Nie szkodzi, za to jest wystarczająco duża, by dzięki niej coś zacząć. — Michel przerwał, by zaczerpnąć powietrza w płuca. — Chcę, by Mary została do tego czasu w Drumgillan... Bez trudu znajdziemy dla niej i dziecka jakiś domek. Nie będę pierwszym z Hartingtonów, który utrzymuje kochankę, to chyba przyznasz? To prawda, że nie mam pieniędzy, ale mogę je zarobić... na przykład, przygotowując twoje konie do wyścigów. Wiesz, że znam się na tym, mam to we krwi. Wspólnymi siłami możemy stworzyć najlepszą stadninę w Irlandii. Wystarczy, że w zamian zaopiekujesz się Mary i naszym dzieckiem.

Sir Jeffrey badawczo przyglądał się młodszemu synowi z nie skrywanym podziwem dla jego inwencji. Nigdy by nie przypuszczał, że Michel będzie umiał tak zręcznie wykaraskać się z podobnej opresji. Przy realizacji tego planu największe trudności będzie piętrzyć Geraldine, ale przy odrobinie szczęścia może uda się zamydlić jej oczy, myślał.

— Kiedy skończę trzydzieści lat, wezmę pieniądze wuja Neda i opuszczę z Mary i dzieckiem Drumgillan. Randolph będzie zachwycony, kiedy pozbędzie się mnie raz na zawsze. Sądzę, że również matka nie będzie nieszczęśliwa, jeśli uwolni się od swego wyrodnego syna. Jak widzisz, każdy coś na tym zyska. Ty, ojczy, zatrzymasz swoje konie, Randolph, wolny od młodszego rywala, da ci prawowitą synową i wnuki. Matka odzyska spokój ducha, a ja będę miał Mary.

Sir Jeffrey zagłębił się w swym fotelu i rozważał długo propozycję syna. Potem roześmiał się głośno i serdecznie poklepał Michela po ramieniu.

— Nie spodziewałem się, Michel, że porwiesz się na rzecz tak szaloną. — Sir Jeffrey był w głębi duszy przekonany. Postanowił pomóc synowi, oczywiście pod warunkiem, że cała historia jemu samemu nie przyniesie szkody. Poczul głęboką ulgę. Odpowiadało mu rozwiązanie, na które zdecydował się Michel. Sir Jeffrey nigdy nie należał do ludzi pomyślowych, dlatego zawsze podziwiał u innych spryt i zaradność. Ostatecznie każdy młody człowiek musi się wyszumieć. Fascynacja nie będzie trwać wiecznie, a wtedy przyjdzie kolej na normalne przyzwoite małżeństwo.

— A więc rozważysz to?

— Nie mówię „tak”, ale zastanowię się. Twoja propozycja wydaje mi się rozsądna, poza tym ma tę zaletę, że rzeczywiście każdy z nas coś na niej zyskuje.

Kiedy Michel opuścił bibliotekę, sir Jeffrey zatarł z zadowoleniem ręce i zachichotał. Pomysł Michela wydał mu się diabelską sztuczką.

— Kategorycznie sprzeciwiam się, Jeffrey! Po prostu nie zgadzam się! — Myśl, że Mary miałyby zostać w Drumgillan, wyprowadzała lady Geraldine z równowagi.

— Wydaje mi się, że ten cały incydent zaczyna rozstrajać ci nerwy. Utwierdza mnie to tylko w przekonaniu, że powinnaś całą sprawę pozostawić mnie.

— Tobie? Doprawdy! Najpierw robisz kardynalne głupstwa, godząc się na pomysły Michela, a teraz wymagasz, bym na wszystko przymknęła oczy.

— Zapominasz się, Geraldine. Jestem twoim mężem i chociaż rozumiem i podzielam twoje obawy, to nie pozwolę, by traktowano mnie jak chłopca na posyłki — na jego twarzy malował się wyraz najwyższej irytacji. Nie spodziewał się, że Geraldine może być uparta do tego stopnia, by zapominać o należnym jego osobie szacunku.

Geraldine Montrose Hartington obrzuciła swego męża niechętnym spojrzeniem. Nie doceniała jego stanowczości.

— Masz zupełną rację, Jeffrey. Wybacz mi moje zachowanie. Ale rozumiesz chyba, w jak niezręcznej znalazłam się sytuacji.

— Oczywiście, moja droga — głos sir Jeffreya wyraźnie złagodniał.

— Mam nadzieję, że nie posuniesz się za daleko i nie pozwolisz na małżeństwo Michela z tą dziewczką?

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę, Geraldine. Przez jakiś czas chłopak będzie pochłonięty zabawą w miłość. Nie należy mu w tym przeszkadzać. Sam byłem kiedyś młody i wiem, co mówię. Lepiej, byśmy nie naciskali na niego. Może wtedy poczuć się zagrożony i

zrobić jakieś głupstwo. — Przerwał na chwilę. — Mógłby zmienić wiarę i ożenić się bez naszej zgody... Albo zaciągnąć długi i ulotnić się z pieniędzmi i dziewczyną. Znasz przecież jego porywczy charakter.

— Nie mogę pogodzić się z faktem, że ulegasz szantażowi własnego syna, Jeffrey.

— Całkiem przeciwnie. Po prostu nie próbuję przebijać głową muru. Ten związek nie będzie trwał długo, możesz być pewna. Michel jest zbyt młody, by czekać cierpliwie, aż jakaś wiejska madonna urodzi mu bękarta.

— Dlaczego po prostu nie wyślemy go gdzieś daleko i w tym czasie nie pozbedziemy się po cichu dziewczyny?

Sir Jeffrey spojrzał badawczo na żonę. Podziwiał jej zimną krew i wyrachowanie. Zastanawiał się jednak, czy zachowałyby się podobnie, gdyby chodziło o Randolfa.

— Inaczej byś mówiła, gdyby chodziło o Randolfa — powiedział głośno.

— Co masz na myśli?

— To, że twój ukochany syn potrafi być prawdziwą kanalią, jeśli chodzi o kobiety, i nie mam żadnych wątpliwości, że nie wstawiłby się za żadną z nich, jak to zrobił Michel.

— Przestań obrażać mojego syna!

— Geraldine, na ogół staram się ci ulegać. Nie lubię kłótni. Przyznasz jednak, że zawsze traktowałaś Michela po macoszemu, podczas gdy Randolfa rozpieszczałaś. Dlatego wyrósł w końcu na zarozumiałego egoistę. Nasi synowie nie są już dziećmi, to mężczyźni. Najwyższy czas, żebym to ja zajął się ich sprawami.

Lady Geraldine patrzyła na męża rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma. Przez całe małżeństwo uważała go za głupca, którym można manipulować. Fakt, że tak nieoczekiwanie zdobył się na odwagę i sprzeciwił jej woli, był dla niej niepojęty. Nie przypuszczała, że jest do tego zdolny.

— Będziesz jeszcze żałował swojej decyzji, Jeffrey. Życie pokaże, że to ja miałam rację.

— Możliwe, Geraldine, choć na twoim miejscu nie cieszyłbym się z tego. Geraldine Hartington cała trzęsła się ze złości. Czuła, że znalazła się w potrzasku. Nie mogła niczego zrobić, tylko czekać. Gra nie była bowiem jeszcze skończona.

12.

Mary była w szóstym miesiącu ciąży. Właśnie przeniosła się do niewielkiej chatki, w której spędziła z Michelelem najśłodsze chwile swojego życia. Teraz miała być dla niej schronieniem aż do nadejścia lepszych czasów. Na szczęście stan, w którym się znajdowała, nie był jeszcze aż tak poważny, by nie mogła wykonać niezbędnych prac w nowym domu. Zwisające z sufitu pajęczyny, kurz i panująca w pomieszczeniach przejmująca wilgoć — wszystko to tworzyło dość deprymującą atmosferę. Jednak wspomnienie pełnych uniesienia chwil, które spędziła tu z Michelelem, pozwalało zapomnieć o przykrym otoczeniu. Mój Boże, myślała Mary, ile czasu minęło, odkąd kochali się tu po raz pierwszy, prawie cała wieczność.

— Michel, Michel — powtarzała na głos jego imię. — Jak przetrwamy tę ciężką próbę?

Poczuła się nagle przerażająco samotna i opuszczona. Michel obiecał, że przyjdzie tak szybko, jak tylko będzie mógł. Boże, nie pozwól, bym czekała zbyt długo — błagała w myślach.

Zwycięstwo, które razem odnieśli, było chwilowe. Przyszłość wciąż rysowała się niejasno. Już samo to, iż musieli oddzielnie spędzać długie noce, wydawało się nieludzką karą. Mary nigdy przedtem nie była zdana całkowicie na samą siebie. Teraz musi sama stawić czoło wszystkim przeciwnościom losu.

Usiadła w starym, zniszczonym fotelu bujanym i pogрузzyła się w smutnych rozmyśleniach.

Ostatecznie mogła skończyć gorzej, na przykład w którymś z tych przytułków dla samotnych kobiet w Dublinie. Już wkrótce przyjdzie do niej Michel i nie będzie czuć się tak bardzo samotna — pocieszała się. A jednak coś nie dawało jej spokoju. Jestem zaniedbana, myślała, nie wyglądam dobrze. Co będzie, jeśli przestanę się podobać Michelowi i nie będzie mnie kochać? Nie, nie! To niemożliwe, nie powinnam tak o nim myśleć. Jest przecież dobry i bardzo mnie kocha. Przetrwaliśmy razem pierwsze burze i teraz już nikt nie zdoła nas rozłączyć... Ale co mogę mu zaofiarować w zamian. Nie mam pieniędzy, wykształcenia ani nawet ładnych strojów...

Ogarniały ją coraz czarniejsze myśli. W końcu wstała, związała włosy w tyle głowy i zajęła się sprzątaniami. Nie chciała zadręczać się bez końca. Otworzyła szeroko okna i drzwi, oczyściła kominek i rozpałała w nim ogień. W myślach układała listę rzeczy, które będą niezbędne do prowadzenia skromnego gospodarstwa. Przede wszystkim więc garnki do gotowania. Łyżki, widelce i nóż do krojenia. Miała już krzesła i stół, wprawdzie w opłakanym stanie, ale Rory, który znał się na stolarce, na pewno doprowadzi je do porządku. Potrzebna

będzie także kołyska dla dziecka. Ta myśl sprawiła jej dziwną radość. Świadomość, że jest panią we własnym domu, nawet jeśli nie ma w nim mebli, a ściany świecą pustkami, pobudziła jej macierzyńskie uczucia. Było jej raźniej. Te proste domowe czynności uspokoiły ją. Z podręcznej torby wyjęła mały imbryk do herbaty — prezent od Rory'ego „na nową drogę życia”, jak się wyraził. Postawiła go na stole.

— Tak, Rory — powiedziała do siebie. — Od dzisiaj zaczyna się nowe życie.

Pod koniec miesiąca dziecko zaczęło dawać pierwsze oznaki swego istnienia — ruszało się w łonie matki i kopało. Mary z utęsknieniem śledziła jego ruchy, delikatnie dotykając dłońmi brzucha. Na początku obecność dziecka odczuwała rzadko i słabo. Z czasem kopnięcia nasiliły się i zwielokrotniły. W ten sposób dziecko przypominało matce o swojej obecności i Mary nie czuła się już tak bardzo samotna.

Czasami wracała myślami do pierwszych miesięcy ciąży. Minęły już nudności i bóle, które tak bardzo dokuczały jej na samym początku. Teraz czekała już tylko na rozwiązanie. W jej życiu miał pojawić się nowy człowiek, tak samo ważny jak Michel.

Michel i Rory siedzieli razem na stogu siana na tyłach kuźni. Pan i służący

— obaj z niechęcią zawarli ze sobą znajomość. Kiedy jednak Michel zorientował się, jak bardzo Rory kocha swoją siostrę i że ma na względzie jedynie jej dobro, przekonał się do niego. Nie byli jednak przyjaciółmi. Dzielił ich zbyt wielki dystans.

— Jak czuje się Mary, Michel? — spytał młody kowal. Właśnie czytał książkę, kiedy pojawił się młody Hartington. Akurat miał kwadrans odpoczynku w pracy. Rory na prośbę Mary przełamał w końcu opory i przestał tytułować Michela „jego lordowska mość”.

— Na razie wszystko w porządku. Martwię się jednak, co będzie dalej. Robiłem wstępne rozeznanie. Akuszerka ze wsi nie przyjdzie do Mary. Chciałem sprowadzić lekarza, najlepiej doktora Franka z miasteczka, ale ona się nie zgadza.

— No tak — Rory pokiwał ze zrozumieniem głową. — Kobiety są trochę dziwne. Z drugiej strony nie dziw się, że chce mieć przy porodzie akuszerkę. Kobieta zawsze lepiej zrozumie kobietę.

— Z pewnością! — odparł Michel. — A kiedy ty, Rory, zamierzasz wyjechać do Ameryki?

— Myślę, że zostanę aż do narodzin dziecka. Nie podoba mi się zachowanie księdza McKuena. Podburza przeciw wam ludzi. Z tego nie wyniknie nic dobrego.

Michel był zaskoczony, z jak wielką powagą Rory traktował groźby księdza.

— Nie myślisz chyba, że może dojść do przemocy?

— Mam taką nadzieję, ale nigdy nic nie wiadomo. Tłum, który wierzy, iż wykonuje wolę Bożą, może być nieobliczalny, pomyśl tylko!

Michel uśmiechnął się i poklepał Rory'ego po plecach.

— Jesteś równy chłop. Będę twoim dłużnikiem.

— Wiesz przecież, że chodzi mi tylko o dobro Mary. Ona jest bardzo w tobie zakochana. Gdyby trzeba było, stanęłaby do walki z samym Lucyferem i jego armią w obronie ciebie i waszego dziecka.

— Ja też bardzo ją kocham, Rory — odparł Michel.

Rory spojrział na niego z szacunkiem.

— Dziwna z was para, jeśli mam być szczery. — Podniósł się, wytarł ręce w fartuch i przeciągnął się.

— Może powinienem jeszcze w tym tygodniu porozmawiać z panią O'Fla — herty. Ona też jest akuszerką. To bardzo miła kobieta, Michel, myślę, że będzie chciała wam pomóc.

Młody Hartington serdecznie uściskał Rory'ego.

13.

Jak się czujesz, kochanie? — Michel głaskał czule blade, smukłe ramię Mary. Leżeli razem na łóżku.

— Nie martw się, Michel — próbowała go pocieszyć. — Wytrzymam jeszcze trochę. Czy rozmawiałeś już z panią O'Flaherty? Myślisz, że zgodzi się?

— To dzielna kobieta, ale nie zapominaj, że ma przeciwko sobie opinię całej wioski, fanatyzm księdza i niechęć własnego męża. Niełatwo jest przeciwstawić się takiej presji. Dlatego moim zdaniem powinniśmy posłać po doktora Franka. To dobry człowiek i protestant. Nie będzie miał obiekcji, by przyjąć poród.

Ścisnęła mocniej jego rękę. Poczuła silny ból. Nagle przypomniała sobie matkę, która umarła przy porodzie. Obraz jej powolnej agonii, który nosiła stale w pamięci, mieszał się z jej własnym fizycznym cierpieniem.

— Nie chcę umierać, Michel. To straszna śmierć — wyszeptała ze strachem.

Michel przytulił ją delikatnie do siebie, jakby obawiał się, że może zrobić

jej jakąś krzywdę. Przeklinał w duchu swoją rodzinę i wszystkich przyjaciół. Zadufani egoiści zamknięci w swoich pałacach.

— Nie pozwolę, byś umarła, Mary! Będę przy tobie cały czas.

To popołudnie zdawało się nie mieć końca. Mary dręczyły coraz silniejsze bóle. Ciało było spocone i wymęczone. Wstrząsały nią dreszcze. Dziewczyna wyglądała tak, jakby za moment miała stracić przytomność.

— Nie mogę dłużej czekać, Mary. — Michel podjął wreszcie decyzję. Powoli zapadał zmierzch. Stan Mary zaczynał się niebezpiecznie pogarszać. — Muszę pojechać po doktora.

— Nie! — krzyknęła.

Jej głos w niczym nie przypominał tego melodyjnego tonu, który tak bardzo kochał. Mary z trudem zdołała unieść się z łóżka, by powstrzymać Michela.

— Nie chcę lekarza, chcę pani O'Flaherty. Potrzebuję kobiety, Michel — wyszeptała i wyczerpana opadła z powrotem na łóżko.

Scanlon, ulubiony ogier Michela, mknął galopem przez podmokłe łąki i bagna, popędzany przez swego pana. W głębi duszy Michel nie wierzył, by pani O'Flaherty zgodziła się przyjąć poród. Presja katolickiej gminy była zbyt wielka. Kiedy Rory kilka dni temu spytał panią O'Flaherty wprost, czy pomoże Mary, niczego mu nie odpowiedziała.

Zeskoczył z siodła, przywiązał Scanlona do płotu na podwórzu i zastukał do drzwi chałupy. Otworzył mu mężczyzna około pięćdziesiątki. Stał w otwartych drzwiach, całkiem blokując wejście.

— Nazywam się Michel Hartington. Chciałbym natychmiast zobaczyć się z panią O’Flaherty.

— Wiem, kim jesteś — odparł mężczyzna z niechęcią w głosie. — Moja żona nie życzy sobie widzieć ani ciebie, ani twojej kobiety.

— Edmon! — z głębi domu dobiegł ich kobiecy głos. — Pozwól mu wejść, nie powiedziałam przecież, że nie pójdę do dziewczyny.

Michel spojrzał na mężczyznę, odepchnął go na bok i wszedł do środka.

— Pani O’Flaherty! Moja Mary potrzebuje pomocy. Bardzo cierpi. Nie chce jednak zgodzić się na lekarza. Mówi tylko o pani. Rozumiem, że jest pani w ciężkiej sytuacji, ale na Boga, ona tam cierpi, może już rodzi!

Przerażenie, które malowało się na jego twarzy, tak charakterystyczne dla każdego mężczyzny oczekującego narodzin swego dziecka, wzruszyło kobietę. Kiwnęła głowę na znak, że się zgadza. Nie powiedziała ani słowa. W milczeniu zaczęła pakować niezbędne rzeczy.

— Nie przyłożysz ręki do tej rozpusty! — nieprzyjazny głos zagrzmiął z korytarza. Do pokoju wszedł młody ksiądz o ascetycznym wyglądzie, a za nim grupka ciekawskich sąsiadów. Michel był całkiem zbity z tropu. Jakim sposobem dowiedzieli się o jego przyjeździe? Prawdopodobnie głośne rżenie Scanlona, który przywiązany do płotu niecierpliwie wyczekiwał swego pana, musiało zwrócić uwagę sąsiadów. Przypomniał sobie słowa Rory’ego, który ostrzegał go przed fanatyczną agresją mieszkańców wsi. Nie chcieli pogodzić się z faktem, że w ich parafii miało urodzić się nieślubne dziecko. Pani O’Flaherty spojrzała tylko przelotnie na księdza. Całkiem zignorowała jego obecność i spokojnie pakowała dalej podręczną torbę. Kiedy skończyła, zwróciła się do niego stanowczym głosem:

— Ojcze, myślę, że nie powinieneś mieszać się do ziemskich spraw. Nie masz prawa osądzać tych dwojga młodych ludzi.

Przez tłum przebiegł niechętny szept. Pani O’Flaherty dodała szybko:

— Znam Mary od dziecka. Nie ma biedaczka matki, która mogłaby jej pomóc. Ktoś musi przecież wyciągnąć do niej pomocną dłoń. Błagam cię, ojcze. Nie komplikuj tej sprawy jeszcze bardziej.

— Grzech, moja córko, jest straszliwym występkiem — wycodził przez zęby. — Dziewczyna, o której mówisz, żyje w jawnym grzechu z tym młodym człowiekiem na

oczach wszystkich parafian. Została wyklęta przez nasz kościół. Jeśli pójdziesz do niej, ryzykujesz gniew Boży.

Pani O'Flaherty spuściła głowę. Milczała przez moment, jakby zastanawiała się nad najwłaściwszą odpowiedzią. W końcu odezwała się karcącym tonem, jakim matki zwykły upominać swe niegrzeczne dzieci.

— Bóg ma inne sprawy na głowie, niż karać ludzi swoim gniewem, ojcze.

W izbie rozległ się pełen niezadowolenia pomruk. Po raz pierwszy ktoś jawnie przeciwstawił się księdzu. McKuen nie miał wyjścia, musiał ratować swój autorytet. Nie mógł dopuścić, by ta kobieta bezkarnie naigrawała się z jego dostojeństwa na oczach innych ludzi.

— Jeśli przekroczysz ten próg, nigdy więcej nie postawisz nogi w moim kościele!

Tłum, który czekał w milczeniu za drzwiami, przysłuchiwał się uważnie całej rozmowie. Nikt z nich nie zaryzykowałby, by stanąć w obronie pani O'Flaherty. Kościół parafialny był dla nich ostatnią instancją i najwyższym autorytetem.

Państwo O'Flaherty wymienili pełne obaw spojrzenia. Groźba, która zawisała nad nimi, mogła mieć bardzo poważne konsekwencje. Pan O'Flaherty podszedł do księdza.

— Ojcze, czy nie wydaje ci się, że zbyt emocjonalnie traktujesz całą sprawę. Moja żona ma dobre serce i to wszystko. Chce pomóc kobiecie, która znajduje się w potrzebie. Czy w imię dobroci i miłosierdzia bożego, nie możesz tego zaakceptować?

Ksiądz zignorował jego prośbę. Z pogardą odtrącił mężczyznę i zwrócił się do jego żony pełnymi żarliwego fanatyzmu słowami:

— Nie opuścisz tego domu i nie pomożesz grzesznicy! — wykrzyknął histerycznym głosem.

Pani O'Flaherty przymknęła oczy. Miała twarz skupioną jak podczas modlitwy. Wyciągnęła dłoń i z namaszczeniem dotknęła trzymanego przez księdza krucyfiks. Po chwili odezwała się spokojnym, zrównoważonym głosem.

— To przykre, że stawiasz mnie przed takim wyborem. Po wszystkim, co zostało tu powiedziane, postanowiłam pójść za głosem sumienia... A teraz przepuść mnie.

— Nie pozwolę, byś przyłożyła ręki do dzieła Szatana!

— Trzy lata temu, ojcze McKuen, widziałam, jak umierała matka Mary. Nie dopuszczę, by ten sam los spotkał teraz dziewczynę.

— Niech rodzi w bólach i cierpieniach. To dziecko jest owocem grzechu.

Pani O'Flaherty uśmiechnęła się smutno.

— To dość dziwny sposób rozumienia sprawiedliwości. Każda kobieta rodzi w bólach swoje dzieci, bez względu na to, czy zostały poczęte w grzechu czy nie.

— Zapominasz się, córko. Wszystko leży w rękach Boga!

Kobieta spojrzała wyniośle na księdza. Przez trzydzieści lat widziała cierpienia rodzących kobiet, które nadaremnie wzywały boskiej pomocy.

— W takim razie dziś jego wolą jest pomóc Mary moimi rękoma. A teraz, na miłość boską, zejź mi z drogi!

Podniosła z ziemi podręczną torbę i ruszyła ku wyjściu. Ksiądz wyciągnął rękę, by powstrzymać ją. Michel, który przyglądał się całej scenie jak osłupiały, nagle postanowił zadziałać. Ku jego zdziwieniu, zanim zdołał ruszyć się z miejsca, silna dłoń pana O'Flaherty pochwyciła księdza.

— Nie pochwalam mojej żony, ojcze, ale nie pozwolę, by ktokolwiek zrobił jej krzywdę w moim własnym domu. Lepiej będzie, jeśli ksiądz sobie teraz pójdzie.

Pani O'Flaherty w milczeniu spojrzała na męża z wyrazem wdzięczności w oczach. Michel dostrzegł łzy na jej policzkach. Wzięła pod ramię młodego Hartingtona i ruszyli razem w stronę drzwi, idąc pomiędzy milczącym nieprzychylnym tłumem. Kiedy wyszli z domu, Michel pomógł usadowić się pani O'Flaherty w bryczce, która czekała przed furką. Sam wsiadł na Scanlona i pojechali w stronę Drumgillan.

Dokładnie osiem godzin i siedemnaście minut później Tom Michel Hartington głośnym płaczem oznajmił swoje przybycie na świat.

Duszpasterska kariera księdza McKuen w Drumgillan szybko dobiegła końca. Zagorzały fanatyzm i bezwzględność szybko zwróciły uwagę jego przełożonych. Uznali, że młody ksiądz, który z takim oddaniem walczy o moralną czystość swoich parafian, może bardziej przysłużyć się kościołowi na innym polu. I tak po dziewięciu długich i monotonnaych latach spędzonych w zapadłym miasteczku ojciec McKuen miał opuścić Drumgillan.

Młody ksiądz stał pośrodku plebanii kościoła św. Bonifacego i delikatnie dotykał palcami miękkiego materiału sutanny, którą zamierzał założyć na pożegnalną kolację. Sutanna była własnoręcznie uszyta przez parafianki i wręczona księdzu jako prezent. McKuen zawsze czuł awersję do brudu i nieporządku. Zwalczał je z równą zaciekłością co szerzący się wszędzie występki i grzechy. Świadomość, że awans, który otrzymał, wiązał się również z lepszymi warunkami życia, mile łechtała jego próżność. Oczywiście nigdy nie skarżył się na głos, że tyle lat musiał zajmować się biedną i zapomnianą przez wszystkich parafią św. Bonifacego. Traktował to jako próbę, przed którą postawił go Bóg. Nie potrafił jednak opanować dziecinnej radości na myśl, że wydestanie się w końcu z tej zatęchłej prowincji.

Odgłos skrzypiących kół nadjeżdżającej bryczki wyrwał go z błogich rozmyślań. Było już dawno po trzeciej. Przed plebanię zajechał właśnie ojciec Josef O'Halon, który miał zastąpić McKuena.

Ojciec O'Halon był całkowitym przeciwieństwem swego poprzednika. Był starszym, trochę nieśmiałym człowiekiem, głęboko wrażliwym na każdy przejaw biedy i niesprawiedliwości. Wcześniej przekonał się, że w życiu człowieka nie ma doskonalszych dowodów wiary niż wspólne okazywanie sobie dobroci i miłosierdzia. Roztaczał opiekę nad każdym zagubionym dziecięciem bożym, jakie napotkał na swej drodze. Z wyrozumiałością podchodził do ludzkich słabości i grzechu. Przez lata z powodzeniem krzewił święte słowa Ewangelii. Prości ludzie uważali go za anioła, zaś biskupi nie śmieli podważać autorytetu tak popularnego księdza.

Ojciec O'Halon z trudem wygrzebał się z bryczki, nerwowo poprawiając fałdy swej wyświechtanej sutanny. Za każdym razem, gdy stawał przed wyborem, czy kupić nową czy też przeznaczyć kilka funtów na jakiś zbożny cel, decydował się na to drugie. A ponieważ na tym świecie pełno jest potrzebujących wsparcia zabłąkanych duszyczek, ubranie księdza znajdowało się w opłakanym stanie.

Ojciec McKuen powitał swego następcę z dużą rezerwą. W jego przekonaniu ksiądz, który został przysłany do tak zapadłej parafii, nie mógł cieszyć się zbyt wielką sympatią swoich przełożonych.

— Ojciec McKuen — przedstawił się.

— Ojciec Josef O'Halon, do usług — starszy mężczyzna mocno uściśnął delikatną dłoń księdza. — Macie tu piękną parafię, ojcze, pełną zielonych łąk i żyznych pól. Cieszę się, że zdołaliśmy się jeszcze spotkać. Chciałem dowiedzieć się czegoś o mojej nowej trzódce. Zawsze to lepiej wiedzieć wcześniej o tych, co potrzebują pomocy.

Na twarzy starszego mężczyzny malował się niewzruszony spokój i pogoda ducha. Ojciec McKuen spojrział na swego następcę z wyraźną niechęcią. Nie miał najmniejszej ochoty ostatniego dnia swego pobytu w Drumgillan tracić czasu na omawianiu problemów swoich byłych parafian.

— Rozumiem, ojcze, ale doprawdy, czy musimy koniecznie o tym rozmawiać? Jest to całkiem zwykła parafia, jaką można spotkać w każdym miejscu Irlandii...

O'Halon uśmiechnął się, dosłyszał bowiem w głosie młodego księdza nutę lekceważenia.

— Mamy tutaj pewien specyficzny problem, o którym powinien ksiądz jednak wiedzieć.

— Tak? A o co chodzi, ojcze? — spytał O'Halon.

McKuen odniósł wrażenie, że ostatnie słowo O'Halon wypowiedział z ironicznym odzieniem w głosie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie było to jedynie złudzenie, po czym chrząknął i powiedział:

— Młodszy syn jego lordowskiej mości, Michel, przysporzył nam wielkiego problemu kilka lat temu. Związał się z jedną z wiejskich dziewczyn, która urodziła mu dziecko. Ale jakby nie dość tego, zamiast odesłać ją gdziekolwiek, zdołał namówić rodzinę, by dziewczyna pozostała w Drumgillan.

— Doprawdy? — spytał ojciec O'Halon z nie ukrywanym zainteresowaniem. — To rzeczywiście wyjątkowa historia.

— Nie tylko wyjątkowa, ale przerażająco bezwstydna. Dziewczyna żyje z synem lorda w jawnym grzechu... to znaczy, on mieszka naturalnie ze swoimi rodzicami, ale większość czasu spędza z tamtą kobietą.

— Jak ojciec zareagował na tę „bezwstydną historię”?

— Oczywiście napiętnowałem dziewczynę i jej kochanka w obecności parafian i w imieniu Najświętszej Pani. Przestrzegłem też wszystkich, że każdy, kto spróbuje im pomóc, zostanie potępiony.

— Zachował się ksiądz bardzo wielkodusznie.

McKuen spojrział na starszego mężczyznę surowym wzrokiem. Tym razem jego ironia była oczywista.

— Istotnie. I mam nadzieję, że ksiądz postąpi dokładnie tak samo. Nie chcę, by tutejsi parafianie musieli znosić tak jawnie uprawiany nierząd.

Ojciec O'Halon uśmiechnął się smutno. Zrozumiał, że ma do czynienia z pełną nietolerancją gorliwości, charakterystyczną dla większości młodych księży.

— Moje doświadczenie mówi, że kobiety stają się bardziej cnotliwe z wiekiem, przy czym prawdziwa moralność nie polega na tym, by patrzeć na ręce innym ludziom, lecz na surowej ocenie własnych postępów.

McKuen zaczął się niecierpliwić.

— Ostatecznie to już nie jest moja sprawa — powiedział — i niech ksiądz robi, co uważa za stosowne.

Po tych niegrzecznych słowach odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Lord Jeffrey już dawno zaniechał prób rozdzielenia Michela od jego wiejskiej kochanki. Zrobił wszystko, co mógł, ale opór syna był zbyt wielki. Z czasem życie Mary i Michela unormowało się. Tom, pozbawiony towarzystwa rówieśników — mieszkańcy wsi w dalszym ciągu unikali kontaktów z Mary i jej dzieckiem — większość swego czasu spędzał z ojcem. Najczęściej przebywali w stajni. Tom spotkał tam kilka razy swojego dziadka, jednak duma nie pozwoliła Michelowi przedstawić syna sir Jeffreyowi.

Mary dbała o swoje niewielkie gospodarstwo. Czasami dokuczała jej samotność. Coraz częściej odczuwała potrzebę kobiecego towarzystwa. Nieustannie marzyła o lepszej przyszłości i planowała wspólną ucieczkę z Drumgillan. Choć przyszłość wydawała się niejasna, to jednak jej obecna sytuacja nie była beznadziejna. Miała przecież Michela i Toma. Świadomość tego pomagała jej znosić samotność. Czowała się względnie szczęśliwa.

Rozważali możliwość wyjazdu, zanim jeszcze Michel otrzyma w spadku pieniądze po wuju Nedzie. Ponieważ jednak zdawali sobie sprawę, że ten spadek jest ich jedynym zabezpieczeniem na przyszłość, postanowili zaczekać, aż Michel skończy trzydzieści lat.

Michel starał się zapoznać Toma z normalnymi męskimi sprawami. Często opowiadał mu też o Drumgillan, zupełnie tak, jakby pewnego dnia Tom miał zamieszkać w pałacu swoich dziadków. „Chłopak nie powinien wstydzić się swego pochodzenia. Winien być z niego dumny!” — często mawiał do Mary.

Nie uważała, żeby to było dobre, ale szanowała ojcowskie uczucia Michela.

Jednak nie tylko stałe poczucie samotności i życie w izolacji mąciły szczęście Mary. Dziewczyna obawiała się ponownego zajścia w ciążę. Dlatego znacznie ograniczała swoją seksualną spontaniczność. Michel tłumaczył sobie, że jest to problem, który dotyczy każdej rodziny. Jedynym sposobem, by uniknąć kolejnych dzieci, była powściągliwość we współżyciu. Kochali się więc wtedy, gdy Mary miała zupełną pewność, że nie zajdzie w ciążę.

— Kochanie, jeśli mamy w przyszłości się pobrać, to nie musimy aż tak bardzo uważać.

— Czy chcesz, bym po ślubie rodziła ci co roku kolejne dziecko? — Mary spojrzała z powagą na Michela.

— Tak, najdroższa. Wtedy będziemy mogli kochać się bez obaw.

— Czy nie obawiasz się gniewu Boga, Michel? — spytała. — Czy nie wydaje ci się, że wystarczająco srogo ukarał nas za naszą rozpustę? Czasami, kiedy jestem sama, przypominam sobie te wszystkie straszne rzeczy, które mówił ksiądz McKuen o grzechu i wiecznym potępieniu. Czy nie sądzisz, że miłość fizyczna jest największym grzechem?

Michel przysiadł się do leżącej na łóżku Mary. Przytulił ją mocno do siebie i powiedział:

— Moja droga. Byłabyś wzorową protestantką. Ich Bóg jest zbyt pobłażliwy, by karać każdy przejaw ludzkiej słabości. Bóg katolicki jest dla mnie niezrozumiale surowy w sprawach seksu — jego silna ręka błędziła gorączkowo pod spódnicą Mary. Te pieszczoty zawsze doprowadzały jej zmysły do szaleństwa. Przymknęła oczy, zapominając o wątpliwościach i wyrzutach sumienia.

Mary siedziała przy kominku, od którego biło przyjemne ciepło. Tom leżał na kocyku tuż u jej stóp i drzemał. Był grzecznym dzieckiem. Nigdy nie było problemów, gdy musiał zostać sam. Nie bał się też ciemności, jak to zwykle zdarza się wszystkim małym dzieciom. A jednak nie lubił spać sam, bez matki. Siedział przy niej aż do późnego wieczora przyglądając się, jak pracuje. Zwykle zasypiał po jakimś czasie, zwinięty w kłębek, z twarzą zwróconą w stronę ognia na kominku. Mary przyglądała mu się czule, głaszcząc delikatnie jego aksamitne włosy.

Głośnie kołatanie do drzwi wyrwało ją z głębokiego zamyślenia. Skoczyła na równe nogi. Nie oczekiwała żadnej wizyty. Michel wyjechał do Dublina na wyścigi konne. Rory od dawna przebywał już w Ameryce. Nikt inny nie przychodził tutaj. Poczowała, jak jej serce zaczyna ze strachu bić przyspieszonym rytmem. Instynktownie rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu jakiejś broni.

— Kto to? — spytała przestraszona.

— Ojciec O'Halon, Mary. Jestem nowym księdzem u św. Bonifacego. Czy możesz wpuścić mnie do środka? Tu na zewnątrz jest tak przejmująco zimno jak w duszy protestanta.

Otworzyła drzwi i spojrzała ze zdziwieniem na starszego mężczyznę o łagodnej i pełnej dobroci twarzy. Była zaskoczona.

— Czy mogę wejść? W przeciwnym razie zamrzniemy na śmierć.

Ojciec O'Halon bezceremonialnie wszedł do izby i rozejrzył się dookoła.

— Widzę, że starannie prowadzisz swój dom. A to zapewne malec, o którym tak głośno w całej okolicy.

Mary przytaknęła. Niepewnym głosem spytała:

— Czy zrobić księdzu trochę herbaty?

— Z wielką przyjemnością. Musimy porozmawiać, a jak wiadomo długa rozmowa wyczerpuje. Można powiedzieć, Mary, że cieszysz się tutaj swoistą sławą. Jesteś na ustach wszystkich moich parafian. Czasami odnoszę wrażenie, że życie w Drumgillan kręci się wokół ślubów, pogrzebów i skandalu, którego główną bohaterką jesteś ty.

Ksiądz odchrząknął i usiadł wygodnie na krześle, rozprostowując zdrętwiałe nogi.

— Nie wiem, jaki jest cel twojej wizyty, ojcze. Traktuję ją jednak jak pewnego rodzaju cud. Od wielu lat nikt nie przestąpił progę tego domu, by mnie odwiedzić.

Jej głos wydał się księdzu bardzo miękki, melodyjny, choć nie pozbawiony pewnej nuty emocji.

Mary w milczeniu zajęła się przygotowywaniem herbaty. Co chwila jednak zerkała ciekawie na księdza, który zdawał się być całkowicie pochłonięty swoimi myślami. Roztargnionym wzrokiem rozglądał się po pokoju. Sprawiał miłe wrażenie, dlatego Mary zdecydowała się być z nim szczerą.

— Nie wygląda ojciec tak surowo jak ksiądz McKuen. Domyślam się jednak celu tej wizyty. Ksiądz przyszedł, aby namówić mnie do powrotu na łono kościoła, czy nie tak?

Pełne mądrości i spokoju oczy starszego mężczyzny przyglądały się jej z zainteresowaniem. Przytaknął.

— Szereg dni i nocy modliłam się do Boga o przebaczenie. Niczego bardziej nie pragnęłam niż rozgrzeszenia, które pozwoliłoby mi pogodzić się z kościołem. Ale z drugiej strony czuję, jak bardzo brakuje mi sił, by zerwać ten związek i oczyścić się z grzechu. Kiedy jestem z Michelelem, nie myślę o niczym innym jak o nim i naszym synku. Tak bardzo ich kocham.

Ksiądz spojrział z podziwem na dziewczynę.

— Tak wielka miłość jest wspaniałym darem, jaki człowiek może otrzymać od Boga — odrzekł.

Mary myślała przez chwilę, że O'Halon sztydzi z jej uczuć, ale w jego łagodnych oczach dostrzegła tylko dobroć i szacunek.

— Przeżyłem już wiele i czasami mam wrażenie, że nieodgadnione są wyroki Najwyższego. Nie mogę dać ci rozgrzeszenia, gdyż nadal żyjesz z mężczyzną bez ślubu. Jest jednak pewne rozwiązanie. Czy myślisz, że Michel zgodziłby się ożenić z tobą?

Mary nie mogła uwierzyć własnym uszom. Sądziła, że śni.

— Czy to znaczy, że ksiądz udzieliłby nam ślubu?

— Tak, dziecko. Ponieważ rodzina Michela na pewno nie dopuściłaby do tego, nie należy rozpowiadać o tej ceremonii. Niech to pozostanie między nami i Panem Bogiem — mrugnął porozumiewawczo. — Kiedy sformalizujemy wasz związek, będę mógł udzielić ci rozgrzeszenia i uspokoić twoje wyrzuty sumienia.

Mary nie mogła opanować radości. Chwyliła dłoń księdza i powiedziała:

— Jak tylko Michel wróci z Dublina, natychmiast opowiem mu o wszystkim.

W ten sposób postanowiono, że Michel Hartington, młodszy syn lorda Jeffreya Hartingtona, hrabiego Rathconrath, właściciela olbrzymiej fortuny i posiadłości w Anglii, Walii i Irlandii, poślubi Mary Dalton, córkę zubożałego irlandzkiego farmera, którego przodkowie byli przed trzystu laty właścicielami Drumgillan. Ceremonię zaplanowano na 27 stycznia 1883 roku. Miała odbyć się na plebanii kościoła św. Bonifacego, a jedynym jej świadkiem miał być mały Tom. Michel wciąż obawiał się swojej rodziny. Pomimo to postanowiono, że data ślubu zostanie wpisana do ksiąg parafialnych.

Dla Michela, który był protestantem, wszystkie te przygotowania do katolickiego ślubu wydawały się niezrozumiałe i trochę śmieszne. Jednak widząc szczęście w oczach Mary, jej wręcz dziecięcą radość z faktu, iż już wkrótce będą małżeństwem, postanowił cierpliwie czekać wyznaczonej daty.

Był mroźny styczniowy ranek. Michel wyszedł z pałacu w stroju do konnej jazdy. Zacerpnął głęboko w płuca rześkie powietrze i z radością spojrzął na jasne, słoneczne niebo. To miał być ważny dzień. Nie mógł wprost doczekać się, kiedy wreszcie dosiędzie pięknego araba, którego sir Jeffrey nabył przed paroma dniami na aukcji w Dublinie. Koń był nie oswojony i trzeba było go ujeździć.

Michel zacierał z zadowolenia ręce. Uwielbiał te pełne emocji zmagania człowieka ze zwierzęciem. Tym bardziej że ostatni zakup ojca był rzeczywiście wyjątkowym okazem. Michel od razu zwrócił na niego uwagę. Koń prezentował się wspaniale. Trzymał wysoko piękną głowę i parszając nozdrzami, grzebał kopytem w ziemi. Kosztował majątek, ale jeśli dobrze nad nim popracować, to mógł przynieść fortunę. Miał wszelkie zadatki, by zostać czempio — nem w gonitwach.

Nawet Mary nie mogła powstrzymać się od okrzyku podziwu, gdy pierwszy raz zobaczyła rumaka swobodnie biegającego po specjalnie dla niego wybudowanym wybiegu za stajnią.

— Czy widziałeś coś równie pięknego, Michel?! — spytała z zachwytem.

— Tylko raz w życiu — odparł i spojrzał znacząco na swoją przyszłą żonę. Tom, który stał w tyle i przyglądał się swoim rodzicom, stwierdził, że wyglądają razem jak stworzeni dla siebie. Od kiedy ksiądz O'Halon po raz pierwszy odwiedził Mary, ich życie zaczęło układać się znacznie lepiej. Do tej pory Tom żył w ciągłym strachu i napięciu. Przeczuwał, że jego rodzina jest inna niż pozostałe. Często słyszał obelgi pod adresem swoich rodziców, widział wrogość i agresywność sąsiadów i innych dzieci. Dopiero pojawienie się księdza przerwało zakłęty krąg oszczerstw i izolacji.

Tej nocy Michel spał u Mary. Ponieważ chciał z rana pojechać konno, wstał wcześniej i poszedł do pałacu po ciepłą skórzaną kurtkę. Nie chciał przeziębic się na kilka dni przed ślubem. Śmiał się w duchu ze swej surowej matki. Wyobrażał sobie jej minę, gdyby dowiedziała się, że już wkrótce Mary zostanie jej synową.

Szybkim krokiem wszedł do stajni. Żałował, że nie było przy nim Mary. Michel nie był próżny, ale zdawał sobie sprawę, jak dobrze prezentował się na koniu. Lubił, gdy go wówczas podziwiano. Tak bardzo pragnął, by mogli w końcu wieść z Mary normalne życie, takie jak każde małżeństwo. Nie mógł zrozumieć mężczyzn, chętnie narzekających na swoje żony. Miłość do Mary była najcudowniejszą przygodą w jego życiu.

Stajenny przyprowadził z boksu wspaniałego araba. Michel nazwał go Diabelskim Wichrem. Postanowił jednak zmienić to imię. Irlandczycy byli niezmiernie przesądni i unikali wszelkich nazw, mających związek z szatanem i nieczystymi mocami.

— Proszę wybaczyć, ale koń jest dziś wyjątkowo niespokojny — parobek z trudem utrzymywał wędzidło. Koń prychał ciężko, wywracał dziko oczami na wszystkie strony, z jego nozdrzy buchała para. Niespokojnie przebierał kopytami. Wyglądał jak Pegaz z „Tysiąca i jednej Nocy”. Michel pomyślał, że „Kalif” byłby najlepszym dla niego imieniem.

— Czy on nie jest piękny? — spytał Michel z zachwytem.

— O tak, panie — odparł parobek — ale równie niebezpieczny. Nie jestem pewien, czy należy go dzisiaj denerwować. Ma za sobą niespokojną noc. Stary O'Derry mówi, że od południa nadciąga burza.

Michel spojrzał na chłopca z pobłażaniem. Doceniał jego wyczucie w sprawach koni. Nie lekcewał również niemal legendarnej wiedzy starego Ó'Derry na temat pogody. Nie chciał jednak psuć sobie tak ładnie zapowiadającego się dnia z powodu jakichś przesądów. Podeszedł do konia i poklepał go po pysku.

— No co, mój elegancie — przemawiał do niego czułym głosem. — Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko nauczyć cię paru sztuczek.

Ku zaskoczeniu stajennego koń przysunął pysk do wyciągniętej ręki Michela.

— Nie denerwuj się, wszystko będzie dobrze, staruszk.

Michel ciągle przemawiając do konia, ostrożnie wziął od parobka uzdę i zaczął powoli prowadzić rumaka wokół wybiegu.

Chłopiec spojrział na niebo.

— Stary O’Derry nigdy się nie myli — powiedział. — Znad gór nadciągają burzowe chmury.

Michel przyłożył palec do ust dając mu znak, by zamilkł. Nie chciał, by cokolwiek spłoszyło konia, który powoli zaczynał nabierać do niego zaufania. Postanowił, że gdy zbliżą się do ogrodzenia, spróbuje go dosiąść. Był podekscytowany. Kątem oka spojrział na zbliżające się od południa granatowe, ciężkie chmury. Były jeszcze daleko. Dał znak ręką, że za chwilę podejmie pierwszą próbę. Wokół parkanu zaczęli gromadzić się inni ludzie. Ujeżdżanie koni zawsze wzbudzało wiele emocji i było ulubionym widowiskiem mężczyzn.

Michel zaczął biec równo z koniem, potem wykonał zręczny skok i znalazł się na grzbiecie rumaka. Właśnie w tej chwili nadbiegł Tom. Pędził co tchu przez łąki, aby zobaczyć się z ojcem. W nocy męczyły go przerażające sny. Widział za oknem domu straszliwą zjawę, która krzycząc wniebogłosy oznajmiała czyjąś śmierć. Obudził się przestraszony, zlanym potem i z rozpaloną głową. Płakał aż do rana i nawet Mary nie mogła go uspokoić. Dopiero teraz wspaniały widok śnieżnobiałego rumaka, który stojąc na tylnych nogach unosił w górę jego ojca, pozwolił zapomnieć na chwilę o nocnych koszmarach. Wdrapał się na parkan i z tego miejsca przyglądał się z zapartym tchem zmaganiom Michela ze zwierzęciem.

Przez krótką chwilę koń i jeździec zastygli w zupełnym bezruchu, jakby mierzyli swoje siły. Nagle rumak stanął dęba i wierzgnął kopytami. Tocząc wokoło pianą z pyska wspiął się na tylne nogi. Wyglądało to tak, jakby chciał wzbić się w powietrze, po czym z ogromnym impetem zarył podkowsami w ziemię. Tom zobaczył przez moment wykrzywioną bólem twarz ojca, gdy koń ze straszliwą siłą wykonał nagły obrót, a Michel wypuścił z rąk lejce, stracił równowagę i spadł na ziemię. Przerażliwe i pełne triumfu rzenie przeszło zastygłe jakby z przerażenia powietrze. Tom przyglądał się oniemiały leżącemu na ziemi ojcu, którego twarz wyrażała najwyższe zdziwienie. Michel nie mógł uwierzyć, że koń, którego bardzo kochał i podziwiał, był w stanie zrobić mu tak potworną rzecz. Bestia wpadła w szał. Buchając z nozdrzy parą jak smok, prychając, z pianą na pysku i z obłędem w oczach, tratowała bezbronnego Michela. Parobkowie i stajenni rzucili się na pomoc, próbując chwycić rumaka za uzdę. Jednak było już za późno. Młody Hartington broczył krwią. Opanowane wściekłością zwierzę uspokoiło się w jednej chwili i stało nad swoją ofiarą jak gladiator nad pokonanym w pojedynku niewolnikiem.

Nagle Tom usłyszał strzał. Śmiertelny pocisk przeszył czaszkę konia. Chłopiec odwrócił się i spostrzegł swego dziadka, który stojąc kilka kroków dalej, trzymał w dłoniach strzelbę. Wszystko to trwało nie dłużej niż kilka minut, lecz w pamięci Toma pozostał każdy

szczegół całego zdarzenia. Do końca życia nie zapomni, jak podbiegł do leżącego w kałuży krwi ojca, jak przykląkł przy nim i błagał przez łzy, by nie umierał. Pamiętał krzyki przerażonych parobków i dłonie, które odciągnęły go od ciała. Ale najbardziej utkwił mu w pamięci wyraz twarzy swej matki, która zdyszana przybiegła na miejsce wypadku.

WYKŁAD

KSIĘGA II

MARY I TOM 1882 — 1900

Boże, jakże okrutnie karzesz nasze matki...

Padraic Pearce

15.

Nic mi się nie stanie — Michel powtarzał zawsze te słowa, gdy zostawiał Mary samą w ich małej chatce na skraju Drumgillan. Los okazał się dla niego jednak niełaskawy. Straszliwe obawy Mary spełniły się. Michel nie żył. Następnego ranka po pogrzebie Mary i Tom doznali bezprzykładnego okrucieństwa i bezwzględności ze strony Hartingtonów. Starszy brat Michela i nadzorca O'Leary przyszli do nich i zażądali opuszczenia domu w ciągu kilku godzin.

— Ale Michel zapewniał mnie, że będziemy mogli zatrzymać ten dom bez względu na sytuację! — krzyczała Mary z rozpaczą.

— Bzdura — odparł jak zawsze arogancko Randolph. — Mój brat zmarł nie pozostawiając testamentu. Michel był wprawdzie kompletnym ignorantem w sprawach finansowych, ale nie do tego stopnia, by zostawić cokolwiek jakiejś wiejskiej dziewczce i jej bękartowi.

— Jutro nie chcę ciebie tu widzieć — dodał O'Leary niskim, ochrypłym głosem.

„Ten człowiek ma serce z kamienia. Nie zna uczucia litości” — mawiał ojciec Toma, a znał się na ludziach jak mało kto.

Mary bezradnie rozejrzała się wokół. Większość rzeczy spakowała już do kartonowych pudełek, które przewiązała sznurkiem. Do podręcznej torby wcisnęła jedyną odświętną suknię, którą wkładała tylko na niedzielną mszę, dwie pary bryczesów Michela i ostatnią dobrą koszulę, jaką miała. Na samym wierzchu ułożyła ostrożnie szczotkę do włosów ze srebrną rączką, którą dostała kiedyś od Michela w prezencie. Kazał wygrawerować na niej imię Toma. Chciał, by po ślubie z Mary dopisano do niego również nazwisko Hartington.

Tom przyglądał się matce. Stała na środku pokoju i nerwowo obracała w palcach złoty medalion, który miała na szyi. To była jedyna kosztowna rzecz, jaką posiadała. Medalion przedstawiał miniaturowy wizerunek Michela i Mary. Prędzej umarłaby z głodu, niż rozstała z pamiątką tak drogą jej sercu.

Westchnęła ciężko. Jakby chcąc dodać sobie otuchy, energicznym ruchem podniosła z ziemi kartonowe pudła i wyszła na podwórze. Chłopiec spostrzegł łzy w jej oczach.

Wyszli przez furtkę na błotnistą drogę. Dzień był ponury i wyjątkowo zimny. Padał nieprzyjemny deszcz ze śniegiem. Chłopiec spojrzał w górę na matkę. Było mu bardzo zimno, ale nie skarżył się.

— Gdzie teraz pójdziemy, mamó? — spytał. Starał się nie oglądać za siebie, by nie widzieć domu, który musieli opuścić.

— Do księdza, synku, tam, gdzie udają się zwykle zagubione dusze. Może ojciec O’Halon będzie wiedział, co mamy ze sobą począć.

Prawie siedemdziesiąt lat później, kiedy Tom Dalton leżał na łożu śmierci, ktoś zapytał go, co z jego długiego życia najbardziej utkwilo mu w pamięci. „Rozstania, ciągle rozstania” — miał odpowiedzieć. Miał na myśli właśnie ten zimny deszczowy dzień pełnej nieszczęść zimy 1882 roku.

BRIS

16.

Ojciec O'Halon kończył właśnie codzienną posługę u św. Bonifacego, kiedy Mary i Tom z całym swoim ubogim dobytkiem zjawili się w zakrystii mrocznego kościoła.

— Słodki Jezu! — ksiądz wznosił błagalnie oczy ku górze. — Dlaczego tak ciężko doświadczasz swoje owieczki?

Wprowadził Mary i jej syna na plebanię. Kątem oka obserwował ich. Przemarznięci, ze smutnym wyrazem twarzy siedzieli przy stole, czekając, aż poda im kubek gorącej herbaty. Herbata była starym i wypróbowanym irlandzkim środkiem na wszystkie problemy i zmartwienia. Westchnął ciężko na myśl, że gdyby nie to straszliwe nieszczęście, które ich spotkało, miałby w swojej parafii nie pogrzeb, lecz ceremonię ślubu. Mary została by żoną Michela. Nieodgadnione są jednak wyroki boskie.

— Jak wiesz, moje dziecko — ksiądz odezwał się oficjalnym tonem, jakim zwykł przemawiać podczas niedzielnych kazań — Michel zawsze troszczył się o waszą przyszłość. To trzeba mu przyznać i niech Pan Bóg wybaczy mu grzech, jaki popełnił wraz z tobą. Był najporządniejszym młodym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem.

Ksiądz postawił na stole kubek z herbatą i wolnym krokiem podszedł do biurka, stojącego pod oknem. Otworzył szufladę i wyjął z niej dwie zapieczętowane koperty.

— Widzisz, Mary — kontynuował — Michel rozmawiał ze mną o waszej przyszłości na krótko przed swoją nagłą śmiercią. Powierzył mi pewną sumę pieniędzy, bym mógł was wesprzeć w razie potrzeby. Myślę, że taka chwila nadeszła.

Twarz Mary wyrażała najwyższe skupienie i smutek.

— Wiedział, że jeśli nagle zabraknie go, jego rodzina postąpi z wami podle i niegodziwie. Domyślał się ich zamiarów. Dlatego powiedział mi, że jeśli cokolwiek mu się przydarzy, mam zadbać, by spełniona została jego ostatnia wola. Ty, Mary, masz wyjechać do Ameryki i tam rozpocząć nowe życie. Ja mam zapewnić chłopcu opiekę i najlepsze wykształcenie. Tom jest bardzo zdolnym dzieckiem, ale bez odpowiedniej edukacji jego talenty pójdą na marne.

Mary i Tom spojrzeli na siebie przerażeni i zaskoczeni zarazem. Ich sytuacja nie była więc aż tak beznadziejna! Jednak myśl, iż mieliby się rozstać, wywołała w nich sprzeciw i lęk.

— Ameryka, ojczyzna? Na litość boską, czego ja mogę szukać w Ameryce?!

Stary ksiądz wahał się przez chwilę. Chciał dobrać najwłaściwsze słowa,

by przekonać zagubioną dziewczynę, że wyjazd do Ameryki jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem. Sam jednak nie był o tym do końca przekonany. Przypomniał sobie, czego uczą młodych księży w seminariach duchownych, i ogarnął go pusty śmiech. Wobec ludzkiego cierpienia, lęku przed śmiercią czy chorobą cały majestat kościoła wydawał się jedynie niepoważną farsą.

— Mary, pomyśl przede wszystkim o dziecku. Michel miał całkowitą rację. Sama wiesz, że Tom jest zdolnym chłopcem i powinien się kształcić. To jedyna droga dla niego, by zapewnić sobie lepsze życie. Zaś ty... jesteś silną i odważną dziewczyną, Mary. Znam w Ameryce pewnego księdza, ojca Grogana. On ci pomoże znaleźć dobrą pracę i rozpocząć nowe życie. Czy nie rozumiesz, że nie możesz tu dłużej zostać?

— Ależ ojcze! Tom jest moim synem i nie mogę go zostawić!

Ksiądz chrząknął zakłopotany. Sam czuł, że zmuszał Mary do dokonania nieludzkiego wyboru.

— Nonsens, musisz się na to zgodzić. Nie masz innego wyboru. Osobiście dopilnuję, by Tom bezpiecznie dojechał do Westmeath, gdzie znajduje się jedna z najlepszych szkół przyklasztornych. Dobrzy braciszkanie przygarną chłopca jako sierotę i nie będą mu zadawać zbędnych pytań.

Spojrzał Mary prosto w oczy, po czym powiedział nie owijając dłużej w bawełnę:

— Odkąd urodziłaś Toma, twoja rodzina odwróciła się od ciebie. Nie możesz go tu zostawić ani zabrać ze sobą do Ameryki. Nikt nie przyjmie na służbę dziewczyny z nieślubnym dzieckiem. Mary, Mary, nie sprzeciwiaj się, musisz być posłuszna ostatniej woli Michela.

Przy tych słowach ksiądz wręczył Mary dwa zapieczętowane listy. Jeden był dla Toma, drugi dla jego matki. Mary drżącymi rękoma otworzyła kopertę i ze łzami w oczach zaczęła czytać ostatni list swego ukochanego Michela.

Najdroższa,

Kiedy otrzymasz od ojca O'Halon ten list, mnie nie będzie już przy Tobie. Wybacz mi krzywdy, które Ci wyrządziłem. Odpowiem za nie przed boskim majestatem. Mogę mieć jedynie nadzieję, że Bóg w swej nieskończonej dobroci zrozumie, jak bardzo Ciebie kocham, i pozwoli nam połączyć się ponownie na tamym świecie.

Moja miłość do Ciebie jest tak silna, iż nikt nie zdoła jej zniszczyć — ani moja zawistna rodzina, ani nawet okrutna śmierć. Wszystko, co do mnie należy, pozostawiam Tobie Mary i naszemu synowi. Jednakże prawo bezlitośnie stoi po stronie mojej rodziny. Być może kiedyś uda się Tomowi lub Tobie odzyskać to, co z mojej woli wam się należy jako mej najbliższej rodzinie. Pozostawiam to w rękach Boga. Mając na względzie trudną sytuację, podjąłem również inne kroki, by zabezpieczyć waszą przyszłość.

Przekazałem ojcu O'Halon niewielką sumę pieniędzy, która pozwoli Tobie Mary na podróż do Ameryki, gdzie, mam taką nadzieję, znajdziesz odpowiednią pracę i rozpoczniesz nowe życie. Musisz znaleźć dość sił i rozsądku, by opuścić naszego syna Toma. Powinien on pójść swą własną drogą. Postanowiłem, że po skończeniu szkół ojciec O'Halon przekaze go na uniwersytet, gdzie uzyska najlepsze wykształcenie. Dzięki temu zdobędzie pozycję społeczną i już nikt nigdy nie będzie pogardliwie nazywał go bękartem.

To wszystko, co mogę dla Was zrobić. Mam nadzieję, że to wystarczy. Modlę się do Boga, by miał nad Wami opiekę.

Kocham cię Mary, nie zapomnij o mnie

Michel.

Mary odłożyła list na biurko. Z trudem mogła powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. To było zbyt silne przeżycie dla niej. Ten list był jakby potwierdzeniem nieodwracalnej śmierci Michela. Tom patrzył na matkę-z pełnym napięciem oczekiwaniem. Wahał się, czy otworzyć swoją kopertę. Miał dziwne przeczucie, że kryje się w niej jego własne przeznaczenie. Mary spostrzegła niepewność na twarzy syna. Położyła mu dłoń na ramieniu, jakby tym gestem chciała dodać mu odwagi.

— Przeczytaj ten list, Tom. To jedyne, co nam po nim pozostało.

Mój kochany synku,

Kiedy staniesz się dorosłym mężczyzną, być może zrozumiesz okoliczności swojego dzieciństwa. Jeśli jednak nie zechcesz wybaczyć mi krzywd, które wyrządziłem Tobie i twojej matce, to może choć spróbujesz zrozumieć moją miłość do niej, która kosztowała nas tyle cierpień.

Żaden ojciec nie kochał tak bardzo swego syna jak ja Ciebie. Jesteś moją nadzieją na nieśmiertelność. Ucz się życia, Tom. Wykształcenie jest sposobem na wolność. Dzięki niemu możesz przelamać społeczne i materialne bariery. Bądź mądrzejszy i zręczniejszy od pozostałych. Idź odważnie swą własną drogą.

Nie mogę Ci nic ofiarować poza prawem do mojego nazwiska i nadzieją, że kiedyś odzyskasz to wszystko, co słusznie Ci się należy jako spadek po mnie.

Nie wstydź się swego pochodzenia. Po swej matce dziedzicysz romantyczne i pełne dobroci serce swych celtyckich przodków. Po mnie masz krew jednej z najlepszych rodzin Irlandii.

Żegnaj najdroższy,

Twój ojciec.

Mały chłopiec stał bezradnie pośrodku dziedzińca średniowiecznego klasztoru w Westmeath. W rękę trzymał zmięty płaszcz i dygotał z zimna. Mnisi w czarnych strojach szli w milczeniu w stronę kościoła. Dzwon obwieszczał porę wieczornej modlitwy.

Ojciec O'Halon prosił Toma, by zachowywał się bardzo grzecznie w obecności mnichów i był im posłuszny. Dodał też, że zakonnicy są mądrymi ludźmi i Tom może wiele się od nich nauczyć. Chłopiec nie potrafił jednak uwolnić się od lęku, który ogarnął go na widok tego surowego i groźnego miejsca.

Tom nawet nie zauważył, kiedy mnich o dyskretnym i łagodnym spojrzeniu bezszelestnie pojawił się u jego boku.

— Nazywają mnie bratem Ambrozym — odezwał się ciekim, niemal kobiecym głosem. — Mam zaprowadzić cię do opata. Ty musisz być Tomem Dalto — nem, sierotą, którą przysłał ojciec O'Halon. Jeśli będziesz potrzebował rady, możesz zwrócić się bezpośrednio do mnie. Musisz jednak pamiętać, że panują tu surowe reguły życia, dlatego nie oczekuj zbyt wiele.

Pchnął chłopca w kierunku masywnych, bogato zdobionych drzwi, których przepych kłócił się z pełną surowości prostotą kamiennych murów.

— To pracownia opata — wyszeptał mnich, lękliwie rozglądając się dokoła. -Zapukaj do drzwi i czekaj, aż cię wezwie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Pośpiesznie wykonał w powietrzu znak krzyża i zniknął niemal tak nagle, jak się pojawił. Tom nieśmiało zastukał. Z bijącym sercem oczekiwał odpowiedzi.

— Nie stój jak obwieś, którym i tak jesteś, tylko wchodź do środka! — rozległ się pełen irytacji głos.

Opat był wysokim, chudym mężczyzną w starszym wieku o zimnym i chłodnym wyrazie oczu. W kościstych palcach obracał długą i cienką różgę, na widok której Tom chciał natychmiast uciec z pokoju. Opat spojrzał wyniośle na wystraszonego chłopca, po czym ostentacyjnie zatkał nos, by nie czuć nieprzyjemnego zapachu, który bił z jego przemoczonego i przesiąkniętego brudem ubrania.

— Jesteś mniejszy, niż sądziłem — obszedł go dookoła. — Przysłano cię do nas, byśmy zrobili z ciebie prawdziwego dżentelmena. To nie będzie łatwe zadanie, ale poradzimy sobie jak zawsze. Każdy najmniejszy przejaw niesubordynacji będzie karany chłostą.

Tom zadrzał z przerażenia. Nawet nie wiedział, co to znaczy „niesubordynacja”. Domyślał się jednak, że nic dobrego.

— Masz dokładnie stosować się do reguł klasztornego życia. Będziesz pracował od rana aż do zmierzchu. Nauczymy się poprawnej angielszczyzny i wyrugujemy ten paskudny chłopski akcent, z jakim mówisz. — Różga przecięła powietrze ze złowieszczym świstem. — Przede wszystkim jednak dopilnujemy, byś nie oddawał się rozpustnym myślom. Czy zrozumiałeś?

— O tak, jego dostojałość, zrozumiałem.

Tom chciał jak najszybciej wyjść z pokoju. Sądził, że ta nieprzyjemna rozmowa dobiegła już końca. Surowy głos opata natychmiast przywołał go do porządku.

— Stój! Zdejmuj tę brudną koszulę!

Tom spojrzał na kamienną twarz starszego mężczyzny. Jej wyraz nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, że opat nie zniesie najmniejszego sprzeciwu. Chłopiec był zaskoczony. Jego koszula nie była wcale brudna. Uszyła ją Mary, a ojciec O'Halon wyprał ją na dzień przed wyjazdem.

— Powiedziałem, ściągaj koszulę! — powtórzył.

Tom guzdrał się przy rozpinaniu guzików. Zastanawiał się, czy będzie musiał chodzić w tych śmiesznych czarnych strojach jak wszyscy mnisi w klasztorze. Nagle usłyszał spokojny, wręcz lodowaty głos opata:

— Mam zamiar cię wychłostać. Chcę, byś miał dokładne wyobrażenie o tym, co czeka się, jeśli złamiesz reguły panujące w domu bożym.

Różga świsnęła w powietrzu. I tak rozpoczęła się edukacja Toma.

Klasztor św. Ignacego należał do najbardziej znanych w Irlandii. Podczas gdy inne opactwa padły ofiarą angielskiego najazdu i zostały zburzone lub rozgrabione, klasztor św. Ignacego zdołał przetrwać wojny i powstania bez uszczerbku, a to dzięki sile woli i odwadze zakonników i rodzinnym koneksjom opata. Francis Plunkett Fitzpatrick należał bowiem do tych nielicznych arystokratycznych rodzin w Irlandii, które potrafiły utrzymać uprzywilejowaną pozycję pomimo zachowania katolickiej wiary.

Doskonałe wykształcenie, które uzyskał na kontynencie, oraz wpływy potężnej rodziny spowodowały, iż bez trudu uzyskał święcenia kapłańskie w Watykanie, gdzie przebywał przez wiele lat. Przemierzając krużganki i korytarze papieskich pałaców, w których skupiała się cała władza katolickiego świata, myślał często o swej przyszłości i snuł ambitne plany. Fitzpatrick pozostał w głębi serca surowy i ascetyczny. Dlatego przesiąknięte atmosferą intryg i walk o władzę mury Watykanu nie odpowiadały jego naturze. Po wielu rozterkach duchowych, nocach spędzonych na rozmyślaniach i ascezie doszedł w końcu do wniosku, że

jego powołanie jest ważniejsze niż ambicje papieskich polityków. Zwrócił się do kardynała Panzini, nuncjusza papieskiego i bliskiego współpracownika papieża, o pozwolenie powrotu do kraju.

Swą prośbę motywował tym, iż pragnie założyć w Irlandii klasztor i elitarną szkołę, która stałaby się ostoją katolickiego kościoła w państwie zniewolonym przez anglikańskich heretyków. Jego świątobliwość wyraził zadowolenie z decyzji Fitzpatricka. Jak powiedział kardynał Panzini, Watykan z trudem godził się ze stratą Irlandii, dlatego każdy przejaw niezłomnego katolickiego ducha na tej ziemi znajduje poparcie u jego eminencji.

Kiedy wilebny Fitzpatrick powrócił do domu, wyciągnął od swej rodziny tyle pieniędzy, ile się tylko dało, i przystąpił do realizacji planów. Postanowił wznieść klasztor na ruinach czternastowiecznego opactwa. W tym celu ściągnął z Europy najlepszych architektów. Dzięki swej rozległej wiedzy, także z zakresu sztuki i klasycyzmu architektury, Fitzpatrick mógł na równi z nimi uczestniczyć w projektowaniu i budowie klasztoru. Na tym tle dochodziło też do częstych nieporozumień. Opat widział swój klasztor jako symbol surowego i ascetycznego stylu życia, z którym doskonale harmonizowała oszczędna architektura irlandzkiego gotyku. Artyści z trudem godzili się na to, by pozbawić ich dzieło jakichkolwiek znamion przepychu. W ten sposób powstała jedyna w swoim rodzaju, pełna sprzeczności i piękna budowla. Jej wspaniałość dodawała splendoru kościołowi katolickiemu w Irlandii.

Katolicyzm miał tutaj burzliwą i bogatą historię. Od początku wywoływał wiele namiętności zarówno wśród swych zagorzałych wyznawców, jak i zaciekle przeciwników. Celtowie, przodkowie dzisiejszych Irlandczyków, byli narodem niezmiernie religijnym. Ich skłonność do mistycyzmu sprawiła, że kiedy do ich królestwa dotarły pierwsze wpływy chrześcijaństwa, natychmiast zaakceptowali nową wiarę. Sakralny charakter religii katolickiej oraz magiczna atmosfera towarzysząca jej obrzędom odpowiadały tajemniczej i mrocznej naturze Irlandczyków.

W licznych zakątkach kraju zaczęły powstawać kościoły i opactwa, które kształciły zastępy mnichów i księży. Dzięki swej wiedzy i wykształceniu stali się oni intelektualną elitą kraju. Misyjna i cywilizacyjna działalność klasztorów osiągnęła swe apogeum w IX wieku, kiedy to w zaciszu skrybtorii spod rąk mnichów wychodziły prawdziwe arcydzieła sztuki — pisane ręcznie księgi, które trafiały później do Europy, krzewiąc wśród wiernych Słowo Boże.

Inwazja Anglików na Irlandię powstrzymała rozwój katolicyzmu w tym kraju. Z drugiej strony ciągłe bunty i represje zbliżyły prosty naród irlandzki do katolickiego kościoła, który przeciwstawił się najeźdźcy. Mimo że władze angielskie ogłosiły katolicyzm za nielegalny, ludzie nadal zbierali się w świątyniach i słuchali płomiennych kazań swoich księży — bardziej manifestując opór wobec wroga niż faktyczną wiarę. Przyciągał ich przepych katolickich obrządków, tak bardzo kontrastujący z szarością ich ubożego życia. Poza tym kościół obiecywał im lepszą przyszłość po śmierci. W ten sposób dawał im do ręki wielką broń —

nadzieję. Każdy żebrak, uciemżony przez Anglików chłop irlandzki czy polityczny więzień mógł liczyć na miejsce w niebie i zbawienie duszy.

Kiedy Anglicy nakazali zamknięcie wszystkich irlandzkich szkół i uniwersytetów, klasztory stały się ośrodkami podziemnego życia kulturalnego kraju. Kształciły nowe irlandzkie elity, które w przyszłości, po oswobodzeniu, miały zająć się odbudową ojczyzny. Jedną z najbardziej popularnych takich szkół prowadził właśnie klasztor św. Ignacego.

BRAMA

Mary Dalton stała zagubiona na przystani North River. Trzymała w ręku podróżną torbę, w której znajdował się cały jej majątek. Była pełna obaw, wystraszona i całkiem załamana. Podróż statkiem do Nowego Jorku, czwartą klasą, wyczerpała wszystkie jej siły. Na dodatek wciąż żywa świadomość utraty najbliższego jej człowieka i rozstanie z Tomem odbierały jej jakąkolwiek nadzieję i wolę przetrwania.

Michel odszedł. Już nigdy nie będzie mogła schronić się w jego szerokich ramionach, by zapomnieć o troskach i trudach otaczającego ją świata. Już nigdy nie zatopi swej twarzy w jego pachnących włosach i nie usłyszy słodkiego szeptu z jego ust. To odeszło na zawsze, razem z marzeniami o wspólnym rodzinnym życiu.

Mary otarła łzy, które mimo woli spływały jej po policzkach. Rozejrzała się po przystani, szukając wśród tłumu oczekujących jakiegoś księdza.

Ojciec Grogan opiekował się irlandzkimi kobietami, które z różnych przyczyn decydowały się na przyjazd do Ameryki. Dzięki niemu nie kończyły na ulicy lub w domach publicznych. Nazywano go często „świętym z dna piekieł”, jako że często musiał stykać się z najgorszym elementem wielkiego miasta.

Mary zobaczyła na końcu doków niewielką grupkę młodych kobiet i ruszyła w ich stronę. Wkrótce też ujrzała ojca Grogana, wysokiego mężczyznę w średnim wieku o wiecznie zatroskanej twarzy.

— Ty jesteś Mary Dalton? — spytał ją łagodnym i uprzejmym głosem. — Dzięki Bogu, że się odnalazłaś. Jesteś ostatnia z całej grupy.

Na jego twarzy pojawiło się zadowolenie pasterza, któremu udało się odnaleźć wszystkie owieczki ze swojego stada. Mary wyciągnęła list polecający od ojca O’Halona i wręczyła go księdzu. Ojciec Grogan zmierzył ją badawczym spojrzeniem.

— Ojciec O’Halon kazał mi powiedzieć księdzu, że potrafię czytać i pisać.

— To wspaniale, córko. Ale o tym potem. Myślę, że może uda mi się załatwić coś dla ciebie w Tuxedo Park. Mam tam kilku znajomych — odpowiedział, po czym z pewnym roztargnieniem zwrócił się do pozostałych kobiet. — Musicie poczekać jeszcze chwileczkę. Zdaje się, że tam czekają na pomoc jeszcze inne zagubione dzieci boże.

Zniknął w tłumie. Kiedy wrócił, towarzyszyły mu trzy mocno wystraszone kobiety z tobołkami w rękach.

— Moje panie — ksiądz zwrócił się do grupy czekających kobiet — oto biedne istoty, które przyjechały tutaj nie mając nikogo, kto mógłby im pomóc. Sądziły, że tutejsze ulice są wybrukowane złotem, i teraz czują się oszukane. Niech Bóg wybaczy im tę naiwność.

Wykonał znak krzyża, po czym grupa jedenastu kobiet z księdzem na czele ruszyła wolnym krokiem w kierunku miasta.

Następnego ranka ojciec Grogan wezwał Mary na plebanię św. Marcina. Dziewczyna stawiała się natychmiast. Ksiądz siedział właśnie za biurkiem i przeglądał papiery. Mary już w porcie zwróciła jego uwagę. Poruszała się z wdziękiem i odznaczała niepospolitą urodą. Ojciec Grogan znał jej historię z listu, jaki otrzymał od O’Halona.

— Moja droga Mary — rzekł odkładając pióro — wiem wszystko o twoich strasznych przeżyciach. Myślę jednak, że zanim zastanowimy się nad twoją przyszłością, musimy na chwilę powrócić do tego, co się stało.

Mary przytaknęła bezwolnie. Ostatecznie jej los spoczywał teraz w rękach tego człowieka. Jednak w sercu czuła zupełną pustkę. W najmniejszym stopniu nie była ciekawa, co ksiądz ma jej do powiedzenia.

— Nie mam w zwyczaju udzielać ludziom zbędnych rad lub pouczać ich. Widziałem w moim życiu wiele złego. Codziennie stykam się z niesprawiedliwością i wyzyskiem. Wierz mi, ludzie, którzy przyjeżdżają tu z Irlandii, nie mają łatwego życia w Ameryce. Dlatego doradzam ci dyskrecję i ostrożność.

Ojciec Grogan zawahał się chwilę, po czym dodał:

— Szczerze mówiąc, nie powinnaś nikomu wspominać o swojej przeszłości.

Mary spojrzała na niego wojowniczo. Ojciec Grogan odchrząknął i kontynuował.

— Czy potrafiłabyś powiedzieć prosto w oczy swoim przyszłym pracodawcom o związku z Michelem i o Tomie? Obawiam się, że gdybyś to zrobiła, wyrzuciliby cię jako kobietę niemoralną. Czy sądzisz, że powierzyliby tobie opiekę nad swoimi dziećmi? Nie mieliby żadnych skrupułów, by ze względu na zasady moralne odmówić ci pracy.

Powiedział to kategorycznym tonem.

— Poza tym, Mary, wydaje mi się, że powinniśmy wymyśleć jakąś przekonującą historię na temat twojej przeszłości. Co o tym sądzisz?

Przerwał na moment, oczekując jej reakcji.

Mary milczała.

— Może zacznijmy od tego, że pochodzisz z rodziny farmerów. Miałaś szczęście i nauczyłaś się pisać i czytać, a ponieważ chciałaś polepszyć swoją sytuację, postanowiłaś szukać pracy w Ameryce. Sama przyznasz, że nie jest to aż tak dalekie od prawdy.

— Masz rację, ojcze.

Mary poczuła, jak gdyby w tej jednej chwili wyrzekła się całej swojej przeszłości. Ojciec Grogan uśmiechnął się zadowolony. Okazało się, że można jednak dojść do porozumienia z Mary.

— Poza tym powinnaś z większą starannością wymawiać sylaby, jeśli zamierzasz uczyć czytania i pisania dzieci swoich pracodawców. Oni zawsze oczekują elokwencji i dobrej wymowy. Czy Anglicy nie zabrali nam wszystkiego, pozostawiając jedynie bogactwo słów? — zażartował, ale Mary nawet nie uśmiechnęła się. Zmienił temat.

— Czy mogłabyś opowiedzieć mi coś o swoim chłopcu, Tomie? Jak słyszałem, jest bardzo zdolny.

Jej oczy rozbłysły na dźwięk imienia syna. ' ^ » ' <

— Co z niego wyrośnie, ojcze? Jest bez Michela i beze mnie! On ma przecież dopiero osiem lat i został całkiem sam!

Rozdzierająca serce tęsknota w jej głosie poruszyła głęboko księdza.

— Mary, Mary. Nie narzekaj, dziecko. Twój syn znajduje się w dobrych rękach. Niejeden chłopiec na jego miejscu chciałby doświadczyć tak troskliwej opieki. Ma dach nad głową, strawę i ma się w co ubrać. Przede wszystkim zapewniono mu edukację, której pozazdrościłby mu niejeden dobrze urodzony Anglik. Trzeba wierzyć w nieskończoną dobroć Boga. — Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem.

— To brzmi dla mnie pusto, ojcze.

Mary cofnęła się o krok. Jej głos drżał z emocji.

— Jak mogę wierzyć w Jego dobroć po tym, co przeżyłam?

Ksiądz spojrzał na jej piękną, surową twarz. Zrozumiał, że cokolwiek by powiedział, będzie to brzmieć pusto dla matki, która utraciła zarówno swego syna, jak i ukochanego mężczyznę. Uważał jednak, że każde cierpienie człowieka jest częścią wielkiego boskiego planu.

— Bądźmy wdzięczni Bogu, że dał tobie i twemu synowi nadzieję na przyszłość.

Mary przytaknęła. W tym geście nie kryła się jednak rezygnacja, lecz siła i odwaga, które wzbudziły podziw księdza. Ojciec Grogan zmówił krótką modlitwę, dziękując Bogu za Jego miłosierdzie.

Kiedy Mary opuściła już pokój, ojciec Grogan wznosił oczy ku górze i wyszeptał.

— Boże, miej ją w opiece.

Na stacji w Tuxedo czekała na Mary dwukonna bryczka. Stary woźnica o pomarszczonej przez wiatr twarzy załadował na nią jej bagaże. Nie podał jednak ręki Mary, kiedy z trudem próbowała wdrapać się na przednie siedzenie.

— Nazywam się Jim. A pani jest pewnie nową guwernantką?

— Tak — odpowiedziała.

— Będą tutaj traktować panią dobrze pod warunkiem, że nie zacznie się pani wywyższać nad innych. To najważniejsza zasada z Tuxedo.

— Tak.

— Nie jest pani zbyt rozmowna.

— Nie jestem.

Nie wywyższać się, pomyślała Mary. Czy nie to właśnie było przyczyną jej upadku?

— Park Tuxedo to piękne miejsce. Bogaci ludzie wybudowali tu swoje posiadłości. Nawet nie ma pani pojęcia, jak wielkie!

Mary uśmiechnęła się smutno. Przypomniała sobie pałac w Drumgillan.

— Są tu też lasy i jeziora. Dwa z nich nazywamy Dużym Wee Wah i Małym Wee Wah. Nie są one tak wielkie jak te, które można spotkać w Irlandii. Ale protestanci i tak są zachwyceni. — Zachichotał. Najwyraźniej złośliwości pod adresem swych dobroczyńców sprawiały mu przyjemność.

— Co się stało z poprzednią guwernantką? — spytała Mary ośmielona dobrym humorem woźnicy.

— A, to cała historia, panienko.

— Opowiedz mi, proszę — Mary pomyślała, że powinna być bardziej miła dla starszego człowieka. Bóg jeden wie, czy odnajdzie w tym nowym miejscu jakąś bratnią duszę.

— A więc nie jest panienka niemową, jak sądziłem — zachichotał znowu. — No, to było tak. Helen Casy, poprzednia guwernantka, była przemiłą kobietą. Razem ze swym mężem Frankiem, który pracował jako ogrodnik, służyli państwu przez trzydzieści lat... aż do zeszłego miesiąca.

Ostatnie słowa dodał ze sztucznym, teatralnym dramatyzmem w głosie.

— Helen i Frank mieli sześcioro dzieci, wszystko chłopcy. Każdy z nich bardzo porządny i niezmiernie pracowity. Najmłodszy, Tim, był najzdolniejszy. Pewnego dnia usłyszał, że jeśli będzie wystarczająco pilny w szkole, to otrzyma stypendium i pójdzie do bardzo dobrego koledżu, tak jak dobrze urodzeni chłopcy. Tim był ambitny. W końcu jako najlepszy uczeń w całym stanie otrzymał to stypendium i wyjechał na uniwersytet Notre Dame.

Mary przyglądała się czerstwej, ogorzałej twarzy woźnicy. Nie mogła zrozumieć, co ta historia ma wspólnego z odejściem jej poprzedniczki.

— Pewnego razu pan Cooke, właściciel domu, zapytał o Tima jego ojca. Frank, powiada, dawno już nie widziałem twojego najmłodszego syna. Czy pojechał do Nowego Jorku szukać lepszej pracy? Nie, panie, odpowiedział stary Frank z dumą w głosie, pojechał na uniwersytet Notr Dame, by uczyć się na doktora. Kiedy pan Cooke to usłyszał, aż poczerwieniał na twarzy. Odwrócił się i poszedł, nawet nie powiedziawszy „do widzenia” staremu Frankowi. — Woźnica nachylił się do Mary, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje. — Jeszcze tego samego tygodnia wszyscy, cała rodzina, zostali zwolnieni ze służby. Panowie nie lubią, gdy ich słudzy próbują im dorównać.

Zauważył, że Mary pograżyła się w rozmyślaniach i prawie w ogóle go nie słucha. Dlatego dodał trochę obrażonym głosem:

— Z drugiej strony, jak powiedziałem, jeśli będziesz pilnować swego miejsca, nic ci się tutaj nie stanie.

Pilnować swego miejsca. Mój Boże! — pomyślała Mary — gdyby ten stary człowiek wiedział, ile musiała wycierpieć za kilka chwil niewinnego szczęścia. Los brutalnie przypomniał jej o miejscu, które Bóg jej wyznaczył.

Były chwile, gdy Mary znajdowała się w stanie otępienia, jakby letargu. Czuła się jak skazaniec, który przetrwał straszliwe tortury i nie ma już sił, by reagować na nowy zadawany mu przez kata ból. Wystarczyło jednak jedno usłyszane słowo lub myśl, a straszliwe cierpienie i tęsknota powracały z całą mocą. Mary nie potrafiła oprzeć się tej wielkiej sile. Często miewała sny, w których próbowała zamknąć drzwi prowadzące do jej serca. Ale coś potężnego, coś, co znajdowało się po drugiej stronie, napierało na drzwi z tak wielką mocą, że za każdym razem Mary musiała ustąpić.

Jim odezwał się ponownie. Mary powróciła do rzeczywistości.

— Ta brama prowadzi do Tuxedo Park. Tu zaczyna się świat bogaczy i ich służących.

Wjechali do pięknego parku. Wysokie wiązy i rozłożyste dęby rzucały cienie na piaszczytą rozgrzaną drogę i rozległe połacie trawy. W oddali zabłysła tafla jeziora Wee Wah i Mary dostrzegła malutkie sylwetki ludzi nad jego brzegiem.

To tutaj Mary miała rozpocząć nowe życie. Nabrała powietrza w płuca i starała się zapomnieć o swym cierpieniu.

Tom i Seamus, jego najbliższy przyjaciel, wraz z pięcioma pozostałymi chłopcami wiedli surowe życie według ścisłych reguł klasztornej rozkładu. Wstawali o czwartej rano wraz ze wszystkimi braćmi zakonnymi, po czym posługiwali podczas porannej mszy w kościele. Potem jedli w całkowitym milczeniu we wspólnej mrocznej sali przy drewnianych stołach. Tom, który był przyzwyczajony do domowych posiłków przygotowywanych przez Mary, z trudem przełykał pozbawioną smaku papkę, jaką otrzymywał w klasztorze. Każdego dnia odczuwał ssanie w żołądku i chodził ciągle głodny. Jak wszystko w opactwie, tak i jedzenie przyrządzano z myślą o duszy, zapominając o potrzebach ciała.

Podczas wspólnych posiłków jeden z mnichów monotonnym głosem recytował fragmenty z Nowego Testamentu, tekstów św. Augustyna lub św. Tomasza. Pozostali zakonnicy pochyleni nad swoimi miskami słuchali w skupieniu Bożego Słowa. Gdy padła jakaś szczególnie ważna myśl lub sekwencja, kiwali z aprobatą głowami. Chłopcy znudzeni jednostajnym głosem lektora spoglądali ukradkiem przez wąskie okna. Widząc drzewa i bezkresne łąki, marzyli o wolności i nie skrepowanym surowymi zasadami życiu. Jednak groźny głos opata przywoływał ich szybko do porządku.

W jednym tylko wypadku, kiedy Biblię czytał brat Damien, nie trzeba było zmuszać Toma do słuchania świętych tekstów. Melodyjny głos starca przypominał bowiem śpiew anioła. Nikt tak jak on nie potrafił przeczytać Ewangelii św. Pawła. Być może, działo się tak dlatego, że jako jedyny spośród mnichów rozumiał tak naprawdę istotę tego cudownego tekstu, który w niezrównany sposób zawarł sens chrześcijańskiej wiary.

Brat Damien był przemiłym, bezpośrednim i niezmiernie skromnym człowiekiem. Otwarty dla innych, chętnie dzielił się swoją wiedzą i doświadczeniami. Każdy, kto choć raz się z nim zetknął, był nim oczarowany. Tom i Seamus, którzy z nim najczęściej przebywali, byli zdania, że tylko on jeden wart jest, by nosić miano miłosiernego brata. Znał się na ziołarstwie i potrafił przygotować lekarstwa na najróżniejsze dolegliwości. Jeżeli Tom lub Seamus byli przeziębieni, zawsze zdołał przemycić do ich pokoju któryś ze swoich specyfików i wyle-

czyć chorobę. Kiedy zaś chłopcy byli głodni, wykradał dla nich z klasztornej kuchni kilka dobrze wypieczonych biszkoptów. Traktował ich jak równych sobie. Często spacerowali wspólnie po dziedzińcu ogrodu i rozmawiali, czasami na bardzo poważne tematy.

— A więc moi panowie — brat Damien zwykł zwracać się do chłopców oficjalnym tonem. — Jaką historię mam opowiedzieć dziś dla podbudowania moralnego?

Przez następną godzinę albo i dłużej brat Damien roztaczał przed swoimi wiernymi słuchaczami tajemniczy i magiczny świat irlandzkich legend — świat rycerzy Ognistego Miecza i ich rozpustnych żon, świat smutków i żalów, nie-szczęśliwej Deidry i cudownych pełnych przygód podróży Osjana.

Tom i Seamus zwierzali się bratu ze swoich kłopotów. Przed wszystkim skarżyli się na opryskliwość, a nawet okrucieństwo, jakie spotykało ich ze strony pozostałych zakonników w klasztorze. Wówczas brat Damien dawał chłopcom jedyną możliwą radę:

— Musicie wycierpieć swoje. Wiem, że niektórzy bracia, niech Bóg im wybaczy, zachowują się chwilami nazbyt surowo. Powinniście jednak zrozumieć, że nie mają łatwego życia. Ich dusze stały się szorstkie z powodu nieustannych cierpień i wewnętrznych zmaganiań ze słabościami ciała. Droga, która prowadzi do Boga, nie jest bowiem usłana różami. Czasami zdarza się, że dążąc ślepo do upragnionego celu, zapominamy o prostych rzeczach, takich jak uprzejmość czy życzliwość dla innych. Postarajcie się im wybaczyć. Każdy przejaw miłosierdzia wzmacnia duszę i przybliża ją do Boga.

Tom nie był zachwycony logiką tego wywodu. Szybko zmienił więc temat. Czuł podziw dla brata Damiena, jego dobroci i niezachwianej wiary. Nie chciał urazić go jakąś nie przemyślaną uwagą, która wynikała z jego krytycznego stosunku wobec kościoła katolickiego.

— Opowiedz nam o Cuchulain — poprosił Tom wiedząc, jak chętnie brat Damien oddaje się opowieściom o zamierzchłej przeszłości Irlandii.

Stary mnich spojrzał na chłopca rozbawionym wzrokiem. Doceniał takt, z jakim Tom próbował ominąć sporne kwestie teologiczne i sprowadzić rozmowę na inne tory.

— Oczywiście, że opowiem. Każdy Irlandczyk powinien znać historię swoich przodków. Czyż sam święty Patrick nie prowadził dyskusji z Osjanem?

— Przypomnij nam historię śmierci Cuchulaina — zaproponował Seamus.

— Tak, to bardzo pouczająca historia i wyciskająca łzy z oczu.

Mnich poprawił fałdy swojej wełnianej brązowej sutanny tak, by szczelnie okryć swoje ciało. Pochylił do tyłu głowę, przymknął powieki i melodyjnym, niemal śpiewnym głosem rozpoczął opowieść:

— Zdarzyło się to w odległych czasach, których nie pamiętają nawet najstarsi ludzie. Irlandia była wówczas spowitą przez mgły i tajemnice krainą. Świat dopiero się narodził, a wszystkie drogi prowadziły do domu. Ludzie przypominali olbrzymów i odznaczali się ogromną siłą. Królestwem Tara rządził potężny władca, a jego granic strzegli rycerze Ognistego Miecza. Cuchulain był jednym z najzręczniejszych i najszlachetniejszych wojowników w tamtych czasach. Jego imię, z którym spotkacie się również w innych opowieściach, oznaczało — Wielki Tropiciel z krainy Chulain. Wychował się w Szkocji, gdzie wojownicze plemię Amazonek nauczyło go sztuki walki i obrony. Jego nieodłącznym towarzyszem i przewodnikiem był Laeg z tajemniczej krainy czarów Tir-na-n'Og. Posiadał on nadprzyrodzone zdolności. Potrafił zatamować krew i leczyć rany, wobec których nawet najlepsi medycy byli bezsilni. Laeg poprzysiągł, że będzie wiernie towarzyszył Cuchulainowi aż do samej śmierci.

Pewnego razu zdarzyło się tak, że wszyscy Rycerze Ognistego Miecza opuścili swoje domy i tylko Cuchulain pozostał na posterunku ze swym oddanym towarzyszem. Właśnie wtedy wrogowie Tara przypuścili atak. Cuchulain już chciał stanąć do nierównej walki, gdy stała się rzecz straszna. Macha, dzielny koń wojownika, nie dał się zaprząć do wojennego rydwanu. Zachowywał się tak, jakby ktoś rzucił na niego zły czar. Nawet Laeg, który znał mowę zwierząt, nie mógł zmusić go do posłuszeństwa. A gdy Cuchulain wszedł do stajni, rumak położył się na ziemi i zapłakał krwawymi łzami. Rycerz zrozumiał, że nie ma już dla nich ratunku. Słyszał, jak Morigu, zła wróżka zwiastująca wojownikom śmierć, woła jego imię. Aby nie mógł wymknąć się przeznaczeniu, wróżka rzuciła na niego urok. Cuchulain nie mógł poruszyć ani lewą ręką, ani nogą. Pomimo to zabił wielu wrogów, zanim padł w boju. Ponieważ przeczuwał, że jego koniec jest bliski, przywołał Laega i powiedział mu:

— Przyjacielu, mój czas nadszedł.

Laeg wybuchł płaczem:

— Nie, panie, pozwól, że użyję swej mocy, by cię wyleczyć, a wówczas położysz trupem wszystkich swoich wrogów.

— Już nie tym razem — odpowiedział Cuchulain smutnym i zrezygnowanym głosem. — Zanim umrę, chcę prosić cię o ostatnią przysługę.

— Jeśli tylko będzie to w mojej mocy, spełnię każdą twą prośbę. — Odpowiedział Laeg.

— Nie chcę umierać jako pokonany, czekając, aż wróg zada mi śmiertelny cios. Przy wiąż mnie do drzewa, chcę spojrzeć śmierci prosto w oczy, stojąc na własnych nogach. Nie mam jednak dość sił, aby zrobić to sam.

— Będzie, jak każesz, panie — rzekł Laeg i przy pomocy swych magicznych sił przywiązał umierającego do drzewa. Kiedy wrogowie ujrzeli Cuchulaina skrepowanego sznurami i bezbronnego, rzucili się w jego stronę, by go dobić. Ale w tej' właśnie chwili oślepił ich niezmierny blask, który bił od pokrytych złotem i brylantami zbroi niebiańskich rycerzy. To Laeg przywołał ich ze swej magicznej krainy Tir-na-n'Og.

— Zostawcie go! — odezwał się potężnym głosem. — Cuchulain należy teraz do królestwa Tir-na-n'Og. Na wieki przeniósł się do krainy snów. Świat nigdy więcej nie ujrzy jego dzielnych czynów.

Na oczach osłupiałych wrogów zastępy niebiańskich rycerzy przeniosły ciało bohatera na złote mury i uniosły do odległej krainy czarów.

Głos brata Damiena posiadał właściwości muzycznego instrumentu. Zakonnik potrafił zmieniać ton i rytm wypowiedzianych słów zależnie od ich treści. Dzięki temu opowieść zyskiwała niepowtarzalną atmosferę, pełną emocji i nagłych zwrotów. Tom i Seamus słuchali jak zauroczeni. Jak to byłoby cudownie zostać odważnym i niepokonanym rycerzem, zdolnym do ponadludzkich czynów, bohaterem legend i pieśni.

— To była wspaniała opowieść, bracie Damien. Twój głos posiada doprawdy magiczną moc — odezwał się Tom. Jego zachwyty były szczere.

— My wszyscy, przodkowie Celtów, posiadamy duszę bardów. Czy wiecie, że w odległych czasach sztuka opowiadania historii była w cenie? Na dworze każdego bogatego szlachcica przy stole było zawsze miejsce dla starego człowieka, który opowiadał zebrany przedziwne historie z odległej przeszłości kraju. Mój ojciec należał do takich ludzi. Pamiętam jeszcze, jak opowiadał mi legendy, które teraz przekazuję wam. Ta odwieczna tradycja jest istotą naszej irlandzkiej kultury. Nawet Anglicy nie byli w stanie wymazać z naszej pamięci pradawnych historii.

Brat Damien zamilkł na chwilę. Przyglądał się chłopcom łagodnym wzrokiem, jak ojciec przygląda się swoim synom. Potem rzekł:

— Powinniśmy już wracać. Opat na pewno zauważył naszą nieobecność i będzie chciał wiedzieć, co robiliśmy przez tak długi czas. Proponuję uzgodnić wspólną wersję wydarzeń tego popołudnia — powiedział konspiracyjnym tonem. — Proponuję przyjąć, że mieliśmy nadprogramową lekcję teologii. Wziąłem was na spacer, by pokazać, jak Pan Bóg przejawia swą dobroć poprzez najmniejszy listek czy źdźbło trawy, jak twierdzi święty Tomasz z Akwinu.

W trójkę ruszyli w drogę powrotną.

20.

Swoje nowe zajęcie Mary przyjęła z gorzką rezygnacją. Do jej obowiązków należała opieka nad pięciorgiem dzieci państwa Cooke i udzielanie im lekcji czytania i pisania. Rodzice oczekiwali, że Mary nauczy ich dzieci nie tylko szacunku dla wiary i sumiennego wykonywania religijnych powinności, jak to nakazywała Ewangelia, ale także właściwego podejścia do republikańskich idei i socjalnego statusu rodziny Cooke'ów. Rozpoczęła pracę o szóstej rano, a kończyła z chwilą, gdy wszystkie dzieci położyły się spać. Oprócz tego miała utrzymywać porządek w pomieszczeniu lekcyjnym, w pokojach dzieci, zwracać uwagę na ich ubiór, przygotowywać lekcję na następny dzień. Ten ostatni obowiązek nie był łatwy, gdyż jej podopieczni byli w różnym wieku. Ciężka i odpowiedzialna praca pomagała Mary zapomnieć o troskach i smutkach. Dzięki niej straszliwe myśli, które tak często nachodziły dziewczynę, powoli oddalały się, a wraz z nimi świadomość nieszczęścia, które wstrząsnęło jej życiem. Czas leczył rany. Miesiące upływały szybko, jeden za drugim. Mary rozpoczęła już trzeci rok służby u Cooke'ów i z zadowoleniem stwierdziła, że powoli odzyskuje siły i chęć do życia. Nie myślała już tak często o utraconym na zawsze Michelu i o Tomie, który przebywał gdzieś daleko od niej. W miarę jak dawne cierpienia zaczęły wygasać, w sercu dziewczyny odezwały się dawne pragnienia. Marzenia, by dojść do czegoś, by mieć coś na własność i by stać się kimś więcej niż tylko posłu — gaczką, z powrotem zaprzętały jej umysł.

Była piękna, letnia sobota. Minęły już ponad dwa lata od dnia, kiedy Mary przyjechała do Tuxedo Park. Siedziała właśnie w jasnym, wypełnionym słonecznym blaskiem pokoju. Cerowała dziury w bryczesach małego Jonathana Cooke'a. Dziewięcioletni chłopiec odznaczał się wręcz demonicznym temperamentem, któremu nie potrafiły sprostać nawet najbardziej wytrzymałe ubrania. PanrCooke wybrała się właśnie na spacer, zabierając ze sobą całą piątkę. Dlatego Mary mogła wyjść ze swego pokoiku na poddaszu i spędzić popołudnie w przestronnym pokoju na drugim piętrze, specjalnie przeznaczonym do wykonywania różnych drobnych domowych zajęć.

W pokoju panowała miła atmosfera. Promienie słoneczne rzucały jasne pasy na kolorowe tapety ścian. Za oknem stała obsypana białymi kwiatami jabłoń, wydzielając miły, łagodny zapach późnej wiosny. Mary siedziała na kozetce, twarzą zwrócona do okna. Z rozkoszą chłoneła panującą w domu ciszę i spokój, którego tak bardzo brakowało w jej codziennym życiu. Wtem usłyszała odgłos czyichś kroków i przekręcanego w zamku klucza. Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła, że do pokoju wszedł pan Cooke.

— Dzień dobry, Mary — jego głos był dziwnie łagodny i miękki, całkowicie pozbawiony ozięblej rezerwy, z jaką zwykł zwracać się do służby. Zanim Mary zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, mężczyzna usiadł obok niej. Niewielka kozetka aż stęknęła pod jego ciężarem.

— Dzień dobry, panie Cooke — odpowiedziała, z trudem opanowując zdenerwowanie.

Chciała wstać, ale potężna ręka mężczyzny spoczęła na jej drobnym ramieniu. Dziewczyna instynktownie spojrzała w stronę drzwi. Spostrzegła, że były zamknięte na klucz, chociaż zostawiła je otwarte, wchodząc do pokoju. Nagłe uczucie zagrożenia sparaliżowało na moment całe jej ciało.

— Przyglądałem się tobie, Mary — powiedział pan Cooke w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do jego zamiarów. — I muszę przyznać, że bardzo mi się podobasz.

Przysunął się jeszcze bliżej i Mary poczuła, jak natarczywie przyciska swoją nogę do jej uda. Automatycznie odsunęła się na brzeg kozetki. Była przerażona, kiedy pan Cooke, lekceważąc ten gest niechęci, przysunął się do niej ponownie. Niezręcznie próbował ją objąć, a jego noga zaczęła rytmicznie ocierać się o jej kolano. Na twarzy czuła jego przyśpieszony oddech.

Co ma zrobić? Rozpaczliwe pytanie kołatało się w rozpalonej głowie dziewczyny. Czy ma udawać, że nic się nie stało? Że był to tylko niewinny żart ze strony pracodawcy? Czy rozsądnie jest sprzeciwić się człowiekowi, od którego może zależeć jej całe przyszłe życie? Przecież jeśli wyrzuci ją, nie dając żadnych referencji, nigdzie więcej nie znajdzie pracy. Mary miała wrażenie, że te natrętne pytania i myśli rozsadzają jej głowę. Na Boga! Czy nie mógłby po prostu sobie pójść? Podjęła ponowną próbę, by oswobodzić się z jego uścisków. Silne ręce pana Cooke'a trzymały ją jednak bardzo mocno.

— Wiesz, że moja żona nie darzy cię zbyt wielką sympatią? — jego głos był dziwnie zmieniony. — Twierdzi, że za bardzo zadzieraszą nosa. Czy to prawda, Mary?

Uścisk jego rąk stał się mocniejszy, jakby domyślał się, że swym pytaniem może przstraszyć ją jeszcze bardziej.

— Bardzo proszę, panie Cooke — odezwała się błagalnym tonem — ja chcę tylko dobrze spełniać swoje obowiązki.

— Ależ naturalnie — wyszeptał jej do ucha. Mary czuła we włosach jego pośpieszny oddech. — Ja tylko pragnę ci pomóc w twojej pracy.

Jego nalana twarz stała się purpurowa. Krew uderzyła mu do głowy. Na czole pojawiły się kropelki potu. Mary zrozumiała, że nie ma dla niej ratunku. Jeśli spróbuje uciekać, dogoni ją. Jeśli będzie się bronić, weźmie ją przemocą. Opór tylko podnieciłby go jeszcze bardziej. Nie było sposobu, by wyrwać mu z ręki klucz, dobiec przed nim do drzwi, otworzyć je i uciec.

Nagle jakiś instynktowny impuls dodał jej sił i odwagi. Prawą ręką, która była wolna, sięgnęła ostrożnie do koszyka, gdzie znajdowały się przybory do szycia. Powoli wyjęła z niego wielkie krawieckie nożyce. Chwyciła je mocno w dłoń i przyłożyła ostrze do brzucha napastnika. Odezwała się opanowanym, zimnym głosem.

— Jest pan dla mnie bardzo miły, panie Cooke, że chce mi pomóc w mojej pracy. Myślę jednak, że sama dam sobie doskonale radę.

Realna groźba, która kryła się w tym pełnym desperacji geście, momentalnie otrzeźwiła pana Cooke'a. Spojrzał na wymierzone w swoim kierunku ostrze. Czy to możliwe, by ta mała irlandzka dziwka chciała go zabić, jeśli zlekceważy jej opór i spróbuje wziąć ją siłą? — pomyślał. — Nie odważy się na coś podobnego! Pan Cooke oderwał wzrok od niebezpiecznych nożyc i spojrzał głęboko w oczy dziewczyny. Jej zimnozielone źrenice powiedziały mu, że Mary nie żartuje. Powoli rozluźnił ucisk i puścił dziewczynę wolno. Mary stale trzymając nożyce w lewej ręce, prawą szybko włożyła swoją robótkę do wiklinowego koszyka.

— Muszę już iść — odezwała się stanowczym głosem. — Będzie lepiej, jeśli odda mi pan klucz od pokoju, panie Cooke.

Przyglądając się jej z fascynacją, z ociąganiem wręczył jej klucz.

Mary nie spuszczać oka z mężczyzny, otworzyła zamek, wyszła z pokoju i szybko zatrzasnęła za sobą drzwi. Dopiero wówczas spostrzegła, że pokaleczyła sobie palce — tak mocno ścisnęła w dłoni nożyce. Wzburzenie i poczucie zagrożenia opuściły ją dopiero w chwili, gdy zaryglowała drzwi swego małego pokoiku na poddaszu. Postanowiła, że nie będzie płakać, że nie straci nad sobą kontroli, że pozostanie całkiem opanowana. Usiadła na łóżku, wpatrując się z wyczekiwaniem i napięciem w zamknięte drzwi. Nasłuchiwała krzyków, odgłosu bieganiny i natarczywego kołatania do zaryglowanych drzwi pokoju. Cały czas ścisnęła w pokaleczonych dłoniach jedyną broń, jaką mogła przeciwstawić przemocy — krawieckie nożyce. Kiedy odłożyła je na łóżko, spostrzegła, że nie może opanować drżenia całego ciała. Otaczała ją zupełna cisza. Jedyne, co słyszała, to niespokojne bicie własnego wystraszonego serca.

Stwierdziwszy, że nic jej na razie nie zagraża, Mary opadła zmęczona na łóżko. Była bezpieczna, przynajmniej w tej chwili. Wiedziała jednak, że pan Cooke nigdy nie wybaczy jej tego, co zrobiła. Przypomniała sobie niedwuznaczną natarczywość Randolfa Hartingtona. Wraz z tą myślą pojawiła się też druga — że tym razem musi bronić swej godności sama. Nie było już Michela, w którego silne ramiona mogła się schronić. Nie było ucieczki ani zapomnienia.

Tym razem musiała radzić sobie sama.

21.

Tom — cichy szept rozległ się w pogrążonej w ciemnościach sali — czy śpisz już?

— Nie, Seamus, czy coś się stało?

Chłopcy spali wraz z pozostałymi uczniami we wspólnej sali. Był środek nocy i wokoło panowała zupełna cisza. Tylko czasami dało się słyszeć ciche westchnienie któregoś ze śpiących chłopców. Tom nie mógł niczego dostrzec w ciemności. Wyczuł jednak instynktownie, że Seamus wstał ze swego łóżka i na palcach przemierzył bezgłośnie pokój, po czym usiadł przy swoim biurku.

— Wisi nade mną ten jutrzejszy egzamin, Tom — odpowiedział drżącym ze zdenerwowania głosem. — Zupełnie nie potrafię wbić sobie do głowy tych łacińskich deklinacji. Jeśli obleję jutro, to znowu za karę wygarbują mi skórę.

Tom wstał i podszedł po omacku do zmartwionego przyjaciela. Biedny Seamus — jego obawy były całkiem uzasadnione. Nie miał łatwego życia. Z trudem wytrzymywał surowe warunki panujące w klasztorze. W jego wypadku kara chłosty wydawała się być okrucieństwem. Z każdym dniem ze schorowanego i wymęczonego ciała chłopca uchodziły stopniowo siły. Tom dotknął smukłej dłoni swego przyjaciela. Poczuł, że była rozpalona.

— Znowu masz gorączkę, Seamus. Musisz wrócić do łóżka, inaczej twój stan się pogorszy.

Tom przeklinał w głębi serca bezwzględność i fanatyzm mnichów. Wyczuwał, że coraz silniejsze nawroty choroby Seamusa powodowane były strachem i ciągłymi obawami przed surowymi represjami ze strony wychowawców.

— Nie mogę zasnąć, Tom. Denerwuję się. Czy nie moglibyśmy teraz razem powtórzyć tych deklinacji? Jestem pewien, że w końcu je zapamiętam. — Jego głos wyrażał najwyższy stan udręczenia.

Tom walczył przez chwilę z ogarniającą go sennością. Wrócił do swego łóżka i wyciągnął spod materaca łacińską gramatykę. Trzymał ją tam, gdyż bezsenność i nerwowe rozstroje męczyły Seamusa prawie każdej nocy.

— Niech diabli porwą tych szaleńców! — przeklął po cichu zakonnych braci, po czym wrócił do przyjaciela i rozpoczęli wspólne powtarzanie.

Wsluchując się w monotony głos Seamusa, który z trudem wymawiał łacińskie frazy, Tom poprzysiągł sobie, że zakonnicy nigdy go nie pokonają. Będzie walczył z nimi ich własną bronią — uporem.

Seamus O'Toole był najbliższym i jedynym przyjacielem, jakiego Tom miał do tej pory w swoim życiu. Atmosfera całkowitej izolacji, w jakiej wyrósł, spowodowała, że nie miał dotąd żadnych przyjaciół. Zawsze spotykał się z niechęcią, a nawet nienawiścią ze strony innych ludzi. Pobyt w klasztorze św. Ignacego zmienił tę sytuację tylko w niewielkim stopniu. Pozostali chłopcy, z którymi dzielił swój los w przyklasztornej szkole, byli tak pobożni, iż bez zastrzeżeń godzili się na represje i surowe traktowanie ze strony zakonnych braci. Swą dolę traktowali jak próbę, na którą wystawił ich Bóg. W każdym razie nie podzielali oni buntowniczego usposobienia Toma. Tylko Seamus zdawał się od początku podzielać jego wątpliwości. Zanim zaczął chorować na płuca, wspólnie z Tomem konspirowali przeciwko mniuchom. Razem planowali ucieczkę z klasztoru i dalekie, zamorskie podróże. Bez tych marzeń i gorącej przyjaźni nie znieśliby klasztornego życia.

A teraz tajemnicza choroba dręczyła ciało Seamusa. Tom widział, jak z każdym miesiącem jego przyjaciela opuszczają siły. Nie było w nim już żadnej woli przetrwania. Obowiązki oraz trudy klasztornego życia całkowicie załamały jego nadwątlone zdrowie. Zupełnie inaczej było z Tomem. Odziedziczył po ojcu fizyczną i psychiczną siłę, którą jeszcze bardziej zahartował opór wobec bezwzględnych, a często nawet okrutnych metod wychowawczych stosowanych przez zakonników. Spędzone w klasztorze dzieciństwo nauczyło go ostrożności w kontaktach z innymi ludźmi. Nie oczekiwał też zbyt wiele od życia.

Thadeus Martin pracował jako kupiec. Czasami żartowano z niego, iż zajął się sprzedażą i kupnem, zanim jeszcze nauczył się mówić. Faktycznie już w szkole wykazywał ogromne zdolności w zakresie umiejętności praktycznych. Podczas gdy z trudem opanowywał wiadomości z historii czy geografii na poziomie trzeciej klasy, bez najmniejszych kłopotów radził sobie z arytmetyką, wyprzedzając o wiele starszych od siebie kolegów. W rachowaniu i kalkulacji cen był tak szybki, jakby miał w głowie maszynę do liczenia.

Handel stał się jego pasją. Przerwał naukę po pięciu latach i zatrudnił się w magazynach pana Jenkinsa z niezachwianym postanowieniem, że zostanie kupcem. Będzie szukał towarów, których ludzie potrzebują i chcą nabyć. Jeśli ich nie zdobędzie, to każe je wyprodukować. A jeśli towary te nie znajdą uznania wśród kupujących, przekona ich z tak wielką siłą perswazji, iż sami uwierzą, że nie mogą dłużej bez nich żyć. Będzie bogaty, nie tak jak pan Jenkins czy pan Davitt, tutejszy adwokat, ale sto razy bardziej, jak ci milionerzy, o których można przeczytać w gazetach. A wszystko to osiągnie dzięki kupiectwu.

Kiedy po raz pierwszy spotkał Mary Dalton, wszystko układało się pomyślnie i zgodnie z zamierzeniami. Namówił pana Jenkinsa, by ten rozszerzył sprzedaż i przeniósł ją na ulicę. Wynajął wózek i załadował na niego towary. Przemierzał ulice Nowego Jorku, namawiając

ludzi do kupna. Sposób, w jaki zachęcał ich i prezentował towar, można było przyrównać do prawdziwej sztuki, na którą składał się dar przekonywania, elokwencja i znajomość ludzkiej psychiki. Niestety, większość ludzi, których spotykał, była biedna.

Thadeus Martin chciał robić interesy z ludźmi bogatymi. Chciał poznać, ich smak, potrzeby i zwyczaje. Słyszał, że niedaleko Nowego Jorku znajdują się posiadłości, w których mieszkają prawdziwi bogacze, skupiający w swych rękach władzę i pieniądze. Postanowił więc wybrać się tam ze swoim wózkiem pełnym towarów. Umówił się z panem Jenkinsem, że ten zapewni mu najdroższy asortyment, który odpowiadałby wybrednym gustom bogatych ludzi, po czym wyruszył w drogę.

Okazało się, że w krótkim czasie zapotrzebowanie na oferowane przez Thadeusa towary wzrosło. Po trzech latach ciężkiej pracy miał już tyle pieniędzy, iż mógł uniezależnić się od pana Jenkinsa i pójść własną drogą. W jego umyśle zaczęła powoli kiełkować myśl o stworzeniu własnego imperium. Zdecydował, że młody mężczyzna w jego wieku, tak obiecująco rozpoczynający karierę, powinien wreszcie pomyśleć o założeniu rodziny. I w tym, tak ważnym momencie swego życia napotkał na swej drodze Mary Dalton, guwernantkę dzieci państwa Cooke.

Thadeus Martin nie robił sobie iluzji. Jego sytuacja materialna nie była najlepsza, choć nie wątpił, że z czasem znacznie się poprawi. Potrzebował miłej, bratniej duszy, jednocześnie gotowej znieść wiele trudów na drodze do zdobycia bogactwa i szczęścia. Dopiero kiedy pewnego popołudnia zobaczył w kuchni domu Cooke'ów Mary, zrozumiał, że spotkał właściwą osobę. Jej delikatne, pełne gracji ruchy, dystyngowany sposób zachowania i wytworne słowa, których używała ... wszystko to bardzo mu odpowiadało. Był przekonany, że ich spotkanie nie było przypadkiem.

Z metodyczną skrupulatnością i konsekwencją zaczął starać się pozyskać względy dziewczyny. Miał niezachwianą pewność, że Bóg przeznaczył ją tylko dla niego.

— Im ciężiej będziesz pracował, tym bliżej znajdziesz się szczęścia — powtarzał mu zawsze ojciec. Przez całe swoje życie Thadeus postępował zgodnie z tą regułą i nigdy się nie zawiódł. Był pewien, że jeśli tylko włoży wystarczająco dużo wysiłku w swoje starania, Mary obdarzy go w końcu zaufaniem i pełnym oddaniem uczuciem.

Thadeus był człowiekiem o nerwowym i niespokojnym usposobieniu. Wysoka, niemal ascetyczna sylwetka odzwierciedlała jego pełen ambicji i niezłomnej woli charakter. Mary siedziała na ławeczce w parku. Martin stał koło niej i zwierzał się ze swoich planów na przyszłość. Miał miły, niski, ciepły głos, a jego gesty były pełne szlachetnej harmonii. Przyglądała mu się z życzliwą uwagą. Jego głęboko osadzone oczy patrzyły łagodnie i inteligentnie. Chociaż pan Martin nie mógł uchodzić za mężczyznę przystojnego, to jednak sprawiał miłe i sympatyczne wrażenie. Próbowwała odnaleźć w sercu jakiegokolwiek uczucie dla mężczyzny, który okazywał jej tyle dobroci i zainteresowania. A jednak nie potrafiła. Pozostawała niewzruszona i oziębła. Pan Martin zjawiał się w Tuxedo Park raz w miesiącu w dniu, kiedy

Mary miała wolne. Szli wówczas na wspólny długi spacer. Traktował ją niezmiernie delikatnie, jakby była księżycowym pyłem, który zniknie wraz z nadejściem poranka.

Zwykle siadali w jakimś uroczym zakątku parku i prowadzili długie, interesujące rozmowy. Tego dnia pan Martin jak zawsze opowiadał o swoich planach i marzeniach. Mówił z przejęciem, że chce zostać wielkim kupcem i posiadać wspaniały sklep, że pragnie mieć dużo dzieci w swoim dostatnim i eleganckim domu, prowadzonym przez czułą i kochającą małżonkę, że będzie obsypywał swoją wybrankę prezentami i zapewni jej bezpieczne i bogate życie. I tak będzie, być może, już wkrótce.

Pan Martin należał jednak do nieśmiałych mężczyzn, którzy nie bardzo wiedzą, jak należy postępować w kobietami. Tylko wtedy, gdy sprzedawał ludziom towary, stawał się odważny, energiczny i pełen inwencji. Wówczas jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozwiązywał mu się język, a słowa zaczynały zamieniać się w brzęczące srebrne monety. Klienci byli oczarowani elegancją i wdziękiem, z jakim oferował im swoje produkty, i nie potrafili oprzeć się jego ogromnej sile perswazji. Ale wobec Mary zachowywał się zupełnie jak mały, onieśmielony i trochę zagubiony chłopiec. Sądził, że czuje się skrępowana jego obecnością. Powściągliwość, z jaką przyjmowała jego regularne wizyty, utwierdzała go w tym przekonaniu. Nadszedł jednak czas, kiedy pan Martin uznał, że powinien wyjaśnić jej, jakie są prawdziwe powody jego przyjazdów do Tuxedo Park. Perspektywa posiadania własnego sklepu i rozpoczęcia całkiem nowego rozdziału w życiu zdawała się być niemal w zasięgu ręki. Postanowił w łagodny i ostrożny sposób dać tej wrażliwej dziewczynie do zrozumienia, iż wiąże z jej osobą poważne plany. Zawsze starał się unikać używania swego kupieckiego żargonu w rozmowach z Mary. Jednak teraz był zdecydowany posłużyć się swoimi handlowymi zdolnościami, przedstawić dziewczynie uczciwą „ofertę” i przekonać się, czy zgodzi się przyjąć jego warunki.

— Mary — usiadł na ławce tuż koło niej — czy byłaś kiedyś w Bostonie?

Odwróciła twarz w jego stronę, uśmiechnęła się trochę zakłopotana i przecząco pokręciła głową. Letnie słońce świeciło przez gałęzie zielonych drzew, rzucając na jej twarz migotliwe, jasne promyki. Była tak piękna, że Martin z trudem mógł złapać oddech.

— Już w przyszłym miesiącu, Mary, będę mógł zrealizować swoje marzenia i otworzyć sklep. Boston wydaje mi się najlepszym miejscem do tego. — Jego oczy zapłonęły dziwnym blaskiem, kiedy zaczął mówić o przyszłości. — Boston to piękne i bogate miasto. Nie ma sobie równego w całym kraju. Jest tam pełno szkół i swoją siedzibę ma Uniwersytet Harvardzki, na którym mogliby studiować moi przyszli synowie.

Na myśl o dzieciach, absolwentach renomowanej uczelni, na jego twarzy pojawił się pełen dumy uśmiech, Mary spojrzała na niego z większym zainteresowaniem.

— To miasto wielkich kontrastów, tak jak Nowy Jork, choć w Bostonie są one jeszcze bardziej jaskrawe i widoczne. Bogactwo sąsiaduje z biedą, tubylcy przemieszani są z nową

emigracją. Wszystko w Bostonie objawia się wyraziściej, z większą siłą, zarówno piękno, jak i brzydota — przerwał na chwilę, jakby starał się przywołać z pamięci obrazy miasta, które zapamiętał z licznych podróży. — Mary, zamierzam pojechać do Bostonu w przyszłym miesiącu... na stałe. Chciałbym, byś pojechała ze mną.

Poczuła ucisk w żołądku. Oczekiwała od dawna tej propozycji. Zastanawiała się nad nią tysiąc razy z nadzieją i obawą zarazem. Wszystkie niedzielne spotkania i długie rozmowy na różne tematy zdawały się zmierzać właśnie do tego wyznania. Dręczące rozmyślenia w czasie bezsennych nocy i pełne desperacji plany ucieczki z Tuxedo Park, by uwolnić się raz na zawsze od natrętnych propozycji pana Cooke'a, znajdowały rozwiązanie w jednej decyzji, którą musiała teraz podjąć. Miała nadzieję, że sprostą tej chwili.

Jej gardło było tak suche z wrażenia, że gdy zdecydowała się w końcu odezwać, jej głos przybrał niemiły, chrapliwy ton. Odchrząknęła i z bijącym sercem powiedziała:

— Panie Martin. Jestem zaszczycona pańską propozycją. Jednak tego rodzaju decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień. Dlatego proszę o wyrozumiałość, jeśli nie otrzyma pan odpowiedzi od razu.

Spojrzała w jego ciemne oczy, wpatrzone w nią z napięciem i wyrazem błagalnej prośby. Starła się nadać swym słowom szczery ton.

— Potrzebuję czasu, zanim podejmę decyzję.

Thadeus nieoczekiwanie nachylił się nad nią, delikatnie położył dłoń na jej ramieniu i pocałował w czoło. Mary poczuła nieprzyjemny dreszcz odrazy. Nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek przez jej usta przejdzie słowo „tak”. Nie wyobrażała sobie, by mogła się zmusić do zaspokojenia seksualnych potrzeb swego ewentualnego nowego męża, tak jak to musi robić każda żona. O Michel! Jak mogłeś mnie opuścić — pomyślała z rozpaczą, ale natychmiast wzięła się w garść.

— Jesteś wspaniałą kobietą, Mary, wprost wymarzoną, by zostać moją żoną. Rozumiem, że podjęcie tak poważnej decyzji nie jest dla ciebie prostą sprawą. Doceniam twoją szczerość i ostrożność przed dokonaniem podobnego kroku. Czy będziesz gotowa udzielić mi ostatecznej odpowiedzi, kiedy przyjadę do ciebie w przyszłym miesiącu?

Przytaknęła, wdzięczna za jego wyrozumiałość. Pan Martin zatarł z zadowoleniem swoje olbrzymie dłonie. Mary wydawała mu się tak dobrą i troskliwą kobietą!

22.

Im słodsze wino, tym więcej trzeba za nie zapłacić — zwykła mawiać często matka Mary. Dzisiaj z goryczą przypomniła sobie te słowa. Jej obecna sytuacja potwierdzała bowiem tę smutną prawdę. O Michel, mój kochany! Szczęśliwe życie z tobą było tak słodkie! Jakże wysoką cenę przychodzi mi teraz za to zapłacić-myślała pogrążona w głębokim smutku.

Siedziała na łóżku w swoim niewielkim pokoiku na poddaszu wspaniałej rezydencji państwa Cooke'ów. Chciała wyciszyć w swym sercu głos niespokojnego sumienia. W porównaniu z jej pokojem pomieszczenia dla pozostałej służby przypominały klasztorne cele. Metalowe łóżko, stolik, porcelanowy dzbanek i miednica do mycia oraz niewielka biblioteczka z książkami do nauki były całym jej skromnym dobytkiem, jaki zgromadziła po trzech latach ciężkiej służby. Nie skarżyła się wiedząc, że pozostali członkowie służby żyli w o wiele cięższych warunkach. Pozycja guwernantki dawała nad nimi pewną przewagę.

Mary stanęła w końcu przed podjęciem decydującego kroku. Początkowa niechęć i opory, z jakimi przyjmowała pojawiającą się szansę na zmianę w życiu, powoli zaczęły ustępować miejsca rozsądkowi. Wzięła głęboki oddech i postanowiła przemyśleć wszystko od początku. Jeśli wyjdzie za pana Martina — w ostatnim czasie starała się usilnie przekonać o konieczności takiej decyzji — jej sytuacja odmieni się. Wprawdzie musiałyby żyć z mężczyzną, którego nie kocha, lecz z drugiej strony jej puste, samotne życie rozjaśniłaby radość z posiadanych z nim dzieci. Miałyby własny dom, pozycję społeczną oraz nadzieję na lepszą przyszłość. Jednak myśl, iż ma poślubić kogoś z rozsądku, wciąż wydawała się jej nie do przyjęcia. Z wielkim trudem i oporem powoli dopuszczała ją do świadomości. Jeśli pójdzie za głosem serca, czekają ją długie i wypełnione smutkiem lata samotności. Nie wierzyła, by mogła znaleźć w życiu jeszcze raz takiego mężczyznę jak Michel. W końcu strach przed samotnością zdecydował o wyborze mniejszego zła.

— Michel, Michel, zawsze pozostanę ci wierna — powtarzała niemal każdego dnia. Ale Michel nie żył i już nie wróci. Nie wyobrażała sobie, by ponownie w jej życiu mogła zdarzyć się tak wielka namiętność. Może pan Martin jest

tylko obwoźnym kupcem, który chodząc od drzwi do drzwi oferuje bogatym ludziom swoje towary, myślała. Jest jednak pracowitym i bardzo ambitnym człowiekiem, pełnym nadziei na lepszą przyszłość. W jego planach było miejsce również i dla niej. Potrzebowała tylko wykrztusić z siebie to jedno słowo — tak. Przecież nawet małżeństwo z rozsądku, pozbawione oparcia w prawdziwym uczuciu, było lepsze od jej dotychczasowej sytuacji u państwa Cooke'ów.

Mary nerwowo obracała w palcach złoty medalion, który nosiła na szyi od dnia, w którym otrzymała go w prezencie od Michela. Było to tak dawno temu! Wydawało się jej, że

minęła już cała wieczność. Otworzyła medalion drżącymi rękoma i spojrzała na miniaturowy wizerunek zmarłego kochanka. Poczowała, jak łzy zaczynają napływać jej do oczu.

— Wybacz mi, mój najdroższy — powiedziała głośno, jakby chciała w ten sposób dodać swoim słowom więcej wyrazu i siły. — Wybacz, że muszę to zrobić... życie jest okrutne dla kobiet...

Zdjęła medalion z szyi ostrożnie jak relikwię i przycisnęła do rozpalonych warg. Potem troskliwie zawinęła go w kawałek szmatki i włożyła do małego pudełeczka. Zamknęła je na klucz w szufladzie. Po jej policzkach spływały wielkie łzy. Wytarła je i zaczęła ubierać się na spotkanie z panem Martinem. Zastanawiała się, jak powiedzieć mu o Tomie.

— Panie Martin — szli razem wzdłuż brzegu jeziora Wee Wah. — Chciałam o coś pana zapytać.

— Odpowiem na każde twoje pytanie, Mary.

Jej głos był niepewny i pełen troski. Thadeus sądził, że Mary martwi się swoją decyzją, dotyczącą ich wspólnej przyszłości.

— Słyszałam o pewnej dziewczynie... była służącą... i miała nieślubne dziecko — prze-rwała zmieszana.

Thadeus pomyślał, iż to ujmujące, że Mary przejęła się tak bardzo podobną historią.

— Ta dziewczyna bardzo kochała ojca swego dziecka. Niestety zmarł on, zanim zdążyli się pobrać.

Thadeus spostrzegł, że Mary cała drży z przejęcia. Najwyraźniej los biednej dziewczyny bardzo ją poruszył. Nie wiedział przecież, do czego Mary zmierza.

— To bardzo przykra historia — odezwał się. — Co chciałabyś wiedzieć?

Spojrzała na niego smutnym wzrokiem. Jej piękne, zielone oczy błyszczały w słońcu.

— Muszę wiedzieć... chciałabym wiedzieć, jakbyś potraktował tę kobietę, gdybyś ją poznał? — powiedziała jednym tchem.

Thadeus długo myślał nad odpowiedzią. Mary wydawała mu się całkiem niewinną dziewczyną o czystym i szlachetnym sercu. Historia upadłej kobiety musiała bardzo wstrząsnąć jej sumieniem. Domyślał się, że sposób, w jaki potraktuje tę sprawę, będzie miał decydujący wpływ na jej stosunek do ewentualnego małżeństwa. Zadając to pytanie, chciała najwyraźniej poznać lepiej jego poglądy i charakter. Dlatego odpowiedział ostrożnie dobierając słowa.

— Czuję oczywiście litość dla tej nieszczęśliwej kobiety, ale na pewno

też starałbym się jej uzmysłować, że sama ponosi winę na swój upadek. Jej cierpienia były wynikiem grzechu, którego bezmyślnie się dopuściła.

Mary spojrzała na niego z zakłopotaniem. Nie była to odpowiedź, której oczekiwała.

Postanowił spróbować jeszcze raz.

— Byłbym naturalnie miły dla takiej osoby, Mary — rzucił na nią niepewne spojrzenie.

— Czy ożeniłbyś się z taką kobietą? — przyglądała mu się uważnie z napięciem i oczekiwaniem.

Wydawało mu się dziwne, że przywiązywała aż tak wielką wagę do tej całej historii... Być może, po raz pierwszy zetknęła się z tego rodzaju przypadkiem bezwstydney niemoralności i była tym faktem wstrząśnięta.

— Dobry Boże, Mary! Cóż za pytanie? — odparł z wymuszonym śmiechem. — Oczywiście, że nie ożeniłbym się z taką kobietą. Ja chcę się związać z osobą o tak nieposzlakowanej reputacji jak ty. Niewinność u kobiet to wielki dar, który każdy mężczyzna przyjmuje z radością. To złoty diadem zdobiący skronie kobiety, jak napisano w Biblii. Nie, Mary, chociaż na pewno nie odmówiłbym tej kobiecie pomocy, to jednak małżeństwo...

Pokręcił głową na znak, że taki przypadek w ogóle nie wchodzi w rachubę. Nagle dostrzegł łzy w jej oczach. Jakże musi być wrażliwą istotą, skoro tak bardzo przejmuje się nieszczęściem innych — pomyślał naiwnie.

— Jestem przekonany, że tej kobiecie nic złego się nie stanie — próbował ją pocieszyć. — Są przecież specjalne przytułki, które przygarniają matki z nieślubnymi dziećmi. Z tego co wiem, noworodki najczęściej idą do adopcji.

Przytaknęła, niezdolna wydobyć z siebie żadnego słowa.

— Czy bardzo martwisz się losem tej kobiety, Mary? Znasz ją może?

— Martwię się losem jej syna — odparła z drzeniem w głosie.

— Rozumiem, to rzeczywiście przykra sprawa. — Po namyśle dodał: — Los nieślubnych dzieci jest nie do pozazdroszczenia. Szkoda, że twoja znajoma nie pomyślała o tym, zanim zdecydowała się wydać dziecko na świat.

Mary spojrzała na Thadeusa z rozpaczą.

— Jesteś niezmiernie rozstrojona, moja droga. Może lepiej odprowadzę cię teraz do domu. Przyjadę znów za dwa, trzy dni i wtedy dasz mi ostateczną odpowiedź. Myślę, że wówczas będzie nam łatwiej zapomnieć o tej całej historii z kobietą i nieślubnym dzieckiem i skoncentrować się na naszych sprawach — odparł uprzejmie.

Ostrożnie ujął ją pod rękę. Pomyślał, że Mary jest wyjątkowo wrażliwą kobietą, dlatego powinien chronić ją przed kontaktem z brutalnym i okrutnym życiem. Był głęboko poruszony faktem, że spotkał na swej drodze tak wspaniałego towarzysza doli.

Mary nie wiedziała, jak powinna zareagować na propozycję Thadeusa. Jakiś rozpaczliwy głos w jej sercu powtarzał natrętne pytanie, na które nie знаła odpowiedzi: co mogę jeszcze zrobić?

Pan Martin usiadł na ławce. Na jego twarzy rysował się wyraz najwyższego zakłopotania. Zapadła kłopotliwa cisza. Słodki Jezu! Wybacz mi -pomyślała. Z wielkim trudem przyszło jej przerwać milczenie i wypowiedzieć te słowa.

— Zostanę pańską żoną. To dla mnie zaszczyt. Czuję się jednak w obowiązku uzmysłowić panu, że nie jestem tak doskonałą kobietą, za jaką mnie pan bierze... Ale jeśli zaakceptuje mnie pan taką, jaką jestem, chętnie pojedę do Bostonu — przerwała zmieszana.

Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć więcej. Miała cichą nadzieję, że kiedyś nadejdzie dogodny moment, w którym będzie mogła powiedzieć panu Martinowi o Tomie. Poprzednią noc spędziła na gorączkowych rozmyślaniach, jak wybrnąć z kłopotliwego położenia, jak powiedzieć temu szlachetnemu i bardzo naiwnemu człowiekowi o swojej przeszłości. To było niemożliwe... przynajmniej na razie. W końcu podjęła decyzję. Tom zostanie w Irlandii jeszcze przynajmniej kilka lat. To wystarczająco odległa perspektywa, by znaleźć odpowiedni moment i powiedzieć Thadeusowi o istnieniu syna. Do tego czasu rozkocha go w sobie, ułagodzi i przygotowuje do konfrontacji z okrutną prawdą. Wówczas na pewno zrozumie i nie będzie czynił wyrzutów.

Co mogę jeszcze zrobić? — to pytanie wciąż powracało. Natrętym echem odbijało się w jej rozpalonej głowie. Dostrzegła wyraz wielkiego uniesienia w oczach pana Martina, który otoczył ją swym długim, kościstym ramieniem. W tym geście kryła się ulga i wdzięczność mężczyzny, który usłyszał w końcu upragnione „tak”.

— Kocham cię, Mary! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Ze mną będziesz zawsze bezpieczna i szczęśliwa.

23.

Mary leżała w łóżku, starając się powstrzymać łzy napływające jej do oczu. To była noc poślubna. Pan Martin z dumą wprowadził swą małżonkę do skromnego wynajętego mieszkania w Nyack. Ślub odbył się po południu — niewielka, pozbawiona romantyzmu ceremonia, sprowadzająca się do podpisania oficjalnego aktu zawarcia małżeństwa. Mary przypominała sobie swoje dawne nie spełnione marzenia, by móc zaznać ciszy i spokoju małżeńskiego życia. Ta nieopatrzna myśl otworzyła drzwi do najdalszych zakamarków duszy, gdzie uwięziona była tęsknota i ból po utracie ukochanego mężczyzny.

Dziewczyna czuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Z każdą minutą dzień stawał się krótszy. Zbliżała się noc. Pamiętała, jak kiedyś przed laty Michel tłumaczył jej, że każdy mężczyzna może łatwo rozpoznać, czy kobieta jest dziewicą czy nie. Świadomość nieuchronnych pytań ze strony nowego męża przerażała ją. W duchu przyrzekała Bogu, że jeśli pomoże przeżyć jej najbliższe godziny, to będzie dla pana Martina najlepszą żoną na świecie. Niech tylko niczego nie zauważy!

Thadeus Martin wszedł do pokoju nieśmiałym krokiem, ubrany w długą nocną koszulę, która wisiała na nim jak na wieszaku. Na nogach miał bambosze z wielkimi pomponami. Wyglądał tak groteskowo i niezgrabnie, że gdyby Mary nie była przerażona sytuacją, na pewno wybuchnęłaby śmiechem. Przy — człapał do łóżka i bez słowa zdmuchnął płomień świecy. Potem w ciemności odezwał się cichym pytającym tonem:

— Mary...

Nie dokończył. Zaczął niezdarne ściągać z niej nocne ubranie. Ledwo słyszała, jak mamrotał niewyraźnie, że nie chce jej zranić i żeby się nie bała. Jego głos stał się bardziej natarczywy, gdy próbował wdrapać się na nią. Mary zaczęła się instynktownie bronić. Łzy napłynęły jej do oczu. Już chciała wyrwać się z nieprzyjemnego uścisku, gdy nagle przez jej głowę przebiegła myśl, że jednak powinna być miła dla swego męża. Małżeństwo z nim było transakcją, z której korzyści czerpały obie strony. Thadeus dał jej nadzieję na lepszą przyszłość i ona powinna to docenić. Próbowała nie być obojętna. Objęła go, położyła dłoń na jego kościstych plecach i starała się zmusić do jakiejś pieszczoty. Poddała się rytmicznym ruchom jego ciała. W pewnym momencie pan Martin wydał z siebie zaskakujący dźwięk, jakby zaczął się krztusić, po czym zupełnie ucichł. Mary wpadła w panikę. Była pewna, że mąż zorientował się, że nie jest jej pierwszym mężczyzną.

Thadeus Martin leżał przez dłuższy czas bez ruchu, oddychając ciężko i chrapliwie. Po chwili położył się na swojej części łóżka, poprawiając nocną koszulę. W końcu odwrócił się w stronę przestraszonej Mary i odezwał się do niej uprzejmym głosem, jak zawsze.

— Nie musisz się tak bardzo bać, Mary. To boli tylko za pierwszym razem. Poza tym to całkiem normalne w małżeństwie. Mąż zawsze takie rzeczy robi ze swoją żoną — pocałował ją troskliwie w policzek, odwrócił się plecami i zasnął.

Mary czekała, aż w pokoju rozlegnie się miarowy oddech śpiącego. Jej serce biło tak mocno, że nie mogła złapać tchu. A więc nie zorientował się. Mogła żyć dalej w swym kłamstwie. Ulga, którą odczuła, przeppełniła ją obawą, powróciły wyrzuty sumienia. Ostrożnie wstała z łóżka i poszła do kuchni. Tam namoczyła ręcznik, by wytrzeć nim lepka ciecz, która wypływała z jej ciała. Tak wyglądał więc seks uprawiany z obrzydzeniem, o którym Mary słyszała czasem od innych kobiet. Czuła się brudna. Ta pełna wydzielin, potu i oddechów miłość nie miała nic wspólnego z cudownym uczuciem całkowitego uniesienia, jakiego doświadczała z Michele. Mój Boże! — pomyślała z przerażeniem. Przed nią rozpościerała się perspektywa nie kończących się, budzących sprzeciw i odrazę aktów mechanicznej miłości. Kiedy wycierała swoje ciało, ogromne palące lzy zaczęły spływać jej po policzkach. Thadeus Martin leżał nieruchomo na łóżku i słuchał szlochu swej żony dobiegającego z kuchni. Nie spał. Gdyby nie to, iż oczekiwał podobnej reakcji ze strony swej niedoświadczonej dziewczyny, jej płacz zupełnie by go wyprowadził z równowagi. Tłumaczył sobie, że niewinna i wrażliwa Mary musiała ten akt małżeński bardzo głęboko przeżyć. Był pewien, że to minie. Jak każda kobieta, tak i ona przyzwyczai się do swych nowych małżeńskich obowiązków. Potrzebowała tylko trochę czasu, by oswoić się z nową sytuacją. Była tak kochana i wrażliwa. Musi dać jej czas, by nauczyła się być dobrą żoną. Każdy przecież widzi, że to szlachetna i uczuciowa dziewczyna. Pan Martin odwrócił się i zasnął twardym snem.

Mary stała w małej zimnej kuchni. Nie mogła uwolnić się od natarczywych wyrzutów sumienia i pełna rozpacz starała się przekonać samą siebie, że całe to małżeństwo jest tylko rodzajem umowy. Nie była jednak pewna, czy będzie w stanie dotrzymać jej warunków. Czy miała poddać się losowi i pogodzić z myślą, że każdej nocy zmuszona będzie znosić ohydę niechcianej i odrażającej miłości fizycznej. Czy w ten sposób nie popada z jednej niewoli w drugą? Nie mogła znieść gorzkich myśli i rozczarowania, które przyniosła jej pierwsza noc z mężem. Rozpacz Mary była tym większa, iż dla małżeństwa z panem Martinem poświęciła swoje związki z synem. Nawet nie pomyślała o jego dobru i szczęściu. Postąpiła jak wyrodna matka i teraz najchętniej, gdyby to było tylko możliwe, cofnęłaby wszystko. Z przerażeniem zrozumiała, iż swoim postępkami zdradziła pamięć o Michelu, zdradziła Toma, a nawet swojego nowego małżonka. Zdradziła także samą siebie. A przecież na małżeństwo zdecydowała się, mając najlepsze intencje. Uważała, że tak chce sam Bóg i że jest to dla niej jedyne rozsądne wyjście. Tak — miała dobre chęci, ale czyż droga do piekła nie jest nimi wybrukowana? Cóż są warte, jeśli zmuszają nas do wyrzeczenia się wszystkiego, co jest drogie naszemu sercu. Zamiast chronić swe najszlachetniejsze uczucia, jedyne co człowiek ma na własność w tym bezwzględny i okrutny życiu, Mary sprzedała je. Rozmieniła na drobne i po co?

Prowadzona nagłym impulsem sięgnęła po duży kuchenny nóż, który wisiał nad zlewem. Jedno celne pchnięcie oznaczało koniec udręki i wstydu — pomyślała. — Czy tak wielka ulga nie była warta chwili strachu i bólu? Powoli przyłożyła ostrze do piersi. Jednak po chwili przestraszona cofnęła rękę. Nagła myśl, która przebiegła jej przez głowę, podziałała na nią jak zimny prysznic. Nieprzyjemny dreszcz przeszył jej ciało. A jeśli prawdą jest to, co mówią ludzie, że dusze samobójców skazane są na wieczne potępienie? Że nigdy już nie mogą zaznać spokoju, bez końca tułają się w zaświatach i nie mogą odkupić swoich win. Wówczas już nigdy nie spotka swej biednej matki ani też nie połączy się na zawsze ze swym ukochanym mężczyzną. Poczowała, jak opanowuje ją przejmujący chłód. Odłożyła nóż na miejsce i usiadła przy kuchennym stole. Z wysiłkiem starała się uporządkować myśli. W nocy nasze życie zawsze wydaje się być pozbawione nadziei, pomyślała. Przypomniała sobie swój mały domek w Drumgillan i długie, bezsenne noce, spędzone na rozmyślaniach o przyszłości, pełne obaw o losy synka, wyrzutów sumienia, dręczących pytań o zbawienie duszy i odkupienie straszliwego grzechu. Strach, niepewność i bezsilność; te uczucia ogarniają nas zwłaszcza podczas bezsennych nocy i zmuszają do gorączkowych, jałowych rozmyślań. Ale przecież Mary przetrwała wszystkie przeciwności losu. Przeżyła właśnie dzięki nadziei. Bo wiem dopóki człowiek żyje, dopóty ma szansę odmienić swój los. Tę szansę człowiek zmarnuje, jeśli da ponieść się rozpacz i zrezygnuje z dalszej walki.

Nadchodził nowy dzień. Wyczerpana wróciła do łóżka. Położyła się i zapadła w niespokojny sen.

Mój drogi Tomie,

To, o czym zamierzam cię poinformować, może być dla ciebie trudne do zaakceptowania. Mogę mieć jedynie nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz mnie i wybaczysz decyzję, którą musiałam podjąć.

Wysłałam za mąż za pewnego dobrego człowieka, pana Thadeusa Martina. Tylko ty jeden wiesz, jak bardzo kochałam twego ojca. Dlatego tylko ty możesz zrozumieć, jak ciężko mi było podjąć tę decyzję. Związałam się z panem Martinem nie dlatego, iż czuję do niego miłość — nigdy więcej w moim życiu nie powtórzy się to żarliwe uczucie, jakim darzyłam Michela. Możesz więc słusznie zapytać, dlaczego więc zgodziłam się poślubić innego mężczyznę.

Życie jest ciężkie i bezwzględne, moje dziecko, a ja jestem jedynie słabą i samotną kobietą. Może jesteś jeszcze zbyt młody, aby to wszystko pojąć, ale po przyjeździe do Ameryki musiałam stawić czoło wielu przeszkodom. Stwierdziłam, że jedynym wyjściem dla mnie jest związek z mężczyzną, który będzie w stanie zapewnić mi bezpieczeństwo i opiekę. Czułam się tak bardzo samotna, drogi synku, bez ciebie. Brakowało mi twojej osoby. Chwilami cierpienie, wywołane naszą rozłąką, odbierało mi całkiem ochotę do życia. Ale przecież nic innego nam nie pozostaje na tym padole łez, jak uparcie trwać w nadziei, że pewnego dnia los okaże się dla nas łaskawy. I dlatego właśnie zdecydowałam się na ten krok i poślubiłam pana Martina. Mam nadzieję, że dzięki temu będę mogła sprowadzić cię do Ameryki, gdzie

rozpoczniemy nowe, wspólne życie. Już wkrótce, czuję to, nadejdzie odpowiednia chwila, by powiedzieć panu Martinowi o twoim istnieniu. To bardzo dobry człowiek, dlatego zrozumie mnie.

Wybacz mi, mój drogi synku, że nie udało mi się zabezpieczyć przyszłości dla nas obojga w inny sposób.

Kocham cię bardzo — twoja mama.

Tom po raz kolejny przeczytał ten list, po czym zgniótł go w dłoni. Jak śmiała wyjść za mąż za innego mężczyznę?! Dlaczego nie mogła poczekać, aż stanie się dorosły i sam zająć się nią? Dlaczego musiał zginąć jego ojciec? Dlaczego ich los potoczył się właśnie tak, a nie inaczej? Ze złością cisnął zgnieciony list w kąt pokoju, po czym wyszedł trzaskając drzwiami.



24.

Mieszkańcy Bostonu cieszyli się ogólnym poważaniem. Uchodzili za solidnych i statecznych. Całe miasto było przesiąknięte tą atmosferą solidności i swoistego dostojęstwa. Budziło zaufanie. Mary spostrzegła, że to właśnie wywarło na Thadeuszu szczególnie duże wrażenie. Z każdym kolejnym dniem ich pobytu w Bostonie utwierdzał się w przekonaniu, że decyzja, by się tu osiedlić, była trafna.

Ich mieszkanie było niewielkie, ale za to słoneczne i przewiewne. Sąsiedzi, dalecy od zamożności, sprawiali — jak wszyscy w Bostonie — uczciwe i solidne wrażenie. Właśnie ta panująca wszędzie atmosfera powagi i zaufania pozwoliła Mary uwierzyć, że wszystko zmieni się w jej życiu na lepsze. Czuła się bezpieczna pośród tych porządných ludzi. Wiedziała, że nic złego nie może jej spotkać z ich strony. Szacunek wobec innych i poważanie stanowiły tu konieczny warunek dla robienia jakichkolwiek interesów czy zawierania znajomości.

Ludzie mieszkający w Bostonie wydawali się Mary zupełnie inni niż ci, których знаła z Irlandii czy Tuxedo Park. Uważała, że są bardziej zrównoważeni i łagodni w postępowaniu. Mieli charakter. Nawet biedni starali się nadać swemu życiu pewien styl. Na przykład taki dozorca kamienicy, w której mieszkali, każdej niedzieli zakładał kartonowy biały kołnierzyk, surdut i krawat. Siadał w swoim małym kantorku na parterze i z namaszczeniem i powagą czytał bostoński Kurier... Można było odnieść wrażenie, że jest jakimś zamożnym właścicielem wspaniałego domu z ogrodem na Beacon Hill, który przypadkiem zabłądził w te strony. Thadeus miał zupełną rację, że zdecydował się przyjechać właśnie tutaj. Boston, począwszy od Fanevil Hill — miejsce to obywatele miasta przeznaczyli na spotkania, podczas których omawiano sprawy publiczne — aż po nadbrzeże ze statkami wielorybniczymi, cliperami i całą mafią przemytników alkoholu był miejscem robienia interesów i zawrotnych karier. Było to wprost wymarzone miasto, aby tu rozpocząć życie od nowa i z powodzeniem piąć się w górę.

Entuzjazm Mary przytłumiały jednak wyrzuty sumienia. W dalszym ciągu nie zdobyła się na to, by powiedzieć mężowi o Tomie. Nie znaczy to, że nie próbowała. Pewnego dnia, tuż po przeprowadzce do Bostonu, była prawie o krok od wyznania mu całej prawdy. Thadeus wrócił właśnie do domu załamany i w podłym nastroju. Popęłnił poważny błąd, zawierając pewną wątpliwą transakcję, co — jak twierdził — będzie kosztować go ładną sumkę pieniędzy. Miał tak nieszczęśliwą minę, iż Mary instynktownie objęła go, starając się w ten sposób ukoić rozterki męża. Biedaczysko, pomyślała. Pracuje ciężko, jest uczciwy i tak bardzo wymagający wobec samego siebie. I w tym momencie przyszła jej myśl, że może właśnie w tej chwili słabości i zwątpienia powinna mu powiedzieć o swoim sekrecie.

— Każdy popełnia błędy, Thed — ostrożnie próbowała wysondować jego reakcję. — Gdybyś tylko wiedział, jak niedoskonałą osobą jestem ja.

— Nie! — odparł porywczo. — Nie, Mary! Nie chcę tego słuchać. Jesteś najdoskonalszą istotą na ziemi. Nie ma takiej drugiej jak ty. Właśnie tę doskonałość i nieskazitelność kocham w tobie najbardziej.

Spojrzała na niego pełna smutku. Gdyby tylko miała w sobie dość siły, by przeciwstawić się jego żarliwej naiwności i powiedzieć wreszcie prawdę. Ale przekonanie o jej czystości i niewinności, które żywił Thadeus, było zbyt mocne, by Mary zdobyła się na odwagę, aby skonfrontować je z okrutną rzeczywistością. „Jesteś doskonałą kobietą...” — to wyznanie brzmiało w jej uszach jak gorzka ironia. Postanowiła, że powie mu o wszystkim później, nie teraz — teraz nie może.

Kiedy Thadeus Martin przyjechał do Bostonu, w mieście działały już cztery wielkie sklepy. Jordan Marsh, pierwszy z wielkich magazynów, należał do starej bostońskiej rodziny Mittonów i był znany z tego, iż gwarantował wysoką jakość produktów masowemu odbiorcy. Znajdował się na Four Corners — ners, handlowym placu miasta, będącym Mekką dla wszystkich kobiet w Bostonie i okolicach, które chciały zrobić zakupy.

Drugi co do wielkości magazyn handlowy miasta nazywał się Filene i został założony przez rodzinę Filene'ów w 1875 roku. Ta kupiecka rodzina wcześniej robiła interesy w Lynn i Massachusetts. W końcu weszła również na rynek bostoński. Ambicją braci Filene stało się, by dostarczać wytwornym kobietom najnowsze europejskie stroje z Paryża. Dzień, w którym otworzyli swój sklep, stał się przełomowy w historii kupiectwa w Bostonie.

Felix Vahrenberg, ambitny i przedsiębiorczy Bawarczyk, był właścicielem magazynu Gilchrist. Zaczynał jako obwoźny kupiec, a doszedł do finansowego imperium, którym zarządzał z żelazną konsekwencją. Ten niski, krępy mężczyzna o krótko przyszyżonych włosach i ciasno opiętym wokół grubej szyi sztywnym, kartonowym kołnierzyku wzbudzał wśród swoich pracowników lęk i respekt. Kiedy codziennie opuszczał swe biuro, by dokonać przeglądu sklepu i personelu, w całym gmachu rozlegały się ostrzegawcze syknięcia i nawoływania. W ten sposób pracownicy ostrzegali się nawzajem o nadejściu szefa.

Slattery był dość ekskluzywnym i specjalistycznym sklepem, oferującym damską konfekcję. Znajdował się kilka ulic od Four Corners, w pewnej odległości od konkurencyjnych magazynów i należał do dziwaka o nazwisku P. A. O'Connel. W każdy czwartek, kiedy wszystkie sklepy były otwarte do późnych godzin wieczornych, pan O'Connel ostentacyjnie zamykał swój sklep i udawał się na kolację do Dinty Moore z którąś ze swych licznych kochanek. Pogardliwie wyrażał się o swoich konkurentach i twierdził, że w przeciwieństwie do nich on nie musi pracować w czwartki do późna w nocy tylko po co, by schlebiać wygodzie klientów. Miał ich i tak wystarczająco dużo.

Zanim Thadeus rozpoczął interesy w Bostonie, dokładnie przestudiował tamtejszy rynek. Wymagania, którym musiał sprostać, nie zniechęcały go, wręcz przeciwnie. Miasto pełne było eleganckich dandysów, dzieci bogatych kapitanów, którzy zarabiali krocie na handlu z Chinami lub połowie wielorybów; bankierów, prawników, lekarzy, studentów i wykładowców. Krótko mówiąc, Boston zapewniał bogatą i wytworną klientelę, o której Thadeus zawsze marzył. Przez długie lata planował strategię wejścia na rynek. Wiedział dokładnie, jakich ubrań i po jakich cenach potrzebowali młodzi ludzie z uniwersytetu. Chciał w sklepie zatrudnić najpiękniejsze ekspedientki, by przyciągnąć klientów. Jego ambicją było dostarczać towar najwyższej jakości, znać swoich stałych klientów z imienia i nazwiska, przesyłać im specjalne pisemne podziękowania i gwarantować atrakcyjne zniżki tym, którzy w jego sklepie robią zakupy szczególnie często. Miał tysiące pomysłów, jak dotrzeć do serc i kieszeni najbardziej wybrednych bogaczy. Było tylko kwestią czasu, kiedy wszystkie te plany wprowadzi w życie.



25.

Noworodek, którego Mary trzymała przy piersi, w niczym nie przypominał Toma. Właściwie przyjęła to z wielką ulgą. Gdzie jest teraz jej pierworodny syn? — pytała siebie, patrząc na zaspaną twarzyczkę małego dziecka. Prawie każdego dnia od czasu przyjazdu do Ameryki zastanawiała się nad losami Toma. Musi być teraz całkiem dużym chłopcem, ma już trzynaście lat i niedługo stanie się mężczyzną. Próbowwała wyobrazić sobie, jak może teraz wyglądać, czy jest podobny do Michela, czy może bardziej do niej.

Niemowlę poruszyło się niespokojnie. Jego wygłodniałe wargi wpijały się w pierś Mary ssąc pokarm. Chciała być dla niego dobrą matką. Nie powinna uważać, że zajęło ono miejsce Toma. Obaj w równym stopniu byli jej synami. Od momentu kiedy poślubiła pana Martina, Mary przestała utrzymywać z Tomem regularną korespondencję. Bała się, że mąż może przypadkiem odkryć jej wielką tajemnicę. Nie chciała ryzykować. Gdyby nagle zaczęła dostawać listy z Irlandii, prędzej czy później zwróciłoby to uwagę Thadeusa. Dlatego listy od Toma otrzymywała za pośrednictwem księdza Grogana, który przesyłał je na adres bostońskiej parafii świętego Marcina. Z czasem korespondencja z synem stawała się coraz rzadsza. Najwyraźniej przywiązanie Toma do matki słabło wraz z upływem lat. Czasami Mary miała wrażenie, że może najlepiej byłoby, gdyby całkiem o niej zapomniał. Dawne rany zaczęły ponownie krwawić. Cięża i narodziny syna przywołały dawno zapomniane obawy i wspomnienia. Wróciły jak zły duch, który cały czas przez lata krążył nad nią niewidoczny, by w chwili słabości i nieuwagi przypomnieć boleśnie o swoim istnieniu.

Mary usłyszała, że Thadeus wszedł do pokoju. Stąpał na palcach, by nie wystraszyć dziecka. Przybliżył się do łóżka i objął czule żonę. Doceniała jego starania, by być dla niej dobrym mężem. Doceniała cierpliwość, z jaką każdy gest niechęci czy rozdrażnienia z jej strony tłumaczył sobie jako wynik swej nieudolności.

— Mary, Mary! To najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek mogłem otrzymać od ciebie.

Mary spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jeszcze nigdy nie był tak rozmarzony i podniecony szczęściem, jak teraz.

— Musimy mieć dużo dzieci, Mary — Thadeus promieniał z radości. — Oczywiście, jeśli będziesz tego chciała, kochanie.

Uśmiechnęła się i pozwoliła pocałować policzek. Tak ciężko pracował, by zapewnić im godziwe życie. Miał teraz niewielki sklep i zatrudniał dwóch chłopców jako pomocników. Mary powoli godziła się z myślą, że jest jego żoną. Postanowiła być dla niego dobra.

— Czyż on nie jest piękny? — spytała. Sama wcale nie była o tym przekonana. Prawdę mówiąc, dziecko miało taki sam sowy wyraz twarzy jak jego ojciec. Już teraz można było zauważyć wyjątkowo wydatny nos, nieproporcjonalny do reszty twarzy.

— Jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie — odrzekł. Po czym dodał z dumą w głosie: — Zobaczysz, stworzę finansowe imperium, które zabezpieczy nam wszystkim przyszłość. To jedyny sposób, by wyrazić ci moją wdzięczność za szczęście, którym tak hojnie mnie obdarzyłaś, Mary.

Niemowlę zainteresowało się wysokim, chudym mężczyzną, który mówił coś z wielkim ożywieniem. Wypuściło z warg pierś matki i odwróciło głowę w stronę ojca. Thadeus roześmiał się zachwycony, zupełnie tak, jakby dziecko dokonało jakiegoś niebywałego wyczynu.

— Jesteś szczęśliwa, Mary, nieprawdaż? — brzmiało to bardziej jak kategoryczne twierdzenie niż pytanie.

Mary odpowiedziała z udaną powagą i szczerością:

— Oczywiście, mój mężu.

Uśmiechnął się do niej życzliwie. Kiedy wychodził z pokoju, jego myśli były już gdzie indziej. Zaprzętały go problemy związane ze sklepem. Nigdy jednak nie był do końca pewien, czy Mary jest z nim naprawdę szczęśliwa.

Tom Dalton siedział przy łóżku umierającego przyjaciela. Seamus leżał wyczerpany gorączką. Jego wargi były suche i spękane. Po czole spływały krople zimnego potu. Przy każdym oddechu z płuc chorego wydobywał się chrapliwy świst. Minęły dwa dni i jedna noc od chwili, kiedy lekarz poprosił Toma, by odwiedził leżącego w lekarskiej izbie przyjaciela i pożegnał się z nim. Kiedy chłopiec zrozumiał, że nie ma dla Seamusa ratunku, zaczął płakać. Jego łzy nie były jednak wywołane przez smutek czy żal, lecz przez dławiącą złość i świadomość własnej bezsilności. Być może, że przyjaciel umierał wyniszczony chorobą płuc i wysoką gorączką, jak mówił lekarz... Być może. Jednak prawdziwym powodem jego agonii był strach. Tylko Tom i brat Damien wiedzieli o tym. Tom odgarnął zmierzwiłone, mokre włosy z czoła przyjaciela. Dziwił się, że człowiek umiera tak długo i ciężko. Przekonanie o niesprawiedliwym losie, który spotkał Seamusa, pozwalało przetrwać zmęczeniu i senność i wytrwać przy chorym do końca. Nie chciał, by w tej ostatniej chwili swego życia chłopiec pozostał sam.

W pokoju panował półmrok. Tuż pod sufitem paliła się świeca, przytwierdzona do metalowego świecznika. Rzuciła wate, migotliwe światło na długie, blade dłonie Seamusa, które niespokojnie poruszały się po kołdrze. Tom zdjął kurtkę i nakrył nią drżącego z zimna przyjaciela. Gorączka odbierała choremu całe ciepło. Oddech stawał się coraz wolniejszy i cichszy. Czy to już koniec? — pomyślał Tom. Nie mógł wyobrazić sobie, że nie będzie już

jego przyjaciela, że jego ciało zostanie zamknięte w trumnie i spocznie głęboko w ziemi. Próbował nie myśleć o tym.

— Tom — Seamus wyszeptał imię swego wiernego druha słabym głosem.

Tom nachylił się nad chorym. Przyłożył ucho do jego warg, próbując zrozumieć zniekształcone, ledwo rozpoznawalne słowa.

— Boję się...

Tom wziął rozpaloną dłoń Seamusa i ścisnął ją mocno w geście, który miał podnieść przyjaciela na duchu. Był zakłopotany i nie wiedział, co w podobnej sytuacji ma powiedzieć.

— Musisz zrobić to, co wspólnie planowaliśmy — umierający z trudem wypowiadał poszczególne słowa. — Musisz to zrobić, Tom. Obiecuj mi.

Tom czuł, jak rozpacz rozdziera mu serce.

— Jest tak zimno...

Z każdą chwilą z ciała chorego ulatywało życie. Tom przytulił go do siebie i płacząc przyciskał tak mocno, jakby w ten sposób pragnął przywrócić mu życie. Ale było już za późno. W pokoju panowała zupełna cisza. Tom poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń. Spojrzał w górę i przez łzy zobaczył poważną i zatroskaną twarz brata Damiena.

— Czy pomodlisz się ze mną za duszę tego nieszczęsnego chłopca? — spytał. — Dziś po południu ksiądz udzielił mi ostatniego namaszczenia. Umarł w stanie łaski bożej. Tylko to jedno możemy teraz dla niego zrobić.

Oczy chłopca zapłonęły gwałtownym gniewem. Uraziła go obojętność i spokój, z jaką zakonnik wypowiedział te słowa. Brat Damien spostrzegł reakcję Toma i dodał szybko:

— Ja także go kochałem.

— Jak więc możesz tak spokojnie mówić o bożej łasce? Dobrze wiesz, co było prawdziwym powodem śmierci Seamusa. To oni go zabili!

— Powody, dla których ludzie odchodzą z tego świata, pozostają tajemnicą Najwyższego. Nikt nie zna jego zamiarów.

— Jak możesz modlić się za jego duszę, skoro wiesz, że to właśnie bezwzględność i okrucieństwo kościoła doprowadziło go do skrajnego wyczerpania.

— To nie tak — po raz pierwszy chyba w swym życiu brat Damien podniósł głos. — To głupota i ignorancja ludzi zniszczyły tego wrażliwego chłopca, a nie kościół czy Pan Bóg! A zresztą, który z nas ma prawo osądzać, co było dla niego lepsze. Próba, na jaką wystawił go Bóg, już się skończyła. Teraz jest poza cierpieniem i strachem...

— Czy musiał za to zapłacić życiem? Mam nadzieję, że szczęście, które go czeka na tamtym świecie, zrekompensuje mu tę stratę i wszystkie upokorzenia, jakie znosił cierpliwie w murach tego klasztoru!

— Pomódlmy się za jego nieszczęśliwą duszę, Tom.

Zakonnik ponowił swoją propozycję stanowczym głosem, po czym ukląkł u wezglowia szpitalnego łóżka.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Ponieważ on jest już po tamtej stronie, a modlitwa to jedyne, co możemy dla niego jeszcze zrobić na tym ziemskim padole.

— O nie, bracie. Są jeszcze inne rzeczy. Mogę żyć dalej w nadziei, że zrealizuję nasze wspólne marzenia. Mogę przechowywać pamięć o naszej przyjaźni — jego głos załamał się. Łzy zaczęły spływać po rozpalonych policzkach. Brat Damien wykonał znak krzyża w powietrzu, potem poprawił fałdy swojej czarnej sutanny i śpiewnym i melodyjnym głosem zaintonował modlitwę.

— Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Po chwili w pokoju rozległ się drugi, nieco przyciszony i nieśmiały głos.

— Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Tom wypowiedział słowa modlitwy mimowolnie, niemal automatycznie. Brzmiały dla niego jak pełne goryczy wyzwanie. On znał tylko jedną Trójcę Świętą — najpierw zmarł przedwcześnie jego ojciec, potem odwróciła się od niego matka, a teraz utracił najlepszego przyjaciela, Seamusa. To była Święta Trójca rozstań, które przewinęły się przez jego krótkie życie, wyciskając na nim swe bolesne piętno. Los okazał się dla niego okrutny. Odebrał mu wszystko, co kochał.

Chłopiec otarł łzy. Po raz ostatni spojrzął na ciało swego martwego przyjaciela, a potem na klęczącego brata Damiena. Miał wrażenie, że został na świecie zupełnie sam.

Po śmierci Seamusa Tom powrócił do swoich studiów ze zdwojoną energią. Tym razem jednak miejsce ambicji zajął upór, zaciętość i chęć odwetu. Pragnął nauczyć się jak najwięcej, dokładnie tak, jak życzył sobie tego jego zmarły ojciec. Chciał osiąść wiedzę, by później wykorzystać ją przeciw swoim wrogom. Miał tyle sprytu i wewnętrznej desperacji, by brać od zakonników wszystko, czego tylko mogli go nauczyć, sam niczego nie dając w zamian. Kiedy karali go chłostą, zachowywał lodowaty spokój, którego żadne okrucieństwo czy poniżenie nie było w stanie zmącić. Kiedy zbierał pochwały za postępy w nauce, odpowiadał takim samym chłodem i obojętnością. Był owładnięty tylko jedną pasją. Chciał pokazać im, że nie są w stanie zniewolić jego osobowości, rzucić go na kolana, zmusić do uległo-

ści. Pozostawał nieugięty i stanowczy. Ani groźby, ani kary, ani religia nie mogły osłabić jego stanowczej postawy. Listy, które otrzymywał od matki, czasami pełne pochwał i nadziei, czasami natarczywe i niespokojne, innym znów razem pełne zadumy i tęsknoty — były coraz rzadsze od czasu, gdy zdecydowała się na małżeństwo. Pamiętał ten dzień, w którym nadszedł list z okrutną wiadomością o innym mężczyźnie. Po jego przeczytaniu wpadł we wściekłość. Walił pięściami w ścianę i krzyczał ze wstydu i bólu. Zawsze wierzył swojej matce. Był przekonany, że nigdy go nie zdradzi. Jego wiara w szczerą intencję Mary pozostała niezachwiana nawet po tym, jak poprosiła, by przesyłał do niej listy tylko za pośrednictwem ojca Grogana.

Nie protestował, gdy zdecydowanie sprzeciwiła się jego przyjazdowi do Ameryki, nawet wtedy, gdy zaczęła coraz częściej w swych listach przebąkiwać o małżeństwie. Po prostu wierzył, że nigdy go nie zdradzi, i ufał jej bezgranicznie... do momentu, kiedy napisała, że poślubiła jakiegoś pana Martina.

Nigdy nie skarżył się matce na surowe warunki panujące w klasztorze. Uważał, że jako mężczyzna musi sam sobie z nimi radzić. Starał się nie sprawiać kłopotów. Przede wszystkim jednak pragnął zachować swoje pełne oddanie uczucia dla Mary. Ale ona... ona była tylko samotną, wystraszoną i szukającą pomocy kobietą. Zrobiła więc to, co uczyniłaby każda inna kobieta na jej miejscu. Tom powoli zaczął przyzwyczajać się do myśli, że utracił matkę. Rozumiał ją, chociaż jeszcze nie mógł wybaczyć. Jej decyzję potraktował jako jeszcze jedną próbę w życiu, której musi sprostać. Jednocześnie coraz mocniej pragnął zrealizować marzenia ojca. Uważał to za swój obowiązek. Postanowił, że zdobędzie wykształcenie, wyrośnie na dzielnego i silnego mężczyznę i wyjedzie do Ameryki. Wówczas jego matka będzie mogła być dumna ze swego dorosłego syna.

Mary zastanawiała się, co zrobić z Tomem. Fakt, iż opuściła go, traktowała jak niewybaczalny grzech i świadomość tego nie dawała spokoju jej sumieniu. Może gdyby powiedziała Thadeusowi o synu, teraz nie nosiłaby w sobie tego poczucia winy. Czasami w głębi duszy pragnęła cofnąć czas. Dochodziła do wniosku, że może dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby mąż poznał jej tajemnicę podczas nocy poślubnej. Ale jego naiwność była tak wielka...

Wiedli wspólnie skromny żywot w małym mieszkanku. Jednak rychła poprawa losu zdawała się być już w zasięgu ręki. Thadeus był dla niej bardzo miły, co nie zmieniało jednak faktu, iż miał typowo męskie, jak na ówczesne czasy, podejście do niektórych spraw. Gdy podejmował jakiegokolwiek decyzje, jej opinia nie liczyła się wcale. Michel traktował Mary zupełnie inaczej. Był niezwykłym mężczyzną — kochał ją i traktował jak przyjaciela. Westchnęła ciężko na myśl o Michelu. Jej wielka miłość zamieniała się powoli we wspomnienie, które wraz z upływem czasu stawało się coraz bardziej odległe i mgliste. Z dawnego związku pozostał jednak Tom, żywy dowód wielkiej namiętności, którą przeżyła. Pomyślała, że jej pierworodny nigdy nie pogodzi się z myślą, że jakieś inne dziecko zajęło jego miejsce. Zastanawiała się, jak on teraz może wyglądać. Czy ma oczy podobne do ojca? Czy są tak samo błękitne i pełne ciepła? Próbowwała w pamięci odtworzyć rysy twarzy swego Toma.

Pewnego razu potrzeba zwierzenia się komuś ze swego straszliwego dylematu była tak wielka, że Mary powiedziała o wszystkim młodemu księdzu, który przyniósł jej list od Toma. Zamiast wymówek i oskarżeń, które spodziewała się usłyszeć, ksiądz poradził jej, by na razie nic nie mówiła swemu mężowi, aby nie ranić jego honoru i dumy. Prosił, by modliła się do Boga o pomoc, a wtedy na pewno wszystko rozwiąże się samo. Najważniejsze w całej sprawie było to, jak zachowa się Tom. Chciała, by został w Irlandii jak najdłużej, by dał jej czas do namysłu. Nie chciała bowiem wyznawać wszystkiego mężowi pod presją, że Tom w każdej chwili może znaleźć się w ich domu i w ten sposób ujawnić jej nieszczerą grę. Zastanowiła się przez chwilę.

A może właśnie ta presja byłaby zbawienna dla jej dalszego losu. Może to zmusiłoby ją w końcu do ujawnienia swej tajemnicy? Czy nie oceniała Thadeusa nazbyt surowo? Był przecież bardzo dobry dla niej i na pewno zrozumiałby, dlaczego tak długo musiała oszukiwać go. Te pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, doprowadzały ją niemal do szaleństwa. Często, gdy leżała w ciemnym pokoju w łóżku, nachodziły ją wspomnienia z przeszłości. Dręczyła ją ciągła niepewność o dzień jutrzejszy. Jaką miała pewność, że Thadeus nie dowie się nagle o istnieniu w jej życiu innego mężczyzny i dziecka, które z nim miała? Ostatecznie podejmowała niezmiennie tę samą decyzję. Tom powinien jak najdłużej

pozostać w Irlandii. Zależało jej na tym, by jak najmniej cierpieć z powodu jej małżeństwa. Sama miała teraz zbyt wiele obowiązków i nie mogła sobie pozwolić, by ciągle wyrzuty sumienia i obawy całkowicie zaprzętały jej głowę.

Mary otrzymała list od Toma. Z przerażeniem przeczytała o jego zamiarze przyjazdu do Ameryki... Wiedziała, że musi natychmiast odpisać, aby go powstrzymać. Drogi Boże, jak sformułować list, aby ją zrozumiał? — pytała samą siebie. Od pewnego już czasu listy Toma były przepełnione nadzieją, że wkrótce znowu się zobaczą, że ich bolesne rozstanie dobiegnie końca. Mary czytając te pełne miłości słowa pomyślała, że kiedyś przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę za to, że opuściła swego syna.

Najdroższy Tomie,

Zostałam zaskoczona twoim pomysłem, by opuścić klasztor i przyjechać do Ameryki. Wiesz przecież, że bardzo cię kocham i tęsknię za tobą. Dlatego proszę, byś dobrze zrozumiał to, o co cię teraz poproszę. Chcę, abyś pozostał w Irlandii. To nie jest dobry czas ani dla mnie, ani dla ciebie, byś wybierał się w tak daleką podróż. Pozwól mi wytłumaczyć dlaczego: Z całego serca pragnęłam, byś spełnił ostatnią wolę ojca i pobierał nauki w przyklasztornej szkole. Wykształcenie i wiedza pomogą ci później w zrobieniu kariery. Ty, jak nikt inny, znasz przeciwności, które człowiek może napotkać na swej drodze. Wiesz, że upokorzenia, które musisz znosić, są wynikiem tego, że jesteś nieślubnym dzieckiem. Aby przełamać uprzedzenia i niechęć innych ludzi, musisz ćwiczyć swój umysł i być bardzo mądry.

Z wielkim żalem muszę cię również poinformować, że okoliczności nie pozwalają mi przyjąć cię teraz w Bostonie, choć, wierz mi, bardzo bym tego pragnęła. Nie chcę wnikać w szczegóły, ale bądź pewien, że uczynię wszystko, byśmy jak najprędzej mogli się znowu zobaczyć. Na razie proszę cię, ukochany synku, abyś sumiennie wykonywał wolę swego ojca, pobierał nauki, a dopiero potem przyjechał do Ameryki. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Kochająca cię mama.

Brat Matthew był silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, którego niespokojny temperament zmuszał do ciągłych zmagania z cielesnymi pokusami. Każdego wieczora z obawą powracał do swojej zimnej celi, gdzie, jak mniemał, czeka na niego Szatan, by spętać jego myśli plugawymi pragnieniami i nakłonić do bezwstydnego występku. Noce spędzał na biczowaniu, co miało odpędzić nieczyste zamiary. Dotykając swego grzesznego ciała czuł, jak mimo wielkiego wysiłku woli, by uwoinic swą duszę od występnych zmysłów, jego członek staje się sztywny i unosi fałdy sutanny. Ręka jakby mimowolnie sięgała pod nią, po czym chwyciła mocno nabrzmiąle przyrodzenie. Wówczas już nic, żadne zaklęcia, wiara czy strach przed okrutną karą na Sądzie Ostatecznym, nie było w stanie powstrzymać jego rozszalałej żądz.

Owego ranka brat Matthew zmagił się z dręczącym snem, w którym córka Szatana brała właśnie jego sztywnego członka do wilgotnych, ciepłych ust. Kiedy kościelne dzwony oznajmiły z hałasem o porze pierwszej modlitwy, brat zerwał się z łóżka i stwierdził, że całe prześcieradło jest mokre. Pośpiesznie wytarł się, po czym z wyrzutem spojrział na swego niesforne go towarzysza niedoli, który najwyraźniej lekceważąc rozterki zakonnika, sterczał w dalszym ciągu dumnie wyprężony. Mężczyzna chwycił stojący pod oknem kubek zimnej, prawie lodowatej wody, po czym szybkim ruchem wylał ją na siebie, by ugasić ogień, który palił jego wnętrze. Mimo że udało mu się uspokoić na chwilę swą żądzę, to jednak ciągle czuł dziwną, swędzącą potrzebę, by zadać jakiejś niewinnej ofierze fizyczny ból. To pragnienie było jeszcze silniejsze od zwykłego seksualnego pożądania.

Dziewięcioletni Sean Sullivan miał nieszczęście jako pierwszy tego dnia napatoczyć się na brata Matthew. Chłopiec był synem pewnej biednej szwaczki z pobliskiej wsi i znalazł się w nielicznej grupie dzieci wieśniaków z okolicy, które mogły korzystać z nauk w przyklasztornej szkole świętego Ignacego. W zamian matka Seana szyla ciepłe skarpetki na zimę dla zakonników, w ten sposób spłacając dług wobec kościoła.

Owego poranka Sean, który posługiwał przy mszy, zapomniał podać mszalne wino. Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, od razu przy wejściu do zakrystii przydybał go rozwścieczony brat Matthew.

— Ty parszywy szczeniaku! — krzyknął na wystraszonego chłopca. — Jak często jeszcze będę musiał przypominać ci, kiedy powinieneś podać kielich z winem podczas mszy świętej.

— Jest mi bardzo przykro, wielebny bracie. Nie wiem, jak to się mogło stać. To się już nie powtórzy.

Sean, instynktownie przeczuwając zamiary zakonnika, próbował go ominąć i bezradnie rozglądał się, czy skądś nie nadchodzi pomoc.

— Jestem pewien, że to się już nigdy nie powtórzy — głos brata przybrał dziwnie podkscytowany ton. — Mam zamiar porządnie złoć ci skórę, tak by pręgi na twoim tyłku długo jeszcze przypominały ci karzące ręce Pana Boga... Ściągaj spodnie!

— Błagam, jest tak zimno, zmarznę na kość. Nie chcę, by brat połamał mi kości — prosił błagalnym głosem. Próbował się cofnąć, ale silna ręka pochwyciła go za kołnierz, zdarła z niego ubranie, po czym brutalnie pchnęła na ziemię. Sean przywarł twarzą do posadzki i zaczął płakać. Wiedział, że nawet jeśli zacznie głośno krzyczeć, nikt nie przybędzie mu z pomocą.

Zakonnik wyjął spod sutanny cienki rzemyk z małymi supełkami na końcu i rozpoczął egzekucję. Każde uderzenie, któremu towarzyszył zduszony jęk chłopca, rozpalało w jego plugawym sercu ogień pożądania. Nagle jego ręka zawisła w powietrzu. Czyjś silny uścisk pochwycił ją i boleśnie wykręcił do tyłu. Zakonnik syknął z bólu i zaczął się szamotać z nieznanym przeciwnikiem.

— Kim jesteś, do diabła! — krzyknął — że ośmielasz się napadać na sługę kościoła, zakonnika świętego Ignacego?

— Zakonnika...? Wolne żarty — padła kąśliwa odpowiedź. — Nie jesteś żadnym zakonnikiem tylko wstrętnym, obleśnym sadystą. Na twój widok przewracają się bebechy. Takich sadystów jak ty pełno jest w tym pieprzonym klasztorze. To wy doprowadziliście mojego przyjaciela Seamusa do śmierci kilka lat temu. Masz natychmiast zostawić tego chłopca w spokoju.

Wysoki, postawny młody mężczyzna dał znać chłopcu, by szybko pozbierał swoje ubranie i czym prędzej uciekał. Dopiero gdy Sean zniknął za drzwiami zakrystii, mocarny uścisk, który trzymał rękę brata Matthew, rozluźnił się. Zakonnik odwrócił się i spojrzał na swego przeciwnika.

— Ach, to ty, Tomie Dalton. Mogłem się tego spodziewać. Tym razem puszcę w niepamięć twe niestosowne zachowanie, ale...

— Daruj sobie tę hipokryzję. Mam dosyć waszego zakłamania, okrucieństwa i pozornej pobożności. Jedyna przyjemność, jaką znacie, to znęcanie się nad bezbronnymi dziećmi w imieniu Pana Boga.

Matthew uważnie przyjrzał się potężnej sylwetce młodzieńca. Musiał mieć około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. W barach był szeroki jak tur. Zakonnik czuł jeszcze na swoim nadgarstku jego miazdzący uścisk.

— Będziesz się smażył w ogniu piekielnym — wycedził z satysfakcją.

— Ty trafisz tam przede mną — odparł Tom. — Pamiętaj, jeśli skrzywdzisz to dziecko, skręcę ci kark i wysłę na Madejowe łożo. Na twoim miejscu nie sprawdzałbym, czy mówię serio.

Tom Dalton, osiemnastoletni młodzieniec, na którego surowej i poważnej twarzy ciężkie życiowe doświadczenia wycisnęły swe piętno, wyszedł z kościoła z podniesionym czołem. Był już poza zasięgiem władzy zakonników. Był wolny. Poprzysiągł, że jego noga nigdy więcej nie postanie w tym pełnym smutku, łez i ludzkiej słabości miejscu.

Kiedy opuszczał mury klasztoru, jego cały dobytek składał się zaledwie z dwóch przedmiotów: srebrnej szczotki do włosów z wygrawerowaną na uchwycie pierwszą literą jego imienia i pożółkłego, mocno sfatygowanego listu, który stanowił testament jego ojca. Już dawno przestał zbierać listy nadsyłane przez Mary. Z biegiem lat zaczął idealizować pamięć o zmarłym ojcu, podczas gdy niektóre decyzje matki sprawiły, że Tom postrzegał ją i oceniał z większym krytycyzmem i surowością.

Tom ze smutkiem przyglądał się swemu skromnemu dobytkowi, który z powodzeniem zmieścił się w kieszeni spodni. Przez krótką chwilę wahał się, czy postępuje słusznie. Żywił pewne obawy w związku ze swą niepewną przyszłością. Złe myśli szybko ustąpiły miejsca entuzjazmowi. Optymizm zmarłego ojca, który nigdy nie wątpił w zdolności syna, zawsze dodawał chłopcu otuchy w najtrudniejszych chwilach. Był bardzo dobrym uczniem. Z łatwością opanował łacinę i grekę. Odznaczał się wyjątkową zdolnością do zapamiętywania liczb. Potrafił obliczać w pamięci z taką szybkością, jakby tę umiejętność nabył w naturalny sposób wysysając ją z mlekiem matki. Był przystojny, silny i dobrze zbudowany... i co najważniejsze — świadomy swych fizycznych i intelektualnych zalet. Zamierzał wykorzystać je we właściwy sposób. Miał poczucie własnej wartości. Uważał, że nie jest gorszy od innych, nawet jeśli na razie nie dysponował żadnym majątkiem. Pośród wielu zdolności, którymi tak hojnie obdarzyła go natura, Tom odznaczał się również zmysłem praktycznym — twardo stąpał po ziemi. Wiedział, że niewielka suma pieniędzy, jaką w gestii księdza O'Halon pozostawił mu ojciec, nie może zabezpieczyć przyszłości. Ze swym wykształceniem mógł zatrudnić się jako nauczyciel lub zarabiać na życie siłą swych rąk. Musiał jak najszybciej zdobyć jakąś pracę. Postanowił jednak, że zanim rozpocznie nowe życie, musi najpierw uporać się ze swoją przeszłością. Dlatego zdecydował, że swe pierwsze kroki skieruje do Drumgillan, by po raz ostatni zobaczyć grób ukochanego ojca.

Wysoką cenę przyszło mi zapłacić za edukację — pomyślał z goryczą, zatrząskując za sobą żelazną furtkę klasztornej bramy. Okazałem się silniejszy, niż spodziewali się zakonni bracia. Nie potrafili złamać mojego oporu, nie zdołali rzucić mnie na kolana. Chciałeś, ojcze, bym nauczył się od nich jak najwięcej. Tak też uczyniłem. Drodzy braciszku nie spodziewają się, ile dał mi ten czas spędzony z nimi pod wspólnym dachem, nawet się nie spodziewają...

Wyszedł na piaszczystą drogę i skierował się w stronę Mullinger.

Widok znajomych stron sprawił Tomowi niespodziewaną radość. Oczekiwał, że powrót do miejsca urodzenia przywoła przykre wspomnienia z przeszłości i wywoła raczej niechęć czy nawet odrazę. A jednak z przyjemnością przemierzał podmokłe łąki i przeskakiwał przez porośnięte mchem kamienne wały, które przecinały łagodny krajobraz Drumgillan. Wspaniały pałac wznosił się na wzgórzu jak przed laty i dumnie spoglądał na błyszczącą w słońcu tafłę jeziora. Można było odnieść wrażenie, że od czasu, gdy opuścił z matką te strony, nic się tu nie zmieniło. Ze wzruszenia czuł przyśpieszone bicie serca i ucisk w gardle. Dłuższą chwilę stał u podnóża wzniesienia i przyglądał się imponującej budowli o wielkich oknach, ciężkich rzeźbionych drzwiach i ozdobnych, strzelistych kominach. To był przecież dom jego ojca i w pewnym sensie także jego własne dziedzictwo. Szybkim i pewnym krokiem wszedł na górę i stanął przed frontowymi drzwiami. Odruchowo poprawił zakurzone w ciągu kilkudniowej podróży ubranie, przyglądził włosy i zastukał wielką mosiężną kołatką, niecierpliwie oczekując spotkania ze swą przeszłością. Od tamtego pamiętnego dnia, gdy spędził noc czuwając przy trumnie ojca, nigdy więcej nie przekraczał progów tego domu. Sędziwy służący otworzył drzwi.

— Nazywam się Tom Dalton, chciałbym zobaczyć się z jego lordowską mością.

— O tak, poznaję — odparł służący, z trudem opanowując wzruszenie. Podobieństwo Toma do ojca było zadziwiające.

— Jego lordowską mość jest właśnie w saloniku... młody człowieku. Jest bardzo zajęty i nie wiem, czy chce, by mu teraz przeszkadzano. Poczekaj tutaj. Dowiem się, czy cię przyjmie.

Stary służący podreptał drobnym, kaczym chodem w głąb marmurowego korytarza. Z niedowierzaniem kręcił głową i mruczał coś pod nosem o duchach, które zmartwychwstają. Chciał zobaczyć zdziwienie na twarzy swojego pana, gdy ujrzy przed sobą syna młodszego Hartingtona. Podobieństwo było bowiem wręcz niesamowite.

— Jego lordowską mość prosi do saloniku — obwieścił po rychłym powrocie. W jego starych, wodnistych oczach można było wyczytać ciekawość, co wyniknie z tego nieoczekiwanego spotkania. Tom mógł się założyć, że służący oddałby nawet cały tygodniowy zarobek, by móc zobaczyć scenę, która za chwilę miała rozegrać się w saloniku.

— Znam drogę — odparł Tom.

Wysoki, chudy mężczyzna stał przy oknie i patrzył na skąpany w promieniach słońca ogród. Pokój wydał się Tomowi dziwnie mały. Pamiętał go ze swych rzadkich zabaw w pałacu, kiedy przyprowadzał go tu ojciec podczas nieobecności starszego brata i rodziców. Mężczyzna wciąż stał odwrócony tyłem. Odezwał się władcym tonem.

— Kim jesteś, że nachodzisz mnie, nawet nie uprzedziwszy o swojej wizycie. To nie należy do dobrego tonu!

Pełen agresji głos, z jakim Randolph zadał to pytanie, był tak samo oschły i nieprzyjazny jak owego pamiętnego dnia, kiedy przyszedł wraz z nadzorcą do ich domu i kazał się im wynosić.

— Nazywam się Thomas Dalton, sir, i jestem synem waszej dawnej służącej, Mary Dalton.

— A tak, pamiętam ją — Randolph przypomniał sobie o niej z wyraźnym niesmakiem. — Raczej pospolita. Zaszła w ciążę i musiała opuścić służbę. Czy to z jej powodu postanowiłeś marnować mój cenny czas?

Tom z wściekłości zacisnął pięści.

— Moja matka nie była pospolita. Jej odejście ze służby rzeczywiście wiązało się z faktem, iż zaszła w ciążę, myślę jednak, że jego lordowska mość nie zechce zbytnio wnikać w szczegóły tego zdarzenia.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie od okna i spojrzał prosto w twarz młodzieńca.

— Twoja matka była zwykłą dziwką i suką — odparł po łacinie.

— Twoja również — zareplikował Tom w tym samym języku.

Oczy Randolpha zwęziły się. Jego twarz poczerwieniała ze złości.

— Gdzie nauczyłeś się łaciny?

— W klasztorze świętego Ignacego.

— I czego nauczyłeś się tam jeszcze?

— Tego, że syn zwykłej służącej musi zdobyć lepsze wykształcenie i więcej umiejętności niż syn arystokraty. Z tego też powodu ośmielam się cię niepokoić, mój lordzie. Potrzebuję listu polecającego, który pozwoli mi rozpocząć studia na uniwersytecie, a potem otrzymać przyzwoitą pracę. W testamencie, który mam przy sobie, mój ojciec polecił mi, bym wszelkimi środkami próbował zapewnić sobie wykształcenie. Oto więc jestem i daję ci szansę spłacenia długu wobec zmarłego brata. — Tom powiedział to spokojnym i zrównoważonym głosem.

Randolf poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wiele razy zastanawiał się, jaki los spotkał kochankę Michela i jej cholernego bękarta. Nie spodziewał się jednak, że pewnego dnia stanie z nim twarzą w twarz.

— Ty arogancki głupku! Myślisz, że skoro liznąłeś trochę łaciny, możesz wynosić się ponad lepszych od siebie? Jak śmiałeś przychodzić do mnie?! Czy sądzisz, że zechcę cokolwiek zrobić dla ciebie? Nawet nie kiwnę palcem. Jesteś tylko bękartem mojego głupiego brata i najwyraźniej przeceniasz swoje możliwości. Wynoś się z mego domu, zanim każę cię spuścić ze schodów.

— Z przyjemnością opuszczę ten dom, choć każdy przedmiot w nim przypomina mi mojego drogiego ojca. Chciałem tylko przekonać się na własne oczy, czy jesteś takim cholernym sukinsynem, za jakiego zawsze uważała cię moja matka... Myślę, że nazbyt łagodnie cię oceniała — Tom podszedł o krok do swego wuja. — Możesz napuścić na mnie swoich sługusów, ale pamiętaj, zanim zdążysz pisnąć choć słówko, ja skręcę ci ten lordowski kark.

— Wynoś się, łajdaku! — Randolph aż pienieł się z wściekłości. — Prędeż zdechniesz, nim dostaniesz się do Oxfordu.

— Nie zamierzałem ubiegać się o studia w Oxfordzie, chociaż tam właśnie studiował mój ojciec. Nie żywię wielkiego przywiązania do angielskiej tradycji, której jesteś najgorszym przykładem. Nie potrzebuję pomocy od takich jak ty. Dotrę na szczyt o własnych siłach.

Tom odwrócił się tyłem do osłupiałego Hartingtona. Wyszedł z salonu z niezłomnym postanowieniem, że już nigdy nikt więcej nie będzie zwracał się do niego podobnym tonem. I nikt nie będzie bezkarnie go poniżał. Temu postanowieniu pozostał wierny przez całe życie.

28.

Młody człowieku! Czy możesz troszeczkę poczekać? — poirytowany, lecz przyjazny głos wołał za Tomem. — Czy myślisz, że mogę na moich krótkich nogach dogonić takiego kozaka jak ty?

Młodzieniec, który właśnie wyszedł z pałacu i szybkim, energicznym krokiem zmierzał w stronę jeziora, nawet nie spostrzegł starszej elegancko ubranej kobiety, która biegła za nim. Z trudem pokonywała wysoką trawę, płacząc się w fałdach długiej sukni. Kiedy zatrzymał się, powiedziała zdyszana:

— Teraz już znacznie lepiej.

Drobna staruszka o siwych, pięknych włosach podeszła do Toma. Zauważył, że nosiła drogą biżuterię. Spojrzała na młodzieńca i rozpromieniła się.

— Wyglądasz wypisz — wymaluj jak twój ojciec. Nigdy dotąd nie spotkałam się z tak uderzającym podobieństwem. Masz wprawdzie oczy po matce, ale cała reszta jest z Hartingtonów — roześmiała się, a jej oczy zabłysły z radości.

Nigdy dotąd Tom nie widział tak intrygującej osoby. Staruszka zachowywała się jak mała figlarna dziewczynka. W jej nie skoordynowanych, pełnych energii ruchach było tyle zapału i entuzjazmu, iż można by nimi obdzielić co najmniej dwóch młodych ludzi. Jej bystre spojrzenie świadczyło o dużej inteligencji.

— Nazywam się Tom Dalton. Skąd zna pani mojego ojca, jeśli wolno spytać? — zmierzył ją nieufnym spojrzeniem.

— O, znałam go bardzo dobrze, synku. Był moim ulubionym siostrzeńcem. Niestety, jego brat ma charakter, który może wyprowadzić z równowagi nawet najodporniejszego, a do takich się zaliczam. Nie stójmy tu jednak, bo nas w końcu zobaczą i wtedy nie będę mogła spokojnie z tobą porozmawiać. Przypadkiem słyszałam twoją rozmowę z Randolfem... to znaczy, nie całkiem przypadkiem. Kamerdyner przyszedł do moich apartamentów i powiedział, że przyjechałeś. Zeszłam na dół i... muszę przyznać, że dobrze potraktowałeś tego gburowatego typka, choć nie pochwalam takich słów jak „sukinsyn”.

Staruszka ujęła Toma pod ramię. Słuchał jej nieprzerwanego potoku słów z uwagą i zaskoczeniem. Nie spodziewał się znaleźć w Drumgillan sprzymierzeńca.

— Może i poradziłem sobie — odparł z goryczą. — Nie zmienia to jednak faktu, że nie załatwiłem tego, po co tu przyjechałem, polecającego listu na uczelnię. Jestem zły na siebie, że w ogóle pozwoliłem, by potraktowano mnie w taki sposób. Nie rozumiem, dlaczego

chciałem tu wrócić. To był głupi pomysł. Musiałem całkiem zwariować, by rozmawiać z facetem, który mnie i moją matkę ma za nic.

Staruszka uśmiechnęła się życzliwie.

— Nie powinieneś robić sobie wyrzutów. Zrobiłeś dobry uczynek, uzmysławiając Randolfowi jego bezdenną hipokryzję. Nie martw się. Pomogę ci. Wprawdzie kiedy przed laty twój ojciec prosił mnie, bym zapewniła ci miejsce na uniwersytecie, byłam zmuszona mu odmówić, ale teraz sytuacja przedstawia się całkiem inaczej. Wówczas uważałam, że studia w Oxfordzie nie są szczęśliwym pomysłem, że nikt nie zaakceptuje tam irlandzkiego studenta. Znam w Dublinie pewnego człowieka. Jeśli zdołasz zwrócić na siebie jego uwagę, kto wie... Chodzi o mego brata, Edmunda. Jego trzech wnuków ma właśnie rozpocząć edukację. Myślę, że mógłbyś zostać ich nauczycielem. To niezła posada na początek. Jeśli jesteś tak bystry i mądry, jak mniemam, szybko zaczniesz piąć się w górę. Świat stoi otworem przed silnymi i wytrwałymi młodymi ludźmi, trzeba tylko z uporem dążyć do celu. Myślę, że ty to potrafisz.

Przerwała na moment, by złapać oddech.

— Jesteś mądry i wykształcony. Oczywiście, że jesteś! — mówiła coraz bardziej chaotycznie i zapalczywie. Jej pomarszczone policzki nabrały rumieńców.

— Twoim ojcem był Michel, dobry chłopak. Zobaczysz, jeszcze pokażemy tej zadufanej rodzinie egoistów, na co nas razem stać — pogroziła pięścią w stronę pałacu. — Tylko twój ojciec był uczciwy, reszta to zwykła banda. Ale my damy im popalić!

Tom spędził z Eleanor Catheriną Hartington Devereaux większą część popołudnia. Siedzieli przy stole w dawnym, teraz nie zamieszkanym domku Mary Dalton, popijali gorącą herbatę, zagryzając herbatnikami z dżemem. Wspominali dawne czasy, snuli plany na przyszłość i wyśmiewali się z zarozumiałego Randolfa.

— Musisz koniecznie opowiedzieć mi, co robiłeś przez te wszystkie lata. Często myślałam o tobie od czasu tego nieszczęsnego wypadku z twoim ojcem. Nie miałam pojęcia, gdzie możesz być. Kiedy wraz z mężem powróciliśmy z Indii, próbowałam odnaleźć ciebie i twoją matkę. Michel o wszystkim pisał mi w listach. Powiedziano mi jednak, że twoja matka wyjechała do Ameryki, dlatego sądziłam, że i ty opuściłeś Irlandię.

Tom opowiedział o srebrnej szczotce do włosów, z którą nigdy się nie rozstawał i która tak wiele dla niego znaczyła. Opowiedział jej po kolei o wszystkim, co sam pamiętał ze swego dzieciństwa. Ona ze zdziwieniem stwierdziła, że Tom przechowuje w pamięci każdy szczegół z życia Michela jak relikwię lub świętą pamiątkę. Potem opowiedział swe burzliwe losy po śmierci ojca, o okrutnym nadzorcy O'Learym i o tym, jak musieli z matką opuścić swój skromny domek, o tym, jak musieli z bólem serca rozstać się być może już na zawsze, o księdzu O'Halonie i przykrych przeżyciach w klasztorze świętego Ignacego, w końcu o

swoich zamiarach i marzeniach związanych z przyszłością. Stara kobieta budziła w nim zaufanie. Poza tym już tak dawno nie spotkał osoby, której bez obaw mógłby się zwierzyć.

— Posłuchaj uważnie, chłopcze — odezwała się, kiedy skończył opowiadać historię swego życia. — Mam przy sobie pewną młodą dziewczynę, której ufam. Jutro o dziewiątej będzie czekać na ciebie przy leszczynach nad brzegiem jeziora. Będzie miała przy sobie dwa listy, jeden dla biskupa z kościoła świętego Bartłomieja, a drugi dla mego brata. Musisz być przygotowany na to, że nie potraktują cię zbyt uprzejmie. Nie zrażaj się. Każdy z nich jest do mnie przywiązany i zrobią to, o co ich poproszę. Otrzymasz też niewielką sumę pieniędzy. Nie dam rady zebrać do jutra więcej, nigdy nie trzymam przy sobie gotówki. Myślę jednak, że to wystarczy, byś mógł spokojnie dotrzeć do Dublina i kupić sobie jakieś porządne ubranie.

Eleanor Devereaux przerwała na moment, jakby chciała uporządkować swe rozbiegane myśli.

— Zawsze kochałam twojego ojca, Tom. Gdybym nie była wtedy tak daleko, może mogłabym wam pomóc. Jest mi szkoda zwłaszcza twojej biednej matki. Chciałabym teraz jakoś zrekompensować wasze cierpienia. Gdyby tylko żył mój mąż, David, wszystko byłoby inaczej. On by cię zrozumiał — spojrzała ze smutkiem na Toma. Jej oczy były pełne smutku po stracie bliskiej jej sercu osoby.

Tom przez chwilę miał zamiar pochylić się nad nią i objąć mocno. Jednak wydało mu się to niestosowne. Ujął jej smukłe dłonie i ucałował je. Eleanor Devereaux uśmiechnęła się z wdzięcznością i delikatnie pogłaskała go po głowie jakby był jej synem. Z trudem wstała od stołu, pożegnała się i wyszła z izby. Tom długo jeszcze siedział samotnie, rozmyślając o przedziwnych kolejach losu. Czuł w swym sercu błogie ciepło, które dodawało mu otuchy. Od wielu już lat nie zaznał od nikogo tyle dobroci. Niestety, ten miły wieczór miał być wyjątkiem, który nie powtórzy się w ciągu następnych lat. Lady Devereaux dotrzymała wprowadzone słowa i pomogła mu. Jednak w jej ręku leżał tylko klucz, który otwierał drzwi do świata sukcesu i dostatku. Ta wątła kobieta nie mogła przecież obronić go przed pogardą i upokorzeniem, któremu sam musiał stawić czoło.

Eleanor Devereaux była w rodzinie Hartingtonów osobowością niezwykłą. Potrafiła zachowywać się jak prawdziwa dama, bezbłędnie przestrzegająca towarzyskiej etykiety. Jednocześnie zdolna była do najbardziej szalonych pomysłów i awantur. Młodsza siostra sir Jeffreya wiodła ciekawe życie, pełne przygód, romansów i dalekich podróży. Była dokładnym przeciwieństwem oziębłej żony brata, lady Geraldine. Sir Jeffrey bardzo lubił swą zwariowaną siostrę i powtarzał przy wielu okazjach:

— Wprawdzie nie chciałbym mieć ciebie za żonę, ale wierz mi, jesteś cudowną kobietą, Elly.

Eleanor przez jakiś czas w młodości marzyła o karierze artystki. Wyjechała nawet na rok do Paryża, gdzie obracała się w dość podejrzanym towarzystwie artystycznej bohemy. Szybko jednak porzuciła te plany i wyszła za mąż za Davida Devereaux, przystojnego, zamożnego intelektualistę, pracownika w dyplomatycznym przedstawicielstwie Wielkiej Brytanii we Francji. Kariera męża zmuszała ich do tułaczki z kontynentu na kontynent, ale David osiągał coraz wyższe szczeble w hierarchii dyplomatycznych stanowisk. Natomiast Elly miała sposobność prowadzić swój wymarzony salon towarzyski w najodleglejszych zakątkach świata — od Moskwy do Zanzibaru. Taki koczowniczy tryb życia odpowiadał jej niespokojnej naturze. Po śmierci męża, która była dla niej wielkim ciosem, na wieść o nieuleczalnej chorobie brata, zdecydowała się powrócić do Drumgillan. Uważała za swój obowiązek zaopiekować się nim. W zamian za to Jeffrey obiecał, że będzie mogła pozostać w jego domu, korzystając z gościnności Hartingtonów, aż do swojej śmierci. Lady Geraldine była zmuszona pogodzić się z wolą męża pomimo antypatii, jaką czuła do szwagierki.

Eleanor Devereaux prowadziła w Anglii beztrudne i pełne przygód życie -jak za młodu. Edmund, jej starszy brat, traktował ją ze swoistym pobłażaniem jak małą, niesforną dziewczynkę. Mieszkał w Dublinie, niedaleko Four Courts, w obszernym pałacu wraz ze swoimi trzema wnukami. Chłopcy przebywali u dziadka na czas nauki, którą pobierali w tamtejszych szkołach.

Eleanor nie potrzebowała zbyt wiele do szczęścia, całkiem jak Marie — jej wierna francuska służąca. Jej życie sprowadzało się do ciągłych podróży pomiędzy Dublinem a Paryżem. Edmund nie pochwalał tego trybu życia. Uważał siostrę za lekko postrzeloną. Eleanor nie miała więc i tym razem wątpliwości, że będzie miał jej za złe, że w swoim imieniu zaprosiła do Dublina nieślubnego syna Michela Hartingtona. Miała nadzieję, że Tom zdoła jednak przełamać uprzedzenia Edmunda. Jeśli nie, to nawet jej gorące prośby nie zmuszą go, by przyjął Toma do swego domu i zatrudnił jako nauczyciela swoich wnuków.

— Cholera! Dlaczego, Elly, zawsze musisz stawiać mnie w tak niezręcznej sytuacji? — krzyczał wyprowadzony z równowagi Edmund.

— Bądź rozsądny, mój drogi, bądź rozsądny. Takie wybuchy gniewu w tym wieku często kończą się zawałem.

Elly przybrała minę niewiniątka. Zawsze tak się zachowywała, gdy brakowało jej argumentów, robiła tak od urodzenia. Pomimo swych lat pozostała nieznośną psotnicą.

— Elly, dobrze wiesz, że nigdy nie potrafiłem ci odmówić. Jeśli twierdzisz, że ten młody mężczyzna jest tego wart, mogę wstawić się za nim u dziekana na uniwersytecie i dać mu pracę guwernera u siebie. Nie spodziewaj się jednak, że zrobię coś więcej. Wykluczone! Nie mam zamiaru brać na siebie odpowiedzialności za młodzieńcze pomyłki Michela. Pomijając całą sympatię, jaką zawsze do niego żywiłem, nigdy nie zaakceptowałem jego idiotycznego pomysłu, by związać się na stałe z irlandzką dziewczką i jej bękartem. Nie zmieniłem swego zdania na ten temat.

Spojrzał sponad okularów, by stwierdzić, czy wystarczająco dobrze go rozumiała. Nie miał ochoty kłócić się z siostrą, dlatego chciał w stanowczy sposób przeciąć tę nieprzyjemną rozmowę. Łagodny uśmiech, który pojawił się na pomarszczonej twarzy staruszki, wyrażał dozągoną wdzięczność.

— Jesteś dobrym chłopcem, Eddy-zwróciła się do siedemdziesięcioletniego mężczyzny. — Zawsze taki byłeś, pod warstwą obojętności i chłodu ukrywasz pełne wyrozumiałości serce. Wiedziałam, że i tym razem nie zawiodę się na tobie. Wystarczy, że wyposażyysz Toma w przyzwoitą pensję, a resztę pozostaw jego zdolnościom i sprytowi. Sam się zdziwisz, jak dobrze da sobie ze wszystkim radę. Zgoda?

— Zgoda. Choć muszę ci szczerze wyznać, że guzik mnie obchodzi, jak Tom Dalton będzie sobie radził — odparł Edmund. Po czym usiedli razem do stołu i zaczęli delectować się mocną, aromatyczną herbatą.



Mary siedziała na taborecie. Jedną ręką podtrzymywała przy piersi malutkie niemowlę, które właśnie zasnęło, trzymając wciąż w buzi sutek swojej mamy. Drugą wprawiała w miarowy ruch kołyskę, w której leżało roczne dziecko. Tę sztukę musiała opanować jak każda praktyczna matka, opiekująca się większą liczbą dzieci.

Ostatni poród bardzo osłabił Mary. Straszliwa myśl, że mogła podzielić los swojej biednej matki wciąż do niej powracała. Dziecko w kołysce zaczęło się krztusić. Ostrożnie, by nie obudzić noworodka, Mary wstała i przyniosła z kuchni szklankę wody z cukrem. Napoiła dziecko, po czym zręcznym ruchem ręki przewróciła je na brzuch. Z coraz większym trudem mogła podołać rozlicznym obowiązkom. Czwórka dzieci była wystarczającą ofiarą, jaką musiała złożyć mężowi i kościołowi. Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady pomietą broszurę. Otrzymała ją od pewnej kobiety, która należała do ruchu feministek. Zwykle sufrażystki zbierały się przed wejściem do sklepów i kościołów i rozdawały przechodniom propagandowe ulotki. Zaczęła przeglądać broszurę, przerzucając strony wolną ręką, podczas gdy drugą wciąż niańczyła śpiące niemowlę.

— Doprawdy, Mary, wolałbym, abyś nie zaprzętała ich głowy jakimiś zmyślonymi historyjkami. — Thadeus przerwał żonie głosem nie znoszącym sprzeciwu. Właśnie opowiadała swoim dwóm małym synkom bajkę. — Wiesz, że tego nie pochwalam. Moim zdaniem dzieci należy od samego początku konfrontować z okrutną rzeczywistością. Chcę, by twardo stąpały po ziemi, a nie bujały w obłokach.

— Ależ, Thed, dobrze wiesz, że dzieci potrzebują właśnie takich zmyślonych historii o dzielnych rycerzach, księżniczkach i złych smokach. Mogą się z nich bardzo wiele nauczyć. — Mary poczuła się urażona ingerencją męża w sprawy wychowania i macierzyństwa.

— Nonsens, moja droga. Chcę, by dzieci uczyły się rzeczy praktycznych i by ich charakter kształtowały pobożne i umoralniające przypowieści o życiu świętych, a nie smoków. Świat jest zbyt brutalny. Nic dobrego z tego nie będzie, jeśli będziesz mieć dzieci fantazjami. Ciężka praca i przyzwoitość to dwie podstawowe zasady, które trzeba wbić im do głowy. Lepiej, by zrozumiały to teraz, niż miały później odczuć na własnej skórze, jak wiele trzeba zapłacić za idealistyczne podejście do życia.

— Sądzę, że sama mogę decydować, czego będą uczyć się moje dzieci — upierała się Mary. Oschły charakter męża wyprowadzał ją chwilami z równowagi.

— Bardzo mi przykro, ale nie. To ja będę o tym decydował. Wiem, że chcesz dla nich jak najlepiej, ale nie rozumiesz, że świat jest brutalny i bezwzględny. Trzeba przejść długą i ciężką drogę, walczyć z przeciwnościami losu i zawiścią innych ludzi, aby w ogóle do cze-

gość dojsć. Dlatego jestem zmuszony poprosić cię, byś bezwarunkowo podporządkowała się mojej woli. — Po tycli stanowczych słowach Thadeus uśmiechnął się życzliwie do żony, po czym wrócił do przerwanej lektury porannych gazet.

Żelazna ręka w jedwabnej rękawiczce, pomyślała Mary. Nadaję się tylko, by taśmowo rodzić mu dzieci, gotować obiady, pracować, przewijać dzieci, sprzątać i robić zakupy, ale do tego, by podejmować decyzje... do tego się nie nadaję. W Irlandii w sprawach wychowywania dzieci głos kobiety się liczył. Mężczyźni godzili się z tym, że rodzina jest jej domeną.

Thadeus wyczuł niezadowolenie żony. Oderwał wzrok od gazety i odezwał się pojedynczym tonem:

— Jeśli interesy będą szły tak dobrze jak do tej pory, już wkrótce będziemy mogli wziąć mamkę do dzieci. Wiem, że jest ci ciężko zapanować nad naszą małą trzódką, bym bardziej że powiększa się w zawrotnym tempie — roześmiał się prostacko. Spodobał mu się własny kawał. Był dumny ze swojej męskości, z tego, że prawie co roku mógł spłodzić następnego potomka. Dla Mary to nie był powód do dumy. Nie była zachwycona, że musi w bólach wydawać na świat całą armię małych Thadeusów, którzy w przyszłości na podobieństwo ojca przeistoczą się w praktycznych i pozbawionych wszelkiego polotu bostoń — czyków. Przecież to nie może być wszystko, myślała rozgoryczona. Musi być w życiu kobiety coś jeszcze, co da jej poczucie zadowolenia i samorealizacji.

Mary usiadła na krześle i pogрузzyła się w rozmyślaniach. Uwagę dzieci całkiem pochłonęło kartonowe pudełko z ołowianymi żołnierzami, które przyniósł do domu Thadeus. Miała więc chwilę wytchnienia. Być może, myślała, Thadeus nieświadomie podpowiedział sposób na rozwiązanie jej problemu. Jeśli będzie miała kogoś do pomocy, wszystko się zmieni. Interesy męża szły bardzo dobrze. Często jednak narzekał na personel. Ledwo dawał sobie z nim radę. Być może, gdyby uwolniła się od uciążliwych obowiązków domowych, mogłaby pomóc mu w prowadzeniu sklepu. Nareszcie wyrwałaby się z domu i zetknęła z innymi ludźmi, od których przez tyle lat była całkiem odgradzona w trudnej do zniesienia izolacji. Potrzebowała zmiany. Musiała jednak postępować bardzo ostrożnie, by przekonać Thadeusa do swego pomysłu. Powinna uzmysłowić mu, że jest zbyt miękka i wyrozumiała, by pozostawiać jej wolną rękę w wychowaniu dzieci. Następnie musi przekonać męża, że koniecznie muszą wynająć dla małych niańkę — najlepiej jakąś starszą osobę, surową i wymagającą, ale i uczuciową zarazem. Dzieci potrzebują ciepła. Wiedziała, że pomimo ogromnej miłości, jaką Thed żywił do niej, z dużym krytycyzmem podchodził do jej pedagogicznych zdolności. Sposób, w jaki obchodziła się z dziećmi, był daleki od jego wyobrażeń o surowym wychowaniu i konsekwentnej dyscyplinie. Gdyby tylko potrafiła przełamać opory męża, które wynikały z jego protestanckich zasad moralnych... to była najpoważniejsza przeszkoda na drodze do urzeczywistnienia planów. Ale i stawka była spora: nowe życie i — być może — uznanie w oczach męża. Jeśli sprawdzi się w interesach, Thed siłą rzeczy będzie inaczej ją traktował. Musi tylko znaleźć za wszelką cenę kobietę do dzieci, która odpowiadałaby wyobrażeniom męża. Jeśli to się jej uda, wówczas wszystko powinno pójść gładko. I

pomyśleć, że jedna nie zobowiązująca propozycja męża, która miała tylko złagodzić jej gniew, otworzyła tyle nowych możliwości. Mary poczuła ulgę i zadowolenie. Siedziała wygodnie na krześle i z uśmiechem przyglądała się bawiącym na podłodze dzieciom. Thadeus spostrzegł tę nagłą zmianę na jej twarzy i spytał ze zdziwieniem:

— Czy coś się stało? Wyglądasz zupełnie jak kot, który zobaczył tłustego kanarka.

— Po prostu zastanawiam się nad twoją propozycją, drogi mężu, by znaleźć niańkę dla dzieci. Jesteś naprawdę uroczy, Thed.

— Staram się, jak mogę, Mary — odparł zaskoczony i zadowolony z pochwały. To naprawdę niesamowite, jak kobiety łagodnieją wobec stanowczości i surowości, z jaką są traktowane, pomyślał. Zupełnie jak dzieci.

Wielki

Zimny i ciasny pokoik, w którym zamieszkał Tom po przyjeździe do Dublina, przypominał klasztorną celę, w jakiej spędził wraz z innymi chłopcami większą część swego dzieciństwa. Było to niskie i niewygodne pomieszczenie na poddaszu zniszczonej oficyny. Tom nie mógł nawet rozprostować kości. Kiedy stawał pośrodku pokoju, głową dotykał ukośnego sufitu. Małe łóżko zostało niefortunnie wciśnięte do jednego z kątów. Było to bardzo niepraktyczne, gdyż właśnie w tym miejscu przestrzeń między podłogą a sufitem była najmniejsza. Tom musiał więc przesuwając je na noc pod przeciwległą ścianę, tuż pod drzwiami, tak aby, gdy zrywał się rano, nie uderzyć głową w strop. W ciągu dnia znów ustawiał je na starym miejscu, w przeciwnym razie nie mógłby ani wyjść z pokoju, ani nawet usiąść przy sfatygowanym stoliku pod oknem. Pomimo tych wszystkich niedogodności Tom bardzo lubił swoje ciasne mieszkanie. Kupił je za pieniądze z niewielkiej pensji, jaką otrzymywał od Edmunda Hartingtona za nauczanie jego wnuków. Imał się także innych prac, jeśli miał tylko wolną chwilę. Przede wszystkim jednak w miarę możliwości starał się całkowicie poświęcić studiom. Książki stały się jego nauczycielem, mistrzem, towarzyszem i przyjacielem. Pracował ciężko, by później spędzać długie godziny w uniwersyteckiej bibliotece. W nocy czytał do późna przy wątłym świetle świecy i przygotowywał się do zajęć na przyszły dzień.

Studia na uniwersytecie były wspaniałą okazją do poszerzenia wiedzy zdobytej w przyklasztornej szkole. Z drugiej strony stały się dla Toma przykrą lekcją oportunistów i uprzedzeń ze strony rówieśników i profesorów. Tolerowano go, gdyż znajdował się pod opieką potężnego Edmunda Hartingtona, człowieka, który cieszył się powszechnym szacunkiem i poważaniem. Przy każdej jednak okazji okazywano mu swoją wzdargę i niechęć. Tylko zdolności i intelekt, których brakowało jego rówieśnikom i wykładowcom, pozwoliły mu nabrać odpowiedniego dystansu do tych przykrych doświadczeń. Surowe klasztorne życie okazało się wspaniałą zaprawą, która uodporniła go na ludzkie okrucieństwo i zawiść. Ze spokojem przyjmował drwiny i poniżenia. Przed oczyma miał wciąż jeden tylko cel — przetrwać i nie dać się.

— Tomie Dalton — zwrócił się kiedyś do niego pewien profesor. Młodzieniec przechodził właśnie przez dziedziniec uniwersytetu, z radością podgwiszując pod nosem. Znów osiągnął najlepsze na roku wyniki z greki i łaciny. — To doprawdy szkoda, że Pan Bóg wyposażył cię w tak doskonały umysł i skazał jednocześnie na los irlandzkiego parweniusza. Pomyśl tylko, jakie perspektywy otworzyłyby się przed tobą, gdybyś urodził się dżentelmem.

— Prawdopodobnie dziś byłbym na pana miejscu — odparł oschle i z pogardą przeszedł koło osłupiałego profesora.

Jednak — chociaż starał się zachować obojętność — te słowa wywołały w nim wściekłość. Gdyby nie fakt, że Tom nie mógł sobie pozwolić na kupno rękawiczek i musiał stale

trzymać ręce w kieszeniach płaszcza, grubiański profesor na pewno spostrzegłby, jak gniewnie zaciskają się w pięści.

„Ucz się synu. Pokonaj ich ich własną bronią” — powtarzał uparcie słowa swego ojca.

Łóżko Toma było tak małe, że musiał spać z podkurczonymi nogami, aby się w nim zmieścić. Przykryty cienkim kocem, zdrętwiały z zimna, drzemał w tej niewygodnej pozycji, marząc o miękkim, szerokim łóżku. Obiecał sobie, że kiedy będzie już bogaty, a nie wątpił, że tak się kiedyś stanie, wówczas każe zamówić sobie największe i najszersze łóżko w całej Irlandii, tak by mógł spać w nim nawet w poprzek. Kiedy tak marzył, słyszał, jak w ciemnym pokoju po wilgotnych ścianach drepczą karaluchy, a szczury popiskują w kątach. Nie był zadowolony z tych dzikich lokatorów. Zwykle wychodziły nocą ze swych kryjówek w poszukiwaniu resztek jedzenia. Tom sam ledwo miał co włożyć do żołądka, nie zamierzał tuczyć jeszcze swoich nieproszonych gości. Ponieważ wychowano go w czystości, zawsze zwracał uwagę na sprawy higieny. Dlatego tępił karaluchy i szczury z rozpaczliwą zajadłością osaczonego przez wrogów człowieka. Nie mógł jednak poradzić sobie. W końcu zrezygnował i zostawiał im na noc na podłodze parę okruchów, by dały mu w nocy spokój.

W XIX wieku Dublin był wyjątkowym i niezmiernie ciekawym miejscem. Stykały się tu dwa odległe, całkowicie przeciwstawne sobie światy: europejskich slumsów proletariatu i przepychu kolonialnych rezydencji i pałaców. Dzielnice bogactwa i zbytku skupiały elitę angielsko-irlandzkiej arystokracji oraz środowisko oficerów angielskiej armii. Ci ostatni zwłaszcza nadawali miastu specyficzny koloryt, przenosząc tutaj egzotyczne zwyczaje i styl życia, których nabyli podczas licznych wypraw do najdalszych zakątków brytyjskiego imperium. Z drugiej strony właśnie w 1892 roku, kiedy Tom przyjechał do Dublina, w mieście zaczęły pojawiać się pierwsze oznaki całkiem odmiennych' tendencji w kulturalnym i politycznym życiu Irlandii. Wyzywające bogactwo wąskiej elity władzy wywoływało sprzeciw. Zaczęto coraz głośniej mówić o autonomii dla Irlandii, którą miała uzyskać po siedmiuset latach niewoli. W parze z nowymi prądami w polityce zaczęło odżywać zainteresowanie irlandzką kulturą, mitami, językiem i literaturą. Pojawiały się coraz silniejsze tendencje nacjonalistyczne. Mówiono o Unii Pracy, która stawała w obronie robotników.

Tak więc kiedy Tom znalazł się w Dublinie, rozpoczynając swoją długą życiową odyseję, to miasto otwierało przed nim niezliczone możliwości.

Tom, jak i inni młodzi ludzie z jego środowiska, których materialna sytuacja nie była pewna, trzymał się raczej z daleka od nacjonalistycznych ruchów. Przeczuwał, że tacy jak on pierwsi będą płacić za jakikolwiek przejaw buntu. Natomiast studenci z uniwersytetu byli wprost pochłonięci nowymi ideami, namiętnymi dyskusjami i agitacją na rzecz wolności. Ich emocje i zapalczywość powoli zaczęły udzielać się pozostałym. Tom znajdował się w tym szczególnym położeniu, że mógł wysłuchać racji obu stron. Udzielając lekcji łaciny lub greki dzieciom z bogatych rodzin, często słyszał oburzone głosy: „Autonomia jest beznadziejnie głupim i nieodpowiedzialnym pomysłem kilku szczeniaków, którzy nie mają pojęcia o rządzeniu... Irlandczycy powinni być wdzięczni dobroduszej i hojnej Matce Anglii, która

wzięła ich kraj pod swoją opiekę... Ta cała moda, by na nowo pisać i mówić językiem irlandzkich chłopów, to jakaś kompletna bzdura. Ten język brzmi jak gulgot indora! Po angielsku mówiono w Irlandii od stuleci. A te ich literackie pretensje!... Irlandia nigdy nie miała wielkiej poezji i nigdy jej mieć nie będzie. To nonsens".

Tom wysłuchiwał tych wszystkich argumentów z pobłażaniem i cierpliwością. Kiedy miał trochę pieniędzy, przesiadywał w pubach i słuchał, co mówią ludzie. W ich opowieściach świat wyglądał całkiem inaczej.

— Czy słyszeliście o pani Gonnie, która podróżuje po całym kraju i wspiera farmerów? — młody człowiek o imieniu Richard, który stał właśnie przy barze z kuflem ciemnego piwa, zadał to pytanie wszystkim zebranym w pubie.

— Oczywiście — odparł jeden z jego kompanów — pewnie, że znam. Niech Pan Bóg jej wynagrodzi.

— Kim jest ta Gonnie i co robi? — spytał Tom, który siedział kilka stolików dalej. Richard odwrócił się w jego stronę, uniósł w przyjaznym geście kufel, pozdrowił nieznanego i wypił do dna.

— Jest córką pewnego oficera — językiem zgarnął pianę z warg. — To najwspanialsza i najdzielniejsza kobieta w całej Europie. Nawet w gazetach niej pisali.

— Nie wątpię, że nie ma od niej wspanialszej na świecie, ale co ona takiego robi? — odparł Tom ze śmiechem. Rozbawiło go, z jak nabożną czcią mówił ten prosty człowiek o pani Gonnie.

— Wędruje, bracie, od wioski do wioski i organizuje farmerów, by mogli bronić się przed swymi panami. Czasy są ciężkie. Podatki stale rosną. Te psy najchętniej pozbyłyby się nas wszystkich tylko dlatego, że jesteśmy katolikami. Wołają protestantów. Ci są bardziej spolegliwi... Więc wyobraź sobie, że ta piękna kobieta przyjeżdża do najbardziej odległych i zapadłych stron kraju namawia chłopów, by bronili swojej ziemi i interesów. Na dodatek wspiera ich finansowo, udziela bezpłatnych porad prawnych i agituje, by w najbliższych wyborach głosowali na kandydata Unii Pracy. I, czy dasz wiarę, oni jej słuchają!

— Musi być rzeczywiście niezwykłą kobietą — zachichotał Tom. Już wyobrażał sobie miny tych zadufanych bogaczy, którzy nie mogą zrozumieć, dlaczego ktoś z ich klanu podburza przeciw nim chłopów.

— Czy przyjdiesz dziś wieczór posłuchać poezji pana Yeatsa, Tom? — spytał młody człowiek o okrągłej jak księżyc w pełni twarzy. — W czwartek będzie recytował swoje wspaniałe wiersze. Nie można stracić podobnej okazji!

— Naturalnie, że przyjdę, George — odparł Tom z entuzjazmem. — Jego delikatne słowa mają moc hartowanej stali. Dla nas są jak słońce, a dla naszych wrogów jak huragan.

— Tak, to niewątpliwie największy poeta — przyznał George. — Nie wiem, czy wiesz, ale mówią o nim, że szaleje za panną Gonne. Rozumiesz?

— Zdaje się, że to akurat ona za nim szaleje — roześmiał się Tom. Dopił piwo do końca, po czym sięgnął do kieszeni, by zapłacić.

Wspaniały jest ten Dublin! — pomyślał. Pożegnał się z George'em i Richardem i wyszedł z pubu. Zapadał powoli zmrok i wiał zimny wiatr. Tom podniósł kołnierz swojego płaszcza. Gdyby nie inne plany, na pewno zostałby dłużej w tym mieście. Rewolucja, polityka i literatura to mieszanka emocji, które są w stanie zawładnąć umysłem i sercem każdego młodego mężczyzny. Tom uśmiechnął się. Niestety, musi przede wszystkim zrealizować swoje plany — wyjechać do Ameryki i zobaczyć się z matką... dowiedzieć się, czy jest bezpieczna i czy czuje się dobrze. Potem z czystym sumieniem będzie mógł pójść swą własną drogą. Napisał list do niej i cierpliwie oczekiwał odpowiedzi.

— Ciociu Elly? — Tom stał w drzwiach do jadalni w domu Edmunda Har — tingtona. Jego twarz wyrażała najwyższe zakłopotanie i smutek. Eleanor na samym początku uprzedziła brata, że będzie przyjmować Toma u siebie za każdym razem, kiedy przyjedzie do Dublina, bez względu na to, czy chłopiec był uważany tylko za służącego, czy też w jakimś sensie za członka rodziny. Zagroziła, że jeśli Edmund się sprzeciwi, wynajmie pokój w hotelu Shelbourne i tam będzie się spotykać ze swoim protegowanym.

Eleanor Catherine Hartington Devereaux spojrzała pytająco na smutnego młodzieńca. Za każdym razem gdy go widziała, na nowo odkrywała jego fascynującą męską urodę. Był wysoki, bardzo dobrze zbudowany, a kasztanowe loki nadawały jego szczupłej pociągłej twarzy zastanawiający wyraz niewinności — może dlatego, że kojarzyły się z cherubinem. Jego niebieskie oczy wzbudzały zaufanie i jednocześnie kryły w sobie coś zagadkowego, tajemniczego, jakąś mądrość, która pasowałaby raczej do kogoś znacznie starszego-

— Wyglądasz na przygnębionego, chłopcze — energicznym ruchem ręki wskazała mu miejsce na kozetce obok siebie. Doskonale wiedziała, jak ciężkie jest życie Toma. Doceniała fakt, że prawie w ogóle się nie skarżył.

— Potrzebuję twojej pomocy i rady.

— Zwróciłeś się do właściwej osoby — odparła z nie ukrywaną satysfakcją. — Co jest powodem twych zmartwień, chłopcze?

— Chodzi o moją matkę, ciociu Elly... Otrzymałem od niej dość nieprzyjemny list. Wiesz, że od dawna planowałem wyjazd do Ameryki, do Bostonu. Napisałem matce o swoich zamiarach, o tym, że zaoszczędziłem trochę pieniędzy i w przyszłym roku mogę już do niej przyjechać. — Tom przerwał, potem odchrząknął i dokończył z drzeniem w głosie: — Odpisała, bym tego nie robił.

Stara kobieta dostrzegła w jego oczach cierpienie, które przeżywa każde odrzucone dziecko. Współczuła mu z całego serca. Po namyśle spytała.

— Czy podała jakąś przyczynę?

— Tak. Jej mąż jest całkiem pochłonięty pracą. Poza tym stara się o jakąś posesję publiczną, zdaje się, że kandyduje na radnego miejskiego, i moje nagłe przybycie do Bostonu może postawić go w niekorzystnym świetle, tak 1 twierdzi matka.

Eleanor bardzo ostrożnie dobierała słowa:

— Czy nie odniosłeś wrażenia, że mąż Mary może w ogóle nie życzyć sobie twojej wizyty w Bostonie? Niewielu mężczyzn jest gotowych zaakceptować nie swoje dzieci, tym bardziej, jeśli pochodzą z nieślubnego związku. Często zastanawiałam się nad tym. Możesz uważać mnie za dziwaczkę, stetryczale pudło, które nie rozumie was, młodych, ale sądzę, że lepiej niż ty potrafię wczuć się w sytuację twojej matki. Wyobraź sobie, w jak ciężkim położeniu znalazła się po twoim urodzeniu, a później po śmierci Michela. Pomyśl tylko! Nie chcę obwiniać twego ojca, zrobił dla was wszystko, co było w jego mocy. Chcę, byś po prostu zrozumiał, że Mary jest tylko ciężko doświadczoną przez życie kobietą, która zawsze musiała walczyć z przeciwnościami losu. Czy sądzisz, że to, co przeżyła w Drumgillan, nie ma żadnego wpływu na jej obecne postępowanie?

Tom wstał gwałtownie, wydawało się, że chce wyjść z pokoju. Po sekundzie opanował się i podszedł do okna. Stał tam, w milczeniu przyglądając się drzewom w ogrodzie. Eleanor domyślała się, co czuł ten wrażliwy młody człowiek. Chciała jednak sprawy doprowadzić do końca.

— Myślę, Tom, bez obrazy, że nie jesteś całkiem świadom, jak trudne było jej życie. Biedna, ale ambitna dziewczyna została matką nieślubnego dziecka, wyrzucona ze służby, opuszczona przez wszystkich znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Wydawało się jej przez chwilę, że pełnia szczęścia jest zaledwie w zasięgu ręki, gdy nagle wszystkie jej marzenia, cały jej świat legł w gruzach. Musiała wyjechać do obcego kraju, rozstać się ze swoim synem i na nowo rozpocząć pracę jako służąca. Podziwiam ją, że miała dość sił, by poradzić sobie z tymi wszystkimi przeciwnościami. Co może zrobić samotna kobieta? Niezależnie od twojej własnej oceny i odczuć musisz zrozumieć, że ponowne małżeństwo było dla niej jedyną drogą ratunku. I kiedy wszystko zaczęło wreszcie układać się pomyślnie, kiedy uwierzyła, że najgorsze ma już za sobą, pojawiaasz się ty, jak zły duch z tragicznej przeszłości, o której starała się zapomnieć. Nie miej jej za złe, że boi się, iż zniszczysz jej nowe, z takim trudem zbudowane życie.

Spostrzegła, że Tom zacisnął pięści. Żyły na jego skroniach stężały z emocji. Eleanor starała się nadać swoim słowom łagodniejszy ton.

— Tom, spójrz, proszę, na mnie. Chcę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Z wyraźnym ociąganiem i niechęcią odwrócił się od okna i spojrzał na ciotkę. Wyraz jego twarzy, pełen smutku i cierpienia, utwierdził ją w przekonaniu, iż dobrze postąpiła mówiąc mu prawdę. Podniosła się z kozetki, podeszła do niego, wzięła za rękę i zaprowadziła do dużej, pluszowej kanapy, na której usiedli.

— Musisz zrozumieć, że to, co ci mówię, nie jest dowodem złości czy złej woli z mej strony. Obserwowałam cię uważnie przez te ostatnie lata. Mogę szczerze wyznać, że jesteś naprawdę wyjątkowym człowiekiem. Posiadasz wiele talentów. Jesteś wykształcony i w niczym nie ustępujesz tym napuszonym gagatkom z uniwersytetu, których jedynym atutem jest dobre urodzenie. Jeśli chodzi o twój wygląd zewnętrzny... co cóż, wystarczy, że powiem, iż jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Pamiętaj, że swego czasu miałam sporo kochanków i znam się na mężczyznach — zażartowała, jednak smutna twarz Toma pozostała niewzruszona. — Niestety, w twoim sercu panuje dziwny zamęt. O ile głowa jest w porządku, dusza cierpi na ciężką chorobę. Masz przecież perspektywę. Za kilka miesięcy skończysz studia i w ten sposób spełnisz ostatnią wolę ojca. Rozpoczniesz wspaniałą karierę, nie wątpię, że ci się powiedzie... A jednak pomimo tego wszystkiego wciąż jesteś nieszczęśliwy. Gdzieś w najciemniejszych zakamarkach twojej duszy wciąż tli się to pełne emocji dziecięce uczucie do matki. Widziałam, jak zazdrosnym wzrokiem patrzysz na dzieci i ich matki. Wciąż wypatrujesz swojej mamusi, jakbyś był dziesięcioletnim chłopcem.

— Ale przecież to dla niej tak bardzo się staram...

— Nie dla niej! — przerwała mu ostro. — Już nie dla niej, Tom! Może kiedy byłeś małym dzieckiem, świat zaczynał się i kończył na Mary. Ona była przyczyną wszystkiego, co robiłeś. Teraz jesteś już dorosły, jesteś mężczyzną i ty sam stałeś się panem swojego losu! Musisz zerwać dawne więzy, rozpocząć własne życie. Pomyśl o przyszłości, znajdź kobietę, która pokocha cię tak mocno, jak Michel kochał twoją matkę, i miej z nią dużo dzieci. Naucz się realizować własne marzenia. Jeśli w tym wszystkim znajdziesz jeszcze trochę miejsca w sercu na uczucie dla matki, chwała ci. Nie zapominaj jednak, że jesteś już mężczyzną — wspaniałym szlachetnym mężczyzną, który musi wreszcie żyć swym własnym życiem, tak jak i Mary!

Tom cały czas trzymał w dłoniach jej rękę. Jego palce zaciskały się z taką siłą, aż zbiełały mu paznokcie. Kiedy to spostrzegł, wypuścił jej dłonie i spojrzał na nią zmieszany.

— Uważasz więc, że nie powinienem jechać do niej? — spytał dziwnie zmienionym głosem.

— W każdym razie nie teraz. Poczekaj, aż sama cię o to poprosi. Chyba że jest ci wszystko jedno, co stanie się, jeśli wbrew woli matki wtargniesz w jej nowe życie. Nie wiem, czy masz w sobie aż tyle złej woli, by zdobyć się na podobną podłość — jej głos był łagodny i stanowczy zarazem. Tom stwierdził, że jej argumenty zaczynają trafiać mu do przekonania. Trudno było odmówić jej racji.

— Musisz się liczyć i z taką ewentualnością, że Mary nigdy nie zdobędzie się na odwagę i nie poprosi ciebie, byś do niej przyjechał. Jest zależna od męża i dzieci. Czy sądzisz, że zdecyduje się złamać jego polityczną karierę, zrujnować całej rodzinie życie i unieszczęśliwić wszystkich tylko dlatego, byś ty mógł zrealizować swoje szlachetne plany? Myślę, że ona wciąż ciebie kocha, Tom. Jednak nie wszystko zależy od niej.

Przytaknął. Miała całkowitą rację. W ciągu jednej krótkiej chwili plany, które traktował dotąd z tak wielką powagą, wydały mu się nieodpowiedzialnym kaprysem małego dziecka. Nie powinien pozwolić, by słabość wzięła górę nad charakterem. Mary miała męża, dzieci i była im wszystkim bardzo potrzebna. Nie może obciążać jej dodatkowymi problemami. I bez tego jej życie było wystarczająco ciężkie. Kiedy zostanie już bogatym i sławnym człowiekiem, wówczas pójdzie do niej, a ona będzie dumna, że ma tak wspaniałego syna.

— Kocham cię, ciotciu Elly — powiedział z pewnym zażenowaniem. — Bardzo mi pomogłaś.

— Ja również bardzo cię kocham — uśmiechnęła się do niego.

Jej spojrzenie było pełne ciepła i dobroci. Powiedziała wszystko, co powinno zostać powiedziane. Tom okazał się wspaniałym, wyrozumiałym i mądrym człowiekiem. Pomimo goryczy, poczucia krzywdy i własnych uczuć potrafił zaakceptować gorzką prawdę. Był naprawdę wyjątkowym młodzieńcem. Eleanor nie miała wątpliwości, że z takim charakterem Tom zajdzie bardzo wysoko. Żałowała tylko, że pozostało, jej tak niewiele czasu i że — być może — nie zobaczy już jego wielkiego triumfu.

Trzy dni później Tom ponownie zjawił się w domu Edmunda Hartingtona. Przyniósł ze sobą olbrzymi bukiet polnych kwiatów, by wręczyć go ciotce w dowód wdzięczności za jej dobre serce i mądre słowa. Dowiedział się, że poprzedniego dnia Eleanor zasłała nagle i lekarz zalecił jej natychmiastowy powrót do Drumgillan, gdzie wiejskie powietrze miało podreperować jej nadszarpnięte zdrowie. W ciągu następnych kilku miesięcy, jakie Tom spędził w Dublinie, ciotka przysyłała mu regulanie pełne ciepła, otuchy i nadziei listy. Młodzieniec z trudem mógł pogodzić się ze stratą tak wiernego przyjaciela i dobroczyńcy. Kiedy dowiedział się o jej nagłej śmierci, zrozumiał, że zerwana została ostatnia nić, która łączyła go z przeszłością. Nic i nikt już nie trzymał go w Dublinie. Postanowił czym prędzej jechać do Ameryki — ale nie do Bostonu, gdzie mieszkała jego matka. Postanowił, że nie spotka się z nią tak długo, aż ona sama uzna to za możliwe. Nowy Jork wydał mu się doskonałym miejscem, by rozpocząć nowe życie. Kiedyś Eleanor Devereaux opowiadała mu o tym mieście. Z jej informacji wynikało że jest to miejsce pełne przeróżnych możliwości, które tylko czekają na odważnych, młodych ludzi.

W yglądasz na bardzo zmartwionego — usłyszał za sobą głos barmanki z tawerny Mewsa.

Knajpa znajdowała się niedaleko domu, w którym mieszkał. Ciepła i przyjemna atmosfera, jaka tam panowała, bardzo mu odpowiadała. Był to dzień, w którym dowiedział się o śmierci Eleanor Devereaux, i postanowił utopić swe smutki w alkoholu. Spojrzał uważnie na ładną dziewczynę o długich włosach i uśmiechnął się do niej. Od kiedy przybył do Dublina, zauważył, że ma w sobie coś, co pociąga kobiety. Po opuszczeniu klasztoru dla Toma płęć piękna stała się prawdziwym odkryciem. Było to tym bardziej fascynujące, ponieważ spostrzegł, że cieszy się wśród kobiet powodzeniem. Jego atletyczna sylwetka i pociągła urodziwa twarz kojarzyła się im z bohaterskimi rycerzami ognistego miecza. Ta starodawna legenda była wówczas bardzo popularna wśród dziewcząt pracujących jako służące lub barmanki.

— To prawda, ślicznotko! Nie mam powodów do radości. Jeśli przysiądziesz się do mnie i wypijesz kufelek piwa, opowiem ci o moich kłopotach — posunął się, by zrobić jej miejsce. Uśmiechnął się przeciągle na widok jej piersi, kiedy nachyliła się, by napełnić mu kufel.

— Wiesz, że stara, dobra Molly nigdy ci nie odmówi. Zawsze możesz wypłakać się na moim łonie — roześmiała się i potargała dłonią jego czuprynę. — Co tym razem leży ci na wątrobie, Tom? Nawet ten złodziej, którego wczoraj wieszali, miał przed egzekucją szczęśliwszą minę niż ty teraz.

— Widzisz, to była wielka dama, Molly. Dzięki niej całe moje życie zmieniło się. Sprawiała, że wiele rzeczy zrozumiałem. Była jak przyjaciel. A teraz dowiedziałem się, że nie żyje. Ta wiadomość całkiem zwała mnie z nóg.

— Wielka dama? Myślałam, że jestem jedyną kobietą w twoim życiu — Molly roześmiała się prostacko. Kiedy zorientowała się, że Tom nadal jest smutny, przyjęła inną taktykę.

— Kończę pracę o dwudziestej. Jeszcze tylko półtorej godziny. Może zabawimy się trochę? Przyjdź do mnie, ostatecznie jesteśmy przyjaciółmi — uśmiechnęła się życziwie.

Molly nie wyróżniała się pięknnością, ale w jej zachowaniu było coś swobodnego i koikteryjnego, co w oczach mężczyzn czyniło ją bardzo atrakcyjną. Tom już niejedną raz przespał się z nią i nigdy tego nie żałował. Uważał, że kobiety można podzielić na różne kategorie. Na przykład barmanki były zawsze wesołe, trochę figlarne, ale dobroduszne i szczerre. Znały się doskonale na sztuce kochania i były szczęśliwe, jeśli mogły przekazać mu choć cząstką swej wiedzy w tym zakresie. W porównaniu z nimi pokojówki wydawały się zbyt

kapryśne, choć równie chętne do miłości. Tom unikał ich jednak, ponieważ wszystkie miały jedną wadę: pozowały na świętoszki i trzeba było wiele zachodu, by mieć z nimi kilka minut przyjemności. Poza tym pochodziły głównie ze wsi, dlatego nie znały sposobów pozwalających kobiecie uniknąć ciąży. Kiedy kochał się z nimi, wciąż powracały do niego wspomnienia o matce, i to psuło wszystko. Szczególnym odkryciem natomiast były dla Toma mężatki. Nigdy przedtem nie przypuszczał, że świat jest pełen zawiedzionych, smutnych i niekochanych kobiet, które daremnie czekają na najmniejszą oznakę czułości ze strony swych przepracowanych i zmęczonych mężów. Wydawało się, że tylko czekają, by w ich życiu pojawił się jakiś piękny książę z bajki i choć na chwilę pozwolił zapomnieć o monotonnym, szarym życiu. W stosunku do żadnej ze swych licznych kochanek Tom nie czuł nic więcej niż tylko pożądanie. Nieustanne romanse były dla jego ciała i duszy nową zaskakującą przygodą, tym słodsza, iż przez lata musiał żyć w surowej dyscyplinie i ascezie klasztoru. Wobec kobiet pozostawał więc zawsze w okrutny sposób szczery i nie dawał im ani odrobiny nadziei. Nigdy też nie szedł do łóżka z dziewczyną, jeśli tylko dowiedział się, że jest dziewicą. Uważał, że ten pierwszy raz wiąże się ze zbyt dużą odpowiedzialnością. Nie flirtował z pokojówkami, jeśli mogło to im przysporzyć kłopotów, i nie miał romansów z mężatkami, jeśli nie był pewny, że rzeczywiście nie kochają swoich mężów. W łóżku zawsze starał się przede wszystkim zaspokoić partnerkę. Nigdy też nie opowiadał innym mężczyznom o swoich podbojach. Starał się konsekwentnie przestrzegać tych zasad. Stały się one swoistym kodeksem moralnym młodego donżuana.

Tej nocy Tom potrzebował ciepła i czułości. Nagła śmierć ukochanej ciotki i bolesne rozterki wywołane listem matki spowodowały, że nie chciał być sam. Wydawało się, że ostatnia rozmowa z ciotką Elly usprawiedliwiała te pragnienia. Powinieneś żyć — mówiła — cieszyć się życiem, realizować swoje zamiary.

— Molly, dziecino — odparł namiętym i pełnym ognia głosem — o niczym innym nie marzę jak tylko, by spędzić z tobą upojną noc.

Poklepał ją po pośladku, a Molly rozpromieniona wróciła do swoich zajęć. Chciała jak najszybciej skończyć pracę. Podśpiewywała z radością, a kiedy Tom wstał i skierował się do wyjścia, dała mu w przelocie całusa i pomachała na do widzenia.

Edmund Hartington siedział za olbrzymim, ozdobnym biurkiem w swoim wytwornym gabinecie. Tom wszedł właśnie do środka i cierpliwie czekał, aż starszy mężczyzna zwróci na niego uwagę. Brat ciotki Eleanor zrobił dla niego bardzo wiele: dał mu pracę i zapewnił miejsce na uniwersytecie. Nawet jeśli robił to jedynie spełniając życzenie swej siostry, był to i tak wystarczający powód, by szanować tego człowieka. Pan Edmund oderwał wzrok od dokumentów i spojrzał na Toma sponad okularów. Odchrząknął i wskazał krzesło, by usiadł.

— Moja siostra była bardzo przywiązana do ciebie, młodzieńcze. Myślę, że wiesz o tym. Prosiła mnie, bym wręczył ci ten list... Przed śmiercią bardzo nalegała, abym dopilnował tego — przerwał na chwilę. Wyciągnął z kieszeni wielką, kraciastą chustkę. Wydmuchał w nią nos i wytarł oczy.

— To była diabelnie dobra kobieta — dodał jakby na usprawiedliwienie. — Nie mogę powiedzieć, bym popierał całą tę historię z twoją edukacją i uniwersytetem. Nie dlatego, bym uważał, że dostarczyłeś nam zbyt mało dowodów swoich zdolności. Po prostu sędzę, że ludzie nie powinni wywyższać się ponad stan. Pewnych ustalonych norm nie można zmieniać na siłę. — Spojrzał na kamienną twarz Toma. — Ale moje zdanie na ten temat na pewno cię nie interesuje. Zresztą teraz, po śmierci Elly, to wszystko i tak nie ma już znaczenia. W każdym razie masz tutaj list i paczkę, którą kazała ci przekazać.

Edmund Hartington uniósł się ciężko z fotela i wyciągnął rękę w geście pożegnania.

— Powodzenia, chłopcze — powiedział. Potem spojrzał uważnie w twarz Toma i dodał z westchnieniem: — To nie do wiary, ale rzeczywiście wyglądasz na Hartingtona.

Edmund kuśtykając wyszedł z pokoju.

Tom stał jeszcze długo z listem i paczką w ręku. Najpierw otworzył kopertę.

Mój drogi bratanku!

Cóż mogę ci powiedzieć, stojąc nad grobem bez nadziei, że jeszcze się kiedyś spotkamy. Nie oplakuj mnie. Miałam długie i szczęśliwe życie, pełne niezwykłych przygód. Być może, i śmierć okaże się jedną z nich. Nie boję się. Zawsze fascynowały mnie podróże w nieznane. Jestem szczęśliwa, że mogłam cię poznać. To była przyjemność spotkać cię na swojej drodze. Ufam, że mogłam choć trochę ci pomóc i wypełnić pustkę w twoim życiu. Zostawiam ci trochę pieniędzy. Nie za dużo, ponieważ wiem, że zawsze chciałeś polegać tylko na samym sobie i tylko w ostateczności godziłeś się na pomoc z mej strony. Nie chcę, byś na koniec sprzeniewierzył się swoim zasadom. Większość mojego majątku należała do sir Jeffreya i po mojej śmierci przypadnie skąpej Geraldine. Nieważne! Wierzę, że potrafisz zrealizować swoje marzenia i zrobić karierę w Ameryce. Musisz tego dokonać, 'Tom. Powinieneś wyzwolić się z pęt klasowego systemu Irlandii. Jedź do kraju, w którym jedyną miarą szacunku dla człowieka jest praca.

O wiele cenniejszy od pieniędzy jest niewielki prezent, który ci przesyłam. To na pamiątkę naszej pierwszej rozmowy, podczas której opowiadałeś mi historię swego życia. Szczęścia, chłopcze! Jeśli tam w niebie są jakieś sposoby, by przekonać Go, by zechciał ci pomóc, bądź pewien, że wstawię się za tobą!

Twoja ciotka, Eleanor

Paczka zawierała oprócz niewielkiej sumy pieniędzy srebrną szczotkę do włosów, dokładną kopię tej, którą przed laty Mary otrzymała od Michela. Na jej rączce wygrawerowano inicjały T.H. — Tom Hartington.

Mary Martin spojrzała na męża, który siedział za stołem naprzeciwko niej. Tylko w niedzielę miała pewność, że Thed znajdzie trochę czasu, by zjeść razem z nią i dziećmi obiad. Można było odnieść wrażenie, że im lepiej mu się powodziło, tym mniej miał czasu dla rodziny. Wstawał o piątej rano, by zdążyć na szóstą do sklepu. Tam przechadzał się nerwowo wzdłuż regałów i obmyślał, co by tu jeszcze udoskonalić. Między innymi wpadł na genialny pomysł, by niektóre towary wystawiać na straganie przed sklepem. Mógł je sprzedawać po trochę wyższej cenie. Kupujący byli przekonani, że trafia się im wyjątkowa okazja, sądzili bowiem, że nikt nie wystawia drogiego towaru przed sklep. Thed odkrył też, że zawsze znajdują się ludzie, którzy zapłacą każdą cenę za towar dobrej jakości. Była to nauka, jaką zdobył podczas swego pobytu w Tuxedo Park. Miał wielkie plany, które z miesiąca na miesiąc wydawały się bliższe realizacji. Mary patrzyła na niego, jak zajada zupę, i rozpierała ją dumą. Nie było to uczucie tak szalone jak miłość, którą czuła do Michela. Tę dumę można było raczej określić jako poczucie zadowolenia i bezpieczeństwa wynikające z przekonania, że Thed dojdzie w życiu do czegoś wielkiego i tym samym zapewni rodzinie dostatnią przyszłość. Biedny Thed robił co tylko w jego mocy, pomyślała. Gdyby tylko nie był tak oschły w stosunku do dzieci. Panna Anderson, niańka, którą pan Martin zatrudnił, miała mentalność tresera zwierząt. Każde z jej podopiecznych musiało codziennie ze szczegółami opowiedzieć, co robiło poprzedniego dnia, koniecznie wyciągając z tego jakiś budujący morał. Jako wprawkę do przyszłego zawodu kupieckiego, dzieci musiały wkuwać na pamięć informacje z gazety handlowej, główną uwagę zwracając na tabele kursów i akcji. Nie znały starych irlandzkich legend, nie uczone ich ballad ani nie przekazywano historii o dzielnym narodzie, który przez wieki walczył z angielskim najeźdźcą. Cała ich edukacja ograniczała się do praktycznej strony życia. Mary przyjmowała to z gorzką rezygnacją. Nie oczekiwała, że jej życie z Thedem będzie romantyczne. To nie był Michel, który potrafił wznieść się ponad rzeczywistość i snuć marzenia na przyszłość, może szalone, może niepoważne, ale tak pociągające i piękne. Dzieci zdawały się całkowicie akceptować edukacyjne metody swego ojca i uważały go za najwyższy autorytet. Po prostu ubóstwiały go. Thed był dumny ze swych trzech synów i córeczki.

— Anno! — zawołał najmłodsze z dzieci. — Czy możesz nam opowiedzieć historię, której miałaś nauczyć się na dzisiaj?

Mary przyglądała się malutkiej, pucułowatej twarzyczce dziecka z mieszanymi uczuciami. Nie było łatwo pokochać córkę tak niepodobną w każdym szczególe do swojej matki. Czasami miała przedziwne uczucie, że w rodzinie Theda odgrywa jedynie rolę maszyny do rodzenia kolejnych spadkobierców handlowego imperium męża. Wydawało się jej, że dzieci, które z nim ma, nie są częścią jej duszy ani ciała. Były chwilami tak obce.

— O tak, tatusiu — odpowiedziała z zachwytem dziewczynka. — Nauczyłam się dzisiaj historii o małej dziewczynce, takiej jak ja, która była w wielkiej łodzi ze swoim tatusiem i on był kapitanem, i zaskoczyła ich burza, i wtedy — wszyscy powiedzieli, że łódź zatonie, i tylko mała dziewczynka powiedziała, że wcale nie zatonie...

Mówiła jednym tchem, połykając pauzy między słowami. Thed rozpromieniony mru-gnął porozumiewawczo do żony.

— A dlaczego tak powiedziała?

— Bo dziewczynka wiedziała, że Pan Bóg panuje nad lądem i nad oceanami. Dlatego nie można wątpić w jego opiekę, bo on nie pozwoli, by stało się im coś złego, i małej dziewczynce też...

— I uratowali się?

— O tak, tatusiu. Pan Bóg ich uratował.

— A dlaczego to zrobił? — spytał zachwycony ojciec.

— Bo taka była jego wola.

Potem swoją historię opowiedział Robby, a w końcu Andrew. Wszystkie te angielskie imiona wymyślił Thed. Nigdy nie zgodziłyby się na irlandzkie. Mary westchnęła. Miała dostatnie, szczęśliwe życie i nadzieję, że z każdym rokiem będzie się im powodzić coraz lepiej. A jednak w głębi serca czuła smutek. Od tak dawna nie miała żadnych wiadomości od Toma. Zapewne jest już dorosłym mężczyzną. Pewnie zapomniał o niej. Miał przecież ku temu powody. Ale ona nie zapomniała o nim nigdy.

Mary odłożyła pióro. Skończyła pisać list do swego brata Rory'ego, do Kaliforni. Wiadomości, które otrzymywała od niego, były zawsze pełne optymizmu i zapału. Żałowała, że jej podejście do życia nie było tak entuzjastyczne. Rory miał powody do zadowolenia. Wiodło mu się w Ameryce bardzo dobrze. Jeszcze w Irlandii czytał wiele książek o Stanach. Kiedy więc tu przyjechał, natychmiast bez wahania udał się na zachód do upragnionej Kalifornii, kraju, gdzie — jak twierdził — słońce nigdy nie zachodzi, a ziemia jest tak urodzajna, że wystarczy tylko zasiać i czekać, aż plony same wzejdą. To właśnie tam, w tym odległym, żyznym kraju kupił farmę, o której zawsze marzył. Postawił dom w pięknej zielonej dolinie, miał konie i krowy. Wkrótce poślubił kobietę, która dała mu dwóch cudownych synów.

Mary miała nadzieję, że jej list choć trochę ucieszy brata. Był on, prócz Toma, ostatnią nicią wiążącą ją z przeszłością. Westchnęła ciężko na myśl o swoim pierworodnym synu, po czym wzięła list do ręki i zaczęła czytać.

Drogi Rory.

Moje życie z maranem jest niezmiernie pożyteczne i pracowite. Anna, Thed, Andrew i Robby rosą na porządnym i sumiennym bostończyków. Interesy Theda z każdym dniem idą coraz lepiej. Mam nawet niańkę do pomocy i służącą — czy wyobrażasz to sobie! Ja, która kiedyś sama byłam pokojówką i guwernantką.

Thed zamierza posłać chłopców do dobrej szkoły, chociaż ja osobiście nie jestem tym zachwycona. Mówi, że moja niechęć jest spowodowana tradycją, w jakiej wychowano mnie na wsi, gdzie rodzina, dzieci i rodzice, żyją cały czas razem. Naturalnie nie ma zupełnie pojęcia, jakie naprawdę stosunki panowały w naszej rodzinie!

Czy słyszałeś coś może o naszych braciach lub ojcu? Odkąd opuściłam Irlandię po śmierci Michela, nie miałam od nich żadnej wiadomości. Obawiam się, że żadnej już nie otrzymam. Nasze drogi definitywnie się rozeszły. A co u ciebie, mój drogi bracie... W swym ostatnim liście przedstawiałeś Kalifornię jako kraj miodem i mlekiem płynący. Jestem tak bardzo szczęśliwa, że ci się powiodło. Pozdrów Helen i dzieci.

Twoja kochająca siostra Mary

List brzmiał przekonująco i pogodnie. Dokładnie tak zamierzała go napisać. Dlaczego jednak to wszystko było tak dalekie od prawdy? Dlaczego nie czuła się szczęśliwa? Dlaczego dzieci dawały jej tak mało radości? Dlaczego jej związek z Thedem w niczym nie przypominał miłości do Michela? Dlaczego nie zdobyła się na odwagę, by powiedzieć wreszcie mężowi o Tomie? Dlaczego całymi miesiącami mogła nie myśleć o swoim pierworodnym synu, a później dręczyły ją wyrzuty sumienia?

Starła się zapomnieć o tym wszystkim. W ciągu ostatnich dni wydarzyło się tak wiele. Znowu oczekiwała dziecka. Minęło już pięć lat od ostatniej ciąży. Obawiała się następnej. Uważała, że nie powinna rodzić w tym wieku. Kiedy jednak zorientowała się, że będzie miała dziecko, ogarnęło ją poczucie szczęścia. Niecierpliwie oczekiwała rozwiązania. Była przekonana, że to dziecko odmieni wszystko, nada jej życiu całkiem nowy wymiar, sprawi, że z większym optymizmem spojrzy w przyszłość. Od kiedy urodziła Toma, to wspaniałe uczucie macierzyństwa było jej całkiem obce. Od pewnego czasu również współzycie z Thedem układało się dużo lepiej. Jego finansowe sukcesy cieszyły go i napełniały dumą. Rodzina Martinów zaczynała liczyć się w Bostonie. Ludzie odnosili się do niej z szacunkiem.

Mary zamoczyła pióro w atramencie i dopisała na końcu swego listu:

PS. Niecierpliwie oczekuję przyjścia na świat nowego dziecka. Jestem bardzo szczęśliwa, Rory — jak tylko będzie po wszystkim — przyślę ci zdjęcia całej naszej rodziny.

Tom siedział w knajpie. Przyszedł tu ostatni raz. Mrugnął do Molly znad kufła z piwem i uśmiechnął się. Twarz dziewczyny pozostała jednak smutna. Zapadał zmierzch. Knajpa powoli pustoszała. Ostatni goście wychodzili, by udać się do swoich domów lub odwiedzić ulubione burdele. Tom nie śpieszył się. Nie chciał tej ostatniej nocy w Dublinie spędzać w swoim ciasnym pokoiku na poddaszu. Jutro rano „Lady Mary” pożegluje z wiatrem w stronę Ameryki, a on na jej pokładzie. Jutro rozpocznie się nowy rozdział w jego życiu.

Uśmiechnął się ponownie do Molly, która stojąc za barem wycierała szklanki.

— Czy zaśpiewasz mi piosenkę o „Ostatniej Nocy”? — spytał, wyciągając kufel w jej stronę, by dołała mu piwa. — Wiesz, jak bardzo lubię twój głos.

Dziewczyna przytaknęła smutno. Lubiała słuchać komplementów, tym razem jednak nie sprawiły jej przyjemności. Czuła, jak do oczu napływają jej gorące łzy. Piosenka o „Ostatniej Nocy” była jego ulubioną. Molly często śpiewała ją w pubie przy akompaniamencie organek lub kobzy. Dzisiaj słowa tej piosenki miały dla niej i Toma znaczenie szczególne. Spróbowała zapanować nad ogarniającym ją smutkiem i uśmiechnęła się do najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego poznała w swoim życiu. Pojawił się jak kometa i równie nagle odchodził. Był inny niż pozostali, łagodny i wrażliwy. Molly przysiadła się do Toma, odchrząknęła i swym wysokim dźwięcznym głosem zaczęła śpiewać smutną pieśń o pożegnaniu.

*Dzieliło nas kiedyś różnych sporów wiele,
Dziś chwycicie kielichy, drodzy przyjaciele!
Niech między nami klótnie zagasną,
Nim wszędzie słońce, opuszczę to miasto.
Wiele dni rejsuw sztormach upłynie,
Zanim do portu bezpiecznie dopłyną.
Tam czekają kobiety nęcące,
Na ich łonie spocznę jak na wonnej łące*

KSIĘGA III

Nowy Jork 1900 rok

O Ameryko, ziemio obiecana!

Ten kto jest twym wrogiem, jest wrogiem

rodzaju ludzkiego.

Brendan Behan

Nowy Jork okazał się fascynującym połączeniem obrazów i dźwięków. Na szerokich, geometrycznie zaplanowanych ulicach roiło się od elegancko ubranych ludzi, którzy spieszyli w różne strony, gonieni swymi obowiązkami. Ich pośpiech zaskoczył Toma. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażał sobie tak tętniącego życiem miasta. Również wąskie, brudne ulice w dzielnicach biedoty, zamieszkiwanych przez emigrantów i ich liczne, hałaśliwe rodziny, przekraczały wszelkie wyobrażenie biedy i niedostatku, nieobce przecież Tomowi. Był szczęśliwy, że udało mu się przetrwać podróż na statku. Dzięki Bogu, kapitan nie okazał się kanalią, znał się dobrze na swym fachu i statek bezpiecznie i na czas dopłynął do celu. Niewielkie oszczędności i list od ojca Tom trzymał przez cały czas w skórzanej torbie, którą przymocował do pasa, owijając szczelnie bandażem. Bez trudu znosił ciężkie warunki na pokładzie „Lady Mary”, starym towarowym statku, który regularnie przewoził towary ze Stanów do Wielkiej Brytanii i w odwrotnym kierunku. Atletyczna budowa Toma budziła respekt, a to pozwalało uniknąć niepotrzebnych scysji. Stosunki panujące na tym statku były dla niego niepowtarzalnym doświadczeniem. Musiał żyć z trzydziestu sześciu mężczyznami, najczęściej rekrutującymi się ze zwykłych rzezimieszków chcących uniknąć kar. Tylko dlatego zdecydowali się zaciągnąć na statek. Warunki były nieznośne, a stosunki między nimi pełne niezrozumiałych zasad i restrykcji. Wszystkim dokuczała nuda, niewygoda i monotonia. Wszystkim szczególnie dawała się we znaki ciasnota, na jednego członka załogi przypadało zaledwie dwanaście stóp kwadratowych powierzchni pokładu, będącego całym ich światem przez długie tygodnie rejsu. Na statku nie było najmniejszych udogodnień. Nie dbano o higienę. W mrocznej kajucie pod pokładem znajdowało się ich jedyne schronienie. Przyczepione pod sufitem koje wisiały blisko siebie, ocierając się jedna o drugą i tylko z trudem można było przecisnąć się między nimi. Ponieważ kajuta znajdowała się poniżej poziomu wody, powietrze docierało do wewnątrz jedynie przez otwartą klapę w pokładzie. Kiedy spoceni i zgrzani mężczyźni leżeli na swoich kojach, w pomieszczeniu panował okropny zaduch, wręcz smród.

Tom szybko nauczył się, że najważniejszą osobą na statku wbrew pozorom jest kucharz. Dlatego należało utrzymywać z nim jak najlepsze stosunki. Od niego zależało bowiem, czy wyjdzie się na pokład z pustym żołądkiem i w podłym nastroju, czy też z przyjemnym uczuciem sytości i zapalem do ciężkiej pracy. Ten, który sprawował władzę nad garami, miał całą załogę w swoich rękach. Biada temu, kto podpadł kucharzowi. Musiał wtedy liczyć się z trudną do wytrzymania kilkutygodniową dietą. Oczywiście, zdarzały się bunty na statku. Wówczas pan i władca burczących żołądków kończył w kotle z gorącą wodą.

— Posłuchaj mnie, chłopcze — marynarz w średnim wieku, o przysadzistej budowie ciała, z wielkimi tatuażami na grubych ramionach i z kilkudniowym zarostem, zwrócił się do Toma. Było to na kilka dni przed dopłynięciem do Nowego Jorku. — Jeśli chcesz, mogę ci powiedzieć, jak zdobyć pracę w dokach portowych. Zdaje się, że zamierzasz pozostać w tym zapomnianym przez Boga mieście. Portowa dzielnica Nowego Jorku to piekło, pełno tam szumowin i prostytutek, cwaniaków, którzy śmierdzą podejrzaną forszą. — Spojrzał na swego młodego rozmówcę, by zorientować się, czy chłopak jest pod wrażeniem jego słów. — Tam już nie zaczerpniesz w płuca świeżego powietrza, by upajać się wolnością — dodał. — Jeśli to ci jednak nie przeszkadza i chcesz się zaczepić w porcie, to radzę iść do Staney's Saloon. Nie staraj się być nazbyt uprzejmy. Jeśli spytasz o pracę, dostaniesz wpierw w zęby. Postaw się im i pokaż, na ile cię stać. To ich przekona. Będą traktować cię jak swojego i pomogą. Grunt to nie przejmować się tymi dupkami. Oni boją się stracić pracę. Jeśli udowodnisz, że jesteś silny, staną się potulni jak baranki. Będą ci jeść z ręki.

Słuchając wywodów marynarza, Tom miał dziwnie nieprzyjemne uczucie, że jeszcze dużo czasu upłynie, nim będzie w stanie zrealizować swoje marzenia o bogactwie i sławie.

Kiedy „Lady Mary” przybiła do przystani North River, Tom zszedł na brzeg i udał się w kierunku miasta. Chciał zobaczyć jak najwięcej, nim zapadnie zmrok. Czuł się jak początkujący zawodnik, który chce wyczuć słabe punkty swego utytułowanego przeciwnika. Bieda dzielnicy emigrantów wręcz szokowała. Przechodził koło zrujnowanych i cuchnących kamienic. W ich oknach siedziały wymizerowane kobiety o bladych twarzach i wielkich błyszczących od głodu oczach. Na podwórkach — wśród zwałów śmieci i nieczystości, które były siedliskiem szczurów i robactwa — bawiły się umorusane dzieci. Grały szmacianą piłką lub ganiały z patykami bawiąc się w policjantów i złodziei. Z otworów kanalizacyjnych wydostawały się opary niezdrowego, zgniłego powietrza, przesłaniające błękitne niebo i jasne słońce. Tom odniósł wrażenie, że zstąpił do samego dna piekieł.

Kiedy wyszedł potem na szeroką Piątą Aleję, znalazł się w całkiem innym świecie. Wzdłuż bogatych sklepów o eleganckich kolorowych witrynach przejeżdżały powozy, w których siedziały roześmiane i piękne kobiety, ubrane według najnowszej mody paryskiej. Sprawiały wrażenie cudownych istot, które przypadkiem tylko zstąpiły na ziemię, rozsiewając zapachy najdroższych perfum i pudru. Towarzyszyli im gładko wygoleni uśmiechnięci mężczyźni o białych, równych zębach. Ich pewne ruchy, wykrochmalone koszule, szyte na miarę garnitury i dopasowane kapelusze przekonywały przechodniów, że są ludźmi sukcesu i dużych pieniędzy.

Tom zatrzymał się na dłuższą chwilę na Trzydziestej Piątej ulicy. Jego uwagę przykuł duży dom o zdobionych oknach i budzących respekt dębowych drzwiach. Wpatrywał się w niego z zachwytem, jakby chciał zapamiętać wszystkie szczegóły tej imponującej fasady. Kamienica była jakby kwintesencją jego wyobrażeń o bogactwie i dostatku. To był piękny dom... Chciał mieć taki i liczył na to, że w przyszłości będzie mógł sobie na to pozwolić. W

jego spojrzeniu krył się zachwyt, ale i determinacja człowieka, który za wszelką cenę pragnie dojść do czegoś w życiu.

Zapadał zmrok. Tom wolnym krokiem zaczął kierować się w stronę portu. Jego głowa pełna była wrażeń i planów na przyszłość. Na razie musiał jednak porzucić marzenia i zastanowić się nad tym, co powinien zrobić w ciągu najbliższych dni. Potrzebował pracy i dachu nad głową. W kieszeni miał jednego sucharka, którego wziął ze statku, zanim wyruszył na miasto. Musiał mu wystarczyć na dzisiejszy wieczór. Poczul się trochę zagubiony. Wspaniałe możliwości, które roztaczało to miasto, zbladły w konfrontacji ze smutną rzeczywistością.

Postanowił — za radą marynarza — pójść do tawerny O'Rourke'a. Ta dość podejrzana knajpa była miejscem spotkań marynarzy i pracowników portowych. Mogli tu upijać się do nieprzytomności, znaleźć wiernego słuchacza dla swych niesamowitych morskich opowieści lub poznać panienkę gotową za kilka dolarów ulżyć ich potrzebom. W tawernie wrzało do późna w nocy. Pod niskim sufitem unosiły się opary dymu, alkoholowych wyziewów i zapach spoconych nie domytych ciał. Co chwila na podwórzu wytaczał się jakiś zalany marynarz, by oddać naturze to, co do niej należało. Potem pośpiesznie zapinał rozporek i wracał na swoje miejsce przy barze, rozpychając się łokciami wśród tłumu rozwrzeszczanych kumpi. Nad kontuarem wisiał ogromny portret nagiej kobiety o dość obfitych i nęcących piersiach. Patrzyła z pogardą na hałaśliwą zgraję mężczyzn, jakby chciała im uprzytomnić, że wiele tracą zamknięci przez tygodnie na swoich łupinach, targanych przez sztormy od jednego portu do drugiego.

Niewidomy pianista siedział na wysokim stołku przy swym rozstrojonym instrumencie. Co chwila pociągając cygaro lub wlewając do gardła szklankę whisky, z niezmaconym spokojem przeraźliwie fałszując wygrywał popularne melodie. Towarzystwo było jednak tak pijane, że nikt nie zwracał uwagi na muzykę. Pianiście było to także obojętne, bo — jak się potem okazało — był nie tylko ślepy, ale i całkiem głuchy.

Co za dziwaczne miejsce — pomyślał Tom. Długo stał w drzwiach tawerny, jakby chciał wpierw przyzwycząić się do panującej tam atmosfery. Z trudem dostrzegał twarze marynarzy poprzez ciężką mgłę tytoniowego dymu wypełniającego całą salę. Podszedł do baru i zamówił piwo. W jego sytuacji finansowej ten niewielki wydatek graniczył wręcz z rozrzutnością. Tom czuł jednak tak silne ssanie w żołądku, że poprosił jeszcze o jakąś zakąskę. Ledwo przebił się przez tłum marynarzy do okienka, w którym wydawano porcje sałatki ziemniaczanej, bigosu i wołowej pieczeni. Jadł z apetytem, nie myśląc o cenie, jaką przyjdzie mu zapłacić. Kto wie, jaki będzie jego następny posiłek? Barman przyglądał mu się przez cały czas z wrogą niechęcią, którą zwykł okazywać wszystkim nowo przybyłym emigrantom. Nie sprawiał sympatycznego wrażenia. Nie budził też szczególnego zaufania. Długa blizna ciągnąca się od lewej brwi aż do podbródka budziła grozę.

— Nowy jesteś? — zwrócił się do Toma zaczepnym, nieprzyjemnym tonem, kiedy ten chciał zapłacić za piwo. — Nie lubimy tutaj takich osiłków.

— Szukam pracy — starał się, by jego głos zabrzmiał całkiem obojętnie. Nie szukał zaczepki. — Prawdę mówiąc, potrzebuję pieniędzy.

— A kto ich nie potrzebuje? — barman ryknął śmiechem, jakby usłyszał najlepszy w życiu kawał.

— Nie chodzi mi o pracę na statku. Nie chcę być marynarzem — dodał Tom szybko. Wyczuwał, że niechęć barmana ma swe źródło w obawie przed nieznanym, który chce odebrać pracę innym. — Mogę pracować w dokach, właściwie jestem gotowy robić wszystko, byle zarobić trochę pieniędzy. Jestem silny i wytrzymały. Potrzebuję też jakiegoś noclegu.

— A co potem? — barman uśmiechnął się, ukazując rząd zepsutych zębów. Jego głos wyraźnie złagodniał.

— Może pojedę do Bostonu, kiedy zarobię na podróż. — Tom zamyślił się na moment. Wspomnienie matki wywołało w nim dziwną tęsknotę. Był przekonany, iż pewnego dnia spotka ją i przekona się, jak bardzo jej wygląd odbiega od obrazu, który przechował z dzieciństwa.

— Tutaj nie masz czego szukać — odparł barman. — Nie ma pracy, sami klepiemy biedę. Wracaj, skąd przyszedłeś.

Tom zapłacił za piwo i kanapki, po czym odszedł od baru, znalazł sobie jakiś pusty stolik, usiadł przy nim i pogрузzył się w rozmyślaniach.

— Zawsze znajdzie się jakaś praca dla młodego silnego mężczyzny — usłyszał niespodziewanie za swoimi plecami.

Był to mężczyzna, który od już dłuższego czasu przyglądał się Tomowi, a teraz postanowił przysiąść się do jego stolika.

— Musisz udać się do doków portowych o czwartej rano i ustawić w długiej kolejce czekających. Kiedy przychodzi majster, wybiera najlepszych i najsilniejszych do pracy w porcie przez jeden dzień. Jeśli ma się szczęście, to można dostać pracę na dłużej, jeśli nie, trzeba następnego dnia ustawić się znów w kolejce. To niewdzięczne zajęcie. Wyniszcza ludzi i odbiera im wszystkie siły. Po kilku latach wygląda się jak starzec. — Obcy przerwał. Łyknął trochę piwa z ogromnego kufla, po czym wyciągnął rękę i przedstawił się. — Nazywam się Donaher, marynarz od wielu lat. Pochodzę, jak i ty, z Irlandii. Rozpoznałem cię po akcencie. Nawet nie masz pojęcia, ile dziwnych języków można usłyszeć w tym zakątku świata.

Donaher był potężnie zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Prawie tak samo wysoki jak Tom, o szerokich barach i krótkim byczym karku, sprawiał wrażenie, jakby nie miał szyi, a głowa wyrasta mu wprost z olbrzymiego tułowia. Mimo groźnej sylwetki atlety twarz Donahera zachowała niewinny, wręcz dziecinny wyraz.

— Tom Dalton — przedstawił się chłopak. — Jestem bardzo rad, że mogę cię poznać. Trafnie rozpoznałeś mój irlandzki akcent. Urodziłem się w hrabstwie Westmeath, ale tam spędziłem tylko kilka pierwszych lat dzieciństwa. Przez ostatnie lata mieszkałem w Dublinie, potem zaciągnąłem się na „Lady Mary” jako marynarz. No i jestem teraz tutaj, na dobre i na złe. — Tom uśmiechnął się na myśl, że całe dotychczasowe życie można było streścić w kilku zdaniach.

Donaher przyjrzał mu się uważnie.

— A więc przybywasz z Irlandii. No cóż. Byłem na Madagaskarze, opłyną — łem Przyładek Dobrej Nadziei, tułałem się po Azji, ale Irlandii nie znam zbyt dobrze. Opuściłem ten kraj wraz z rodzicami jako czternastoletni chłopiec.

Twarz Donahera przypominała gumową maskę Indianina, jaką można było kupić w sklepie z akcesoriami karnawałowymi. Potężny złamany nos przybrał haczykowatą formę, a niebieskie oczy o dziwnym wyrazie trudno było dostrzec pod gęstymi, krzaczastymi brwiami.

— Czy znasz kogoś w mieście, czy może zamierzasz od razu szukać miejsca na jakimś innym statku? — zapytał.

— Mówiąc szczerze, nie będę płakać, jeśli już nigdy w życiu moja noga nie postanie na pokładzie żadnego statku — roześmiał się Tom. Na pomarszczonej twarzy Donahera przelotnie zagościł uśmiech. Zaraz jednak znikł. Marynarz uważnie przyglądał się młodzieńcowi, jakby mierzył jego siłę i zdolności.

— Nie wyglądasz na robotnika. Twoje ręce mówią, że bardziej pracowałeś głową niż mięśniami. Co więc zamierzasz tu robić? Czy naprawdę nie znasz nikogo w Nowym Jorku?

— Nikogo, Donaher. Mam za sobą długi i ciężki dzień oraz wiele tygodni rejsu. I jeśli mogę być szczery, to nie zaprzętałem sobie tym głowy. Moim jedynym marzeniem teraz jest znaleźć sobie jakieś miejsce do spania. Pracy zacznę szukać jutro.

— W takim razie idziemy do Barnacle Billy — twarz Donahera rozjaśniła się. — Co ty na to? A jutro rano zaprowadzę cię do portu. Billy znajdzie dla ciebie jakieś łóżko do spania, a jeśli będziesz chciał, również ciepłą i piersiastą wkładeczkę do niego. — Klepnął go po plecach. — Jutro poznam cię z najfajniejszymi facetami na świecie, którzy opłynęli wszystkie morza na ziemi. Opowiadają cudowne historie.

— Obawiam się, że nie mam dość pieniędzy, by pójść razem z tobą, Donaher. Właściwie to jestem całkiem goły i chyba spędzę tę noc na ławce w parku.

— Nie ma mowy, chłopcze. W tych miejscach zwłaszcza nocą roi się od najróżniejszych zboczeńców i szumowin. Niejednego chojraka znaleziono tam w koszu na śmieci porzucanego na kawałki. Pójdziemy do Billy i tam zastanowimy się, co zrobić dalej. Sam

byłem tu kiedyś całkiem nowy i wiem, jak to jest. Poza tym my Irlandczycy powinniśmy trzymać się razem.

Wstali z miejsca i trochę chwiejnym krokiem ruszyli ku wyjściu.

WSTALI

Barnacle Billy była wyjątkową kobietą. Jej długie blond włosy o złocistym połysku układały się w fantastyczne loki, sprawiając wrażenie, że jest znacznie wyższa niż w rzeczywistości. Wielkie dorodne piersi wylewały się zza dekoltu i sterczały niby maszty statku. Każdy mężczyzna na taki widok poczułby ogień w spodniach. Uścisk jej dłoni był prawie tak samo silny jak Donahera. Głos miała niski, trochę zachrypnięty, seksowny.

— Patrzcie, patrzcie, Donaher — uśmiechnęła się, opierając dłonie na biodrach. Zmierzyła Toma przeciągłym spojrzeniem, jak wygłodniała kocica. — Skąd wytrzasnąłeś tak ślicznego chłopaka? Może z jednego z tych eleganckich domów na Piątej Alei? Wygląda na miłego byczka.

Tom uśmiechnął się pod nosem. Ta dziwka potrafi schlebiać mężczyźnie — pomyślał. Podniecony przyglądał się jej pięknym, krągłym kształtom. Podobało mu się poczucie humoru i niekonwencjonalny sposób, w jaki się zachowywała. Pociągała go jej zaczepna, wyzywająca swoboda. Ujął jej rękę, uniósł powoli do ust, po czym patrząc jej głęboko w oczy, ucałował szarmancko w dłoń. Zaskoczona Billy oblała się rumieńcem i przez chwilę wyglądała jak przerażona pensjonarka, która pierwszy raz w życiu zobaczyła nieprzyzwoite zdjęcie.

— Jestem zaszczycony, madame — powiedział Tom z lekką ironią, ale również z szacunkiem i podziwem.

Billy pomyślała, że nigdy dotąd w swoim życiu nie spotkała tak uroczonego chłopaka.

— No, no, niech mnie diabli! — odparła po chwili. — Może ja śnię?

Potem rozpromieniła się. Zaskoczenie ustąpiło i kobieta powróciła do swego dawnego, swobodnego i wyzywającego sposobu bycia.

— Spodziewam się, że jesteście spragnieni mocnych trunków i dużych piersi. Czy możesz jednak, Donaher, wpierv przedstawić mi swego młodego przyjaciela?

Donaher, który przez cały czas w osłupieniu i z zachwytem wpatrywał się w falujące piersi Billy, ocknął się z błogiego rozmarzenia, spojrział nieprzytomnie na Toma, potem na kobietę i wyjąkał:

— Tak, to mój przyjaciel Tom. Jest biedny jak mysz kościelna. Przyplłynął dziś do portu na „Lady Mary” prosto z Irlandii i szuka jakiejś pracy. Zaproponowałem mu, byśmy razem wstąpili do ciebie. Ty znasz najlepsze sposoby, by ukoić nasze smutki.

— To prawda, chłopcy, wchodźcie.

Billy wprowadziła ich do obszernego salonu, gdzie był spory tłok i panował hałas. Dom Barnacle Billy Henderson cieszył się dużym powodzeniem i był ulubionym miejscem, do którego spieszyli wszyscy mężczyźni znudzeni utyskiwaniem swoich żon i płaczem dorastających dzieci. Chociaż sam budynek nie sprawiał wcale wytwornego wrażenia, a wnętrze było bardziej niż skromnie wyposażone, to jednak dom Billy przyciągał całkiem zamożną klientelę, pomijając oczywiście marynarzy, dla których Billy urządziła oddzielny bar z oddzielnymi dziewczynkami, których wygląd bardziej odpowiadał specyficznym upodobaniom morskich wilków.

W obszernym salonie stało pianino, w które stary muzyk walił bez opamiętania, jakby jego ambicją było zagłuszyć panujący tu hałas i ferwor. Na scenie z czerwoną pluszową kurtyną o wielkich nieco wypłowiałych frędzlach dziewczyny w czarnych rajstopach tańczyły kankana przy akompaniamencie ryków podpitych gości. Co chwila, po krótkim targu z Billy, jakiś mężczyzna zniknął na piętrze z dziewczyną. Tom z uwagą przyglądał się kobiecie, która prowadziła cały ten rozwrzeszczany, pulsujący interes z tak wielką precyzją i zaradnością. Rozmawiała z gośćmi, załatwiała przeróżne interesy i pilnowała, by każdy otrzymał to, po co tutaj przyszedł. Billy prowadziła swój dom publiczny z umiejętnością wytrawnego bankiera i doskonałego menagera. Tom podziwiał, że tak wspaniale potrafiła zapanować nad sytuacją. Było coś fascynującego w tej kobiecie.

Donaher już dawno zniknął na piętrze z jakąś młodą dziewczyną. Tom zaczął odczuwać lekkie zmęczenie. Trochę zagubiony kręcił się wśród rozmawiających, śmiejących się i śpiewających gości. Wreszcie odnalazł w tłumie Billy.

— Interes nieźle się kręci — rozpoczął rozmowę. Billy pociągnęła go za rękę w stronę nieco opustoszałej salki. Usiedli razem na pluszowej sofie przy kominku.

— Wymaga to wiele pracy — uśmiechnęła się, ukazując rząd białych, zdrowych zębów. Jej wymalowane usta błyszczały w świetle ognia na kominku.

— Prowadzę przyzwoity dom, bez szwindli. Nie ma tu złodziei. Nie dodaję do trunków chlorku hydratu. I biorę uczciwą cenę za uczciwe usługi i mile spędzony czas pod moim dachem.

Tom zrozumiał jej aluzję. Słyszał o przypadkach, kiedy okradano mężczyzn, podczas gdy zabawiali się z jakąś prostytutką. Wiedział też, że niejedna burdel-mama dodawała do picia chlorku hydratu, by uśpić swego klienta i bez przeszkód opróżnić mu portfel i kieszenie. Niektórzy z nich mieli pecha i nigdy już nie budzili się, jeśli dawka była zbyt silna.

— Czy to trochę nie wygórowane wymagania jak na zwykłą portową dzielnicę? — spytał. Spostrzegł, jak urażona zmarszczyła brwi, więc szybko dodał: — Nie chcę cię obrazić, po prostu zauważyłem, że przyjmujesz nie tylko marynarzy. Niektórzy faceci wyglądają na zamożnych i wykształconych. Chyba nieczęsto zapuszczają się w takie rejony miasta?

— Uważasz, że nie pasują do tego miejsca, że są za dobrzy? — odparła z gniewem. — Możliwe, ale wolą mój dom od „Siedmiu Siostrzyczek” z Czterdziestej Piątej ulicy.

— Siedmiu siostrzyczek?

— Tak nazywamy tu siedem panienek z Massachusetts, które przyjmują nadzianych facetów w swoich eleganckich garsonierach na Czterdziestej Piątej. Nie każdy może się do nich dostać. Trzeba przychodzić w smokingu i z bukietem kwiatów. Wielkie mi halo, zawsze znajdzie się paru frajerów, którzy gotowi są wybulić forszę za kieliszek szampana i jedwabną pościel. A w końcu i tak chodzi o dupę...

Przerwała. Na twarzy Toma dostrzegła zaciekawienie. Nie miała zamiaru robić reklamy konkurencji.

— Dom, który prowadzę, to nie hotel Ritz, ale wcale nie jest zły. Mam tutaj dwa rodzaje klienteli. Pierwszy to biznesmeni, kupcy i urzędnicy. Porządne chłopcy, nieco tylko stępieli przez swoje kochane żoneczki. To oni napędzają mi kasę i dają pożyć. Drudzy to marynarze. Może nie płacą tak wiele jak ci pierwsi, ale są bliżsi memu sercu. — Ściszyła głos i dodała konspiracyjnym tonem: — Ochraniają mnie. Ten, kto zechce zadzierać z Billy, nie ma łatwego życia w portowej dzielnicy. To taki kodeks. Ja ochraniaam ich, a oni mnie. Poza tym wszyscy moi bracia pracowali na morzu.

Wieczór powoli przechodził w późną noc, noc zamieniała się w poranek, a Tom wciąż słuchał zauroczony pięknej kobiety. Przyglądał się jej obfitym piersiom, z trudem panując nad zmysłami. Miała na sobie perłowoszarą suknię, której dekol, obszyty elegancką czarną koronką, podkreślał kształty jej dorodnych piersi. Ścisnięta przez gorset talia wydawała się wyjątkowo szczupła w porównaniu z ramionami i dekoltem. Piersi kobiety falowały rytmicznie unosząc materiał sukni. Na ten widok Tom gotów był zapomnieć o wszelkiej grzeczności i wziąć tę kobietę od razu, tutaj, na podłodze. Zastanawiał się, jak to możliwe, by tak wspaniała kobieta była córką zwykłego marynarza z nowojorskiej dzielnicy portowej.

Dom z wolna pogrązał się w sennej ciszy. Gdzieniegdzie tylko z jakichś kątów rozlegało się przeciągłe chrapanie któregoś z pijanych klientów. Z góry co chwila dochodziły zduszone chichoty i błogie westchnienia. Powoli wstawał nowy dzień.

— No dobrze, mój drogi — powiedziała Billy wstając z sofy. — Teraz musimy zdecydować, co dalej z tobą zrobić. Twój przyjaciel mówił, że nie masz pieniędzy, by zapłacić za łóżko i śniadanie. Nie mogę wyrzucić cię na ulicę. Donaher nigdy by mi tego nie wybaczył. Zresztą — obrzuciła go jednoznacznym spojrzeniem — nie wiem, czy należy marnować podobną okazję. Mam tylko jedno wyjście, by ratować swą twarz...

— Jakie? — Tom uśmiechnął się, z góry znając odpowiedź.

— Pójdiesz spać razem ze mną, chłopczyku. Nie mogę za darmo dać ci łóżka. Co by sobie o mnie pomyśleli moi klienci. Nikt natomiast nie musi płacić za gościnę pod moją kołdrą. Wybieram, kogo chcę. Dziś wybrałam ciebie...

Tom poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Wstał z bijącym sercem, wziął dłoń kobiety i ucałował ją z elegancją, tak jak uczynił to na początku wieczora, po czym odparł uroczyście, trochę sztucznym tonem:

— Dzielić z tobą łóżko to prawdziwy zaszczyt, panno Billy. Bądź pewna, że nie pożałujesz swojego wyboru.

Kobieta zmierzyła go pełnym dystansu spojrzeniem. Znała dobrze mężczyzn i ich przechwałki. Spotkała w swym życiu niejednego chojraka, który przechwalał się swoimi zdolnościami, a później okazywał się w łóżku miękki jak ślimak.

— Zobaczymy — odparła, po czym poszli razem na trzecie piętro do apartamentu Billy.

Jej niewielkie mieszkanie składało się z ładnej sypialni z ogromnym łóżkiem, lustrem na suficie i niebieskimi łagodnymi draperiami na ścianach, małego saloniku z rokokowymi meblami i ślicznym kominkiem oraz dziwacznej pomieszczenia, w którym pośrodku stała tylko wielka porcelanowa wanna ze złożonym kranem w kształcie łabędziej szyi.

— Rozpal w kominku, Tom. Ja tymczasem trochę się odświeżę. Nie masz pojęcia, ile zdrowia kosztują mnie te wielogodzinne rozmowy i przepychanki na dole. Człowiek wychodzi stamtąd urobiony po łokcie.

Weszła za ładny chiński parawan i nucąc cicho, zaczęła rozbierać się, z wyzywającą swobodą rozrzucając części garderoby po pokoju. Zza parawanu wyszła w przejrzystej, lekkiej koszuli, ledwo okrywającej najbardziej intymne części ciała. Usiadła przy rokokowej toalecie z wielkim kryształowym lustrem i powoli, z namaszczeniem zaczęła wyciągać z włosów szpilki, przytrzymując jej fantastyczną fryzurę. Tom przyglądał się temu z rosnącą fascynacją. Nigdy do tej pory nie spotkał kobiety, która w obecności mężczyzny potrafiła zachowywać się tak wyzywająco, a jednocześnie z tak ujmującą gracją. Czuł, że cały płonie. Długie, złociste włosy Billy opadły swobodnie na plecy. Spostrzegła w lustrze, że Tom przygląda się jej uważnie. Przez chwilę mierzyli się oboje wzrokiem, po czym ona odwróciła się powoli, wstała z taboretu, na którym siedziała przy toalecie, i jednym ruchem ręki rozwiązała kokardę utrzymującą koszulę na jej ramionach. Delikatny, przezroczysty materiał z szelestem zsunął się po jej gładkiej skórze. Stała przed Tomem zupełnie naga i uważnie przyglądała mu się, oczekując jego reakcji. Siedział na pluszowej kozetce przy kominku i patrzył na nią wielkimi, wygłodniałymi oczami.

— Jesteś piękna — wyszeptał z zachwytem. Jego podziw był jak najbardziej szczery. Nigdy dotąd nie widział tak wspaniałego i pociągającego ciała. — Jesteś całkiem jak Wenus, która powstała z morskiej piany...

Wstał ze swego miejsca i powoli zaczął ściągać z siebie ubranie, ani na chwilę nie odrywając oczu od stojącej przed nim kobiety. Najwyraźniej nie spieszył się, jego ociąganie wywoływało w Billy zniecierpliwienie i poczucie rosnącego podniecenia. Jej ciało było młodsze niż twarz. To jaskrawy, wyzywający makijaż znacznie ją postarzał. W rzeczywistości nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, mimo wszystkich doświadczeń i życiowej mądrości.

Tom ujął ją za rękę i poprowadził do łóżka, wyczuwając, że tego gestu pragnie w tej chwili najbardziej. W łóżku bowiem Billy czuła się najpewniej.

Uśmiechnęła się z aprobatą na widok ciała Toma. Teraz była pewna, że ta noc dostarczy jej wielu przyjemności. Szybkim ruchem ręki ściągnęła z łóżka narzutę, po czym odwróciła się w stronę młodego mężczyzny. Przez krótką chwilę patrzyła na jego atletyczną sylwetkę, odbijającą się w lustrze. Byli niemal równego wzrostu, choć może Tom przewyższał ją o parę centymetrów. Kobieta spojrzała w dół na jego sztywne przyrodzenie. Na jej twarzy pojawił się ponownie uśmiech aprobaty. Delikatnie przesunęła dłonią po jego brzuchu, zatoczyła koło wokół jego pośladków, a potem wprawnym ruchem uchwyciła palcami jego rozpaloną męskość.

— Pozwól, że zaprowadzę cię do krainy najcudowniejszych przeżyć, jakich może zaznać mężczyzna — powiedziała niskim, zmysłowym głosem, po czym uklękła przed nim.

Tom wzbraniał się przez moment. Wyczuwając jednak, iż nie powinien powstrzymywać swojej partnerki, która tak gorąco pragnęła wprowadzić go w najwspanialsze tajniki swego miłosnego kunsztu, położył się na plecach, całkowicie oddając się rozkoszy dostarczanej przez spragnione usta dziewczyny. Ssała, lizała, głaskała najbardziej wrażliwe miejsca jego ciała, których dotąd wszystkie inne kobiety, żony czy pokojówki, które przewinęły się przez łóżko Toma, ze wstydem unikały. Przycisnęła przy tym swoje wielkie piersi do jego nóg i nabrzmiętymi brodawkami ocierała się o jego skórę. Wydawało się, że jej język i wargi dotrą do każdego zakamarka jego ciała. Tom wił się, jęczał, czuł, jak wzbiera w nim ogromne pragnienie, by ulżyć swemu rozgorączkowanemu ciału i uwolnić się od straszliwego ciężaru. Jej usta były otchłanią, były niebem i piekłem zarazem. Mocno zacisnął ręce wokół jej pleców, wydał z siebie zduszony okrzyk i padł na łóżko szczęśliwy i wyczerpany, cały mokry z wysiłku i podniecenia. Przez długą chwilę leżeli w zupełnym bezruchu. W pokoju panowała cisza, którą zakłócały jedynie ich ciężkie przyspieszone oddechy i trzask ognia na kominku.

— I co o mnie myślisz? — spytała, jakby oczekiwała pochwały.

— Jesteś wspaniałą kobietą. Brak mi wprost słów. Ale teraz kolej, abyś i ty poznała moje zdolności — odparł łagodnym, ciepłym głosem, po czym przybliżył swą twarz do jej twarzy. Ich spragnione wargi odnalazły się w pocałunku. Poczwała, jak wciska swój język między jej zęby, a jego silna męska dłoń gorączkowo przesuwana się po jej nogach, brzuchu i piersiach. Zsunął się niżej, a jego usta zaczęły najpierw powoli, potem z coraz szybszym rytmem drażnić jej twarde sutki. Billy zakryła twarz pięścią, aby nie krzyknąć. Tom był co-

raz niżej. Namiętnie całował jej brzuch, a potem uda. Delikatnie rozsunął je i zanurzył twarz w sztywnych, skręconych włosach, potem wcisnął się całym ciałem między jej kolana i wszedł w nią głęboko, aż krzyknęła. Jej oczy były nieprzytomne z rozkoszy. Silne i rytmiczne uderzenia jego ciała doprowadzały ją niemal do szału. W tej chwili przestała być prostytutką, która podczas aktu cały czas zachowuje pełną kontrolę, zaczęła reagować jak zwykła kobieta bez reszty oddana doznaniom i uniesieniu. Nieczęsto zdarzało się, by Billy potrafiła zapomnieć się do tego stopnia we własnym łóżku.

Wyprężyła całe swoje ciało i poczuła ciepły dreszcz, który przeszył ją od koniuszków palców aż po czubek głowy. Potem fala zmysłów zaczęła powoli ustępować. Kilka minut później leżeli w swych ramionach w głębokim śnie, oboje szczęśliwi, zaspokojeni i dziwnie przekonani, że odnaleźli w sobie drogiego przyjaciela. To było tak, jakby dwie zbłąkane dusze przeszły wpierw długą i ciężką drogę, by na koniec móc się spotkać i na stałe połączyć.

Kiedy Tom się obudził, Billy była już od dawna na nogach. Teraz siedziała na krześle i przypatrywała mu się z uwagą. Jej twarz wyrażała czułość i ciepło. Spoglądając na nią, przypomniał sobie jej delikatne ciało. Wyciągnął do niej dłoń i powiedział z uśmiechem:

— Chodź do mnie, kochanie.

— Nie, mój drogi przyjacielu, nie teraz i nigdy więcej. Jest mi przykro, że muszę ci to powiedzieć.

Tom, usłyszawszy te słowa, rozbudził się w jednej chwili i zaskoczony wstał z łóżka. Jego twarz spoważniała.

— Co ci się stało, Billy? Czy coś się zmieniło od ostatniej nocy? Czy coś zrobiłem?

— Mam swoje spokojne i ustatkowane życie, Tom — mówiła ostrożnie i z namysłem dobierając słowa. — Płacę regularnie rachunki, pilnuję swoich dziewcząt, zapewniam odrobinę szczęścia wszystkim facetom, którzy odwiedzają mój dom. Niektórzy z nich to moi bliscy przyjaciele. Jeden spośród nich jest szczególnym człowiekiem. Dzięki niemu moje życie jest znośne. Dał mi nadzieję na przyszłość, wykształcił mnie. — Tu uśmiechnęła się. — Nie chodzi o to, co myślisz, tego nauczyłam się sama, na swój sposób. Miałam wystarczająco dużo okazji... Ten człowiek daje mi w prezencie piękne stroje, utrzymuje mnie, troszczy się o mnie. Między nami nie może być niczego, Tom. To niemożliwe. Nigdy! Rozumiesz?!

-Przecież ty sama mówiłaś mi, że wybierasz tych, z którymi spędzasz noc.

— I tak też jest! — odparła. Spojrzała na Toma groźnie. — Jim nigdy nie zwracał uwagi na przelotne znajomości. One nigdy nie są na poważnie. Gdy jest w mieście, nigdy nie pozwalałam sobie na przyjmowanie innych mężczyzn. Chodzi o to, że nigdy z żadnym kochankiem nie robiłam tego, co z tobą zeszłej nocy. To jest znak dla mnie. Nie jestem w stanie znieść takiego niebezpieczeństwa. Czy rozumiesz?

Tom zmarszczył brwi, jakby nie pojmował, o co chodzi.

— Chyba tak, Billy. Wiedz jednak, że nigdy nie chciałem cię skrzywdzić.

Jej zdenerwowanie stopniowo ustępowało.

— Co tam u diabła! Po co się zamartwiać! Nie mogę cofnąć słowa danego Diamondowi Jimowi Mulvaneyowi i nie mogę też wykreślić ciebie z pamięci — odezwała się dziwnie podniecona. — Cholernie cię lubię i zawsze będę ci pomagać, jeśli będziesz w potrzebie. Ale ta noc nie może się więcej powtórzyć. Umowa stoi?

Spojrzała na niego niewinnym wzrokiem. Niesamowita kobieta — pomyślał Tom i odpowiedział:

— Umowa stoi. Jesteś cudowna. Bardzo się cieszę, że zostaniemy przyjaciółmi.

Wstał, przeciągnął się i zaczął ubierać. Billy siedziała w skupieniu i z lekkim pożądaniem przyglądała się każdemu ruchowi Toma.

— Idź z Donaherem i spróbuj znaleźć jakąś pracę w porcie. Porozmawiam z Diamondem Jimem jak wróci. Poczekam na stosowną chwilę i postaram się odpowiednio przedstawić mu twoją sprawę. Może Jim będzie chciał ci pomóc. Tu masz trochę pieniędzy, abyś poradził sobie, zanim znajdziesz pracę.

Tom spojrzał na nią pytająco.

— Dlaczego to wszystko dla mnie robisz? Przecież mnie wcale nie znasz. Możesz nigdy więcej nie zobaczyć ani mnie, ani tych pieniędzy.

Roześmiała się głośno. Odzyskała już humor i była całkiem spokojna.

— Tomie Dalton! Gdybym nie znała się na mężczyznach, byłabym w zgoła innej niż dziś sytuacji. Nie przetrwałabym ani jednego dnia. To dar. Wiem, którzy są dobrymi ludźmi, a którzy nie, którzy są sprytni, a którzy chytry. Rozpoznam uczciwego i oszusta na odległość. To po prostu kwestia intuicji. Dam głowę, że ty nigdy nie bierzesz tego, czego nie mógłbyś zwrócić.

Billy podniosła się i z uśmiechem podeszła do Toma. Chwyliła go za rękę i wyprowadziła z pokoju.

— Nie ma reguł, które zabraniałyby mi zaprosić cię na śniadanie. Nic nie czyni mnie tak głodną jak uprawianie miłości. A ciebie?

W połowie drogi przystanęła na schodach. Odwróciła się do Toma, spojrzała na niego łagodnym wzrokiem i niewinnym głosem powiedziała:

— Chciałabym, żebyś wiedział, że ta noc z tobą była cudowna. Jesteś kochany.

Pełna energii i zapału zeszła na dół, by sprawdzić, co dzieje się w jej lokalu. Cieszyła się z nadejścia tego dnia tak samo jak z minionej upojonej nocy.

Następnego ranka Dalton i Donaher udali się do portu. Było przed szóstą, a już tłum mężczyzn odzianych w nędzne poszarpane ubrania czekał przed żelazną bramą. Panował przenikliwy chłód, mężczyźni zacierali z zimna ręce i przestępowali z nogi na nogę. Byli wśród nich młodzi i starzy, wszyscy wygłodniali i zdesperowani. Ten widok przeraził Toma.

— Ilu biorą? — spytał Donahera, który był tu już nieraz.

— Nie więcej niż tuzin — odpowiedział. Tom rozejrzał się dookoła. Kolejka liczyła około czterdziestu osób. — Wśród nich jest też załoga. Oni dostają pracę zawsze. To wybrani — dodał Donaher, by podtrzymać rozmowę. — To albo kapusie, albo spowinowaceni jakoś z tymi, co mają coś do powiedzenia w porcie. Gdy przybija statek, wtedy potrzebują dodatkowych pracowników w dzień i w nocy. To cholernie upieprzająca robota za,marne grosze....

— Według jakich kryteriów są wybierani? ..

— Najpierw biorą najtęższych, dobrze odżywionych albo tych, którymi łatwo będzie im pomiatać, albo tych, którzy mają akurat odpowiedni kolor oczu... cholera ich wie. Robią to, na co mają ochotę, po prostu.

Nagle od strony starego składu położonego nad rzeką rozległ się przeciągły dźwięk. Przeszył chłodne powietrze i echem odbił się w ciemności. Człowiek o gburowatym wyglądzie pojawił się w drzwiach starego magazynu. Wolnym, pewnym krokiem podszedł do bramy. Z poczuciem wyższości spojrzał na tłum liczący już jakieś sześćdziesiąt osób. Wskazał na dwóch mężczyzn i odezwał się burkliwym tonem:

— Ty, Farley, i ty, O'Shaunnessy. — Nagle spostrzegł znajomą twarz: — To ty, Donaher?

— Może weźmiesz mnie i mego przyjaciela, co? — krzyknął Donaher. — Ma mocne ręce i jest silniejszy nawet ode mnie.

Majster spojrzał na Toma z niechęcią, ale i z pewnym zainteresowaniem. Potem kiwnął palcem, obaj mężczyźni przekroczyli bramę i weszli do portu.

— Czy pracowałeś już kiedyś na nabrzeżu? — Donaher spytał przyjaciela przyciszonym, konspiracyjnym głosem.

— Nie mam zielonego pojęcia o tej pracy. Nie miałem żadnego kontaktu z morzem, tylko jeden rejs na „Lady Mary” do cudownej Ameryki — odparł Tom z gorzką ironią.

— To trzymaj głowę na kłódkę i rób to, co inni. Ta praca wymaga więcej wysiłku mięśni niż głowy. Przyglądaj się uważnie innym i naśladuj ich. To proste. Ale uważaj, łatwo można tu stracić nogę lub rękę, a nawet życie, jak ma się pecha. Trzymaj się blisko mnie.

— Co będziemy ładować?

— Przede wszystkim beczki. Najpierw ładuje się najcięższy towar. To spory ładunek. Wpierw muszą wypompować ze statku balast i dopiero potem go zafrachtować.

— Do ścieku okrętowego i między beczki! — wrzasnął majster. Tłum mężczyzn ruszył w milczeniu do pracy.

— To oznacza, że mamy ładować drugi rząd beczek między odstępy powstałe w pierwszym rzędzie. W ten sposób nie marnuje się miejsca — wyjaśnił Donaher.

— Skończcie te rozmowy, wy dwaj! — majster starał się przekrzyczeć hałas hydraulicznego dźwigu. Donaher dał znak przyjacielowi i zaczęli dźwigać ciężkie beczki. Tom był wyjątkowo silnym mężczyzną, dlatego nie ustępował w niczym innym. Jednak widząc Donahera, który z dziecinną łatwością zarzucał na plecy kilkudziesięciokilowy ładunek, nie mógł wyjść z podziwu dla jego siły i zręczności. Kiedy więc majster zniknął, Tom podszedł do przyjaciela i powiedział z uznaniem.

— Nieźle sobie radzisz.

— To normalka — odparł Donaher obojętnym tonem. Było jednak widać, że komplement sprawił mu dużą przyjemność. — Szybko nauczysz się pewnych podstawowych rzeczy. Na przykład, nigdy nie kładź worków z chmielem przy maśle ani suszonych owoców przy kaszy. Herbata nie może leżeć koło mąki ani cukru, a olej obok wełny. O tych rzeczach musisz zawsze pamiętać. — Przerwał na chwilę, by załadować na plecy następny ładunek. — Wszystko zależy od zręczności dźwigowego. Kiedy ładunek jest już gotowy, wysuwa się ramię dźwigu i wówczas on musi tak nakierować linę, by zaczepić hak o sznur, którym powiązane są beczki. To nie lada sztuka. Można się przy tym zabić lub kogoś zranić. Jeśli będziesz miał pecha i zostaniesz tu dłużej, nauczysz się tego wszystkiego.

— Bez gadania tam, Donaher! — krzyknął majster. — To nie herbatka u cioci!

— Niech ci flaki zgniją — mruknął do siebie Donaher, po czym w milczeniu poszedł z ładunkiem w stronę statku.

Teoretycznie praca w dokach trwała od siódmej do dwunastej i po przerwie od pierwszej do szóstej wieczorem. W sumie dziesięć godzin ciężkiej harówki, jeśli oczywiście w czasie lunchu nikt inny nie zajął twego miejsca pracy. W rzeczywistości pracowano bez przerwy obiadowej, po nocach, w niedziele i święta. Tom dowiedział się, że można było wytrzymać pracę bez przerwy przez dwa dni i jedną noc, choć byli i tacy, którzy twierdzili, że wytrzymali dłużej. Jeśli ktoś zdecydował się na taki maraton, a było ich wielu, wówczas za cichą zgodą majstra mieli pół godziny odpoczynku około północy. Robotnicy często wymie-

niali się pracą, dzieląc czas na zmiany — kiedy jeden odpoczywał, drugi wykonywał pracę za dwóch.

O wiele bardziej niesprawiedliwe od długiego dnia pracy były praktyki stosowane przez nieuczciwych majstrów. Na przykład zaniżali liczbę pracowników potrzebnych do załadowania statku, zgarniając do własnej kieszeni ich pensję. Wówczas pracę przeznaczoną dla pięciu musiało wykonać w tym samym czasie tylko czterech mężczyzn. Zwykle jeden, prócz noszenia towarów, obsługiwał równocześnie parowy dźwig. To było najczęstszym powodem wypadków i poparzeń wśród pracowników. Pracodawca nie wypłacał żadnych odszkodowań. Rodzina miała jedynie prawo do jednej czwartej poborów robotnika, i tylko w wypadku, jeśli ten rokował nadzieję na wyzdrowienie i szybki powrót do pracy.

Życie w portowych dokach było ciężką próbą wytrzymałości i silnej woli. Co chwila olbrzymie tratwy z ładunkiem zrywały się z lin. Słona morska woda wżerała się w skórę, tak że po pewnym czasie była ona pełna wypalonych do żywego mięsa ran. Gorąco i zimno, nagłe zmiany temperatury, wiatr i wilgoć, wszystko to czyniło pracę w porcie trudną do zniesienia. Były dni, kiedy Tom miał wrażenie, że znalazł się na samym dnie piekła. Nie rezygnował jednak. Nauczył się już, że najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka w życiu, to brak pracy.

Dzielnica portowa była miejscem, które uwydatniało wszystkie najgorsze ludzkie cechy. Właśnie tam objawiały się te strony życia, które mieszkańcy innych dzielnic miasta najchętniej ukryliby głęboko za zasłoną eleganckich elewacji swoich domów. Bieda sąsiadowała tu z występkiem i rozpustą. prostytutki bez skrępowania prezentowały przechodniom swoje wdzięki, złodzieje nie ukrywali się przed policją. Każdy wiedział, kto z sąsiadów jest mordercą, kieszonkowcem czy zboczeńcem. Kręte i zabłocone uliczki były jakby stworzone do tego, by stać się siedliskiem występku. Nad wejściem do niektórych kamienic widniały malownicze i zachęcające szyldy jak „Barnaba Jednooki” lub „Krwawa Mary”, a ze środka dochodziły na ulicę krzyki i śmiechy pijanych marynarzy i piski prostytutek. Do niejednej takiej speluny wchodziło się z ukrytym w pogotowiu nożem. Panowała tutaj jedna zasada: przeżyje ten, kto okaże się silniejszy.

Ojcowie miasta pod naciskiem opinii publicznej starali się zmienić na lepsze oblicze tej części Nowego Jorku. Ich zabiegi odnosiły jednak całkiem przeciwny od zamierzonego skutek. W 1837 roku wybudowano na miejscu starego browaru olbrzymi blok socjalny. Jego niezliczone pomieszczenia i korytarze przypominały fantastyczny labirynt. W tym olbrzymim ulu gnieździły się setki biednych rodzin, głównie emigrantów z Irlandii i Murzynów. Niektóre klatki schodowe, w zależności od panujących na nich zwyczajów nosiły takie nazwy jak „Raj Złodziei” czy „Aleja Morderców”. Obcy, który zapuścił się w te strony, nie mógł spodziewać się niczego dobrego. Niektórzy mieszkańcy bloku od lat nie widzieli słonecznego nieba. Na dwór wychodzili tylko nocami, by nad ranem wrócić ze zdobytym łupem. Powstawały całe rodzinne gangi młodocianych przestępców. Często dochodziło między nimi do krwawych rozpraw. Niektóre przechodziły nawet do lokalnej historii i stawały

się tematem wielu legend. I tak na przykład opowiadano sobie, jak "Gang Jednoręki Kieszonkowców" wyróżnął co do nogi członków Gangu Szalejących Nożowników. Stawka była wysoka. Ten, kto przeżył, stawał się panem całej dzielnicy.

Niektóre z knajp i burdeli oprócz swych zwykłych usług oferowały także narkotyki, dostarczane przez przemytników z Dalekiego Wschodu. Dlatego dzielnicę portową nazywano również małym Szanghajem. Przygoda z narkotykami dla niejednego kończyła się tragicznie. Kiedy leżał zamroczony, właściciel lokalu sprzedawał go jakiemuś kapitanowi statku. Gdy delikwent dochodził do siebie, był już na pełnym morzu i mógł cieszyć się perspektywą kilkuletniego rejsu.

Policja patrzyła przez palce na te liczne zbrodnie, wychodząc z założenia, że złodzieje i mordercy sami najlepiej utrzymają porządek w swoich rewirach, według własnego kodeksu honorowego. Aby wytrwała w tym założeniu, właściciele statków, szefowie przemytników i gangów płacili miesięczną pensję. J w ten sposób swoisty system praw i porządku uzyskał w tej zakazanej części miasta solidne podstawy materialne. Taki był świat portowej dzielnicy, do którego wprowadził swego młodego przyjaciela Donaher. Tom miał dziwne wrażenie, że to, co zobaczył w Nowym Jorku, było jakby oczywistą kontynuacją jego dotychczasowych losów. Przez całe swoje życie stykał się z nierównością i kontrastem pomiędzy światem bogatych i biednych, w pierw w Drumgillan, później w Dublinie, a teraz w tym ogromnym mieście, gdzie szerokie, pełne eleganckich sklepów ulice sąsiadowały z krętymi zaułkami slumsów. To była wciąż ta sama bolesna lekcja pokory i niesprawiedliwości. Czasami wydawało mu się, że nad jego życiem ciąży jakaś klątwa, która zmusza go, by stale miotał się pomiędzy skrajnościami, nie pozostawiając miejsca na spokój, równowagę i harmonię.

Tom był bardzo wdzięczny Donaherowi za okazaną pomoc i przyjaźń. Bez tego musiałby opuścić miasto. Obaj byli poza tym pod stałą opieką Barnacle Billy, która wiedziała, jak trzeba walczyć, by przetrwać. Tom i Donaher zamieszkali w pensjonacie Timothego Sheehana, schronisku dla marynarzy i robotników portowych, obskórnym budynku położonym tuż nad rzeką. Było to pierszorządne miejsce na kwaterę dla sztanerów szukających pracy i marynarzy. Ze względu na położenie panowała w nim bezustanna wilgoć i stęchły zapach.

— Timothy rezerwuje miejsca przede wszystkim dla właścicieli łodzi — poinformowała ich wcześniej Billy — ale dobrze by było, gdybyście tam zamieszkali, bo wtedy szanse na pracę są większe. Timothy podsuwa swoich gości do pracy znajomemu majstrowi z portu, oczywiście za odpowiednią prowizją.

Stopniowo Tom przekonał się, że Billy jest naprawdę jego szczerym przyjacielem. Zastanawiał się nad jej związkami z Donaherem. Wiedział tylko, że jest on bliskim kumplem jej brata, choć to wydawało mu się tylko częścią prawdy. Dostrzegł u Billy troskliwe podejście do marynarzy i w ogóle do mężczyzn. Obserwowała ich uważnie, niekiedy utrzymywała, troszczyła się o nich, traktowała niemal jak swoje dzieci. Tom nie był wyjątkiem. Powiększył jedynie grono jej podopiecznych.

Pokój, w którym mieszkali, był skąpo umeblowany. Na jego wyposażenie składały się koje, sosnowa skrzynia, miska do mycia i dzbanek. Pozbawione firanek okno wychodziło na szarą ulicę. W nocy rozlegały się na niej wrzaski pijaków. Z oddali dochodziło monotonne buczenie latarni morskiej i odgłos fal uderzających o kamienne nabrzeże. W ilu już podobnych do tego pokojach mieszkał od czasu, gdy opuścił Drumgillan? Tom postanowił, że zrobi wszystko, by nie spędzić reszty życia w podobnych warunkach. Każdego ranka o szóstej czternastu potężnie zbudowanych marynarzy zbierało się w jadalnej izbie przy stole. Powietrze było przesiąknięte zapachem spoconych ciał, a wszechobecna wilgoć osiadała drobnymi kropelkami na dębowym stole. Rozmowy podczas posiłków były dość oszczędne i kończyły się, gdy do pokoju wchodził właściciel. Na ogół jedli w absolutnej ciszy. Wyglądali jak wierni w kościele podczas modlitwy. Co jakiś czas któryś z marynarzy rzucał zasłyszaną na mieście informację lub zamienił kilka słów z Chińczykiem, który podawał do stołu. Dlatego też kiedy kilka dni po tym, jak Tom zamieszkał w domu Sheehana, Donaher złamał obowiązujące przy stole reguły i spytał głośno o związki zawodowe, w jadalni zapanowała pełna napięcia cisza. Marynarze spojrzeli po sobie, ale żaden nie odezwał się nawet słowem. Potężny głos Donahera zadudnił ponownie:

— Słyszałem, że jakiś Norweg próbuje założyć związki, które broniłyby naszych interesów.

— Zamknij się — syknął niski, korpulentny marynarz z olbrzymim tatuażem na ramieniu. Prawie nie miał zębów, a jedzenie połykał w kawałkach z łapczywością wygłodniałego psa. Spojrzał na Donahera podejrzliwie, jakby uważał go za prowokatora, i dodał: — Sheehan to oczy i uszy pracodawców. Jeśli będziesz próbował organizować w jego domu związki zawodowe, to pewnej nocy możesz obudzić się z nożem w plecach.

— Sheehan wyszedł przed południem z jakąś panienką — dodał inny marynarz o narzniętej czerwonej twarzy. — Widziałem, jak pojechał z nią do miasta.

— Moim zdaniem te związki to lipa. Nikt nie wygra z pracodawcami — odezwał się trzeci z namysłem, przeżuując ostatni kęs jedzenia. — Wystarczy, że dadzą w łapę kapitanowi, a ten na pełnym morzu wyrzuci takiego delikwenta za burtę.

— No, co jest z wami, chłopcy! — Donaher stanął pośrodku pokoju, wziął się pod boki i z pogardą spojrzął na pozostałych marynarzy. — Strach was obleciał? Tęsknicie za mamusią? Warunki pracy na statkach muszą się polepszyć. Właściciele fabryk już zaczynają liczyć się ze zdaniem związków zawodowych. To tylko kwestia czasu, gdy marynarze i pracownicy portowi zaczną pertraktować poprzez swoich przedstawicieli. Metalowcy już to zrobili i teraz mają wyższe wynagrodzenia i lepsze warunki pracy. Nawet kobiety ze szwalni zaczynają zapisywać się do związków, by wynegocjować lepsze warunki. Dlaczego my mamy być gorsi?

— Bo na statku zawsze przegramy z kapitanem. Dobrze o tym wiesz.

Kapitan może zrobić z tobą, co zechce. Może kazać wyrzucić cię za burtę, przeciągnąć pod kilem lub wychłostać. Jeśli zechce, nie wypłaci ci należnej pensji, a jeśli mu się sprzeciwisz, to na twoje miejsce czekają w kolejce setki głodnych mężczyzn, gotowych pracować nawet za pół ceny.

Siedzący przy stole marynarze kiwali głowami. Ten człowiek mówił szczerą prawdę, tak było!

-To, co mówisz, jest szlachetne, Donaher — odezwał się Tom. — Obawiam się jednak, że to oni mają w tej sprawie rację. Dla nich najważniejszą rzeczą jest mieć pracę.

— Tak, Tom — odparł ze smutkiem Donaher. -I dlatego pracodawcy mają nas w garści — przerwał i z hałasem odsunął od stołu swoje krzesło. — Ale to nie będzie trwać wiecznie, zobaczycie!

— Kim jest ten Norweg, o którym mówiłeś?

— Nazywa się Furuseth, Andrew Furuseth. To potężny jegomość, silniejszy od nas dwóch razem wziętych.

Kilku marynarzy, którzy dotąd siedzieli cicho ze spuszczoneymi głowami, by nikt nie mógł rzucić na nich podejrzenia, że brali udział w tej niebezpiecznej rozmowie, oderwało wzrok od talerza i z zainteresowaniem spojrzało na Donahera.

— Jest jednym z nas. Trafił na statek jako dzieciak w Norwegii. Miał przechlapane u bosmana, omal nie stracił życia, więc by ratować skórę, zszedł ze statku w porcie w Seattle i nigdy więcej się na nim nie pojawił.

Marynarze siedzący przy stole z niedowierzaniem kręcili głowami. Do tej pory nie słyszeli o takim, który odważyłby się nie tylko na kłótnie z bosmanem, ale i na nieposłuszeństwo wobec kapitaana i samowolne opuszczenie statku. Jeśli ten Furuseth rzeczywiście tak zrobił, to musiał być piekielnie odważny. Donaher wyczuwając, iż przyciąga uwagę marynarzy, ciągnął dalej:

— Wówczas miał może dziewiętnaście lat, nie więcej. Zrozumiał, że musi coś zrobić, by życie na morzu stało się znośniejsze dla marynarzy. Dlatego zaczął się uczyć czytać i pisać.

— Czytać i pisać? — spytał mężczyzna ze szramą na policzku z takim zdziwieniem, jakby chodziło o jakąś zupełnie niewyobrażalną perwersję.

— Tak, bo tylko w ten sposób mógł później napisać o swojej historii do gazet i polityków. Zaczął organizować związki.

— Czy rzeczywiście nauczył się pisać i czytać? — spytał Tom.

— O tak, nawet całkiem dobrze przyswoił sobie angielski. Właściwie nauczył się go sam i trochę od ludzi, u których pracował. W Seattle kupił dwie książki i już nigdy się z nimi nie rozstawał. Jedna to była Biblia, a druga coś Szekspira. Zaczął wędrować wzdłuż zachodniego wybrzeża. Spotykał się z redaktorami gazet i opowiadał im całą prawdę. Namawiał pracowników portowych i marynarzy, by podpisali petycję o utworzeniu własnego związku zawodowego. Wielu go poparło.

Chińczyk przyszedł z kuchni i zaczął sprzątać ze stołu. Powoli i z ociąganiem zbierał naczyńca. Tom spostrzegł, że dokładnie przyglądał się zebranym i wychwytywał każde wypowiedziane przy stole słowo. Jego skośne rozbiegane oczy rejestrowały każdy ruch. Choć do marynarzy zwracał się za pomocą kilku podstawowych słów, które z trudem wymawiał, to jednak odnosiło się wrażenie, że doskonale rozumie sens rozmowy. Tom pociągnął Donahera za rękaw i szepnął mu coś do ucha. Irlandczyk usiadł i nie powiedział już ani słowa o Furusethym.

Po wyjściu z domu marynarza wolnym krokiem szli wzdłuż nadbrzeża. W dole rozlegał się monotonny odgłos fal uderzających o falochron. Powietrze było rześkie i mroźne. Nisko nad ziemią wisały ciemne chmury. Tom podniósł kołnierz swej wyświechtanej kurtki, by ochronić twarz przed ostrym wiatrem, a dłonie wcisnął głęboko do kieszeni. Stwierdził, że są dziurawe, i westchnął głęboko. Bój jeden wie, ile czasu będzie musiał oszczędzać, by kupić sobie nowe ubranie. Szli obaj w milczeniu, zamyśleni. W końcu Tom odezwał się:

— Wygląda na to, że rzeczywiście, zaangażowałeś się w tę sprawę ze związkami zawodowymi, Donaher.

— Tak. Widzisz, tam, przy stole nie powiedziałem wszystkiego. Już raz spotkałem tego Furusetha osobiście. To wielki człowiek. Nigdy nie spotkałem kogoś podobnego. Rozmawialiśmy długo ze sobą i przekonał mnie, że jeśli wszyscy zbierzemy się razem i zorganizujemy, to wówczas będziemy coś znaczyć.

— Czy jest to rzeczywiście warte ryzyka? Pracodawcy nie zgodzą się na jakikolwiek przejaw sprzeciwu. Myślę, że zniszczą każdego, kto będzie chciał zapisać się do związku.

— Zobaczymy. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dni. Stary Andy powiedział mi, że Furuseth zamierza przybyć do Nowego Jorku w tych dniach i rozpocząć agitację. Trochę potrwa, zanim dotrze do San Diego, ale tego człowieka nikt nie zdoła powstrzymać, chyba że zdradziecka kula. Kiedy on się pojawi, każdy z nas będzie miał okazję pokazać, ile jest wart i co naprawdę myśli.

— Nie boisz się?

— To życie nie było dla mnie zbyt łaskawe. Myślę, że nie będę żałował, jeśli oddam je dla dobrej sprawy. Rzemiosło marynarskie to jedyne, co naprawdę potrafię robić dobrze. Urodziłem się do tego zajęcia. Kiedy miałem dziesięć lat, pierwszy raz wsiadłem na statek. Ale tak, jak jest teraz, nie może już dłużej trwać. Nie mamy żadnych praw, mogą z nami

zrobić, co zechcą, wyrzucić za burtę, nie płacić pensji, wygnać na bruk po pięciu latach ciężkiej harówki. I nie powiedzą ci nawet „dziękuję”. Nie możemy się bronić, bo niby jak?

Tom milczał. Był zaskoczony, że Donaher mówił o tych sprawach z takim przejęciem. Nie spodziewał się, że ten stary marynarz martwi się o coś więcej niż tylko o swój żołądek.

— Miałem kiedyś żonę i ślicznego chłopaka. To było dawno temu. Byłem wtedy młody. Zaciągnąłem się na statek, który płynął do Azji. Rejs trwał trzy lata, ale obiecano mi wysoki zarobek, a ja potrzebowałem pieniędzy, by zaopiekować się rodziną. Kochałem ich ponad wszystko, Tom, Marię i Daniela. Niech Bóg zlituje się nad ich duszami. Umówiłem się z właścicielem statku, że będzie wypłacać żonie część moich zarobków, kiedy mnie nie będzie. Och, chłopcze, jakież my mieliśmy plany! Chcieliśmy wziąć potem wszystkie zaoszczędzone pieniądze i wyjechać na zachód, kupić jakąś małą farmę, żyć szczęśliwie i przyglądać się, jak rosną nasze dzieci.

Głos Donahera zaczął drżeć. Tom słuchał przyjaciela z napięciem. Domyślał się tragicznego końca tej historii, tym bardziej że Donaher nigdy do tej pory nie wspominał mu o żonie i synku.

— Kiedy dopłynąłem z powrotem do Nowego Jorku, nie mogłem wprost doczekać się chwili, kiedy znów ich zobaczę. Ale kiedy pobiegłem do naszego małego mieszkanka, już ich nie było. Mieszkała tam jakaś stara kobieta, która powiedziała mi, że oboje nie żyją. Po prostu nie żyją — przerwał na chwilę, by zapanować nad wzruszeniem — Daniel zmarł na gruźlicę, a Maria rozstała się z życiem w przytułku dla ubogich. Czy rozumiesz, jaki to szok był dla mnie? Do dziś ta rana krwawi w moim sercu. Okazało się, że właściciel statku nigdy nie wypłacił Marii ani grosza z mojej pensji. Nie mogła zapłacić lekarzowi, by ratował naszego syna. Nie miała nawet grosza, by sama przeżyć. Biedna dziewczyna! Nie miała nikogo, kto mógłby jej pomóc. Odchodziłem od zmysłów. Tygodniami tułałem się jak nieprzytomny i płakałem. Nie wstydzę się tego. Kiedy poszedłem do właściciela statku, nie wpuszczono mnie nawet do jego biura. Wypłacono mi tylko połowę pensji za rejs, oświadczając, że nie byłem wystarczająco rentowny. O Marii Donaher nie słyszał tam, oczywiście, nikt. Postanowiłem się zemścić. W końcu nadszedł dzień wyrównania rachunków. Syn tego łajdaka, który miał dbać, by Mary otrzymywała pieniądze podczas mego rejsu, potknął się na ciemnej ulicy i skręcił kark. Ale to nie ulżyło mi. W końcu pojąłem, że tylko wtedy, gdy wszyscy połączymy nasze siły, może uda się zmienić nasz los. Postanowiłem pomóc przy organizowaniu związku mając nadzieję, że w ten sposób będzie można zapobiec podobnym tragediom, jakie spotkały moją żonę i syna. Jeśli zginę... no cóż, moje życie po stracie Marii i Daniela nie jest zbyt wiele warte. Kto wie, może na tamtym świecie znów się z nimi połączę. — Oczy Donahera były wilgotne. Otarł je swoją olbrzymią dłonią i westchnął ciężko. Tom, poruszony historią, położył rękę na jego ramieniu, jakby tym prostym gestem pragnął wyrazić swoje współczucie.

Pomimo trudności i licznych szykan ze strony pracodawców z dzielnicy portowej, Andrew Furuseth przybył do Nowego Jorku i zorganizował wiec robotników w porcie. Stał na łódce zakotwiczonej pośrodku portowego basenu w North River i przemawiał do zebranych marynarzy i stoczniovców. Tom i Donaher stali wśród milczącego tłumu, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w gestykulującego Norwega. Niski, trochę zachrypnięty głos mówcy odbijał się echem wśród portowych doków. Z jego słów biła moc i siła.

— Ludzie morza! Jestem tu, by odmienić wasz los. Jesteśmy wszyscy braćmi. Sami dobrze wiecie, że z chwilą wypłynięcia z portu jesteście zdani na łaskę kapitana. Może robić z wami, co zechce. Może kazać zamknąć was w klatce lub wychłostać na śmierć. Może wyrzucić was za burtę na pożarcie rekinom lub zakuć w kajdany. Jest waszym panem i władcą, a wy jego niewolnikami. Kto z was nie słyszał o biedakach, którzy w betonowych butach szli na dno morza.

Przez tłum przebiegł pomruk aprobaty dla jego słów.

— Sami jesteśmy bezsilni — kontynuował Furuseth. — Sami nie mamy szans. Sami jesteśmy tylko niewolnikami, ale co będzie, jeśli połączymy nasze siły? Co stanie się, jeśli staniemy ramię w ramię jak bracia? Co nam wówczas zagraża? Trudno powiedzieć. Wiem jedno. Wiem, że metalowcy tak uczynili i wygrali z pracodawcami, wywalczyli swoje prawa. Wiem wreszcie, że robotnicy w młynach w Massachusetts wygrali wyższe pensje i lepsze warunki pracy. Bo razem, wspólnymi siłami przeciwstawili się swoim wyzyskiwaczom. To wiem! Czy pojmujecie, do czego zmierzam? Jeśli tylko zechcecie, możecie być naprawdę wolnymi ludźmi!

Przerwał na moment. W porcie panowała przejmująca cisza. Tylko z oddali dochodziły odgłosy fabrycznych syren i ulicznego ruchu miasta. Już po chwili jednak Furuseth podjął swoją mowę:

— Jeśli więc mamy szansę... tylko szansę, by żyć jak wolni ludzie, chronieni przez państwo i prawo, czy mamy ją zaprzepaścić? Co powiedzą o nas nasze dzieci? Czy będą z nas dumne? Jeśli bowiem poddamy się, zatryumfuje niesprawiedliwość i bezprawie pracodawców. Pomyślcie o tym, ludzie morza. Tylko o to was teraz proszę. Pomyślcie!

Tom spojrzał na Donahera. Oczy starego marynarza jaśniały dziwnym blaskiem.

— Ten człowiek mówi jak Mesjasz, Donaher. Czy widziałeś, jak go słuchają?

Donaher nachylił się do Toma i szepnął mu konspiracyjnie do ucha:

— Mamy wyznaczone z nim spotkanie dziś o czwartej na Czternastej Ulicy w Domu Marynarza. Powiedziałem mu o tobie, chciałby cię poznać, Tom. To wielki człowiek. Jeden taki na milion.

Tak jak obiecał Donaher, spotkali się jeszcze tego samego dnia. Twarz Furusetha przypominała skałę wyrzeźbioną przez wichry i słoną morską wodę. Siedział w wielkiej izbie w Domu Marynarza, ubrany w poszarpany, wełniany płaszcz i udziergany na drutach długi szalik, owinięty wokół szyi. Jego ręce były potężne jak konary dębu, zaś łagodne i mądre oczy mogłyby należeć zarówno do zwykłego pastucha, jak i świętego. Uważnie przyglądał się przyprowadzonemu przez Donahera młodemu człowiekowi. Jak sam często powtarzał, walka o prawa marynarzy i robotników portowych, których określał wspólnym mianem ludzi morza, była najbliższym jego sercu zadaniem. Poświęcił mu całe życie. Tom szybko jednak zorientował się, że bez względu na to, z jak wielką powagą Furuseth traktował swoją misję, był w gruncie rzeczy człowiekiem o łagodnym i serdecznym usposobieniu.

Szybko zaprzyjaźnili się. Tom, Donaher i wzbudzający respekt Furuseth. Zbliżyły ich długie, wspólne rozmowy podczas deszczowych nocy, kiedy pełni emocji rozprawiali o ideach, które miały zmienić cały świat. Poprzez Furusetha Tom poznał również innych działaczy związku — wizjonerów i fanatyków, takich, którzy pragnęli czegoś dokonać, i tych, którzy przyłączyli się do organizacji tylko po to, by załatwić własne porachunki bądź osiągnąć jakieś korzyści. Zauważył, że ludzi, którzy swoje życie związali z morzem, łączy jakaś dziwna duchowa więź, tak jakby stanowili oni zamknięty, rządzący się własnymi prawami klan. Zdawał sobie sprawę, że wielu spośród działaczy związku pragnie jedynie zagarnąć władzę i wpływy, które znajdowały się teraz w rękach ich przeciwników. Ale byli również i inni, tacy, jak Donaher i Furuseth, którzy chcieli dla ludzi zwykłej sprawiedliwości.

— Jak to wszystko się zaczęło, Andy? — spytał Tom.

Siedzieli w trójkę w knajpie u O'Rourke'a i powoli sączyli z kufli piwo. Wyglądali jak zagubieni podróżni, którzy nie mając pieniędzy ślęczą nad swoją szklanką, by jak najdłużej móc pozostać wewnątrz przytulnego pubu.

— Urodziłem się w rodzinie norweskiego farmera. Byliśmy biedni. Zbyt wiele gąb do wyżywienia, by starczyło dla wszystkich — Furuseth mówił z charakterystycznym dla niego, melodyjnym norweskim akcentem. — Miałem czternaście lat, kiedy uciekłem z domu i zaciągnąłem się jako majtek na statek płynący do Oslo. Potem wybrałem się w podróż o wiele dalszą. Płynęliśmy obok Przylądka Dobrej Nadziei. Wydawało mi się to wówczas fantastyczne, było jak niesamowita przygoda, o której marzyłem od dziecka. Ale jak to zwykle bywa z marzeniami, nigdy nie pokrywają się z rzeczywistością. Byłem już na morzu siedem lat, kiedy trafiłem na statek, dowodzony przez pewnego wściekłego kapitana. Był tyranem. Raz sprzeciwiłem mu się i za karę kazał powiesić mnie za nadgarstki wysoko na rei. — Furuseth podciągnął rękawy swego zniszczonego płaszcza i pokazał grube blizny na nadgarstkach. Mimo że od czasu tej strasznej kary upłynęło już trzydzieści lat, wciąż wyglądały groźnie, jak żywa pamiątka bezmyślnego okrucieństwa i niesprawiedliwości. — Wisiałem

dzień i noc. Z bólu straciłem przytomność. Kiedy mnie wreszcie odcięto, nie wiedziałem, czy kapitan każe mnie teraz dla przykładu zabić czy pozostawi przy życiu. Ta druga ewentualność nie była wcale lepsza od pierwszej. Moje palce były sine i opuchnięte. Nie miałem w nich czucia. Wydawało się, że zaraz odpadną. Bałem się, że zostanę kaleką do końca życia. Pamiętam dobrze, że kiedy tak wisiałem huśtany przez lodowaty wiatr, poprzysiągłem Bogu, że jeśli uratuje mi życie i uchroni od kalectwa, to zrobię wszystko, by na świecie zapanowała sprawiedliwość. To może się teraz wydawać bardzo naiwne, ale wtedy znajdowałem się jakby w jakimś półśnie. Mój umęczony bólem umysł pogrążył się w przedziwnych wizjach i dokładnie zobaczyłem, co muszę zrobić, by osiągnąć swój cel: że muszę nauczyć się czytać i pisać, że muszę poznać zasady prawa i przekonać innych ludzi, by zdobyli się na odwagę i zaczęli walczyć o swoją wolność. Widziałem to wszystko wyraźnie.

Twarz Furusetha zmieniła się nie do poznania. W jego oczach pojawił się dziwny blask.

— Przyznacie, że jak na nieokrzesanego chłopaka, który nie potrafił czytać ani pisać, była to niesamowita wizja. Od tego dnia byłem pewien, że Bóg wskaże mi właściwą drogę, jeśli tylko będę gotów poświęcić wszystko dla osiągnięcia celu.

— Czy nigdy nie odczuwałeś tak naturalnego pragnienia jak to, by mieć żonę, rodzinę? — spytał Tom. Wiedział, że to pytanie niedyskretne. Pamiętał historię Donahera. Z drugiej strony powodowała nim ciekawość. Życie rodzinne stanowiło dla niego podstawowy element ludzkiego szczęścia, nie wyobrażał sobie swego przyszłego życia bez bliskiej sercu kobiety i ukochanych dzieci. Furuseth spojrział na Toma smutnym wzrokiem i odpowiedział po długim namyśle. Jego głos pozbawiony był teraz tak charakterystycznego dla osobowości tego człowieka entuzjazmu.

— Tak, Tom. Pragnąłem miłości jak każdy mężczyzna. Jakie jednak życie mogłem ofiarować kobiecie i dzieciom? Podróżując z kraju do kraju, ścigany, zamykany w więzieniach... nie, postanowiłem, że swe życie poświęcę idei związków zawodowych i zrobię wszystko, by wprowadzić ją w życie. Gdybym miał żonę, musiałbym stale wybierać pomiędzy rodziną a powołaniem.

Donaher, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, z hałasem odstawił na stół pusty kufel, po czym przemówił swym tubalnym głosem:

— Nadejdzie taki dzień, w którym już nikt nie będzie musiał poświęcać swoich rodzin tylko dlatego, że pracuje na morzu. Ten dzień jest już blisko, i to dzięki Andy'emu Furusethowi!

— Wypijmy za to! — odparł Tom.

Czy nie sprawimy ci kłopotu, jeśli wpadniemy z Donaherem na chwilkę?

Billy uśmiechnęła się, słysząc to pytanie z ust Toma. Ten młodzieniec jest rzeczywiście piękny, pomyślała. Była w dobrym nastroju, tego wieczora goście dopisali i interes prosperował znakomicie. Zawsze była szczęśliwa, kiedy raz w tygodniu Tom przychodził do niej w towarzystwie Donahera. Denerwowano ją tylko, że jego wizyty nigdy nie były zaplanowane. Tak jakby pojawiał się nie dlatego, że chciał zobaczyć Billy, ale przez przypadek, przechodząc akurat w sąsiedztwie.

— Nie mam nic przeciwko temu. Jesteście jak nierozłączne papużki — starała się przekrzyknąć panujący w domu hałas i głośną muzykę. — Nie chciałabym was rozdzielać, moi drodzy, ale moje dziewczynki trochę się dziwią, że Donaher tak chętnie korzysta z ich usług, podczas gdy ty, Tom, taki atrakcyjny mężczyzna, wolisz pogawędki ze mną od ich wprawnych rączek i usteczek.

— W porządku. Pozwolisz więc, że najpierw spełnię obowiązek i przelecę jedną z twoich kurek, a dopiero potem wpadnę do ciebie pogawędzić. Co ty na to?

— Jesteś niemożliwy, Tom — Billy roześmiała się głośno. — Będzie, jak sobie życzysz. Poznaj moją hojność, chłopcze, gdyż tej nocy zamierzam pchnąć cię w ramiona najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałeś — w jej oczach pojawił się przewrotny i prowokacyjny błysk.

Tom czuł, jak jego nogi stają się miękkie. Billy, która doskonale potrafiła rozpoznać, co dzieje się w sercu i spodniach każdego napalonego mężczyzny, jakby od niechcenia musnęła dłonią to miejsce, które najwyraźniej świadczyło o podnieceniu Toma. Potem kiwnęła na niego palcem i powiedziała:

— Widzę, że jesteś w potrzebie. Nie traćmy więc czasu. Pozwól, że przedstawię cię Glorii.

Dała znak dziewczynie ubranej w żółtą suknię, pocałowała go w policzek, jakby chciała w ten sposób życzyć mu powodzenia, po czym zniknęła w tłumie gości.

Od kiedy owego pamiętnego wieczora Donaher przyprowadził do niej Toma, Billy wiele myślała o młodzieńcu, więcej niż chciała. Ten chłopak miał przedziwną zdolność rozbudzania w niej pragnień i marzeń, które napawały ją lękiem. Myśli, jakie zaczęły zaprzętać jej głowę, chwilami przerażały ją. Całe jej dotychczasowe życie obracało się wokół jednego tylko mężczyzny, Diamonda Jima Mulvaneya. To dzięki jego pieniądzom mogła wznieść ten dom, kupować stroje i płacić wysokie pensje swoim dziewczynkom. To on był jej najwięk-

szym sprzymierzeńcem, dzięki jego pomocy udało się jej przetrwać ciężkie czasy po tym, jak straciła całą swoją rodzinę. Trzej bracia, ojciec i matka zmarli zanim jeszcze poznała Mulvaneya. Należeli do setek ofiar, które zebrała epidemia cholery w Nowym Jorku. Pozostali bracia również odeszli pochłonięci przez morskie głębiny. Pozostał jej tylko Donaher, bliski przyjaciel jednego z jej młodszych braci, i Mulvaney. Ten ostatni zdecydował o jej przyszłym życiu, zagarnął ją jak swoją własność, przy czym do końca pozostał wiernym przyjacielem. Billy starała się wymazać z pamięci te straszne chwile, kiedy była małym dzieckiem. Starsi bracia wyruszyli w daleki rejs, podczas gdy ona pozostawiona została na pastwę losu. Kiedy wybuchła epidemia, starała się w miarę sił opiekować matką, ojcem i trzema młodszymi braćmi. Nikt jednak nie miał pieniędzy na lekarza. Nie było nawet środków, by zdobyć zimną, czystą wodę, która mogłaby ugasić palące pragnienie rozognionych przez straszliwą chorobę ciał. Billy wyżebrała od robotników z chłodni kilka kawałków lodu, które rozpuszczała w cuchnącej, brudnej wodzie ze studzienki na podwórzu domu. Dzięki temu udawało się jej choć trochę łagodzić cierpienia chorych. Sama sprzątała wszystkie nieczystości, czuwała w wypełnionej zapachem potu i wydzielin małej izdebce i wsłuchiwała się w ciężkie oddechy umierających. Dla małej dziewczynki było to przeżycie, które powracało później w niekończących się koszmarach snach. Nie sposób było zapomnieć gasnących, wypełnionych bólem i cierpieniem oczu swych najbliższych.

Kiedy została sama, przez dwie długie noce i dwa dni siedziała w ciemnej izbie, wsłuchując się przerażona w bicie własnego serca i oczekując pierwszych symptomów straszliwej choroby. Była przekonana, że podzieli los swej rodziny. Ale oczekiwane objawy nie pojawiły się. Kiedy po dwóch dniach do izby przyszli mężczyźni, by zabrać cuchnące ciała umarłych, Billy wciąż żyła. Poradzili jej, by spaliła wszystkie swoje rzeczy i nie zabierała ze sobą niczego, co kiedyś należało do chorych. W ten sposób Billy znalazła się bez dachu nad głową. Przez pewien czas szwendała się po ulicach, aż w końcu wylądowała w jednym z burdeli, gdzie całkiem przypadkiem odkrył ją Jim Mulvaney. Miała wtedy szesnaście lat i zdążyła już wiele nauczyć się o życiu. Nie miała kiedy marzyć. Dom, rodzina, mąż, szacunek — to wszystko traktowała z pewnym przymrużeniem oka, jak bajkę o Guliwerze lub krasnoludkach. Nie myślała nawet o podobnych rzeczach aż do chwili, w której poznała Toma Daltona.

Billy popatrzyła na Toma, który właśnie w towarzystwie roześmianej Glorii wchodził po schodach na górę. Nagle poczuła smutek. Wypiła kieliszek wina, po czym odwróciła się w stronę rozbawionych gości. Schroniła się pod maską prowokacyjnej zmysłowości. W jednej chwili znowu stała się odważną i przedsiębiorczą właścicielką słynnego w całej dzielnicy domu uciech.

Tom Dalton leżał na małym, niewygodnym łóżku, jak zawsze nieco za krótkim dla jego potężnego ciała. Rozmyślał o przyszłości. Donaher przed sekundą zdmuchnął płomień świecy, a w ciemnym pokoju już rozległo się jego potężne, przeciągłe chrapanie. Tom uśmiechnął się na ten dźwięk. Zawsze zazdrościł swemu przyjacielowi tej niebywałej zdolności za-

sypiania w krótkim czasie. Był jak małe dziecko, któremu wystarczyło jedynie zamknąć oczy, by od razu zapaść w głęboki sen. Leżał teraz na wznak z otwartymi ustami.

Minęły już blisko dwa miesiące, od kiedy Tom zaczął pracować w portowych dokach. Jego dłonie stały się twardsze od ciężkiej fizycznej pracy, skóra na opuszkach palców zrogowaciała. Przez pierwsze kilka dni odczuwał dokuczliwy ból w plecach, ale potem przyzwyczał się do tego. Przyzwyczał? To nie była prawda, nie przyzwyczał się nigdy! Nie mógł pogodzić się z faktem, że utkwiał tu na dobre. Co ja właściwie tu robię? — zadawał sobie ciągle to pytanie. Nie miał najmniejszej ochoty spędzić reszty życia na noszeniu skrzyń i beczek na własnym grzbiecie. Nie takie były jego plany, on marzył przecież

czymś zupełnie innym. Czasami wydawało mu się, że to jedynie zły sen, że za chwilę przebudzi się i nawet nie będzie pamiętał o tym piekle, w którym się znalazł z własnej woli.

W końcu wytłumaczył sobie, że pobyt w Nowym Jorku to tylko konieczny etap, który musi przebyć, by później wybić się wyżej. Tylko w jaki sposób...

z kim? Na te pytania nie znał jeszcze odpowiedzi.

Barnacle Billy leżała w łóżku obok Diamonda Jima. Jej smukłe palce przesuwają się powoli po jego wydatnym, miękkim brzuchu. Jim nigdy nie był wymarzonym kochankiem. Już choćby z powodu tuszy uprawianie miłości nastreżało mu wiele trudności i wysiłków. Dlatego wolał leżeć na wznak i pozostawić Billy wolną rękę. Ona pamiętając, jak wiele dla niej uczynił, za każdym razem starała się wywiązać ze swej roli jak najlepiej. Kiedy tak palcem rysowała wokół jego pępka niewidoczny wzór, zastanawiała się, jak wiele zawdzięcza temu człowiekowi. Gdyby nie on, nadal byłaby tylko bezdomnym obdartusem, zwykłym włóczęgą pomiatanym przez wszystkich, bez nadziei na jakąkolwiek lepszą przyszłość. Nie, to nie oznaczało, że zapomniała o Tomie. Uważała jednak, że będzie lepiej, jeśli pozostanie dla niej tylko miłym wspomnieniem. Billy miała dobrą pamięć, a poza tym ceniła sobie lojalność wobec starych przyjaciół.

— Jim — odezwała się szeptem, by sprawdzić, czy już śpi.

— Uhm — Jim otworzył jedno oko.

— Jest ktoś, kogo powinieneś poznać. To pewien młody człowiek, którego przyprowadził Donaher jakiś czas temu. Twierdzi, że jest marynarzem, ale nie wygląda na takiego.

— Dlaczego, dziecino?

— Nie wiem, kochanie, po prostu sprawia wrażenie, jakby był urodzonym dżentelmenem. Rozumiesz, co mam na myśli... Ładnie się wyraża i nie zachowuje się tak grubiańsko jak pozostali. Naprawdę uważam, że powinieneś go zobaczyć. Myślę, że przyda ci się.

— Na pewno mi się przyda. Skoro zwrócił twoją uwagę, musi odznaczać się dużymi walorami.

— Jim, daję ci słowo, że nigdy nie wejdzie do mego łóżka! Możesz być spokojny. Powinieneś jednak posłuchać mnie i spotkać się z nim. On jest naprawdę wyjątkowy.

Chcąc dać dowód swego bezgranicznego oddania, a jednocześnie udobruchać zazdrośnego Mulvaneya, Billy przesunęła swą dłoń wzdłuż jego brzucha aż pomiędzy nogi.

— Kocham cię, Jim — powiedziała. Na swój sposób czuła tak naprawdę. — Dzięki tobie wszystko w moim życiu przybiera szczęśliwy obrót. Zawsze będę cię za to kochać.

Jim Mulvaney położył swą wielką różową dłoń na jej głowie. Pieścił jej długie jasne włosy. Cenił jej lojalność, choć uważał za całkiem naturalne okazywanie mu przez dziewczynę wdzięczności. Wyciągnął ją z rynsztoka, więc ona stała się jego najwierniejszym przyjacielem. Wyrosła na wspaniałą kobietę o wyjątkowo bystrym umyśle, poczuciu sprawiedliwości i przede wszystkim o wprost fantastycznych zdolnościach zaspokajania mężczyzn. Ich przyjaźń przybrała formę swoistej umowy i Jim miał zamiar do końca dotrzymać jej warunków... przy założeniu, że Billy będzie grać w nim uczciwie. Jeśli powiedziała, że nie pójdzie z młodym Irlandczykiem do łóżka, to na pewno dotrzyma danego słowa. Diamond Jim także postąpi uczciwie i, jeśli Billy tak bardzo go prosi, spotka się z Tomem Daltonem.

— Billy chce się z tobą spotkać — odezwał się Donaher. Właśnie pracowali razem przy załadunku statku z Indii. — Ubzdurała sobie, że musisz zobaczyć się z Mulvaneyem. Masz się ubrać galanto, żeby się dobrze prezentować i pachnący i śliczny stawić się w domu Diamonda Jima na Piątej Alei dzisiaj o siódmej wieczorem. Przedtem jednak chce się sama z tobą spotkać i powiedzieć, co i jak. — Donaher wyprostował plecy. Właśnie załadował na pokład dwustufuntowy worek z cukrem. — Nie zapomnij tylko i przynieś mi trochę tych pysznych ciasteczek, którymi poczęstują cię do herbaty u Mulvaneya. Uwielbiam przekąsić małe co nieco, zanim pójdę spać.

Obaj byli wyraźnie rozbawieni perspektywą nieoczekiwanego spotkania z Jimem. Szło się do niego jak do jakiegoś lorda, choć każdy w portowej dzielnicy wiedział, że Mulvaney to kawał drania.

— Wyciągnę z szafy jedwabne spodenki i wykrochmaloną koszulę. — Zaśmiał się Tom. — Czy możesz mi pożyczyć trochę twojej wody kolońskiej?

— Masz na myśli whisky?

Wybuchnęli gromkim śmiechem, po czym wrócili do przerwanej na chwilę pracy przy załadowywaniu statku.

39.

Mary siedziała na podłodze w dzieciennym pokoju, trzymając na rękach ośmiomiesięczną niemowlę. Zimowe słońce wpadało przez duże okno i odbijało się od rudawozłocistych loków dziecka. Jego śmiech był jak szmer czystego górskiego potoku. Jakże wielką radość sprawiało jej to upragnione i wytęsknione dziecko! Cóż za poczucie szczęścia i cudownego spełnienia matki, która tak bardzo pragnęła jego narodzin! Od momentu, gdy wydała je na świat, wiedziała, że będzie jej najukochańszym dzieckiem. Wystarczyło spojrzeć w jego uroczą twarzyczkę, by zrozumieć, że jest zrodzone z jej irlandzkiej krwi. Było silne i duże. Kiedy przychodziło na świat, krzyczało co sił. Zakochała się w nim od pierwszego momentu, gdy tylko zobaczyła na główce ledwo dostrzegalne, rudawe włoski. Kiedy lekarz przyniósł je umyte po porodzie i Mary mogła je przytulić do piersi, zaskoczona i uszczęśliwiona spostrzegła, że jego rysy twarzy do złudzenia przypominają małego Toma! W jej oczach pojawiły się łzy szczęścia i radości. Lekarz był zdziwiony jej reakcją. Nie spodziewał się takiego entuzjazmu po czterdziestoletniej kobiecie, która urodziła już piąte z kolei dziecko. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, jak zachowują się kobiety po porodzie... Ze swej długoletniej praktyki lekarz dobrze wiedział, że matki często zachowują się bardzo dziwnie, kiedy po raz pierwszy dostaną do ręki swoje nowo narodzone dziecko.

— Sean, moje kochanie — Mary tuliła śpiącego do swej piersi. — Jesteś najpiękniejszym dzieckiem na świecie.

Wiedziała, że Thadeus i stara niańka bardzo denerwowali się, gdy mówiła do dziecka zamiast John irlandzkim odpowiednikiem, Sean. Ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Nie w tym wypadku. Sean był tylko jej dzieckiem. Cała czwórka, którą wydała na świat, mogła należeć do jej męża, ale nie Sean. On był tylko jej. Jej syn.

KSIĘGA IV

Diamond Jim Mulyaney

— Stańcie ramię w ramię — powiedział Tamanend do swoich braci. — Idźcie jak jeden mąż, a będziecie skalą, której żadna siła nie zdoła skruszyć.

Motto Partii Demokratycznej w Nowym Jorku

Nigdy przedtem w całym swoim życiu Tom Dalton nie spotkał dziewczyny, która zrobiłaby na nim tak wielkie wrażenie. Patrzył osłupiały na Deidrę Mulvaney, tak jakby nigdy nie widział żadnej kobiety. I rzeczywiście, nigdy dotąd nie spotkał kobiety, która przepełniłaby jego serce tak rozkosznym uczuciem nieuchronnego przeznaczenia. Stał i wpatrywał się w dziewczynę, jakby chciał odgadnąć z jej ruchów, czy jej duszę owładnęło również podobne uczucie. Był pewien, że w końcu zdradzi się jakimś nieopatrzonym gestem, który da mu dowód, iż darzy go podobnym co on ją zainteresowaniem.

Deidra była wysoka i smukła. Ojciec uważał ją za trochę zbyt nieśmiałą i całkowicie pochłoniętą czytaniem romansów. Tomowi wydała się niezmiernie wrażliwa i inteligentna. Najwyraźniej płomienny wzrok młodzieńca zwrócił uwagę pięknej dziewczyny, gdyż zaczęła z zainteresowaniem przyglądać mu się. To dziwne, pomyślała, oczy tego mężczyzny mają tak poetyczny wyraz i zupełnie nie pasują do zwykłego portowego robotnika.

Tom bez kłopotów odnalazł siedzibę Mulvaneya mieszczącą się na Piątej Alei. Po rozmowie z Billy doskonale zdawał sobie sprawę, jak ważna może okazać się dla jego przyszłości ta rozmowa. Jednak na widok zimnych oczu Jima całkowicie stracił odwagę. Było coś niebezpiecznego w wyrazie twarzy tego człowieka.

— Deidro, nie stój jak słup soli. Spytaj pana Daltona, czy nie chce się czegoś napić. W przeciwnym razie gotów jeszcze pomyśleć sobie, że jesteś pozbawiona wszelkich manier.

— Naturalnie, ojcze, przepraszam — dziewczyna dygnęła, starając się ukryć zmieszanie. — Czy napije się pan herbaty, panie Dalton, czy też rrofoże skusi się na szklaneczkę czegoś mocniejszego? To pora, w której dżentelmeni zwykli pić mocniejsze trunki.

— Filizanka herbaty wystarczy, panno Mulvaney. Ten płyn przypomina mi dawne czasy w Irlandii — jego uśmiech był pełen ciepła i czułości.

Nie uszło to uwagi Jima Mulaneya. Zawsze pilnował swej córki. Była oczkiem w jego głowie. Pragnął, by poślubiła człowieka z towarzystwa, by cieszyła się nie tylko bogactwem, ale także poważaniem i dobrym nazwiskiem. Dziwna nuta rozmarzenia, którą dosłyszał w głosie młodzieńca, zaniepokoiła go. Nie zamierzał dopuścić, by jakiś znajda pokrzyżował jego plany.

Tom szybko zorientował się, że wprawdzie będzie musiał zaskarbić sobie przyjaźń Mulvaneya, nim będzie mógł zbliżyć się do jego córki. Kiedy pił herbatę drobnymi łykami, badawczo przyglądał się mężczyźnie, od którego tak wiele teraz zależało w jego życiu. Billy bar-

dzo dokładnie przygotowała go do tego spotkania, wyjaśniając w najdrobniejszych szczegółach, na jakich podstawach wspiera się finansowe imperium Mulvaneya i na czym polegają jego polityczne koneksje. W jej tonie Tom z łatwością dosłyszał nutę obawy i strachu. Najwyraźniej czuła respekt przed swym potężnym protektorem. Jednocześnie dało się zauważyć jej wielkie przywiązanie do niego, które nie pozwoliło jej wyjawić wszystkiego, co dotyczyło ich związku. Wpływy, jakimi cieszył się Mulvaney, były znane w całym mieście i Billy najwyraźniej odnosiła z nich również korzyści.

Przez cały dzień Tom zastanawiał się, w jaki sposób mógłby zjednać sobie Jima i przekonać go o swoich umiejętnościach. Wyczuwał, że ta wizyta jest dla niego olbrzymią szansą. Jednak teraz, kiedy siedział przy filiżance herbaty w bogato umeblowanym salonie, doszedł do wniosku, że żaden wybieg nie będzie w stanie zmylić czujności Mulvaneya. Był zbyt cwany, by zwiodły go czyjeś podstępny. Dlatego Tom postanowił być zupełnie szczery. Ta myśl przyniosła mu ulgę, gdyż zawsze daleki był od wszelkiego rodzaju krętactw i najwyżej cenił sobie szczerłość.

— Pani Billy powiedziała mi — Tom odezwał się nieco ściszonej, ale zarazem pewnym głosem, kiedy Deidra po cichu opuściła pokój — że poszukuje pan jakiegoś zdolnego człowieka do pomocy. Kogoś, kto byłby panu całkiem oddany i pilnował spraw, kiedy pan będzie zajęty licznymi interesami. Wiem, że to bezczelność z mojej strony, gdyż nigdy dotąd nie zajmowałem się biznesem, ale może uzna pan, że jestem odpowiednim człowiekiem.

Oczy Mulvaneya zwięzły się do szparek, kiedy uważnie przyglądał się młodzieńcowi. Z zadowoleniem skonstatował, że w jego głosie nie było nuty arogancji czy zarozumiałości. Za to mógł dosłyszeć dumę i wrodzoną szlachetność.

— Ja sam dbam o moje sprawy, chłopcze, zawsze i wszędzie — odparł z naciskiem. Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że wszystko bierze na serio i nigdy nie żartuje. — Z drugiej strony — jego głos przybrał bardziej rzeczowy ton — zawsze potrzebuję kilku dodatkowych rąk do pracy. Ciężko zarabiam pieniądze na życie i przydałby mi się jakiś pomocnik.

Mulvaney usiadł wygodnie w fotelu.

— Siłę charakteru i upór odziedziczyłem po moich irlandzkich przodkach. Zawsze to podkreślam. Wprawdzie byli tylko zwykłymi chłopami, biednymi ludźmi wykorzystywanymi przez Anglików, ale odznaczali się wyjątkową odpornością i niezłomnością. To wspaniały dar, który odziedziczyłem po nich.

Potem nachylił się w stronę Toma, znów zmrużył oczy, po czym dodał:

— Zdaje się, że historia twego życia ułożyła się podobnie? — to nie było pytanie, lecz pełna stanowczości zachęta do złożenia zeznań.

— Moja matka urodziła się w rodzinie irlandzkich farmerów, ale nigdy ich nie znałem — odpowiedział ze spokojem Tom.

— A co z twoim ojcem? Jaka była jego rodzina?

— Zajmowali się zupełnie czymś innym — padła wymijająca odpowiedź.

— A czym? — Mulvaney nigdy nie doszedłby do swoich milionów, gdyby tak łatwo zrezygnował.

— Jestem gotów opowiedzieć o całym moim życiu, ale nie o ojcu.

— Czy wstydzisz się go, Tom? Możesz mi spokojnie powiedzieć.

— Z moim ojcem wiązę wiele wspomnień, ale żadne z nich nie ma nic wspólnego ze wstydem.

Twarz Mulvaneya rozluźniła się. Jego oczy wyraźnie złagodniały. Straciły przenikliwy błysk inkwizytora. Wygodnie rozsiadł się w fotelu.

— Niełatwo jest wyciągnąć z ciebie słowo. Jesteś skryty i niechętnie ustępujesz. To mi się podoba. Sam wiele zawdzięczam tej cesze charakteru. Nigdy nie wyjawiam swoich zamiarów. — Jim wyjął z pudełka grube hawańskie cygaro. Z namaszczeniem poślinił jego koniec, potem fachowym ruchem ujął w dwa palce i przyłożył do ucha. Mruknął z zadowoleniem słysząc odgłos suchego tytoniu, po czym zapalił.

— Powiem ci, co zrobię. Dam ci szansę, byś mógł wykazać się sam. Będziesz miał okazję nauczyć się, jak postępować w sprawach biznesu. Jeśli okażesz się wystarczająco zdolny, poradzisz sobie. Wielu ludzi ma bystry rozum, ale nie potrafią zrobić z niego właściwego użytku. W interesach musisz być szybki i bezwzględny. Musisz trafnie oceniać ludzi, podejmować właściwe decyzje. Te umiejętności albo się ma, albo nie. Czy ty zaliczasz się do tych szczęśliwców, okaże się już wkrótce. — To przemówienie sprawiało mu wyraźną przyjemność. Z zadowoleniem słuchał swego własnego głosu. — Pamiętaj o jednym, nigdy nie wchodź mi w drogę, bo wtedy staję się śmiertelnie niebezpieczny. Moje zasady moralne może nie są takie, jakie wymarzyła sobie moja biedna matka i jej ksiądz, pozwoliły mi jednak strawić niejedno gówno. Najważniejsza zasada to nie pozwalać, by ktokolwiek nadużywał mojej hojności, bo jeśli tego spróbuje, to wepchnę mu ją w odbytnicę, rozumiesz?

Tom słuchał w milczeniu, uważnie mu się przyglądając. Jim miał około pięćdziesiątki. Swą potężną posturą przypominał hipopotama. Miał szerokie, nieproporcjonalne do reszty ciała barki — to była pamiątka po osiemnastu latach ciężkiej pracy fizycznej, kiedy za młodu pracował przy budowie Unii kolejowej. Jego nogi były, grube i krótkie. Niemniej jego wygląd budził respekt. Nikt, kto po raz pierwszy zetknął się z Mulvaneyem, nie mógł mieć wątpliwości, że jest to człowiek o silnych nerwach i zimnym, niewzruszonym sercu, który nie wie, co to wyrzuty sumienia i jest zdolny do wszystkiego. Po swych irlandzkich przodkach odziedziczył siłę sugestii i dar przekonywania, dzięki czemu potrafił sprzedać innym

nawet kota w worku. Miał niepohamowany, gwałtowny temperament, a umysł bystry i pełen błyskotliwych pomysłów.

— Z Jimem można nawet konie kraść — mówiła często jego matka, biedna, doświadczona przez los kobieta, trochę może postrzelona, ale bardzo kochana. Kiedy zmarła, została pochowana wraz z innymi biedakami we wspólnym grobie. Od tej pory Diamond czcił jej pamięć z żarliwością prawdziwego pokutnika. Jego zdaniem matka była jedyną świętą istotą, jaką Pan Bóg zesłał na ziemię od czasów ukrzyżowania Chrystusa. Pragmatyczna natura Jima skłaniała go do poświęcenia się konkretnej wiedzy, jak prawo i finanse, jednak w jego sytuacji nie było to takie proste. Wędrując po kraju, szukał dorywczej pracy. Potem na dłużej zatrudnił się jako robotnik przy budowie linii kolejowej — to była mordercza harówka. Przyjęto go do pracy chętnie, jako że ceniono irlandzkich robotników za ich siłę i skromne oczekiwania, jeśli chodzi o wynagrodzenie. W wolnych chwilach Jim oferował swoje usługi jako terminator i kancelista okolicznym adwokatom. W końcu jeden z nich zatrudnił go u siebie, czyniąc swoim osobistym służącym i gorylem. Adwokacka kariera Jima zaczęła się więc od zwykłego usługiwania. Czekał cierpliwie na każde skinienie swego pana, a kiedy sytuacja tego wymagała, łamał sobie głowę, by rozwiązać jego problemy. Pracował dzień i noc, tak długo, jak tylko wytrzymało ciało i umysł.

Jego droga na szczyty w świecie biznesu nie była błyskotliwa, ale konsekwentna i zdecydowana. Nie czuł zbyt wielkiego przywiązania do powszechnie uznawanych zasad moralnych. Potrafił przechytrzyć swego przeciwnika, nie mając specjalnych wyrzutów sumienia. W ogóle uważał, że mężczyzna, który ogranicza się przez zasady moralne, tym samym okazuje własną słabość. Zawsze natomiast odczuwał szczere współczucie dla ludzi biednych. Każdą napotkaną starą żebraczkę otaczał aurą świętości jak swoją zmarłą matkę. Nie był też obojętny na wdzięki młodych kobiet. Traktował je zawsze z delikatnością i uczuciem. Oczywiście, w głębi serca nie traktował ich poważnie, ale w tym nie różnił się specjalnie od innych mężczyzn.

Często wyśmiewał kleryków, zawsze podejrzewał ich bowiem o hipokryzję i skrzętnie ukrywane grzeszki. Nie mógł im wybaczyć, że swoich biednych parafian karmią moralnymi kazaniem, podczas gdy sami prowadzą rozpustny tryb życia. — Każdy ksiądz to albo zbożeniec, albo inkwizytor — powtarzał często ku zgorszeniu swej córki. Wychowana w klasztorze, była oddaną i żarliwą katoliczką.

Jim przyswajał sobie wiedzę prawniczą z zadziwiającą łatwością, dobrze wiedział bowiem, że stanowi ona klucz do bogactwa i władzy. Dzięki niej mógł uwolnić się od przypadkowego losu rządzącego światem ludzi biednych. Cynizm, z jakim podchodził do życia, zaskakiwał zarówno jego pryncypała, jak i innych kolegów kancelistów. Uważali, że dla Jima prawo nie jest środkiem do wykrywania prawdy i kłamstwa, ale poręcznym instrumentem, dzięki któremu można zręcznie wymanipulować i przechytrzyć każdego przeciwnika.

Tom i Mulvaney rozmawiali do późna w nocy. Siedząc przy kominku Mulvaney popijał brandy i palił cygaro, a Tom wolno sączył irlandzką whisky i opowiadał o swoim życiu.

Mówił szczerze i otwarcie, i to spodobało się Jimowi. Posiadał on umiejętność nieomylnego oceniania ludzkich charakterów. Nie miał wątpliwości, że Tom został ciężko doświadczony przez los, niemniej potrafił zaleczyć rany bez irytującego roztkliwiania się nad samym sobą. Miał bystry umysł i romantyczną duszę. To ostatnie Mulvaney skłonny był zaakceptować jako powszechną u Irlandczyków cechę charakteru. Jeśli Jim się nie mylił, chłopak był zdolny i potrafiłby postępować nawet bezwzględnie, gdyby to było konieczne. Był zdecydowany, jednocześnie panował nad sobą. Był przystojny i nie sprawiał wrażenia mięczaka. Podobał mu się spokojny i zrównoważony sposób, w jaki formułował swoje myśli. Był jednak biedny jak mysz kościelna. Głodny, samotny i zdecydowany na wszystko. Jeśli połączyć ze sobą te wszystkie cechy, może wyjść z tego interesująca i korzystna mieszanka, pomyślał Mulvaney. Nie miał pojęcia o prowadzeniu biznesu, to było widać. Z drugiej strony jego sądy nie były naiwne, a zadawane pytania odznaczały się przenikliwością i trafnością. Jego słabą stroną była łagodność — Mulvaney zawsze potrafił wyczuć słabość człowieka, to utwierdzało go w przekonaniu, że każdy ma jakąś piętę Achillesa. Łagodni ludzie skłonni są do współczucia. Nie będzie łatwo pozbyć się tej jego cechy.

W sumie Mulvaney był zadowolony z rozmowy. Podniósł się ze swego fotela, czym dał do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

— Przyjdź jutro rano do mojego biura, chłopcze — powiedział odprowadzając Toma do drzwi. — Musisz się jeszcze wiele nauczyć, zanim będę miał z ciebie jakiś pożytek.

— Zrobię wszystko, by nie żałował pan swojej decyzji — odparł Tom z absolutną powagą. — Jestem niezmiernie wdzięczny panu za tę szansę — przez moment zawahał się, jakby rozważał, czy powinien już na samym początku zdradzić swoje marzenia, po czym dodał: — Widzi pan, panie Mulvaney, mam zamiar dojść do wielkich pieniędzy. Pańska córka i ja jesteśmy sobie przeznaczeni... tak sędzę, i nie chcę, by kiedykolwiek musiała borykać się z biedą.

— Myślę, że posuwasz się za daleko — odparł Jim, unosząc ze zdziwienia brwi. — Moja córka jest przeznaczona dla kogoś, kto zapewni jej nazwisko, pozycję i szacunek. Może nie starczyć ci życia, aby kiedykolwiek móc jej to wszystko ofiarować.

— W takim razie muszę pracować jeszcze bardziej — padła zdecydowana odpowiedź.

Kiedy Jim zamknął za Tomem drzwi, pogрузił się w rozmyślaniach. Odwaga, z jaką Tom wyjawiał swoje zamiary, oraz szlachetność jego wyznania zrobiły na Diamondzie duże wrażenie. Uczynił to, choć przecież ryzykował dopiero co zdobytą z takim trudem posiadłość. Mulvaney podziwiał u innych ludzi szlachetność, chociaż w żadnym stopniu nie wpływało to na jego własny charakter. Nie musiał obawiać się Toma. Mógł wydać swoją córkę za mąż w każdej chwili, zanim ten młokos w ogóle zdążyłby poprosić o jej rękę. Może, gdyby nie był tak biedny, małżeństwo z Deidrą byłoby doskonałą partią. Jim był jednak praktycznym człowiekiem i nigdy nie pozwalał sobie na snucie nierealnych planów.

Jak zawsze, również tej nocy spał głębokim snem bezpiecznego i zadowolonego z siebie człowieka.

— Mam problem. Muszę z tobą porozmawiać — Tom potrząsnął ramieniem śpiącego przyjaciela.

Donaher zerwał się z łóżka nieprzytomny.

— Dobry Boże! Która godzina? Budzisz mnie w środku nocy, aby trochę popapłać? Ty chyba zupełnie zwariowałaś? — wybełkotał gramoląc się spod kołdry.

Usiadł na brzegu łóżka, dygocząc z zimna. Na twarzy Toma dostrzegł szczere zmartwienie.

— Mulvaney zaproponował mi pracę.

— Jaką?

— Jako praktykanta.

— No, to masz cholerne szczęście, chłopcze. Zaczynasz robić karierę — w głosie Donahera nie było jednak entuzjazmu, zabrzmiało to jakoś smutno.

— Nie chcę cię opuszczać, Donaher, ani Andy'ego, rozumiesz?

— Oczywiście, Tom.

— To dla mnie wyjątkowa okazja, by się wybić... Poza tym tam jest pewna dziewczyna, mówię ci, istny cud... Ona jest jak... — Tom nie potrafił znaleźć słów, aby wyrazić swój zachwyt. — Co mam zrobić? Muszę wyrwać się z tego piekła, walczyć o lepszą przyszłość, o lepsze życie. To szansa, która pozwoli mi spełnić moje pragnienia. Jestem jednak w rozterce.

— A więc chcesz mojego pozwolenia, byś mógł odejść i robić pieniądze ze spokojnym sumieniem? — spojrzał na bladą twarz Toma. — Więc dobrze, masz moje błogosławieństwo. Najwyższa komisja w osobie świątobliwego H.P. Donahera udziela ci zgody i uznaje cię za w pełni zdolnego do służby u Mulvaneya. — Na jego twarzy pojawił się szeroki i życzliwy uśmiech. — Zawsze wiedzieliśmy z Furusethem, że jesteś z nami jedynie przelotem. Bardzo cię lubimy, Tom, ale zawsze będziemy należeć do różnych światów. Ty oczekujesz od życia czegoś więcej, czytasz książki, planujesz bezpieczną i zamożną przyszłość, chcesz mieć żonę i dzieci. To było oczywiste od samego początku. Ale i tak jesteśmy szczęśliwi, że mogliśmy przez jakiś czas być razem.

Tom spojrzał na niezgrabną twarz przyjaciela. Panowała ciemność, więc nie był pewien, ale wydawało mu się, że dostrzegł w jego oczach łzy.

— Jesteś najwspanialszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem, Donaher.

— Wprawdzie jestem tylko starym marynarzem, który już niczego nie oczekuje od życia, ale nie jestem chyba najgorszy — zażartował. — Po prostu pomyśl o nas od czasu do czasu, kiedy tam, wśród bogaczy będziesz piął się w górę.

Długo jeszcze ze sobą rozmawiali, aż w końcu zmorzył ich sen. Tom zasypiał podekscytowany perspektywą wspaniałej pracy, Donaher ze smutkiem i poczuciem samotności.

Wspaniałe

41.

Biuro Diamonda Jima Mulvaneya sprawiało przedziwne wrażenie. Przepych i bogactwo mieszały się tu z przerażającym brakiem gustu. Barokowe, ciężkie meble zdobiły olbrzymi jak sala balowa pokój. Pod sufitem rozpościerał się niby gigantyczny parasol olbrzymi kryształowy żyrandol. Na jednej ze ścian znajdował się imponujący, bogato zdobiony kominek, zasłonięty metalowym inkrustowanym parawanem. W górze wisiał duży portret Deidry. Biurko, za którym siedział Mulvaney, stanowiło wyjątek i było jedynym gustownym meblem w całym pokoju — prawdziwe dzieło sztuki, symbol doskonałych umiejętności rzemieślniczych jego twórcy. Pomimo dość dużych rozmiarów wydawało się konstrukcją bardzo lekką ozdobioną ze smakiem roślinnymi wzorami. Ciemne drewno dawało fascynujący, tajemniczy połysk, jakby cieśla, który je heblował, przekazał mu w ten sposób całą swoją życiową siłę i energię.

— Podoba ci się moje biurko, co? — potężny głos Mulvaneya wyrwał Toma z zamyślenia. Zmieszany zorientował się, że już od dłuższego czasu jak zahipnotyzowany przygląda się temu meblowi.

— Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego — odparł ze szczerym zachwytem. — Zawsze jednak wiedziałem, że podobne cuda są na świecie.

— O tak, to jest cudo, i ma całkiem burzliwą historię. Należało do pewnego bankruta. Pochodził on z bardzo bogatej rodziny, no wiesz, jeden z tych, którzy rodzą się i umierają na złocie. Kupiłem od niego biurko, zanim zdążyli je zabrać komornicy. Ów człowiek miał dziwną skłonność do hazardu i drogich kobiet. To go całkiem wykończyło. Zdaje się, że na koniec strzelił sobie w łeb... — zachichotał z satysfakcją. — Mówią, że to przynosi nieszczęście, ale ja bardzo cenię sobie ten mebel.

Tom nigdy nie przypuszczał, że wartość mebla, nawet jeśli jest rzeczywiście wyjątkowo piękny, można mierzyć ludzkim nieszczęściem. Słuchał jednak Jima w milczeniu.

— Właśnie zastanawiałem się, co z tobą zrobić — kontynuował Diamond. — Do tej pory wyteżaleś jedynie mięśnie, ale wierz mi, to nie jest sposób na zrobienie dużych pieniędzy. Teraz musisz wyteżać umysł! Przy budowie kolei pracowałem osiemnaście godzin dziennie i byłem szczęśliwy, kiedy dostałem za to piętnaście centów, to nie starczało nawet na dziwki. Od kiedy jednak ruszyłem głową, wszystko się zmieniło. Prowadzę wiele... nazwijmy to — interesów. Niektóre legalne, inne... też legalne. Wszystko jest kwestią ceny i zależy od dobrych adwokatów. Czy masz problemy z liczeniem?

— Najmniejszych — Tom uśmiechnął się.

— Dobrze. Chcę, żebyś wiedział, jakie mam wobec ciebie zamiary. Możesz zostać moim doradcą. To taki facet, który biznes ma w małym palcu i haruje, kiedy ja sobie smacznie śpię... Uważam, że masz zadatki, by sprostać takiemu zadaniu. Ale do tego czasu musisz się jeszcze wiele nauczyć, chłopcze. Dlatego na początek zostaniesz pomocnikiem do wszystkiego. Przydzielę cię dwóm moim najlepszym ludziom, O'Reilly'emu, który jest buchalterem i strzeże finansów mojej firmy, i Tierneyowi, mojemu prawnikowi. Płacę im obu kupę szmalu za to, bym nie wszedł w konflikt z prawem. Przy mojej pozycji nie mogę pozwolić sobie na zbyt wiele smrodu. Doskonale znają się na robocie i zawsze wynajdują najlepsze sztuczki.

— Czym właściwie pan się zajmuje? — spytał Tom. Od Billy dowiedział się już co nieco, ale to pytanie wydało mu się teraz jak najbardziej na miejscu.

— Zacząłem od materiałów budowlanych, głównie drewna. Na początku w Denver, a później jeszcze bardziej na zachód. Tysiące akrów lasów było wówczas niczyje, nikt nie dawał za nie ani grosza. Sukces zawdzięczam prawnikowi, u którego pracowałem. To był dopiero sukinsyn! Ale głowę miał na karku. Kiedy usłyszał o budowie kolei, wyczuł pismo nossem. Wynajął robotników do cięcia lasów i sprzedawał drewno na budowę linii kolejowej. Potem zająłem się firmami budowlanymi w Nowym Jorku. Budowlanka to doskonały interes w kraju, w którym ludzie ciągle wnoszą coś nowego. Każdy potrzebuje materiałów budowlanych. Mam taką filozofię: po nitce do kłębka. Jeśli masz w swoim ręku materiały budowlane, koleje, którymi je transportujesz, robotników, którzy wnoszą domy, i do tego masę gruntów w całym świecie, to wówczas jesteś panem wszystkich — na twarzy Mulvaneya pojawił się wyraz satysfakcji i dumy. — Teraz zająłem się polityką. Tutaj wszystko jest polityką i bez wpływów niczego nie działasz. My, Irlandczycy, rozumiemy się na polityce, tę skłonność do pustej gadaniny i rozwodzenia się nad swoimi nieszczęściami mamy we krwi.

— Jak to, rozwodzenia się? — Tom zadał to pytanie automatycznie. Dopiero po sekundzie zrozumiał, że Mulvaney tylko czekał na taką reakcję z jego strony.

— Czy nigdy nie zastanawiałeś się głębiej, o co naprawdę walczą politycy, którzy tak głośno lamentują nad biedą tych cholernych emigrantów. Codziennie całe statki wypchane po brzegi tymi obdartusami przybijają na Ellis Island, potem to robactwo rozpełza po całym mieście. Żyją jak zwierzęta, po kilka rodzin w jednym pokoju, bez wody, bez toalet, bez jakiegokolwiek prywatności. Rozglądają się za jakąś dorywczą pracą, a i tak swoje dzieci żywią resztkami ze śmietnika. Znam kobietę, która pracuje jako szwaczka. Codziennie szyje siedemdziesiąt sukni, maszynowo, i dostaje za to czterdzieści pięć centów. Czy wiesz, chłopcze, co może sobie za to kupić? Gównu! Cała rodzina żyje tylko kartofle. Mój pies jada lepiej niż dziewięćdziesiąt procent robotników w tym mieście.

— Dobrze wiem, co znaczy głód i bieda, nie musi mi pan o tym opowiadać — odparł Tom zdecydowanym i twardym głosem.

Mulvaney poczerwieniał nagle na twarzy, wychylił się zza biurka i patrząc chłopcu prosto w oczy wycodził:

— Myślisz, że skoro jesteś z Irlandii, pokręciłeś się trochę po Nowym Jorku lub Bostonie, to wiesz, co to bieda. Dopóki nie zobaczysz kobiet i dzieci, które wyją zdychając z głodu w jakiejś ohydnej, mokrej norze, ponieważ właściciel fabryki wyrzucił ich mężów i ojców na zbity pysk i w ich miejsce zatrudnił dziesięcioletnich chłopców, bo może im płacić o połowę mniej, to gównie wiesz o życiu i polityce! Karmimy ich, Tom, dajemy pracę. Wynajmujemy palantów, którzy opowiadają im o prawach pracowników i skróconym czasie pracy, potem oni tych palantów wybierają na swoich przedstawicieli, a ci ochraniają nasze interesy wdzięczni, że pozwoliliśmy im dorwać się do żłobu. Tak wygląda ta cała zaszracona demokracja, chłopcze. Politycy wciskają ci kit o wolności, przełomach, sprawiedliwości, a chodzi im tylko o własne tyłki.

Tom przyglądał się Mulvaneyowi z wielkim zainteresowaniem. Słuchając jego płomiennej mowy, nie miał żadnych wątpliwości co do jego politycznych talentów. Diamond miał wrodzoną, pochodzącą od irlandzkich przodków zdolność przekonującego mówienia. Tom był pewien, że każde słowo, które padło z ust Jima, było szczere i wychodziło z samego serca. Jego niewątpliwe współczucie wobec biedy i sprzeciw wobec niesprawiedliwości w niczym jednak nie zmieniały jego własnego postępowania w interesach. Te dwa światy, pieniędzy i moralności, nie przenikały się wcale. Wyraża współczucie, bo to daje mu poczucie własnej szlachetności, pozostaje jednak bezwzględny i nieprzejednany, gdyż w ten sposób utwierdza się w przekonaniu o swoim sprycie i sile charakteru. Co za wyjątkowa mieszanka! — pomyślał Tom.

— Twoim pierwszym zadaniem, Tom, będzie mała przechadzka na Ellis Island. Przyjrzyj się tam ludziom, popatrz na irlandzkich emigrantów, nie zapomnij o przytułkach i sierocińcach. Zobaczysz tam wystarczająco dużo krzywdy, by zrozumieć, czym jest polityka. Potem możesz rozpocząć naukę u O'Reilly'ego i Tierneya. Weźmiesz ze sobą Duffy'ego. Znajdziesz go na dole, wysoki, chudy chłopak. Wie już o wszystkim.

Tom zaczął zbierać się do wyjścia, niepewny, czy spotkanie dobiegło już końca. Mulvaney zajął się stertą papierów, które leżały na jego biurku. Kiedy Tom otwierał już drzwi, Jim spojrzał w jego stronę i spytał łagodnym głosem:

— Czy starczy ci pieniędzy, by dotrzeć do pierwszej wypłaty?

— Tak, panie Mulvaney. Mam trochę, jeszcze za pracę w dokach.

— Mam nadzieję, że zamieszkasz razem ze mną. Chcę mieć cię zawsze na oku. Spakuj swoje rzeczy i zwróć się do mojego majordomusa. Wybierze dla ciebie jakiś wygodny pokój. I pamiętaj, obiad jemy o szóstej.

Tom otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale właściwie nie był pewny co. Położył dłoń na klamce drzwi, odwrócił się jednak i odezwał się:

— Nie wiem, jak mam panu dziękować. Nie zawiedzie się pan na mnie.

— To zależy tylko od ciebie, synu. Nigdy nie daję niczego za darmo. Już wkrótce sam się o tym przekonasz. Jeśli nie dasz z siebie wszystkiego, bez mrugnięcia okiem wywalę cię na ulicę, dokładnie tam, skąd przyszedłeś. W życiu można wiele zdobyć, jeśli wykorzysta się swoją szansę. Mam nadzieję, że okażesz się na tyle bystry i zrozumiesz.

Mulvaney zaszeleścił swoimi papierami, jakby chciał dać do zrozumienia, że ma jeszcze dużo pracy. Tom opuścił jego biuro pełen podziwu dla tego wyjątkowego człowieka.

Francis Duffy wyglądał jak klasyczny Irlandczyk. Przypominał chudą tyczkę od fasoli. Jego twarz była wiecznie blada jak u ciężko chorego na gruźlicę i pokryta niezliczoną ilością piegów. Kiedy widziało się go po raz pierwszy, chciało się od razu złożyć szczerą kondolencję wszystkim kobietom, które kiedykolwiek miały z nim do czynienia. Rude włosy tworzyły ogromną czuprynę, opadającą mu na czoło. Chociaż miał bardzo inteligentne i budzące zaufanie oczy, to jednak cała jego fizjonomia zdecydowanie nie mogła wzbudzać niczyjej sympatii. Żadna z jej części, począwszy od czubka głowy aż po podbródek, nie pasowała do siebie.

Kiedy Tom wyszedł z biura Mulvaneya, Duffy wstał z miejsca i uprzejmie przywitał się z młodzieńcem, który przy nim sprawiał wrażenie Herkulesa.

— Zostałem wytypowany na pańskiego przewodnika po dzielnicy biedy — odezwał się z charakterystycznym irlandzkim akcentem. — Lepiej przedtem nie jeść zbyt obfitego śniadania. To, co mam panu pokazać, nie wpływa zbyt dobrze na trawienie. — Cały czas energicznie potrzasał ręką Toma. — Może od razu będziemy mówić sobie po imieniu. Zaczniemy naszą podróż od Ellis Island, tam, gdzie zaczynał każdy z nas. Właściwie jak to się stało, że tam nie wylądowałeś?

— Przypląnąłem na statku „Lady Mary” jako marynarz.

Tom od pierwszej chwili poczuł do niego sympatię. Duffy wydawał się być szczerym i prostolinijnym człowiekiem.

— Diamond Jim powiedział, że możemy wziąć ze sobą jego bryczkę. To zabawne, oglądać biedę i upadek ludzi z okien eleganckiego powozu — Duffy pokręcił głową.

Potem obaj wyszli na ulicę. Kiedy rozsiedli się wygodnie w powozie, Tom pierwszy zadał pytanie.

— Jak długo pracujesz dla Mulvaneya?

— Całe życie. Można powiedzieć, że jest dla mnie jak przybrany ojciec. Wyciągnął mnie z przytułku, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem, widocznie potrzebował jakiegoś chłopca na posyłki lub do posługi. A może wybrał mnie dlatego, że mu się spodobałem, któż to wie? Pewnego dnia przyszedł do przytułku Najświętszej Marii Panny, by — jak on to nazywa — podreperować sobie sumienie i zrobić parę dobrych uczynków. Kiedy mnie zobaczył, zatrzymał się przy moim łóżku, miałem wtedy jakieś osiem lat, i zapytał, jak mam na

imię. Frank Duffy, odpowiadam, do usług szanownego pana. Już wtedy miałem niewyparzoną gębę. A on odwrócił się do siostry przełożonej, która z nim przyszła, i powiedział — wezmę tego chłopca ze sobą. Tylko tyle. Od tego czasu mieszkam tutaj, w jego biurze. Mam co jeść, dostałem ładny pokój, a kiedy Mulvaney nabrał do mnie większego zaufania, zacząłem wykonywać dla niego różne poufne zlecenia. Dzięki temu mam dość pieniędzy na swoje potrzeby. On jest dla mnie naprawdę dobry. Są tacy, co twierdzą, że byłby zdolny sprzedać własną matkę, gdyby w grę wchodził jakiś interes, ale ja nie mogę o nim powiedzieć złego słowa.

A więc w taki sposób Mulvaney gromadzi wokół siebie oddanych i posłusznych ludzi, pomyślał Tom z podziwem dla zręczności i przebiegłości Diamonda. Otoczył się ludźmi, którzy lojalnością spłacają swój dług wdzięczności.

— A co dokładnie dla niego robisz, Frank?

— Przeróżne rzeczy. Jestem posłańcem, dostarczam poufną korespondencję, zajmuję się nowymi pracownikami, jak teraz tobą. Pilnuję, by biuro było zawsze posprzątane i zaopatrzone w potrzebne sprzęty. Potrafię naprawić prawie wszystko, jeśli się zepsuje. Robię to, o co Jim mnie poprosi. Kilka razy musiałem sprzątnąć niewygodnych facetów. Jestem kimś w rodzaju jego goryla, jeśli chcesz to tak nazwać. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla niego nie zrobił. — Ostatnie zdanie Frank wypowiedział z tak olbrzymim przekonaniem, iż Tom nie miał żadnych wątpliwości, że mówi prawdę.

Ellis Island było szarym, ponurym i zapomnianym przez Boga miejscem. Długi odrapany budynek dominował nad niskimi, skleconymi naprędce i z byle czego budami. W środku budynku tłum ludzi mówiących między sobą wszystkimi językami świata falował od jednej ściany hali do drugiej. Nikt jednak nikogo nie przekrzykiwał, głosy były wyraźnie przyciszane i zlewały się w jeden nieustanny szmer. Dzieci, kobiety, starcy przemierzali się z miejsca na miejsce. Jedni z płaczem rzucali się swym bliskim na szyję, inni snuli się samotnie w tłumie, zagubieni, rzucając wystraszone spojrzenia na stojących przy wyjściu policjantów. Ten falujący tłum przeraził Toma. Przelewał się niczym potop przez ogromną halę i zniknął za bramą — wrotami do nowego, upragnionego kraju — Ameryki.

— Spójrz na ten tłum — Frank wskazał Tomowi długą kolejkę, w której setki ciał napierały jedno na drugie. Blade i wymęczone twarze czekających przypominały twarze upiórów z najbardziej niesamowitych snów.

— Ci muszą wpieryw przejść kwarantannę. Urzędnicy stwierdzili, iż z nimi jest coś nie w porządku, mają gorączkę morską, cholera, bronchit albo czerwonkę. Ci biedacy nie mają nawet dość pieniędzy, by wziąć ze sobą w podróż wystarczająco dużo pożywienia. Siedzą stłoczeni na statku, w zamkniętej ładowni, bez światła i świeżego powietrza. Piją spleśniałą wodę. Wiem, bo sam przyplłynąłem tutaj taką łajbą. Byłem wtedy małym dzieckiem, ale nigdy nie zapomnę tej podróży. Smród wymiocin, który rozchodził się w ładowni, zachowam w pamięci do końca mych dni. Czy widzisz tę garstkę ludzi tam, pod ścianą. Płaczą, wyry-

wając sobie włosy z głowy, lub otępalili wpatrują się w przestrzeń, jakby byli już umarli. To ci, którym odmówiono wjazdu do Ameryki i muszą wracać. Są chorzy, nie mają pieniędzy lub coś przeszkobali. Na ogół nie godzą się na powrót. Większość z nich zdechnie tutaj, na Ellis Island.

Frank wskazał palcem na przeciwległą ścianę, gdzie znajdowały się otwarte drzwi, poza nimi była już tylko woda.

— Oni nazywają to drzwiami dla samobójców. Część z nich nie ma pieniędzy, by kupić bilet na drogę powrotną. Trzymają się razem i mają nadzieję, że jeśli będą uparcie trwać w tym miejscu, ktoś się nad nimi w końcu ulituje.

Małe dziecko, które odbiegło od swojej matki, podeszło do Toma i przywarło do jego kolan. Młodzieniec schylił się i podniósł je na ręce. Ocierając łzy z policzków dziewczynki, odezwał się:

— Nie płacz, malutka, mamusia zaraz po ciebie przyjdzie.

Frank spojrział na Toma ze zdziwieniem. W jego oczach pojawił się wyraz nieufności. Młoda kobieta pospieszyła w ich kierunku i odebrała dziecko z rąk Toma. Była w zaawansowanej ciąży. Miała wielkie cienie pod umęczonymi i przestraszonymi oczyma. Tom nie odezwał się ani słowem, kiedy wręczał jej wychudzone dziecko. Na myśl, że oboje będą zdani na łaskę losu w bezwzględnym nowym świecie, poczuł w sercu rozrywający ból.

— A co tam się dzieje? — spytał, by jak najszybciej odpędzić od siebie niepokój na myśl o małej dziewczynce i kobiecie w ciąży.

W jednym z boksów stali stłoczeni w tłumie młodzi mężczyźni w łachmanach, których otaczali inni, lepiej ubrani, przekrzykując się nawzajem.

— To judasze z firm kolejowych — odparł Frank z wyraźną niechęcią w głosie. — Przychodzą tutaj, by namawiać młodych i silnych mężczyzn z Irlandii do pracy przy budowie kolei. Obiecują im złote góry. Mówią, że będą zarabiać trzy dolary dziennie, otrzymają dach nad głową i wyżywienie, a na dodatek będą mogli zobaczyć słynny Dziki Zachód. Zawsze znajdzie się dużo głupców, którzy dadzą się na to wszystko nabrać i podpiszą kontrakt. Potem pracują jak niewolnicy za pięćdziesiąt centów dziennie, z czego połowę oddają na wyżywienie. Nie mogą wrócić do Nowego Jorku, muszą zaharowywać się na śmierć tak długo, aż wygaśnie podpisany kontrakt. Pracują siedem dni w tygodniu po osiemnaście godzin na dobę. Firmy kolejowe wynajmują Irlandczyków do pracy w miejsce ich braci, których wyrzucają na zbity pysk. To wyjątkowo świński proceder!

— Dlaczego nikt nie powie tym ludziom, w co się pakują? — spytał Tom wyraźnie poruszony tą historią.

— Gdybym to ja, załóżmy, zdecydował się powiedzieć im o tym, już jutro leżałbym w jakimś śmietniku z nożem w plecach. Poza tym jaki wybór mają ci biedacy? Tutaj nie ma dla

nich pracy. Tam na zachodzie jest lepiej. Jeśli przetrwają okres niewolniczej pracy, mogą później tam osiąść, rozpocząć lepsze życie i znaleźć pracę, która pozwoli im utrzymać się na powierzchni. Poza tym firmy kolejowe zatrudniają jedynie nieżonatyh mężczyzn. Dzięki temu dla pozostałych zostaje jeszcze trochę pracy na miejscu, tutaj. Wydaje mi się, że to jest sprawiedliwsze.

To proste poczucie sprawiedliwości zaskoczyło Toma. Nie dlatego, by je potępiał. Bezradna złość, którą wywoływał widok oplakanej sytuacji biednych i nie chcianych emigrantów, dawała mu dużo do myślenia. Tu było tak samo jak w Irlandii. Na ulicach nie leżały pieniądze, nikt łatwo się nie bogacił — to wszystko były bajki, którymi mamiono biednych ludzi. Powoli zaczynał rozumieć intencje Mulvaneya, kiedy twierdził, że aby zrozumieć obłudę polityków, trzeba wpierw przyjrzeć się tym biedakom na Ellis Island.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Tom odczuł wielką ulgę. Nie sprawiło tego świeże powietrze, na Ellis Island panował nieustanny zaduch, który przenikał aż do szpiku kości każdego, kto zapuścił się w te strony. To uwolnienie się od straszliwych, przytłaczających duszę obrazów ludzkiej nędzy i rozpacz sprawiło, że poczuł się lepiej.

— Co dzieje się z tymi biedakami później? — spytał, kiedy siedzieli już w powozie.

— Jeśli mają w Nowym Jorku jakichś krewnych, trzymają się ich przez jakiś czas, zanim nie znajdą pracy i dachu nad głową. Stąd często spotykasz w jednym ciasnym mieszkaniu dwie, a nawet trzy rodziny. Ale to zawsze lepiej niż nie mieć nikogo i zdychać z głodu. — Duffy przerwał na chwilę, jakby wahał się, czy ma powiedzieć to, co zamierzał, po czym kontynuował: — Z tego właśnie powodu straciłem swoich bliskich. Przybyli tutaj do brata mojej matki, który wielokrotnie namawiał ich do przyjazdu. Okazało się jednak, że brat zginął w wypadku przy pracy i zostaliśmy wszyscy na lodzie. Na dodatek nie mieliśmy o niczym pojęcia. Pewien cwaniak, prawdziwy sukinsyn, oskubał nas do ostatniego grosza wynajmując wilgotną piwnicę jako mieszkanie. Ten drań nie powiedział, że poprzednia rodzina, która gnieździła się w tej norze, wymarła na jakąś chorobę. Wkrótce także i moi zaczęli chorować i wszyscy umarli, jeden po drugim. Miałem wtedy sześć lat i przeżyłem jako jedyny. Do dzisiaj pamiętam, jak siedziałem z nimi w ciemnej piwnicy i płakałem. Kiedy zmorzył mnie sen, położyłem się między nimi, gdyż ich ciała były rozpalone gorączką, a ja trząsałem się z zimna, niech Bóg mi wybaczy! Kiedy obudziłem się rano, wszyscy nie żyli. Gdy mnie znaleziono, byłem nieprzytomny. Doszedłem do siebie już w przytułku Najświętszej Marii Panny, gdzie dobre siostry zakonne wyleczyły mnie i przywróciły do życia. Tam znalazł mnie Mulvaney, o czym już mówiłem.

Przerwał na moment. Zastanawiał się nad czymś, po czym dodał: ' — Jedna rzecz tylko nie daje mi do dzisiaj spokoju, to, że nawet nie pożegnałem się z moimi umierającymi rodzicami. Rozumiesz, chciałbym móc powiedzieć im wtedy cokolwiek, najprostsze słowa, tak by wiedzieli, że jestem z nimi w tej strasznej chwili. — Szybko otarł łzy. — Ach, co tu dużo gadać. Jeśli umierasz, to umierasz na amen, nic nie można na to poradzić. Tak już jest.

Frank w milczeniu wyglądał przez okno powozu, pogrążony w swych rozmyślaniach. Tom, który dobrze poznał cierpienie wywołane śmiercią bliskich i samotnością, nie odezwał się słowem. Chciał uszanować smutek swego towarzysza.

Charytatywna działalność Mulvaneya nawet tak ponure miejsce jak Ellis Island czyniła możliwym do przeżycia. Wprawdzie miało się wrażenie, że ogląda się tam najgłębsze pokłady piekieł, to jednak ludzie potrafili przystosować się jakoś do tych podłych warunków. Duffy patrzył na to wszystko obojętnym wzrokiem, traktując podłą nędzę jako nieodzowną rzeczywistość, z którą trzeba się godzić. Tom natomiast nie mógł powstrzymać się od okrzyku przerażenia na widok wynędzniałych, białych twarzy, wyglądających z okien obskurnych kamienic. Znajdowali się w dzielnicy irlandzkich emigrantów. Frank powiedział, że pójdą również do slumsów zamieszkałych przez Włochów, Żydów, Chińczyków i Murzynów. Przed zachodem słońca zobaczą całą ludzką nędzę i rozpacz, jaka skupiła się na tym nieszczęsnym skrawku ziemi.

Zatrzymali się przy wysokiej czynszowej kamienicy. Weszli do środka i zaczęli wspinać się po schodach na górę. Na klatce schodowej unosił się smród fekalii i starego tłuszczu. Na każdym piętrze znajdowały się długie, ciemne korytarze, wyłożone pod sufit czarno-białą glazurą, zupełnie jak w kostnicy. Budynek wyglądał tak, jakby wybudowali go pierwsi osadnicy, choć nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

— Kiedy wybudowano ten dom, Frank? — zapytał Tom, kiedy wspięli się na czwarte piętro. Zatrzymali się obaj, by trochę odetchnąć.

— Gdzieś w czterdziestych latach, kiedy to wielu irlandzkich emigrantów przypłynęło do Ameryki, uciekając przed głodem — odparł Duffy nie mniej zdyszany wspinaczką niż jego towarzysz. — Podobno przypominało to nie kończącą się rzekę ludzi. Nikt nie wiedział, co zrobić z tymi biedakami. Wówczas paru sprytnych spekulantów rozpoczęło budowę takich kamienic. Wszystkie są jednakowe, niczym się nie różnią. Mieszkania wewnątrz budynku nie mają ani jednego okna, tylko te od frontu i od podwórza. Kiedy przychodzi lato, można się w nich dosłownie usmażyć żywcem. Jednak mieszkania bez okien, mają tylko jeden wywietrznik, są znacznie tańsze, dlatego ludzie chętnie je wybierają.

W końcu dotarli na najwyższe piętro i zatrzymali się przed obdrapanymi i wypaczonymi zupełnie drzwiami, z których płatami złaziła czarna farba.

— To ja, Duffy — zawołał Frank i zastukał w nie. — Przyszedłem, by dać małej Mary prezent od pana Mulvaneya.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Wychudła stara kobieta w postrzępionej, lecz czystej sukni i pocerowanym na wszystkie możliwe sposoby szalu, który okrywał jej zgarbione, kościste plecy, wpuściła ich bez słowa do środka. W malutkim pokoiku nie było okna, jedynie wybity w ścianie otwór wentylacyjny, przez który dostawało się trochę powietrza. Mała czarnowłosa dziewczynka siedziała przy sfatygowanym stole, owinięta cienkim dziu-

rawym kocem. Spojrzała na mężczyznę z zainteresowaniem i pomachała ręką do Duffy'ego. Nie mogła mieć więcej niż siedem lat.

— To mój przyjaciel Tom Dalton, pani Cochran. Od niedawna pracuje dla pana Mulvaneya. Zapewne niejedną jeszcze raz spotka go pani.

Dziewczynka pomachała tym razem do Toma, a stara kobieta uśmiechnęła się, ledwie otwierając usta. Nie miała zębów i najwyraźniej wstydziła się tego. Duffy sięgnął do kieszeni i położył na stole sakiewkę wypełnioną jednopensowymi monetami. Na twarzy dziecka pojawił się uśmiech szczęścia i radości, który rozjaśnił mroczny i nieprzytulny pokój. Wstała od stołu, podbiegła do Franka i objęła go za kolana. Duffy wyciągnął z drugiej kieszeni garść pieniędzy i konspiracyjnym gestem wcisnął je do ręki starej kobiety.

— To od pana Mulvaneya — powiedział łagodnym głosem. — Jako niewielka pomoc, zanim sprawy nie przyjmą lepszego obrotu.

— Niech Pan Bóg wam wynagrodzi — odparła kobieta z ogromną wdzięcznością.

Tom podszedł do dziewczynki, pochylił się nad nią i zapytał.

— Czym się zajmujesz?

— Szyję ozdoby do kapeluszy pań — odparła sepleniac. — Potrafię już robić kwiatki i perełki. Moja mama mówi, że jestem dla niej wielką pomocą, zwłaszcza teraz, kiedy odszedł tatuś.

Tom osłupiał, kiedy usłyszał, że stara kobieta była matką dziewczynki, a nie jej babką, jak sądził. Jak się okazało, miała nie więcej niż czterdzieści lat. Wstał i odwrócił się w stronę Duffy'ego i pani Cochran.

— Co się stało z pani mężem...?

Kobieta owinęła się szczelniej szalem. W pokoju panował przejmujący chłód.

— Zginął w zeszłym roku podczas zamieszek w dokach, panie Dalton — odparła. — Pan Mulvaney wspomaga nas od tego czasu, niech Pan Bóg ma nad nim opiekę. Mary szyje trochę ozdób dla pań, a ja zarabiam cerowaniem męskiej bielizny. Ciężko nam związać koniec z końcem, zwłaszcza zimą. Panuje tu straszny ziąb.

Bezradnie rozejrzała się po ubogim pokoju. Tom sięgnął do kieszeni, a ponieważ nic w niej nie znalazł, wybąkał jedynie jakieś dobre słowo dla otuchy czując, że musi ono za- brzmieć dla kobiety fałszywie. Kiedy wyszli, zapytał:

— Ile mogą zarobić pracą, którą wykonują?

— Kobieta zapewne może uszyć sześćdziesiąt do siedemdziesięciu par kalesonów dziennie. Za to wyciąga do dwóch dolarów na tydzień. Dziecko... góra dolar, razem maksimum trzy dolary tygodniowo. Problem polega na tym, że pracodawcy doskonale wiedzą, że

tacy dorywczy pracownicy nie mają do kogo zwrócić się o pomoc, dlatego bezwstydnie ich wykorzystują. Kiedy na przykład te dwie biedne dusze pod koniec każdego tygodnia rozliczają się ze wszystkich zamówień, mówi się im, że tylko połowa wykonanej pracy jest dobrej jakości i zabiera się im połowę całego wynagrodzenia. To są przypadki, w które wkracza Mulvaney.

— A skąd pieniądze, które im dałeś?

— Głównie z kasy Partii Demokratycznej i częściowo od samego Mulvaneya. Czasami kilka pensów może zdecydować o czyimś życiu lub śmierci. — Duffy mówił monotonnym, obojętnym głosem, zupełnie tak, jakby to wszystko osobiście nie go nie obchodziło. Być może tragedia, którą sam przeszedł, uczyniła go nieczułym na nieszczęścia innych, a może zbyt często oglądał ludzką nędzę, by za każdym razem przejmować się nią?

Całą resztę dnia spędzili na oglądaniu dzielnicy kontrolowanej przez kasę pomocy Partii Demokratycznej i Jima Mulvaneya. Tom mógł zobaczyć biedę i ludzką tragedię we wszystkich możliwych postaciach. Wąskie ulice były zastawione wózkami, na których oferowano tandetne wyroby. Dzieci kręciły się wokół chłodniczych wozów dostawczych w nadziei, że uda im się skraść trochę lodu, który później będą mogły zmieszać z wodą. Twarze ludzi były wyniszczone przez ciężką pracę i głód. Jeśli jakiejś rodzinie udawało się wiązać koniec z końcem, to opłacali to nadludzkim wysiłkiem. Tom widział małe dziewczynki ubrane w łańchmany, które całymi nocami ślęczały przy szyciu białych prześcieradeł, kupowanych potem na grosze przez bogatych ludzi. Zobaczył też małych chłopców okaleczonych na całe życie w wyniku wypadków, które ciągle zdarzały się w fabrykach.

— Właściciele fabryk chętnie zatrudniają małe dzieci — odezwał się Frank tonem pozbawionym wszelkiej emocji. — Mogą im płacić połowę tego, co dorosłym. Jedyne problem to to, że szybko tracą siły. Po południu są już całkiem nieprzytomne, co powoduje wiele wypadków.

Pod koniec tego koszmarnego dnia Tom doskonale orientował się już w mechanizmach rządzących życiem politycznym w Nowym Jorku. Jeśli Partia Demokratów opiekowała się i karmiła biedaków, to był to jedynie sposób zdobywania ich głosów w wyborach — i nic więcej. Nie chodziło o zmianę sytuacji, chodziło tylko o poparcie.

Timothy O'Reilly, finansista Mulvaneya, był zasuszonym starszym człowiekiem o pajkowatych nogach i ogromnej głowie, którą dźwigało wątłe, kościste ciało. Niezmiennie nosił dziwaczną fryzurę z przedziałkiem pośrodku i wygładzonymi brylantyną na boki włosami. Druciane okulary ciągle spadały mu na koniec nosa. Miał zwyczaj uderzeniem palca przesuwając je z powrotem na miejsce, w charakterystyczny sposób potrząsając przy tym głową, jakby wyrwał się nagle z głębokiej drzemki. Wyglądał komicznie, mimo to Tom żywił do niego wielki szacunek za jego nieprzeciętną inteligencję i wiedzę, którą przekazywał swojemu stażycie przy każdej okazji. Mulvaney chciał, aby jak najsprawniej i jak najszybciej wdrożył Toma w sprawy finansowe i O'Reilly bez zarzutu wywiązywał się ze swego zadania.

Daniel Tierney, prawny doradca spółki, należał do całkiem odmiennej kategorii ludzi. Do każdego problemu podchodził z zajadłością i wytrwałością wytrawnego myśliwego.

— Prawo, panie Dalton, jest jak dziwka — mówił swoim amerykańskim akcentem. — Trzeba ją wykorzystać, jak tylko można, a ona zanim jeszcze zdążysz sobie pofolgować, wystawi ci dokładny rachunek.

Uczył Toma w każdą środę i czwartek, i dodatkowo jeszcze trzy wieczory w tygodniu. Jeden wieczór poświęcali grze w szachy. Jak twierdził Daniel Tierney, ta gra doskonale wpływała na rozwój intelektu. Tom pracował przez cały tydzień, uczył się zaś nocami i w niedziele. Mechanizmy finansowe przyswajał sobie bez większego trudu. Konsekwentna metoda nauczania, jaką stosował O'Reilly, mobilizowała go. Czuł, jak z każdym dniem jego wiedza pogłębia się. System prawny przysparzał mu jednak wiele kłopotów. Chętnie spędzał czas z Tierneyem, darząc go większą sympatią niż O'Reilly'ego. Podziwiał jego swobodny i pewny styl życia, a przede wszystkim jego wspaniałą bibliotekę w domu... Ale prawo wciąż wydawało mu się obce. W tym bezdusznym systemie sprawiedliwości nie było miejsca dla współczucia czy miłości bliźniego. Dzięki dobrej pamięci Tom szybko uczył się jego zasad, ale dystans, jaki odczuwał do przedmiotu swej nauki, powodował, że niechętnie przyswajał sobie wiedzę.

— Nigdy nie będziesz dobrym prawnikiem, Dalton, z całym szacunkiem dla twoich niewątpliwych zdolności — stwierdził Tierney podczas jednego ze wspólnych wieczorów szachowych. — Ty szukasz w prawie rozwiązań sprawiedliwych, a nie korzystnych dla jednej ze stron. To poważny błąd.

Była to uwaga szczerza i w dobrej wierze. Tom uśmiechnął się i odparł:

— Czy to oznacza, że jestem nieprzydatny?

— Wręcz przeciwnie, mój drogi chłopcze. To czyni cię niebezpiecznie przydatnym. Każdy bezwzględny przeciwnik, a z takimi tylko będziesz miał do czynienia, natychmiast wyczuje twoją słabość i umiejętnie ją wykorzysta, grając na twojej wrażliwości.

— Jak to?

— Prawo to twardy kawałek chleba. Każdy prawnik oczekuje od swego kolegi, że będzie działał w sposób pragmatyczny, tak jak tego wymagają przepisy, a nie według wskazań swojego sumienia. Jeśli tylko spostrzegą, że brakuje ci tej podstawowej umiejętności postępowania, natychmiast rzucą się na ciebie jak sępy. I staniesz się ich ofiarą.

Tom obruszył się na ten zarzut, choć wiedział, że w tym, co mówi Tierney, jest wiele racji.

— Możesz oczywiście sądzić, że twoja słabość będzie mniej znaczyć w świecie biznesu niż na przykład w sądzie, gdzie rozstrzygasz przypadki kryminalne. Łatwiej działać bezwzględnie w sprawach praktycznych, takich jak robienie pieniędzy, trudniej, kiedy masz decydować o czymś życiu lub śmierci — dodał Daniel.

— Czy nigdy nie miał pan problemów czy wątpliwości co do skuteczności i sprawiedliwości prawa, panie Tierney? Chociażby na samym początku, kiedy zaczynał pan karierę prawnika?

Tierney przesunął swego gońca dając mata królowi, po czym odparł oschłym tonem:

— Nigdy, ani razu, chłopcze. Zarówno prawo, jak i moje sumienie są zgodne wobec kwestii, gdzie należy szukać dobra i zła. Dobro leży zawsze po stronie tych, którzy zwyciężają.

O'Reilly był człowiekiem, z którym trudno dochodziło się do porozumienia. Mulvaney wybrał go na nauczyciela Toma przede wszystkim ze względu na jego chłód i wyrachowanie, które każdemu, nawet najbardziej odważnemu, odbierały pewność siebie. Uważał bowiem, że młodzieniec powinien poznać granice swoich możliwości. Mulvaney lubił znać słabe punkty ludzi. Dzięki temu mógł w odpowiednim momencie złamać opór każdego przeciwnika.

O'Reilly nie darzył Toma sympatią. Nie ze względu na jakieś osobiste animozje, ale po prostu dlatego, iż Tom był jeszcze młody i nie miał większego pojęcia o biznesie i finansach. Młodzi ludzie bez żadnego doświadczenia często popełniają błędy, a tego perfekcjonista O'Reilly nie mógł nikomu wybaczyć. Najmniejsza pomyłka w księgach rozliczeń doprowadzała go do istnego szaleństwa. Znany był z tego, że potrafił wyrzucić z pracy księgowego, jeśli w jego papierach znalazł kleks bądź gdy słupki z cyframi miały większą szerokość niż przewidywały standardy. Wygląd Toma także nie wzbudzał jego zaufania.

— Ten chłopak bardziej wygląda na playboya niż finansistę — powiedział z niesmakiem do żony. — Bóg jeden wie, co takiego Mulvaney w nim zobaczył i dlaczego go zatrud-

nił. Ja w każdym razie nie chciałbym mieć go pośród swego personelu. Tierney twierdzi, że on w ogóle nie ma zacięcia do problemów prawniczych.

— Mulvaney to bardzo sprytny człowiek, panie mężu — odparła jego mała i korpuletna małżonka. Pomimo trzydziestu trzech lat spędzonych wspólnie, zawsze zwracała się do niego w tej wyszukanej i pełnej respektu formie. — Być może, szykuje chłopca na jakieś nowe stanowisko, o którym ty jeszcze nie wiesz.

O'Reilly spojrzał na żonę z dezaprobatą, po czym ostentacyjnie zaszeleścił gazetą i zagłębił się w lekturze. Rzeczywiście, zauważył, że obecność Toma w firmie otacza jakaś tajemnica i wcale nie był z tego zadowolony. To było całkiem niepodobne do Mulvaneya, by nie sprawdzonemu młodemu człowiekowi powierzać najgłębsze tajemnice firmy, które obaj z Tierneyem z takim trudem starali się ukryć przed ciekawskim okiem opinii publicznej i urzędów państwowych. Oczywiście, Mulvaney był zbyt dużym cwaniakiem, aby zdradzić chłopcu całą prawdę, ale mimo wszystko... Było to wyjątkowo niewygodne i głupie odgrywać rolę nauczyciela i wychowawcy wobec jakiegoś wymuskanego żółtodzioba, który sam zapewne uważał się co najmniej za równego angielskiemu królowi. Jedynym rozsądnym wyjściem było postępować według starych, wypróbowanych metod, czyli konsekwentnie i metodycznie. Bez względu na to, czy on, Timothy O'Reilly, ma coś do powiedzenia czy nie, ten chłopak będzie musiał się wpieryć ciężko napocić, zanim zdobędzie jakąkolwiek wiedzę. Ze złością rzucił gazetę na podłogę, co jednoznacznie świadczyło, iż nie może się skoncentrować na lekturze i jest całkowicie wyprowadzony z równowagi. Podszedł do biurka. Wyjął z szuflady kartkę papieru i zaczął skrupulatnie notować to wszystko, co miał zamiar przekazać Tomowi podczas ich następnego spotkania w poniedziałek. Już sama ta czynność, staranne kaligrafowanie liter, które układały się w proste, przejrzyste linie, sprawiła, że powoli zaczął się uspokajać.

— Czy nie zechciałbyś rozerwać się trochę dziś wieczór? — spytał Duffy, stojąc w drzwiach biura Toma. — Wyglądasz na przepracowanego.

— Jeśli mam być szczery, to czuję się jak jakiś cholerny mól książkowy. Obawiam się jednak, że jeśli do poniedziałku nie skończę z tą akwizycją, O'Reilly zdejmie ze mnie skalp.

— Do poniedziałku?! To znaczy, że przed tobą jeszcze kilka długich nocy. Dzisiaj mam zamiar dostarczyć ci lepszej nauki niż ten zimnokrwisty O'Reilly.

Tom wstał od biurka i przesunął dłonią po czole, jakby tym gestem chciał wyrzucić z głowy wszystkie liczby, rozliczenia i procenty. Bardzo lubił Duf — fy'ego i chętnie przesiadywał z nim w małych knajpach, rozmawiając i powoli sącząc z kufla piwo. Te wspólne wypadki na miasto stanowiły jedyną rozrywkę Toma i były szansą oderwania się od ciężkiej pracy.

— W porządku. Cieszę się, że tu jesteś. Gdzie dzisiaj pójdziemy?

— Mam akurat dwa bilety do hipodromu, gdzie występuje mój stary kumpel z jakimś facetem o nazwisku Barrymore.

— Nie miałem pojęcia, Frank, że interesujesz się muzyką!

— Jestem człowiekiem wielu nieprzeniknionych zagadek — padła odpowiedź.

Choć Duffy powiedział to z ironią, jego twarz pozostała jak zawsze bez wyrazu, nie-wzruszona jak skała. Kiedy szli krytym przejściem, gdzie rozchodziły się rozliczne zapachy smakołyków sprzedawanych przez ulicznych restauratorów, Tom z wyszukaną kurtuazją za-
pytał przyjaciela:

— Może pozwoli pan, panie Duffy, poczęstować się precl'em z solą?

— Ależ z największą przyjemnością, panie Dalton. Odwzajemnię się chętnie kufelkiem piwa przed przedstawieniem.

Szli w dół szeroką ulicą. Świeciło jasne i ciepłe słońce. Letnia pogoda sprawiała, że i życie wydawało się jakby lepsze.

— Te ostatnie miesiące musiały mocno dać ci się we znaki, Tom — stwierdził Duffy.
— Trochę mnie dziwi, że O'Reilly tak zawziął się na ciebie.

— To facet bez jaj.

— O tak, bez wątpienia bez jaj. Ale kiedyś je miał i na swoje nieszczęście spłodził syna, który teraz jedynie potrafi się łajdaczyć. To beznadziejny łazęga.

— Co to ma ze mną wspólnego, Frank?

— Myślę, że stary po prostu ci zazdrości. Masz głowę na karku i potrafisz z niej korzystać. To sztuka, której jego kochany Willy nigdy nie opanuje. Mulvaney lubi cię, widzi, że się starasz, i daje ci szansę, byś mógł się wybić. O'Reilly uważa zapewne, że te wszystkie sukcesy przychodzą ci zbyt łatwo i dlatego próbuje utrudnić ci życie.

Tom spojrział na swego towarzysza, pochłoniętego wydłubywaniem kryształków soli z precla.

— A co ty o tym sądzisz, Frank? Czy ty także uważasz, że wszystko przychodzi mi zbyt łatwo?

— Ja? — młody człowiek był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem. — Nigdy w życiu! Podziwiam cię, mnie te wszystkie księgi rozliczeniowe, procenty, cyfry, ten cały finansowy kram, już dawno wpędziłyby do grobu. Ty masz do tego smykałkę i to się liczy. — Duffy przerwał na chwilę, jakby rozważał coś w myślach, po czym dodał:

— Poza tym lubię swoją pracę, Tom. Myślę, że jestem potrzebny Mulvaneyowi. Nikt tak dobrze nie potrafi ochraniać jego osoby, nawet on sam.

— Prawdopodobnie masz rację — odparł Tom nieco zmieszany tym wyznaniem.

Nie mógł uwierzyć, że rola goryla może zaspokajać czyjekolwiek ambicje. Jednak czuł wielką sympatię do Duffy'ego. Był on ślepo posłuszny swojemu chlebodawcy, a w swej bezkrytycznej lojalności przypominał bardziej maszynę niż człowieka. W jego bezgranicznym oddaniu było coś niesamowitego, a jednocześnie przecież potrafił zachować hart ducha, uprzejmość i szlachetny sposób postępowania zgodnie z zasadami honoru. Mulvaney wiedział co robi, wyznaczając go na przewodnika Toma. On był jedynym, który mógł wykonać to zadanie, poprowadzić go przez slumsy, dzielnice emigrantów, spelunki i burdele, przez najciemniejsze i najbardziej zakazane obszary życia wielkiego miasta. Doskonale potrafił sobie radzić nawet w najbardziej niebezpiecznych miejscach, takich jak choćby Tenderloin, dzielnica burdeli. Jim często powtarzał, że Duffy jest jednym z niewielu w tym mieście, który wie wszystko o wszystkich. Tom był wdzięczny, że Frank zechciał podzielić się z nim swoją wiedzą.

To właśnie Duffy był źródłem wszystkich informacji, jakich Jim potrzebował. Nie było takiego wydarzenia, o którym by nie wiedział, i o którym by nie powiadomił natychmiast swojego szefa. Wiedział o każdej rodzinie, która potrzebowała pomocy, znał wszystkich z imienia i nazwiska. Jeśli jakiś robotnik zostawał wyrzucony z pracy, Frank dowiadywał się o tym pierwszy i to on decydował, czy Mulvaney może wykorzystać tego nieszczęśnika do swoich politycznych gier. Pozbawiony wszelkich skrupułów, zawsze potrafił zachować zimną krew. Kiedy raz zabił pewnego faceta, który groził Mulvaneyowi zemstą, przyszedł do biura swego szefa i powiadomił go o tym z tak rozbijającym uśmiechem na twarzy, jakby był małym dzieckiem, które przyszło do pokoju rodziców pochwalić się wzorową cenzurką ze szkoły. Tom był wstrząśnięty, gdy usłyszał o tym morderstwie. Próbował jakoś wyrazić swoje ubolewanie, sądząc, że Duffy'ego trapią straszliwe wyrzuty sumienia. Zdumiał się, gdy Frank z anielskim spokojem skwitował uwagi swego towarzysza:

— Ten drań chciał ograbić pana Mulvaneya. Z przyjemnością wdeptałem mu jądra w ziemię.

Sala koncertowa hipodromu była cudownym, pełnym przepychu miejscem, które swego czasu odwiedzały takie znakomitości jak Jenny Lind i Lillie Langtry. Naprzeciwko głębokiej sceny znajdowały się rzędy balkonów. Kiedy Tom i Duffy siadali na swoich krzesłach, czuli, jak udziela się im atmosfera tego miejsca. Zwłaszcza Tom wydawał się bardzo szczęśliwy. Nie miał dotąd ani zbyt wiele pieniędzy, ani czasu, by wolne chwile spędzać w mieście. Tylko czasami spotykał się z Donaherem i innymi członkami związku zawodowego. Natomiast hipodrom był miejscem pełnym życia i eleganckich ludzi, znanych i powszechnie poważanych. Ze swego miejsca mógł dokładnie obserwować elegancko ubranych, gładko wygolonych mężczyzn, rozmawiających z uśmiechniętymi kobietami w bogatych strojach, których biżuteria mieniła się w świetle kandelabrow dodając im szczególnego blasku.

Pewnego dnia, pomyślał Tom, ja również będę należał do tego świata. Popatrzył w dół na środkowe, najdroższe miejsca na sali, po czym przyciszonym głosem odezwał się do Duffy'ego:

— I my kiedyś zajmiemy te miejsca w dole, a u naszego boku zasiądą najpiękniejsze kobiety.

— Masz na myśli tych nadętych bubków? — spytał Duffy z wyraźnym niesmakiem w głosie. — O nie, dziękuję. Nie zamierzam skakać ponad swoje uszy.

W jego głosie zabrzmiała duma. Nie wstydził się tego, że jego świat ograniczał się tylko do rozkazów Mulvaneya, że zadawał się jedynie z kupcami, prostytutkami lub najgorszą biedotą. Nie ulegało wątpliwości, że dla Duffy'ego świat ludzi bogatych był tak bardzo odległy, że po prostu go nie interesował.

Patrząc na siedzącego obok przyjaciela, Tom zaczął powoli rozumieć, na czym polega zadziwiająca zdolność niektórych ludzi do akceptacji swojego losu. Po prostu byli szczęśliwi i wdzięczni za każdy ochłap, jaki rzucał im Pan Bóg.

Tom Dalton starał się być zawsze jak najbliżej przepięknej Deidry Mulvaney, jeśli tylko było to możliwe. Oczywiście, spożywali wspólnie posiłki... razem z jej ojcem. Dokładnie z wybiciem gongu zbierali się w ogromnej jadalni, urządzonej w pompatycznym stylu świadczącym o złym guście właściciela. Na ścianach wisiały obrazy, które Mulvaney nabył na pniu podczas aukcji wraz z domem. Matka Deidry zmarła, kiedy córka miała zaledwie dwa lata. Mulvaney nie doszedł jeszcze do pieniędzy. Dlatego w całym domu nie było ani jednego portretu zmarłej. Tom odkrył, że Deidra lubiła wstawać wcześniej rano i to go zachwycało. Sam uważał, że wczesny poranek to najpiękniejsza pora dnia. Będąc jeszcze małym dzieckiem bardzo lubił wstawać pierwszy, przyglądać się przez okno szaremu niebu i czekać, aż zza linii horyzontu wyjrzy pierwszy promyk słońca. To budzenie się dnia miało dla niego jakieś mistyczne i pełne tajemniczy znaczenie. To, że jego ukochana czuła podobnie, utwierdzało go w przekonaniu, iż są pokrewnymi duszami.

Podczas dnia było niewiele okazji, aby Tom mógł zamienić z Deidrą choć parę słów. Nie chciał spłoszyć dziewczyny, starał się także nie wzbudzać podejrzeń ojca. Dlatego przyglądał się jej tylko, skrupulatnie odnotowując każdy szczegół jej zachowania. Podczas wspólnych obiadów spostrzegł z zachwytem, że jej piękne, złocistobrazowe włosy w łagodnym i kameralnym świetle kandelabrow naberają szlachetnego i pełnego uroku połysku. Jej melodyjny śmiech przypominał szum orzeźwiającego potoku górskiego. Z ogromną troską opiekowała się dziećmi z sąsiedztwa, a one słuchały jej jak dobrej czarodziejki. Tom widział także, że Deidra spędza długie godziny na lekturze w bibliotece ojca. Jej uwagi nie zaprzętały jednak płytkie i głupawe romanse, ale poważni autorzy, których sam bardzo lubił i podziwiał. Kiedy tak siedziała na krześle pochłonięta czytaniem, Tom dyskretnie obserwował ją z ukrycia, podziwiając smukłą i białą szyję, delikatne i miękkie płatki uszu, wiotką talię ciasno opiętą gorsetem i lekko falujące pod materiałem sukni krągłe piersi. Wiedział, że jego dłonie z łatwością mogłyby rozerwać jej suknię na strzępy. Czuł, że Deidra darzy go sympatią. Kiedy mijali się przypadkiem na schodach, zawsze uśmiechała się do niego. Dostrzegł również, że często przyglądała mu się uważnie spod swych długich, czarnych rzęs, gdy sądziła, że jest właśnie czymś zajęty. Kiedy tylko znalazł się w pobliżu, jej ruchy stawały się jakby bardziej kobiece, może nawet trochę uwodzicielskie. Tom zawsze potrafił wyczuć, czy jakaś kobieta pragnęła go, czy też nie. Jednak tym razem odpowiedź na to pytanie miała dla niego tak wielkie znaczenie, iż nie chciał opierać się jedynie na przeczuciach. Musiał mieć pewność.

— Dlaczego jest pan zawsze taki smutny i poważny, panie Dalton? — Deidra Mulvaney zadała to pytanie, kiedy razem spacerowali po ogrodzie.

Był wczesny ranek i na płatkach róż i peonii perliły się kropelki rosy. Dziewczyna już od dawna wiedziała, że Tom lubi przechadzać się wczesnym rankiem po ogrodzie. Często widywała jego wysoką sylwetkę wśród kolorowych kwiatów. Tego ranka jak zwykle wstała wcześniej i postanowiła zaczerpnąć świeżego powietrza. Naprawdę jednak miała nadzieję, że w ten nie rzucający się w oczy sposób, niby przypadkiem będzie mogła spotkać Toma i zamienić z nim kilka słów.

— Nie myślałem, że jest to aż tak widoczne — odparł i uśmiechnął się do niej.

Dziewczyna poczuła, jak nagle jej serce zaczęło bić przyśpieszonym rytmem.

— Już od dawna pragnęłam porozmawiać z panem... — czuła, że zachowuje się nazbyt śmiało, jednak nie była w stanie dłużej powstrzymać swoich uczuć. Tak długo czekała, że zrobi choć najmniejszy krok, by się do niej zbliżyć, on jednak pozostawał wciąż dziwnie niewzruszony i obojętny. — To znaczy, naturalnie, rozmawiamy ze sobą podczas obiadów... Miałam jednak na myśli rozmowę bez udziału ojca — dodała nieśmiało.

Tom spojrzał na nią pytająco.

— Panno Mulvaney, jest tylko jedna przyczyna, dla której mój stosunek do pani był aż tak chłodny. Po prostu nie mam niczego do zaoferowania. Pomyślałem więc, iż wpierw dokonam czegoś wielkiego, by mieć prawo ubiegać się o...

— Panie Dalton, doprawdy nie potrzebuje pan być bogaty, by zostać moim przyjacielem. Będę szczęśliwa, jeśli zechce pan porozmawiać ze mną od czasu do czasu. Widziałam, że chętnie czytuje pan książki. Ja również. Możemy rozmawiać więc o literaturze... ostatecznie.

A więc, pomyślał Tom, nie myliłem się. Ta dziewczyna darzy mnie sympatią.

— Czy jednak pani ojciec nie będzie miał nam za złe tych... kontaktów?

— Jeśli tylko nie będzie pan próbował zakochać się we mnie... to sądzę, że mój ojciec nie będzie miał nic przeciwko naszej przyjaźni.

— Ale ja chcę panią kochać, szaloną, wspaniałą, płomienną miłością! — w ostatniej chwili powstrzymał się, by jej nie objąć.

— Jeśli mam być szczerą... to... nie mam nic przeciwko temu, jednakże sądzę, że na początek powinniśmy ograniczyć się jedynie do przyjaźni.

Tom spojrzał jej głęboko w oczy, a na jego twarzy odmalował się wyraz największego uniesienia i tęsknoty.

— Pragnę być pani największym przyjacielem, panno Mulvaney, pragnę być też kimś więcej. Najpierw jednak muszę osiągnąć coś w życiu, aby mieć prawo ubiegać się o pani rękę.

kę. Na razie możemy rozmawiać o książkach, o życiu, o czym tylko pani zapragnie. Chcę poznać panią, pani myśli i upodobania. Chcę, byśmy stali się sobie bliscy.

Deidra stała wpatrzona w młodzieńca rozpalonego namiętnością do niej. Zapragnęła nagle poczuć bliskość jego ciała. Nigdy dotąd nie odczuwała podobnych pragnień wobec żadnego mężczyzny starającego się o jej względy. Ale kiedy Tom był blisko, ogarniało ją przedziwne uczucie. Pragnęła znaleźć się w jego ramionach i pozostać w nich do końca swego życia.

— Panie Dalton... ja również tego bardzo chcę — wyszeptała.

Kiedy zrozumiała, że właśnie zdradziła się ze swymi najskrytszymi marzeniami, oblała się rumieńcem, odwróciła i czym prędzej pobiegła w kierunku domu. Tom uśmiechnął się. Był teraz pewien jej uczucia. Najwyraźniej dziewczyna odczuwała to samo co on — nieodparte przekonanie, że są sobie przeznaczeni. Jednak Tom będzie musiał zapracować na jej względy, zanim Mul — vaney dowie się o jego zamiarach. Na razie wszystko układało się pomyślnie. Miał talent do prowadzenia biznesu. Nawet Tierney i O'Reilly musieli to przyznać. Już wkrótce dojdzie do czegoś w życiu i będzie w stanie zapewnić jej przyszłość... ich wspólną przyszłość.

Następnego dnia Tom otrzymał polecenie, by niezwłocznie stawić się u Mulvaneya. Sprawa musiała być bardzo pilna. Była niedziela, a kiedy Tom zjawił się w biurze szefa, już tam czekali Tierney i O'Reilly. Twarz starego finansisty była jak zwykle szara i pozbawiona wyrazu. Jim siedział za swoim wspaniałym biurkiem, a Tierney, jak zawsze elegancki i nieskazitelnie ubrany, stał przy kominku. W pokoju panowała atmosfera wyczekiwania i niepewności, jakby zebrani oczekiwali, że za chwilę wydarzy się coś naprawdę niezwykłego. Tom uklonił się i życzył wszystkim dobrego dnia. Rzadko kiedy zdarzało się, by zbierali się wszyscy razem, chyba że miało miejsce coś wyjątkowo ważnego.

— Siadaj, chłopcze — odezwał się Mulvaney. Był w dobrym humorze. — Właśnie nadarza się wspaniała okazja, byś mógł sprawdzić swoje umiejętności w praktyce. Jesteś u mnie od przeszło dwóch lat. Muszę przyznać, że jak do tej pory sprawujesz się bez zarzutu, ale na razie miałeś do czynienia tylko z teorią. Nigdy nie wykorzystywałeś nabytych umiejętności w biznesie na własną rękę i bez pomocy tych dwóch przemiłych dżentelmenów. — Mulvaney wskazał na Tierneya i O'Reilly'ego. — Okazja, o której mówiłem, pozwoli nam wszystkim przekonać się, czy będziesz równie zdolnym przedsiębiorcą co uczniem...

Na jego twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech. Tom postanowił ostrożnie wysondować zamiary szefa.

— Mam nadzieję, że sprostam temu zadaniu i udowodnię, iż wiara, jaką pan we mnie zawsze pokładał, nie była błędem — powiedział, z uwagą przyglądając się trzem mężczyznom.

— W Bostonie znajduje się pewna niewielka firma zajmująca się transportem morskim. Już od dłuższego czasu miałem ją na oku. Jest wprost wymarzona dla przewozu naszych produktów, zwłaszcza gdyby miała wybuchnąć wojna. -Mulvaney zaciągnął się cygarem, po czym mrugnął porozumiewawczo do swoich doradców. — Firma nie jest oczywiście na sprzedaż. Należy do pewnego rodzeństwa, stara dobra rodzina z Nowej Anglii. Ostatnio mieli poważne problemy, by związać koniec z końcem. Gdyby uderzyć w nich właśnie teraz, może nie mieliby innego wyjścia, jak tylko sprzedać firmę. Myślę, że jest to wysoce prawdopodobne, bo pan Tierney zdołał namówić kilku zaprzyjaźnionych z nami bankierów z Bostonu, aby cofnęli firmie kredyt.

Odłożył cygaro i pochylił się do przodu. Zmrużył oczy, jakby chciał wzrokiem przeniknąć kamienną i spokojną twarz Toma.

— Chcę mieć tę firmę, słyszysz? I chcę przekonać się, czy potrafisz to dla mnie załatwić. Jeśli tak, postaram się osłodzić ci wszelkie wyrzuty sumienia czekiem na dużą sumę pieniędzy. Będiesz mógł znacznie powiększyć swoje konto w banku. Wiem, że skrzętnie zbierasz każdy zarobiony u mnie grosz — uśmiechnął się szeroko — oczywiście po odliczeniu sumy, którą regularnie wpłacasz na fundusz związków zawodowych.

Tom zrobił głęboki wdech. A więc o to chodziło. W ramach sprawdzania świeżo nabytych umiejętności miał wyrzucić na bruk parę Bogu ducha winnych ludzi. Spojrzał na O'Reilly'ego, jak zawsze pełnego dystansu graniczącego z niechęcią, a potem na Tierneya, z zainteresowaniem obserwującego swego wychowanka i oczekującego jego reakcji.

— Będę potrzebował wszelkich informacji o tej firmie, zanim podejmę jakiegokolwiek kroki, panie Mulvaney. Spodziewam się, że pan O'Reilly i pan Tierney przygotowali dla mnie wyciąg niezbędnych danych.

Mulvaney kiwnął na swoich doradców. Jak na komendę sięgnęli do swoich teczek.

— Wszystkie potrzebne informacje finansowe są w moim raporcie — odezwał się O'Reilly wysokim, przechodzącym w dyszkant głosem. — Proponuję go bardzo dokładnie przestudiować, panie Dalton. Pozwoli nam to uniknąć zbędnych dyskusji.

Wręczył Tomowi teczkę z aktami w charakterystyczny dla siebie, pełen powagi i namaszczenia sposób. Tierney uniósł wysoko brew, a na jego twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Najwyraźniej oficjalny ton kolegi bawił go.

— Zawilosci prawne odznaczają się jak zwykle większą subtelnością niż sprawy finansowe — odezwał się. — Zebrałem wszelkie informacje na temat właścicieli firmy, jak również o obecnej sytuacji na bostońskim rynku przewozowym. Po przestudiowaniu tych materiałów, jak również po przemyśleniu wszelkich sugestii ze strony pana Mulvaneya proponuję, byśmy w dwójkę zastanowili się nad kilkoma ewentualnymi drogami postępowania w tej sprawie. Powiedzmy, że w przyszłym tygodniu zrezygnujemy z naszych wtorkowych wieczorów szachowych i zagramy na o wiele większej planszy. — Było oczywiste, że Tierney

chce w ten sposób dać Tomowi do zrozumienia, iż chętnie ofiaruje mu swoją pomoc, której odmówił O'Reilly.

Tom trzymał w ręku dokumenty i czuł się jak ptak, który nagle wpadł w zastawione na niego sidła. Pragnął odnosić jak największe sukcesy w biznesie, chciał spłacić dług, jaki zaciągnął wobec swojego protektora. Obiecany czek za dobrze wykonane zlecenie był nęcącą przynętą. Te pieniądze przybliżą go do upragnionego celu, jakim było małżeństwo z piękną Deidrą. Był pełen dobrej woli. Wiedział, że kiedyś będzie musiał wykazać nabyte umiejętności w praktyce, jednak nie spodziewał się, że egzamin przybierze taką właśnie formę. Czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Czy rzeczywiście miał pozbawić jakichś niewinnych ludzi dorobku całego ich życia? Czy jeśli odmówi, będzie mógł liczyć na jakiegokolwiek względy Mulvaneya? Nie był nawet pewny, czy ta szansa sprawdzenia się napawa go wstrętem czy pełną zapałą radością.

— Dam z siebie wszystko, panie Mulvaney — powiedział w końcu.

A więc stało się, pomyślał Tom, kiedy wolnym krokiem schodził ze schodów w głównym hallu biurowego budynku, w którym skupiały się wszystkie nici finansowego imperium Mulvaneya. Tego dnia czekało go jeszcze dużo pracy. Postanowił jednak wyjść na ulicę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Czuł się osaczony przez tych trzech bezdusznych, pragmatycznych ludzi biznesu, Mulvaneya, O'Reilly'ego i Tierneya. Naturalnie, Mulvaney miał prawo oczekiwać, że jego protegowany, w którym pokładał tyle nadziei, odpłaci mu lojalnością i dobrze spełnionym obowiązkiem. Ostatecznie nie każdy człowiek, który pojawił się w Nowym Jorku znikąd, zostawał praktykantem w jednej z największych i najpotężniejszych firm na wschodnim wybrzeżu. Dokumenty, które trzymał w ręku, ciążyły mu jakby kartki papieru zamieniły się nagle w kamienne tablice. W jego rękach spoczywał teraz los trojga ludzi: rodzeństwa, właścicieli firmy transportowej z Bostonu, których nigdy nie widział na oczy, i jego własny. A właściwie cztery osoby były bezpośrednio wplątane w ten dramat. Od jego decyzji zależało, czy zdobędzie dość pieniędzy, by mieć prawo ubiegania się o rękę Deidry i przekonać jej ojca do tego związku. Tak więc ważyły się losy czworga ludzi. Pochłonięty myślami nawet nie zauważył, jak doszedł do nadbrzeża. Potrzebował bezkresnej przestrzeni morza i trochę czasu, aby w spokoju to wszystko przemyśleć.

Tom odłożył ostatni dokument na stertę papierów, które piętrzyły się na jego biurku. Za oknem panowała zupełna ciemność. Czuł nieznośny ból w skroniach i karku, będący wynikiem wielogodzinnego siedzenia przy biurku w jednej pozycji i czytania przy wątłym świetle lampy. Wstał, lekko zataczając się ze zmęczenia i rozprostował plecy.

Propozycje, które w swoich raportach zawarli obaj doradcy Mulvaneya, były niemal wzorcowymi przykładami z podręczników do ekonomii. Właściciele firmy wpędzili się w ślepy zaułek i tylko cud mógł sprawić, by wydostali się z finansowych tarapatów. Gdyby O'Reilly lub Tierney otrzymali to zadanie i mieli doprowadzić firmę do pełnego bankructwa, którego i tak nie można było uniknąć, nie zajęłoby im to więcej niż kilka dni. Sprawa była przesądzona. Tom doskonale wiedział, dlaczego Mulvaney właśnie jemu zlecił to zada-

nie. Nie chodziło mu wcale o to, by sprawdzić umiejętności swego protegowanego. Chciał wiedzieć, jak Tom zachowa się, jeśli będzie musiał wykonać wyjątkowo brudną robotę.

Henry i Abigal Marshall odziedziczyli niewielką firmę transportową po swoim ojcu marynarzu. Jak większość ludzi w tym zawodzie John Marshall po raz pierwszy wszedł na pokład statku, gdy był jeszcze małym chłopcem. I zapewne j ego życie niczym nie różniłoby się od losów pozostałych marynarzy, gdyby nie łut szczęścia. Kiedy miał już około trzydziestki, w jakiejś knajpie w Macao wygrał w pokera znaczną sumę pieniędzy. Dzięki temu mógł rozpocząć dość intratny handel, wożąc towary wzdłuż wybrzeża Dalekiego Wschodu. W ten sposób przez lata pomnażał swój majątek, aż w końcu atak dezyn — terii zwałił go z nóg i zmusił do powrotu do Nowej Anglii. Tam szybko doszedł do zdrowia, troskliwie pielęgnowany przez żonę, która przez wszystkie te lata cierpliwie czekała na męża. Wprawdzie w czasie swych wieloletnich wojaży na Dalekim Wschodzie odwiedził ją tylko dwa razy, to jednak obie wizyty okazały się nadzwyczaj owocne. Najpierw urodził się syn, Henry. Był to trochę marzycielski chłopiec, pochłonięty czytaniem książek i tak kompletnie niepodobny do swojego nieokrzesanego ojca, że gdyby pani Marshall nie była znana w całej okolicy ze swojej pobożności i oddania, można by mieć poważne wątpliwości czyim naprawdę był synem. Podczas drugich odwiedzin John Marshall spłodził córkę, Abigal, bardzo inteligentną i reżolutną dziewczynę o ciętym języku i bystrych oczach, przedsiębiorczą i odważną kobietę. Pomimo że była młodsza od swego brata o kilka lat, zawsze wyprzedzała go zarówno w nauce, jak i w życiu. Kiedy John Marshall postanowił zainwestować swój kapitał i założył niewielkie przedsiębiorstwo transportowe, starał się tak wychować dzieci, by stały się pomocne w prowadzeniu interesów firmy. Choroba poczyniła spustoszenie w jego zdrowiu, ale nie zmieniła jego pogodnego usposobienia. Żył więc szczęśliwie i dostatnio. Wprawdzie niezbyt znał się na sprawach biznesu, jednak braki w wykształceniu nadrabiał wrodzonym talentem nawiązywania kontaktów z ludźmi. Potrafił zauroczyć każdego swymi barwnymi opowieściami o podróżach morskich i cudach Dalekiego Wschodu. W ten sposób udało mu się zdobyć niejednen kontrakt czy uzyskać koncesję. Nigdy też nie czuł potrzeby uzupełnienia wiedzy i doskonalenia się w sprawach biznesu. Założył przedsiębiorstwo tylko dlatego, że prowadzenie go pozwalało mu mimo choroby mieć stały kontakt z morzem.

Jego syn, Henry, był wyjątkowo miłym, dobrze wychowanym młodym człowiekiem o łagodnym usposobieniu. Nie miał własnych ambicji czy pragnień. Wszystko, co robił, było jedynie posłusznym wykonywaniem poleceń otrzymywanych od matki, ojca i siostry. Zwłaszcza siostrę darzył szczególnym przywiązaniem, podziwiając jej pomysłowość i zaradność. John traktował swą córkę z powagą, jaką na ogół ojcowie rezerwują dla synów, natomiast wobec Henry'ego był łagodny i pobłażliwy. Kiedy umarł, zapisał firmę w równej części Henry'emu i Abigal. Matka zmarła wcześniej. Od tej pory rodzeństwo miało wspólnie zajmować się sprawami przedsiębiorstwa, przy czym to Abby miała podejmować decyzje, a brat pomagać jej w miarę swoich skromnych możliwości. System ten dość dobrze się sprawdzał i firma rozwijała się pomyślnie. Na nieszczęście — zwrócił na nią uwagę Jim Diamond Mulvaney. Uznał, że przedsiębiorstwo Marshallów jest wystarczająco małe, by mógł z ła-

twością je wchłonać, a z drugiej strony wystarczająco dobrze prosperujące, by w krótkim czasie przekształcić je w doskonały biznes, który pozwoliłby mu pojawić się na rynku Nowej Anglii.

Kiedy Tom zbierał z biurka porzucane dokumenty i układał je w teczce, uświadomił sobie, że jego podróż do Bostonu pozwoli mu — być może — przy okazji doprowadzić do zakończenia jeszcze innej sprawy, która tak mocno zaważyła na jego losach. Szybkim, zdecydowanym ruchem wyciągnął z szuflady kartkę czystego papieru, zamoczył pióro w kałamarzu i zaczął pisać:

Droga Matko...

Mary Dalton Martin siedziała przy małym sekretarzyku, trzymając w ręku rozpieczętowany list od syna. Nie mogła wprost uwierzyć własnym oczom. To był prawdziwy szok. Ten list był przerażającym dowodem nieuchronności losu. Od kiedy poślubiła Thadeusa, wiedziała, że ta chwila pewnego dnia nadejdzie. Miecz Damoklesa, od tak wielu lat wiszący nad nią, musiał w końcu przeciąć zasłonę kłamstw i wykrętów. Słodki Jezu, jak to się stało, że przez tyle lat nie potrafiła rozwiązać tego problemu! Dlaczego nie powiedziała Thedowi o istnieniu Toma? Dlaczego czekała tak długo, aż jej życie ustabilizowało się, stało się bezpieczne, wręcz doskonałe? Dlaczego musiało stać się właśnie teraz, kiedy Thed zamierzał otworzyć nowoczesny i wspaniały magazyn handlowy, na który czekał cały Boston? Akurat teraz, kiedy doszli do zamożności i luksusu, o którym tak marzyli; kiedy ich pozycja społeczna zaczęła przynosić korzyści, a w rodzinie wszystko układało się jak najlepiej; dzieci uczęszczały do najlepszych szkół, a w jej życiu pojawił się Sean, którego tak bardzo kochała...

Najlepiej będzie, jeśli napisze do niego, i to zaraz. Musi mu wyjaśnić... przekonać, aby nie przyjeżdżał... Ale jeśli była to ostatnia szansa, by zobaczyć swojego pierworodnego? Jak mogłaby odmówić? Mój Boże, jak bardzo pragnęła go zobaczyć! Gdyby nie było Theda, Anny, Roberta, Adrewa, Theda i Seana... gdyby nie miała za sobą tylu lat kłamstw i wielokroć powtarzanej wymyślonej historii swego życia, wtedy wszystko wyglądałoby być może inaczej. Tak bardzo pragnęła choć raz jeszcze ujrzeć Toma! Nie mogła jednak zniszczyć tego wszystkiego, co przez lata z takim mozołem budowała. Mary ukryła twarz w dłoniach. Czowała, jak straszliwa tęsknota rozdziera jej serce. Już od wielu lat nie była w tak wielkiej rozterce. W końcu uniosła zapłakaną twarz i otarła z policzków łzy. Musiała postąpić tak, jak nakazywało jej sumienie.

Kiedy Tom wysiadł z zapchanego bostońskiego tramwaju, jego duszą targały sprzeczne uczucia. Przez całe życie próbował wyobrazić sobie ten moment, gdy znowu odnajdzie matkę. Był pewien, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Ta nadzieja pojawiła się już na samym początku, jak mały Tom machał ręką na pożegnanie matce, odjeżdżającej bryczką do Dublina, skąd miała popłynąć do Ameryki. Było to tak dawno, iż wspomnieniom nie towarzyszył już ból ani cierpienie. A jednak teraz, kiedy miały spełnić się wieloletnie marzenia, dawna tęsknota ponownie zagościła w jego sercu. Swego czasu zdobył adres matki od ojca Grogana. Jednak — zgodnie z radą ciotki Elly — Tom nigdy nie wykorzystał tego i nie odwiedził Mary czekając, aż ona sama zaproponuje mu spotkanie. Czekał jednak na próżno. Teraz, gdy miał w Bostonie sprawy do załatwienia, nadarzała się być może jedyna okazja, by ją zobaczyć. Postanowił złamać przyrzeczenie, które dał ciotce. Dzięki temu może stanie się całkiem innym człowiekiem. Już dawno przestał odczuwać żal i tęsknotę z powodu rozstania z matką. Minęły bezpowrotnie pełne cierpienia i rozterek dni w klasztorze Św. Ignacego, kiedy rozpamiętywał okrutną przeszłość. Wtedy czuł jeszcze ból i pełną udręki bezsilność wobec wyroków bezwzględnego losu, także gniew. Idąc ulicą pośród tłumu przechodniów, odtwarzał w pamięci swą przeszłość, całą drogę, którą z tak wielkim trudem, ale i nadzieją przeszedł do tej pory. Uświadomił sobie, że teraz czeka go najtrudniejsze być może zadanie w życiu. Wprawdzie w ostatniej chwili wysłał list do matki, w którym zapowiedział swoją wizytę, ale też nie pozostawił jej czasu na odpowiedź. Ścisnął w dłoni kartkę z adresem matki. Był elegancko ubrany. Miał na sobie nowy szary garnitur z dobrego materiału. Kupił go specjalnie na tę okazję. Jednak z każdym krokiem, który przybliżał go do upragnionego celu, coraz bardziej się wahał, czy słusznie postępuje. Boston był pełen życia, bardziej hałaśliwy i zamożny niż Nowy Jork. Stanowił centrum najbogatszej części wschodniego wybrzeża. To właśnie tu generacje pracowitych i sumiennych mieszkańców Nowej Anglii z protestancką pokorą i dokładnością, cegielka do cegielce, budowały ogólny dobrobyt wszystkich obywateli.

Tom zastanawiał się, jak Mary może teraz wyglądać. Czy i dla niej czas okazał się nielitościwy? Jak przez mgłę pamiętał jej twarz z dzieciństwa. Z największym wysiłkiem panował nad emocjami. Był jednak zdecydowany wypełnić misję do końca.

Dom na Beacon Hill wyglądał okazale i wyróżniał się spośród wszystkich innych na tej ulicy. Kamienna fasada sprawiała niezmiernie solidne wrażenie. Ściany pomiędzy oknami wyłożone były błyszczącą klinkierową cegłą, co przez kontrast do czarnych, ozdobnych okiennic nadawało budowli swoisty styl. Przy drzwiach wejściowych znajdowała się miedziana tablica, która informowała każdego, iż oto znalazł się na progu rezydencji państwa Martin. Tom zastukał energicznie do drzwi. Jego serce biło jak oszalałe. Wydawało mu się,

że znowu, tak jak kiedyś w Drumgillan, gdy postanowił odwiedzić wuja Randolfa, wyszedł na spotkanie przeszłości. Wątpił, czy i tym razem szczęście będzie mu sprzyjać.

Drzwi otworzyła pokojówka w schludnym białym fartuszk. Najwyraźniej interesy pana Martina kwitły. Wystrój domu jak najbardziej potwierdzał to wrażenie. Panowała tu atmosfera bezpieczeństwa i luksusu. Na widok tej zamożności Tom poczuł dziwną mieszaninę uczuć. Nie był pewien, co bardziej odczuwał, ulgę czy gniew.

— Tomas Dalton do pani Martin — odezwał się do pokojówki.

Patrzyła na nieznanego młodego mężczyznę z uwagą i oczekiwaniem.

— Czy pani oczekuje pana?

— Obawiam się, że nie — uśmiechnął się, rozbawiony dwuznacznością tej odpowiedzi. — Wprawdzie zapowiedziałem pisemnie swój przyjazd, ale obawiam się, że pani Martin miała zbyt mało czasu, by przesłać mi zaproszenie.

Wręczył pokojówce bilet wizytowy. Dziewczyna zniknęła za drzwiami, pozostawiając Toma w niewielkim przedsionku, prowadzącym do głównego hallu. Odwrócił się i spojrzał na swoje odbicie w wielkim kryształowym lustrze, wiszącym przy ozdobnym wieszaku na ubrania. Wpatrywał się w swoją twarz, próbując dostrzec w niej choć jeden niewinny rys dziecka, który Mary mogłaby rozpoznać. Wydawało mu się to jednak niemożliwe. Był dorosłym mężczyzną, silnym i odważnym, zdecydowanym piąć się w górę aż do całkowitego sukcesu. Jego twarz nie zachowała nic, co mogłoby przypominać marzycielskie, trochę romantyczne usposobienie dziecka.

Nagle jakiś męski, trochę szorstki głos wyrwał go z zamyślenia.

— Panie Dalton. Jestem Thadeus Martin. Mąż pana ciotki. Jestem szczęśliwy, że mogę wreszcie poznać syna ukochanego brata mojej żony.

Wyciągnął dłoń w stronę osłupiałego mężczyzny i energicznym, pełnym entuzjazmu ruchem zaczął potrząsać jego rękę.

— Jest mi niezmiernie przykro, że nie będę mógł panu towarzyszyć — dodał. — Właśnie wychodzę do biura. Pan rozumie, interesy... ciągle interesy! Sądzę, że macie sobie z Mary bardzo wiele do opowiedzenia. Właściwie, jak długo się nie widzieliście?

Tom z trudem ukrywał zmieszanie. Fakt, iż nagle został bratankiem własnej matki, całkiem zbił go z tropu. Postanowił jednak przyjąć zasady tej gry i odpowiedział najbardziej spokojnym tonem, na jaki było go stać.

— Prawie dwadzieścia lat, panie Martin. Kiedy ostatni raz widzieliśmy się, byłem małym chłopcem.

— Ach tak — wysoki, chudy jak tyczka męczyzna przyglądał się młodzieńcowi uważnie, mierząc go od stóp do głowy.

— A więc, jak mówiłem, macie sobie na pewno mnóstwo do opowiedzenia. Mój Boże, teraz dopiero uświadomiłem sobie, jak wiele lat upłynęło od mojego ślubu z Mary. To kawał czasu.

— Z pewnością, panie Martin — odparł Tom czując, że ta rozmowa coraz bardziej go krępuje.

— No tak... Niestety, muszę już iść... obowiązki wzywają. Mam nadzieję, że zechce pan zjeść z nami obiad. Mielibyśmy wtedy więcej czasu, by się bliżej poznać — zaproponował Thadeus, po czym nie czekając na odpowiedź dodał: — Niech się pan rozgości w salonie. Żona właśnie się ubiera. To trochę potrwa. Czy wie pan, że jest pan bardzo do niej podobny, panie Dalton?

— Raczej do ojca, panie Martin — odparł oschle Tom.

— Tak, tak. Naturalnie — Thadeus był wyraźnie rozkojarzony. Jego umysł zaprzątnięty był już czym innym. Pochłaniały go całkowicie sprawy finansowe.

— Miłego dnia, panie Dalton — powiedział na pożeganie, wkładając kapelusz i drogi, elegancki płaszcz z futrzanym kołnierzem. — Być może, spotkamy się jeszcze.

— Czy bardzo mnie nienawidzisz, synu? — dźwięczny i spokojny kobiecy głos prze-rwał ciszę panującą w salonie.

Tom stał właśnie przy oknie i wpatrywał się w przestrzeń. Brwi miał zmarszczone, a jego twarz wyrażała stan najwyższego napięcia. Czuł, jak ogarnia go złość i zwątpienie. Kobieta, która weszła do salonu i zamknęła za sobą cicho drzwi, była około czterdziestki. Jej włosy, niegdyś tak złociste i pełne koloru, teraz jakby wyblakły i pokryły się pasmami siwizny. Ciało, kiedyś szczupłe i kruche, z wiekiem nabrało kształtów, chociaż nie straciło nic ze swej harmonijnej i doskonałej w proporcjach budowy. Piersi pozostały tak samo kształtne i krągłe, jak Tom zapamiętał je z dzieciństwa. Spięte w górę włosy tworzyły elegancką fryzurę. Jej strój był drogi, ale w dobrym guście i doskonale na niej leżał.

— W moim sercu przetrwało wiele uczuć i pragnień wiążących się z twoją osobą, matko, ale żadne z nich nie da się określić jako nienawiść — powiedział Tom spokojnym głosem, w którym jednak pobrzmiwały doznania, które, jak sądził, od dawna nie miały dostępu do jego duszy. Spostrzegł, że jej policzki były wilgotne, a oczy trochę zaczerwienione, jakby przed chwilą płakała.

— Mój mały Tomie, mój kochany Tomie, jak Bóg mógł tak długo patrzeć na nasze nieszczęście?! — w tym jednym pytaniu kryła się cała tragedia, całe nieszczęście, którego brzemię Mary musiała dźwigać przez wiele lat. Wyciągnęła w jego stronę dłonie, podeszła

szybkim krokiem i znalazła się w jego ramionach. Trzymała go mocno, jakby obawiała się, że w każdej chwili może zniknąć jak sen.

— Matko, co się stało? — w jego głosie pobrzmiwał gniew i zniecierpliwienie. — Dlaczego twój mąż nie wie, kim jestem? Czy przez te wszystkie lata rozłąki twoje matczyne uczucia całkiem znikły? Jak mogłaś tak bardzo zawieść moje zaufanie, moją miłość...?

Cofnęła się gwałtownie, jakby odepchnięta siłą jego słów. Stała przez chwilę, patrząc mu prosto w oczy, z uniesioną wysoko głową. Wyglądała dostojnie i tragicznie zarazem.

— Przez całe lata tysiące razy wyobrażałam sobie tę chwilę, synu — w jej głosie była jakaś siła i odwaga, która wydała się Tomowi dziwnie znajoma. — I zawsze zadawałam sobie te same pytania. Co ci wówczas powiem? Jak wyjaśnię ci przyczyny mojego postępowania? Teraz stoisz przede mną i chcesz mnie osądzać. Zanim jednak to zrobisz, chcę, byś mnie wysłuchał.

Oczy Mary były zimne i pełne spokoju, który znacznie ostudził emocje młodego człowieka. Kiwnął głową, po czym zmieszany dodał:

— Dobrze, matko, ale nie tutaj, nie w domu tego człowieka!

— To jest także mój dom i dom moich dzieci.

— Masz rację, i to jest właśnie powód, dla którego nie chcę zostać tu ani minuty dłużej.

Mary nerwowym ruchem ręki poprawiła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło. Potem spuściła wzrok i przez chwilę stała w milczeniu, mnąc w palcach fałdy swej eleganckiej sukni. W końcu spojrzała prosto w twarz zdesperowanego mężczyzny, który był jej synem.

— Jesteś bardzo podobny do Michela, Tom. To tak, jakby on żył nadal w tobie — odwróciła głowę, jak gdyby widok syna sprawiał jej fizyczny ból, którego nie mogła dłużej znieść. Mówiła dalej, lecz jej głos zniżył się niemal do szeptu. — Nawet nie wiesz, ile bolesnych wspomnień wywołuje we mnie twój widok. Były chwile, gdy najmniejsza myśl o tobie mogła przywieść mnie do śmierci...

— Jak widzę, cieszysz się całkiem dobrym zdrowiem... matko — to ostatnie słowo wypowiedział z nie tajoną ironią.

Mary uniosła wysoko czoło, ten gest Tom dobrze pamiętał z dzieciństwa. Był on jedyną bronią sponiewieraną przez los kobiety, którą mogła przeciwstawić ludzkiej nienawiści i okrucieństwu. Patrzyła teraz na niego bez najmniejszego strachu czy obawy. W końcu odezwała się spokojnym, ale i stanowczym zarazem głosem:

— Spłaciłam swój dług względem losu, Tom. Spłaciłam go własną krwią, potem i łzami. Urodziłam się wśród biedaków, przez lata żywiłam się odpadkami, musiałam znosić poniżenia i upadki. Teraz dzięki boskiemu miłosierdziu los uśmiechnął się do mnie, pozwolił mi i moim dzieciom cieszyć się dostatnim i bezpiecznym życiem. Jeśli uważasz, że popeł-

niłam grzech, gdyż zdradziłam Michela i ciebie, to bardzo się mylisz. Nigdy nie zapomnę koszmaru tej nocy, kiedy Thadeus po raz pierwszy wziął mnie do łóżka. Nigdy nie zapomnę wyrzutów sumienia, które zadreślały mnie do tego stopnia, iż gotowa byłam odebrać sobie życie. Tak, mogłam wybrać inną drogę, mogłam zabrać cię ze sobą do Ameryki, i na Boga zrobiłabym tak, gdyby nie świadomość tego, że nie mielibyśmy wówczas najmniejszych szans przeżycia. Gdyby nie to, bądź pewny, że sprzeciwiłabym się ostatniej woli Michela i nigdy nie rozstałabym się z tobą.

Tom stał jak skamieniały. Nie odezwał się ani słowem.

— Czy wiesz, Tom, co to znaczy pracować jako służąca? — Zapytała z goryczą. — Musisz pracować dniem i nocą, choćbyś nie miał już sił. I cały czas musisz wyrażać swoją wdzięczność wobec chlebodawców za to, że dali ci szansę, byś nie zdechł z głodu na ulicy. Cały czas pamiętasz o miejscu, które wyznaczył ci Stwórca, i możesz tylko marzyć, że pewnego dnia i ty staniesz się panem. A więc uczysz się, oszczędzasz każdy grosz, walczysz z poczuciem wstydu i niższości i masz nadzieję, że jakoś poradzisz sobie w tym nowym obcym kraju. Czujesz się zupełnie samotny, bo nie ma nikogo z twoich bliskich, którzy mogliby ci pomóc. Możesz liczyć tylko na siebie. Czy ty wiesz, co ludzie sądzą o samotnych kobietach z dzieckiem? Czy wiesz, jak je traktują? Na pewno znasz to słowo, którym określa się właśnie takie kobiety jak ja. — Jej głos był pełen napięcia i emocji. — Byłam służącą w Irlandii i byłam służącą w Ameryce. Jeśli uważasz, że powinnam była wyrzec się tej jedynej szansy danej od Boga, by zacząć wreszcie żyć po ludzku i bez strachu o przyszłość, to jesteś tak samo bez serca i okrutny jak cała reszta tych fałszywych, zadufanych w sobie facetów!

Tom chciał coś powiedzieć, ale Mary dała mu znak, by milczał.

— Czy myślisz, że gdyby Thadeus wiedział, że nie jestem dziewicą, że mam dziecko z nieślubnego związku, czy sądzisz, że zechciałby się ze mną ożenić? Z pewnością nie. Dlatego nie mając nadziei, że kiedykolwiek jeszcze ciebie zobaczę, zdecydowałam się opuścić ciebie. Była to cena, jaką zdecydowałam się zapłacić, by móc normalnie żyć. Jeśli chcesz teraz mnie za to potępiać, to wiedz, że nie masz do tego najmniejszego prawa. Taką wówczas podjęłam decyzję, Tom, i nie wstydzę się jej. Wręcz przeciwnie, jestem dumna z tego, że potrafiłam sama przetrwać ten cały koszmar.

Tom stał z zaciśniętymi pięściami. Łzy napływały mu do oczu ze wzruszenia i gniewu. Był wściekły na los, który tak okrutnie igrał ich życiem. Czy byli jedynie nic nie znaczącymi pionkami w jego grze? Czy ich pragnienia i uczucia nie liczyły się wcale? Podniósł zaciśniętą dłoń do ust i wbił w nią zęby, by nie wykrzyknąć z bólu, który rozdzierał jego serce. Potem odwrócił się od matki. Rozumiał jej cierpienie, ale ta świadomość w niczym nie goiła jego własnych ran.

— Czekałem na ciebie, matko, czekałem tak wiele lat. Myślałem tylko o tobie i tak bardzo ciebie potrzebowałem. Kochałem cię i... nienawidziłem, ale nigdy, nigdy nie wyrzuciłem cię ze swego serca. — Przerwał na chwilę, jakby zbierał siły. — Muszę przyznać, że to

tej pory myślałem o sobie jak dziecko, które tęskni za utraconą matką, nie zaś jak dorosły mężczyzna, który stara się zrozumieć. To nieprawda, że cię nienawidzę. Po prostu nie jesteś tą matką, którą pamiętam ze swego dzieciństwa. To nie jest twoja wina. To wina mojej pamięci i okrutnego losu.

Stali patrząc sobie głęboko w oczy i oboje pragnęli, by prócz słów również uczucia stworzyły pomost, który znów ich połączy. Jak jednak ten młody człowiek może zrozumieć jej cierpienia, pomyślała Mary z goryczą, jak może zrozumieć, ile trudu i wyrzeczeń kosztowało ją budowanie nowego życia.

— Mogę opowiedzieć ci historię mojego życia, Tom — Mary pierwsza przerwała kłopotliwą ciszę. Mówiła głosem drżącym i pełnym bólu. — Chętnie też dowiem się, jakie były koleje twojego losu, gdy nasze drogi się rozeszły.

Jakaś błagalna nuta, kryjąca się w tych prostych słowach, poruszyła Toma. Dosłyszał w nich tęsknotę i bezgraniczną samotność; uczucia, których sam tak często doświadczał. Mary spostrzegła, że w duszy syna zmagają się dwa sprzeczne uczucia, smutek i złość. W końcu to drugie powoli zaczęło ustępować. Wiedziała, ile wysiłku i dobrej woli kosztowała go ta przemiana.

— Tak wiele lat, tak wiele cierpień... Jak teraz możemy na powrót rozpocząć wspólne życie? — mówił z goryczą, ale już nie tak ostro i ironicznie jak na początku. Mary poczuła, jak straszliwy ciężar, który nosiła przez lata, spada jej z serca.

— Pozwól namówić się na przejażdżkę. Pokażę ci Boston. Być może w ten sposób uda nam się ponownie zbliżyć do siebie. Chodźmy z tego domu, który wywołuje w tobie tyle niechęci. Będziemy mogli rozmawiać o ojcu, o naszej przeszłości i przyszłości. — Mary podeszła do stolika koło drzwi, wzięła jedwabny szal przetykany delikatną złotą nitką i z gracją zarzuciła go na plecy. Tom patrzył na nią oczarowany. Wciąż nie mógł uwierzyć, że jego biedna matka, córka irlandzkiego farmera, stała się prawdziwą damą.

Ubrany w liberię służący podjechał pod drzwi rezydencji krytym, wygodnym powozem, na bocznych drzwiczkach widniały stylizowane inicjały właściciela, T.M. Powóz zaprzęzony był w dwójkę koni szlachetnej krwi. Stały, niespokojnie przebierając kopytami.

Tom podszedł do nich i poklepał po bokach. Parsknęły zadowolone, potrząsając łbami. Dostrzegł, że matka przygląda mu się z uwagą. Jednak jej spojrzenie było nieobecne. Wtedy uświadomił sobie, że wcale nie patrzy na niego, lecz z przeszłości przywołuje obraz swego ukochanego Michela. Jeśli istotnie był tak bardzo podobny do ojca, to ten dzień musiał być dla niej podwójnie trudny, pomyślał, podając matce rękę, kiedy wsiadała do powozu. Wydawała się tak delikatna i drobna. Jak to możliwe, że znalazła w sobie tyle siły i odwagi?

Jechali szerokimi ulicami Bostonu. Mary chciała pokazać synowi najnowszy sklep męża. Jak powiedziała z dumą, było to jego największe przedsięwzięcie. Żadna firma handlowa nie rozwijała się tak szybko i z takim powodzeniem jak przedsiębiorstwo Thadeusa Martina.

Mijali slumsy emigrantów, eleganckie posiadłości bogatych arystokratów, pełną zgiełku dzielnicę portową i wytworne aleje z restauracjami i luksusowymi sklepami. Tom zauważył, że Mary doskonale czuje się w tym mieście, że jest jego częścią... lepszą częścią. Nie była już biedną wieśniaczką, marzącą o tym, by zostać wielką panią. Ona nią była. Z ożywieniem opowiadała o politycznym i towarzyskim życiu Bostonu, o wpływowych maklerach, których Martinowie gościli u siebie w domu, o wpływach kościoła katolickiego i kleru. Przede wszystkim jednak oboje spragnieni byli wiadomości o swoim życiu, o kłopotach i trudach, które piętrzyły się na ich drodze, kiedy znaleźli się w nowym świecie, Ameryce. Tom z rosnącym podziwem słuchał swojej matki. Jej pewność siebie, beztroski śmiech, poczucie zadowolenia i umiejętność zdroworozsądkowego myślenia, to wszystko bardzo mu się podobało. Czuł, że Mary jest szczęśliwa. Po pewnym czasie już bez najmniejszej urazy czy niechęci słuchał jej nie kończących się tyrad na cześć dzieci i męża. Przyjechał do Bostonu, chcąc odnaleźć matkę z dzieciństwa. Ale teraz było dla niego jasne, że kobieta, która siedziała obok niego, już dawno przestała nią być.

— Mam dla ciebie mały prezent, Tom — powiedziała Mary trochę podniosłym i wzruszonym głosem, kiedy późnym popołudniem wrócili do jej domu na Beacon Hill. Oboje wiedzieli, że czas ich spotkania dobiega końca. Mary sięgnęła do kieszeni swojej spódnicy i wyjęła złoty łańcuszek, na końcu którego znajdował się mały medalion. Kiedy przycisnęła palcem wieczko, otworzyło się, ukazując miniaturowy portret. Ujęła dłoń syna i włożyła w nią drogocenną pamiątkę.

— To medalion z wizerunkiem twego ojca. Powinien należeć do ciebie.

— Powiedziałaś kiedyś, że nigdy się z nim nie rozstaniesz...

— Istotnie, tak powiedziałam. Kiedy byliśmy wszyscy troje, razem, mówiliśmy wiele pięknych rzeczy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co szykuje nam los. Ten miniaturowy portret przedstawia także i twoją twarz. Przez lata ukrywałam medalion w szufladzie. Chciałam w ten sposób zachować w pamięci obraz Michela. Teraz, gdy znów cię ujrzałam, synu, wiem, że on żyje nadal w tobie. Dlatego przekazuję ci medalion na własność. Pewnego dnia w twoim życiu pojawi się kobieta, która będzie godna nosić go na swej szyi.

— Czy jesteś szczęśliwa mamo? — Tom zadał to pytanie poważnym tonem.

Mary uniosła dłoń, by zgarnąć z czoła włosy, po czym z namysłem odpowiedziała:

— Jedyne szczęście, jakiego zaznałam w życiu, odeszło w przeszłość na zawsze wraz z Michele, małym Tomem i wspólną chatką w Drumgillan. Czasami wydaje mi się, że to był tylko piękny sen. — Przerwała na moment, po czym dodała: — Jestem zadowolona z mojego małżeństwa z Thadeusem, z dzieci, z pięknego domu. Nie powinieneś martwić się o mnie. Najmłodsze z moich dzieci dało mi szczególnie wiele szczęścia i radości. Ma na imię John, chociaż ja nazywam go Sean. Tak bardzo przypomina mi ciebie, kiedy byłeś małym chłopcem. To tak, jakbym znowu była razem z tobą. — Kiedy to mówiła, jej oczy pełne były

smutku. Delikatnie gładziła dłoń swego syna. Potem nagle wyrwała się z głębokiej zadumy i spytała ożywionym głosem. — A co u ciebie, Tom? Czy jesteś szczęśliwy?

— Jest pewna dziewczyna, którą kocham. Nie mam jednak pieniędzy, aby móc ubiegać się o jej rękę. Sądzę jednak, że moje nadzieje na małżeństwo nie są całkiem bez podstaw. Ona uczyni moje życie szczęśliwym. Czuję to.

— Musisz się nią dobrze opiekować, Tom. I nigdy nie możesz dopuścić, by ktoś lub coś was rozdzieliło. Bóg byłby zbyt okrutny, gdybyś musiał przeżyć jeszcze jedną tragedię w życiu.

— Kocham cię, mamo — te słowa Tom wypowiedział w tak naturalny i szczerzy sposób, iż sam zdziwił się, że po tylu latach rozłąki mógł znaleźć w swym sercu tak gorące uczucie dla matki.

— Ja kocham ciebie również, synu.

Długo trzymali się w objęciach. A kiedy Tom opuszczał posiadłość przy Beacon Hill, zrozumiał, że właśnie zakończył się pewien rozdział w jego życiu, pełen cierpień, samotności i żalu. Nie wiedział, czy spotkają się jeszcze kiedykolwiek. Żadne z nich nie wspomniało ani słowem o powtórny spotkaniu. Szedł zamyślony ulicą, trzymając ręce w kieszeniach. Uśmiechnął się smutno na myśl o matce. Ta kobieta w średnim wieku ubrana w eleganckie stroje i pachnąca drogimi perfumami w niczym nie przypominała Mary Dalton z Drumgillan. Już bardziej kojarzyła mu się ze smutnymi mężatkami, które poznał podczas pobytu w Dublinie. Ta arystokratyczna wyniosłość i siła nijak miała się do prostoty i naiwności wiejskiej dziewczyny. Próbował jej współczuć. Wiedział, że ta przemiana musiała ją drogo kosztować. A jednak bardziej było mu żal siebie samego. Okazało się, że przyczyną, dla której Mary nigdy nie poprosiła go, by przyjechał do niej do Bostonu, była obawa przed ujawnieniem własnego życia. Mądra ciocia Elly zrozumiała to już na samym początku, niemal instynktownie. „To ty jesteś motorem swoich działań, nie ona. To twoje życie i musisz odnaleźć w nim swą własną drogę, tak jak ona znalazła swoją”. I rzeczywiście, Mary odnalazła swą własną drogę w życiu. Nie była taka, jaką ją sobie wyobrażał, ale przecież nie mógł oczekiwać niczego innego. Gdyby pozostała wciąż tą samą, naiwną i marzycielską dziewczyną, jak za młodu, zapewne już dawno by nie żyła.

Mary stała długą chwilę przy oknie, patrząc na odchodzącego syna. Wydał się jej wspaniałym, młodym człowiekiem! Był silny, a jednocześnie delikatny, całkiem jak jego ojciec. Nagle w jej sercu obudziło się silne niezrozumiałe pragnienie, by pójść do kościoła, klęknąć przed ołtarzem i z pokorą wypowiedzieć słowa podziękowań. Nie była jednak pewna, za co chciała dziękować Bogu. Czy za to, że miała tak wspaniałego syna, który odziedziczył po Michełku wszystkie jego najlepsze cechy? Czy za świadomość, że potrafił bez jej pomocy wyrosnąć na porządnego człowieka? A może chciała podziękować za to, że jej tajemnica nadal pozostawała nie odkryta? A może w końcu za rozbudzone uczucia matki, która nigdy później nie czuła tak wielkiego przywiązania do swych pozostałych dzieci, z wyjątkiem

oczywiście Seana? Bowiem Tom był dokładnie taki, jakim zawsze pragnęła go widzieć... doskonały syn doskonałego ojca. Ich podobieństwo było najdziwniejszym i zarazem najwspanialszym darem od Boga.

Seana

Abigail Marshall była starą panną i Tom miał pewność, że pozostanie nią już do końca życia. Przypominała ojca. Była wysoka i grubokoścista. Jednak dla wszystkich ewentualnych konkurentów najbardziej odstraszący musiał być jej niewyparzony język. Przywitała Toma serdecznie, choć z pewną rezerwą, po czym przedstawiła go swemu starszemu bratu. Henry Marshall był najspokojniejszym i najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem. Nosił grube, cylindryczne szkła w rogowej oprawce i sprawiał wrażenie człowieka, który całe życie spędził na czytaniu książek. Traktował swą siostrę z zabawną atencją, graniczącą z uwielbieniem, jakim stare babcie darzą święte obrazki w kościele.

— Ma pan zamiar kupić naszą firmę — Abigail nie tracąc czasu od razu przeszła do rzeczy. — Nie mamy zamiaru sprzedawać firmy, panie Dalton. Jest ona naszym dziedzictwem i jedynym źródłem utrzymania.

Tom był zaskoczony. Nie spodziewał się, że już na samym wstępie rozmowy wszystkie karty zostaną odkryte.

— Znajdują się państwo w dość skomplikowanej sytuacji finansowej, o ile mi wiadomo. Czy nie byłoby rozsądniej sprzedać firmę i kapitał zainwestować w inne bardziej dochodowe przedsięwzięcie? Muszę panią uprzedzić, że mój pracodawca nigdy nie zmienia zdania i zawsze zdobywa to, na czym mu bardzo zależy.

— Być może, iż nowa inwestycja byłaby bardziej sensowna, panie Dalton. Zapomina pan jednak o pewnym szczególe, że mój ojciec wypruwał sobie żyły, by stworzyć to przedsiębiorstwo. My również nie mieliśmy łatwego życia. Ta firma jest dla nas czymś więcej niż tylko maszynką do robienia pieniędzy, jeśli pan w ogóle może to zrozumieć. To nasza ojcowizna, nasza krew i nasz trud.

Tom uważnie przyglądał się tej kobiecie. Jej kasztanowe włosy z widocznymi pasmami siwizny były starannie i dokładnie zaczesane do tyłu. Długi, idealnie spleciony warkocz, opięty wokół głowy, przypominał diadem, tak charakterystyczny dla oschłych, schludnych i fanatycznie pedantycznych starych panien. Najwyraźniej Abigail nie przywiązywała większej wagi do swego wyglądu. Widocznie uważała, że liczą się przede wszystkim żelazne i niezłomne cechy charakteru. Tom dziwił się, że kobieta o tak twardych zasadach chciała w ogóle rozmawiać z jakimś przedstawicielem Mulvaneya. Był pewien, że panna Marshall zarówno w sferze moralności, jak i biznesu kieruje się wyłącznie bezkompromisowymi regułami postępowania. Po godzinie całkiem jałowych dyskusji Tom zaczął powoli tracić nadzieję, iż zdoła przekonać ją do transakcji.

— Czy nie miałyby pani nic przeciw temu, bym zjadł razem z państwem obiad, panno Marshall? — spytał.

— Dlaczego miałabym gotować obiad dla człowieka, który próbuje zmusić mnie do sprzedania własnego przedsiębiorstwa, jeśli mogę spytać, panie Dalton? -jej głos bynajmniej nie był szorstki, a w oczach pojawiły się przekorne iskierki. Ta odpowiedź, a raczej sposób, w jaki została podana, pozwoliła mieć Tomowi nadzieję.

— Bowiem ten zły człowiek jest w straszliwych tarapatach. Jego przyszłość jest równie niepewna, jak i pani. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że istnieje tylko jeden sposób rozwiązania naszych kłopotów, musimy rozwiązać je wspólnie.

Abigail uśmiechnęła się słysząc odpowiedź, po czym z aprobatą kiwnęła głową.

— No więc dobrze, panie Dalton. O siódmej godzinie w naszym domu. Proszę nie oczekiwać zbyt wiele po mojej kuchni. Wolimy z bratem raczej skromne pożywienie.

— Będę punktualnie, panno Marshall.

Tom opuścił niewielkie biuro firmy Marshallów pogwizdując z zadowoleniem. Miał w głowie zarys pewnego planu. Spotkanie z matką w jakiś dziwny sposób uczyniło go silniejszym i bardziej niezależnym. Czuł, jakby w jednej chwili zniknął jakiś zaklęty krąg, z którego przez lata daremnie próbował się wyrwać. Był pewny, że teraz już nic nie zdoła go powstrzymać na drodze do sukcesu; ani Tierney, ani O'Reilly, ani Mulvaney, ani nawet sam Pan Bóg. Miał dwadzieścia dziewięć lat i nadszedł czas, aby wreszcie stanąć na własnych nogach.

Szedł zamyślony krętymi uliczkami portowej dzielnicy Bostonu. Ze zdziwieniem stwierdził, że różniła się znacznie atmosferą i wyglądem od tej, którą znał tak dobrze z Nowego Jorku. Była jakaś czystsza, mniej odpychająca. Statki w porcie były te same, co i w Nowym Jorku. Robotnicy wyglądali podobnie. A jednak nie widziało się tutaj takiej straszliwej ludzkiej biedy i upokorzenia.

Chodząc po mieście, Tom zbierał informacje na temat Marshallów. Za każdym razem otrzymywał taką samą odpowiedź:

— Henry Marshall? Dobry Boże, to najmiłszy i najłagodniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. To bardzo uczciwy człowiek. Możesz spokojnie oddać mu wszystkie pieniądze i bądź pewien, odda ci je co do grosika.

— Abigail Marshall? Cwana jak lis. Nikt jej nie oszuka. Jej mózg to prawdziwa maszyna do liczenia. Niezły z niej twardziel. W negocjacjach nie ustąpi nawet o krok. Zajmuje się także działalnością charytatywną. Uczy w niedzielnej szkółce przykościelnej.

— Może nałożyć panu jeszcze trochę puddingu, panie Dalton?

Twarz Abigal była czerwona jak piwonia od żaru bijącego z pieca w kuchni. Miała na sobie ładną zieloną suknię z gabardyny ozdobioną białą kokardą. Widząc ją tak ubraną, Tom po raz pierwszy stwierdził, że w młodości musiała być całkiem ładną kobietą.

— Obawiam się, że nie zmieszczę już ani kęsa więcej, panno Marshall — odparł Tom, kładąc dłoń na brzuchu. Abigal uśmiechnęła się z nie tajoną satysfakcją wytrawnej kucharki, która nasyciła swoich gości.

— Czy w Nowym Jorku tak słabo pana karmią?

— Ależ nie — powiedział, mrugnawszy porozumiewawczo w stronę Henry'ego. — Niemniej pani kuchnia nie ma sobie równej w całych Stanach.

Abigal zdjęła biały fartuch i położyła go ostrożnie na stole tuż obok siebie. — Leje pan miód na moje serce, panie Dalton. Jednak niech się pan nie łudzi, że miłymi pochlebstwami przekona mnie do zawarcia transakcji.

— Ależ Abigal! — wykrzyknął jej brat pełnym oburzenia głosem. — Wydaje mi się, że pan Dalton niczym nie zasłużył sobie na tak niegrzeczne traktowanie.

Abigal głęboko wciągnęła powietrze i kiwnęła głową na znak zgody.

— Masz całkowitą rację, Henry, jak zawsze zresztą. Proszę mi wybaczyć, panie Dalton. Te wszystkie lata, kiedy z tak wielkim poświęceniem broniliśmy interesów firmy, sprawiły, że stałam się trochę szorstka. Mogę mieć jedynie pretensję do samej siebie, że pozwoliłam uzależnić firmę aż w takim stopniu od pana Mulvaneya.

Tom z uwagą przyglądał się tej dzielnej kobiecie, głęboko poruszony desperacją, z jaką broniła swego przedsiębiorstwa. Gorączkowo rozważał, jak powinien postąpić w tej niezmiernie delikatnej sprawie. Oczywiście, mógł nie oglądając się na nic i nikogo wykonać swoje zadanie zgodnie z otrzymaną instrukcją. Ostatecznie był to jego zawód, dostawał za to pieniądze. Poza tym Abigal Marshall była nie tylko uparta i nierozsądna. To przecież w wyniku jej błędów firma znalazła się w tak złej sytuacji finansowej. Z drugiej strony nie miała przecież żadnych szans w walce z takimi wytrawnymi i bezwzględными graczami jak Tierney i O'Reilly. Jej walka z góry była skazana na niepowodzenie. W jaki sposób mogła przeciwstawić się ogromnej fortunie Mulvaneya? Mógł też po prostu uchylić się od obowiązku, wrócić do Nowego Jorku z podkulonym ogonem i przyznać, że to zadanie przerosło jego możliwości. Takie wyjście jednak nie wchodziło w grę. Ambicja Toma nigdy nie pozwoliłaby na takie upokorzenie, tym bardziej że dążył przecież do małżeństwa z Deidrą. Jedynym sensownym rozwiązaniem był kompromis. Musiał znaleźć jakąś pośrednią drogę, która z jednej strony pozwoliłaby mu zachować twarz i czyste ręce wobec tych miłych i uczciwych ludzi, z drugiej zaś uchronić go przed katastrofą, jaką byłaby jednoczesna utrata pracy, ukochanej Deidry i możnego protektora. Tom nie był altruistą, nie miał zamiaru za wszelką cenę ratować życia innym, rujnując własne. Miał pewien pomysł i postanowił go zrealizować. Musiał postępować ostrożnie, ale i stanowczo zarazem.

— Panno Marshall — odezwał się. — Chciałbym opowiedzieć pani trochę o człowieku, dla którego pracuję. Myślę, że to pomoże pani lepiej zrozumieć pewne rzeczy.

Henry Marshall uśmiechnął się pod nosem. Podobał mu się ten poważny i zdecydowany młody człowiek.

— Spodziewam się, że to będzie dość długa historia, panie Dalton — powiedział. — Dlatego proponuję, abyśmy przeszli do salonu. Myślę, że tam przy kieliszeczku doskonałej nalewki, którą przyrządza moja kochana siostra, będzie nam znacznie wygodniej i przyjemniej. Ten boski nektar będzie smakował panu jeszcze bardziej niż pyszności, które Abigail przygotowała dziś dla nas na obiad.

Tom przytaknął i w trójkę usadowili się w wygodnych fotelach przy kominku w skromnej, lecz urządzonej z gustem bibliotece. Tom nie zamierzał wcale opowiadać Marshallom o tym, jak Mulvaney doszedł do fortuny ani o swoich nadziejach na małżeństwo z jego córką, ani o własnej przeszłości czy o ciężkiej pracy w nowojorskim porcie. Chciał raczej poprzez rozmowę zorientować się, na ile ich niechęć do sprzedaży firmy jest uzasadniona, z czego wynika — krótko mówiąc, chciał lepiej rozpoznać przeciwnika. Jednak stało się inaczej. Nie tylko bowiem zwierzył się im ze wszystkich swych problemów, lecz na koniec zawarł z nimi transakcję, która mogła kosztować go posadę u Mulvaneya. Zdecydował się zaryzykować. Po długich wahaniach i namysłach doszedł do wniosku, iż nie ma innego wyjścia. To była jedyna rozsądna droga, aby uratować zarówno Marshallów, jak i samego siebie.

Deidra siedziała w swojej sypialni na miękkim, wielkim łóżku z baldachimem i rozmyślała o ukochanym Tomie. Był taki silny, przystojny i odważny. Nie miała już żadnych wątpliwości, że kocha ją równie mocno, jak ona jego. Ta myśl wywoływała przyjemny dreszcz podniecenia. Tom wydawał się jej tak bardzo męski. W jego spojrzeniu kryła się jakaś romantyczna melancholia, którą przypisywała marzycielskiej, irlandzkiej naturze. Z drugiej strony potrafił cieszyć się życiem i miał duże poczucie humoru, cechę, którą Deidra zauważyła podczas rozmów prowadzonych przy stole. Kiedy był blisko niej, czuła zamęt w sercu. Wystarczyło, że się pojawił, a nic więcej się nie liczyło, jedynie jego uśmiech czy przyjazny gest.

Zastanawiała się, co ma włożyć na siebie dzisiaj, aby przyciągnąć jego uwagę. Miał wrócić wieczorem z Bostonu. Już wcześniej zauważyła, że bardzo lubił żółty kolor. Wstała z łóżka i podeszła do wielkiego kryształowego lustra. Stanęła przed nim i rozwiązała kokardę długiej, koronkowej koszuli, która z szelestem zsunęła się jej z ramion na ziemię. Stała zupełnie naga, krytycznym wzrokiem przyglądając się swojej figurze. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, była wysoka, szczupła, ale jej piersi były już w pełni dojrzałe, kształtne i jędrne. Delikatnie dotknęła palcami twardej brodawki, wyobrażając sobie, że to silne dłonie Toma pieścą jej piersi. Przypomniała sobie ten dzień, kiedy po raz pierwszy ją dotknął. To było niby przypadkiem, ale dobrze wiedziała, że pragnął jej bliskości tak samo mocno, jak ona pożądała jego ciała. Przez moment przestraszyła się własnych myśli. Nigdy dotąd tak

jasno nie uświadomiła sobie swoich pragnień. Uśmiechnęła się. Czowała, jak rozpiera ją radość. Zaczęła powoli i starannie ubierać się do obiadu.

— Chciałbym zobaczyć się z panem Mulvaneyem — powiedział Tom do przyszczatej sekretarki szefa, która właśnie przygotowywała kawę przed jakąś naradą.

Cały czas zastanawiał się, jak Mulvaney przyjmie fakt, iż postąpił wbrew jego zalece-
niom i rozwiązał sprawę firmy Marshallów po swojemu. Sekretarka spojrzała na Toma znad
swych rogowych okularów i odparła z wyrzutem:

— Pan Mulvaney poszukuje pana już co najmniej od godziny.

Kiedy wszedł do gabinetu szefa, Mulvaney stał przy oknie, spoglądając w dół na mia-
sto. Tom chrząknął, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

— Siadaj, Tom — odezwał się Jim i odwrócił w jego stronę. Twarz miał dziwnie zmę-
czoną, choć oczy w dalszym ciągu pozostawały pełne życia, z uwagą obserwując wszystko,
co działo się wokoło.

— Tak więc wróciłeś z Bostonu. Co udało ci się załatwić?

— Powiedziałbym, że trochę więcej niż to na początku planowałem.

— Ach tak — Mulvaney uniósł brew, oczekując wyjaśnień.

Tom wziął głęboki oddech, po czym odezwał się:

— Tak jak mi pan polecił, kupiłem firmę Marshallów. To zupełnie porządne niewielkie
przedsiębiorstwo, które może w przyszłości przynieść niezłe zyski.

— W porządku.

— Czy w takim razie wybaczy mi pan, że w umowie zawarłem klauzulę, w myśl której
Marshallowie będą prowadzić nadal firmę, tym razem jednak na pańskie konto?

— Wynająłeś ich, aby pracowali dla mnie?

— Tak, dożywotnio.

— Czy mogę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś?

— To dobrzy ludzie. Abigail Marshall to bystra kobieta. Ma wiele znajomości w Bosto-
nie. Jej brat jest lubiany przez wszystkich, to szlachetny człowiek, darzony powszechnym
szacunkiem. Będą dobrymi pracownikami.

— Są głupi. Bez trudu dali się złapać w zastawioną na nich przez O'Reil — l'ego i
Tierneya pułapkę.

— Są ludzie, którzy nigdy nie popełniają błędów w interesach. Myślę, że akurat O'Reilly i Tierney nie należą do nich.

Na twarzy Mulvaneya pojawił się ironiczny uśmiech.

— Prawda jest zupełnie inna, chłopcze — odparł. — Po prostu masz zbyt miękkie serce, by brać się do brudnej roboty.

Tom wytrzymał jego przenikliwe spojrzenie i odpowiedział:

— To prawda, że po tym, jak spotkałem tych ludzi, nie mógłbym wyrządzić im krzywdy. Nie dlatego jednak, że, jak pan twierdzi, jestem zbyt miękki do takiej roboty. Zatrudniłem ich u pana, ponieważ jestem przekonany, że nikt inny nie poprowadzi tej firmy lepiej od nich. To bardzo dumni ludzie, ale też solidni i wytrwali. Dzięki ich pracy w krótkim czasie z pomocą O'Reilly'ego i Tierneya ta mała firma stanie na nogi i zacznie przynosić dochody. I tylko to się liczy.

— A co byś zrobił, mój geniuszu, gdyby ta przemiła para starszych ludzi odrzuciła twoją wspaniałomyślną propozycję. Czy wywaliłbyś ich na zbitą mordę, jak powinieś być zrobić?

Tom dosłyszał w jego głosie zarówno nutę rozbawienia, jak i irytacji. Nie mógł jednak stwierdzić, która z nich była silniejsza.

— Wypłaciłbym im ich dołę, po czym starałbym się już nigdy więcej w życiu ich nie spotkać... Tak sądzę.

— Tak sądzisz? — wykrzyknął Mulvaney wyraźnie wyprowadzony z równowagi. — W interesach się nie sądzi. W interesach jest się całkowicie pewnym, czego się chce i co powinno się robić! Masz precyzyjnie wykonywać moje polecenia, a nie bawić się moim kosztem w Armię Zbawienia, rozumiesz?!

— Jeśli tak, to trzeba było wysłać do Bostonu Duffy'ego zamiast mnie, sir. — Głos Toma był spokojny, niemal lodowaty. Nie zamierzał zaostreć sporu. To mogłoby się dla niego fatalnie skończyć. Praca u Mulvaneya była okazją, która zdarza się raz w życiu, i dlatego nie trzeba było wystawiać jej na zbyt wielkie ryzyko. Jednak nie miał zamiaru pozwolić, by Jim zaczął traktować go jak jakieś popychadło. Patrzył odważnie prosto w oczy starszego mężczyzny jakby chciał rozpoznać następne uderzenie przeciwnika.

— Idź do swoich pryncypałów, opowiedz im, jak się spisałeś — już spokojnie powiedział Mulvaney.

Tom podniósł się i chciał już wyjść, kiedy Jim dodał po chwili namysłu:

— Nie dostaniesz żadnego czeku za tę robotę. Spartaczyłeś ją. Jeśli masz miękkie serce, to musisz mieć także twardy tyłek. To będzie lekcja dla ciebie. Mam nadzieję, że czegoś się z niej nauczysz.

Od powrotu z Bostonu wszystko zdawało się zmieniać na lepsze w życiu Toma. Wprawdzie nie dostał obiecanych pieniędzy od Mulvaneya, niemniej szef zrekompensował mu tę stratę już wkrótce podwyżką pensji. Oczywiście, niechęć O'Reilly'ego do Toma znacznie wzrosła, gdy dowiedział się, w jak sentymentalny sposób Dalton załatwił sprawę firmy Marshallów. Natomiast Tierney pogratulował mu szczerze sprytu, z jakim wybrnął z całej tej bostońskiej opresji. W ogóle Tom odnosił wrażenie, że od kiedy przeszedł tę próbę, jego status w firmie zmienił się. Przestano traktować go jak zwykłego praktykanta. Stał się prawdziwym człowiekiem interesu, członkiem klanu Mulvaneya.

Sam Mulvaney i jego dwaj doradcy traktowali go z większą niż dotąd powagą. Nawet Duffy, który miał zawsze i wszędzie oczy otwarte i żadna zmiana nie mogła ujść jego uwadze, zaczął traktować Toma z respektem, bardziej jak swego przełożonego niż przyjaciela.

— Ten cały biznes to ciężki kawałek chleba, Donaher — zwierzył się pewnego wieczora w Domu Marynarza staremu przyjacielowi. — Co prawda traktują mnie teraz jak równego sobie, ale to nie zmienia faktu, że muszę tańczyć, jak mi zagrają.

Starał się odwiedzać Donahera tak często, jak to tylko było możliwe, chociaż zwłaszcza ostatnimi czasy nie miał zbyt wiele okazji, by zaglądać częściej do dzielnicy portowej. Większość czasu spędzał w pracy, a każdą wolną chwilę starał się spędzać z Deidrą.

— Każdy wielki człowiek lubi otaczać się ludźmi, którzy mu schlebiają i są posłuszni. Za-inwestował w ciebie i teraz chce mieć z tego profity, to jasne. Ceni sobie twój rozum i niezależne zdanie. Mieć wokół siebie jedynie takich ludzi, którzy stale przytakują, to może jest wygodne, ale i chyba nudne. On chce mieć kogoś, kto myśli tak samo odważnie jak on — mówił Donaher.

Tom wiedział, że jego przyjaciel jest z niego bardzo dumny. Zawsze wierzył, że Dalton dotrze na sam szczyt, że pobije wszystkich i zdobędzie prawdziwą fortunę.

— Może masz rację, Donaher — powiedział Tom z pewnym wahaniem, jakby sam nie był pewien, jaką rolę odgrywa u Mulvaneya. — W każdym razie po przyjeździe z Bostonu czuję się pewniej. Nie wiem, co jest tego prawdziwą przyczyną. Czy to, że potrafiłem przechytryć Mulvaneya i załatwić sprawę firmy Marshallów po swojemu, czy dlatego, że uwolniłem się w końcu od koszmarów mojej przeszłości. Czuję się tak, jakbym na nowo się narodził. Wydaje mi się, że nie ma takiej rzeczy, której nie mógłbym podolać. — Uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Entuzjizm i energia rozpierały go. — Zdecydowałem się poprosić Jima o rękę jego córki.

Donaher spojrział na niego uważnie z nie tajoną obawą. Pracować u faceta, który ci ufa, który wy dostał cię z rynsztoka i dał pracę, to jedna sprawa... Ale podrywać jego córkę to coś całkiem innego.

— Będę trzymał za ciebie kciuki, chłopcze — odparł, nie chcąc zmartwić przyjaciela swoimi obawami. Wierzył w dobrą gwiazdę Toma, wiedział, że chłopak jest niezwykle sprytny i potrafi doskonale radzić sobie w życiu. Ale wiedział też z własnego doświadczenia, że najtrudniejsze do zdobycia są te rzeczy, których człowiek pragnie najmocniej.

Mulvaney siedział wygodnie w wielkim skórzanym fotelu i rozkoszował się rytuałem zapalania wielkiego hawańskiego cygara. Obok na stoliku stała butelka brandy. W bibliotece panowała cisza, którą mącił jedynie szelest suchego tytoniu cygara, które Jim obracał w palcach. Wokoło stały rzędy książek, wśród których znajdowały się nierzadko prawdziwe arcydzieła i białe kruki, ale bynajmniej nie ze względu na literackie czy kolekcjonerskie zainteresowania ich właściciela. Po prostu złote oprawy pasowały do wzorzystego perskiego dywanu na podłodze.

— Czy opowiadałem ci już kiedyś pewien epizod z mego życia, kiedy zająłem się handlem bydła? — spojrział rozbawiony na Toma. Jednak widząc jego poważną twarz, natychmiast stracił humor. Lubił z nim rozmawiać, cenił sobie jego inteligencję i bystrość umysłu, ale chwilami chłopak był tak cholernie nudny, że miał ochotę wykopać go za drzwi.

— Akurat ten szczegół z pana kariery nie jest mi znany — na szczęście głos Toma był wyraźnie ożywiony. Chętnie słuchał historii z życia swego szefa. Zawsze były pełne niesamowitych przygód, trochę podkoloryzowane, ale niezmiernie interesujące. Jim był cholernym sukinsynem, ale w jakiś dziwny sposób wzbudzał sympatię. Zachował resztki łagodnego usposobienia i ludzkich odruchów — ostatecznie zdecydował się przygarnąć go z ulicy, dać wspinałą pracę i szansę na udaną przyszłość. W jakiś jedynie sobie znany sposób potrafił łączyć pragmatyzm i bezwzględność z poczuciem humoru i swoistą łagodnością.

— Właśnie wracałem na wschodnie wybrzeże. Zostawiłem w cholerę mojego opiekuna i pracodawcę, owego cwanego adwokacika, dla którego musiałem pracować jak wół — zaciągnął się głęboko cygarem, po czym wypuścił w powietrze kóleczka dymu. — Dowiedziałem się, że gdzieś w okolicy jest stado bydła, które trzeba przetransportować do Chicago. To było akurat po drodze. Nie miałem zielonego pojęcia o tym, jak pędzi się bydło, ale mój wrodzony instynkt podpowiadał mi, że można na tym całkiem ładnie zarobić. W knajpie od podpiętych kowbojów dowiedziałem się o pewnym starym meksykańskim fortelu, który stosowali wszyscy poganiacze bydła, by podbić cenę mięsa w skupie. Tak więc zdecydowałem się wejść w ten interes i kupiłem stado za pieniądze wygrane w pokera poprzedniej nocy. Miałem wtedy cholernie dobrą passę... no, może trochę sam pomogłem szczęściu.

Jim przerwał, łyknął trochę brandy, po czym rzucił szybkie spojrzenie w stronę Toma, by sprawdzić, jaka będzie jego reakcja. Skoro jednak stwierdził, że na jego twarzy nie maluje się nawet najmniejszy wyraz dezaprobaty, ciągnął dalej.

— Tak więc wynająłem całą bandę poganiaczy, do tego jednego kucharza, kazałem załadować trzy wozy workami z solą, po czym ruszyliśmy w drogę. Nie masz pojęcia, chłopcze, co to znaczy taka podróż ze stadem bydła i bandą kowbojów. Po kilkuset milach wędrówki nie wiesz już, co bardziej cię wkurza, czy bezczelność tych twardych facetów, czy smród krowiego gówna. W ciągu dnia starałem się nie wciągać głęboko powietrza, a w nocy ogrywałem chłopców w pokera, ale to już całkiem inna historia. Kiedy po wielu tygodniach drogi dotarliśmy w okolice Chicago, kazałem wyładować z wozów worki z solą i nakarmić nią bydło. Niektórzy z kowbojów dobrze znali tę sztuczkę, pozostali sądzili, że jestem niespełna rozumu. Dobrze wiedziałem jednak, co robię. Krowy uwielbiają jeść sól i, na Boga, rąbały ją, aż im się uszy trzęsły, a wraz z żarciem rósł ich apetyt.

Tom zaczął powoli rozumieć, do jakiego rozwiązania zmierzała ta opowieść.

— Sądzę, że nie tylko apetyt, ale również pragnienie.

— Słusznie, chłopcze! — wykrzyknął uradowany Jim. — Dokładnie, jak mówisz. Kiedy doszliśmy do rzeki, dopadły do niej jak opętane. W Chicago sprzedaliśmy je za co najmniej połowę więcej niż były rzeczywiście warte.

Tom pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Jeszcze dzisiaj nie mogę opanować śmiechu na myśl o tych biednych krowach, które następnego dnia musiały sikać jak ogłupiałe, z każdą sekundą tracąc na wadze.

Mulvaney wybuchnął głośnym śmiechem.

— Nigdy nie przestanie mnie pan zadziwiać — wyznał Tom z nie skrywaną szczerością. — Każda taka rozmowa jest dla mnie nieocenioną lekcją.

— Dawno straciłem nadzieję, że zrobię z ciebie cwaniaka. — Twarz Mulva — neya nagle spoważniała. — Nie zaszkodzi jednak czasami opowiedzieć ci to i owo.

Tom spojrział na Diamonda. Już chciał otworzyć usta, by coś odpowiedzieć, ale Jim uniósł dłoń na znak, że wszystko jest w porządku.

— Nie mam do ciebie pretensji. Masz wiele innych zalet, które są dla mnie bardzo przydatne. Poza tym wystarczy, że ja jestem cwany za nas dwóch.

Mulvaney z uwagą przyglądał się młodemu człowiekowi. Wiedział, że Tom był zbyt szlachetny, zbyt dobrze ułożony, by brać sobie do serca rady starego łajdaka. Ale w jego zachowaniu, w sposobie, w jaki traktował ludzi, była klasa, doskonały styl, którego nie można się nauczyć. Z tym można się tylko urodzić. Mulvaney doceniał to. Dla niego Dalton był świetnym kandydatem na doskonałego człowieka interesów, szybki, zdecydowany, pracowity i z dobrymi manierami. Czegóż potrzeba więcej? W gruncie rzeczy Tom wywiązał się doskonale ze swego zadania w Bostonie. Jim miał niezły ubaw, kiedy zobaczył miny swoich doradców. Zdrowo się napocili, by wybrać dla Toma najbardziej niewdzięczną i najbardziej

skomplikowaną sprawę, a on ją rozwiązał jak dziecinną zagadkę. Rodzeństwo Marshallów było najlepsze do prowadzenia tej firmy, w tym względzie instynkt Toma okazał się niezawodny. Mulvaney był pewny, że Abigail i Henry Marshall będą mu wiernie służyć aż do końca swoich dni. Podczas swego pobytu w Bostonie Tom udowodnił jeszcze coś więcej. Mianowicie, że jest już w pełni przygotowany do podejmowania odpowiedzialnych decyzji, że liczy się z wszystkimi ich konsekwencjami. Jim miał świadomość, że otacza go cała armia posłusznych i sumiennych pracowników, którzy tylko czekają na jedno jego skinienie. Jednak najbardziej cenił sobie właśnie tego młodego człowieka, który miał odwagę być sobą.

Tom, skrępowany długą ciszą, doszedł do wniosku, że powinien podziękować Jimowi za miły wieczór i pójść do siebie. Odstawił na stolik pustą szklankę i wstał.

— Tom — głos Mulvaneya był dziwnie zmieniony.

— Tak, panie Mulvaney?

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś zaczął mi mówić po imieniu, po prostu Jim albo Diamond Jim, w porządku?

Tom stał przez chwilę jak osłupiały. Nie spodziewał się ze strony swego szefa tak przyjacielskiego gestu. Skinął głową, po czym niepewnym głosem dodał:

— Czuję się naprawdę zaszczycony, Jim — jego ton był bardzo oficjalny, nieco wymuszony. — Bardzo ci dziękuję.

Idąc do swego pokoju, Tom zastanawiał się cały czas, co popchnęło Mulvaneya do tak nieoczekiwanego gestu. Nie mógł jednak znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Ten dziwny człowiek wciąż pozostawał dla niego zupełną zagadką.

KSIĘGA V

Deidra

Sześć głównych przymiotów kobiety według

hierarchii średniowiecznego barda:

dar urody

dar pięknego głosu

dar słodkiej wymowy

dar zręczności

dar mądrości

dar dziewictwa

Chcę poślubić twoją córkę, Jim. — Tom powiedział to z taką mocą, jakby przez ostatnie dwa i pół roku, które przepracował u Mulvaneya, tysiąc razy powtarzał w myślach to jedno zdanie.

— Wiem o tym, chłopcze, ale nie dopuszczę do tego.

— Znasz mnie, zawsze ciężko pracowałem i można mi zaufać. Zadbam o nią.

— O to jestem spokojny, Tom, ale to nie wszystko. Przeszedłem w życiu już długą drogę i przyrzekłem sobie, że nie spocznę, zanim nie zdobędę wszystkiego. Deidra jest przeznaczona dla mężczyzny z wyższych sfer. Ona ma urodę, ja mam pieniądze i władzę. Nie chcę, aby jej dzieci kiedykolwiek odczuły, że ich przodkowie byli irlandzkimi banitami. Mój majątek zabezpieczy im przyszłość. Deidra dobrze wiedziała, jakie są moje plany, a jako posłuszna i dobra córka nigdy by mi się nie przeciwstawiła. — Głos Jima był zimny i stanowczy. Pewność, z jaką mówił, zaniepokoiła Toma.

— Wiele ci zawdzięczam, Jim. Przygarnąłeś mnie z ulicy, dałeś pracę, poznałeś z ludźmi, którzy tworzą oblicze naszego świata. Jestem ci za to więcej niż wdzięczny. Zrobiłem też wszystko, aby spłacić ten dług. Pracowałem dla ciebie dzień i noc. Ale to, o co teraz proszę, to coś zupełnie innego. Ja kocham Deidrę i mam wiele dowodów, by liczyć na jej wzajemność. Nie chcę niczego więcej niż każdy inny mężczyzna, chcę prosić ją o rękę, a wybór należy do niej.

— Wybór nie należy do niej! — Jim uniósł się gniewem. — Czy sądzisz, że jestem kompletnie ślepy i nie widziałem wymienianych przez was ukradkiem spojrzeń? Czy masz mnie za zramolałego głupca, który nie wyczuwa przyspieszonego bicia serca własnej córki, kiedy tylko pojawi się w pobliżu? Zrozum mnie dobrze, chłopcze, nie rób sobie złudzeń. Wychowałem cię, dałem dach nad głową, ale w mgnieniu oka odwrócę się od ciebie, jeśli nadal będziesz obstawał przy swoim szaleństwie. Ja sam wybiorę męża dla córki, i na Boga, nie będzie to Irlandczyk, którego przygarnąłem z ulicy.

Twarz Jima była aż purpurowa z wściekłości. Tom próbował coś odpowiedzieć, ale nie mógł powstrzymać potoku jego mowy.

— O tak! Mógłbym zadbać, byście byli bogaci. Mógłbym sprawić, by niczego nie zabrakło mojej córce, a tobie zapewnić powodzenie w interesach. Ale nawet cały mój majątek nie otworzy mi drogi do salonów w Bostonie, chyba że wepchnę swą córkę do łóżka jakiegoś dobrze urodzonego chłystka. I taki mam zamiar, chłopcze. Na Boga, tak właśnie zrobię! Nie dla siebie jednak, ale dla moich wnuków i ich potomstwa. Chcę, żeby mieli klasę i byli tak dobrze wychowani, by mogli jadać przy stole z angielską królową i nie dopuszczę, by mi

ktoś w tym przeszkodził. Moja matka jadła kartofle, Dalton, ale jej prawnuki będą siadać przy stole z królami. Zapamiętaj moje słowa, tak będzie!

Tom wiedział, że te marzenia wynikały ze strasznej udręki licznych upokorzeń i przykrości, jakie Mulvaneya spotkały w życiu. Rozumiał siłę jego cierpienia i czuł dla niego głębokie współczucie. Wyobrażał sobie małego chłopca idącego za trumną swej ukochanej matki, spoglądającego w przerażeniu na czekających przy grobie grabarzy. Potem wyobraził go sobie, jak w samotności składa przysięgę Bogu, że zrobi wszystko, by nigdy nie spotkał go straszny los matki. Obraz ten głęboko poruszył Toma. Przypomniał mu, co sam przeżył w dzieciństwie. Postanowił zachować rozsądek i spokój.

— Jim, posłuchaj. Wywalczę dla nas dostęp do salonów, jeśli od tego ma zależeć twoja zgoda na małżeństwo. Daj mi szansę. Kocham Deidrę zbyt mocno, bym mógł z niej zrezygnować.

— A czy twoja miłość jest tak mocna, że zrezygnowałbyś dla niej z całego mojego królestwa? — w zimnym spojrzeniu Mulvaneya kryło się zło.

— Co masz na myśli?

— Przysięgnij, że nigdy więcej się z nią nie spotkasz, a uczynię cię moim następcą. Dam ci wszystko, materiały, budowy, nieuczciwe dochody, cały ten cholerny kram, wszystko będzie twoje za jedno tylko słowo. — Przerwał, chciał, by jego zaskakująca propozycja wywarła na Tomie jak największe wrażenie. — Pomyśl, jak wiele jest pięknych kobiet na świecie, które tylko czekają na skinienie takiego mężczyzny jak ty. Mam pięćdziesiąt siedem lat, Dalton, i chciałbym zrealizować w życiu jeszcze tylko to jedno marzenie: wydać córkę za mąż za jednego z tych, którzy tak mną pogardzają. Niczego więcej nie pragnę. Nie odbieraj mi tej nadziei, a ja bez żalu pozwolę ci pójść w moje ślady i wprowadzę w świat bogactwa.

Po tych słowach w pokoju zapadła cisza. — Jeśli jeszcze dzisiaj nie dasz mi słowa, że nigdy więcej nie będziesz się z nią widywał, to możesz wynosić się z mego domu! Możesz zdechnąć lub wrócić do rynsztoka, skąd cię wyciągnąłem. Ale wierz mi, nie warto mieć we mnie wroga.

Tom nie mógł dłużej usiedzieć. Wstał. Jego myśli pędziły w szalonym tempie. Jakim prawem oczekiwał, że Deidra zgodzi się go poślubić, jeśli zostanie bez pracy? I jaka praca czekała na niego tutaj? Zawsze w cieniu Mulvaneya. Czy zechciałaby go, gdyby musiał pracować jako zwykły robotnik? Czy byłaby gotowa opuścić Nowy Jork, uwolnić się od wpływu ojca, a jeśli nawet tak, dokąd mieliby się udać? Czy z czasem nie znienawidziłaby go za to, że dla niego musiała stracić własnego ojca? Jaką ma gwarancję, że ona pragnie tego samego co on? A gdzie marzenia o sławie, szacunku, budowaniu rodzinnego życia i bezpiecznej przyszłości...?

— Nie mogę tego zrobić — powiedział w końcu zachrypniętym głosem.

— Nie możesz zrobić czego? — Mułvaney mógł pozwolić sobie na cynizm, wiedział, że każdy ma swoją cenę.

— Nie mogę dać ci słowa. Najpierw muszę poznać jej zdanie.

— Jesteś nie tylko ciemniakiem, ale i kretynem. Odrzucasz fortunę dla kobiety, nie wiedząc nawet, czy ciebie chce. Skończyłem z tobą. — Z trudem podniósł się ze skórzanego fotela. — Dokonałeś kiepskiego wyboru, chłopcze. Nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś aż tak sentymentalnym głupcem. Zanim upłynie tydzień, Deidra opuści Nowy Jork. Umieszczę ją w klasztorze, gdzie nigdy jej nie znajdziesz.

Z pogardą odwrócił się od Toma i ciężko stąpając, wyszedł z pokoju.

Tom przybity szedł w górę klatki schodowej tępy wzrokiem wpatrując się w stopnie pokryte orientальnym chodnikiem. Rozpacz rozdzierała mu serce. Powinien teraz jak najszybciej spakować swoje rzeczy i wynieść się z tego domu. Przedtem jednak musi koniecznie znaleźć jakiś sposób, aby przekazać Deidrze wiadomość, gdzie będzie mogła go odszukać. Aż skurczył się cały na myśl o własnej głupocie. Dlaczego rozmawiał z Jimem w ten sposób? Czy sądził, że on kiedykolwiek wyrazi zgodę na to małżeństwo? Gdyby jeszcze trochę poczekał, mógłby ułożyć sobie lepszy plan postępowania. Tylko głupiec wyrusza na wojnę bez amunicji. Przede wszystkim powinien wcześniej upewnić się, co myśli Deidra. Kilka skradzionych pocałunków, trzymana w tajemnicy przyjaźń to było wszystko, co zaszło między nimi. A kobiety potrafią być zmienne.

Zatrzasnął drzwi swojego pokoju i usiadł ciężko na brzegu łóżka przykrytego koronkową narzutą. Ukrył twarz w dłoniach.

— Tom? — Dobiegł go zza zamkniętych drzwi delikatny i cichy głos Deidry. — Wpuść mnie, proszę.

Stała w wyłożonej parkietem sieni. Jej bladoliliowa, kropkowana suknia falowała tuż nad pantofelkami z brokatu, ledwie widocznymi spod wielkiej falbanki. Tom spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Wszystko słyszałam, mój kochany. Stałam pod oknem od strony ogrodu. Jak tylko wyszedłeś od ojca, przybiegłam schodami dla służby, aby się z tobą zobaczyć. — Jej uśmiech był pełen świeżości i uczucia. Tom poprowadził ją w głąb pokoju. — To co zrobiłeś, wymagało wielkiej odwagi. Nigdy przedtem nie widziałam ojca tak wzburzonego. — Wyciągnęła rękę, dotknęła swoimi długimi, smukłymi palcami jego twarzy i odgarnęła mu z czoła włosy.

— Deidro... — Tim ścisnął jej drobną rękę w swojej wielkiej dłoni. W jego głosie brzmiała rozpacz. — Narobiłem strasznego zamieszania. Teraz ojciec na pewno cię stąd odeśle. Jestem bez pracy, a to jeszcze pogarsza sytuację. Jak będziesz mogła przekonać się, ile jestem naprawdę wart?

Dziewczyna spojrzała z uśmiechem na pogrążonego w smutku mężczyznę. Tak bardzo go kochała. Niektórym mężczyznom trudno jest zrozumieć najprostsze rzeczy. Ujęła jego twarz w dłonie i przytuliła się do niego.

— Nie potrzebuję przekonywać się, ile jesteś wart, Tomie Dalton. Pokochałam cię już tej nocy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Pójdę z tobą tam, gdzie zechcesz. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. — Powiedziała to tak ujmująco i z tak wielką prostotą, iż zdziwiony spojrzał w jej oczy. Było w nich tyle uczucia i miłości!

— jDeidro, mam trochę zbieranych pieniędzy, ale to nie starczy nam na długo. Twój ojciec jest potężnym człowiekiem i na pewno nie pogodzi się z przegraną. Być może, jedynym sposobem zdobycia pieniędzy będzie ponowna praca w porcie. Nie wyobrażam sobie, abyś mieszkała w jakiejś norze.

— To nie jest ważne. Jeśli chcesz mnie, pójdę z tobą. Nie mam wprawdzie pieniędzy, ale mogę zabrać swoje kosztowności i biżuterię matki. Możemy ją spieniężyć i żyć z tego, zanim nie znajdziesz pracy.

Jej twarz wyrażała niezachwianą pewność i zdecydowanie. Poczucie odpowiedzialności i obawa kazały Tomowi zadać ostatnie pytanie?

— Czy jesteś całkiem pewna, że chcesz tego? Bóg jeden wie, co będę mógł dać ci w zamian.

Tom uniósł rękę i wskazał ozdobne złocenia pokoju.

— To wszystko bez ciebie nic nie znaczy, kochany. Czy choć przez chwilę mogłabym się wahać? Jeśli ty wyrzekłeś się dla mnie bogactwa, ja mogę zrobić to samo.

Pochwyił ją w ramiona tak mocno, iż myślała, że serce pęknie jej ze szczęścia. Poczula, jak kręci się jej w głowie. Usiadła obok Toma na brzegu łóżka. Była pewna, że nikt ze służby w obawie o własne życie nie powie ojcu, że spotkała się z Tomem.

Swoją ucieczkę z królestwa Mulvaneya zaplanowali bardzo starannie. Rozstawali się z ogromnym żalem, aby Tom mógł znaleźć księdza, który da im ślub, i miejsce, w którym będą mogli bezpiecznie przeczekać, aż znajdzie pracę.

— Musimy pobrać się natychmiast — powiedziała Deidra stanowczo. — Tego, co się już raz stanie, nie można zmienić. Nawet jeśli ojciec nas znajdzie, nie będzie mógł przedsięwziąć żadnych kroków, by nas rozdzielić.

Tom zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę z wszystkich konsekwencji tej propozycji. Najwyraźniej nie rozumiała, jak niebezpieczny może się okazać gniew jej ojca. Człowiek pokroju Jima tak łatwo nie puści płazem faktu, że ktoś ośmielił się sprzeciwić jego woli. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić o pomoc Billy. Miał jeszcze innych przyjaciół, Donahera i Furusetha, ale od kiedy stał się wrogiem Mulvaneya, Jim na pewno będzie

miał ich na oku. Wiedział, że przede wszystkim do nich Tom może zwrócić się o pomoc. Spośród jego trojga przyjaciół tylko dom Billy był bezpiecznym schronieniem.

Deidra ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Z trudem podniosła dwie wypchane torby podróżne. Ukradkiem przemknęła przez tylny taras i zeszła do ogrodu. Tom niespokojny czekał już na nią przy ogrodzeniu. Kiedy podeszła do niego, spytał nagłym szeptem:

— Czy jesteś całkiem pewna?

Dziewczyna uśmiechnęła się tylko. Fakt, iż wciąż wątpił w siłę jej uczucia, rozczulała ją do głębi.

— Zrobię dla ciebie wszystko — odparła przyciszonym głosem. Wokół panował półmrok i zupełna cisza.

— Nie wiesz, czym może być ubóstwo — powiedział delikatnie głaszcząc jej policzek. — Być może przez długi czas będziesz musiała być gotowa do wielu wyrzeczeń. Niewiele mogę ci ofiarować.

— Czy możesz obiecać mi, że będziesz mnie kochał?

— Tę jedną rzecz mogę ci obiecać na pewno. — Miał tak zatroskaną minę, że dziewczyna zapragnęła nagle przytulić go i pocieszyć.

— Wydaje mi się, najdroższy, że zapomniałeś, iż ja podjęłam już decyzję. Nie musisz tak bardzo martwić się o mnie. Będę silna. Cokolwiek się wydarzy, nie mogłabym żyć bez ciebie wiedząc, że kochasz mnie tak mocno jak ja ciebie.

Tom wziął ją w ramiona. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Delikatnie przygarnął ją do siebie, a ona mocno wtuliła głowę w jego pierś. Tom uniósł powoli jej twarz i czule pocałował w usta, a potem z ociąganiem wypuścił ją z objęć. Podnieśli torby i ostrożnie, ukryci w cieniu wysokiego ogrodzenia doszli do rogu ulicy, gdzie czekał powóz.

— Dokąd jedziemy, Tom? — spytała, kiedy już usadowiła się wewnątrz.

— Znam tylko jedno miejsce, w którym możemy być bezpieczni przez dzień lub dwa. Nikt nie domyśli się, że tam jesteśmy, a już na pewno nie twój ojciec. — Tom zawahał się, czy mówić dalej. Wreszcie wyrzucił z siebie jednym tchem. — To jest taki dom, Deidro, właściwie burdel... ale prowadzony przez bardzo dobrą kobietę, którą zwaą Billy. Myślę, że ona może nam pomóc do czasu, aż pobierzemy się i znajdziemy jakieś mieszkanie.

Deidra otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Dobry Boże! Jak to możliwe, żeby jej ukochany Tom był na tak zażyłej stopie z właścicielką burdelu? Wiedziała, że niektórzy mężczyźni szukają przygód u tego typu kobiet, ale żeby uważać jedną z nich za swojego przyjaciela...

— To stara przyjaciółka Donahera. Ona pierwsza poznała mnie z twoim ojcem — wyjaśnił, wyczuwając jej zdumienie.

— Z moim ojcem?

— To on pomógł jej rozkręcić interes. Wiele mu zawdzięcza.

— To dlaczego miałyby nam pomóc?

— Bo ma dobre serce i wie, jak bardzo cię Kocham.

Deidra poczuła jak całkiem nowy, brutalny świat wdzierają się powoli w jej życie. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wszystko się zmieniło. Zdecydowała, że nie będzie już dłużej dziewczyną, że stanie się kobietą. Całe swoje życie i bezpieczeństwo powierzyła człowiekowi, którego kochała, ale przecież nie znała do końca. Poznała tajemnicę swego ojca, o której wcześniej nie miała nawet pojęcia. Teraz jechała, by w przeddzień ślubu spędzić noc w burdelu. Wybuchnęła gromkim śmiechem.

— Kocham cię, Tomie Dalton — wykrztusiła przez śmiech. — I czuję, że nasze wspólne życie będzie niezwykle.

Do domu Billy weszli tylnymi drzwiami. Pośpiesznie przeszli koło pokoi dla gości, skąd dochodził śmiech i głośne rozmowy, i wspięli się na najwyższe piętro, gdzie mieszkała Billy. Tom zapukał do drzwi, po czym szybko wprowadził Deidrę do środka.

Tom i Billy wymienili pośpiesznie spojrzenia. Nie wiedzieli, co mają powiedzieć. Deidra, którą obecność wysokiej postawnej blondynki o nieprzeciętnej urodzie wprowadziła z początku w zakłopotanie, postąpiła do przodu i wyciągnęła swą drobną dłoń, aby się przywitać.

— Tom mówił mi, że jest pani przyjaciółką mego ojca, panno Billy. Musi to być dla pani podwójnie krępujące, pomagać nam w naszym trudnym położeniu. Chcę, aby pani wiedziała, jak bardzo jestem jej za to wdzięczna.

Tom był pełen podziwu dla Deidry, która potrafiła się zachować w tak kłopotliwej sytuacji. Okazana przez nią grzeczność wyraźnie złagodziła napięcie Billy.

— Jesteś bardzo piękna i miła, wyglądasz dokładnie tak, jak Tom mi opisał — odpowiedziała. — Jestem szczęśliwa, że mogę pomóc dwojgu młodym ludziom, którzy potrafili odnaleźć miłość na tym śmierdzącym forsą świecie.

— Niech Bóg cię błogosławi, Billy — powiedział z wdzięcznością Tom, rozumiejąc doskonale, jak bolesna musi być ta chwila dla kobiety, która sama nigdy nie zaznała szczęścia i opieki ze strony kochającego mężczyzny. — Chciałbym, żeby Deidra została u ciebie przez tę noc. Ja tymczasem załatwię kilka spraw. Muszę odnaleźć Donahera i Andrewa, poszukać jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy na razie zamieszkać, no i księdza, który da nam ślub. Myślisz, że będzie tu bezpieczna?

— To ostatnie miejsce na ziemi, w którym Mulvaney spodziewałby się znaleźć swoją córkę. Może zostać u mnie w pokoju, a gdyby zjawił się Jim, schowa się obok, na strychu.

Widząc jego ciągle wahanie, Billy powiedziała:

— Idź sobie wreszcie! Zrób, co masz do zrobienia. W moim domu nie spotka jej żadna krzywda. Wiesz o tym.

Tom skinął na pożegnanie głową, mrugnął porozumiewawczo do Deidry i wyszedł. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, obie kobiety zaczęły się sobie uważnie przyglądać. Billy próbowała opanować bicie serca, jakie wywołał widok kobiety, która już wkrótce miała dostać to wszystko, czego ona sama nigdy nie mogła oczekiwać od życia. Z trudem powstrzymywała łzy napływające jej do oczu. Nie powinna dać poznać po sobie, jak bardzo cierpi i co jest tego przyczyną.

— Może napije się pani filiżankę herbaty i trochę odpocznie, panno Mulva — ney? — spytała tak łagodnym głosem, że aż ją samą wprowadził w zdumienie.

— Proszę mówić do mnie Deidra, panno Billy. Chętnie napiłabym się herbaty. Jestem tak podniecona, że chyba nie mogłabym teraz zasnąć. Czy mogłybyśmy jeszcze trochę porozmawiać?

Czuła, jak bardzo napięte ma nerwy. Stojąca przed nią kobieta była bardzo piękna. Czy to możliwe, by była dla Toma tylko przyjaciółką i nikim więcej? Jaki mężczyzna mógłby się oprzeć pokusie, by nie dotknąć tak ślicznej istoty? Deidra ledwie słyszała to, co mówi do niej Billy.

— Chętnie, panno Deidro. Prawdę mówiąc, nieczęsto mam okazję rozmawiać z prawdziwą damą.

Deidrze wydawało się, że powiedziała to jakoś szorstko. Dlaczego? Co się za tym kryło? Strach, zazdrość, a może tęsknota? Czego pragnęła tak bardzo? Czy Toma? Domyślała się jakiejś tajemnicy.

— Jak poznała pani mojego ojca?

Właściwie nie to pytanie chciała zadać, ale i ono przybliżyło ją do wyjaśnienia sprawy.

Billy, która miała szczerą i otwartą naturę, zawsze udzielała równie szczerych odpowiedzi. Jednak miłość Toma do tej nieznannej dziewczyny nakazywała jej zachować ostrożność.

— Poznałam twego ojca, kiedy byłam młodsza od ciebie. Znalazł mnie, gdy cierpiałam biedę i nie miałam żadnej bliskiej duszy. Pomógł mi rozkręcić ten interes. Inni wstydzą się takich kobiet jak ja, ale Jim był dla mnie zawsze prawdziwym przyjacielem i jestem dumna, że go znam.

Deidra zarumieniła się lekko na myśl, że jej ojciec odwiedzał dom rozpusty.

— A Tom?

W głosie Deidry Billy dosłyszała nutę groźby. Widziała, z jak wielkim napięciem Deidra oczekuje jej odpowiedzi. Zastanowiła się chwilę, po czym ujawniając lepszą część swojej natury, powiedziała:

— Tom jest moim najlepszym przyjacielem. Pływał z moim bratem na tym samym statku. Jesteśmy przyjaciółmi od niepamiętnych czasów. Zrobiłabym wszystko, by mu pomóc. — W bardziej szlachetny sposób Billy nie mogła dać świadectwa prawdzie.

— Ach tak! — Deidra poczuła wielką ulgę. — Dziękuję, że mi pani powiedziała — dodała po namyśle.

Jej naiwność rozbawiła Billy. Czy ona byłaby równie naiwna jak ta niedoświadczona dziewczyna, gdyby jej życie potoczyło się inaczej? Nie mogła w to uwierzyć. Z uwagą popatrzyła na Deidrę. Dziewczyna wydawała się niewinna i świeża, a przecież musiała mieć niezłomny charakter. Nie bała się uciec z Tomem, porzucić majątek i bezpieczne życie z ojcem. A teraz znajdowała się w miejscu, o którym żadna szanująca się kobieta nie chciałaby nawet wiedzieć. I zrobiła to wszystko z miłości. Więc może Tom nie dokonał złego wyboru?

— Panno Deidro, czy pani wie, że Tom Dalton kocha panią ponad wszystko?

— Billy nie mogła pojąć, dlaczego to mówi. — Dla pani oddałby cały świat. Szalenie mało kobiet ma to szczęście, by spotkać mężczyznę kochającego tak mocno, jak on kocha panią.

Billy nie mogła już dłużej ukryć swojego wzruszenia. Czy było ono skutkiem szczerego wyznania? Deidra poczuła wielką życzliwość do tej kobiety.

— To miłe, co mi pani mówi. Naprawdę kocham Toma i zrobię wszystko, żeby był szczęśliwy. — Zawahała się chwilę, czy powinna wyjawiać swoje obawy.

— Niestety mało znam mężczyzn, panno Billy. Być może pani... sądzę, że pani zna ich lepiej.

Deidra zawstydziała się własnej śmiałości. Zaskoczona Billy zrozumiała, że dziewczyna chce u niej szukać rady.

— Istotnie. Jest to jedyna rzecz na tym żalonym świecie, którą znam aż za dobrze — odparła z gorzkim uśmiechem na twarzy. — Może jednak najpierw napijemy się herbaty.

— Czy chcesz, żebym wrócił, Andrew?

Tom stał w otwartych drzwiach schroniska dla marynarzy. Pytanie kierował do rosłego majstra siedzącego na ławie i grzejącego się przy wątlym ogniu kominka. Furuset podurwał się wystraszony. Przez chwilę wahał się, jakby nie poznawał Toma, po czym serdecznie uściśnął jego dłoń i uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że do nas wrócisz, Tom. Zawsze mówiłem Donaherowi, on wróci, zobaczysz.

— Wróciłem, ale nie wiem, czy się z tego ucieszysz. Będę z tobą szczery, Andrew. Mulvaney wylał mnie z pracy.

— Ściałeś się z nim?

— Gorzej, Andrew. Uciekłem z jego córką.

Furusetth znacząco pokiwał głową, nie powiedział ani słowa.

— Obawiam się, że będziemy mieli kłopoty, Andrew. Deidra jest oczkiem w głowie ojca. On nie daruje mi tego, co zrobiłem.

— Czy wzięliście już ślub?

— To pierwsza rzecz, którą powinniśmy zrobić. Pobierzemy się jutro z samego rana. Wszystko jest już przygotowane. Ale nie wiem, co dalej. Musimy się gdzieś podziać. Potrzebuję pracy. Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

— Na to wygląda, chłopcze. A gdzie jest dziewczyna?

— U Billy. Nie mogłem nikomu innemu zaufać, a nie było czasu, by szukać lepszej kryjówki.

— Zaprowadziłeś ją do burdelu, Tom? — Furusetth aż gwizdnął ze zdziwienia. — Musiało cię niezłe przycisnąć. I do tego jeszcze u Billy, kochanki Jima. Psiakrew! Oczywiście, że ci pomogę.

Tom uśmiechnął się i serdecznie, po przyjacielsku poklepał Furusettha po szerokich barkach.

— Nie chciałem prosić się o pomoc, zanim nie dowiesz się, o co chodzi. Kocham Deidrę. Próbowałem zdobyć ją uczciwą drogą, ale Jim nawet nie chciał o tym słyszeć. Gdybym nie uciekł z nią, wysłałby ją do jakiegoś klasztoru i nigdy więcej bym jej nie zobaczył.

— Tom, pracując u Jima, zdobyłeś fach. Nie musisz szukać pracy w dokach portowych.

— Nauczyłem się u niego więcej, niż myślisz, ale teraz, kiedy siedzi mi na karku, wolę zniknąć na jakiś czas. Nie mogę ryzykować. Ma potężnych znajomych, ale tutaj, w dzielnicy portowej jego władza nie sięga. Poza tym, jeśli nawet nienawidzi mnie, nie pozwoli, by jego córka umarła z głodu. Będzie chciał upokorzyć nas, ale przecież nie zabić.

— Nie bądź taki pewny, synu. To nie byłoby pierwsze morderstwo, do którego Jim przyłożył rękę. No, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie trzeba się tym zamartwiać. Co teraz zamierzasz?

— Przyjdę jutro, by poznać twoich ludzi, i jeśli pozwolisz, pomogę przy organizowaniu pracy. Wiele się nauczyłem, poznałem prawo i mogę ci się przydać.

— Naturalnie. Witaj z powrotem w domu, Tom! Donaher będzie szczęśliwy. Powiedz szczerze, masz jakieś pieniądze?

— Trochę, powinno wystarczyć. Jeśli nie, to jest jeszcze biżuteria Deidry.

Najpilniej potrzebujemy mieszkania. Czy masz może coś na oku? Nie chcę, by Deidra była u Billy choć jeden dzień dłużej. Gdy Jim się dowie, stanie się to niebezpieczne dla nich obu.

— Billy to wspaniała kobieta. Jeśli dobrze pamiętam, jest trochę w tobie zadurzona. Nie dopuść, aby miała jakieś kłopoty z Jimem. Możesz nie mieć więcej okazji, by spłacić jej swój dług.

Furuseth wstał i rozprostował nogi.

— Mam pewną znajomą, która może wam pomóc. Wynajmuje pokoje. Nie są zbyt drogie, a wystarczająco porządne, byś nie musiał wstydzić się przed Deidrą. Zamieszkacie tam, zanim nie staniesz na nogi. Zaprowadzę cię do niej.

Mężczyźni opuścili przytulne ciepło pokoju i podnieśli kołnierze swych kurtek, aby osłonić się przed silnym i wilgotnym wiatrem.

— Poświęciłeś dla tej kobiety bardzo wiele. Czy nie boisz się, że będziesz tego później żałował?

Tom spojrział na Furusetha i odpowiedział z namysłem:

— Ona jest warta wszelkich wyrzeczeń.

Mężczyzna westchnął głęboko. Sam dobrze pamiętał, jak silnym uczuciem potrafi być miłość.

Mulvaney miotał się po pokoju. Twarz miał nabrzmiałą od gniewu, wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować. Jak opętany walił pięścią w blat biurka, aż w końcu zmęczony opadł na krzesło.

Minął dzień, odkąd Deidra uciekła z Tomem. Mulvaney wciąż nie mógł pojąć, jak ta mała, niewdzięczna idiotka mogła to zrobić?! Po tym wszystkim, co dla niej uczynił! Obdarzył ją miłością, dał dobre wychowanie, obsypywał prezentami, a ona ośmieliła zbuntować przeciwko własnemu ojcu. I to dla kogo? Dla syna jakiejś dziwki, zwykłego znajdy! Ale ten łotr nie będzie cieszył się długo swoim zwycięstwem. Już on, Jim Mulvaney, zadba o to.

— Duffy! — jego potężny głos wstrząsnął całym domem.

Młody Irlandczyk natychmiast zjawił się w pokoju.

— Chcę go mieć martwego, rozumiesz? Rozgnieć go jak robaka i postaraj się, żeby nie była to lekka śmierć.

— Kto to ma być, sir?

— Ten bastard, Dalton, durniu! Chcę mieć moją córkę z powrotem w domu jeszcze przed wschodem słońca. A jego zabij.

Duffy był człowiekiem prostolinijnym i słuchając rozkazów nigdy nie miał wątpliwości. Jednak tym razem jego beznamiętna twarz pobladła.

— Zawsze z radością spełniałem każdy twój rozkaz, sir. Wskoczyłbym za panem w ogień. Ale...

Mulvaney poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Jego twarz stała się purpurowa. Nie zniesie najmniejszego sprzeciwu ze strony tego głupca, przez lata korzystającego z jego dobroci i hojności. Czyżby on też chciał go zdradzić?

— Co cię niepokoi, Duffy? — zapytał z jadowitą słodyczą.

— Proszę wybaczyć, że o tym mówię, sir. Ale co będzie, jeśli on miał już przyjemność z pańską córką? Może ona jest w ciąży, pan nie może przecież zabić jej męża.

— W ciąży?! — wykrzyknął przerażony ojciec. — Ten łajdak ma moją córkę poza domem zaledwie od dwudziestu czterech godzin. To niemożliwe, by...

— Oni wzięli ślub, sir.

— Skąd wiesz? — Jim aż zgrzytnął zębami.

— Dziś wczesnym rankiem pobrali się w dzielnicy portowej. Moim obowiązkiem jest wiedzieć wszystko.

— Wielka szkoda, że nie uważałeś za swój obowiązek zapobiec temu — syknął Jim, ale kamienne oblicze Duffy'ego nie zmieniło wyrazu.

— Dlaczego po prostu nie przycisnąć go? Jeśli pan rozpuści wiadomość, że Tom jest spalony, nikt nie da mu pracy. Deidra sama wróci do domu.

Mulvaney prawie nie słyszał słów Duffy'ego. Był całkowicie ogłuszony bólem rozdzierającym mu serce. Jeśli informacje Duffiego były prawdziwe, to wszystko stracone. Małżeństwo Deidry z Tomem ostatecznie niweczyło jego plany. Żaden dobrze urodzony mężczyzna nie będzie chciał jej za żonę. I to wszystko przez człowieka, którego sam wprowadził do swego domu i uchronił od życia w biedzie. Z rezygnacją pokiwał głową. Niech zakosztują tego życia. Niech Deidra przekona się, co to znaczy żyć z dnia na dzień, martwić się o chleb dla swoich dzieci i nie mieć żadnej nadziei na przyszłość. Niech na własnej skórze odczuje, co to strach przed biedą i starością. Chciał uchronić ją przed tym, co sam przeżył, ale ona chciała inaczej.

Dał znak ręką. Duffy uklonił się i bezszelestnie opuścił pokój. Kiedy już zamknął za sobą drzwi, na jego chłopięcej ospowatej twarzy na chwilę pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. Wreszcie zrozumiał, komu powinien pozostać lojalny. Mulvaney nie zrozumiał, co jest dla niego najlepsze. Tom był przecież dobrym człowiekiem. Mógł być doskonałym mężem dla Deidry i prawowitym zięciem Mulvaneya.

Zadowolony z powziętej decyzji wyjął z szuflady kawałek drewna i wielki ostry nóż. Nucając pod nosem jakąś melodię zaczął strugać prezent dla państwa młodych.



Tom Dalton zamknął drzwi od małej, skromnej sypialni i spojrzał na zarumienioną ze wstydu dziewczynę. Stała cichutko przy wąskim oknie. Ciągle nie mógł uwierzyć, że była już jego żoną. Ta wąła, zielonooka dziewczyna była jeszcze zbyt młoda, by potraktować ją jak kobietę. Wiedział, że musi postępować ostrożnie i delikatnie. Z trudem panował nad sobą, tak bardzo jej pragnął. Dziewczyny z dobrych rodzin uczono, że współzycie z mężczyzną jest rzeczą plugawą. Dlatego z obawą i odrazą oczekiwały swego pierwszego kontaktu z mężczyzną. Tom rozumiał, że dla Deidry jest to bardzo trudna chwila. Zastanawiał się, jak ona wyobrażała sobie noc poślubną, jakie były jej oczekiwania.

Wolnym krokiem podszedł do łóżka i usiadł na jego krawędzi. Gorączkowo poszukiwał w myślach najlepszego sposobu, aby pogodzić dwie przeciwstawne siły: jego pożądanie, które niecierpliwie domagało się spełnienia, i jej strach przed zbliżeniem. Wiedział, że o tym, co dzieje się między mężczyzną i kobietą w zaciszu ich sypialń, mówi się tylko szeptem i z dwuznacznym uśmiechem. Słyszał, że młode dziewczyny z dobrych domów nie wiedzą nic o współzyciu cielesnym. Tyle tylko, że jest to przykry obowiązek, który muszą spełniać, by zaspokoić swoich mężów.

— Deidro! — wyszeptał. — Chodź do mnie, najdroższa.

Wolnym krokiem podeszła do łóżka, na którym siedział. Stała przed nim i spojrzała w jego uniesioną ku niej twarz.

— Czy boisz się mnie?

— Nie, najdroższy.

— A więc nie boisz się pójść ze mną do łóżka, żono?

Uśmiechnęła się na dźwięk tego słowa i szczupłą dłonią pogładziła jego falujące włosy.

— Opowiadano mi straszne rzeczy o tym, co to znaczy zostać kobietą. Dlatego trochę się boję. Ale też nie mogę sobie wyobrazić, by w twych ramionach mogło spotkać mnie coś złego.

— Czy rozbierzesz się, jeśli cię o to poproszę? Chcę trzymać cię i całować bez tych wszystkich szmatek.

Deidra Mulvaney Dalton odpięła dwadzieścia pięć guzików swej sukni, które sięgały od talii aż po samą szyję. Rozwiązała jedwabną szarfę i ściągnęła przez głowę ciężką suknię. Strzepnęła ją i ostrożnie ułożyła na krześle pod oknem. Trochę więcej czasu zajęło jej rozwiązywanie gorsetu opinającego jej wiotką talię. Wahala się chwilę. Miała na sobie już tylko

delikatną, muślinową koszulkę, ledwie ukrywającą jej piękne kształty przed rozpalonymi spojrzeniami leżącego na łóżku mężczyzny.

— Jakże jesteś piękna! — wykrzyknął Tom.

Wstał. Jego potężna sylwetka całkiem przysłoniła drobną postać dziewczyny.

— Czy bardzo się przestraszysz, jeśli również się rozbiore?

— Umrę, jeśli tego nie zrobisz — padła nieoczekiwana odpowiedź.

Tom stał prawie nagi, w samych tylko spodenkach, przyglądając się, jak jego ukochana żona powoli ściąga narzutę z łóżka. Po chwili wahania zdjął również bieliznę. Deidra odwróciła się i spojrzała na niego. Widok jego twardej męskości tuż przy jej nagim ciele przeził ją. Tom mimo woli uśmiechnął się.

— Nie zrobię ci krzywdy, Deidro, uwierz mi.

Tom wszedł pod kołdrę. Czuł, jak dziewczyna drży na całym ciele. Leżał przez chwilę wpatrzony w sufit. Szukał odpowiednich słów. Starał się opanować, choć najchętniej od razu zatopiłby się w jej miękkie, ciepłe ciało i zasypał pocałunkami.

Nie mogę być zbyt szybki, upominał sam siebie. Ostatnie dni były dla niej zbyt ciężkie. Wydawało mu się, że słyszy oszalałe bicie jej serca, chociaż leżała przy nim spokojnie. Odwrócił się, by wziąć ją w ramiona. Ku jego zaskoczeniu dziewczyna sama przytuliła się do niego i drżąc, namiętnie powtarzała jego imię.

— Deidro, najśłodsza, żono — szeptał Tom do jej ucha, dotykając wargami miękkich pachnących włosów. — Posłuchaj mnie, Deidro. Muszę ci coś powiedzieć. Chciałbym przeżyć z tobą tę wielką rozkosz, ale jesteś tak delikatna i krucha, iż boję się zrobić ci krzywdę. Kochankowie mogą dać sobie rozkosz, której nie znają nawet aniołowie w niebie. Nie chcę narzucać ci mojej woli. Mogę jednak nauczyć cię, byś pragnęła mnie tak mocno, jak ja ciebie, nie tylko duszą, ale całym ciałem. Mogę otworzyć przed tobą świat uniesień i rozkoszy, o którym nawet nie śniłaś. Czy będziesz zdolna zapomnieć o tym, co mówili ci inni i słuchać jedynie mnie i swego ciała?

— Czy mam zachowywać się jak nierządnicą, Tom? Czy tego mężczyźni oczekują od kobiet?

— Chcę, byś łaknęła mnie każdą częścią swego ciała. Chcę, byś pragnęła dotykać moich ust, dłoni i mego przyrodzenia z taką samą żarliwością, z jaką ja pragnę ciebie.

— Czy to normalne, by kobieta ulegała podobnym pragnieniom?

Nie odpowiedział. Objął ją i zaczął delikatnie pieścić dłońmi jej pachnącą skórę. Powoli odsłonił muślinową koszulkę, aby dotknąć jej twardych sutek, a ona, ku jego zdziwieniu, sama uwolniła się od niej do końca i leżała całkiem naga w jego objęciach. Jej usta były słod-

kie i namiętne. Tom pieścił jej piersi i delikatnie gryzł sutki. Długo musiał rozbudzać jej ciało, zanim poczuł, że wreszcie zaczyna odpowiadać na jego pieścizoty. Wziął jej dłoń i przyłożył do swego sztywnego członka. W pierwszej chwili wzbraniała się go dotknąć. Czy to ta wielka rzecz miała wyzwolić w niej nieznane szaleństwo? — pomyślała. Jej rozszalałe serce biło tak mocno, iż prawie nie mogła złapać tchu. Jak z oddali słyszała powtarzane przez Toma swe imię. Jego niecierpliwie, spragnione wargi pieściły i całowały najbardziej intymne części jej ciała. Pragnęła tych pieścizot coraz bardziej.

— Tom, Tom — słyszała swój głos, choć nie mogła uwierzyć, że ma jeszcze siłę, by krzyżeć. Zmysły całkowicie opanowały jej ciało. Przycisnęła go mocno do siebie i poczuła, jak jego silne męskie ciało wdziera się pomiędzy jej uda. Sztywne przyrodzenie Toma wniknęło do jej wnętrza, najpierw powoli i ostrożnie, a potem coraz głębiej i mocniej. Instynktownie poddawała się rytmowi jego ciała. Jak to możliwe, by był tak twardy i mocny i sięgał tak głęboko? Taka rozkosz nie może być grzechem. Wyczerpana i przestraszona gwałtownością i pięknem swego przeżycia, Deidra przytuliła się mocno do Toma. Jego ciało leżało teraz już spokojne i wyciszone. Z zamkniętymi oczyma szeptał jej do ucha czule, pełne miłości słowa.

Chciała powiedzieć, że go kocha, ale żadne słowa nie były w stanie oddać stanu, w jakim znajdowała się jej dusza. Dlatego nic nie mówiąc wodziła palcami po jego szerokich plecach i głaskała jego głowę, jakby był małym dzieckiem, które trzeba uspokoić.

Tom podniósł się, uwalniając z jej objęć. Spojrzał głęboko w jej zielone oczy i powiedział:

— Jesteś cudowna. Szaleję za tobą.

Deidra uśmiechnęła się, słysząc to szczere wyznanie. Patrzyła na zmierzwione włosy wokół jego twarzy, oświetlonej migotliwym blaskiem dopalającej się świecy.

— Czy to jest właśnie to, co może odczuwać kobieta, gdy jest z mężczyzną? — zapytała. — To zbyt piękne i zbyt gwałtowne uczucie. — Była autentycznie zmieszana. — Czy teraz moje serce jest już zepsute jak serce nierządnicy? Czy to oznacza, że nie jestem tak czysta, jak uważałam?

Tom przytulił się do niej. Jej strapiona twarz bawiła go.

— Możesz być namiętna jak nierządnica, mieć serce kobiety i ciało anioła. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, mając ciebie za żonę — czule pogłaskał ją po zarumienionym policzku. — Czy nie widzisz, jak mało znaczymy na tym świecie? Trudzymy się, pragniemy, cierpimy i umieramy. Ale otrzymaliśmy w darze miłość między kobietą a mężczyzną, która pozwala nam to wszystko znieść. To jedyny dar, Deidro, jaki mamy od Boga, zdolny wyrównać cenę wszystkich cierpień.

To wyjaśnienie zdawało się wystarczać dziewczynie wychowanej w duchu katolickim. Coś jednak mówiło Deidrze, że za szczęście tak wielkie jak to trzeba będzie zapłacić, a cena musi być bardzo wysoka.

Młoda para zadomowiła się w mieszkaniu, które Furuseth znalazł dla nich na ulicy De-sbrosses. Pomimo licznych niewygód było ono bezpieczną i szczęśliwą przystanią. Donaher zajął się jego umeblowaniem, a Billy wyposażyła je w niezbędne dla młodej gospodyni drobiazgi. Drogocenna broszka Deidry została sprzedana, a za uzyskane pieniądze Tom nabył metalowy piec. Za resztę oszczędności kupili na bazarze naczynia i sztucce, używane ręczniki i pościel. Kiedy Tom pracował w dokach, Deidra gotowała, szyła, sprzątała. Miłość, którą czuła do męża, pozwalała jej znosić te wszystkie niewygody. Po pewnym czasie zaakceptowała nawet sąsiadów, którzy z początku budzili w niej nieufność, a chwilami nawet odrazę. Szybko zaprzyjaźniła się z właścicielką domu, panią O'Connor, której rady okazywały się dla młodej mężatki bezcenne.

— Nigdy nie chodź sama w pobliże ulicy River, panienko — powiedziała jej jednego popołudnia. — To niebezpieczne miejsce. Pełno tam różnych szumowin i zbójów. Gdyby zobaczyli tak śliczną sarenkę, już by jej nie puścili. Ludzie opowiadają takie rzeczy! Ile to już młodych kobiet zostało porwanych i sprzedanych do burdeli w innych, odległych miastach!

Deidra poważnie potraktowała tę przestrożę. Zawsze zastanawiała się, co popycha niektóre kobiety do uprawiania tak ohydneho procederu jak prostytutka. Nigdy jednak nie pomyślała, że może się to stać wbrew ich woli. Przypomniała sobie Billy, której tak wiele z Tomem zawdzięczali. Przecież i ona była rozpustną kobietą i sprzedawała się mężczyznom. Cały ten nowy świat był tak niesamowity i groźny! A jednak godziny, które spędzała z mężem, napawały ją otuchą i nadzieją. Kiedy wracał wieczorem z pracy, ogarniało ją dziwne i nieznane dotąd poczucie bezpieczeństwa. Wiedziała, że przy Tomie nie może spotkać jej nic strasznego.

Dotkliwie natomiast odczuwała brak pieniędzy. Całe życie spędziła w wygodnym i luksusowym domu ojca, dlatego z trudem przystosowywała się do kłopotów dnia codziennego. Gotowanie, sprzątanie i cerowanie skarpetek było naturalnie męczące, ale z drugiej strony dawało jej poczucie, że jest potrzebna. Z naiwną dziewczęcą wręcz radością i zapalem uczyła się żyć w nowych warunkach. Dzięki obrotnej pani O'Connor szybko nauczyła się, jak zaradna gospodyni z dzielnicy portowej potrafi zręcznie wytargować na bazarze kilka pensów. Każda zaoszczędzona w ten sposób suma napawała ją prawdziwą dumą.

Tom często przyprawdzał do domu przyjaciół ze związków zawodowych. Donaher i Furuseth byli niemal stałymi gośćmi w ich skromnym, ale otwartym dla ludzi mieszkaniu. Z czasem przyjacielskie spotkania u Daltonów zaczęły przeradzać się w prawdziwe mityngi działaczy z Unii. Dla Deidry pełniącej rolę gospodyni było to trochę kłopotliwe, ale zawsze starała się przygotować gościom coś do zjedzenia, trochę kruchych ciasteczek własnego wypieku, gorącą herbatę czy szklaneczkę czegoś mocniejszego. Chociaż często nie było dość

jedzenia dla nich samych, nie mówiąc już o gościach, to jednak jakoś radzili sobie. Deidra była szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Pani O'Connor pierwsza zorientowała się, że Deidra jest w ciąży. Dziewczyna z początku uznała, że poranne nudności są wynikiem jej nieudanych eksperymentów kulinarnych. Nie miała matki, która mogłaby ją wrowadzić we wszystkie sprawy kobiecego życia. Kiedy zorientowała się, co jest prawdziwą przyczyną jej stanu, przeraziła się. Obawa przed tym, co ją czeka, brała górę nad naturalną radością kobiety spodziewającej się swego pierwszego dziecka.

— Chciałabym spotkać się z Billy. Myślę, że ona może mi pomóc. — Oświadczyła uroczystym tonem mężowi, kiedy już poinformowała go o swym stanie. Była zaskoczona i trochę rozgoryczona zachowaniem Toma. Stał się jakby oziębły i mniej czuły, kiedy trzymał ją w ramionach.

— Czy nie chcesz tego dziecka? — spytała go wprost.

— Ależ oczywiście, że pragnę go.

— No więc muszę spotkać się z Billy... Oczywiście, jeśli się zgodzisz. Ja po prostu nie wiem, jak to jest, kiedy kobieta zachodzi w ciążę. Nie znam się na tych sprawach. Nie mam nikogo bliskiego, żadnej przyjaciółki, która mogłaby mi doradzić. Wiem, że jesteś zły na mnie, bo chcę spotkać się z kobietą, która... no wiesz, robi te straszne rzeczy, ale to jedyna przyjazna nam osoba, która może mi pomóc. Myślę, że ona musi wiedzieć na ten temat wszystko, jest przecież doświadczona. — Zamilkła na chwilę, jakby zastanawiała się, czy powinna dokończyć swą myśl. — Poza tym potrzebuję przyjaciółki. Nic mnie nie obchodzi, jak Billy zarabia na życie, to jej sprawa.

Tom roześmiał się z ulgą i przytulił troskliwie żonę.

— Kocham cię, dziewczyno. Jeden Bóg wie, jak bardzo.

Ukrył twarz w jej miękkich włosach i czule głaskał dłonią jej ciepłe ciało.

— Przyszłam zobaczyć się z panną Billy.

Deidra powiedziała to dobitnym głosem do niechlujnie wyglądającej młodej kobiety, która otworzyła jej drzwi. Dziewczyna zdawała się jednak nie rozumieć, o co jej chodzi.

— Jestem panią Dalton, przyjaciółką Billy — dodała dla wyjaśnienia. — Jestem pewna, że zechce mnie przyjąć, jeśli oczywiście pani jej o tym powie.

Chciała, by dziewczyna zaprosiła ją do środka. Stojąc w drzwiach burdelu czuła się bardzo niezręcznie i obawiała się, że ktoś może zobaczyć ją w tym dziwnym miejscu.

— Pewnie, skarbie — odparła dziewczyna z kwaśną miną. — Billy jest na górze, ale poproszę, by zeszła. Wejdz do środka tymczasem.

Deidra z ulgą usiadła w aksamitno-czerwonym pokoju. W ową noc, kiedy była tu pierwszy raz, jej oczy przesłaniało uniesienie tamtej chwili, dlatego nie dostrzegła wszystkich szczegółów tego miejsca. Świadomość, iż znajdowała się w domu rozpusty, napawała ją uczuciem nerwowej niepewności i zmieszania. Nie była już tak bardzo pewna, czy słusznie postąpiła przychodząc tu. Jednak nie było już odwrotu. Na schodach pojawiła się Billy. Na jej widok dziewczyna straciła całą swoją odwagę. Nigdy dotąd nie spotkała tak wspaniałej kobiety. Stanowiła ona uosobienie silnej woli, zdecydowania, sprytu i... grzechu.

— Pani Dalton? Czy pani mąż wie o tej wizycie? — zapytała z niepokojem Billy.

— Powiedziałam mu, że muszę się z panią spotkać. Ta wizyta nie jest więc dla niego tajemnicą. Zgodził się i stwierdził, że to rozumie.

Billy przytaknęła głową z aprobatą. Widać było, że przyjęła odpowiedź Deidry z wielką ulgą.

— Przyniosłam pani mały prezent — odezwała się Deidra, by podtrzymać rozmowę. — Właściwie to nie jest żaden prezent, tylko kruche ciasteczka, które sama upiekłam.

Uśmiechnęła się, aby ukryć zażenowanie.

— To jedyna rzecz, którą nauczyłam się przyrządzać jako młoda gospodyni.

Wyciągnęła małą paczuszkę zawiązaną sznurkiem. Billy zaczęła powoli rozumieć, że ta młoda, trochę zagubiona dziewczyna pragnęła odnaleźć w niej przyjaciółkę.

— Nikt dotąd specjalnie dla mnie nie piekł ciasteczek. To naprawdę cudowny prezent — odparła z uśmiechem. — Nigdy nie dostałam od żadnej kobiety prezentu.

Usiadła obok Deidry, położyła paczuszkę na kolanach i z radością małego dziecka, które właśnie dostało zabawkę, zaczęła rozwiązywać sznurek.

— Zjemy je razem i napijemy się herbaty — zdecydowała.

Wyjęła z kieszeni sukni mały dzwoneczek i potrząsnęła nim energicznie. Natychmiast do pokoju wbiegł mały Murzynek w śmiesznej czerwonej liberii.

— Przygotuj dla pani Dalton i dla mnie pyszną herbatę — zwróciła się do niego.

Kiedy chłopiec wyszedł, usiadły przy stole.

— Jestem bardzo onieśmielona, Billy. Przyszłam, aby poprosić cię o pomoc.

Billy przytaknęła na znak, że dziewczyna może mówić dalej.

— Przychodzę w bardzo delikatnej sprawie. — Deidrze zdawało się, że dostrzegła w oczach Billy jakiś niezrozumiały smutek. — Właściwie nie wiem, jak to powiedzieć, ale nie mam zbyt wielkiego doświadczenia w intymnych sprawach... nic nie wiem na przykład o ciąży, rozumiesz? Byłam u lekarza, ale on, zdaje się, był jeszcze bardziej zażenowany niż ja, kiedy zaczęłam stawiać mu pytania...

Deidra patrzyła błagalnie na Billy, mając nadzieję, że zrozumie ona całą niezręczność tej sytuacji.

Pomyślałam więc... byłaś taka miła dla nas. Z pewnością wiesz wiele rzeczy, których ja nie rozumiem...

Nie dokończyła myśli i opuściła ze wstydem wzrok. Kiedy ponownie spojrzała na Billy, zobaczyła, że uśmiecha się, a jej długie, czarne rzęsy są wilgotne. W końcu kobieta odezwała się:

— Posłuchaj, skarbie, zawrzyjmy umowę. Ty nauczysz mnie, jak mam się zachowywać, by być prawdziwą damą, a ja nauczę ciebie, jak być kobietą. Zgoda?

Kiedy Tom wrócił wieczorem do domu, ze zdumieniem dowiedział się, że jego żona spędziła tego popołudnia aż cztery godziny w domu publicznym w towarzystwie swej przyjaciółki.

49.

Będą masowe zwolnienia, Tom — oświadczył Donaher, stając na progu mieszkania Daltona. Przyszedł wraz z Furusethem, aby podzielić się z przyjacielem złymi nowinami. Tom cały dzień czekał niecierpliwie na wynik negocjacji związkowców z pracodawcami.

— Wejdźcie do środka i rozgoście się. — Tom podszedł do przyjaciół, wziął od nich ciężkie bawełniane płaszcze i powiesił na wieszaku. — Cały dzień czekamy z Deidrą na jakieś wiadomości.

— Niestety, nic dobrego nie mogę ci przekazać — Donaher rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę Deidry. — Przykro mi, że przynoszę do waszego domu same smutki.

Dziewczyna podeszła do niego, wspięła się na palce i pocałowała potężnego Irlandczyka w policzek.

— Zawsze jesteście mile widziani w naszym domu, kochani przyjaciele, bez względu na to, czy przynosicie dobre czy złe wiadomości.

Potem przeszła do małej kuchni.

— Napijcie się gorącej herbaty? — zapytała z matczyną troską w głosie.

— No, może z jakąś malutką wkładeczką, jeśli masz w domu trochę whisky — odkrzyknął Donaher w jej stronę. Furuseth, który wydawał się jakiś nieobecny, uśmiechnął się tylko z aprobatą.

— Szczęściarze! Właśnie zostało na dnie parę kropel — odparła ze śmiechem, jakby chciała w ten sposób odpędzić atmosferę przygnębienia, którą wywołały złe wieści.

— Wygląda na trochę przemęczoną — Donaher zwrócił się do Toma przyciszonym głosem. — Czy to z powodu dziecka, którego oczekuje, czy tak bardzo przejęła się porażką związków zawodowych?

— Widzę, że nic nie ujdzie twojej uwagi — odparł Tom. — Myślę, że martwi się z obu powodów. Jest jeszcze taka młoda. Staram się jak mogę uchronić ją przed brutalnością życia, ale nie zawsze mi się udaje. Zresztą chwilami jest uparta i uważa, że nie powinienem się nad nią litować. Bardzo przejmuję się ciężką. Jest wprawdzie pod stałą opieką Billy, która twierdzi, że nie będzie miała żadnych komplikacji przy porodzie, ale sami wiecie, jakie są kobiety. Ciągłe się martwi.

— Tak — odezwał się zamyślony Furuseth. — Istotnie mamy wystarczająco dużo powodów do zmartwień.

Tom spojrział z troską na przyjaciela.

— A właściwie co się stało? — spytał Andrewa, który nerwowo pocierał dłonie, jakby chciał rozgrzać zdrętwiałe od zimna palce.

— Bardziej sami skakaliśmy sobie do oczu, niż spieraliśmy się z przedstawicielami pracodawców. To było żalosne.

Norweski akcent Furusetha stawał się bardziej wyraźny, kiedy zaczynał mówić charakterystycznym dla siebie płomiennym i pełnym emocji tonem agitującego podczas wiecu mówcy. Co chwila wtrącał jakieś norweskie słowa lub całe zwroty.

— Jedni chcieli strajkować, inni chcieli negocjować, a jeszcze inni chcieli jedynie ładnie wyglądać na zdjęciu w gazecie.

Tom sięgnął po butelkę whisky i nalał przyjacielowi pełną szklankę. Spojrzał na niego i powiedział:

— Dobrze wiedziałeś, że tak to będzie. Co teraz chcesz zrobić, Andy?

— Myślę, że trzeba dalej negocjować. Nie mamy innego wyjścia. Powinniśmy szczerze przedstawić nasze postulaty, a potem, jeśli się nie ugną, pójść na ustępstwa. Nie możemy pertraktować zbyt ostro, przynajmniej dopóki nie minie zima. Lodowate zimno i głód to najgorsi sprzymierzeńcy naszych przeciwników, dlatego na razie musimy być elastyczni.

— Elastyczni?! Andrew, nie bądź cholernym dupkiem! — wykrzyknął Donaher, a twarz aż mu poczerwieniała z wściekłości. — Oni także doskonale wiedzą, co dla robotników oznacza ciężka zima, i bądź pewny, że wykorzystają to, by nam jeszcze bardziej doko-
pać.

— W jaki sposób? — spytał Tom z powagą.

— To proste. Oni bardzo dobrze wiedzą, że nie wytrwamy przez całą zimę i musimy czekać ze strajkiem do wiosny. Dlatego mogą obcinać nam pensje, jak im się tylko spodoba.

Tom spojrział pytająco na Furusetha i z jego twarzy wyczytał, że zarzuty Donahera są całkowicie uzasadnione. Ich przyszłość leżała w rękach pracodawców. I musiało do tego dojść akurat teraz, kiedy spodziewali się dziecka — pomyślał z goryczą i bezsilną wściekłością. Nic jednak nie powiedział. Próbował pohamować w sobie gniew, wywołany tak jawną niesprawiedliwością i okrucieństwem.

— Do następnego spotkania wszystkich central związkowych pozostał cały tydzień. Myślę, że ten czas moglibyśmy wykorzystać na indywidualne negocjacje z pracodawcami. Tylko my, bez innych, z czystej ciekawości, jaka będzie ich reakcja. Może uda się nam wysondować, jakie mają zamiary. A nawet jeśli nie, to przynajmniej powiemy im, co o nich myślimy. To chyba warte zachodu?

— Jak chcesz ich nakłonić do podjęcia rozmów?

— Myślałem o tobie, Tom. Potrafisz rozmawiać z tymi facetami jak prawdziwy adwokat. Może napisałbyś jakiś list do samego Morgana.

Donaher aż zagwizdał.

— A to się dopiero zdziwią chłopaki, co taki zdolny prawnik robi w portowej dzielnicy!

Furusetth obstawał przy swojej propozycji.

— Może właśnie dlatego zaczną traktować nas poważniej. Zaskoczony Tom spojrział na Donahera i spostrzegł, że jego przyjaciel

jest równie zmieszany, jak on sam. Żaden z nich nie odważyłby się na podobny krok. Zwrócić się osobiście do Morgana! To było szaleństwo. A jednak właśnie ta desperacka odwaga Furusettha różniła go od innych. Był gotów pójść do samego Pana Boga, jeśli uważałby, że to pomoże sprawie.

Woda

Sala, w której miały odbywać się negocjacje z przedstawicielami robotników portowych była obszerna i przypominała surową nawę olbrzymiego kościoła. Za długim, czarnym stołem konferencyjnym siedział rząd dobrze ubranych urzędników, adwokatów i finansistów o kamiennych twarzach wytrawnych pokerzystów lub pozbawionych wszelkich skrupułów gangsterów. Mała grupka związkowców z Tomem na czele czuła się onieśmielona i całkiem zagubiona. Dalton spostrzegł, że wśród ponurych facetów w czarnych garniturach za stołem siedzi także starszy mężczyzna o dostojnym i władczyim spojrzeniu. Tuż za nim za oparciem fotela, w którym siedział, trzymało straż dwóch goryli. Tom nie mógł wprost uwierzyć, że tak potężny człowiek jak pan Morgan zechciał odpowiedzieć na jego list i doprowadzić do tego spotkania. Donaher szturchnął Toma łokciem i nie odrywając oczu od charyzmatycznej postaci Morgana, wyszeptał:

— To twardziel, prędzej zabiłby własną matkę, niż podzielił się z nią kawałkiem chleba.

Mężczyzna siedzący po prawej ręce Morgana, jego osobisty sekretarz i doradca, przemówił jako pierwszy. Jego monotony, nosowy głos odbijał się echem w wielkiej sali. Każdy kto tutaj wszedł, musiał odczuwać onieśmielenie. Ogrom tego pomieszczenia sprawiał, że związkowcy czuli się jak marny pył, który wszechmocny Bóg jednym dmuchnięciem mógłby zmieść z powierzchni ziemi.

— Jakie właściwie są żądania pana robotników? — sekretarz Morgana z nie tajoną ironią zaakcentował słowo „robotnicy”. Na jego nieprzystępnej i ascetycznej twarzy malował się wyraz najwyższej pogardy.

— Przede wszystkim chcemy być traktowani z należyтым szacunkiem, sir. — Głos Toma był zaskakująco spokojny i zrównoważony. Dokładność, z jaką potrafił wyłuszczyć całą sprawę, fachowe zwroty, których używał, zadziwiająca elokwencja i swoboda, z jaką precyzował myśli, wyraźnie zaskoczyły ponurych facetów w czarnych garniturach. Od razu zorientowali się, że mają do czynienia z wykształconym człowiekiem, a nie jednym z tych „nieokrzęsanych rebeliantów”, jak określali związkowców.

— Czy można wiedzieć, kim jesteś? — zapytał Morgan z przesadną uprzejmością w głosie, a na jego twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. Najwyraźniej nie lubił być zaskakiwany przez nieoczekiwane okoliczności. Tom, patrząc na jego apodyktyczną twarz, pomyślał, że ten człowiek na pewno nie cofnie się przed niczym, aby tylko postawić na swoim. Przypominał Mul — vaneya.

— Nazywam się Tom Dalton i to ja właśnie napisałem do pana list z prośbą o spotkanie. Ponieważ posiadam pewną praktykę w prowadzeniu negocjacji, występuję w roli przedstawiciela związkowców.

— Powtarzam pytanie — ponownie odezwał się sekretarz Morgana. — Jakie są żądania pańskich związkowców?

Złośliwość, z jaką to powiedział, była zupełnie wyraźna. Donaher odruchowo zacisnął pięści i postąpił krok do przodu, jakby szykował się do bijatyki. Tom położył dłoń na ramieniu przyjaciela, dając mu do zrozumienia, że jedynym sposobem negocjacji jest rozmowa.

— Nasze żądania są proste. Żądamy stworzenia pośrednictwa pracy dla robotników portowych. Nie chcemy dłużej stać w zimnie, na śniegu przed bramą i czekać na werdykt majstra. To, czy możemy pracować czy nie, nie może zależeć od jego arbitralnych decyzji. Ten proceder musi zostać zlikwidowany. Ponadto domagamy się uczciwych zarobków, które pozwolą nam wyżywić nasze rodziny, oraz ustalenia form negocjacji dotyczących ewentualnych podwyżek. Domagamy się ukrócenia bezkarności majstrów, którzy zmuszają nas do nieludzkiej pracy i nielegalnie zabierają część naszych zarobków. Nie możemy cierpieć z powodu ich nieuczciwości. Chcemy mieć prawo do zrzeszania się — bez groźby represji lub zwolnień z pracy. Żądamy także prawa do zaskarżania decyzji, które uważamy za sprzeczne z prawem. Chcemy być traktowani jak ludzie, a nie jak niewolnicy czy zwierzęta. Domagamy się również uznania naszego oczywistego wkładu w zyski waszych firm i przedsiębiorstw i chcemy, by ten wkład był odpowiednio wynagradzany.

Tom przerwał na moment, by spojrzeć na twarze ludzi, od których zależało praktycznie wszystko, życie i śmierć tysięcy robotników, ich żon i dzieci. Czy będzie w stanie wzbudzić w nich litość, czy w ich sercach z kamienia tli się choć mała iskierka uczucia?

— Żądanie, którego spełnienia domagamy się natychmiast to przywrócenie do pracy zwolnionych wcześniej sympatyków i członków związków zawodowych oraz przystąpienie do rozmów o podwyżce płac.

Ponurzy faceci w czarnych garniturach spojrzeli po sobie bezradnie, po czym wzrok ich skierował się w stronę Morgana. Przez cały czas, kiedy Tom jednym tchem wymieniał żądania związkowców, starzec przyglądał mu się z lekko przechyloną na bok głową i bacznie obserwował każdy ruch młodego człowieka.

— Niech mi pan dokładnie zreferuje całą sprawę — odezwał się nieoczekiwanie.

Ton jego głosu nie był wprawdzie przychylny, ale też nie wyczuwało się w nim ani ironii, ani szyderstwa. Tom opowiedział mu szczegółowo o warunkach pracy w porcie i potrzebach robotników. Później głos zabrał Furuseth i Donaher. Obaj najwyraźniej starali się, by ich mowa nie odbiegała zanadto od poziomu Toma. Dawało to chwilami komiczny efekt, bo często używali słów, których znaczenia sami dobrze nie pojmowali. Kiedy skończyli, poproszono ich, by opuścili salę na kilka minut, aby pracodawcy mogli uzgodnić wspólne stano-

wisko. Czekali w trójkę na korytarzu, Furuseth pełen optymizmu i nadziei, Donaher, który trochę lepiej znał nieustępliwość pracodawców, miał pewne nadzieje, natomiast Tom, pamiętając lodowate spojrzenie J.P. Morgana, wiedział, że wszelki optymizm jest pozbawiony jakichkolwiek podstaw. Po krótkim czasie pojawił się sekretarz Morgana.

— Pan Dalton proszony jest na rozmowę — powiedział swym charakterystycznym, nosowym głosem. Nawet nie spojrzął na osobę, do której kierował swe słowa. Tom wstał i wszedł ponownie do wielkiej sali. Zastanawiał się, jaki będzie następny ruch przeciwnika w tej swoistej grze nerwów. Przy stole siedział jedynie Morgan. Jego postać wydawała się teraz śmiesznie mała i całkowicie pozbawiona tego splendoru, jaki otaczał go przy pierwszym spotkaniu. Władca bez swego dworu wyglądał niepozornie.

— Nie będę ukrywał, panie Dalton, że zrobił pan na mnie pozytywne wrażenie. — Głos miał trochę zachrypnięty i z trudem wymawiał słowa, jakby oddychanie sprawiało mu problemy. Najwyraźniej cierpiał na astmę. — Spełniłeś swoje zadanie nadzwyczaj skutecznie. Będę teraz o wiele bardziej ostrożny niż przedtem. O interesy robotników jestem całkiem spokojny, skoro mają tak świetnych prawników jak ty, chłopcze. Bądź pewny, że traktuję cię jako poważnego przeciwnika i teraz, znając twoje możliwości, uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby wyeliminować cię z gry.

Tom chciał mu przerwać, ale starzec pełnym irytacji gestem ręki nakazał młodzieńcowi milczenie.

— Z drugiej strony, jak powiedziałem, zrobiłeś na mnie pozytywne wrażenie. Dlatego chcę ci zaproponować pracę. Tak bystry młody człowiek jak ty, z twoim doświadczeniem i zdolnościami może zająć bardzo wysoko. Jeśli odrzucisz ofertę, podpiszesz tym samym wyrok śmierci na siebie i całą tę bandę głupców, którym się wydaje, że mogą mnie do czegoś zmusić. To śmieszne. Nie są dla mnie niczym więcej jak niewolnikami. Niewolnicy nie domagają się praw, oni tylko pracują. Jeśli cokolwiek się im nie podoba, mogą zastąpić ich tysiącem innych, którzy z pocałowaniem ręki przyjmą to, co im dają. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

Tom milczał. Wiedział, że to jeszcze nie koniec monologu.

— Przyłącz się do mnie, a wprowadzę cię na sam szczyt. Jeśli odmówisz, jutro wydam polecenie, aby wyrzucono z pracy każdego robotnika, wobec którego istnieje choć cień podejrzenia, iż sympatyzuje ze związkami. Jak myślisz, czy nakarmisz tych wszystkich biedaków swoim czystym sumieniem, kiedy nadejdzie zima? Związki i tak są skazane na zagładę bez względu na to, czy będziesz pracował dla mnie czy dla nich. Czy nie lepiej jest opuścić statek, zanim zatonie?

— Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, panie Morgan, co pan powie w dzień sądu ostatecznego? — w tym pytaniu kryła się groźba, jakby przez Toma przemawiał sam Anioł

Zemsty. Jakże wielkie było zdziwienie młodzieńca, gdy na twarzy Morgana zamiast strachu dostrzegł uśmiech.

— Czy pan do tej pory nie zauważył jeszcze, że Pan Bóg jest po mojej stronie? — stary człowiek spojrział z rozbawieniem na Toma.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, jakby mierząc siły. Potem Dalton odparł zdecydowanym tonem:

— Odmawiam jakiegokolwiek współpracy, panie Morgan. Zbyt wysoko cenię sobie swój honor, by pracować dla takiego człowieka jak pan. — Uśmiechnął się. — A jeśli chodzi o Boga... on nie powiedział jeszcze ostatniego słowa i jestem pewien, że przyjdzie taki dzień, kiedy zapłaci pan za wszystkie swoje grzechy. Może jeszcze nie teraz, może ci biedni ludzie rzeczywiście są skazani na zagładę, jak pan mówi. Ale kiedyś jego gniew obróci się przeciwko takim jak pan. Ostatecznie w *Piśmie Świętym* to budowniczywie piramid przeszli suchą stopą przez Morze Czerwone, a na faraonów zesłano plagi. Niech pan o tym nie zapomina.

— Wątpię, panie Dalton, czy Pan Bóg zada sobie tyle fatygi z pańskiego lub mego powodu — odparł Morgan.

Tom poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Mógłby zabić tego starego, aroganckiego i głupiego despotę, który bawił się kosztem tysięcy bezrobotnych i biednych ludzi. Jeśli wszyscy bogacze są tak bezwzględni jak on, to rzeczywiście biedni mogą liczyć jedynie na wieczną udrękę i upokorzenie. Opuścił biuro Morgana w poczuciu porażki i bezsilności wobec jawnej niesprawiedliwości i wyzysku.

— Najchętniej naszczałbym mu na biurko! — Donaher miotał przekleństwami. — Ten stary sukinsyn zasłużył sobie na pogrzeb.

Ani Tom, ani Furuseth nic nie odpowiedzieli. Szli ulicą w milczeniu, pogrążeni w myślach.

Diamond Jim Mulvaney leżał na łóżku w apartamencie Billy. Był wyraźnie niezadowolony.

— Wyglądasz dzisiaj jak chmura gradowa — zauważyła piękna blondynka, siadając na brzegu łóżka. Miała na sobie czarną, koronkową bieliznę, którą Jim tak bardzo lubił. Widząc ją w tym zmysłowym stroju zwykle zapominał o wieku i kondycji swego ciała dokonując w łóżku zadziwiających wyczynów. Tej nocy pozostał jednak obojętny, całkowicie pochłonięty swymi myślami.

— Brakuje ci ich obojga, prawda, kochanie? — powiedziała łagodnym głosem. Doskonale wiedziała, co jest powodem tego fatalnego nastroju. Przesunęła głonią po jego udach, ale Jim pozostawał niewrażliwy na pieszczoty.

— Wcale mi ich nie brakuje, nic mnie nie obchodzą!

— Przestań chrzanić, Jim.

Mulvaney uniósł wysoko brew, a jego nalana twarz zrobiła się purpurowa, po chwili jednak uśmiechnął się.

— Masz jak zwykle cholerną rację — pochylił się w stronę Billy i zaczął głaskać jej nagie ramiona. Nigdy nie potrafił być brutalny wobec kobiet, onieśmielały go i odbierały mu całą odwagę. — Bez Deidry mój dom stał się przerażająco pusty. Pamiętam, że gdy siedziałem w gabinecie pochłonięty różnymi sprawami, ona przychodziła do mnie, nalewała mi szklankę whisky, całowała w czoło i mówiła, „jesteś cudowny”. — Mulvaney uśmiechnął się rozmarzony na wspomnienie tych chwil. — A Tom? Niech Bóg ma go w opiece. Był najlepszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek u mnie pracował. Lubiałem siadywać z nim wieczorami i rozmawiać całą noc. Traktowałem go jak syna. Dlatego tak wiele mogłem mu wybaczyć, choć przecież nie zawsze był wobec mnie całkiem lojalny.

— Czy dlatego byłeś tak nieprzejednany, kiedy poprosił o rękę Deidry? Czasami wydaje mi się, że robisz naprawdę wszystko, by zerwać wszelkie więzi przyjaźni, jakie łączą cię z innymi ludźmi. Wolisz otaczać się pochlebcami niż przyjaciółmi.

Ta uwaga najwyraźniej rozgniewała Jima.

— Nigdy nie zdradziłem naszej przyjaźni, Billy — odparł urażony.

— Dlatego, że traktujesz mnie jak swoją własność. Dopóki wiesz, że jestem całkowicie uzależniona od ciebie, nie musisz przejmować się moimi uczuciami. — Uśmiechnęła się do niego, jakby chciała dać do zrozumienia, że jest gotowa wybaczyć mu wszystko.

— A co, kochasz mnie tak sama z siebie? — zapytał zirytowany.

— Zawsze byłem ci niezmiernie wdzięczna za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. Okazałbyś się jednak cholernym głupcem, gdybyś myślał, że cały nasz związek opiera się jedynie na wdzięczności. Ufamy sobie nawzajem, potrzebujemy się, wiemy o sobie bardzo dużo. Jesteś wyjątkowym człowiekiem, Jim. Powiem ci jednak coś: doskonale znasz się na ludzkich charakterach, ale nie masz zielonego pojęcia o uczuciach kobiet. Jeśli w grę wchodzi miłość, nie masz więcej doświadczenia niż chłopiec ze szkoły podstawowej. Jeśli masz zamiar dalej upierać się przy swojej dumie, to ja umyвам ręce. Wiedz tylko jedno, jesteś na najlepszej drodze, aby stracić zarówno Deidrę, jak i Toma!

Policzki Billy aż poczerwieniały z gniewu, a jej oczy dziwnie rozbłyły.

— Jesteś wściekły na niego, bo potrafił cię przechytryć. Powinieneś być szczęśliwy, że poślubiła faceta, który ma głowę na karku, a nie jakiegoś bostońskiego wypierdka o ptasim mózdzku!

Billy wstała z łóżka, po czym ostentacyjnie wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami. Jim najwyraźniej oszołomiony jej reakcją, patrzył długo na drzwi, które zamknęły się za nią. Potem pokręcił głową i wymamrotał:

— Co, do jasnej cholery, strzeliło jej do głowy?

Czuł się idiotycznie siedząc nago w łóżku w burdelu, który należał do niego, a w którym dziwki wydawały mu rozkazy, pouczały, co ma robić, a na koniec trzaskały drzwiami.

Wydruk

51.

Deidra odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Wyprostowała plecy, z trudem próbując zebrać siły. Była w zaawansowanej ciąży. Pomimo tego od kilku tygodni pracowała ciężko w zaimprovizowanej naprędce kuchni, gdzie gotowano pożywienie dla strajkujących robotników. Wiele kobiet uważało to za akt wielkiej odwagi z jej strony, ale wiele też twierdziło, że Deidra jest po prostu lekkomyślna. Tom także obawiał się o jej bezpieczeństwo. Należało liczyć się z tym, że pracodawcy rozwścieczeni oporem strajkujących będą chcieli wziąć odwet. W każdej chwili mogli nasłać na prowadzoną przez kobiety kuchnię wynajętych zbirów od brudnej roboty. Pomimo tych całkiem realnych zagrożeń Deidra Dalton nadal pracowała przy przygotowywaniu posiłków. Czas poświęcony tej pracy był dla niej sposobem wyrażenia solidarności z biednymi ludźmi. Czuła, że w ten sposób dodaje innym otuchy. Chciała także być blisko męża i w miarę swych sił i możliwości dzielić z nim tę odpowiedzialność, którą wziął na siebie.

Strajk rozpoczął się w pełnej entuzjazmu atmosferze ewangelicznej solidarności i braterstwa. Robotnicy byli przekonani, że Włosi i inni emigranci, których sprowadzono do portu, by złamać strajk, nie wytrzymają presji i w niedługim czasie zrezygnują z pracy. Kiedy ładowacze węgla przyłączyli się do buntu, radość związkowców nie miała granic. Inne centrale związkowe poszły śladem węglarzy i po raz pierwszy przywódcy związkowi — Furu-seth, Gilligan, Hardy, O’Connel i Flynn — byli przeświadczeni, że zwycięstwo jest już bliskie. A jednak Włosi nie ustąpili. Szybciej niż sądzono przyuczyli się do zawodu. Wprawdzie ci drobni i nie wyrośnięci makaroniarze nie byli w stanie dźwigać worków z cukrem, które ważyły ponad sto osiemdziesiąt funtów — dla potężnie zbudowanego Irlandczyka taki ciężar to drobiazg — jednak sprytni majstrzy wybrnęli i z tego. Pracę jednego Irlandczyka wykonywało dwóch Włochów i już wkrótce ładownie statków zaczęły wypełniać się towarami.

Jednak najgroźniejszym i najbardziej dokuczliwym przeciwnikiem była dla strajkujących zima i przejmujący mróz. Deidra zdawała sobie sprawę, że talerz gorącej zupy, którą wydawała codziennie rodzinom robotników, dla wielu był jedyną szansą przetrwania tych straszliwych czasów. Oglądając zacięte twarze kobiet gotowych na wszystko, by tylko zdobyć kawałek chleba i trochę ciepłej strawy, zaczęła rozumieć, co dla człowieka może oznaczać głód i nędra.

Deidra posprzątała kuchnię i usiadła na małym taborecie tuż koło wielkiego, rozgrzanego kotła. Czuła ostry ból w krzyżu i ręką próbowała rozmasować plecy. Miała nadzieję, że to nic poważnego, nie chciała dodatkowo martwić Toma. Ten biedak ma i tak wystarczająco dużo na głowie, pomyślała.

Strajk trwał już sześć tygodni. Początkowy entuzjazm i nadzieja zwycięstwa ustępowały miejsca zwątpieniu i rozczarowaniu. Ale wola wytrwania jeszcze nie zgasła. Strajkujący otrzymywali z kasy związkowej początkowo połowę swoich zarobków, ale wypłaty z każdym dniem stawały się coraz niższe i wkrótce przypominały jałmużnę. Wielu skrętnie odkładało grosze przeczuwając, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy kasa związków będzie zupełnie pusta. W ten sposób próbowali zachować coś na czarną godzinę. Strajkujący zbierali się zwykle nocą w Domu Marynarza lub w Pythagoras Hall. Tam przyciszonymi głosami, jakby w obawie, że ktoś ich podsłuchuje, dzielili się skąpymi informacjami bądź słuchali przemówień swoich liderów, starających się dodać im otuchy i odwagi. Jednak po sześciu tygodniach, w ciągu których nie pojawił się nawet cień szansy na rychłe zwycięstwo, cierpliwość ludzi zaczynała się już wyczerpywać. Co gorsza, wśród przywódców związku pojawiły się różnice zdań. Gdyby niespodziewanie doszło do rozmów, znowu każdy reprezentowałby swoje partykularne interesy. Ale nie nadchodził żaden sygnał świadczący o zmianie twardego stanowiska właścicieli.

Trzech mężczyzn stało przed bramą portu. Pośród nich wyróżniała się charakterystyczna, potężna sylwetka Furusetha. Jego zdrowy rozsądek, umiejętność racjonalnego podchodzenia do sprawy, niewątpliwa charyzma i siła przekonywania sprawiały, że Andrew cieszył się powszechnym szacunkiem wśród robotników. Wierzyli mu, ufali, że ich nie zawiedzie. Kiedy zaczynał mówić, milkły wszelkie spory. Przystępując z nogi na nogę Furuseth podniósł kołnierz kurtki chroniąc twarz przed lodowatym wiatrem.

— Zimno jak cholera — zaklął głośno. — Makaroniarzy ani śladu.

— Pętał się tu jeden dzisiaj rano, ale go przegoniliśmy. — powiedział John Reilly, niski i korpulentny marynarz ze szramą na czole. — Najwyraźniej za zimno dla nich. Boją się odmrozić tyłki. Jak myślisz, Andrew, czy daliśmy im wystarczająco popalić, żeby wreszcie zmiękli?

Furuseth skrzywił się. Doskonale zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

— Problem polega na tym, czy to nie oni przypadkiem dali nam na tyle popalić, że bylibyśmy gotowi spuścić z tonu? — odparł, rozcierając zdrętwiałe od mrozu dłonie.

— A więc żadnych dobrych wieści?

— Ani dobrych, ani złych, John -odburknął Andrew. — W przyszły czwartek mają odbyć się rozmowy z pracodawcami. Wtedy zobaczymy, czy są gotowi do współpracy czy nie.

Stali w milczeniu przystępując z nogi na nogę. Mróz stawał się trudny do zniesienia. Normalnie przy takiej pogodzie poszliby do jakiejś knajpy na szybką szklaneczkę whisky. Właściciele barów bali się jednak obsługiwać strajkujących robotników. Grożono im, że jeśli będą przyjmować związkowców, policja zamknie ich interesy. Żadnego alkoholu dla tych buntowników — powiedziano im.

Andrew Furuseth zasiadł za stołem, przy którym miały odbyć się negocjacje pomiędzy przedstawicielami pięciu central związkowych i właścicielami połączonej kompanii statków parowych. Jego marynarka była wyświechtana, a olbrzymie, zniekształcone przez ciężką pracę dłonie wystawały niezgrabnie z przykrótkich rękawów. Był wyraźnie podenerwowany. Źle czuł się w tym oficjalnym stroju. Obok siedzieli Tom i Donaher, jednak tylko w roli doradców. Umówili się wcześniej, że to Furuseth będzie prowadził całość negocjacji.

Spotkanie rozpoczął przedstawiciel właścicieli.

— Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować pewne problemy, jakie pojawiły się pomiędzy pracownikami portowymi i marynarzami a właścicielami korporacji statków parowych.

Odchrząknął nerwowo, po czym wyjął z kieszeni kartkę, rozłożył ją i zaczął czytać oficjalnym, nieco podniosłym tonem:

— Właściciele korporacji, pragnąc działać w tej sprawie wspólnie, udzielili nam, ich prawnym przedstawicielom, pełnomocnictwa do przekazania oficjalnej oferty dla związków zawodowych, aby zakończyć spór w sposób zadowolający obie strony.

Związkowcy spojrzeli po sobie, ale nie odezwali się ani słowem. Z nerwowym wyczekiwaniem przypatrywali się przedstawicielowi właścicieli. Harrow, tak bowiem nazywał się ów człowiek, złożył starannie kartkę i schował ją do kieszeni. Zdjął z nosa okulary, po czym — jakby grając na zwłokę — długo wycierał je chustką. Wreszcie odezwał się:

— Jak zapewne panowie wiedzą, obecnie zatrudniamy w porcie pracowników według stawki dwunastu dolarów tygodniowo.

— To nie są żadni pracownicy, to łamistrójki — wykrzyknął oburzony Donaher.

Andrew zdecydowanym gestem dłoni nakazał przyjacielowi milczenie. Harrow, patrząc cały czas Furusethowi prosto w oczy, jakby chciał go w ten sposób zaczarować, wycodził przez zęby:

— Jak już powiedziałem, kompania nie ma najmniejszych trudności ze znalezieniem pracowników za dwanaście dolarów tygodniowo, jednak zdecydowała się złożyć wam hojną ofertę: trzynaście dolarów za tydzień pracy. W zamian za to od jutra przestajecie strajkować.

— Ta hojna oferta, którą pan proponuje, to dokładnie połowa naszych dotychczasowych zarobków — ze złością i gniewem powiedział Furuseth.

— Jesteście wyrzutkami społeczeństwa, bandą łotrów i przestępców! Powinniście być wdzięczni, że w ogóle chcemy z wami rozmawiać — wykrzyknął oburzony sprzeciwem Harrow.

— Rozumiem, jest dokładnie tak, jak sobie życzyli pańscy chlebodawcy — z przekąsem odparł Andrew. — Zebraliśmy się tutaj, by rozmawiać jak dżentelmeni, a celem naszych rozmów jest doprowadzenie do rozwiązania, które odpowiadałoby obu stronom.

Tom uśmiechnął się. Ta szczerza, a jednocześnie kąśliwa odpowiedź przyjaciela bardzo mu się spodobała. Harrow zamilkł na chwilę, jakby na moment stracił całą swoją odwagę i agresywność. W końcu odezwał się już nieco spokojniejszym, jakby polubownym tonem:

— Myślę, że to nierozsądne odrzucać taką ofertę. Trzyście dolarów na tydzień zapewni wam jedzenie i ogień w piecu. Trzyście dolarów na tydzień oznacza, że będziecie mogli wrócić do pracy i cieszyć się nadchodzącym Bożym Narodzeniem.

Twarz Furusetha pozostała niewzruszona.

— Nie wątpię w pańskie dobre intencje, panie Harrow — odparł. — Ale to, co pan mówi, jest po prostu nieprawdą. Trzyście dolarów tygodniowo to za mało, aby nakarmić rodziny. To nie wystarczy, by kupić ciepłe ubrania. Zarabiając trzyście dolarów tygodniowo, nie można iść ulicą z podniesioną głową. To, co nam oferujecie, to zarobki, jakie robotnicy otrzymywali dwadzieścia lat temu i nawet wtedy było to stanowczo za mało, aby przeżyć! Dlatego musimy dalej walczyć, aż sprawiedliwości stanie się zadość.

— Czy można wiedzieć, co rozumie pan pod słowem „sprawiedliwość”? — ironicznie spytał Harrow.

— To znaczy, że nasze pensje muszą być przynajmniej takie, jak zarobki innych robotników. Nie domagamy się niczego więcej, jak tylko sprawiedliwego opłacania naszej ciężkiej pracy. — Andrew przerwał na chwilę, uśmiechnął się pod nosem, po czym dodał: — Inaczej mówiąc, wy przestajecie udawać, że nam płacicie, a my przestajemy udawać, że pracujemy. Czy wyraziłem się jasno?

— Widzisz, jakie mają głupie miny? — szepnął Tom do Donahera.

— Wątpię, by te dupki w ogóle cokolwiek zrozumiały — odparł Donaher z rezerwą.

W pokoju zapadła cisza. Mężczyźni po przeciwnych stronach stołu mierzyli się pełnymi dystansu i nieufności spojrzeniami. Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, przekrzykując się wzajemnie. Negocjacje i spory trwały blisko pięć godzin. Kiedy spotkanie dobiegło końca, przedstawiciele właścicieli byli pewni jednego: Tom Dalton zbyt dobrze znał się na rzeczy, a Donaher był zbyt sprytny, aby można było ich przechytrzyć. Jeśli zaś chodzi o Furusetha, to tkwiła w nim jakaś niebezpieczna siła. Gdyby udało się wyeliminować tę trójkę z gry, związki nie utrzymałyby się ani dnia dłużej.

Nadeszło Boże Narodzenie. Deidra, Tom i Donaher wybrali się wspólnie na pasterkę, po czym resztę świątecznej nocy spędzili w domu Daltonów przy grzonym piwie z jajkiem i puddingu. Byli w kiepskich nastrojach. Świadomość nędzy setek strajkujących robotników nie zachęcała do świętowania, choć było to przecież pierwsze Boże Narodzenie Toma i Deidry spędzane razem.

— Tak mi przykro, kochanie, że te święta nie były radosne — powiedział Tom, kiedy tuląc się do siebie w łóżku, próbowali zapomnieć o panującym w mieszkaniu zimnie. — Wiem, że w twoim domu Boże Narodzenie wyglądało zupełnie inaczej, jednak...

Deidra położyła dłoń na ustach męża i pocałowała go w policzek. Może istotnie te święta nie były radosne, jednak spędzali je razem, i to był wystarczający powód do szczęścia.

W domu Mulvaneya wieczór wigilijny świętowano z wielką pompą i przepychem. W olbrzymiej jadalni ustawiano choinkę, której czubek sięgał samego sufitu. Przystrajano ją różnokolorowymi świecidelkami, specjalnie na tę okazję przygotowanymi pierniczkami, wata imitującą śnieg i długimi, srebrnymi łańcuchami. Na wspomnienie tej podniosłej atmosfery, licznych gości, uginającego się pod półmiskami smakołyków stołu, Tom poczuł dziwny żal i zarazem niepokój. Wiedział, jak bardzo Deidra lubiła ten świąteczny wieczór. To była dla niej zawsze długo wyczekiwana i podniosła chwila.

Dziewczyna dostrzegła zachmurzoną twarz męża. Przytuliła się do niego mocniej i powiedziała szeptem:

— Niczego nie żałuję, Tom. Czym byłoby to święto w domu mego ojca, gdybym nie miała ciebie u swego boku? Za rok ten strajk będzie już tylko historycznym wydarzeniem, a my będziemy świętowali ten wieczór razem z naszym małym synkiem.

W odpowiedzi Tom zatopił swą twarz w jej cudownych włosach. Deidra chciała, by jej mąż wreszcie zrozumiał, że w jej życiu nic nie jest ważniejsze od tego małżeństwa.

Sala konferencyjna, w której odbyły się negocjacje, już dawno opustoszała. Przy stole pozostał tylko Furuseth. Siedział z podpartą głową i wpatrywał się w niewidzialny punkt w przestrzeni. Zamknął oczy i poczuł, jak szczypi go zaczerwienione, zmęczone powieki. Próbował zebrać myśli. To nie by pierwszy strajk w jego życiu. Wydawać by się mogło, że przez te wszystkie lata powinien przyzwyczaić się do ciągłego obcowania z ludzką nędzą. Jedną za każdym razem niesprawiedliwość i okrucieństwo były dla niego bolesnym doświadczeniem. Wiedział, że Donaher wierzy głęboko w słuszność idei związków zawodowych i żadne trudności czy wyrzeczenia nie mogły zachwiać te wiary. Natomiast Tom naj-

wyraźniej przeżywał bardzo to, co się wokół niego działo. Wyrzuty sumienia niszczyły i wypalały jego duszę. Nie był odporny. Nie rozumiał, że strajk jest pewnego rodzaju hazardem, grą nerwów, w której liczy się tylko to, by wytrzymać dłużej niż przeciwnik. Reguły tej gry były twarde. Donaher miał całkowitą rację. Bez związków zawodowych robotnicy portowi nie mogli liczyć na poprawę warunków życia. Przeżył już tyle strajków, że doskonale wiedział, iż raz można wygrać, zaś innym razem trzeba pogodzić się z porażką. Jednak ogólny rozrachunek jest zawsze zadowalający. Najgorsze okazywało się bezczynne czekanie.

Furusetth wyłączył światło. Powoli zaczął się ubierać. Nałożył grube wełniane rękawiczki i skrętnie owinął się szalem. Szybkim krokiem zszedł po schodach na ulicę, po czym jak zazwyczaj skręcił w mały zaułek. Nagle spostrzegł, że tuż za nim idzie pięciu mężczyzn. Nie uciekał jednak. Zatrzymał się z rezygnacją. Poczł, jak jego serce bije coraz szybciej. Ach tak, zdążył jedynie wyszeptać do siebie, dziwiąc się, że ta chwila nadeszła właśnie teraz. Patrzył na złe, pełne desperacji twarze ludzi, którzy go otoczyli.

Musiało upłynąć parę dobrych godzin, zanim Andrew Furusetth zaczął powoli odzyskiwać przytomność. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Próbował wstać, lecz straszliwy, ogłuszający ból w całym ciele powalił go z powrotem na ziemię. Stopniowo jego oczy przyzwyczajaly się do ciemności i zaczął rozróżniać kształty. Leżał w śniegu, a wokół niego rozpościerała się wielka kałuża zakrzepłej krwi. Gardło miał rozcięte ostrym nożem, lecz mróz uratował mu życie. Krew zbyt szybko krzepła, by mógł wykrwawić się na śmierć. Czuł straszliwy ból w plecach i karku. Również i tam zadano mu głębokie rany nożem. Wiedział, że jeśli nikt nie udzieli mu pomocy, umrze. Instykt podpowiadał mu, że nie wolno mu zasnąć ani dopuścić do ponownej utraty przytomności. Przewycięzając ból, powoli przeczoł — gał się pod uliczną latarnię, gdzie padał snop jasnego światła. Leżał tam oczekując pomocy jakiegoś zapóźnionego przechodnia. Minuty wlokły się w nieskończoność. Ból, jaki odczuwał w całym ciele, przytępsiał jego zmysły i odbierał poczucie rzeczywistości. Jak przez mgłę pamiętał jeszcze bandę młodocianych złodziejasków, którzy targając jego umęczonym ciałem, przeszukali wszystkie kieszenie płaszcza, zanim wezwali pomoc. Kiedy ponownie otworzył oczy, leżał już w jakimś pokoju. Zobaczył pochyloną zatroskaną twarz Donahera. Próbował unieść głowę, ale ból w karku był nie do zniesienia. Później dowiedział się, że nieprzytomny spędził tydzień w szpitalnym łóżku.

Nikt nie dawał mu szans przeżycia, ale silna wola i nadzwyczaj odporny organizm sprawiły, że Andrew tym razem wymknął się śmierci.

Dalton, Donaher i Furuseth płynęli małą łódką w poprzek czarnej North River, kierując się w stronę portowego nabrzeża. Tam czekał już na nich tłum robotników, niecierpliwie oczekujących najnowszych informacji o rozmowach z pracodawcami. Ich wymizerowane twarze wyrażały rezygnację, ale i gniew zarazem. Był to gniew, który przez szereg tygodni próbowali zdusić w sobie, gniew ludzi oszukanych, ludzi bezradnych, ludzi upokorzonych. Trzymając zmarznięte ręce w kieszeniach, przestępowali z nogi na nogę. Unikając wzajemnych spojrzeń, tępo wpatrywali się w ziemię.

Wszyscy trzej wyczuwali, że robotnicy są u kresu swych sił. Ich cierpliwość już wyczerpała się. Niektóre centrale związkowe gotowe były wycofać się i przyjąć upokarzające warunki pracodawców, trzynaście dolarów na tydzień. Pozostałe zaprzestały pikietowania bram portu i wyczekiwały na dalszy rozwój wypadków. To była wyraźna oznaka obumierania nadziei.

Zakotwiczyli łódkę w takiej odległości od nabrzeża, by robotnicy mogli usłyszeć przemówienie. Jednocześnie chcieli zachować bezpieczny dystans, by w razie interwencji policji nasłanej przez pracodawców zdążyć podnieść kotwicę i umknąć pościgowi. Tom postawił kołnierz kurtki, by osłonić twarz przed ostrym, mroźnym powietrzem, po czym ostrożnie wstał, próbując zachować równowagę na chybotliwej łódce. Miał przemawiać zamiast Furusetha, który ciągle miał problemy z mówieniem po napadzie i bestialskim pobiciu. Diamond Jim Mulvaney widział dokładnie sylwetkę swego zięcia z okna powozu, który zatrzymał tuż za tłumem wyczekujących robotników. Słuchał, jak Tom starał się nakłonić robotników do jeszcze kilku dni oporu, namówić do wytrwałości i wiary w zwycięstwo ich słusznej sprawy. Jim sam nie wiedział, dlaczego zdecydował się tutaj przyjechać. Wiedział naturalnie o wszystkim, co wydarzyło się w życiu Deidry i Toma, odkąd wbrew jego woli uciekli z domu i pobrali się. Duffy informował go o najdrobniejszych szczegółach. Wiedział, gdzie mieszkali, znał trudności, z którymi musieli się borykać. Kiedy zdecydowali się sprzedać kosztowności Deidry, aby za zdobyte w ten sposób pieniądze urządzić mieszkanie, Jim był pierwszym, który się o tym dowiedział. Kiedy zaś Duffy przyniósł mu wiadomość o ciąży Deidry, Mulvaney początkowo wpadł we wściekłość, potem zaś rozplakał się jak dziecko. Świadomość, że zostanie dziadkiem, sprawiła, iż powoli zmieniał zdanie o swojej córce i jej mężu. Czasami gotów był nawet wszystko im wybaczyć. To było dziwne zrzędzenie losu, że właśnie tego dnia Tom przemawiał do tłumy robotników. Jim chciał właściwie zobaczyć Norwega, o którym głośno już było w całym mieście. Ten nieprzejednany i charyzmatyczny przywódca związkowy interesował go. Czuł nawet do niego jako człowieka pewną sympatię, bowiem uosabiał on siłę. Los sprawił jednak, że tego dnia właśnie Tom wystąpił w roli charyzmatycznego przywódcy, a jego słowa zawierały olbrzymi ładunek siły i ekspresji. Jim opuścił szybę w oknie powozu, aby lepiej słyszeć, co Dalton mówił do robotników. A mówił

on o sprawiedliwości, honorze i wolności z taką pasją, że poruszył wszystkich zebranych. Mówił o głodnych, wyczerpanych kobietach i o ich dzieciach, o tym, że nie mają nawet miśki ciepłej strawy, że żyją w ciągłej niepewności jutra, bez żadnej nadziei, że ich los kiedykolwiek się odmieni. Na jego młodej twarzy malował się gniew i pełne desperacji przekonanie, że nie ma innej drogi, jak tylko walka o słuszne prawa dla wszystkich, którzy do tej pory znosili z pokorą wyzysk i upokorzenia.

— Pomyślcie o tym wszystkim! Zastanówcie się! — powiedział na koniec swego przemówienia, po czym wyciągnął zwiniętą gazetę i wymachując nią w stronę zebranego tłumu dodał: -Pozwólcie, że przytoczę wam jeszcze słowa czcigodnego senatora Strathmore'a, który raczył łaskawie zainteresować się naszymi związkami zawodowymi.

Rozwinął gazetę i zaczął czytać pełnym oburzenia i goryczy głosem:

To niebezpieczne złudzenia, że ta banda darmozjadów jest zdolna pokierować swym własnym losem — powiedział senator. Tylko dzięki naiwności i niezdecydowaniu niektórych pracodawców mogą dziś kpić z naszego prawa, wałęsać się po burdelach, lajdaczyć, trwonić pieniądze na alkohol. Są jak ogłupiałe dzieci we mgle, które w końcu muszą na własnej skórze odczuć karzącą rękę państwa. Inaczej doprowadzą do upadku całe nasze społeczeństwo.

— To właśnie takie kłamstwa pan senator rozpowszechnia przed senacką komisją do spraw zatrudnienia, nazywając nas bandą darmozjadów, pijaków i rozpustników. Czy dacie temu wiarę?! Czy godzicie się na to? Czy pozwolicie, aby bezprawnie was znieważano?!

Przez tłum przebiegł szmer oburzenia. Potem z setek gardeł wyrwał się jeden potężny okrzyk sprzeciwu.

— Na Boga! Udało ci się, chłopcze — wyszeptał Mulvaney z podziwem. — Udało ci się przekonać ten głodujący motłoch, by śnili nadal swój sen o wolności.

Powoli tłum robotników zaczął się rozchodzić. Ich twarze nie były już tak udręczone jak na początku, a oczy, jeszcze przed godziną przygaszone rezygnacją, teraz znów zabłyśły nadzieją i entuzjazmem. Mulvaney dał znak woźnicy, aby ruszał.

— Do domu, sir?

— Nie — odparł Mulvaney pogrążony w swych myślach. — Czy wiesz, gdzie jest ulica Desbrosses?

— Tak, sir.

— W takim razie pojedziemy tam.

— To bardzo niespokojna okolica, sir. Zapada już zmierzch.

— Wręcz przeciwnie, mój chłopcze. Nigdy do tej pory pewnych spraw nie widziałem z taką jasnością.

Wóznica pokręcił głową. Najwyraźniej jego panu całkiem się pomieszało. Ale Mulvaney dobrze wiedział, co mówi. Był zdecydowany zakończyć wreszcie całą sprawę. Byłem głupcem, myślał, wyrzuciłem z domu córkę i wspaniałego mężczyznę, który ją kocha. A na myśl, że może już wkrótce będzie trzymał na kolanach swego wnuka, uśmiechnął się pod nosem. Był zadowolony z podjętej decyzji. Już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem, by przeprosić Deidrę i Toma, ale nie potrafił przezwyciężyć swej dumy. Teraz zrozumiał, że popełnił błąd.

Tom i Mulvaney siedzieli po przeciwnych stronach stołu mierząc się wzrokiem. Deidra cichutko, na palcach przeszła do kuchni, by zrobić herbatę. Starła się nie zwracać niczyjej uwagi, co oczywiście przy ósmym miesiącu ciąży było nie lada wyczynem. W końcu Jim zdecydował się przerwać kłopotliwą ciszę.

— Do jasnej cholery, Dalton, nie bądź takim upartym idiotą. Przecież sam widzisz, w jakich warunkach żyjecie. Co się z tobą dzieje? Czy nie chcesz, aby twoje dziecko urodziło się w porządnym domu?

— Gdyby to było w mojej mocy, zapewniam cię, że kupiłbym swojej żonie i dziecku najwspanialszy pałac. Ale nie wrócę do twojego domu, skąd wyrzuciłeś nas na bruk jeszcze kilka miesięcy temu.

Mulvaney przemówił głosem łagodnym, dążył do pojednania. Wiedział, jak można zdobyć ludzką przychylność. Poza tym nie chciał zaostrzać sytuacji. Zależało mu na powrocie córki i jej męża.

— Czy doprawdy tak trudno ci wybaczyć ojcu, który pragnął jedynie dobra swej ukochanej córki?

— Chciałeś mieć ją na własność, Jim, i tym razem chodzi ci o to samo. Nie mamy zamiaru spędzić całego życia w tej norze, za kogo mnie masz? Chcemy opuścić Nowy Jork, jak tylko skończy się strajk. Ten kraj jest dzięki Bogu wystarczająco duży, aby wyzwolić się spod twego wpływu. Ktoś, kto pragnie wybić się na sam szczyt, znajdzie dla siebie jakieś miejsce, gdzie nie dosięgną go twoje ręce.

Mulvaney na myśl, że mogą rzeczywiście opuścić Nowy Jork na zawsze, przeraził się. To w ogóle nie wchodziło w rachubę!

— Chcę, byś wrócił do biznesu.

— Sam mnie wyrzuciłeś.

— Chcę, byś został moim partnerem. Do cholery, zrozum, nie proponuję ci pracy, ja chcę odzyskać rodzinę!

— Nie mogę opuścić Furuetha i Donahera, dopóki nie zakończy się strajk — odparł Tom z naciskiem.

— A co stanie się z twoją żoną, o którą podobno tak bardzo się troszczysz?

Deidra dostrzegła wyraz oburzenia i gniewu w oczach męża. Mulvaney zranił jego męską dumę. Siedzieli teraz obaj patrząc wrogo na siebie. Deidra postanowiła interweniować.

— Ojciec — odezwała się — Tom, przestańcie mówić w taki sposób, jakby mnie wcale tutaj nie było. Czy moje zdanie was nie interesuje? Jesteście uparci, gotowi zniszczyć wszystko tylko dlatego, że żaden z was nie chce ustąpić drugiemu. A przecież to także moje życie, więc chyba mam coś do powiedzenia w tej sprawie. Kocham was obu.

Obaj patrzyli na nią z uwagą.

— Zawsze byłam twoją posłuszną córką, ojciec. Kiedy zdecydowałam się poślubić Toma, moje serce omal nie pękło z rozpaczy, że musiałam opuścić dom. Ale potem zaczęłam cię nienawidzić za twoją bezwzględność i okrucieństwo. Wyrzuciłeś Toma z pracy, zmusiłeś nas, byśmy żyli w nędzy i poniżeniu. Chciałeś złamać naszą miłość i tego nie mogłam dłużej ci wybaczyć — przerwała na moment, jakby chciała się upewnić, czy jej słuchają. — Teraz przychodzisz do nas z wyciągniętą ręką. Wierzę ci, ojciec. Ja sama niczego bardziej nie pragnę, jak tego, by moje dziecko cię kochało i szanowało, tak jak ja ciebie kocham i szanuję. Musisz jednak zrozumieć i pogodzić się z faktem, że nie możemy zostawić naszych przyjaciół w potrzebie. Poza tym, wybaczone ci to mówię, jestem dumna z Toma, że potrafił przeciwstawić się bezwzględnym, okrutnym właścicielom, takim jak ty, ojciec, i zdecydował się bronić praw zwykłych ludzi. Może nasz dom nie jest tak wspaniały jak ten, w którym mieszkałam z tobą, za to przepelniony jest naszą miłością. Zapomnijmy o tym, co zaszło między nami. Nie opuścimy tego miejsca, gdyż to jest nasz dom, tutaj, w portowej dzielnicy, gdzie mieszkamy wraz z ludźmi, którzy potrzebują naszej pomocy. Niemniej możemy znów być jedną rodziną i kochać się tak mocno jak kiedyś... proszę, pogódźcie się. Zróbcie to dla mojego dziecka, zróbcie to dla mnie, kobiety, która tak bardzo kocha was obu.

Tom i Donaher nachyleni nad stołem, rozmawiali ze sobą przyciszonym głosem. Deidra nie mogła zasnąć, była zbyt zdenerwowana. Przez otwarte drzwi sypialni słyszała ich szepty, przeczuwała, że próbują ukryć przed nią jakąś straszną prawdę. I tym razem instynkt jej nie zawiódł. Donaher opowiadał właśnie przyjacielowi o tym, jak strajkujący robotnicy siłą wypędzili z portu włoskich łamistrajków. Właściciele w ramach odwetu postanowili wynająć bandę Pinkertona. Ci wyzuci z wszelkich ludzkich uczuć płatni mordercy już od dawna mieli na pieńku z Unią. Teraz nadarzała się świetna okazja, aby wyrównać porachunki. Związkowcy uważali, że należy stawić czoła temu nowemu wyzwaniu. Ale Furuseth i inni przywódcy wahali się. Nie chcieli wciągać związku z walki z kryminalistami. Nie to było celem strajku. Poza tym burdy uliczne mogły posłużyć pracodawcom do jeszcze większych prowokacji, być może o charakterze politycznym.

— Nie pójdziesz jutro do portu, Tom! — Donaher powiedział głosem twardym i zdecydowanym. Doskonale orientował się, jakie to było niebezpieczne.

— Najchętniej rzuciłbym to wszystko, Donaher, uwierz mi. Jestem zmęczony, poza tym Deidra jest w ciąży... ale nie mogę tego zrobić, nie teraz... Co pomyślałaby o mnie żona?

— Że jej mąż nie jest głupcem, Tom. Myślę, że woli mieć cię żywego. Martwy bohater nie jest jej potrzebny.

— Nie zgadzam się, byście sami nadstawiali karku.

— Furuseth nie przyjdzie jutro do portu. Musi być na nabrzeżu północnym.

— Cholera, tym bardziej nie zostawię cię samego. Nie jesteśmy przecież dziećmi. Każdy z nas wiedział, w co się angażuje. Cóż byłyby warte nasze piękne hasła, gdybyśmy nie chcieli ich bronić, nawet za cenę własnej krwi. Jak mógłbym spojrzeć w oczy tym wszystkim dzielnym ludziom, którzy od tygodni znoszą głód, strach i poniżenie? Nie będę siedział w domu, kiedy ty będziesz walczył z tymi cholernymi bandziorami od Pirkentona.

— Jesteś romantycznym idiotą, Dalton, ale i tak cię kocham. Zrozum mnie, jeśli jutro cokolwiek się stanie, nigdy sobie tego nie wybaczę. To przecież ja wciągnąłem cię do związków. To przeze mnie siedzisz teraz po uszy w tym gównie.

Deidra usłyszała szybkie kroki w korytarzu, a potem głośnie trzaśnięcie drzwiami. Donaher wyszedł, ale Tom długo jeszcze siedział przy stole pogrążony w rozmyśleniach. Potem ostrożnie, na palcach wszedł do sypialni i położył się obok żony. Deidra czuła jego ciepłą dłoń na swoim policzku. Nie poruszyła się; udawała, że śpi.

Wiedziała, że jeśli się odezwie, będzie go błagać, by nie szedł jutro do portu. Nie chciała dokładać mężowi trosk. To był jedyny sposób, w jaki mogła mu teraz pomóc. Po kilku minutach w sypialni rozległ się miarowy, spokojny oddech męża. Odczekała jeszcze chwilę, by się upewnić, że śpi, po czym wytarła łzy, które spływały jej po policzkach. Bała się.

— Zdaje się, że jesteś w nim zakochana do szaleństwa, prawda? — Donaher siedział w kącie saloniku Billy, trzymając ogromny kufel piwa w ręku. Przyszedł tu prosto od Toma. Był zbyt zdenerwowany rozmową z Daltonem, by pójść do siebie spać.

— Niestety — odparła. — Nie będę ukrywać, że nie jestem z tym szczęśliwa.

Billy uśmiechnęła się do Donahera. Stary marynarz pomyślał, że Billy jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

— Niech to... — westchnął głęboko. — Wiem, co czujesz. Zwłaszcza teraz, gdy Tom i Deidra są razem.

Obrzuciła go szybkim, spłoszonym spojrzeniem, a potem chcąc ukryć zmieszanie powiedziała:

— Ależ nie, to nie o to chodzi. To mi nie przeszkadza. Bardzo lubię Deidrę. Może to trudno zrozumieć, lecz w pewnym sensie kocham ich oboje. Nie wyrzekłabym się tego uczucia za nic na świecie!

— Nawet za cenę odzyskania szacunku? — zapytał z niedowierzaniem.

— No, może w tym przypadku zastanowiłabym się — Billy roześmiała się. Donaher znał ją zbyt dobrze, by mogła go oszukać. — Jak długo już się znamy, Donaher?

— To łatwo sprawdzić. Kiedy po raz pierwszy zaciągnąłem się wraz z twoim bratem Willim, niech pan Bóg ma go w swojej opiece, na statek płynący do Makao. Ty miałaś wtedy zaledwie roczek. Ile lat już minęło?

— Zbyt wiele, by pytać o to damę. W każdym razie, wiele przeszliśmy od tamtych czasów.

— Mnie przybyło trochę blizn i tatuaży, a tobie, wybacz mi, Billy, kilka siwych włosów.

— Niestety, drogi przyjacielu. Życie nikogo nie oszczędza. Jednak zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi i szczerzy. Dlatego cieszę się, że przyszedłeś do mnie ze swoimi kłopotami. Czy chcesz ze mną o tym porozmawiać?

Donaher, który wpatrywał się smętnie w dno pustego kufła, podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

— Jutro możemy zginąć — odparł z powagą. — Tom i ja. Te świnię od Pinkertona to niezłe dranie. Nie patyczkują się zbyt. Makaroniarze też potrafią niezłe obracać scyzory-

kiem. Nie martwię się o siebie. Od kiedy Maria i Dan opuścili ten świat, czuję się jak przypadkowy przechodzień, który już wkrótce wyruszy w swoją ostatnią podróż.

Jego głos był silny i zdecydowany. Nie było w nim nawet najmniejszej nuty żalu czy goryczy. Billy przysiadła przy nim, odstawiła jego kufel i ujęła w swoje dłonie jego wielkie, spracowane ręce.

— Martwisz się o Toma? — spytała.

— To ja go w to wszystko wplątałem, Billy. Poznałem go z Furusethem, pokazałem nędzę mieszkańców portowej dzielnicy. Wiedziałem, że to młode, porywcze serce zbuntuje się wobec tak jawnej niesprawiedliwości. Nie powinienem był tego robić.

— Donaher, także ty pomogłeś mu, kiedy przyjechał do Nowego Jorku — bez pieniędzy, bez znajomych, bez perspektyw. To ty byłeś dla niego przez cały czas najbliższym przyjacielem. Nie powinieneś czynić sobie wyrzutów — tłumaczyła Billy.

— Jeśli ten chłopak jutro zginie, będę miał dość powodów, by do końca życia przeklinać dzień moich narodzin.

Donaher odsunął delikatnie dłonie Billy, po czym sięgnął po wełnianą czapkę, z którą nigdy się nie rozstawał.

— Bez względu na to, co się jutro wydarzy, pamiętaj, Donaher, że Tom sam odpowiada na swoje życie... i za śmierć.

Billy podeszła do starego marynarza i objęła go mocno. Był niby pień potężnego drzewa, które przez lata opierało się wichurom i burzom. Miała przeczucie, że już nigdy więcej go nie zobaczy.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece, mój przyjacielu — otarła łzy, które napłynęły jej do oczu. — Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, stary niedźwiedziu. Pamiętaj, uważaj na siebie jutro, słyszysz! Tylko ty mi zostałeś z dawnych lat.

Marynarz pochylił się i pocałował ją w policzek. Czuł na wargach słoną wilgoć jej łez. Potem energicznym ruchem nałożył czapkę i wyszedł.

Spora grupa pikietujących robotników oblegała bramę prowadzącą do 48 i 49 nabrzeża. Ciężarówki z włoskimi łamistrajkami miały nadjechać o szóstej rano, a banda Pinkertona miała ich eskortować i dopilnować, by dostali się do portu. Tom czuł pośród robotników nerwową atmosferę wyczekiwania, ale twarze ich wyrażały zdecydowanie i determinację. Kiedy zza rogu ulicy wyjechała pierwsza ciężarówka, pikietujący chwycili się za ręce, tworząc ciasny szpaler przed portową bramą. Pozostali trzymali w pogotowiu drewniane pałki, noże i haki. Ciężarówka była pusta. Zatoczyła koło przed bramą, po czym zniknęła za rogiem ulicy. Z bocznych ulic zaczęły wylaniać się gangsterzy Pinkertona. Każdy z nich w do-

brze skrojonej marynarce i ciemnym kapeluszu mocno naciągniętym na głowę, by nie można było dokładnie dostrzec twarzy. Wprawdzie dłonie mieli wolne, lecz nienaturalnie opięte ubrania wskazywały na to, iż w kieszeniach trzymają ukryte rewolwery. Robotnicy dobrze znali ich metody. Policjant, jeszcze przed kilkoma minutami przechadzający się wolnym krokiem koło sklepu Braudinga, znikł nagle bez śladu. Najwyraźniej policji zapłacono, by nie mieszała się do całej sprawy, przynajmniej tak długo, aż chłopcy od Pinkertona nie oczyszczą przedpola.

— Ty, Donaher! — krzyknął jeden z gangsterów. — Zabieraj swoich ludzi sprzed bramy.

Dopiero teraz, po głosie, pikietujący poznali, że był to Jimmy Cahan. Dawniej pracował w porcie, jak i oni. Kiedy stracił pracę, zatrudnił się u Pinkertona, żeby wyżywić jedenaścioro dzieci.

— Jimmy! Dobrze wiesz, że tego nie zrobię — odkrzyknął Donaher. Znał kiedyś Jimma bardzo dobrze. Często odwiedzał jego liczną rodzinę, kiedy jeszcze pracowali razem. Teraz stali po przeciwnych stronach barykady.

— Czy widzieliście ciężarówkę, która przejechała tędy przed chwilą? Jeśli będzie trzeba, rozjedziemy was jak parszywe glisty. Rozumiesz? A teraz wynoś się ze swoją hałastrą — głos Jimmy'ego brzmiał stanowczo. Najwyraźniej nie żartował. Był gotowy zabić swoich dawnych kumpli, jeśli zajdzie taka potrzeba.

— Spróbujcie tylko. Będziemy się bronić. Nie zastraszysz nas tak łatwo.

Zza rogu znów wyłoniła się ciężarówka. Jechała powoli w kierunku bramy.

Tuż za samochodem, wolnym krokiem, szedł szpaler uzbrojonych mężczyzn. Ich twarze były pozbawione wyrazu. Patrzyli na stojących robotników jak na bydło, które mieli zarżnąć. Tom stał tuż przy Donaherze. Wciąż miał w pamięci zmartwioną twarz Deidry, kiedy całowała go dziś rano na pożegnanie. Bezsilność wobec niepewności tego, co miało się wydarzyć za chwilę, była nie do zniesienia. Co stanie się, jeśli zginie? Jaki by to miało mieć sens? Czy ryzykując życie, zbawi kogokolwiek? Kto będzie pamiętał o nim za rok, dwa... prócz samotnej żony i osieroconego syna, który nigdy nie poznał ojca. Rozmyślanie o nieuchronnej śmierci podczas bezsennej nocy to coś całkiem innego niż stanąć z nią twarzą w twarz, w środku dnia, na rozświetlonej słońcem ulicy. Śmierć jest bezsens, jest drwiną z naszych pragnień i uczuć. Kto powiedział, że miłość jest silniejsza od niej? Śmierć zabiera wszystko, nawet nasze wspomnienia. Nagle Tom poczuł na swoim ramieniu dłoń Donahera. Usłyszał, jak przyjaciel zaklął w języku Celtów, a potem ruszył do ataku. To, co wydarzyło się później, przypominał sobie jak przez mgłę. Wszystko potoczyło się tak szybko. Wokoło rozległy się krzyki, ludzie zaczęli biec, szamotać się ze sobą, rzucać przekleństwami. Ktoś upadł na ziemię, ktoś zaczął uciekać. Twarze ludzi stężały, wykrzywił je ból i wściekłość. Ciężarówka pędziła z zawrotną prędkością w stronę kłębiącego się tłumu. Potem rozległ się huk tłuczo-

nego szkła i wgniatanej blachy. Tom spostrzegł jakiegoś człowieka, który leżał przywalony kołem, a z jego rozwartych ust wydobywały się wnętrzności. Padły pierwsze strzały. Nie było czasu, by ratować rannych. Trzeba było walczyć, by samemu przeżyć. W pewnej chwili Dalton usłyszał ostrzegawczy krzyk Donahera:

— Uważaj, z tyłu...

Odwrócił się i zrobił unik. Drewniana pałka świsnęła tuż koło jego ucha i uderzyła w ramię. Tom lekko oszołomiony upadł na ziemię. Szybko jednak podniósł się, wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi panować nad sytuacją. Zorientował się, że Donaher przez cały czas odpierając ataki przeciwników, którzy otoczyli go niczym wściekłe psy, czuwa nad nim. To było niebezpieczne. Z trudem przedzierał się przez skłębiony tłum walczących, by dostać się do przyjaciela. Wiedział, że jeśli będą razem, Donaher będzie mógł skoncentrować się na odpieraniu ciosów. Było mu przykro, że naraża przyjaciela. Może rzeczywiście powinien był zostać w domu?

Donaher i Dalton stali ramię w ramię, walcząc z zaciekłymi przeciwnikami. Mieli wrażenie, że ta jatka nigdy się nie skończy.

— Pokażemy tym sukinsynom, co to znaczy zaczynać z Irlandczykami — wykrzyknął Donaher, aby dodać przyjacielowi otuchy.

I w tym momencie twarz marynarza wykrzywiła się z bólu. Poczuł, jak zimne ostrze noża zatopiło się w jego plecach. Przez ułamek sekundy Tom nie orientował się, co się stało. Widząc jednak, jak potężne ciało Donahera traci równowagę, schwycił go, próbując uchronić przed upadkiem. Był całkiem bezwładny. Tom ułożył go na ziemi. Najwyraźniej płatni mordercy Pinkertona mieli podczas bójki zabić przywódców związku. Przedarli się przez szpaler walczących robotników i zaatakowali Donahera od tyłu, zadając mu zdradziecki cios w plecy. Tom klęczał nad ciałem swojego przyjaciela. Oczy Donahera zachodziły mgłą. Tom przyłożył ucho do jego zakrwawionych warg, skąd dobywał się niezrozumiały szept. Marynarz ostatkiem sił, dławiąc się krwią, próbował coś powiedzieć. Z trudem artykułował poszczególne słowa.

— Nie umieraj... nie poświęcaj swego życia. Weź żonę i dziecko, zostaw to... nie umieraj...

Jego twarz stała się blada, a źrenice utkwili w jednym punkcie. Dłoń, którą ścisnął Tom, bezwładnie opadła na zakrwawiony bruk.

Dalton uniósł ciało Donahera. Stał trzymając je na rękach i bezradnie rozglądał się wokoło. Nie mógł jeszcze zrozumieć tego, co się stało, jakby fakt śmierci przyjaciela z trudem torował sobie drogę do jego świadomości. Walka już ustała. Ciężarówki z łamistrajkami przejeżdżały przez otwartą bramę portu, rozgniatając leżące na ziemi transparenty. Ranni robotnicy czołgali się w kierunku bram kamienic, szukając tam schronienia. Wszystko to trwało zaledwie dziewięć minut.

— Zdecydowałem się jechać na zachodnie wybrzeże, Tom — oświadczył Furuseth, kiedy razem opuszczali cmentarz po ceremonii pogrzebowej.

Była to niezmiernie podniosła uroczystość. Przyszli wszyscy członkowie związków, a także wielu nie zrzeszonych robotników z portu. Wartę honorową przy trumnie Donahera trzymał Tom, Andrew i Billy oraz kilku innych przywódców z pozostałych central związkowych. Jednak Tom nie był zadowolony z tych wszystkich honorów, z jakimi pochowano jego przyjaciela. W dzień po jego śmierci znalazł w pokoju, który niegdyś dzielili, list Donahera. Było to coś w rodzaju jego ostatniej woli. Pragnął, by pochowano go we wspólnym grobie dla biednych, tak jak kiedyś jego żonę i syna.

— W San Francisco jest wielki port, nazywają go Embarcadero. Zacznę tam wszystko od początku. — Furuseth mówił głosem spokojnym, wyzbyty wszelkich emocji. — Nie ma sensu ciągnąć tego dłużej tutaj, w Nowym Jorku. Ludzie mierzą tu wysoko, ale ich serca są jak z lodu. Prawdę mówiąc, teraz, gdy Donaher od nas odszedł, nie mam w sobie tyle zapału, co kiedyś. Ten strajk okazał się nieskuteczny, ale tak naprawdę straciliśmy o wiele więcej.

Nie ma już bowiem wśród nas oddanego sprawie prawego człowieka, jakiego ze świecą trzeba szukać pośród innych związkowców. — Odchrząknął, próbując w ten sposób ukryć wzruszenie.

— Andrew, mamy przecież ciebie — próbował go pocieszyć Tom.

— Jakie masz plany, Tom? — Furuseth zmienił temat. Bał się, że jeśli będą nadal mówić o Donaherze, rozplacze się jak małe dziecko. Nie byłby to zbyt budujący widok dla innych.

— Chyba wrócę do Mulvaneya. Nie na długo. Chcę szybko stanąć na własnych nogach. Ten ostatni rok — dla mnie wyjątkowo ciężki — był ważną lekcją życia. Wiem, co to znaczy żyć w biedzie. Chcę zapewnić mojej rodzinie dostatnie życie, i to nie dzięki protekcji teścia, lecz przez własną pracę. Nie trzeba marnować szans, które otrzymuje się od losu.

— Masz rację, chłopcze. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ludzie tacy jak ja są wiecznymi pielgrzymami. Raz wygram tu, potem przegram gdzie indziej. Przyjdzie taki dzień, w którym odniesiemy zwycięstwo w całym kraju, ale przed nami jeszcze długa droga. Nie powinniśmy zmarnować szansy. Ja — to co innego. Nie mam żony ani dzieci, o które muszę się troszczyć. Moja odpowiedzialność przed Bogiem polega na czymś innym. Ja mam misję do spełnienia, ty masz swoje własne życie... I niech tak pozostanie.

Tom przytaknął. Przed oczami wciąż miał widok drewnianej trumny, którą złożono do grobu. I nie mógł zapomnieć ostatnich słów, które wypowiedział przed śmiercią Donaher: „nie poświęcaj swego życia”...

Pożegnali się przed bramą cmentarza. Tom długo tam jeszcze stał, patrząc za odchodzącym Furusethem, aż jego charakterystyczna sylwetka zniknęła w tłumie robotników, którzy

właśnie wyszli z pierwszej zmiany i śpieszyli do domów. Z rozrzewnieniem pomyślał o Andrew. Łączyła ich nie tylko przyjaźń, ale i wspólna walka. Czy gdzieś na świecie jest drugi taki człowiek, tak odważny i o tak szlachetnym sercu, pomyślał.

Jeszcze tego samego dnia późnym popołudniem pod bramę kamienicy na Desbrosses Street podjechał elegancki powóz, jaki rzadko widuje się w tych stronach. Tom pomógł żonie usadowić się w nim wygodnie i podszedł do stojącej obok Billy. Jej piękne, długie blond włosy układały się łagodnymi falami na czarnej, pozbawionej wszelkich ozdób, skromnej sukni. Po jej policzkach spływały perliste krople łez. Tom ucałował jej dłoń. Ten elegancki gest Billy przyjmowała zawsze z pewnym zażenowaniem, ale i podziwem zarazem.

— Przed nami jeszcze długa droga, przyjaciółko — powiedział. — Bardzo długa, nawet jeśli niektórzy spośród nas doszli już do jej końca.

Wielki

55.

Zastanawiałem się nad twoją przyszłością, Tom. Teraz, kiedy jesteśmy znów razem... — Mulvaney mówił podniosłym, uroczystym tonem, tak doskonale pasującym do jego przyzadzistej i pełnej dostojeństwa sylwetki.

— Prawdę mówiąc myślałem, żeby zacząć coś na własną rękę, Jim — odparł Tom z naciskiem.

Mulvaney uniósł wysoko brew, jakby dopiero teraz do jego świadomości dotarł fakt, że Dalton nie jest już stażystą, lecz zupełnie niezależnym i utalentowanym młodym człowiekiem, który pragnie robić interesy.

— Nauczyłeś się wszystkiego od Tierneya i O'Reilly'ego. Myślę, że wystarczy już tej edukacji. Nigdy nie widziałem ciebie w roli finansisty lub prawnika. To nie jest zajęcie dla ciebie.

— Czy masz coś konkretnego dla mnie, Jim?

Mulvaney uśmiechnął się tajemniczo i odparł:

— Tak. Powinieneś zająć się polityką i... podróżami. Powinieneś dobrze poznać ten kraj, aby rozumieć ludzi. Musisz znać ich potrzeby i pragnienia, nauczyć się pozyskiwać ich dla twoich idei. Bez tej umiejętności niczego nie osiągniesz w życiu. — Jim spojrzał uważnie na Toma, by się przekonać, czy ten zgadza się z jego propozycją.

— Też o tym myślałem, Jim — odparł Tom. — Chciałbym zabrać ze sobą Deidrę.

Mulvaney kiwnął głową z aprobatą. Nie miał nic przeciwko temu. Jeszcze przed rokiem na podobną propozycję zareagowałby atakiem furii. Teraz jednak sytuacja zmieniła się diametralnie. Zaobserwował, jak te miesiące spędzone w portowej dzielnicy zahartowały Toma. To był już całkiem inny Człowiek.

— Myślę, że to żaden problem. Będziecie mieli osobny wagon.

Tom zaskoczony spojrzał na teścia.

— Osobny wagon?

— Ach, to nic takiego, to mój ostatni nabytek — odparł Mulvaney z niewinną miną. — Doszedłem do wniosku, że mając tak wysoką pozycję, powinniśmy prowadzić życie na odpowiednim poziomie. Szczęka opadnie z wrażenia tym obwiesiom z prowincji, kiedy pan Dalton zajedzie swoim prywatnym pociągiem.

— Mnie również — odparł Tom z rozbawieniem.

Jim roześmiał się głośno. Dostrzegał wyraźne zmiany w charakterze Dal — tona, zwłaszcza teraz, po małżeństwie z Deidrą i narodzinach syna. Małżeństwo i ojcostwo zmieniają każdego mężczyznę. Tom był niezmiernie przywiązany do żony. Nigdy nie chciał się z nią rozstawać, tak jakby w głębi serca żywił jakąś utajoną obawę, że może stracić ją na zawsze. Jim nie miał zamiaru mu się sprzeciwiać. Dziwił się wprawdzie, że tak młody i przystojny mężczyzna jak Tom zdecydował się na wspólną podróż z żoną. Przecież między Nowym Jorkiem a Kalifornią aż roilo się od miłych, przytulnych burdeli. Jim nie był purytaniem i uważał, że trochę zabawy nie zaszkodzi żadnemu mężczyźnie; nawet jeśli był żonaty i miał dzieci.

Nowe wyzwanie Tom przyjął z entuzjazmem i nową energią. Chciał poznać wszystkie mechanizmy rządzące polityką, chciał wykorzystać je dla siebie. Jim był dla niego autorytetem w tych sprawach. Nikt tak jak on nie rozumiał polityków i ich brudnych interesów. Chciał, by Mulvaney wprowadził go w ten świat. Nie dlatego, by być tak bezwzględny i wyrachowany jak oni. Po prostu podczas swego rocznego pobytu w portowej dzielnicy zrozumiał, czym może być władza. Pragnął jej, ale nie chciał zostać jej niewolnikiem. Wierzył, że można ją okiełznać i wykorzystać jej moc do budowania nowego, lepszego świata.

Obszar wpływów Jima Mulvaneya stale się powiększał. Jego fortuna stale rosła — proporcjonalnie do zamożności całego kraju — wraz z rozwojem sieci dróg kolejowych, budową nowych miast, powstawaniem nowych gałęzi przemysłu. Był właścicielem banków w Pensylwanii, a przez ostatnie lata zaangażował się w niezmiernie intratny interes, jakim były firmy ubezpieczeniowe i asekuracyjne. Teraz finansowe imperium Jima miało już dwóch właścicieli. We wszystkich fabrykach, bankach, biurach, firmach, które posiadał Mulvaney, pojawiły się nowe szyldy z napisem „Mulvaney and Dalton”.

Polityczna edukacja Toma okazała się równie trudna, jak nauka finansów i prawa. Mulvaney zabierał swego zięcia na spotkania, wprowadzał do elitarnych klubów, zapoznawał z różnymi politykami.

— Nikt nie prześcignie Irlandczyka w czczej gadaninie, chłopcze — powiedział Mulvaney, kiedy razem z Tomem szli wielkimi, szerokimi schodami w głównym holu ratusza na umówione spotkanie z burmistrzem. — Mamy do tego serce i głowę. Wpływamy na decyzje rządu poprzez naszych ludzi w partii. A wszystko sprowadza się do jednego celu — utrzymać biedotę w ryzach.

— Skąd są na to pieniądze?

— Z podatków, tak to nazwijmy, od pewnego rodzaju przedsiębiorstw, jak kasyna, burdele, knajpy. Najwięcej płacą pośrednicy. To stary i wypróbowany sposób. Potem partia rozdziela pieniądze niby dobroduszny Robin Hood. Budujemy mosty, szkoły, szpitale, brukujemy ulice...

— Albo zagarniamy pieniądze dla siebie — przerwał mu Tom z wyraźną dezaprobatą.

— Ależ tak! Jeśli pośrednicy nie chcą płacić podatków, muszą przynajmniej płacić ła-pówki. Czasami zdarza się, że plac w centrum miasta przeznaczony pod budowę szkoły tra-fia w prywatne ręce lub ktoś uzyska subwencje z kasy miejskiej na budowę swojej willi. Na-turalnie wszyscy się wtedy oburzają, dziennikarze mają o czym pisać, gazety sprzedają się w podwójnych nakładach, związki protestują, ich przywódcy zyskują rozgłos, a politycy mają o czym dyskutować.

— I chcesz mi wmówić, że to jest słuszne?

— Chcę ci tylko uprzytomnić, że kiedy to całe gównno się kręci, to ludzie mają z czego żyć. Są prawnicy, którzy pomagają bezpłatnie najbardziej potrzebującym, ci, którzy nie mają dość pieniędzy, mogą za darmo wysłać list do rodziny w swojej ojczyźnie, dzieci mają bez-płatne wakacje nad morzem, otwiera się jadłodajnie i przytulki. To wszystko czyni życie biednych ludzi znośniejszym. A kiedy demokraci przegrywają wybory i partia odchodzi, wszystkie te dobrodziejstwa pryskają jak mydlana bańka. Zanim więc potępisz nas, zmieszasz z błotem i nazwiesz bandą skorumpowanych bandytów, bądź łaskaw wyjść wpierw na ulicę i zapytać pierwszego lepszego przechodnia, co sądzi o przekupnych politykach z Partii Demokratów. A on ci wtedy odpowie, że to właśnie dzięki tym przekupnym politykom jego brat dostał pracę, a matka otrzymuje rentę. Powie ci także, że projekt robót publicznych uratował wielu bezrobotnym życie, nawet jeśli pieniądze na ten cel nie zawsze trafiały do kie-szeni właściwego człowieka.

— Więc gdzie leży prawda, Jim?

— Prawda? — Mulvaney wybuchnął gromkim śmiechem. — A więc ty szukasz praw-dy? Każdy człowiek na tym parszywym świecie wyznaje swoją własną prawdę, Tom.

— Jest tylko jedna prawda.

— Przestań pieprzyć! Próbuję ci to wszystko jakoś wyjaśnić, ale to tak, jakbym rzucił grochem o ścianę. Nie ma żadnej jednej prawdy na tym pieprzonym świecie, rozumiesz? Każdy ma swoją własną prawdę. Ja mam, ty masz, każdy ma...! Różnica między nami polega jedynie na tym, że ty swoją prawdę budujesz na wydumanych ideach i kretyńskich pomy-słach, które mają się nijak do rzeczywistości. Podczas gdy ja — przez całe życie — siedzę po uszy w tym gównie i wiem doskonale, jak podła potrafi być natura ludzka. Czy ten rok w portowej dzielnicy niczego cię nie nauczył?

Mulvaney z rozbawieniem przyglądał się niepewnej minie swego zięcia. Kiedy stanęli przed drzwiami do gabinetu burmistrza, Jim zniżył głos do szeptu i dodał polubownym to-nem:

— Jedną z wielu prawd, z którymi musisz się pogodzić, jest bezdenna głupota naszego burmistrza. Ma to oczywiście również i swoje zalety. Rozmowa z idiotą to prawdziwa przyjemność.

Otworzył drzwi, po czym uśmiechając się od ucha do ucha, zwrócił się do siedzącej przy biurku sekretarki.

— Dzień dobry, pani O'Shaugnessy — Mulvaney nonszalanckim gestem zdjął z głowy kapelusz i uklonił się głęboko. — Pani jak zawsze piękna. Jak pani to robi?

Pani O'Shaugnessy, korpulentna kobieta w średnim wieku o wyglądzie kucharki, uśmiechnęła się uradowana cała w rumieńcach.

— Ależ pan ze mnie żartuje, panie Mulvaney — powiedziała głosem pełnym uwodzicielskiej kokieterii szesnastoletniej dziewczynki, co w zestawieniu z jej wyglądem sprawiało komiczne wrażenie.

— Ależ w żadnym razie, droga pani — Jim uniósł się honorem. — Nigdy nie pozwoliłbym sobie na żarty wobec szanownej pani. Przy okazji, czy nasz stary niedźwiedź jest u siebie?

Jim nie czekając nawet na odpowiedź, pociągnął za sobą Toma i wparado — wał do gabinetu burmistrza. Widząc, że pani O'Shaugnessy otwiera usta, by zaprotestować, rzucił nie dbale przez ramię:

— Właśnie chcę mu przedstawić mojego zięcia.

Widok ojca, który ostrożnie trzymał w ramionach swego wnuka, wzruszał Deidrę do głębi. Uśmiechnęła się czule. Od kiedy urodził się Rory, Jim zmienił się. Zauważyła cechy, których nigdy nawet nie podejrzewała u swego ojca.

— Jest piękny, prawda ojcze? — spytała. — Tom mówi, że powinniśmy mieć więcej dzieci. Co ty o tym sądzisz?

Mulvaney położył niemowlę na swych kolanach z taką zręcznością, jakby przez całe życie zajmował się jedynie opieką nad małymi dziećmi. Potem rozparł się wygodnie na krześle i powiedział:

— To przypomina mi pewną historię o moim przyjacielu O'Brienie i jego osiemnastorgu dzieciach. Czy opowiadałem wam ją już kiedyś?

Tom mrugnął porozumiewawczo do żony. Mulvaney dobrze był znany ze swoich barwnych opowieści. Stały się one czymś w rodzaju stałego rytuału. Wszyscy goście i rodzina musieli wysłuchiwać ich nawet po kilkanaście razy.

— Wydaje mi się, że tej historii jeszcze nam nie opowiadałeś, ojcze — odparła Deidra, z trudem powstrzymując się od śmiechu.

— No właśnie. Pewnego ranka pojechał na przejażdżkę rowerem po Central Parku. Ponieważ miał na sobie jedynie nocną koszulę, policjant zatrzymał go i doprowadził przed oblicze sądu za obrazę publicznej moralności. Sędzia, a był to strasznie surowy człowiek, zapytał O'Briena, marszcząc groźnie brwi: „Czy jest pan żonaty?“, na co O'Brien odparł twierdząco. „A ma pan dzieci?“, pyta dalej sędzia. „O tak, wysoki sędzie, osiemnaścioro“. „Sprawę zamykam“, oświadczył sędzia. „Oskarżony miał na sobie jedynie swój zwykły strój roboczy“.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Od kiedy powrócili do domu ojca, ich życie układało się szczęśliwie i bez trosk. Deidra uwielbiała swojego małego czarnowłosego synka, Riordana, którego zdrobniale nazywali Rory. Całe dni spędzała opiekując się nim, bawiąc, usypiając, przewijając, kąpiąc. Wszystkie te czynności przepełniały jej serce nie znanym dotąd, radosnym poczuciem macierzyństwa. Równie mocno kochała męża. Każda noc była dla nich nowym i wspaniałym doświadczeniem miłości. Widząc ojca i Toma, tak dobrze rozumiejących się ze sobą, Deidra czuła się spokojna i bezpieczna. Dni spędzone w portowej dzielnicy, głód, wieczny brak pieniędzy, strajki i ciągły strach o życie Toma, to wszystko wydawało się jej teraz jakimś koszmarnym i zupełnie nierealnym snem. Tom odnosił coraz większe sukcesy. Jim zwierzył się kiedyś córce, że Dalton ma po prostu wrodzony talent do biznesu. Deidra była o tym przekonana, według niej mąż po prostu był doskonały. Martwiło ją tylko jedno: Tom nie potrafił bawić się ze swoim synkiem. Kochał go, godzinami przyglądał się mu, gdy chłopczyk spał w swoim łóżeczku. A jednak nie potrafił zdobyć się wobec niego na jakiś gest czułości. Deidra odnosiła wrażenie, że ta oziębłość wynikać musi z jego własnych przeżyć w dzieciństwie. Postanowiła porozmawiać o tym z ojcem lub z Billy.

Billy, najdroższa! — Deidra leżała na kanapie w swoim pokoju. Była w dziewiątym miesiącu ciąży i lekarz zalecił jej całkowity spokój. — Czy myślisz, że tym razem będę miała dziewczynkę?

Billy postanowiła spędzić ten dzień w towarzystwie przyjaciółki. Spojrzała fachowym wzrokiem na wydatny brzuch Deidry, po czym oświadczyła z niezachwianą pewnością w głosie: — Masz zbyt duży brzuch, moja droga, aby to mogła być dziewczynka.

Deidra upuściła małą sukienkę, którą właśnie robiła na drutach dla swej nie narodzonej jeszcze dziewczynki.

— Mój Boże! I co ja teraz zrobię z tą wyprawką?

Billy zaśmiała się.

— Ależ kochanie, nie przejmuj się tym aż tak bardzo. Tym razem będziesz miała syna, ale przed tobą jeszcze całe życie. Poza tym jestem pewna, że Tom będzie bardzo szczęśliwy. Wiesz, mężczyźni mają czasami zabawne podejście do tych spraw. Na początku twierdzą, że chcą tylko syna. Kiedy z kś na świat przychodzi córka, zupełnie tracą dla niej głowę. /

— Tak sądzisz?

— Jestem tego pewna. Moja matka, święć Panie nad jej duszą, nauczyła mnie co nieco, jeśli chodzi o te sprawy. Mogę ci nawet zdradzić, że znam sposób, jak doprowadzić do poczęcia syna, a jak dziewczynki. To bardzo proste.

Billy pochyliła się nad przyjaciółką i zaczęła szeptać jej do ucha.

— No nie... — Deidra zaczerwieniła się cała. — To niemożliwe.

— W tych sprawach nie ma rzeczy niemożliwych, moja droga — stwierdziła Billy.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Deidra myślała nad czymś intensywnie, po czym z pewnym wahaniem w głosie powiedziała:

— Czasami wydaje mi się, że Tom jest trochę oziębły wobec Rory'ego. Na pewno bardzo go kocha, w to nie wątpię, ale brak mu ciepła i czułości w kontaktach z dzieckiem. Czy sądzisz, że to może być coś poważnego?

Billy popatrzyła uważnie na przyjaciółkę i uśmiechnęła się. Z troskana twarz dziewczyny wydała się jej zabawna. Była jeszcze taka młoda, nie utraciła nic ze swojej dziewczęcej niewinności, a z drugiej strony zaczęła już nabywać tej, jakże charakterystycznej dla dojrziałych kobiet, podejrzliwości wobec męża.

— Wydaje mi się, że przesadzasz. Kobiety w ciąży stają się czasami nerwowe i trochę przewrażliwione. Wmawiają sobie wtedy wiele rzeczy. Myślę, że nie powinnaś w ten sposób oceniać Toma. To minie.

Deidra przytaknęła głową.

— Masz na pewno rację.

Jednak Billy spostrzegła, że Deidra nie jest usatysfakcjonowana odpowiedzią. Najwyraźniej coś dręczyło tę dziewczynę. Postanowiła, że przy najbliższej okazji porozmawia o tym z Jimem.

Billy starannie wy szcotko wał a długie, lśniące włosy, potem zaplotła je w gruby warkocz, który spięła na czubku głowy dokładnie w taki sposób, jaki widziała na zdjęciach w magazynie mody. Ostrożnie wpięła ostatnią szpilkę, aby fantastyczna fryzura trzymała się na głowie i spojrzęła w lustro, by przekonać się, jak wygląda. Chciała być tego wieczora piękna, nie pociągająca, ale właśnie piękna. Jakby za wszelką cenę chciała ukryć fakt, że jest prostytutką. Od kiedy Deidra zaczęła ją uczyć manier, Billy często zastanawiała się nad znaczeniem tego słowa — prostytutka, dziwka, kurwa... Co właściwie ono oznaczało? To, że sprzedawała swoje ciało za pieniądze? Billy wcale nie czuła się z tego powodu gorsza. Większość kobiet sprzedaje się mężczyznom w taki lub inny sposób. Dlaczego więc ludzie traktowali kobiety jej profesji z tak wielką niechęcią, dlaczego spychano je na margines społeczeństwa? Czasami zastanawiała się nad tym, choć w gruncie rzeczy dobrze znała odpowiedź. Nienawidzono prostitutek, ponieważ przychodzili do nich jreżowie innych kobiet. Uważano, że poprzez swój proceder ułatwiają wiarołomstwo. Znały skrzętnie skrywane marzenia milionów mężczyzn na świecie. Za kilka banknotów były gotowe sprawić, by owe marzenia stały się rzeczywistością. Właściwie istotą tego zawodu było uczenie się, a później przekazywanie tej wiedzy mężczyznom. Wiedziała, że Deidra jest trochę skrępowana świadomością, że jej przyjaciółka tak dobrze poznała tajniki fizycznej miłości. Z drugiej jednak strony była ciekawa. Zadawała jej ciągle masę pytań, jakby chciała wydrzeć Billy jakiś bezcenny skarb, który ta trzymała przed nią w ukryciu. Deidra najwyraźniej uważała, że Billy może zdradzić jej jakiś tajemny sekret, coś, co mogło przynieść jej ukochanemu mężowi jeszcze więcej szczęścia i rozkoszy. Jednak nigdy nie odważyła się spytać przyjaciółki wprost.

Billy zarzuciła na ramiona ciepły płaszcz z futrzanym kołnierzem i założyła rękawiczki. Za oknem prószył gęsty śnieg. Uśmiechnęła się myśląc o Tomie, on nie potrzebował żadnej dodatkowej edukacji, jeśli chodzi o sztukę kochania. Był w tym doskonały, o czym kiedyś mogła przekonać się sama. Należał jednak do tego typu mężczyzn, którzy przez całe życie marzą o cichej przystani. Dla Toma zaś Deidra była nie tylko uosobieniem piękna i miłości, ale także spokoju, stabilizacji. Raz zasmakowawszy upragnionego stylu życia, nigdy go nie zostawi, nawet za cenę nowych rozkoszy. Billy ogarnęła nagle jakaś bolesna tęsknota za nie spełnionymi marzeniami. Jak to jest — być czyjąś żoną? pomyślała. Jak czuje się kobieta u boku swego męża? Czym różni się macierzyństwo od zwykłego instynktu każdej samicy?

— No cóż? — powiedziała do siebie, opuszczając mieszkanie. — Prawdopodobnie te uczucia pozostaną dla mnie zagadką do końca życia.

Nagle rozzłościła się na siebie i szybko zbiegła po schodach na dół. Zawsze uważała, że największym marnotrawstwem czasu jest rozczulanie się nad sobą. Ale kilka dni temu podczas lekcji z Deidrą z ust Billy nagle, jakby wbrew jej woli i rozsądkowi, padło tłumione od dawna pytanie:

— Czy myślisz, że pewnego dnia będę w stanie skończyć z tym wszystkim i rozpocząć nowe życie, tak by już nikt nigdy nie nazywał mnie pogardliwie dziwką?

— Nie jesteś dziwką! — Deidra aż oblała się rumieńcem. Nie rozumiała, jak Billy mogła w ogóle używać podobnych słów. I teraz, gdy sama je wypowiedziała, była całkiem zmieszana.

— Dobrze wiesz, że jestem — odparła spokojnie Billy.

— Ale to brzmi... tak okropnie! — powiedziała Deidra, szukając właściwego określenia.

— No właśnie, sama widzisz. Czasami zastanawiam się, czy nad moim życiem nie ciąży jakieś przekleństwo. Kiedy uczysz mnie dobrych manier, to chwilami zadaję sobie to cholerne pytanie, czy mogę jeszcze zmienić swoje życie. Czy mogę stać się lepsza?

— Ależ ty wcale nie musisz stawać się lepsza!

— Może masz i rację. W swoim fachu jestem najlepsza. Jednak w opinii innych ludzi to wszystko wygląda całkiem inaczej. Powiedz, czy to, co robię, jest dla was rzeczywiście aż tak obrzydliwe i naganne?

Deidra patrzyła na przyjaciółkę z wyrazem zdziwienia w oczach. Milczała.

— Mężczyźni, którzy przychodzą do mego domu, są traktowani przez moje dziewczęta jak najlepiej. Dostają to, o czym marzą — kilka chwil zapomnienia, trochę przyjemności i satysfakcji. Czy to, co robimy, jest więc aż tak „okropne”? Sama osądź, oddziel prawdę od fałszu. Czy twoim zdaniem dziewczęta pracujące dla mnie są w jakiś sposób gorsze od prawowitych małżonek? Przecież chodzi tylko o to, by dać mężczyźnie odrobinę szczęścia.

— O czym ty mówisz, Billy?

— O tym, że Pan Bóg stworzył mnie taką, jaka jestem. Być może, ten zawód był moim przeznaczeniem. Ale czasami, gdy słyszę, co ludzie wygadują na mój temat, mam takie straszne pragnienie, by stać się kimś innym. — Wyznanie to wzruszyło Deidrę. — Takie myśli ogarniają mnie, kiedy idziemy razem ulicą, kiedy ludzie z szacunkiem nam się kłaniają, i nikt nie wie, że jestem jedynie godną pogardy królową nocnych rozkoszy. Czy rozumiesz mnie? Dzięki tobie choć przez chwilę mogę czuć się kim innym i jestem ci za to cholernie wdzięczna.

— Nie powinnaś mówić „cholernie” — powiedziała Deidra, wracając do zasad etykiety. — Poza tym... ja także wiele o tym myślałam, odkąd się poznałyśmy. Nie jestem osobą, która miałaby prawo osądzać, czy to, co robisz, jest słuszne czy raczej godne potępienia. Mogę ci tylko powiedzieć, że do tej pory nie spotkałam nikogo, kto byłby tak bardzo miły, serdeczny i kochany jak ty. Jestem pewna, że gdyby los oszczędził ci tych wszystkich nieszczęść, byłabyś na pewno wielką damą, Billy. Ale być może wtedy nie mogłabyś uszczęśliwiać tak wielu ludzi, jak to robisz teraz.

Billy spojrzała na przyjaciółkę wzruszona do głębi jej szczerym wyznaniem.

— Czasami mam wrażenie, że Bóg patrzy na nas z góry. Nie jestem co prawda wierząca, ale myślę sobie, co też on mi powie w dniu sądu ostatecznego. Może po prostu wyjawia nam swe cele, które kazały mu kierować naszym losem tak, a nie inaczej.

Billy zeszła na dół. Zza zamkniętych drzwi dużego salonu dobiegał śpiew dziewczyn, które zebrały się, by razem świętować Wigilię. Tego dnia-jedyny raz w roku — dom Billy był zamknięty. Pod ustawioną pośrodku salonu bożonarodzeniową choinką układano prezenty. Wiele spośród pracujących u Billy dziewcząt nie miało ani rodziny, ani przyjaciół. Tutaj był ich jedyny dom. Dlatego tak wielką wagę przywiązywały do tego dnia. Billy uśmiechnęła się na ich widok. Stały trzymając się za ręce i z przejęciem śpiewały kolędy. W ich twarzach było coś niewinnego i czystego.

— Kiedy wrócę, otworzymy prezenty i napijemy się po kieliszku szampana, dzieci — zwróciła się do nich z matczyną czułością. Potem pomachała im na do widzenia, życzyła wesółych świąt i wyszła, trzymając w obu rękach starannie zapakowane prezenty dla Toma, Deidry, Rory'ego i małego Seamusa. Świeży, biały śnieg skrzypiał pod jej stopami. Była piękna i mroźna grudniowa noc. Billy spojrzała na rozjaśnione gwiazdami niebo i westchnęła. Ten dzień, kiedy dobry Bóg stworzył Adama i Ewę, miał dla takich kobiet jak Barnacle Billy szczególne znaczenie.

Wagon, który Mulvaney kazał specjalnie dla siebie wybudować, był ekstrawagancką zabawką bogatego człowieka. Tom jednak szybko przekonał się do tego wygodnego środka lokomocji. Deidra spała na wielkiej pluszowej kanapie, kołysana do snu miarowym stukotem żelaznych kół pociągu. Tom, zamyślony, siedział naprzeciwko w fotelu i przyglądał się jej. Dzieci zostały w domu i mogli wreszcie nacieszyć się sobą, tak jak kilka lat temu, tuż po ślubie. Tom nigdy nie przypuszczał, że dzieci mogą być aż tak absorbujące.

To była długa podróż. Tom miał do załatwienia interesy w kilku miastach, a przede wszystkim w Denver, które stanowiło właściwy cel ich podróży. Jadąc od jednej stacji do drugiej, czasami setki kilometrów jednego dnia, mieli dość czasu, by nacieszyć się sobą. Dość Deidra zajęta wychowywaniem dzieci z trudem znajdowała czas dla męża. Nie robił jej z tego powodu wyrzutów. Był jednak bardzo spragniony tych intymnych i pełnych uniesienia chwil, które spędzali tylko we dwoje. Naturalnie kochał swoje dzieci, ale Deidra pozostała nadal jego największą i najważniejszą miłością. Była dla niego bóstwem, wokół którego kręcił się cały świat. Była centrum jego wszechświata. Dawała mu poczucie spokoju i zadowolenia, którego nie zaznał przy żadnej innej kobiecie.

We śnie przypominała małą kotkę, która wygrzewa się na słońcu. Tom poczuł, że bardzo jej pragnie. Nachylił się nad nią i dotknął jej kasztanowych włosów. Były miękkie jak jedwab. Pragnął być dla niej wszystkim, tak jak ona była wszystkim dla niego — kochankiem, mężem, ojcem jej dzieci i przyjacielem. Pragnął jej jeszcze mocniej niż wtedy, gdy kochali się po raz pierwszy w wynajętym mieszkanku w portowej dzielnicy. To dzięki tej cudownej dziewczynie jego szare, pozbawione ciepła i uczucia życie nabrało nowego nieoczekiwanego kolorytu.

— Kocham cię — wyszeptał, kiedy otworzyła oczy, rozbudzona jego pieszczotami. — Kocham cię, kocham...

58.

Tom bardzo lubił wracać do ich nowego domu, który dostali z Deidrą od ojca. Po narodzinach Seamusa Jim stwierdził, że Daltonowie powinni zamieszkać oddzielnie.

Deidra długo wahała się, jakie nadać imię drugiemu synowi. Chciała nazwać go Jim. Sądziła, że sprawi to ojcu wielką przyjemność. W końcu jednak zdecydowała się na celtycki odpowiednik tego imienia — Seamus, pamiętając o przyjacielu Toma, który zmarł na gruźlicę w klasztorze świętego Ignacego. Nie była pewna, czy ta zmiana nie sprawi ojcu przykrości, ale Jim przyjął ją ze zrozumieniem.

— Seamus czy James... co za różnica. Nieważne, czy nazwiesz go w celtyckim czy angielskim języku — odparł uradowany dziadek.

Kiedy Tom wracał do domu, Deidra już na niego czekała. Zdejmowała mu płaszcz, a on przeglądał pocztę przyniesioną przed południem. Ten rytuał powtarzał się każdego dnia i sprawiał obojgu wielką radość. Potem Tom odkładał listy na srebrną tacę leżącą na kredensie w jadalni, siadał w fotelu i poświęcał czas dzieciom. Jednak tym razem stało się inaczej. Segregując listy Tom zauważył dużą kopertę zaadresowaną znajomym charakterem pisma. Nadawcą była Abigail Marshall z Bostonu. Tom poprosił Deidrę, aby zabrała dzieci, które właśnie wieszały się ojcu na szyi, chcąc bawić się w Indian i kowbojów. Usiadł w fotelu i uważnie obejrzał kopertę. Nigdy dotąd Abigail nie przysyłała listów na jego prywatny adres.

— Wasz tatuś dostał bardzo ważny list i nie wolno mu przeszkadzać — tłumaczyła Deidra chłopcom, którzy nie chcieli zrezygnować z zabawy.

Kiedy wróciła z powrotem do jadalni, Tom siedział blady jak ściana. Na podłodze leżała rozdarta koperta i zgnieciona w kulkę kartka.

— Jakies złe wieści? — spytała przestraszona.

— Niestety — Tom patrzył nieprzytomnie w niewidzialny punkt zawieszony gdzieś w przestrzeni. — Moja matka próbuje mnie odszukać. Była u Abigail Marshall, chciała dowiedzieć się, gdzie mieszkamy — dodał po chwili.

— Twoja matka — Deidra była zaskoczona. Przez moment sądziła, że się przesłyszała. — Nie rozumiem. Jeśli wiedziałeś, że żyje, to dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

Deidra czuła się zraniona. Świadomość, że jej mąż tak długo ukrywał przed nią prawdę, a — co gorsza — że być może nawet oszukiwał ją, sprawiła jej ból. Okazało się, że tak niewiele wie o przeszłości Toma, a to, co jej wcześniej opowiedział, być może wcale nie jest

prawdą. Miał matkę, która chciała go odnaleźć. Jeśli ukrywał to przed nią tak długo, to może okłamywał ją i w innych sprawach. Tom zmieszany spojrział na żonę. Potem opuścił wzrok i ściszone głosem, jakby wstydząc się, powiedział:

— Chciałem ci o niej powiedzieć na samym początku... to znaczy, od bardzo dawna. Moja przeszłość jest jak stara... wciąż nie zagojona do końca rana. Nie wiem, jak ci o tym powiedzieć...

Tom wyciągnął do niej rękę. Wzięła ją z pewnym wahaniem, co się jej nigdy przedtem nie zdarzało.

— Widzisz, moja matka była najpierw pokojówką w pałacu mego ojca. Zakochali się w sobie. Byłem owocem ich zakazanego związku. Wszyscy obrócili się przeciwko nim. — W głosie Toma brzmiał ogromny smutek i gorzkość.

Deidra była poruszona go głębi. Usiadła naprzeciwko męża, patrząc mu z napięciem w oczy. Miała przedziwne uczucie, że oto cały ich wspólny świat, a wraz z nim to, co tak bardzo cenili — bezpieczeństwo, spokój i szczęście — w jednej chwili zaczyna się rozpadać.

— Mój ojciec zdołał w jakiś sposób przekonać dziadka, by pozwolił nam wszystkim pozostać w Drumgillan. Mieszkaliśmy razem w małej chatce. Tam spędziłem pierwsze lata swego życia. To był szczęśliwy okres. Mój ojciec był wspaniałym człowiekiem — typowy Irlandczyk — trochę nieokrzesany, ale jednocześnie bardzo czuły i opiekuńczy. Uwielbiał konie. Często zabierał mnie ze sobą do olbrzymiej pałacowej stajni dziadka. Często mówił, że kiedy już ożeni się z moją matką, wyjedziemy w trójkę do Nowej Południowej Walii lub Ameryki i tam założymy najwspanialszą stadninę koni na świecie. I każdego ranka będziemy razem objeżdżać naszą wielką posiadłość, tak mówił.

Deidra spostrzegła w błękitnych oczach męża łzy.

— Zginął w wypadku. Stratował go koń. Miałem wtedy osiem lat i byłem przy tym. — Tom nerwowo zaciskał spocone dłonie. Opuścił nisko głowę, tak że nie mogła dostrzec jego twarzy.

Następnego dnia starszy brat mego ojca wyrzucił moją matkę i mnie na bruk. Ksiądz z naszej parafii pomógł nam w tych ciężkich chwilach. Okazało się, że ojciec pozostawił u niego dla nas niewielką sumę pieniędzy, coś w rodzaju zabezpieczenia na czarną godzinę. Nie wiem, czy przeczuwał swą śmierć, czy po prostu był aż tak zapobiegliwy i doskonale zdawał sobie sprawę z naszego położenia.

Delikatnie dotknęła jego dłoni. Spojrział na nią i próbował się uśmiechnąć.

— Moja matka pojechała do Ameryki, a ja zostałem w Irlandii. Taka była ostatnia wola mego ojca. Umieszczono mnie w klasztorze, gdzie miałem zdobyć wykształcenie.

— Dlaczego nie próbowałeś skontaktować się z nią wcześniej, Tom? — Deidra starała się ukryć zmieszanie. Nie rozumiała męża, a jednocześnie nie chciała urazić go jakimkolwiek zarzutem.

— Nie chciała, bała się powiedzieć swemu mężowi, którego poślubiła w Ameryce, że ma dziecko — Tom uśmiechnął się z goryczą. — Odwiedziłem ich w końcu podczas mojej wizyty w Bostonie, kilka lat temu. Przedstawiła mnie mężowi jako swego bratanka.

— To musiało być dla ciebie bolesne przeżycie, kochanie! — wykrzyknęła Deidra z przejęciem. Jak mogłam być tak niedyskretna! Jak mogłam czynić mu wyrzuty i podejrzewać o kłamstwa?! Zachowałam się okropnie — pomyślała z wyrzutem.

— Chciałem ci o tym opowiedzieć już wcześniej, naprawdę. Ale za każdym razem, kiedy myślałem o tej całej historii, ogarniało mnie tak wielkie zmieszanie i konsternacja, iż nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa. Rozsądek nakazywał mi wybaczyć matce. Była biedną dziewczyną, która przyjechała do Ameryki, całkiem zagubiona, zdana jedynie na samą siebie. Ale serce... ono nie chce wybaczyć.

Tom schylił się, podniósł z ziemi zmięty kawałek papieru. Rozprostował go i wręczył żonie.

Drogi Tomie — pisała Abigail — Obawiam się, że wiadomości, które mam Ci do przekazania, mogą wywołać w twym wrażliwym sercu niemałą burzę. Henry i ja mieliśmy niedawno bardzo tajemniczego gościa. Kobieta, która przyszła do nas, podawała się za Twoją matkę. Wybacz mi mój chaotyczny styl, ale zawsze mieszam koniec z początkiem, z czego zazwyczaj wychodzi kompletny mętlik. Zacznijmy więc, jak Pan Bóg przykazał, od samego początku tej historii.

Właśnie zamykałam biuro, kiedy na naszą ulicę zajechał kryty powóz. Wysiadła z niego elegancko ubrana kobieta w średnim wieku. Wyglądała na bardzo zamożną. Przedstawiła się jako żona pana Thadeusa Martina (nazwisko to już od pewnego czasu jest głośne w całym Bostonie). Zwróciła się do mnie po imieniu, co bardzo mnie zdziwiło. Dowiedziała się, że Tom Dalton prowadzi ze mną interesy i miała nadzieję (cóż za desperacka nadzieja!), że może będę potrafiła podać jej Twój adres w Nowym Jorku. Była bardzo podenerwowana. Odniosłam wrażenie, że niezmiernie zależy jej na spotkaniu z Tobą. Próbowałam ją uspokoić i wyjaśnić, iż nie mogę udzielać tak prywatnych informacji na temat osób trzecich. Widząc desperację w oczach tej rozhisteryzowanej kobiety, zaproponowałam, by zostawiła list do Ciebie, który Ci doręcę.

— Nie, nie — wykrzyknęła. — To będzie za późno. Moje dziecko umiera.

Po tych słowach kobieta zalala się łzami. Henry, który — jak wiesz — zawsze był bardziej powolny i zrównoważony ode mnie, wprowadził kobietę do biura, posadził na krześle i zaczął wypytywać o przyczyny jej nieszczęścia. Henry ma jedyną w swoim rodzaju umiejętność zjednywania sobie ludzi. Po kilku minutach kobieta uspokoiła się, wypita filiżankę cie-

plej herbaty i opowiedziała nam wszystko o sobie. Twierdziła, że jesteś jej synem, którego musiała porzucić zanim przybyła do Ameryki. Zdaje się, to właśnie ten krok był powodem straszliwych wyrzutów sumienia, które dręczyły jej duszę (to dość powszechne zjawisko pośród katolików, którzy w specyficzny sposób rozumieją zbawienie i łaskę bożą). W każdym razie, najmłodszy syn, którego miała z Thadeusem Martinem, ciężko zachorował i jego życie było w niebezpieczeństwie. Kobieta twierdziła uparcie, że jest to kara, którą zesłał na nią Bóg za to, że przed laty porzuciła Ciebie. Uważała, że jedynym sposobem, by uratować dziecko, jest wyjawić całą prawdę mężowi i z pokorą znieść wszystkie tego konsekwencje.

Wierz mi, Tom, że w żadnym innym wypadku nie odważyłabym się zakłócać Twego spokoju. Jednak po pewnym wahaniu doszłam do wniosku, że powinnam ci o wszystkim donieść. Jeśli mogłabym Ci pomóc w tej sprawie w jakiś sposób, zawsze możesz na mnie liczyć. Henry zdołał przekonać tę kobietę, by nie podejmowała żadnych pochopnych decyzji przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Obiecał, że w tym czasie skontaktujemy się z Tobą. Jeśli to, co mówiła, jest prawdą, radzę Ci, byś czym prędzej przyjechał do Bostonu i pomógł tej biednej i udręczonej duszy. Najwyraźniej pani Martin popadła w głęboką depresję i nie jestem pewna, czy z nią wszystko w porządku. Sprawia wrażenie osoby, którą zawładnęło jakieś szaleństwo.

Pozdrawiam Cię mocno, Abigail Marshall

Deidra odłożyła list i spojrzała z powagą na swojego męża.

— Musisz tam koniecznie pojechać — powiedziała.

— Muszę?

— Tak. Wszystko wskazuje na to, że życie twego przyrodniego brata jest zagrożone. Jak rozumiem, twoja matka jest na skraju nerwowego wyczerpania. Nie możesz zostawić ich samych, gdy cię potrzebują.

— Ona też zostawiła mnie, kiedy jej potrzebowałem.

— I ponieważ dobrze wiesz, ile ci to sprawiło bólu, nie zrobisz teraz tego samego. — Oświadczyła stanowczym głosem.

Tom kiwnął głową z aprobatą, po czym mocno objął żonę. Trzymał ją długo w ramionach i czuł, jak z każdą chwilą wracają mu siły. Dzięki Deidrze żadne przeciwności losu nie były już straszne. Poszedł na górę do swojego pokoju i zaczął się pakować w pośpiechu. Chciał zdążyć na najbliższy pociąg do Bostonu.

Było już po północy, kiedy Tom stanął przed drzwiami domu Marshallów. Henry powitał go w szlafroku i rozdeptanych kapciach. Abigail w koronie z papilotów na głowie pobiegła do kuchni, by przyrządzić kawę. Tom zmęczony podróżą ściągnął przemoczony płaszcz i gumowe kalosze. Za oknem padał ulewny deszcz, a silny porywisty wiatr uginał drzewa prawie do samej ziemi.

— A więc to jednak prawda. Ta kobieta jest twoją matką — powiedziała Abigail, groźnie potrząsając papilotami. Wyglądała w nich jak wieszczka Pytia.

— Tak.

— Tak sobie też myślałam.

— Kochanie — jęknął Henry. — Dajmy wytchnąć panu Daltonowi. Ma za sobą długą, męczącą podróż i na pewno chce trochę odpocząć. Sprawdź lepiej, czy woda na kawę już się zagotowała, a ja tymczasem pójdę po butelkę brandy. Usiądziemy sobie razem przy kominku w bibliotece i dopiero wtedy porozmawiamy.

— Oczywiście, oczywiście — odparła.

Potem podreptała do kuchni i wyjęła z szafki duży kawałek ciasta. Nałożyła go na talerz i zniosła na stół wraz z filiżankami kawy.

— Przykro mi, że wyciągnąłem was z łóżek o tak późnej porze...

— Nonsens — przerwała mu Abigail. — Jesteś naszym przyjacielem i tylko to się liczy.

— Jeśli nie chcesz z nami rozmawiać o matce, nie będziemy nalegać, Tom — powiedział Henry rozlewając brandy do kieliszków.

— Drogi braciszku, to nie jest odpowiednia pora, by prawić sobie wzajemnie grzeczności. Ludzkie życie jest w niebezpieczeństwie i sądzę, że Tom chętnie podzieli się z nami swoimi troskami. Z tego, co powiedziała pani Martin, wynika, że zbyt długo ukrywano te wszystkie sprawy i jak do tej pory wynikły z tego same kłopoty. — Abigail obrzuciła brata pełnym nagany i dezaprobaty spojrzeniem. Potem odwróciła się w stronę Toma i powiedziała: — No, bez obawy, powiedz, co się stało.

Siedzieli do czwartej na ranem. Kiedy Tom opowiedział im historię swego życia, długo naradzali się, co powinien teraz zrobić.

Mary siedziała przy łóżku swego umierającego synka. Sean miał zaledwie dwanaście lat i był jej ukochanym, długo oczekiwany dzieckiem. Nie chciała, by, jak inne jej dzieci, wysłano go do szkoły gimnazjalnej świętego Pawła. Uważała, że jest jeszcze zbyt mały, zbyt wrażliwy i nieprzystosowany do życia w obcym środowisku. Ale i w tej kwestii Thadeus okazał się wyjątkowo uparty. W końcu, we wrześniu stało się to, czego Mary tak bardzo się obawiała. Sean, jak wszyscy jego bracia, został wysłany do szkoły świętego Pawła. Martin nie rozumiał tej szczególnej więzi, która łączyła matkę z najmłodszym dzieckiem. Przecież Mary nie mogła powiedzieć mu, że Sean był tak bardzo podobny do Toma, iż uwierzyła w końcu, że ma do czynienia z tą samą duszą, która zstąpiła do dwóch ciał. Teraz jej ukochany synek umierał, a wraz z nim marzenia o szczęściu i odkupieniu dawnych win.

— Mamusiu — chłopiec spojrzał na nią nieprzytomnymi, zamglonymi od wysokiej gorączki oczami. Lekarze jednomyślnie stwierdzili, że to influenza.

— Nie mogę oddychać, mamusiu.

Głos dziecka był coraz cichszy. Z trudem łąpał powietrze, a z jego płuc wydobywał się coraz głośniejszy niepokojący świst. Mary zdawało się, że to śmierć śpiewa jej dziecku ostatnią kołysankę. Podczas dzisiejszej wizyty lekarz stwierdził, że chłopiec może nie przeżyć tej nocy.

— Już dobrze, mój mały — Mary troskliwie odgarnęła włosy z gorącego czoła. — Mama wie, jak ci pomóc, leż spokojnie, mama wie, jak pomóc.

Położyła się przy dziecku. Mocno trzymała je w swoich ramionach, jakby w ten sposób chciała zatrzymać życie w tym małym kruchym ciele. Lekarz nic nie rozumie, myślała rozgorączkowana, kiedy Tom przyjedzie, wszystko znów będzie dobrze. Wtedy zdradzi wreszcie swą wielką tajemnicę mężowi. Powie mu o wszystkim. Była pewna, że ten akt pokory sprawi, iż Bóg w swej nieskończonej łasce daruje życie jej małemu synkowi. To tak, jakby przywracała rzeczom dawno utraconą miarę. Bóg na pewno zlituje się nad tym niewinnym dzieckiem, nie będzie przecież tak okrutny, by mścić się na nim za jej grzechy. Dlaczego uwierzyła, że można bezkarnie żyć w grzechu i kłamstwie? Dlaczego lekarz powiedział, że influenza jest nieuleczalna i wszystko leży w rękach Boga?

Dokładnie o siódmej rano Tom stanął przed drzwiami posiadłości Martinów. Na widok czerwonego krzyża zawieszzonego nad wejściem, który ostrzegał wszystkich, iż w domu panuje zaraźliwa choroba, Tom poczuł niepokój w sercu. Wiedział, że influenza jest nieuleczalna, a przecież był odpowiedzialny za zdrowie swej żony i dzieci.

Dziewczyna, która otworzyła drzwi, spojrzała na Toma z dystansem.

— Muszę się widzieć z panią Martin.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— To niemożliwe, proszę pana. Pani jest przy chorym dziecku i nikogo nie chce widzieć.

— Jestem pewny, że będzie chciała się ze mną zobaczyć.

— Skąd ta pewność, młody człowieku? — z głębi hallu dobiegł lodowaty głos Thadeusa Martina.

— Jestem... członkiem rodziny... poza tym pani Martin wysłała do mnie list — odparł Tom zmieszany.

— Twoja ciotka, młody człowieku, całkiem postradała zmysły. Nie chce widzieć nawet mnie. Jakiś diabeł w nią wstąpił — ton, z jakim to mówił, zdradzał strach i niepewność.

Stał teraz twarzą w twarz z Daltonem i najwyraźniej nie chciał wpuścić go do środka. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Potem nagle Martin zgarbił się, jakby dopiero teraz od-

czuł na swych barkach cały ciężar nieszczęścia, które dotknęło jego rodzinę. Z rezygnacją cofnął się i wskazał Daltonowi ręką schody prowadzące na górę. Pokojówka zaprowadziła młodego człowieka aż pod same drzwi pokoju. Nie weszła jednak z nim do środka. Najwyraźniej się bała.

To, co Tom zobaczył, było wstrząsające. Na łóżku leżał mały chłopiec rozpalony straszliwą gorączką i ciężko oddychał. Mary leżała w poprzek łóżka z rozpuszczonymi i potarganymi włosami, a jej nabrzmiała od bólu i łez twarz wyglądała zupełnie staro.

— Matko — odezwał się cicho. — Przyjechałem, tak jak prosiłaś.

Kobieta, która spojrzała na niego, w niczym nie przypominała eleganckiej i pełnej radości pani Martin, którą spotkał podczas swego pierwszego pobytu w Bostonie. Jej oczy były dzikie, wyrażały strach, rozpacz, niemal obłęd.

Tom przerażony cofnął się o krok.

— Mój syn umiera — powiedziała powoli.

Jej głos dobiegał jakby z zaświatów. Kiedy wstała otrzepując zmiętą spódnicę, przypominała raczej zjawę z jakiejś strasznej baśni niż człowieka z krwi i kości. Jednak najgorsze były jej oczy — oczy człowieka, który nie panuje nad swymi myślami.

— Bóg chce mnie ukarać za moje grzechy, Tom. Jest na mnie zły, gdyż bardziej kochałam Seana od innych dzieci. A to dlatego, że jest tak bardzo podobny do ciebie.

Mary wyciągnęła rękę w kierunku leżącego dziecka.

— Jesteś mi potrzebny, Tom. Muszę wszystko powiedzieć mojemu mężowi i dzieciom. Wszystko! Jeśli to zrobię, może Bóg oszczędzi mojego synka.

Wydała mu się całkiem szalona. Stał bezradnie na środku pokoju, nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić.

— Dziecko potrzebuje lekarza, matko.

— Lekarza! — kobieta zaniósła się straszliwym śmiechem. — A co lekarz może wiedzieć o grzechu. Tu potrzebny jest ksiądz.

— Mamo, chłopiec zachorował, ponieważ panuje epidemia. — Tom starał się zachować spokój. — Abigail Marshall mówiła mi, że w Bostonie umarło już wiele dzieci na tę chorobę. To niemożliwe, by wszystkie matki były grzesznicami. To nie ma z tobą nic wspólnego, a już na pewno nie z twoją przeszłością.

Podbiegła do niego z twarzą wykrzywioną wściekłością i rozpaczą.

— A właśnie, że ma! Tak długo żyłam w kłamstwie, aż w końcu cierpliwość Boga się wyczerpała. Oszukiwałam swego męża, okłamałam go nawet podczas nocy poślubnej! Zaw-

sze kłamałam! Błuźniłam Bogu i on teraz postanowił mi za to odpłacić. Ojciec McKuen miał rację, każdy grzech zostanie ukarany.

Mary krzyczała na cały dom. Dalton był pewien, że Martin słyszy ich rozmowę. Starał się wziąć matkę w ramiona, uspokoić ją, zmusić do milczenia, ale ona wyrывała mu się z furią, wrzeszcząc jeszcze głośniej.

— To wola Boża! On zabiera mi to, co najbardziej kocham, by ukarać mnie za moją pychę, za moją arogancję.

— Czy nazywasz pychą ciągłą walkę o to, by żyć godnie? Nie, matko, żaden Bóg nie mógłby być aż tak okrutny i karać cię za to. — Tom krzyczał teraz razem z nią. — Masz prawo do godnego życia.

— A on? — spojrzała na Seana. — Co powiesz o nim? Czy nie ma prawa żyć dalej? To ja go zabiłam, zabiłam go swoją pychą, kłamstwem, grzechem!

— Matko, spróbuj zrozumieć... — Tom urwał nagle. Podbiegł do dziecka. Przyłożył dłoń do jego ust, po czym wyszeptał z przerażeniem: — Mój Boże, ono nie oddycha.

Wybiegł z pokoj

— Panie Martin, pa Martin! — krzyczał. — Proszę wezwać pomoc! Dziecko nie oddycha!

Kiedy wrócił do pokoju, ujrzał obraz tak przerażający, iż nigdy potem, aż do dnia swojej śmierci, nie mógł wymazać go ze swojej pamięci. Mary siedziała na łóżku z rozpiętą bluzką. Trzymała nieżywego chłopca w ramionach i przyciskała jego sine usta do swojej piersi, jakby był noworodkiem. Śpiewała przy tym starą irlandzką kołysankę i uśmiechała się. Jej oczy były jakby przykryte mgłą, całkiem nieobecne patrzyły tępo w przestrzeń. Tom podbiegł do niej, chwycił leżącą na łóżku kołdrę i próbował przykryć martwe dziecko. Mary spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem, potem jak gdyby rozpoznając go, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Już dobrze, Michel, już dobrze. Tom zasnął i możemy teraz posiedzieć trochę przy kominku.

Tom usiadł ciężko na brzegu łóżka. Zatopił dłonie we włosach i rozplakał się. W tej chwili do pokoju wszedł Martin. Widząc, co się stało, zamknął na moment oczy. Potem podszedł szybko do żony. Z trudem udało mu się wyrwać ciało chłopca z jej objęć. Kiedy spostrzegł, że jej piersi są nagie, próbował je szybko czymś przykryć. Potem odwrócił się do Toma, a jego twarz była czerwona z wściekłości.

— Wynoś się! — syknął. — Wynoś się z tego domu i zostaw nas z naszym nieszczęściem.

Mary siedziała na werandzie sanatorium w Cambridge. Trzymała na kolanach lalkę i czesała jej włosy, śpiewając piosenki. Tom wraz z doktorem Peabody szli wysypaną żwirem alejką prowadzącą przez ogród. Thadeus Martin opuścił ich wcześniej, ponieważ musiał zająć się przygotowaniami do pogrzebu syna.

— Mówiąc szczerze, młody człowieku, medycyna niewiele wie o chorobach psychicznych — powiedział doktor. — Szok, który przeżyła pańska matka, oraz życie w ciągłym poczuciu winy spowodowały zmiany w jej osobowości. Odnosimy wrażenie, że jej świadomość cofnęła się w czasie. Nie chcąc zaakceptować rzeczywistości, schroniła się w wymyślnym świecie swoich wspomnień. Jak długo to potrwa, nie wiadomo.

Spojrzał na zatroskaną twarz Toma, po czym dodał:

— To tak jak ze zwierzętami, które zapadają w zimowy sen. Miejmy nadzieję, że pańska matka powróci do zdrowia.

— Panie Peabody, w pewnym sensie czuję się odpowiedzialny za to wszystko. Może gdybym przez te wszystkie lata traktował ją z większym zrozumieniem, ta tragedia nie miałaby miejsca.

— Panie Dalton, niech pan nie popełnia tego samego błędu co pańska matka. Nie można brać na swoje barki ciężaru win, których się nie popełniło.

— Więc co mogę zrobić, by jej pomóc?

— Już sam fakt, że odczuwa pan taką potrzebę, jest krokiem naprzód. Powinien pan odwiedzać ją tak często, jak to tylko możliwe. Pańska obecność, jak również obecność jej męża może utorować nam drogę do jej podświadomości, a wówczas, kto wie, być może pańska matka powróci do naszego świata.

— Czy rozmawiał pan już o tym z panem Martinem?

Doktor potrząsnął przecząco głową.

— Widzi pan, to nie jest takie proste. Jeszcze nie zdążył dojść do siebie po tym, jak całe jego życie legło w gruzach. W pewnym sensie on także jest dotknięty chorobą, panie Dalton. Ale to szlachetny człowiek i wierzę, że kiedy upora się sam ze sobą, na pewno pomoże nam wyleczyć żonę.

Nagle doktor zatrzymał się. Spojrzał głęboko w oczy Toma i powiedział z powagą:

— Myślę, że mógłby pan pomóc również i jemu.

— W jaki sposób?

— Pan powinien mu pomóc zrozumieć własną żonę. To bardzo ważne, by nie przestał jej kochać. Ona będzie potrzebowała wiele czułości z jego strony. Teraz, być może, nienawidzi jej, czuje się bowiem oszukany. Powinien pan to zrozumieć, bo sam był pan kiedyś w podobnej sytuacji. Sądzę, że obaj macie sobie dużo do powiedzenia. Musicie zrozumieć, że ta kobieta przez całe życie walczyła o przetrwanie. Ten potężny instynkt kierował całym jej życiem.

— Nie jestem pewny, czy będzie chciał ze mną rozmawiać — odparł Tom. Odczuwał jakiś niesmak. Uważał, że porównywanie go z jakimś oschłym i apodyktycznym kupcem, który całe życie tylko liczył pieniądze, nie jest stosowne. W rzeczywistości to Tom nie chciał się z nim spotkać.

— Panie Martin, los zrządził, iż nasze drogi się zeszły. — Tom odchrząknął nerwowo. Nie miał pojęcia, co powiedzieć dalej po tym dość pompatycznym wstępie. Thadeus Martin spojrział na młodego człowieka z uwagą, lecz nic nie odpowiedział.

— Sądzę, że jestem panu dłużny wyjaśnienie kilku bardzo ważnych kwestii. Proszę mi jednak wybaczyć, jeśli wpieryw powiem, iż to właściwie nie ja powinienem teraz stać tutaj przed panem... Osobą, która powinna to wszystko wyjaśnić, jest pańska żona.

— Moja żona, panie Dalton, jak pan dobrze wie, znajduje się w stanie, który wyklucza jakiegokolwiek wyjaśnienia — Martin przerwał mu ostro. — Jeśli może mi pan wyjaśnić, co właściwie stało się w moim domu... błagam, niech mi pan to powie.

Thadeus rozpaczliwie próbował panować nad sobą, ale przejścia ostatnich dni sprawiły, że był na granicy wyczerpania nerwowego.

— Mam nadzieję, że wybaczy mi pan to, co mam mu do powiedzenia, panie Martin — jakaś mocna nuta w głosie młodego człowieka uderzyła Thadeusa. Spojrzął na niego błagalnym wzrokiem i odrzekł:

— Panie Dalton, ma pan przed sobą nieszczęśliwego człowieka, który właśnie stracił swego najmłodszego syna... człowieka, którego życie rozpadło się w ciągu zaledwie kilku dni, któremu już nic nie pozostało z dawnego szczęścia. Cóż jeszcze może mi pan takiego powiedzieć, co mogłoby pogłężyć mnie w głębszej jeszcze rozpacz.

Thadeus stał przy oknie w swoim gabinecie. Na jego bladej, wychudłej twarzy widać było smutek i straszliwe cierpienie. Tom nie miał serca, by dobijać tego nieszczęsnego, pogrążonego w rozpacz człowieka. A jednak nie miał innego wyjścia, musiał powiedzieć mu prawdę. Thadeus słuchał go w milczeniu. Zwiesił bezwładnie głowę na swej tyczkowatej szyi i nerwowo przebierał palcami. Tom starał się bronić swojej matki, próbował wytłumaczyć jej postępowanie, usprawiedliwić kłamstwa. Była przecież biedną, zagubioną, zdaną na łaskę innych ludzi, irlandzką dziewczyną, która przybyła do Ameryki. Kiedy już spotkała

jego, Martina, i wydawało się, że jej życie wreszcie odmieni się na lepsze, dręczył ją przerażający koszmar wyrzutów sumienia, strachu przed surowym wyrokiem Boga, przed ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem. Kiedy skończył, obaj przez długi czas stali w całkowitym milczeniu.

— Musi być pan bardzo podobny do ojca — stwierdził Thadeus z nie tajoną zawiścią w głosie.

— Tak — odparł.

— Nawet mnie nie poznała... — Martin powiedział to płaczliwym, drżącym głosem, który wzruszył Toma do głębi. Rozpacz i smutek tego człowieka musiały być bezgraniczne.

— Mnie również — próbował go pocieszyć Tom. Nie mógł patrzeć, jak bardzo cierpi. Chciał mu pomóc.

— Ale mówiła do ciebie...

— Tylko dlatego, że bierze mnie za mojego zmarłego ojca.

Thadeus aż skrzywił się z bólu, słysząc o Michelu. Najwidoczniej nie potrafił jeszcze pogodzić się z myślą, że w życiu żony istniał przed nim jakiś inny mężczyzna. Szybko się jednak opanował.

— W tej chwili ma jedynie świadomość cierpienia, strachu i poczucia ogromnej winy za śmierć mego brata.

Ostatnie słowo najwyraźniej dotknęło pana Martina. Próbował ukryć swój wzrok pod maską niewzruszonego spokoju.

— Teraz cofnęła się do czasów, gdy jej sumienie było jeszcze czyste, kiedy żyła w poczuciu bezpieczeństwa, bez wyrzutów sumienia i nie kończącej się udręki. Myślę... jestem tego pewien, że tylko wtedy, gdy pan wybaczy jej i obdarzy jeszcze większą miłością i zaufaniem, moja matka będzie miała szansę powrócić do zdrowia.

— Tak — odparł Martin. Stał cały czas w tym samym miejscu, wpatrzony w jakiś oddalony punkt za oknem. — Zapewne ma pan całkowitą rację.

— To dobry człowiek, Abigal. Chciałem odnaleźć w jego charakterze choć jedną taką cechę, która pozwoliłaby mi go znienawidzić, ale nie mogłem. To, co stało się z Mary, całkiem go załamało. Myślę jednak, że zaopiekuje się nią. Pragnie tak samo jak ja, by powróciła do zdrowia.

Abigal Marshall weszła właśnie do jadalni. Przyniosła Tomowi kilka kawałków świeżo upieczonego chleba, posmarowanych grubo masłem.

— Powinieneś przestać zadrećcać się tym. Musisz jeść. Przez te wszystkie dni nawet nie tknąłeś jedzenia. Musisz dbać o siebie, chłopcze. Influenca to poważna choroba i łatwo się nią zarazić.

Posłusznie, lecz bez większego entuzjazmu, Tom usiadł do stołu.

— Gdzie teraz jest twoja matka, Tom?

— Umieściliśmy ją w prywatnej klinice w Cambridge. Wszystkie inne tego rodzaju prowadzą zakonnice. Thadeus stwierdził, że kościół ze swoim okrutnym i nieludzkim kodeksem moralnym narobił już dość zamieszania w sercu biednej Mary. Chciał, by miała spokój. Wiesz, jak kler potrafi być nachalny w sprawach wiary.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Chcę odwiedzać matkę tak często, jak to tylko będzie możliwe. Powinienem również utrzymywać stały kontakt z jej mężem. On także potrzebuje wsparcia. A dlaczego pytasz?

— Obawiam się o ciebie. Przeszedłeś duży wstrząs. Z telegramu, który przysłała Deidra, wynika, że bardzo martwi się o ciebie, i myślę, że nie bez powodu.

Tom przytaknął jej, choć najwidoczniej myślał o czymś innym, bo powiedział:

— Ten chłopiec, Abigal... Musiałem być bardzo do niego podobny w tym wieku. Nigdy nie zapomnę tej strasznej sceny, kiedy moja matka tuliła martwego Seana do swojej piersi. To było okropne! Biedna matka. Wiesz, kiedy powiedziała mi, że chciała kiedyś popełnić z rozpacz samobójstwo, zrozumiałem, jak bardzo musiała czuć się winna. Ten cały pomysł, że Bóg chce ją ukarać za grzechy, odbierając życie jej synowi... to groteskowe.

— Raczej całkiem zrozumiałe. Katolicy rozpatrując wszystko tylko w dwóch kategoriach, grzechu i zbawienia, sami wpędzają się w pułapkę, z której nie ma wyjścia. — Odparła Abigal, która sama była zatwardziałą protestantką. Usiadła obok Toma i przyglądając mu się z troską, spytała: — Jak się czujesz po tym wszystkim... Nie chciałabym, byś ty również dał się złapać w tę straszną pułapkę, co twoja matka. Jak mogłeś się przekonać, ta droga prowadzi do obłądu.

— Jest mi jej żal... również jej męża i ich dzieci. To musi być dla nich straszliwe przeżycie. Dzięki Bogu, że są już dorosłe i mogą wiele zrozumieć. Chciałbym im pomóc... To dość dziwne uczucie, ale mam teraz wrażenie, jakbym uwolnił się wreszcie od wszystkich koszmarów z mojej przeszłości.

— Czy to znaczy, że jej wybaczysz?

— Wybaczam jej i mam nadzieję, że ona mi też wybaczy. Nie powinienem był jej oskarżać.

Abigail położyła swoją Smukłą, bladą dłoń na jego ręce.

— Jesteś wspaniałym człowiekiem, Tomie Dalton. Każda matka byłaby dumna z takiego syna.

Uśmiechnął się lekko.

— Zanim pojadę do Nowego Jorku, muszę spotkać się jeszcze raz z lekarzem. Obawiam się, że nie będziemy już mieli okazji by spotkać się przed moim wyjazdem, dlatego chciałem ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś. Jestem ci bardzo wdzięczny.

— Kiedy przyjedziesz znowu, by odwiedzić matkę, nie zapomnij o swoich starych przyjaciółach. Czasami warto jest porozmawiać z kimś w ciężkich chwilach. W każdym razie Henry i ja będziemy o tobie myśleć.

Pakując rzeczy Tom przypomniał sobie rozmowę z doktorem Peabody. Nie wiadomo, jak długo Mary pozostanie w takim stanie. Właściwie nie było nawet pewności, czy kiedykolwiek powróci do normalności. Kiedy tak myślał o swojej matce uwięzionej w klinice dla nerwowo chorych, nagle poczuł ogromne pragnienie, by jak najszybciej zobaczyć znów Deidrę i dzieci, upewnić się, że są bezpieczni. Jak kruche jest ludzkie szczęście, pomyślał, jak okrutny okazuje się wobec nas los.

Deidra wchodziła w wiek dojrzały. Z każdym dniem stawała się piękniejsza. Tom uwielbiał się jej przyglądać, gdy bawiła się z dziećmi. Riordan miał już sześć lat i był wyjątkowo ładnym dzieckiem. Seamus, mimo że skończył dopiero cztery lata, był wyrośnięty, sprawiał wrażenie niezmiernie silnego chłopca. Jej uroda staje się coraz doskonalsza, myślał Tom o żonie. Przestała być już płochą, trochę zawstydzoną dziewczyną. Była teraz dojrzałą, piękną kobietą. Jej kasztanowe włosy nic nie utraciły ze swego cudownego blasku. Tom często siadał w fotelu pod ścianą i z pewnej odległości przyglądał się, jak siedząc przy toalecie rozczesywała szczotką rozpuszczone włosy. Ten widok za każdym razem przepełniał jego serce szczęściem i radością.

Kiedy Tom stanął w drzwiach jadalni, przyglądając się żonie, która czytała właśnie dzieciom jakąś bajkę, Deidra spostrzegła w oczach swego męża wyraz szczęścia. Świadomość, że ją kocha, była dla niej niezmiernie ważna. Potwierdzała bowiem, iż szczęście ich małżeństwa, co dla Deidry było najważniejsze — trwa w dalszym ciągu. Jednak w zachowaniu Toma dostrzegła coś, co ją niepokoiło. Jego stosunek do dzieci nacechowany był jakimś niezrozumiałym dla niej smutkiem i dystansem. Miała wrażenie, jakby jej mąż mimo całej swej ogromnej miłości dla dzieci nie potrafił zdobyć się wobec nich na odrobinę ciepła i czułości. Tłumaczyła sobie ciągle, iż to musiało wynikać z ciężkich przeżyć z dzieciństwa, a przede wszystkim z tego, iż Tom nie miał właściwie ojca, że w pewnym sensie był uboższy od innych ludzi o ten specyficzny rodzaj ojcowskich uczuć.

Deidra ułożyła Riordana i Seamusa do snu. Kiedy zamykała drzwi od ich pokoju, odczuła ulgę tak dobrze znaną wszystkim matkom na świecie, które po całym dniu przy dzieciach wreszcie mogą odpocząć i zająć się sobą. Przez cały dzień myślała o mężu. Tak bardzo go pragnęła. Nie mogła wprost doczekać się wieczoru, kiedy wreszcie położą się w wielkim łóżku, przykryją chłodną kołdrą i przytulą mocno do siebie. Zastanawiała się, czy inne zamężne kobiety czują podobnie. Wprawdzie żadna z jej przyjaciółek nigdy nie mówiła o swoim współżyciu z mężem z entuzjazmem, ale, być może, powodował nimi wstyd i zażenowanie. A może inni mężowie nie byli tak dobrzy w łóżku jak Tom.

Był przecież tak wspaniały, gdy owładnięty pożądaniem zrywał z niej suknię. Taki silny i czuły zarazem. W ciągu dnia pochłonięty swoimi obowiązkami pracował wytrwale, powiększał majątek, zdobywał uznanie wśród przemysłowców i polityków. Zył w innym świecie. Kiedy jednak wracał wieczorem do domu, potrafił zapomnieć o pracy i związanych z nią kłopotach. Ten zrównoważony, pragmatyczny za dnia człowiek, potrafił być nocą w łóżku jak wulkan. Deidra uśmiechnęła się, myśląc o tym.

Zeszła na dół do salonu, gdzie przy kominku siedział Tom. Czytał właśnie gazetę.

— Czy mógłbyś zaprowadzić swoją żonę do łóżka trochę wcześniej niż zwykle, kochanie? Chcę jak najszybciej znaleźć się w twoich ramionach. — Zatopiła dłoń w jego bujnej czuprynie. Tom uśmiechnął się, ujął jej dłoń i ucałował.

— Z największą przyjemnością, najdroższa.

— Tym razem to będzie dziewczynka. Nie mam wątpliwości — oświadczyła Billy z niezachwianą pewnością w głosie.

— Ostatnim razem twoja przepowiednia spełniła się. — Deidra roześmiała się serdecznie. — Doprawdy nie wiem, jak ty to robisz, ale jestem pewna, że i tym razem będziesz miała rację.

Odłożyła robótkę na drutach, nad którą pracowała dla zabicia czasu. Ponieważ lekarz zabronił jej przemęczać się, całymi dniami leżała na sofie, czytała książki, wychodziła tylko na krótkie spacerki.

-Wiesz, tym razem jest jakoś inaczej, Billy, jakoś spokojniej i łagodniej... Mam wrażenie, że dziecko, które noszę, będzie zupełnie inne niż Rory i Seamus. Mam takie uczucie, jakby tam w środku trzepotał uwięziony motyl.

Deidra położyła delikatnie dłoń Billy na swoim brzuchu.

— Tutaj, dotknij, sama się przekonasz, jak delikatnie się porusza.

Billy wyraźnie poczuła, że coś się porusza, trochę niezdarnie, trochę niepewnie, jakby obawiało się sprawić ból. Spojrzała na uśmiechniętą, promieniującą szczęściem twarz Deidry.

— Zazdroszczę ci, właśnie tej jednej rzeczy ci zazdroszczę.

Deidra pochyliła się w stronę przyjaciółki i dotknęła dłonią jej policzka. To musi być dla kobiety straszne, pomyślała, wiedzieć, że nigdy nie pozna tego wspaniałego uczucia, gdy w jej ciele zaczyna rodzić się nowe życie.

— Będziemy opiekować się wspólnie tym dzieckiem, Billy, zupełnie tak, jakby należało do nas obu. Będziemy wspólnie patrzeć, jak dorasta, jak się bawi, jak poznaje świat. I wspólnie nauczymy je, jak być prawdziwą damą i kobietą... razem. — Deidra powiedziała to tak stanowczo, jakby obawiała się, że przyjaciółka nie zgodzi się na jej propozycję. Ale Billy tylko roześmiała się, rozradowana. Była szczęśliwa i nie ukrywała swych uczuć.

— Naprawdę, kochanie, jesteś cudowna — odparła.

Deidra wróciła do swojej robótki na drutach. Czowała jakby ulgę. Widziała, że radość Billy jest szczerą, i cieszyła się, że może choć trochę pomóc swojej samotnej przyjaciółce.

61.

Podjąłem pewne decyzje odnośnie dzielnicy portowej — twarz Mulvaneya była czerwona ze złości. Położył swoje olbrzymie ręce na blacie stołu i bębnił nerwowo palcami. Tom, O'Reilly i Tierney z napięciem czekali na następne zdanie. Duffy, z kamienną jak zwykle twarzą, stał z tyłu przy drzwiach. Tom zastanawiał się, czy Mulvaney zdaje sobie w pełni sprawę z powagi sytuacji. O zmianach, które ostatnio zaszły w dzielnicy portowej, Dalton dowiedział się od Duffy'ego. Od kiedy znów pracował z Jimem, już jako wspólnik, Duffy traktował go jak swego szefa. Jednocześnie utrzymywała się między nimi ta nie sympatii, która zawiązała się na samym początku ich znajomości. Duffy był w tym samym stopniu lojalny wobec Toma, co wobec swego dawnego dobroczyńcy i chlebodawcy, Jima Mulvaneya.

Szef skinął ręką i Duffy podszedł do stołu i usiadł przy nim. Wprawdzie finanse i biznes go nie interesowały, jednak przejmował pełną inicjatywę w przypadku, gdy życie pracodawców znajdowało się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. A pogroźki włoskiej mafii należało traktować poważnie.

— Każdy z nich jest jakby członkiem jednej wielkiej rodziny. — Duffy od dłuższego czasu miał za zadanie dokładnie przyjrzeć się działalności włoskiej mafii w Nowym Jorku. — Każda rodzina ma swojego przywódcę, nazywają go *padrone*. To taki facet, który troszczy się o bezpieczeństwo każdego członka rodziny.

— No, nieźle — zachnął się Jim.

— Każda rodzina dysponuje czymś w rodzaju własnej armii, którą tworzą ludzie pozbawieni wszelkiej litości. Dla swego *padrone* zrobią wszystko, bez względu na to, czy każe im tylko kogoś nastraszyć, spalić sklep czy zabić.

— To, co mówisz, Duffy, niczym nie różni ich od pozostałych grup emigrantów w tym mieście. Czy sądzisz, że my, Irlandczycy, wzięliśmy się do polityki, by rozdawać dzieciom lizaki?

— To prawda, panie Mulvaney. Problem jednak polega na tym, że ci faceci za wszelką cenę chcą przejąć całkowitą kontrolę nad portem. Tom ich zna. Pojawili się tam na ciężarówkach jako tani pracownicy, by złamać strajk. Strajk się skończył, a Włosi zostali. Za nimi przyszli ich bosowie. Przekupili majstrów, a tych, którzy się im sprzeciwiali, wyeliminowali. Teraz oni decydują, kto dostanie pracę. Nikt ich nie może powstrzymać. Nie mają skrupułów, po prostu zabijają każdego, kto stanie im na drodze. Chcą mieć wszystko, co wiąże się z transportem morskim — statki, magazyny, stocznie. I nie chodzi im jedynie o sprowadzanie oliwy z Sycylii, chodzi o coś znacznie większego — narkotyki. Dzielnica portowa to wprost

wymarzone miejsce dla czarnego rynku. Tam splatają się wszystkie sznurki, którymi pociąga mafia.

— Sądzę, mój drogi, że trochę przesadzasz — odezwał się Jim lekceważąco. — Nie chcę mieć nic wspólnego z narkotykami i nie zamierzam tolerować żadnej konkurencji w tym mieście. Musimy się zastanowić, co z tym zrobić.

— Myślę, że nie ma sensu walczyć z mafią. — Tom włączył się do rozmowy. — Jest wystarczająco dużo miejsca w Nowym Jorku, by nie przeszkadzać sobie nawzajem...

— Transport morski to poważna sprawa. Nie możemy dopuścić do strat finansowych z powodu jakiejś mafii — zaprotestował O'Reilly, patrząc jak zawsze jedynie przez pryzmat zysków i strat.

— Obawiam się, że tu nie chodzi jedynie o straty finansowe — odparł Tom z namysłem. — Działalność mafii powoduje poważne skutki natury politycznej, które bezpośrednio nas dotyczą. Do tej pory w porcie pracowali głównie irlandzcy emigranci, na których mogliśmy polegać. Potem wyparli ich Włosi, a oni mają swoich własnych protektorów.

— Problem zaczyna być poważny, panowie — odezwał się Tierney z wyraźną troską w głosie. — Mafia opłaca majstrów w porcie, gliny, polityków. To zatacza coraz szersze kręgi. Co gorsza — są dobrzy w tym fachu... tak jak my byliśmy przed laty. Wiem, że ostatnio dokonali bardzo poważnej transakcji zakupu magazynów przy 23 i 24 nadbrzeżu. To doskonały początek na drodze budowania swego ekonomicznego imperium.

— Czy możliwy jest kompromis? — spytał Tom. Był wyraźnie przygnębiony. Sam kiedyś pracował w porcie, wiedział, jakie panują tam warunki. Nie miał żadnych wątpliwości, iż ekspansja mafii nie ograniczy się jedynie do portu. Oni chcieli mieć pod swoją kontrolą cały transport morski.

— Wszystko zmierza do otwartej wojny. Obawiam się, że w takiej sytuacji porozumienie nie jest możliwe. Senatorowie Shoreham i Brush oświadczyli mi, że rząd nie będzie mieszał się w tę sprawę. — Mulvaney energicznym ruchem zgniótł resztę hawańskiego cygara w popielniczce. — Wojna na ogół przynosi zyski, nie zapominajcie o tym. Poza tym, ludzie lubią mnie i ciebie, natomiast tych cholernych makaroniarzy nikt w tym mieście nie darzy sympatią. Rozgnieciemy ich jak robactwo, a wtedy takie dupki, jak senator Brush lub senator Shoreham, znów będą nam lizać buty.

Jim uważnie popatrzył na swego zięcia, po czym spytał:

— Co cię trapi, chłopcze? Chyba nie boisz się?

— Martwię się, Jim, bardzo się martwię. Duffy dokładnie rozpracował metody działania mafii. To, czego dowiedział się, nie jest pocieszające. Naturalnie, że my Irlandczycy także robimy swoje brudne interesy, każdy je robi. Tylko, że my staramy się obejść prawo, posmarować łapę komu trzeba, podłożyć świnię, skompromitować niewygodnego polityka, nie

stosujemy jednak metod rzeźnika. Ten cały Vincenzo i jego psy gończe to niebezpieczne typy.

Nie wiem, czy to rozsądnie rozpoczynać z nimi wojnę. Może lepiej odczekać i zobaczyć, co w trawie piszczy.

— Nie możemy dłużej czekać, Tom. Makaroniarze muszą zrozumieć, kto jest tutaj szefem. Zobaczymy, jak zareagują. Słyszałem, że ten don Vincenzo jest szefem mafii na terenie portu. Proponuję, byśmy wybrali się do niego na małą pogawędkę. Nie zaszkodzi wziąć ze sobą Duffy'ego na wypadek, gdyby się okazało, że Vincenzo ma porywczy charakter.

— Czy sądzisz, Jim, że będą próbowali nas zastraszyć?

— Lepiej być przygotowanym na każdą ewentualność. Umówiłem się z Vincenzo w jego domu dziś o trzeciej.

— Dlaczego nie spotkasz się z nim na swoim gruncie?

— Chciałbym, aby był przekonany o swojej sile. Nigdy nie daj poznać przeciwnikowi, z kim ma do czynienia. Poza tym chciałbym się rozeznać, co dzieje się w jaskini lwa. — Oczy Jima zwęziły się.

— Czy sądzisz, że są niebezpieczni?

— O! Z pewnością. Jeśli dobrze zrozumiałem, są to bardzo dobrze zorganizowani bandyci. Trzymają ludzi w ryzach, ponieważ udało im się ich zastraszyć. Ich organizacja opiera się na przemocy. Myślę, że trzeba traktować ich jak najbardziej poważnie.

— Czy podczas tej rozmowy chcesz iść na jakieś ustępstwa? — spytał Tom.

— O nie, chcę tylko posłuchać.

Duffy dzięki znajomościom i rozlicznym kontaktom zdołał uzyskać sporo informacji o Angelo Vincenzo, sycylijskim Włochu, który doszedł w Ameryce do imponującej władzy. Swoją drogę na szczyt rozpoczął w małej biednej mieścinie w okolicach Palermo. Urodził się w 1850 roku. Jego rodzina liczyła szesnaście osób, a i tak uchodziła za jedną z najmniejszych w okolicy. Vincenzo nie chodził do szkoły, ale odznaczał się nad wyraz bystrym umysłem i sprytem. Los mu sprzyjał. Karierę gangstera rozpoczął w wieku siedemnastu lat, bardziej z powodów osobistych niż z chęci zysku czy władzy. Zakochał się bowiem w pewnej młodej dość zamożnej kobiecie, która niezbyt poważnie potraktowała jego starania. Kiedy inny mężczyzna poprosił ją o rękę, Angelo uznał, że jego męska duma doznała poważnego uszczerbku. Zebrał bandę oprysz — ków, napadł i zamordował nieszczęsnego konkurenta. A młodej damie powiedział, że podobny los spotka każdego innego mężczyznę, który nieopatrznie zdecydowałby się ubiegać o jej względy. Ten wyczyn stał się na tyle znany w sycylijskim świecie przestępczym, iż mafia zwróciła na niego uwagę. Angelo w krótkim czasie

udowodnił swoje zdolności usuwając po kolei wszystkich lokalnych szefów mafii i zajmując ich miejsca.

Mając zaledwie dwadzieścia dwa lata cieszył się dużym respektem pośród lokalnych notabli. Uważano go za bardzo zdolnego i diabelnie przebiegłego mafiozo. Kiedy skończył dwadzieścia trzy lata, uzyskał tytuł "Zu", czyli wuj. W jego wieku było to niebywale wyróżnienie. Mniej więcej w tym czasie kilku sycylijskich przywódców mafii, czując zagrożenie ze strony młodego i pozbawionego wszelkich skrupułów gangstera, postanowiło rzucić mu wyzwanie. Angelo bez większych problemów pozbył się swych przeciwników i podporządkował sobie całą organizację. Ale dla ambitnego Vincenzo zdobycie władzy na Sycylii nie było jedynym celem w życiu. Wiedział, że istnieją drogi, które prowadzą do jeszcze większego bogactwa i do jeszcze większej potęgi. Postanowił wyjechać do Ameryki i osiedlić się w Nowym Jorku. Wiele słyszał o wprost nieprawdopodobnych możliwościach, jakie stwarzało to miasto młodym i zdolnym ludziom z Europy. Istotnie, nie potrzebował zbyt długiego czasu, by przejąć kontrolę nad slumsami włoskich emigrantów. Ci biedacy przyjęli go jak mesjasza. Wkrótce Angelo zorganizował dobrze płatną armię całkowicie oddanych mu specjalistów od mokrej roboty, którzy opanowali portową dzielnicę.

Po pewnym czasie, kiedy poczuł się już dostatecznie silny w nowym mieście, sprowadził do Ameryki swych dwóch najstarszych braci (trzej pozostali pilnowali nadal j ego interesów w Palermo). Dzięki pieniądзом i znajomościom ułatwił im przejęcie całego importu oliwy, czyniąc rodzinę monopolistą na rynku amerykańskim w tej dziedzinie. Znał się na prowadzeniu interesów, potrafił dobrze inwestować pieniądze. Taką owocną inwestycją była również urocza Rosanna, którą Angelo sprowadził z rodzinnego miasteczka. Dała mu jedynastu synów, którzy wyręczali później tatusia w jego ciężkich obowiązkach. Robili to chętnie i z równym mu talentem. Tworzyli silny klan związany nie tylko wspólnymi interesami, ale i więzami pokrewieństwa. To właśnie ten dynastyczny, patriarchalny system sprawowania władzy w mieście tak bardzo niepokoił Toma i Duffy'ego. W nim widzieli prawdziwe zagrożenie dla pozycji Mulvaneya.

— Don Vincenzo czeka na panów w ogrodzie — oświadczył ponury typ o twarzy buldoga. Spod rozpiętej tweedowej marynarki wystawała rękojeść rewolweru. Dom Vincenza przypominał wielką warownię w stanie ciągłego oblężenia. Tom i Duffy kroczyli pewnie za Mulvaneyem przez zacięiony hall, kierując się w stronę otwartych szeroko drzwi prowadzących na taras. W skąpanym w słońcu ogrodzie, pośród kolorowych klombów kwiatów siedział niewielki mężczyzna w średnim wieku. Naprzeciw niego stało dwóch młodych mężczyzn o agresywnych twarzach. Mieli gładko zaczesane do tyłu, czarne jak smoła włosy. Patrzyli na gestykulującego z werwą don Vincenza, który coś żarliwie im tłumaczył. Kiedy spostrzegli gości, rozmowa nagle urwała się. Angelo uśmiechnął się, po czym wskazał dwa wolne miejsca przy stole, tuż koło siebie.

— Witam panów w moim ogrodzie. Czy lubią panowie kwiaty?

— Chyba raczej tak — odparł Mulvaney bez większego entuzjazmu, jakby wcale nie zależało mu na rozpoczęciu konwersacji. Obaj mężczyźni mierzyli się przez chwilę wzrokiem, jakby chcieli w ten sposób przekonać się nawzajem o swojej sile.

— Więc o czym chce pan ze mną rozmawiać, panie Mulvaney?

Jego okrągła twarz była pomarszczona, a bystre, ciemne oczy przyglądały się Mulvaneyowi z uwagą spod ociężałych grubych powiek. Wąskie zaciśnięte usta, nadawały mu wyraz stanowczości. Przesadny sycylijski akcent, z jakim mówił, brzmiał teatralnie. Aż trudno było uwierzyć, że człowiek, który spędził przeszło trzydzieści lat w Nowym Jorku, wciąż jeszcze nie nauczył się dobrze angielskiego. Może w ten sposób chciał podkreślić swoją narodową odrębność?

— Sądzę, że powinniśmy się lepiej poznać, don Angelo. Wielu ludzi traktuje pana z szacunkiem należnym głowie wpływowej w tym mieście rodziny. Skądinąd wiadomo, że ja mam wiele do powiedzenia w rządzie. — Mulvaney starał się nadać swojemu głosowi przyjacielski, protekcyjny ton.

— Moi ludzie nie potrzebują pańskiego rządu, panie Mulvaney. My mamy swój własny rząd, *capito*?

Dwóch stojących obok mężczyzn parsknęło śmiechem. Potem spoważniali i niechętnym spojrzeniem obrzucili Toma. Wydał się im dość niebezpieczny. Wyglądał na silnego i zdecydowanego na wszystko. Najwyraźniej uznali, że byłby poważnym przeciwnikiem. Natomiast na Duffy'ego, ze względu na jego niepozorny wygląd chuderławego urzędnika, zupełnie nie zwrócili uwagi, jakby jego obecność była tutaj tylko przypadkowa. Natarczywy, sycylijski akcent, z jakim mówił don Angelo, sprawiał, iż jego głos brzmiał arogancko i wyzywająco. Ale było to tylko złudne wrażenie. Vincenzo potrafił w każdej sytuacji zachować zimną krew.

— Pańscy ludzie, don Angelo, zaczynają nam trochę przeszkadzać. My również mamy swoje interesy w dzielnicy portowej — powiedział Mulvaney z zadziwiającym spokojem. — Chcę wiedzieć, jak daleko pan mierzy.

— Weźmiemy wszystko, panie Mulvaney. Za dwa, trzy lata cała dzielnica portowa będzie należeć do nas. — Vincenzo odpowiedział ze szczerą prostotą.

— O, to bardzo ambitne przedsięwzięcie, panie Vincenzo — zauważył z ironią Jim. — A co się stanie, jeśli jej nie oddamy.

— Ja nic nie mówiłem o oddawaniu, panie Mulvaney, my ją po prostu weźmiemy.

— Czy mam to traktować jako groźbę?

— Niech pan traktuje to jako przyrzeczenie — Angelo uśmiechnął się z satysfakcją.

— W takim razie będziemy mieli kłopoty.

Mulvaney podniósł się z krzesła. Tom, który przez cały czas tylko przysłuchiwał się rozmowie, wstał wraz z teściem i obaj skierowali się w stronę wyjścia. Duffy przez cały czas dokładnie obserwował dwóch gangsterów. Najwyraźniej nie peszył go fakt, iż każdy był co najmniej dwa razy większy od niego. W ogrodzie panowała cisza. Kiedy Mulvaney wszedł na taras, odwrócił się nagle i krzyknął w stronę Vincenza:

— Don Angelo! Czy czyta pan jeszcze *Biblię*?

Vincenzo zmieszany spojrział na Jima. W pierwszej chwili nie rozumiał, o co może chodzić.

— Niech pan zajrzy do *Księgi Przypowieści*. Rozdział 16 wers 18.

Kiedy znaleźli się już na ulicy, Tom zapytał Jima:

— O czym mówi ta *Księga Przypowieści*?

Mulvaney uśmiechnął się zadowolony, iż zrobił na zięciu wrażenie, po czym zacytował z pamięci:

— "Przed zginieniem przychodzi pycha, a przed upadkiem wyniosłość ducha"*¹

¹* Biblia. Nowy przekład — Bryt. i Zagr. Tow. Bibl., Warszawa 1964.

Doradca przedłożył Vincenzo sprawozdanie finansowe prowadzonych przez mafię interesów. Angelo z obrzydzeniem odsunął od siebie stertę papierów. Ostatecznie nie po to został padrone, by grzebać się w rachunkach. Od tego miał doradców finansowych. Był ciągle pod wrażeniem spotkania z Mulvaneyem. To niezmiernie silny i interesujący charakter, myślał o nim Angelo z podziwem. Wiedział, że musi postępować bardzo rozważnie. Jim był bowiem wpływowym człowiekiem w Nowym Jorku. Co prawda czasy, kiedy irlandzkie lobby sterowało polityką w tym mieście, już dawno minęły, jednak Mulvaney wciąż jeszcze miał wielu znajomych w policji i Kongresie. Poza tym był wystarczająco bogaty, aby wynająć całą armię płatnych morderców. Nie, ten problem wymagał subtelności i wyczucia w działaniu. Musi znaleźć piętę Achillesa swego przeciwnika, a potem precyzyjnie uderzyć w ten najłabszy punkt. Klasyczne metody — podpalenie, zastraszenie czy w końcu morderstwo — na nic się w tym przypadku nie zdadzą. Vincenzo rozsiadł się wygodnie w fotelu. Lubił mieć godnego siebie przeciwnika. To zawsze czyniło grę bardziej atrakcyjną.

— Usadźmy tego dupka raz na zawsze.

Mulvaney był dziwnie podekscytowany. Tom spostrzegł, że rozmowa z Vincenzem pobudziła go do działania. Najwyraźniej postanowił przyjąć rzucone przez mafię wyzwanie.

— Czy wiesz już, w jaki sposób?

— Znasz te stare magazyny McQuenneya, które właśnie chcą kupić? Mają zamiar zorganizować tam swoją bazę wypadową.

— Tak. I co?

— Dobrze ulokowane pieniądze najprawdopodobniej już w najbliższym czasie skutecznie zablokują tę transakcję. Mam przeczucie, że ta sprawa sądowa przejdzie do historii jako najdłuższa.

Tom spojrział pytająco na teścia.

— Myślałem, że mafia przekupiła kongresmenów.

— O tak, ale nie tych, których trzeba. Już wkrótce do opinii publicznej przedostaną się bardzo interesujące informacje na temat stanu majątkowego pana McQuenneya. Tierney, ten sprytny lis, podsunął mi pomysł. Pamiętał, że stary McQueeney nigdy nie był skrupulatny w prowadzeniu rachunków. Nigdy też nie dbał o właściwe udokumentowanie transakcji. Plac, na którym stoi ten magazyn, przejął po prostu po facecie, którego zastrzelono w knajpie trzydzieści lat temu. — Mulvaney przerwał na chwilę, po czym dodał: — Teraz wdowa po tym człowieku, pewna stara skąpa dziwka z Denver, postanowiła wytoczyć sprawę przeciw sprzedaży magazynu. Poza tym pewien senator, który jest moim przyjacielem, dał mi do zro-

zumienia, że Joe Petrosino, ten nowojorski gliniarz, który pojechał na Sycylię, by rozpracować mafię, prawdopodobnie został sprzątnięty właśnie przez chłopców Vincenza.

Sprawa zniknięcia Petrosina była w Ameryce wielkim skandalem, o którym pisały wszystkie gazety.

— Ale prawdziwą łaźnię sprawi im mój stary przyjaciel, kapitan Peter O'Donnelly. Już wkrótce policja zrobi nalot na biuro Vincenza. Zdaje się, że w jego księgach finansowych nie wszystko się zgadza.

— Chwileczkę, chwileczkę, Jim! Dlaczego O'Donnelly miałby ryzykować dla ciebie głową? — spytał Tom.

— Ponieważ, jak twierdzą lekarze, i tak ma przed sobą sześć miesięcy życia. Po jego śmierci mam zaopiekować się jego żoną i dziećmi. — Tom pokręcił z niedowierzaniem głową. Jego teść zawsze potrafił coś wymyślić. A jednak tym razem Dalton obawiał się o niego. Jim najwyraźniej nie doceniał sił przeciwnika.

— I co przez to osiągniesz, Jim? Vincenzo znajdzie zawsze jakiś sposób, aby zemścić się na tobie. Poza tym, nawet jeśli przegra, zawsze może kupić jakikolwiek inny magazyn w mieście.

Na twarzy Mulvaneya malowało się rozczarowanie. To, iż Tom bez entuzjazmu przyjął jego plan, niemile go dotknęło.

— Dzięki temu zaoszczędzimy czas! Czas, którego potrzebujemy dla skonsolidowania naszych sił. Damy popalić sukinsynowi! Wepchnę mu jaja do gardła! Niech nie wyobraża sobie, że tak łatwo wykiwa Diamonda Jima Mul — vaneya.

Twarz miał czerwoną z wściekłości, a oczy rozognione żarem nienawiści i chęcią odwetu. Tom wiedział, że jego teść to twardziel, ale tym razem obawiał się, że trafił on na równie twardego przeciwnika.

— Tak szybko nie zrezygnują, Jim. To będzie tylko koniec pierwszej rozgrywki.

— Jeśli tak, synu, to ta rozgrywka zakończy się dla Vincenza nokautem.

Kiedy Tom opuszczał dom teścia, nie był pewien, co ma sądzić o całej tej sprawie. Jim był cwaniakiem, to prawda, ale ostatnio bardzo się posunął i momentami tracił kontakt z rzeczywistością. Niestety, nie było żadnej szansy, by odwieść Diamonda od jego planów.

Duffy załadował starannie wyczyszczony rewolwer i włożył go do kabury ukrytej pod marynarką. Właśnie otrzymał bardzo niepokojącą wiadomość od swojej wieloletniej przyjaciółki, Mary Louise, która pracowała w burdelu na Trzynastej Ulicy.

— Moja koleżanka, Josie, miała wczoraj dziwnego klienta, wiesz, jednego z tych cholernych makaroniarzy. — Opowiedziała mu Mary Lou, kiedy przyjszedł do niej. — Był cholernie napalony. I cały czas mówił, co zrobi z Mulvaneyem.

— Czy mówił coś konkretnego?

— Mówił, że padrone, no wiesz, pan Vincenzo, ma zamiar dać Jimowi lekcję, którą ten zapamięta do końca życia.

— Czy powiedział, w jaki sposób? Albo kiedy to się stanie?

— Już wkrótce! Josie twierdzi, że ten facet zawsze przychodzi do niej ulżyć sobie trochę, zanim weźmie się do zleconej roboty. No wiesz, to jeden z tych palantów, których zabicie ludzi tak podnieca, iż muszą najpierw się spuścić, by potem nie trzęsły mu się ręce przy robocie.

Duffy szybko wrócił do biura. Przeczynał, że będzie gorąco i chciał wziąć ze sobą strzelbę z obciętą lufą. Przez całą drogę zastanawiał się, jak poważnej jest zagrożenie. Jeśli ich celem jest Mulvaney, będą musieli zastosować niekonwencjonalne metody. Wiedzieli, że Jim ma obstawę... no, chyba że zdecydują się na podłożenie bomby... Jeśli natomiast ich celem jest Tom, to wówczas mieli znacznie ułatwione zadanie. Pomimo ostrzeżeń Tom miał zwykłą szansę wychodzić na ulicę bez jakiegokolwiek ochrony.

— Nie będą za mną chodzić — mówił często, kiedy Duffy wyrażał obawy o jego bezpieczeństwo. — Jestem zbyt potężny. Mam nad nimi tę psychologiczną przewagę.

Tak, Tom bez wątpienia stanowił łatwy cel. Oczywiście, był młody i silny, | sam mógł się bronić. Duffy wiedział jednak, że te sycylijskie sukinsyny potrafiły doskonale operować nożem. To, co powiedziała mu Lou, niepokoiło go. Nie wiedział, co szykują, pewne było tylko to, że chłopcy Vincenza przygotowują niemiłą niespodziankę. Chciał wiedzieć dokładnie jaką, zanim doradzi cokolwiek Mulvaneyowi lub Tomowi. Wierzyli mu. Nie mógł zawieść ich zaufania. Postanowił wrócić do burdelu i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej.

Duffy wkradł się do pokoju przyjaciółki i bez słowa położył pieniądze na stoliku koło łóżka. Mary Louise spojrzała na niego przestraszona. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Najwyraźniej bała się o Duffy'ego. Objęła go i mocno przytuliła.

— Wiem, że nie przyszedłeś się ze mną kochać, Frank, mogę wyczytać to z twojej twarzy. Martwisz się o Mulvaneya.

— Czy dowiedziałaś się czegoś więcej?

— Próbowałam coś z niej wyciągnąć, ale ona się boi. Jeśli dowiedzą się, że puściła parę z ust, to ją zabiją. Mnie również mogą zabić albo oszpecić twarz. — Mary Lou była przestraszona nie na żarty.

— Nie martw się, dziecino! Nie pozwolę, by ktokolwiek oszpecił twoją śliczną twarzą. — Duffy pogłaskał ją po policzku. — Nie wiesz, co oni planują? Może masz jakiś pomysł?

Mary Louise spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Myślałam, że zrozumiałeś. Oni nie chcą ich po prostu zabić. Chcą zrobić coś strasznego, coś, co będzie przykładem dla innych. Nie wiem, co dokładnie planują. Może chcą wymordować całą rodzinę?

Duffy patrzył na dziewczynę z przerażeniem. Jeśli to, co mówiła, było prawdą, to być może nie pozostało wiele czasu, aby ostrzec Mulvaneya i Toma. Jeśli namierzyli na muszkę Jima, powinien go jak najszybciej odnaleźć. Prawdopodobnie był teraz w klubie demokratów. Stamtąd trzeba przewieźć go w jakieś bezpieczne miejsce. Duffy ruszył w kierunku drzwi, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. A jeśli to nie Mulvaney był celem? Jeśli ostrzeżenie miało go jedynie odciągnąć od miejsca prawdziwego niebezpieczeństwa? Jeśli Mary Louise miała rację, że Vincenzo pragnął dać innym odstraszący przykład, to może chodziło mu o coś okrutniejszego niż po prostu wyeliminowanie Mulvaneya z gry. W jednej chwili Duffy zdał sobie sprawę ze strasliwego niebezpieczeństwa. Celem mafii mogła być bowiem Deidra i jej dzieci.

— Mary Lou, myślę, że wiem, o co im chodzi. — Próbował zapanować nad swoim głosem. — Oni chcą dopaść rodzinę Daltona.

Wyjął kawałek papieru i szybko coś na nim napisał, następnie wcisnął go do ręki dziewczynie.

— Musisz mi pomóc — powiedział nagłym tonem. — Tutaj masz numer telefonu. Zadzwoń do Mulvaneya. Jest w klubie demokratów. Powiedz mu o zagrożeniu. Potem zadzwoń do pana Daltona i powiedz, by nikomu nie otwierał drzwi i trzymał się z daleka od okien. Rozumiesz, Mary Lou, to bardzo ważne.

Dziewczyna przytaknęła. Duffy spostrzegł łzy w jej oczach. Nachylił się i pocałował ją na pożegnanie.

Kiedy Duffy opuścił pokój, zza kotary wyszedł mężczyzna.

— Grzeczna dziewczynka — odezwał się do przestraszonej dziewczyny. — Teraz przynajmniej wiemy, gdzie go możemy złapać.

Mężczyzna otworzył drzwi do drugiego pokoju i szybko wydał instrukcje. Potem wrócił do Mary Lou.

— Spisałaś się na medal. Mały Mick pójdzie teraz prosto do szanownego pana Daltona i nafaszeruje go ołowiem.

Uśmiechnął się zadowolony. Najwyraźniej cieszyła go ta myśl.

— Czy teraz wypuścicie mojego brata? — spytała dziewczyna szlochając. — Obiecałem, że nie zrobicie mu krzywdy.

— Naturalnie, naturalnie — odparł lekceważąco. — Ale zanim puścimy go wolno, ja zabawię się trochę z jego siostrzyczką.

Mary Louise siedziała na łóżku, patrząc jak mężczyzna rozpina rozporek. Była gotowa zrobić wszystko, by tylko uratować swego małego brata. Leżąc na brzuchu i czując rytmiczne uderzenia ciała mężczyzny, myślała o Duffym. Był dla niej dobry, a ona wydała go w ręce oprawców. Po policzkach jej spływały wielkie, gorące łzy. Czowała, że zaraz zwymiotuje.

Duffy wybiegł na ulicę, złapał dorożkę i kazał czym prędzej zawieźć się na ulicę, gdzie mieszkał Tom. Gorączkowo zastanawiał się, co zrobi, gdy będzie już na miejscu. Była druga w nocy. Mordercy zapewne zaczekają do wschodu słońca. Miał więc jeszcze trochę czasu. A wszystko dzięki Mary Louise. Jeśli ostrzegła Toma i Mulvaneya, nic złego wydarzyć się nie może. Jim miał wystarczająco dużo znajomych w policji, by zorganizować cały odział do ochrony rodziny. Najważniejsze, by dotrzeć przed mafią. Tom Daltoni nigdy nie nosił broni. Duffy nawet nie był pewien, czy w domu ma jakikolwiek pistolet. Jeśli chodzi o Mulvaneya, to nigdy nikt nie zdołał go przechytrzyć.) Przynajmniej do tej pory. Jednak lata robiły swoje. Być może nadszedł już czas, aby Dalton został szefem, myślał Duffy.

Dorożka zatrzymała się przed domem Daltonów. Frank wyskoczył z niej, zapłacił wóznicy i wolnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony podszedł do ogrodzenia. W tym momencie spostrzegł jakąś postać wyłaniającą się z krzaków w ogrodzie.

— Rzuć broń, frajerze! Odejdź od drzwi! Bez żadnych sztuczek, bo rozwalę ci łeb! — wycedził przez zęby gangster.

Duffy spojrzał na wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Zrozumiał, że wpadł w zasadzkę. Ogarnęła go złość. Mary Louise specjalnie wspomniała o rodzinie Mulvaneya wiedząc, że Duffy natychmiast pojedzie do Daltonów. Tak więc nie tylko Jim nie docenił przeciwników. Także on sam, Duffy, pozwolił się i przechytrzyć. Ale na Boga! Dlaczego Mary Louise go zdradziła? Przecież j wiedział, że go lubiła, a może nawet kochała. Jak zmusili ją do tego? Czy bała się, że oszpecą jej twarz? A może dostali w swoje ręce jej małego brata? Poczł ucisk w żołądku. Cóż za różnica, w jaki sposób zdołali nakłonić do zdrady Mary Lou? Za wszelką cenę musiał ostrzec śpiącą rodzinę Daltonów. Wszystko inne było w tej chwili nieważne. I tak był martwy. Szybko w myślach zmówił pacierz. Przykucnął, po czym szybkim ruchem sięgnął po rewolwer. Przynajmniej narobię dużo hałasu, pomyślał. Obudzę Toma. Duffy poczuł silne uderzenie w tył głowy. Kula trafiła go w czaszkę, roztrzaskując ją.

Tom Dalton otworzył nagle oczy. Zdawało mu się, iż usłyszał na zewnątrz jakiś huk. Nie był jednak pewien. Wstał z łóżka, starając się nie obudzić Deidry, która jak zwykle spała głębokim snem w ramionach męża. Uśmiechnął się na widok jej powabnego ciała, przykry-

tego cienką kołdrą. Za miesiąc miała urodzić trzecie dziecko. Nigdy przedtem nie była tak piękna jak podczas tej ciąży.

Troskliwie przykrył żonę, po czym na palcach podszedł cichutko do okna. Na ulicy zobaczył jakiegoś mężczyznę, który podtrzymywał pod ramię pijanego kolegę. Obaj z trudem gramolili się do samochodu. Była druga w nocy i wszystkie knajpy w okolicy były już dawno zamknięte. Dlatego Tom zdziwił się widząc dwóch pijanych mężczyzn, pomyślał jednak, że prawdopodobnie wracali z jakiegoś przyjęcia. Po pewnym czasie samochód odjechał. Tom stał jeszcze chwilę zamyślony przy oknie. Czuł dziwny niepokój. Vincenzo zaczął mu działać na nerwy. Po raz pierwszy też między nim a Mulvaneyem doszło do takiej rozbieżności zdań co do metod, jakimi powinni rozprawić się z mafią. Oczywiście Mulvaney miał prawo postępować, jak uważał za stosowne. Tom po prostu nie mógł uwierzyć, że mafia da tak łatwo za wygraną. Zwycięstwo wydawało się zbyt proste. Postanowił w samego rana skontaktować się z Duffym. Chciał, by Frank wywiedział się, co planuje Angelo. Odszedł od okna i położył się z powrotem do łóżka. Deidra wyglądała tak słodko. Przytulił się do jej rozgrzanego snem ciała. Poczul nagłą falę pożądania. Tak bardzo jej pragnął. Jednak lekarz ostrzegł ich, że fizyczny stosunek w ostatnich miesiącach ciąży może zaszkodzić żonie. Tom westchnął ciężko, po czym obrócił się na bok i zasnął.

63.

Tom nieustannie rozmyślał nad niebezpieczeństwem, które groziło Mulvaneyowi. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił tego ranka, była rozmowa z Jimem. Niestety — okazało się, że tego starego człowieka żadne groźby nie przerażają. Przeszedł nad tym do porządku dziennego.

— Tom, to są faceci bez jaj! Wśród nich nie ma takiego, który by się odważył stanąć z nami twarzą w twarz, z żadnym z nas, wierz mi. Poza tym mamy goryli, no i jest Duffy. Cholera, przecież nie można spędzić całego życia, zamartwiając się i rozmyślając o tym, co ci grozi, a co nie! Zachowujesz się jak pensjonarka, która boi się, że jakiś facet ją zaczepi.

Toma przeszył dreszcz. Intuicyjnie czuł, że coś jest nie tak. Od chwili kiedy obudził się w środku nocy, był podenerwowany i nie mógł zebrać myśli. Nie był jeszcze pewien, co spowodowało jego nadmierną przezorność i podejrzliwość. Poza tym, gdzie podziewał się Duffy? Nie mógł go nigdzie znaleźć. Od Mulvaneya próbował dodzwonić się do domu, ale tam ciągle nikt nie podnosił słuchawki. Deidra mogła wyjść z dziećmi, lecz z pewnością służąca podeszłaby do aparatu. Tajemnicza cisza po drugiej stronie słuchawki nie pozwalała mu się uspokoić. Starał się wmówić sobie, że to wina nowego telefonu. Dziwne przeczucie niebezpieczeństwa nie pozwalało mu jednak skupić się na pracy w biurze.

Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu. Przeszedł długim korytarzem do głównego wyjścia. Po drodze zatrzymał się, by wydać ostatnie polecenie.

— Delaney! — zwrócił się miłym głosem do piegowatego młodzieńca. — Idę do domu na lunch. Nikogo nie wpuszczaj do mojego biura. Jeśli będziesz musiał powstrzymać nieproszonych gości, bez wahania użyj broni. Mam dziś jakieś dziwne przeczucie, bądź więc ostrożny. Spróbuj też znaleźć Duffy'ego, dobrze? Poproś, by zadzwonił do mnie do domu.

Młody Irlandczyk popatrzył z uwagą w poważną twarz Toma, a na znak, że zrozumiał jego polecenie, wysunął szufladę biurka i pokazał swemu pracodawcy, że ma broń w pogotowiu.

— W porządku, jestem spokojny — rzucił Tom w pośpiechu.

Dalton skierował się ku wyjściu z budynku. Jego niepokój narastał. W ciągu tych ośmiu lat małżeństwa nigdy nie zaglądał do domu w południe. Dziś jednak czuł, że jest to konieczne. Wybiegł na ulicę, dał znak woźnicy i wskoczył do powozu.

— Do domu, byle szybko! — krzyknął ze zdenerwowania.

— Dla pana wszystko, panie Dalton. Te konie poszybują dla pana, jak trzeba! — odparł zaprzyjaźniony woźnica.

Dorożka pędziła po brukowanej ulicy, a w głowie Toma kotłowały się najróżniejsze sprzeczne myśli, obawy i domysły. Spróbował opanować się i wtedy dopiero zaczął kojarzyć pewne fakty. Na Boga, dlaczego nie dotarło do niego wcześniej, że kalkulacje i poglądy Jima były wprawdzie słuszne, lecz wniosek zupełnie błędny! Tak! Te dranie rzeczywiście nie dobiorą się do Toma ani do Jima! Pozostała im Deidra i dzieci! To najsprytniejszy sposób, by zniszczyć ich obu! Co za perfidia! Czyniąc krzywdę Deidrze i maluchom, zranią śmiertelnie Toma i Jima. Ta myśl nie pozostawiała cienia wątpliwości. Drogi Boże, nie pozwól, by stała im się krzywda, powtarzał te słowa bez przerwy jak modlitwę.

Ledwo woźnica trochę zwolnił, Tom wyskoczył z dorożki i wpadł do domu. Zastał nie-naturalną ciszę. Mary O'Toole, ich gospodyni, leżała w kałuży krwi na posadzce w saloniku. Jej głowa była dziwnie wykrzywiona, a na szyi widać było purpurowe nacięcie. Czteroiipółletni Seamus klęczał przy niej i ciągnął za rękę, jakby chcąc ją obudzić. A sześciopółletni Riordan, zawsze tak pełen werwy, osłupiały i zapłakany wpatrywał się w jej postać. Twarz miał mocno posiniaczoną, a ramię lekko zadrapane. Tom odgadł, że ten malec musiał się bronić. Przez chwilę stał przerażony tym widokiem. Przeczucie go nie myliło. Poczul silne klucie w okolicach serca.

— Synku, gdzie jest mama? — wyszeptał z przejęciem do Riordana i przytulił do siebie mocno zapłakanych chłopców. — Powiedzcie mi, co się stało. Opowiedzcie wszystko, to odnajdę mamę. Młodszy zaczął pochlipywać, wtulając się w szerokie ramiona ojca. Starszy próbował sklecić jakieś zdanie, ocierając łzy z policzków.

— Przyszli jacyś panowie, tato. Byli bardzo duzi i brzydcy. Kiedy niania próbowała ich zatrzymać, uderzyli ją. Ona krzyknęła do mamy, żeby uciekała, i wtedy zranili ją nożem, aż upadła na ziemię.

Tom słuchał synka przerażony. Ogarnęła go desperacja, gotów był na wszystko, czuł, że los jego najbliższych znajduje się w straszliwym niebezpieczeństwie

— Powiedz mi wszystko, co pamiętasz, synku. Czego oni chcieli od mamy?

Twarz dziecka była blada ze strachu, szeroko rozwarte oczy patrzyły nieprzytomnie na ojca.

— Zabrali ją. Kiedy chciała przyjść po nas, popchnęli ją. Płakała. Potem uderzyli ją w głowę i upadła na ziemię. Próbowałem jej pomóc. Uderzyłem tego wielkiego mężczyznę, ale on był bardzo silny i nie mogłem obronić mamusi. — Ogromne łzy płynęły po policzkach dziecka. Tom przytulił je mocno.

— Już dobrze, Rory, byłeś bardzo dzielny. Wiem, bardzo to przeżyłeś, ale musisz teraz wziąć się w garść, jeśli chcesz, byśmy razem odnaleźli mamę.

Czy możesz mi pomóc? Słuchaj mnie bardzo uważnie i rób dokładnie, co ci każę.

Rory, pochlipując cichutko, przytaknął głową na znak, iż rozumie.

— Pójdź do pani Devlin, naszej sąsiadki. Niech przyjdzie tutaj ze swoją pokojówką, żeby zaopiekować się nianią i Seamusem. Ja tymczasem posłę woźnicę po dziadka Jima i pójdę szukać mamy. Możesz to zrobić?

— Tak, tato.

— Jesteś grzecznym chłopcem, synku, mama na pewno będzie z ciebie dumna.

Tom wybiegł z mieszkania na ulicę.

— Sprowadź tu pana Mulvaneya natychmiast! Powiedz mu, że porwali panią Dalton!
— krzyknął w stronę woźnicy.

Nie miał wątpliwości, gdzie zabrali Deidrę. Na pewno zamknęli ją w którymś z tych pustych magazynów na nabrzeżu. To była zemsta. Oni nigdy niczego nie wybaczą. Dobry Boże, nie pozwól, aby ją zabili, myślał z rozpaczą. Ale nie. Chyba potrzebna im była żywa, jako zakładniczka. Uczepił się desperacko tej jednej myśli, jedynej nadziei. Powtarzał sobie ciągle, że nic złego jej nie zrobią. Jednak czuł, jak ogarnia go panika.

Deidra Dalton leżała na zimnej posadzce w jednym z pomieszczeń starego magazynu. Ręce i nogi miała skrępowane. Z całej siły starała się zachować spokój, ale była w szoku. Nie wiedziała, co dzieje się z dziećmi i czy są bezpieczne. Nie miała nawet pewności, czy Tom jeszcze żyje. Jednak wszystkie te obawy zeszły na drugi plan wobec narastającego z każdą minutą przerażenia — czuła, że zaczyna rodzić.

— Najświętsza Panienko — modliła się szeptem — spraw, żeby to nie było jeszcze teraz. To o cały miesiąc za wcześnie. Ono umrze!

Ale najwyraźniej jej modlitwa nie została wysłuchana. Wiedziona instynktem podkurczyła nogi i zaczęła zbierać siły przed porodem. Wiedziała, że nie wolno jej wpadać w panikę. Musiała w tym decydującym momencie zapomnieć o strachu, musiała skoncentrować się wyłącznie na dziecku, które miało przyjść na świat w tych strasznych warunkach. Jedyne siła woli i niezachwiana wiara mogły sprawić, że ono przeżyje.

Kiedy gangsterzy wepchnęli ją do furgonetki, podarła spódnicę i skaleczyła kolano. Potem, gdy prowadzono ją do magazynu, jeden z mężczyzn próbował zerwać z niej bluzkę. Kiedy zaczęła się bronić, uderzył ją w twarz, po czym nachalnie obmacywał jej piersi, zupełnie jakby próbował towaru, który zamierzał kupić. Ale wtedy drugi z nich popchnął go brutalnie do przodu i wykrzyknął:

— Nie będziesz pieprzył/ciężarnej kobiety, rozumiesz!

Deidra zamknęła oczy i starała się o tym wszystkim zapomnieć. Czuła ciepłą ciecz, spływającą jej po nogach i wsiąkającą w płaszcz. Próbowała skoncentrować się na bólach porodowych, na szczęście jeszcze słabych. Instynktownie usiadła w kucki. Słyszała, jak kro-

ple cieczy wydobywającej się z jej wnętrza kapią coraz szybciej na kamienną posadzkę. Wiedziała, że za moment zacznie krzyczeć z bólu. Za wszelką cenę musiała temu zapobiec. Bała się, że gangsterzy znów przyjdą do niej, a kiedy zobaczą, co się dzieje, po prostu zabiją ją, by pozbyć się niespodziewanego problemu. Przyłożyła zaciśniętą dłoń do ust i z całej siły wbiła w nią zęby.

— Hej, Richie, coś niedobrego dzieje się z tą kobietą — powiedział gangster, ten sam, który wcześniej obmacywał Deidrę. — Zglądałem do niej, jest jakaś dziwna.

Drugi z gangsterów, o wyglądzie niewyrośniętego chłopca z wiecznym trądzikiem na twarzy, spojrział przestraszony na swego kumpla.

— Cholera, ona chyba zaczęła rodzić! Nie mam zielonego pojęcia, co robi się w takich wypadkach.

Pobiegli razem do pomieszczenia, w którym trzymali Deidrę.

— Słuchaj, paniusiu, nie wygłupiaj się. Teraz nie czas na rodzenie — Richie starał się nadać swemu głosowi w miarę sympatyczne brzmienie. Kobieta spojrzała na niego, chciała się uśmiechnąć, ale jej twarz wykrzywił nagły atak bólu.

— Lepiej będzie, jeśli mnie odwiążecie — wykrztusiła. — Poradzę sobie sama, tylko dajcie mi trochę wody i jakieś ręczniki.

Faceci spojrzeli po sobie.

— Tu nie ma żadnej wody ani ręczników. — Nachalny gangster był wyraźnie wkurzony. — Mieliśmy tu ciebie przyprowadzić i zaczekać, aż przyjdzie twój mąż. Potem szef miał zdecydować, co z wami zrobić. Nic nam nie mówił o żadnym cholernym dziecku! Nie rozwiąż jej — zwrócił się rozkazującym tonem do Richiego.

— Vince, ona nic nam nie może zrobić — odparł ten drugi. — Przecież widzisz, że le-dwo żyje. Nawet nie będzie miła siły, aby uciec.

— Ty idioto! — wrzasnął Vince. — Co za różnica, przecież i tak wszyscy zginą. Chcesz, żeby szef przyszedł i zobaczył, że ta dziwka ma rozwiązane ręce?

Deidra poczuła, jak serce zaczęło jej bić mocniej. A więc czekali tylko na Toma, by potem zabić ich razem. Nie mogła do tego dopuścić, musiała coś zrobić!

— Odpieprz się, Vince. Nie mam zamiaru mieć na sumieniu ciężarnej kobiety ani noworodka. — Richie podszedł do Deidry, trzymając w ręku wielki rybacki nóż. W tym momencie Vince rzucił się na niego z tyłu. Upadli zaledwie kilka metrów od niej i szamotali się na ziemi, rzucając przekleństwami.

— Błagam, nie! — wykrzyknęła Deidra.

Ale mężczyźni jakby opanowało jakieś szaleństwo. Szczepili się jak wściekłe psy, które nie ustąpią, zanim nie przegryzą drugiemu gardła. Nie słyszeli jej prośby, zbyt zajęci walką. Nagle Vince zdobył przewagę i rozłożył Richiego na łopatki. Szybkim ruchem obrócił go twarzą do ziemi i w jednej chwili podciął mu gardło. Krew trysnęła wokół ciała zabitego. Zmęczony walką, spocony Vince powstał i przysunął się do płaczącej z przerażenia Deidry.

— Rozwiąż moje nogi, błagam. Zaczynam rodzić, miej litość dla nas, błagam... — wyszeptała prawie nieprzytomna.

— Proszę, proszę, jaka potrafię być miła. Przed chwilą nie mogłem nawet pomacać panny — odrzekł morderca z wyrzutem i ironią. — Nie możesz się doczekać na tego swojego mężulka, co? Ja się stąd wynoszę czym prędzej, nim przyjdzie szef. Jeśli dożyjesz tej chwili, powtórz mu, że nie lubiłem tego gnojka, z którym przyszło mi pracować — dodał spoglądając na martwego Richiego. Roześmiał się ordynarnie, po czym wyszedł pośpiesznie z pomieszczenia. Deidra na w pół przytomna słyszała jego kroki na schodach, odbijające się echem o ściany magazynu. Odszedł. Została sama i sama musiała dać sobie teraz radę.

Przede wszystkim musiała uwolnić nogi. Zaczęła stopniowo przysuwać się do ciała na posadzce. W czasie walki widziała nóż, który mógł być teraz pomocny. Wyciągnęła związane nogi najdalej, jak tylko mogła. Potem wyężdżając wszystkie siły, kopnęła ciało martwego mężczyzny, by przewrócić je na drugi bok i wydobyć spod niego nóż. Widziała go, leżał w kałuży krwi. Przysunęła się jeszcze bliżej. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać obrzydzenie. Była już tak blisko upragnionego celu. Na szczęście jej ręce związane z przodu i mogła je swobodnie wyciągnąć przed siebie. Jej palce dzieliło zaledwie kilka centymetrów od rękojeści noża. Jeszcze tylko jeden wysiłek i mocno trzymała go w zaciśniętej dłoni.

Uwolniła związane ręce i nogi. Leżała na wznak, miała szeroko rozstawione nogi. Tak długo wstrzymywana ciecz, teraz swobodnie spływała jej po nogach. Poczowała ulgę. Ból nie był już tak straszny. Jeśli tylko nie pojawi się to bydlę, mam szansę przeżycia, pomyślała. Próbowwała wstać, kurczowo podtrzymując się stołu. Jednak nie potrafiła złapać równowagi i ponownie osunęła się na podłogę. Podparta rękoma, stała na zimnej posadzce na czworaka i powtarzała w duchu modlitwę:

— Święta Mario, Matko Boża, módl się nad nami grzesznymi... Spraw, żeby Tom przyszedł... tak bardzo go potrzebuję.

Bała się krzyknąć, choć ból był nie do zniesienia. Łzy leciały jej z oczu. Zagryzła zębami wargę, aż do krwi. Musiała wytrzymać. Zdjęła koszulę i porwała ją na szmaty, które położyła na ziemi. Potem usiadła na nich i podkurczyła nogi. Drewnianą rękojeść noża wcisnęła między zęby, by z bólu nie odgryźć sobie języka.

W parę minut potem dziecko przyszło na świat, nieświadome zagrożeń, w którym znalazło się już w pierwszych sekundach swego życia. Mary próbowała zawiązać pępowinę, ale lepkie od krwi i trzęsące się z wysiłku palce, odmawiały posłuszeństwa. Czowała straszliwy

ból. Z trudem zdołała wytrzeć nowo narodzone dziecko, po czym przytuliła je do siebie i ułożyła się na podłodze. Tom na pewno już wkrótce tu będzie i pomoże swej ukochanej młodej dziewczynce. Wszystko będzie dobrze, myślała wyczerpana. Kałuża krwi tuż przy jej nogach stawała się coraz większa, ale nie martwiła się tym, nie teraz, kiedy słodkie maleństwo leżało spokojnie w jej ramionach. To była dziewczynka, tak od dawna oczekiwana przez nią dziewczynka. Deidra zamknęła oczy.

— Tom, mój najdroższy. Kocham cię. Nie zapomnij o mnie — powiedziała cicho, a może tylko pomyślała. Jej świadomość bowiem powoli zaczynała odpływać w ciemność.

W magazynie portowym panowała zupełna cisza. Minęło kilka godzin, zanim Tom odnalazł miejsce, gdzie leżała Deidra wraz z nowo narodzonym dzieckiem. Stanął jak rażony piorunem. Oto jego poszukiwania dobiegły końca i nie potrafił uratować swej ukochanej żony. Może gdyby działał na własną rękę, nie straciłby tyle cennego czasu na organizowaniu poszukiwań. Gdyby tego przedpołudnia wcześniej wrócił do domu, może potrafiłby zapobiec nieszczęściu. Gdyby wreszcie chociaż pomyślał o obstawie dla swojej rodziny... Teraz już na wszystko było za późno. Deidra Mulvaney Dalton leżała na ziemi w przesiąkniętym wilgocią pomieszczeniu, jej twarz była sina, a wokoło pełno było krwi. Pod ścianą leżał jakiś mężczyzna z podciętym gardłem. Ta scena do głębi wstrząsnęła Tomem. Nagle usłyszał cichutki zduszony płacz dziecka, leżącego w ramionach nieżywej matki. Podbiegł do ciała swej żony, ukląkł na ziemi i pochylił się nad nowo narodzonym dzieckiem. Wciąż nie mógł pojąć, co się stało, zupełnie jakby nie chciał pogodzić się ze świadomością utraty najukochańszej kobiety w swoim życiu. To niemożliwe, aby to zakrwawione ciało w strzępach ubrania było właśnie tym, które tak bardzo kochał, którego pożył, które każdego wieczora tulił troskliwie do siebie. Jak można pogodzić się z tak potworną prawdą? Tom przykrył płaszczem ciało i twarz Deidry. Potem podniósł dziecko i troskliwie owinął je swoim szalem. Nawet nie spostrzegł, gdy do pomieszczenia wszedł Jim Mulvaney.

— Najwyższy czas wracać do domu, Tom — odezwał się spokojnym głosem.

Dalton spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. Potem wstał i bez słowa skierował się w stronę wyjścia.

— Dokąd idziesz? — Jim zadał to pytanie odruchowo, choć dobrze znał odpowiedź.

— Idę zabić tych sukinsynów.

Kiedy później, po latach, Jim wracał myślami do tych strasznych chwil, nie mógł odpedzić od siebie wrażenia, iż owego fatalnego dnia w magazynie portowym należącym do rodziny Vincenzo utracił na zawsze nie tylko córkę, ale i zięcia. To było dziwne uczucie. Czasami zdawało mu się, że miłość tych dwojga ludzi była tak ogromna, iż żadne z nich nie mogło żyć bez drugiego. Kiedy Tom Dalton wrócił następnego dnia, był zupełnie innym człowiekiem. Tej nocy zabił trzech ludzi, Vincenza i jego dwóch goryli. Policja, która odnalazła

ich ciała, przez dłuższy czas miała trudności z identyfikacją. Jim postarał się, by całą sprawę zatuszowano.

WYKAZ

Tom przez całe noce siedział w swoim pokoju. Sprawiał wrażenie człowieka, który pozostał wśród żywych jedynie ciałem, podczas gdy dusza uleciała gdzieś daleko od ziemskich spraw. Śmierć Deidry całkiem go odmieniła. Nic nie robił, cały czas czegoś wyczekiwał, jakby wciąż żywił jakąś irracjonalną nadzieję, że śmiertelną ciszę panującą w domu znów przerwie radosny śmiech żony.

Jim zajął się przygotowaniami do pogrzebu. Piękne ciało jego córki spoczęło w mahoniowej trumnie. Deidra wyglądała tak, jakby za chwilę miała się obudzić. Ale to było jedynie złudzenie. Trumnę ustawiono w domu Mulvaneya, w przybranym świeżymi kwiatami pokoju. Tom przez trzy kolejne noce czuwał przy zmarłej pogrążony w rozpacz. Los zakreślił niewidzialne koło. Powróciły straszliwe obrazy z przeszłości. Tom Dalton znów leżał na ziemi przy katafalku, na którym złożono trumnę z ciałem najdroższej mu osoby. Trudno było zrozumieć tę swoistą ironię losu, który prowadził Toma przez wszystkie udręki, upokorzenia, wzloty i upadki tylko po to, by na sam koniec przywieść go do miejsca, skąd zaczęła się cała podróż. Jak można było jeszcze wierzyć w boską sprawiedliwość?

— Tatusiu! — Riordan ciągnął ojca za rękaw. — Nie pozwól, by oni zabrali mamę.

Dziecko było przerażone widokiem mężczyzn w czarnych garniturach i cylindrach na głowach. Przyszli zabrać trumnę w dniu pogrzebu. Przed domem czekał już karawan. Tom ledwo usłyszał błagalną prośbę swego syna. Odwrócił się w jego stronę i wykrzyknął ze złością:

— Niech ktoś zabierze to dziecko!

Riordan był tak podobny do matki... miał jej oczy i aksamitne kasztanowe włosy. Tom nie mógł po prostu znieść jego widoku. Czuł, że oszaleje z rozpacz. Ostatnim wysiłkiem woli opanował się jednak. Później... może później będzie w stanie zająć się dziećmi, pomyślał. Teraz chciał być tylko z Deidrą, tylko z nią! Chciał zapamiętać każdy szczegół jej ciała, każdy gest, każde słowo miłości, które padło między nimi.

Minęło piętnaście dni od pogrzebu Deidry i Duffy'ego. Przed dom Daltona niespodziewanie zajechała elegancka limuzyna. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, kilkunastu dobrze uzbrojonych mężczyzn chwyciło za broń, zajmując pozycje w głównym hallu. Od kiedy Tom z zimną krwią zabił Angelo Yincenza, armia wynajętych przez Mulvaneya specjalnie wyszkolonych ochroniarzy dzień i noc strzegła bezpieczeństwa rodziny Daltonów.

Pokojówka drżącymi rękami otworzyła drzwi. Na progu stał niski mężczyzna o krępej budowie ciała i kruczonych włosach, gładko zaczesanych do tyłu. Towarzyszyło mu dwóch goryli. Przedstawił się jako Enzo Narducci, reprezentant pięciu sycylijskich rodzin w Nowym

Jorku. Koniecznie chciał zobaczyć się z panem Daltonem. Jeden z ochroniarzy natychmiast wbiegł na pierwsze piętro, by ubezpieczać pokój, w którym spały dzieci. Drugi pobiegł do gabinetu Daltona. Został go siedzącego jak zwykle w fotelu z leżącą na kolanach otwartą książką. Siedział tak całymi godzinami, wpatrując się w przeciwległą stronę. Wiadomość o Narduccim wyrwała go z tego letargu. Poderwał się na równe nogi. Znał Narducciego, był on następcą Vincenza. W przeciwieństwie do swego poprzednika był wykształcony i bardziej zamerykanizowany. Nie znaczyło to jednak, by ustępował Vincenzowi okrucieństwem i bezwzględnością. Był po prostu bardziej elastyczny. Tom podszedł energicznym krokiem do biurka, sięgnął po telefon i zadzwonił do teścia. Kazał mu jak najszybciej stawić się u niego z całym oddziałem policji. Potem kazał wpuścić Narducciego.

Enzio Narducci wyglądał niepozornie, ale sposób, w jaki poruszał się i rozmawiał z ludźmi, świadczył o jego sile charakteru. Kiedy wszedł do gabinetu Toma, z podziwem spojrzął na regały wypełnione aż po sufit książkami. Potem popatrzył na Daltona i wyciągnął do niego dłoń. Tom wahał się chwilę, w końcu nie podał gościowi ręki.

— Jestem Enzio Narducci — powiedział bez śladu urazy w głosie. — Przybyłem do pana z polecenia rodziny.

— Wiem, kim pan jest — odparł Tom lodowatym tonem. — I bez względu na to, co pana skłoniło do tej wizyty, ostrzegam, że mój teść będzie tu za chwilę z całym oddziałem policji.

— To nie będzie konieczne, panie Dalton — uśmiechnął się mafiozo. — Sprawa, z którą przychodzę, dotyczy jedynie nas dwóch. To sprawa honoru.

Tom z uwagą spoglądał na mężczyznę.

— Między naszymi rodzinami doszło do... pewnych nieporozumień. W wyniku tych nieporozumień polala się krew. Zaciągnięto pewne długi. — Narducci patrzył Daltonowi prosto w oczy. — Pan nie zna naszych zasad. Dla pana jesteśmy tylko bandą morderców. Ale my również mamy swój kodeks honorowy. Mój poprzednik ten kodeks złamał. Kazał zabić ciężarną kobietę, a to nie leży w naszym stylu, panie Dalton. Nasz honor zabrania przelewać krew kobiet i dzieci. Zemścił się pan na człowieku, który wyrządził panu krzywdę, i my to uznajemy. Mężczyzna, który zawiózł pańską żonę do magazynu portowego, zapłacił już za swoje okrucieństwo. Widzi pan, my nie szanujemy mężczyzn znęcających się nad słabszymi. W naszym świecie mężczyzna walczy przeciwko mężczyźnie. My to nazywamy Omerta, to nasze prawo. Dlatego nie musi pan więcej obawiać się o bezpieczeństwo swoich dzieci.

Mężczyzna przez cały czas uważnie przyglądał się Daltonowi, jakby chciał się przekonać, czy ten dobrze go rozumie.

— Przyszedłem tu, by powiedzieć, że zaciągnęliśmy wobec pana dług. I może być pan pewien, że będzie on spłacony przez nas, panie Dalton... W dniu, w którym najmniej będzie

się pan tego spodziewał, spłacimy go. Możemy nadal pozostać wrogami, ale dopóki nie oczyścimy naszego honoru, dług pozostanie.

Kiedy to powiedział, odwrócił się i skierował do wyjścia. Tom był zaskoczony, nie spodziewał się tak szlachetnego gestu.

— Bez względu na to, co pan zrobi, by oczyścić swój honor, don Enzo, nie przywróci pan życia mojej żonie — odparł z goryczą.

Narducci zatrzymał się i spojrzał ze smutkiem na Toma.

— To prawda.

Zeszli razem na dół, w holu czekał już Mulvaney w towarzystwie dziesięciu uzbrojonych po zęby policjantów. Tom dał im znak, że wszystko w porządku, po czym otworzył drzwi i podał Narducciemu na pożegnanie rękę.

BRAMA

KSIĘGA VI

Riordan Seamus Maeve

*Mężczyzna, który wybiera kobietę na żonę,
wybiera tym samym swoje przyszłe dzieci.*

Stare irlandzkie przysłowie



65.

Z ciężkim sercem muszę stwierdzić, Billy, że Tom w ogóle nie nadaje się na ojca.

Mulvaney siedział w apartamencie swojej przyjaciółki. Popijał whisky i palił ulubione, hawańskie cygaro.

— Czy robi coś złego? — spytała Billy z troską w głosie.

Od dłuższego już czasu chciała odwiedzić Daltona, ale ciągle odkładała to spotkanie. Śmierć Deidry i dla niej była straszliwym ciosem. Straciła najbliższą przyjaciółkę. Rodzinę Daltonów traktowała w pewnym sensie jak swoją własną. Bała się konfrontacji z Tomem, bała się jego bólu, jego bezgranicznego cierpienia.

— Problem polega na tym, że on nie robi nic. Prawie w ogóle nie poświęca czasu dzieciom. Wszystkim zajmuje się niańka. To bardzo dobra kobieta, ale, na litość boską, ona nie zastąpi im ojca. — Jim zamyślił się na moment, po czym dodał: — Wydaje mi się, że one za bardzo przypominają mu Deidrę. Nie pozwalają zapomnieć o niej. Pamiętam, że kiedyś córka skarżyła mi się, iż Tom za mało uwagi poświęca dzieciom, jakby nie potrafił wykrzesać z siebie choć odrobiny uczucia.

— Nie powinieneś tak mówić, Jim — Billy starała się bronić Toma. — On po prostu cały czas bał się, że ich utraci. Wspomnienia z dzieciństwa kazały mu wierzyć, że los prędzej czy później odbierze mu wszystko, co bardzo kocha.

Jim odstawił szklankę z whisky. Był dziwnie podenerwowany.

— Masz rację. Zaczynam się starzeć, Billy. To właściwie Tom zajmuje się teraz wszystkim. Tylko czasami pomagamy mu we trzech — Tierney, O'Reilly i ja. Jednak coraz częściej mam wrażenie, że on nie potrzebuje nas, starych zgredów. Nie przeczę, jest dobry w robieniu interesów. Ma do tego głowę, choć brakuje mu mojego sprytu, prawniczej finezji Tierneya i finansowych talentów O'Reilly'ego. Od czasu, gdy zginęła Deidra, zajmuje się jedynie robieniem pieniędzy.

— To dlaczego się martwisz ?

— Bo dzieci marnują się przy nim. Seamus ma pusto w głowie. Maeve jest wydelikaccona jak mimoza. Natomiast Riordan żywi wobec swego ojca jakąś niezrozumiałą dla mnie urazę. Mówię ci, oni się nie rozumieją.

— Czy próbowałeś porozmawiać o tym z Tomem?

— Próbowałem, ale to tak, jakbyś rzucała grochem o ścianę.

— Uważasz, że powinnam spotkać się z nim?

Jim uniósł wysoko brew. Ta troskliwość wydała mu się nagle podejrzana.

— Chyba nie masz zamiaru odgrywać roli pocieszycielki?

Billy roześmiała się.

— Och, głuptasie! Co ty mówisz? Najwyraźniej wcale nie jest z tobą tak źle, jak sam twierdzisz, skoro nadal jesteś o mnie zazdrosny.

Jim uśmiechnął się, mile polectany tym komplementem. Odłożył cygaro, wstał i wziął Billy w ramiona.

— Chodźmy do łóżka. Pokażę ci, na co mnie jeszcze stać.

Kiedy Billy rozbierała się, pomyślała, że razem stanowią dziwną, ale w sumie szczęśliwą parę. Tom Dalton był jej marzeniem, niedostępnym ideałem, w Mulvaneyu miała wiernego przyjaciela.

Mary Martin siedziała na werandzie sanatorium i ze wszystkich sił próbowała się skoncentrować. Tak trudno było utrzymać myśli w porządku! Lekarz powiedział, że wpiery musi odzyskać kontakt z rzeczywistym światem, nim będzie mogła opuścić klinikę. A w głowie Mary było tak wiele różnych światów. Na początku nie było niczego, tylko pustka. Potem zaczęła przypominać sobie coraz więcej, ale to nie cieszyło jej zbytnio. Wspomnienia wywoływały cierpienie, nie ulgę.

Mulvaney nalał sobie kolejną szklankę brandy, po czym z wyrazem błęgiego zadowolenia rozsiadł się w swoim ulubionym fotelu przy kominku. Oparł nogi na stojącym przed nim krześle i spojrzał na zięcia siedzącego w pewnej odległości od kominka nad książką. Od dłuższego czasu Jim nie czuł się najlepiej. Właściwie trudno było powiedzieć, by mu coś konkretnego dolegało, ale nie był już tym pełnym energii, władczyim człowiekiem, który trząsł całym Nowym Jorkiem. Z trudem dał się namówić, by na pewien czas przenieść się do domu zięcia. Oświadczył, że nie jest jeszcze tak stary, by nie mógł sam o siebie zadbać. Kiedy jednak Billy wyjaśniła mu, że bardziej chodzi tu o dobro samego Toma i jego dzieci niż o jego, Mulvaneya, zdrowie, zgodził się. Teraz był szczęśliwy z tego posunięcia. Nie mieszkał sam, a poza tym mógł więcej przebywać z Daltonem. Od śmierci Deidry Tom stał się samotnikiem, właściwie nic poza pracą i czytaniem książek go nie interesowało. Nie miał przyjaciół. Rzadko przebywał z dziećmi. Jim często zastanawiał się, jak to jest możliwe, by tak wciąż przecież atrakcyjny mężczyzna prowadził życie pustelnika. To było wprost nie do uwierzenia, by nie spotykać się z żadnymi kobietami, nieprawdopodobne i nienormalne, uważał Jim.

Tom spojrzał na teścia znad książki. Potem odłożył ją na kolana i roześmiał się.

— Obserwujesz mnie już od przeszło godziny, Jim. Czy coś jest ze mną nie w porządku?

— Ależ nie, skądże, twoje zachowanie jest bez zarzutu. Po prostu zastanawiałem się właśnie nad pewnym prezentem, który chciałbym ci wręczyć.

— Jakim prezentem?

— Widzisz, bardzo cię lubię, Tom. Od pewnego czasu czuję, jak opuszczają mnie siły. Starzeję się.

Tom popatrzył uważnie na teścia. Wiedział, że ostatnie badania nie wypadły pomyślnie. Lekarze starali się przekonać Jima, by rzucił palenie i zdecydowanie mniej pił alkoholu. Jednak uparty Diamond w ogóle nie chciał słuchać tych ostrzeżeń. Należał do tych ludzi, którzy lekarzy traktują jak natrętów.

— Czy źle się czujesz, Jim?

— O nie, wręcz przeciwnie. Czuję się świetnie. Tym bardziej że właśnie zdecydowałem się zrobić coś wspaniałego. Na razie nie mogę ci jednak tego zdradzić.

Mulvaney z trudem podniósł się z fotela. Uśmiechnął się tajemniczo i dodał:

— Spływam, Tom. Idę do Billy. Nie czekaj na mnie, wrócę za kilka godzin.

— Dobrze, że dzieci już śpią — odparł Tom rozbawiony. — Jesteś dla nich złym przykładem.

Tom był zaskoczony żywotnością swego teścia. Co prawda powątpiewał, by jego związek z Billy mógł mieć jeszcze jakiegokolwiek podłoże seksualne, ale... Z takimi ludźmi jak Jim, nigdy nie wiadomo.

Diamond Jim Mulvaney wszedł do małej windy, która zawiozła go na trzecie piętro do apartamentu Billy. Już jakiś czas temu kazała zamontować to sprytne urządzenie. Tłumaczyła, że to oszczędzi jej i personelowi ciągłego biegania po schodach, ale Jim dobrze wiedział, że tak naprawdę troszczyła się tylko o jego zdrowie. Billy przywitała go w drzwiach ubrana w zielony, jedwabny szlafrok, który uwydatniał doskonale kształty jej ciała.

— Co cię sprowadza do mnie o tak późnej porze, przyjacielu? — pocałowała go w policzek i wprowadziła do środka.

— Widzisz, tego wieczoru przyszła mi do głowy pewna myśl. Właściwie jest to pewien zamiar, o którym chciałbym z tobą porozmawiać.

— Nie mogę się wprost doczekać, mów czym prędzej.

Pomogła mu zdjąć płaszcz i nałożyć nowiuteńką bonzurkę, którą kazała specjalnie dla niego sprowadzić z Europy. Potem usadowiła go na jego ulubionym miejscu i podała pudełko z hawańskimi cygarami.

— Cały wieczór przyglądałem się Tomowi. Wydał mi się tak cholernie przygnębiony i samotny. Bardzo ciężko pracuje, ciągle czyta. Nie zadaje się z kobietami, wiem to. Wciąż myśli o Deidrze. Pewnego razu widziałem, jak stał nocą w bibliotece i aż do rana przyglądał się jej portretowi. Tak więc... doszedłem do wniosku, że on potrzebuje ciebie.

Oczy Billy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Wybuchnęła śmiechem.

— A więc ty naprawdę uważasz, że ja jestem twoją własnością, którą możesz podarować komuś jak srebrny czajnik do kawy lub akcje firmy? — W jej głosie można było dosłyszeć cienką nutę goryczy. A przecież Jim chciał dać jej to, czego od tak dawna pragnęła — Toma.

— Mylisz się. Dzisiejszego wieczora zrozumiałem dwie bardzo ważne rzeczy, Billy, i zdecydowałem się powiedzieć ci o tym. Pierwsza, że bardzo wiele dla mnie znaczysz. Zawsze wiedziałaś, co do ciebie czuję... ty zawsze wszystko wiesz... Ale teraz chciałem ci o tym sam powiedzieć. Sądzę, że to ważne.

— A druga?

— — Zawsze wiedziałem, że czujesz do Toma coś więcej niż tylko sympatię. Nie byłabyś w końcu sobą, gdyby taki mężczyzna jak Dalton nie zwrócił twojej uwagi. Dlatego byłem o niego zazdrosny, przyznaję.

Przerwał na moment, jakby starał się zebrać myśli.

— Dlatego chcę ci powiedzieć Billy, że nie będę dłużej stał ci na drodze. Nie sprzeciwiaj się! Po prostu posłuchaj starego człowieka, który dobrze ci radzi. Jeśli umrę, chcę, abyś poszła do niego, chcę byście byli razem.

Billy patrzyła na niego, nie dowierzając własnym uszom. Czy to możliwe, by był aż tak chory, że zdecydował się na podobny krok?

— Wiem, nie mogę ci niczego nakazać, ale on tonie we własnej udręce. Tylko ty możesz wyciągnąć go z tego stanu. Ty też będziesz go potrzebować, bo kiedy mnie zabraknie, znów znajdziesz się całkiem sama na tym podłym świecie. Będzie ci potrzebny opiekun...

Billy walczyła ze sprzecznymi uczuciami. Nie mogła znieść widoku Jima, który przemawiał do niej, jakby połową swej duszy już znajdował się w zaświatach. Świadomość, że jej przyjaciel gotuje się na rychłą śmierć, okazała się dla niej niezwykle bolesna. Nie sądziła, że sprawy zaszły tak daleko. Z drugiej strony zrozumiała, że w jej życiu może zajść zmiana, o której do tej pory jedynie mogła marzyć. Szybko otarła łzy z policzków i powiedziała:

— Zobaczmy, mój stary przyjacielu, zobaczymy. Wszystko rozwiąże czas.

Wiedział, że go zrozumiała. Uśmiechnęli się do siebie. Wiedzieli o sobie wszystko, o lękach, ukrytych pragnieniach i tęsknotach. A przecież wciąż tak bardzo się kochali.

Wiesz

Mary położyła się na łóżku. Jej dłonie czuły szorstką świeżość szpitalnego prześcierała. Pokój, w którym mieszkała, był przytulny i słoneczny. Mogła w nim zapomnieć o prześladowających ją koszmarach. Z każdym dniem czuła się coraz lepiej. Rozejrzała się wokół. Był bardzo skromnie umeblowany i przypominał ten, w którym mieszkała w Tuxedo Park wiele lat temu. Uśmiechnęła się. Czy to nie dziwne zrządzenie losu? Tam, na poddaszu posiadłości państwa Cooke'ów zdecydowała się żyć w kłamstwie. Teraz, w identycznym jak tamten pokoju, uczyła się, jak uwolnić się od ciężaru takiego życia. Ta nauka zajęła jej prawie cztery lata. Przez cztery lata z mozołem powracała do rzeczywistości i teraz była już wystarczająco silna, aby powrócić do domu.

Mary wstała z łóżka i podeszła do okna, skąd roztaczał się piękny widok na szpitalny park. Znała go niemal na pamięć. Przez lata był murem ochronnym, który oddzielał ją od zewnętrznego świata i dawał poczucie bezpieczeństwa. Teraz pragnęła wydostać się stąd, powrócić do normalnego życia, do ludzi. Chciała powrócić do swojej rodziny, chciała, by wszystko znowu potoczyło się swoim dawnym torem. Dzieci musiały bardzo urosnąć, pomyślała.

Thadeus Martin był bardzo samotnym człowiekiem. Dzieci już dorosły i żyły własnym życiem. Większość czasu spędzał w swoim wielkim sklepie. Dzięki temu przebywał wśród ludzi. Jednak nawet wtedy czuł się bardzo samotny.

Thadeus wrócił późno do domu. Służba już dawno położyła się spać. Postanowił nikogo nie budzić. Zdjął swój ciężki wełniany płaszcz i powiesił go w holu. Potem poszedł do kuchni, zrobić sobie filiżankę herbaty. Wczoraj po raz pierwszy w życiu Martin upił się do nieprzytomności. Wrócił wcześniej ze sklepu i nie mogąc znieść otaczającej go w domu pustki, otworzył butelkę brandy i wszystko wypił. Cały dzisiejszy dzień czuł się niedobrze. Bolała go głowa i uznał, że mocna herbata może mu pomóc. Wyjął z lodówki butelkę mleka i postawił koło czajnika z gorącą wodą. Potem wrzucił do filiżanki kostkę cukru i łyżkę sypkiej herbaty. Zalał ją wrzątkiem, dodał mleka. Od kiedy mieszkał sam, nigdy nie chciało mu się parzyć całego imbryka. Wziął filiżankę i podreptał z nią w kierunku swego gabinetu pilnując by najmniejsza kropla nie wylała się i nie zabrudziła dywanu. Czy ten dom już zawsze będzie taki pusty? — pomyślał. Lekarz twierdził, że Mary powraca do zdrowia. Z każdym dniem czuła się lepiej, powracała jej pamięć. Ale Thadeus nie cieszył się. Nie potrafił wybaczyć. Przez cztery ostatnie lata „odeszła” od niego w nie znany mu, groźny i nienawistny świat wspomnień, świat, w którym wciąż żył ten inny mężczyzna, dobrze urodzony, przystojny, kochany. Wiedział, że to było zupełnie irracjonalne uczucie, a jednak nie potrafił go zwalczyć. Próbował, Bóg świadkiem, że bardzo się starał. Na początku po prostu nienawidził swojej żony. Nienawidził jej za to, że zniszczyła całe jego życie, wszystkie marzenia, plany. Co gorsza, każda rzecz, wszystko, co go w tym domu otaczało i co w jakiś sposób przypo-

minało mu o tych wszystkich latach spędzonych wspólnie z Mary, doprowadzało go do furii. Chciał wyprowadzić się stąd, chciał o wszystkim zapomnieć. Czas jednak leczył rany. Coraz częściej zazdrość i nienawiść ustępowały miejsca tęsknocie. Wieczorami, siedząc w swym gabinecie przy biurku, przypominał sobie, jak Mary często siadała przed lustrem w ich sypialni i starannie rozczesywała srebrną szczotką swoje piękne, lśniące włosy. Wraz z upływem miesięcy Martin coraz bardziej pogrążał się we wspomnieniach. Chwilami miał dziwne wrażenie, że przekracza granicę dzielącą fantazję od rzeczywistości. Godzinami przesiadywał w swoim wymarłym, opustoszałym wielkim domu — rozmawiając, sprzecząc się i śmiejąc, płacząc, nucąc piosenki, dyskutując o czymś zawzięcie, zupełnie tak, jakby przez cały ten czas towarzyszyła mu jakaś inna, niewidzialna osoba. Tak bardzo pragnął, by była to Mary.

Thadeus wypił herbatę i odstawił pustą filiżankę na biurko. Rozejrzał się po pokoju. Cóż było warte jego samotne życie? Gdyby Mary wróciła... mogliby zacząć wszystko od nowa. Mogliby znowu być razem, tylko we dwoje, tak jak w pierwszych miesiącach po przyjeździe do Bostonu. Tak bardzo chciał mieć ją znowu przy sobie. Boże spraw, by ta udręka skończyła się wreszcie! Thadeus spojrzął na portret żony, który wisiał nad kominkiem, i przypomniał sobie słowa lekarza opiekującego się Mary w klinice.

— Musi być pan świadomy tego, że pańska żona może nie chcieć wrócić do domu. Ona przeżyła prawdziwy koszmar, żaden z nas — ludzi zdrowych, nie może sobie nawet wyobrazić jej cierpienia. Teraz, kiedy przetrwała już kryzys, może zdecydować, iż chce na własną rękę rozpocząć nowe życie.

Thadeus Martin przyjechał do kliniki o siódmej rano. Powiadomił wcześniej lekarza, że tak wczesna wizyta wynika z czekających go obowiązków. O dziewiątej musiał być już z powrotem w sklepie. W rzeczywistości panicznie bał się tej wizyty. Chciał zawczasu przygotować sobie jakiś pretekst, który by usprawiedliwiał jego nerwowy pośpiech podczas rozmowy z żoną.

Kiedy przeszło cztery lata temu przywieziono Mary do tego zakładu, Thadeus odwiedzał ją często, bardziej z poczucia obowiązku niż z miłości do żony. Nie mógł jej wybaczyć tego, co uczyniła. Siadał obok niej w pokoju lub na werandzie. Oboje przypominali wówczas ciężko chorych pacjentów. W rzeczywistości Martin po prostu nie wiedział, jak ma się zachować. Świadomy stanu swej żony, która uciekła w wymyślony świat swoich wspomnień, nie widział sensu w prowadzeniu sztucznej rozmowy. Nie wierzył, by to miało jakikolwiek wpływ na stan chorej. W końcu zaniechał tych wizyt i odczuł ulgę. Wciąż nie potrafił przyzwycząić się do swojej nowej roli — męża, szanowanego obywatela Bostonu, właściciela doskonale prosperujących sklepów, którego żona trafiła do zakładu dla obłąkanych.

Praca stała się dla niego ucieczką od przerażającej rzeczywistości i samotnego życia. Zaczynał dzień o piątej rano, a kończył przed północą. Miał wtedy zaledwie tyle sił, by wypić filiżankę herbaty i położyć się spać. Ten intensywny tryb życia pozwalał mu zapomnieć o tragedii, która spotkała jego rodzinę, i zagłuszał wyrzuty sumienia. Tak mijały lata.

Thadeus postanowił nie podejmować żadnych decyzji, które dotyczyłyby ich wspólnego życia, przynajmniej do czasu, kiedy żona nie wyzdrowieje na tyle, iż będzie zdolna sama podjąć decyzję co do ich przyszłości. Teraz ten czas nadszedł. Lekarze twierdzili, że Mary jest już całkiem zdrowa i może wrócić do domu. Martin zdecydował się więc pojechać do kliniki. Czuł, że nie może dłużej odwlekać tego spotkania. Musiał powiedzieć żonie o wszystkim, co przez te długie lata leżało mu na sercu. Musiał uświadomić jej, jak wielkim ciosem było dla niego odkrycie prawdy o Tomie, jak to wpłynęło na jego życie, jak zniszczyło wszystkie jego marzenia i odebrało nadzieję w cokolwiek. Tak! Musiał to wszystko wyrzucić z siebie, raz na zawsze!

Mary zastała męża na werandzie. Stał niezdecydowany na stopniach schodów prowadzących do ogrodu. Wyglądał tak, jakby chciał stąd uciec. Nerwowo ścisnął w kościstych dłoniach kapelusz i wystraszonymi oczyma patrzył na żonę. Mary uśmiechnęła się do niego. Mój Boże, jak wszystko się zmieniło, pomyślała. Przez te cztery lata, które spędziła w całkowitej izolacji od świata, mogła dokładnie przemyśleć całe swoje życie.

— Masz prawo nienawidzić mnie — odezwała się.

— Tak... — odparł Thadeus. W jednej chwili stracił całą wiarę w siebie. Uprzednio starannie ułożył sobie w myślach całe przemówienie. Każde słowo, które chciał powiedzieć podczas tego spotkania, powtarzał tysiące razy. Dokładnie wiedział, jak ma się zachować i co ma mówić. A jednak na widok Mary cała ta misternie złożona mozaika argumentów i zarzutów po prostu rozsypała się na drobne kawałeczki.

Mary zmieniła się przez te lata. Bardzo wychudła, jej włosy były zupełnie siwe i krótko obcięte. Patrzyła swymi łagodnymi oczyma na męża i uśmiechała się jak dobrotliwy anioł, który zstąpił z nieba, by podtrzymać na duchu grzesznika.

— Jak się czujesz, Mary? — odezwał się w końcu Thadeus. Był wyraźnie zmieszany.

— Już dobrze. To tak, jakbym powróciła z długiej i bardzo męczącej podróży...

Usieśli razem na ławce.

— Czy pamiętasz, co się stało? — spytał z troską w głosie.

— Jeśli masz na myśli śmierć naszego syna, to odpowiedź brzmi — tak.

Natomiast to, co stało się później, w dalszym ciągu spowija zasłona ciemności. Lekarze twierdzą, że to, co się stało ze mną, pozostanie na zawsze tajemnicą.

— A czy wiesz, co stało się ze mną? — Thadeus zerwał się z miejsca. Był cały roztrzęsiony. Mary położyła mu dłoń na ramieniu.

— Chciałabym, żebyś wiedział, że jest mi bardzo przykro. — Przerwała wiedząc, że żadne słowa nie są w stanie oddać jej uczuć. — Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. To, co

się stało, było straszną pomyłką. W którymś momencie mojego życia zgubiłam właściwą drogę i potem nie potrafiłam jej już odnaleźć.

— Czy kiedykolwiek kochałaś mnie?

Mary usłyszała w jego odręczonym głosie nutę wahania, jakby przez chwilę żałował, że zadał to pytanie. Wiedziała, że musi być z nim całkiem szczerą.

— Na początku nie. Przyznaję, że byłeś dla mnie pewnego rodzaju ucieczką, ratunkiem przed nierozwiązywalnym dylematem mego życia... Chciałam wyzwolić się od mego przeklętego losu, roli służącej z nieślubnym dzieckiem.

Thadeus poczuł dziwną ulgę, tak jakby już od dawna spodziewał się usłyszeć z ust żony tę okrutną prawdę.

— Ale później, kiedy żyliśmy razem, kiedy pojawiły się dzieci, zaczęłam czuć do ciebie coś więcej niż tylko przywiązanie. I nadal to do ciebie czuję. Chcę, żebyś to wiedział, zanim się rozstaniemy.

Spojrzał na nią. A więc, jak się obawiał, nie chciała do niego wrócić. Właściwie od dawna wiedział, że ich związek musi się rozpaść. Nie było innego wyjścia i może rzeczywiście lepiej będzie dla wszystkich, jeśli się rozwiodą. Ale skoro przewidywał to już od tak dawna, to dlaczego czuł w tej chwili tak nieznośny ból w sercu?

Mary w napięciu patrzyła na niego. Czekwała, że zaprotestuje, poprosi, aby została, nie opuszczała go. Modliła się w duchu, by Martin zdobył się na ten gest. Widząc, że milczy, odezwała się:

— Myślę, że nadszedł czas, by wszystko sobie powiedzieć. Zaczęłam cię kochać dlatego, że jesteś bardzo prawym i dobrym człowiekiem. Im bardziej byłeś mi drogi, tym mocniejsze miałam wyrzuty sumienia. Próbowałam ci wszystko wyznać, ale za każdym razem powstrzymywała mnie twoja szlachetność, prawość i szczerść. Czułam się przy tobie niewiele warta.

Thadeus chciał coś powiedzieć, ale Mary ruchem ręki powstrzymała go.

— Nasze dzieci zawsze były bardziej twoje. Byłeś dla nich ideałem, niedoścignionym wzorem, który podziwiałały. Na początku bardzo cierpiałam z tego powodu. Było mi przykro, że tak niewiele mogę im dać od siebie. Ale one nie potrzebowały mnie tak bardzo jak ciebie. Nigdy nie czyniłam im z tego powodu wyrzutów, ale na pewno pozostawiło to we mnie trwałą urazę.

Na jej twarzy malował się głęboki smutek i żal. Ujęła jego dłonie i mocno przycisnęła do swego policzka. Poczuł, że była rozpalona.

— Potem na świat przyszło nasze najmłodsze dziecko. Od momentu kiedy je urodziłam, wiedziałam, że ono jest moje. Mój ukochany John był zawsze pełen życia, taki radosny

i wrażliwy. Nazywałam go Sean, mimo twoich protestów. Był dla mnie niby kojące lekarstwo na moje rany. To tak, jakby Bóg zechciał mi wynagrodzić wszystkie cierpienia, jakich zaznałam przez całe życie, i wybaczył moje grzechy. Sean był tak bardzo podobny do Toma i do mnie.

Mary przerwała, zaciskając mocno wargi. Thadeus miał wrażenie, jakby zmagala się sama ze sobą. W końcu podjęła przerwana myśl.

— Kiedy Sean umarł, zrozumiałam, że byłam w błędzie. Bóg zesłał go na ziemię, aby mnie ukarać. Jego śmierć miała być odkupieniem moich grzechów.

Thadeus pokręcił głową.

— Ten wasz katolicki Bóg musi być potworem, jeśli wierzycie, że jest zdolny do podobnego okrucieństwa.

— Nie mogłam tego znieść. Tej śmierci, poczucia winy, rozpaczy... świadomości, że jestem przyczyną tylu nieszczęść. Musiałam jakoś od tego uciec i dlatego odeszłam w przeszłość... To tak trudno wytłumaczyć. — Mary wzruszyła bezradnie ramionami. — Widzisz, byłam tam, skąd wielu ludzi już nigdy nie wraca.

— I dlatego teraz zdecydowałaś się znowu odejść?

Głos Thadeusa wydał jej się obojętny, pozbawiony cienia emocji. Nie mogła nawet stwierdzić, czy to było pytanie czy raczej stwierdzenie.

— Chcę, żeby moje życie było lepsze, szlachetniejsze.

— Rozumiem, a co z dziećmi?

— Są już dorosłe. Poradzą sobie beze mnie.

— Czy niczego nie potrzebujesz?

— Moje suknie są dla mnie teraz zbyt obszerne. Bardzo schudłam...

— A pieniądze?

— Tom obiecał, że zaopiekuje się mną.

— Więc nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia, Mary?

Spojrzała na mężczyznę, który przez dwadzieścia siedem lat był jej mężem.

Widziała go teraz postarzałym, rozgoryczonym i zagubionym. Jego okrągła, łysa głowa osadzona na wąskiej szyi wyglądała niby balon zaczepiony na tyczce. Nigdy nie był przystojnym mężczyzną, a ubranie zawsze wisiało na nim jak na wieszaku. Ale jego szlachetne, pełne uczucia i oddania oczy pozwalały zapomnieć o wszystkich niedoskonałościach ciała.

Był szlachetnym i dobrym człowiekiem. Już nigdy nie sprawi mu bólu. Już nigdy go nie skrzywdzi.

Thadeus nachylił się nad Mary i zmieszany pocałował ją w policzek. Potem stał dłuższą chwilę na werandzie, zakłopotany, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Pragnął coś powiedzieć, coś wyjaśnić, ale czuł, że przez ściśnięte gardło nie wydobydzie ani jednego słowa. Wiedział tylko to, że Mary nie chciała go więcej. Nie zamierzał się jej narzucać. Zszedł wolnym krokiem z werandy i skierował się parkową aleją w kierunku bramy. Rozumiał ją. Podjęła jedyną słuszną decyzję. A on dał się ponieść marzeniom. To przecież było nie do pomyślenia, by wróciła do domu, w którym przeżyła tak wielką tragedię, by po tym, co zaszło między nimi, mogli odnaleźć się znowu.

Wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł nos.

Istniała przecież jakaś isierka nadziei. Powiedziała przecież, że go kocha. Może tylko nie chciała sprawić mu przykrości. Jednak nie miał wątpliwości, że była wobec niego całkowicie szczerą. To, co powiedziała, musiało wypływać prosto z serca. A jednak... Jak mógł jej wierzyć? Co ta kobieta w ogóle wiedziała o szczerości...?

Thadeus odwrócił się nagle i zaczął biec w stronę werandy.

— Mary! Mary! — krzyczał jak oszalały.

Nigdy przedtem Mary nie widziała swego męża w takim stanie. Ten zawsze dokładny, pedantyczny, ostrożny i oschły mężczyzna biegł przez park wymachując rękoma, zdyszany wbiegł po schodach werandy i na oczach wszystkich pochwycił ją w ramiona.

— Kocham cię, Mary! — szeptał. — Zawsze cię kochałem. Nie odchodź! Nieważne, co się stało. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Nie zostawiaj mnie samego. Bez ciebie jestem niczym, bez ciebie nie potrafię żyć. Nie pozwolę ci odejść, słyszysz, nie pozwolę...

A więc kochał ją, chciał, aby została. Mary przytuliła się mocno do męża, Czując, jak straszliwy ciężar spada jej z serca.

— Ja również ciebie kocham, Thed. Bardzo, bardzo ciebie kocham — powtarzała.

Ohydna pogoda, panno Billy — stwierdził woźnica.

Niezgrabnie dreptał za kobietą, była wyższa od niego co najmniej o głowę. Z trudem starał się utrzymać nad nią rozpięty parasol i uchronić przed strugami deszczu.

— Nic nie szkodzi, Tim — odparła Billy.

Usadowiła się wygodnie w krytym powozie i położyła obok siebie na siedzeniu bukiet kwiatów. Specjalnie wybrała ten deszczowy, zimny dzień, by złożyć wizytę swojej najdroższej przyjaciółce. Kiedy świeci słońce, rozkwitają pąki, śpiewają ptaki i wszystko tętni życiem, nikt nie myśli o tych, którzy odeszli z tego świata na zawsze. W słoneczne dni żyjemy w euforii i upojeniu, zachłystując się każdą chwilą naszego istnienia, zupełnie jakby śmierć straciła nad nami władzę. Dopiero gdy niebo staje się szare, a aniołowie zaczynają płakać, przypominamy sobie o granicach naszej wolności. Wówczas z pokorą udajemy się na długi samotny spacer po cmentarzu, gdzie każdy kamień i każde źdźbło trawy uświadamiają nam nieuchronność przemijania. Jak wielu odeszło już w ciemność spośród tych, których Billy tak kochała. Matka, ojciec, bracia, Donaher i Deidra. Tylko tych dwoje ostatnich odnalazło wieczny spokój na cichym, malowniczym cmentarzu na przedmieściach Nowego Jorku. Grobu matki i ojca nie знаła. Braci pochłonęły morskie głębiny.

Powóz zatrzymał się przed cmentarną bramą. Timothy przez dłuższy czas walczył z parasolem, który nie chciał się otworzyć. Potem pomógł Billy wysiąść. Uśmiechnęła się, widząc jego rozpaczliwe wysiłki, by osłonić ją od deszczu. Przed laty spotkała Tima u Bowerych, rodziny jednej ze swych dziewcząt. Powiedziała mu, że może pracować u niej tak długo, jak zechce. Okazał się niezmiernie oddany i lojalny. Była pewna, że rzuciłby się dla niej pod pociąg, gdyby zażądała takiej ofiary.

Billy szczerzej otuliła się płaszczem, po czym ruszyła prowadzącą wśród grobów zwirową aleją w kierunku niewielkiego, skromnego nagrobka. Na jego płycie wygrawerowano złotymi literami:

*Deidra Mulvaney Dalton 1883-1911 Składając hołd tej niezwyklej kobiecie, żonie,
przyjaciółce i oblubienicy, która przemieniła ziemskie życie w rajski ogród,
pogrążony w śmiertelnym smutku tablicą tę
ufundował Tom Dalton. Deidra Dalton opuściła ten świat 29 listopada 1911 roku.
Niech Bóg w swej nieskończonej dobroci
sprawi, byśmy odnaleźli się z powrotem w tym lepszym świecie.*

Tak, Tom i Deidra zawsze wierzyli, że istnieje gdzieś jakiś inny lepszy świat — takie miejsce pod gwiazdami, gdzie panuje jedynie miłość i dobro. Życia tutaj nigdy nie traktowali całkiem poważnie, jakby przeczuwając, że jest on jedynie pewnym przejściowym etapem na drodze do właściwego celu, jakim była nieśmiertelność ich miłości.

Billy stała w milczeniu. Przychodziła tu w każdy piątek, bez względu na pogodę. Nigdy nie zdradziła się ani przed Tomem, ani Jimem ze swoich cotygodniowych odwiedzin na cmentarzu. Chciała zachować to jako swój sekret. Czasami zastanawiała się, czy kiedy umrze, ktokolwiek przyjdzie położyć bukiet kwiatów na jej grób. Miała w swym życiu setki mężczyzn, nie pamiętała już nawet ilu, prawdę mówiąc, przestała ich liczyć, kiedy skończyła piętnaście lat. A przecież czuła się taka samotna. Tych nielicznych przyjaciół, których miała, Pan Bóg powołał do siebie. Pozostał już tylko Mulvaney i Dalton. Ciekawe, co powiedziała by Deidra, gdyby dowiedziała się o propozycji, jaką złożył Billy jej ojciec. Może nie miała by nic przeciwko temu, by jej najlepsza przyjaciółka zastąpiła ją u boku Toma...

Billy położyła na płycie nagrobka bukiet kwiatów. Wytarła łzy, które napłynęły jej do oczu, po czym odeszła w kierunku powozu, który na nią czekał przed cmentarzem.

Czy przyjdiesz w sobotę na mecz baseballu, tato?

Dziewięcioletni Seamus stał w drzwiach gabinetu ojca. Miał na sobie koszulkę z emblematem szkoły i krótkie tweedowe spodenki.

— Teraz jestem zajęty, synu. — Tom sprawiał wrażenie nieobecnego. — Porozmawiamy o tym później.

— Ależ tato, ja będę podawał piłkę. Wszyscy mówią, że jestem w tym najlepszy — nalegał chłopiec błagalnym tonem.

— Czy równie dobry jesteś w odrabianiu lekcji? — Tom był w złym humorze. Martwił się ostatnimi informacjami o sytuacji w Europie. Wszystko wskazywało na to, że będzie wojna. — Twoje ostatnie oceny to po prostu skandal.

— Zawsze lepiej szło mi na boisku niż w szkole. Jeśli przyjdiesz na ten mecz, sam się przekonasz.

Chłopiec opuścił głowę. Był wyraźnie urażony odmową ojca. Miał kręcone rude włosy i jak na swój wiek był wyrosnięty. Tom zawsze traktował go z pewnym dystansem. Niepokoiło go, że chłopiec interesował się tylko baseballlem. Oczywiście, każde dziecko potrzebuje ruchu, ale w życiu trzeba również zająć się czymś poważnym. Życie nie składa się z samych przyjemności. Kiedy on miał tyle lat co Seamus, był świadkiem śmierci swojego ojca i sam musiał stawić czoło wszystkim przeciwnościom i wyzwaniom losu.

— Niestety, nie mogę — odpowiedział. — Prawdopodobnie Stany Zjednoczone już wkrótce przyłączą się do wojny. Ten weekend muszę spędzić w Waszyngtonie.

— Ale dziadek przyjdzie obejrzeć mecz — z wyrzutem w głosie odparł Seamus.

— W takim razie ja będę tam zupełnie zbędny, chłopcze. Przyjdę na inny mecz.

Seamus niechętnie skierował się do wyjścia. Nagle odwrócił się i wykrzyknął ze złością:

— Ja naprawdę jestem dobry w baseballu. Będziesz jeszcze kiedyś ze mnie dumny.

— Na pewno, na pewno — odpowiedział Tom całkiem pochłonięty czytaniem gazety.

Chłopiec stał przez chwilę, jakby nie wiedział, czy ma wyjść z pokoju, czy powiedzieć coś jeszcze. Ostatecznie ojciec mógłby choć trochę zainteresować się tym, co on robi. Wcale nie oczekiwał, że przyjdzie na ten głupi mecz. Czasami jednak odnosił wrażenie, że ojciec w ogóle go nie kocha.

Seamus był bardzo podobny do ojca. Miał typowo irlandzką urodę. Niestety, nie odziedziczył po nim inteligencji. Studia w ogóle go nie interesowały. W przeciwieństwie do Rory'ego, który był bystry, dobrze się uczył i któremu wszyscy przepowiadali świetną przyszłość, Seamus zdecydowanie wołał piłkę od książek.

— Jako pierwszy otrzymałem wszystkie zaliczenia, tato! — głos Riordana w słuchawce brzmiał jak zawsze bardzo poważnie i nieco sztucznie.

— To doskonale synu! — wykrzyknął Tom z entuzjazmem. — Znowu pokonałeś tych mięczaków.

— Wolałbym, żebyś ich tak nie nazywał, ojczy. To są sami przyzwoici chłopcy z bardzo dobrych rodzin.

Mój Boże, pomyślał Tom, który nigdy nie potrafił nawiązać kontaktu ze swoim pierwszym, co za cholerny snob z tego Rory'ego.

— Jak chcesz, chłopcze — odparł. Chciał jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. — Powodzenia przy egzaminach.

— Dziękuję. Jestem pewien...

Tom odłożył słuchawkę. Nie rozumiał tego chłopca. A Jim przeciwnie, wprost go uwielbiał. Twierdził, że chłopiec jest rozgoryczony i bardzo przeżył śmierć matki. Był wystarczająco duży, by zrozumieć, co się stało.

— Zawsze byłeś jego ideałem, Tom — powtarzał często Mulvaney. — Teraz czuje się zdradzony. Uważa, że od czasu gdy zabrakło Deidry, przestałeś go kochać.

— Przecież to bzdura! — Tom nigdy nie mógł pogodzić się z taką interpretacją.

— Do jasnej cholery! — Jim zawsze bardzo się denerwował podczas tych rozmów. — Zrozum wreszcie, że on potrzebuje ciebie. Stracił już matkę, czy teraz ma stracić także ojca? Jeśli nie zmienisz swojego stosunku do niego, to któregoś dnia odpłaci ci za to. Będziesz żałował, zapamiętaj moje słowa.

Tom siedział przy biurku, rozmyślając o tym, co tak często powtarzał mu teść. Ta dzisiejsza rozmowa telefoniczna z Riordanem całkiem go rozstroiła. Może Jim miał rację? Postanowił, że postara się zmienić, być dla Rory'ego bardziej czułym. Już wkrótce nadarzała się ku temu doskonała okazja. Za kilka dni rozpoczynały się wakacje i Rory miał na dłużej przyjechać do domu.

Maeve Dalton bardzo chciała zwrócić uwagę ojca na siebie... Czasami, gdy leżała już w łóżku, zastanawiała się, co mu opowie następnego dnia albo gdzie mogliby razem pójść na spacer. Podziwiała Toma. Uwielbiała obserwować go podczas pracy, kiedy siedział przy swoim biurku w gabinecie taki poważny, ze zmarszczonymi brwiami. Odbierał telefony i

wydawał dyspozycje. Było wiele pytań, które Maeve chciała zadać ojcu. Wiedziała, że na pewno potrafiłby na wszystkie odpowiedzieć. Był przecież taki mądry...!

Niestety, w ciągu dnia spotykała się z ojcem bardzo rzadko. Oczywiście, nie była to jego wina, że był tak bardzo zapracowany. Ale nawet kiedy znajdował trochę czasu, by przyjść do jej pokoju, ogarniał ją taki lęk, że nie potrafiła wykrztusić z siebie ani słowa. Zakonnice prowadzące szkołę, do której uczęszczała Maeve, twierdziły, że dziewczynka jest wyjątkowo nieśmiała. Czasami sama myślała, że wolą Pana Boga jest, by, kiedy już dorośnie, wstąpiła do jakiegoś zakonu. Stawała przed lustrem, zaczesywała włosy gładko do tyłu i próbowała wyobrazić sobie, jakby wyglądała w stroju zakonnicy. Za każdym razem jednak dziewczynka zamiast tak upragnionej aury świętości, czuła jedynie głęboką niechęć do samej siebie. Za duży nos, odstające uszy, kaprawe oczy, no i te zmarszczki na czole. Jaki mężczyzna zdecydowałby się ożenić z taką brzydulą? myślała. Może rzeczywiście powinna wstąpić do zakonu?



Przed tobą jeszcze długa, długa droga... Słowa popularnej piosenki wciąż dźwięczały w głowie Toma. Pokojówka często śpiewała ją podczas sprzątanía w jego gabinecie.

W Europie wybuchła wojna. Jim już od dawna przepowiadał, że tak się stanie. Teraz gazety pełne były wiadomości o oblężeniu Antwerpii i krwawej bitwie pod Ypres. Tysiące młodych mężczyzn w całym kraju gorączkowo przekazywało sobie informacje, że prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił przystąpienie Ameryki do wojny. Dzięki Bogu, moi synowie są jeszcze dziećmi, pomyślał Tom, czytając w gazetach o straszliwych masakrach pod Lille i Ypres. „M and D” miało największe w swej historii obroty. Jak przewidywał Jim, wojna napędzała koniunkturę w kraju. Rząd potrzebował statków, które transportowałyby do walczącej Europy broń, a także wszelkie inne artykuły, których „M and D” mogła dostarczyć w każdej ilości. Dzięki zapobiegliwości Jima oraz jego politycznym kontaktom z liczącymi się kręgami władzy w Waszyngtonie Mulvaney i Dalton stali się w krótkim czasie jednymi z najbogatszych ludzi w kraju.

Mimo tych sukcesów Jim wyraźnie odsuwał się w cień. Od czasu konfliktu z mafią oraz śmierci córki interesy nie sprawiały mu przyjemności. Może gdyby wówczas zaniechał otwartej wojny z Vincenzem i poskromił swoje ambicje, Deidra żyłaby nadal. Ta myśl powodowała, iż z pewnym obrzydzeniem podchodził do spraw związanych z polityką i biznesem. Tom przejął całkowicie inicjatywę w firmie, a Tierney i Ó'Reilly pozostali jego najbliższymi doradcami. Dalton potrafił docenić umiejętności i lojalność swych dawnych nauczycieli. Wraz z rozwojem firmy rosła również liczba nowych pracowników w administracji. Byli to przeważnie młodzi, agresywni i utalentowani ludzie. Jednak Tom dobrze wiedział, że do sukcesu potrzebne są nie tylko zdolności, ale i doświadczenie. Brakowało im bardzo Duffy'ego. Pewnego razu podczas rozmowy z Tomem Jim powiedział:

— Frank był nieoceniony, nigdy nie odżałuję jego śmierci.

Był to jedyny raz, kiedy Mulvaney wspomniał o Duffym. Nigdy potem nie wracali do tego tematu.

Fakt, iż Tom przejął kontrolę nad całą firmą, a Jim usunął się na bok, miał symboliczne znaczenie. Nie chodziło jedynie o przekazanie firmy przez starzejącego się właściciela młodszemu wspólnikowi. Jim chciał w ten sposób uświadomić Daltonowi, że tworzą jedną rodzinę i traktuje go jak syna. Tym bardziej więc nie mógł pogodzić się z tym, że stosunki pomiędzy Tomem a dziećmi nie układają się najlepiej. Chciał widzieć w swoich wnukach przyszłych sukcesorów finansowego imperium, które stworzyli wraz z Tomem. Byłoby mu łatwiej umierać, gdyby wiedział, że pomiędzy nimi wszystko jest w porządku.

Tom zaproponował Billy i Jimowi, aby wspólnie spędzili wieczór w mieście. Billy w dalszym ciągu opiekowała się Mulvaneyem. Można było odnieść wrażenie, że tylko ona jest w stanie ożywić jeszcze Jima. Ostatnimi czasy często chodzili razem do kina, szczególnie na komedie Macka Sennetta i Charlie Chaplina. Przemysł filmowy stał się w tym okresie niezmiernie popularny. Sale kinowe przypominały olbrzymie, kapiące od złota i kryształów amfiteatry, gdzie zbierała się każdego wieczora cała śmietanka Nowego Jorku. Mulvaney uwielbiał pokazywać się tam w towarzystwie pięknej Billy, która w swych eleganckich strojach i najmodniejszej fryzurze przypominała gwiazdę z ekranu. Istotnie, wielu ludzi zastanawiało się, kim jest ta przedziwna para — stary mężczyzna o władczym spojrzeniu i piękna blondynka u jego boku.

Dlatego pomysł, by spędzić ten wieczór wspólnie na mieście, wydał się Daltonowi najlepszy. To będzie dogodny moment, by podzielić się z Jimem nowymi wiadomościami. Właśnie rząd Stanów Zjednoczonych zwrócił się do „M and D” po nowe zamówienia. Poza tym już za kilka dni były urodziny Rory'ego. Tom zdecydował się wydać z tej okazji wielkie przyjęcie. Jim i Billy na pewno ucieszą się z zaproszenia. Znowu cała rodzina będzie w komplecie.

Billy ubierała się właśnie w swoim apartamencie. Za pół godziny pod dom miał podjechać powóz przysłany przez Daltona. Cieszyła się, że weźmie udział w urodzinowym przyjęciu Rory'ego. Jim też tam będzie, przyjdą także koledzy Riordana. Jednak Billy czuła w głębi serca jakiś niezrozumiały niepokój.

— Przecież byłeś w naszym domu częstym gościem, Billy — argumentował Tom. Był zaskoczony i niemile rozczarowany wahaniem, jakie dostrzegł w oczach przyjaciółki.

— Tak, ale wtedy żyła Deidra...

— Czy to znaczy, że teraz już nie jesteśmy przyjaciółmi?

— Co będzie, jeśli dowiedzą się, kim jestem? Chłopcy są już prawie dorośli. Rory to przebiegły lis, nie chcę, aby przeze mnie były jakieś kłopoty.

— Skąd mogą się dowiedzieć?! Jesteś przyjaciółką Jima i moją. Poza tym przyjaźniłaś się z jego matką. To będzie przede wszystkim przyjęcie dla Rory'ego i jego kolegów. Będą bawić się w ogrodzie, a my będziemy mieli czas dla siebie. Bardzo chcę, abyś przyszła, Billy.

W końcu ustąpiła naleganiom Toma.

— Niezła chata, stary — oświadczył z podziwem krótkonogi blondyn w wielkich rogowych okularach na nosie.

— Mój ojciec twierdzi, że wasza fortuna śmierdzi trupami. Uważa, że to nie po chrześcijańsku robić pieniądze na wojnie — odezwał się wysoki szczupły chłopak o długich prostych włosach i przerażająco obfitym łupieżu na ramionach. Rory wzruszył ramionami. Z

ogrodu dochodziła muzyka jazzowego bandu, który ojciec wynajął specjalnie na to przyjęcie.

— Daj łyka — blondyn w okularach zwrócił się do Whitneya, wysokiego chłopca z łupieżem.

— Uważaj, nieźle pali...

Nagle chłopcy usłyszeli, że ktoś nadchodzi. W popłochu ukryli butelkę za tapczanem i w napięciu patrzyli na otwarte drzwi prowadzące do holu. Jim, Tom i Billy właśnie przechodzili tamtędy. Spostreegli chłopców stojących w bibliotece.

— Przedstaw nam swoich kolegów, Rory — odezwał się Tom. Był w bardzo dobrym humorze. To, że mimo oporów Billy zdecydowała się przyjść na przyjęcie, bardzo go ucieszyło.

Rory, jak zawsze sztywny i nienaturalny, przedstawił swoich kolegów.

— To fantastyczne przyjęcie, panie Dalton — wydukał blondyn w okularach, drapiąc się w kark.

— Tak, proszę pana, bardzo dziękujemy za zaproszenie — odparł drugi chłopiec, Whitney.

— Cieszę się, że dobrze się bawicie.

Tom w ogóle nie poczuł, że chłopcy pili alkohol. Ich dziwne, nienaturalne zachowanie również nie zwróciło jego uwagi. Nawet przez sekundę nie zastanowił się, dlaczego koledzy Rory'ego tak natarczywie przyglądają się Billy. Byli już poza pokojem, gdy usłyszeli szept jednego z chłopców.

— Kim jest ta blondyna, Rory?

— To dziwka mojego dziadka — padła głośna odpowiedź.

Tom szybko odwrócił się i wbiegł do pokoju. Zanim Rory zdążył się zorientować, co się dzieje, poczuł silne uderzenie w twarz. Zachwiał się i upadł na ziemię, przewracając krzesło. Nad sobą widział wykrzywioną wściekłością twarz ojca. Próbował wytrzeć rękawem krwawiącą wargę i wstać na nogi, ale znów stracił równowagę i ponownie przewrócił się na ziemię. Tom bez słowa wyszedł z pokoju. Billy błada stała w holu, w oczach miała łzy. Jim szalał.

— Zdaje się, że nie rozumiesz, co to szacunek wobec starszych, szczeniaku! — grzmiał na cały dom. — Śmiesz w mojej obecności obrażać najbliższą mi osobę! Nie pozostaje mi nic innego, jak potraktować cię w podobny sposób. Możesz być pewny, że nie dostaniesz ani grosza po mojej śmierci... ani grosza!

Rory wreszcie zdołał otrząsnąć się z zamroczenia. Wstał i patrzył dookoła, jakby nie mógł jeszcze pojąć, co się właściwie wydarzyło.

— Zapamiętaj sobie — Jim oświadczył z naciskiem. — Wszystko, co zamierzałem ci przekazać po mojej śmierci, odziedziczy ta właśnie kobieta, którą odważyłeś się potraktować jak ostatni łajdak. Myślę, że ta nauczka da ci do myślenia. Może zrozumiesz, że nie opłaca się być tak aroganckim i źle wychowanym, jak ty. Moja matka zawsze powtarzała: ugryź się w język, zanim palniesz głupstwo. Ta rada przyda ci się w przyszłości, kiedy będziesz musiał harować ciężko na swoje utrzymanie!

Po tych słowach Jim opuścił pokój. Podszedł do Billy, podał jej ramię, po czym razem skierowali się do wyjścia.

25 kwietnia 1915

Drogi Tomie,

Nawet nie wiesz, jak bardzo się zmieniłam od wyjścia ze szpitala. Thed jest dla mnie bardzo miły. Zaczynam naprawdę wierzyć, że pomimo tych wszystkich okropności, jakie nas w ostatnich latach spotkały, możemy rozpocząć nowe wspólne życie.

Po tylu latach udręki i ciągłych wyrzutów sumienia po raz pierwszy mogę spojrzeć mężowi i dzieciom prosto w twarz. To ogromna ulga, kiedy człowiek wyzwala się od strachu i poczucia winy.

Biedny Thed, czasami wydaje mi się, że wyrządziłam mu straszliwą krzywdę, wychodząc za niego za mąż. Choć może tak naprawdę to żadne z nas nie zdawało sobie wówczas sprawy, jak wielki ciężar bierze na swoje barki?

To jednak należy już do przeszłości. Chcę, abyś wiedział, że jestem szczęśliwa. Zawsze będę ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, kochany synu. Dalesz mi tak wiele, chociaż ze wszystkich moich dzieci tobie jednemu zabrakło mojej miłości. Żadne słowa nie wyrażą tego, co do ciebie teraz czuję.

Postanowiłam przesłać ci kopię testamentu, który napisał twój ojciec. Nie jest to wprawdzie żaden dokument, który mógłby nam dawać jakiejkolwiek podstawy do roszczeń, ale pomyślałam, że będziesz chciał go mieć jako pamiątkę.

A teraz, drogi synu, rozpoczynam nowe życie! Postanowiliśmy z Thadeu — sem wyruszyć w podróż. Popłyniemy statkiem do Irlandii, a potem do Anglii. Doktor twierdzi, że taka podróż dobrze nam obojgu zrobi. Wyobraź sobie, że Thed, ten niepoprawny pracuś, który — wydawałoby się — nie potrafi wytrzymać nawet jednego dnia bez swoich sklepów, natychmiast przystał na tę propozycję. Oboje cieszymy się bardzo na cały miesiąc wakacji. Życz mi szczęścia, synu. Zawsze bałam się długich podróży, widocznie w głębi duszy wciąż pozostałam wiejską dziewczyną. Mam jednak nadzieję, że ten rejs będzie początkiem wielkich

zmian w moim życiu. Z Boską pomocą za miesiąc zobaczymy się znowu, a wówczas opowiem ci o moich przeżyciach w Irlandii.

Twoja kochająca cię matka.

Mary siedziała przy stole w wielkim salonie pasażerskiego statku. Czuła się wspaniale. Na pokładzie liniowca panowała wspaniała atmosfera. Zawierano nowe znajomości, urządzano przyjęcia i cocktaile. Jedynie niepokojące wieści o wojnie w Europie mąciły spokój pasażerów. Apartament pierwszej klasy, który zamieszkiwali Martinowie, był zaskakująco duży. Ściany miały boazerię z mahoniem, żyrandole były z kryształu, a meble wyściełane pluszem. Apartament składał się z saloniku, jadalni i sypialni oraz dwóch łazienek. Panował w nim jeszcze większy przepych niż w Plaża Hotel, w którym Martinowie zatrzymali się na kilka dni przed wyruszeniem w rejs.

Ogromny salon, w którym właśnie siedziała Mary, przypominał salę tronową jakiegoś arabskiego emira. Na suficie znajdował się olbrzymi złocony plafon, a pośrodku wśród fantastycznych, egzotycznych roślin szumiała urocza fontanna. Do salonu schodziło się z górnego pokładu po szerokich schodach pokrytych dywanem. Na ścianach wisiały olbrzymie lustra w złotych misternych ramach. Prawdziwą atrakcją parowca było jednak światło elektryczne uważane wówczas jeszcze za przejaw największego luksusu.

— Jesteś tutaj najpiękniejszą kobietą — Thadeus pochylił się nad Mary, ujął jej dłoń i pocałował. Właśnie odszedł od innego stolika, gdzie przez dobrą godzinę wymieniał poglądy ze swoimi nowymi przyjaciółmi. Mary spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— To piękny komplement, Thed, zwłaszcza że w tym salonie siedzi cała armia uroczych pań.

— Nie ma tutaj kobiety, która mogłaby się z tobą równać.

Thadeus powiedział to z taką powagą, iż Mary nie miała najmniejszych wątpliwości, że jego wyznanie jest całkiem szczere.

— I ani jednego mężczyzny, który mógłby równać się z tobą, mój kochany — odparła.

Nie był to bynajmniej komplement z jej strony. Po tych wszystkich latach, które przeżyli wspólnie, Mary naprawdę tak właśnie myślała.

Thadeus spostrzegł pełne oddania spojrzenie żony. Był z nią teraz tak bardzo szczęśliwy. Wydawało się, że te ostatnie miesiące ich wspólnego życia były dla niego hojną rekompensatą za wszystkie nieszczęścia i tragedie losu. Dziękował Bogu za miłość, jaką darzyła go Mary. Był pewien, że jest w stanie dać jej co najmniej tyle szczęścia, co ów tajemniczy mężczyzna z przeszłości. Ta świadomość dodawała mu siły i pewności siebie.

— Może wrócimy do siebie, kochanie? — spytał łagodnym, pełnym ciepła głosem. Domyśliła się, że Thadeus pragnął się z nią kochać. Po tragedii, którą przeżyła i po pobycie w sanatorium zaszła w niej olbrzymia zmiana. Miłość z mężem, która wcześniej napawała ją tak olbrzymim wstrętem, teraz stała się znowu źródłem radości i szalonych uniesień — zupełnie jak w młodości, kiedy żyła razem z Michele. Czy to możliwe, myślała często, że cała ta niechęć, jaką czuła do miłości fizycznej wpływała jedynie z głębokiego poczucia winy wobec męża? A może to właśnie owo kurczowe trzymanie się wspomnień, prześladowające ją stale obrazy z przeszłości, kiedy jedynym szczęściem i jedyną miłością był dla niej Michel Hartington, spowodowały, iż tak długo nie potrafiła zaakceptować nowego życia? Teraz wszystko się odmieniło.

Mary uśmiechnęła się promiennie do męża. Kiedy wstawała od stołu, jej piękna biała suknia z jedwabiu zaszeleściła zmysłowo, mieniając się wszelkimi odcieniami w blasku kryształowych kandelabrow. Kiedy skierowali się razem w stronę wyjścia, dwóch młodych mężczyzn siedzących przy sąsiednim stoliku spojrzęło na siebie znacząco.

— Nieźle się trzyma — odezwał się przystojny blondyn o błękitnych oczach. Był dobrze zbudowany i elegancko ubrany. Wszystkie kobiety na statku oglądały się za nim z zainteresowaniem.

— Masz rację — przyznał jego towarzysz. — Czy wiesz, że jej mąż ma sieć doskonale prosperujących sklepów w Bostonie?

— Co ty powiesz! W takim razie muszę się koło niej zakręcić. Takie bogate mężatki mają szczególnie łaskawe serduszko dla przystojnych młodych facetów.

Roześmieli się obaj.

Silne uderzenie, które nagle wstrząsnęło całym statkiem, wyrwało Mary i Theda z drzemki. Rozległa się ogłuszająca, przeciągła syrena alarmowa, która postawiła na nogi wszystkich pasażerów. Słyszeć było nerwową bieganinę po pokładzie i krzyki przerażonych ludzi.

Mary zerwała się z łóżka. Thadeus szybko naciągnął spodnie i założył płaszcz. Spojrzęł na zegarek. Była ósma wieczór.

— Zaczekaj tutaj, Mary. — Thadeus spojrzęł na żonę i dostrzegł w jej oczach paniczny strach. — Pójdę zobaczyć, co się stało. Bez względu na to, co będzie, wrócę po ciebie. Załóż wszystkie ciepłe rzeczy, jakie masz.

— Zaczekaj! — głos Mary drżał z przejęcia. — Wiesz dobrze, że to będzie jak z Titanikiem. Oni nie mogą uratować nas wszystkich. Dlatego zostaniemy razem.

— Kochanie, nie opowiadaj głupstw. Na pewno starczy miejsca dla wszystkich, nie przejmuj się.

Mary wybiegła z łóżka. Objęła mocno męża i wyszeptwała:

— Nie, Thadeus, nie. Teraz, kiedy po tylu latach odnalazłam cię, nie możemy się rozdzielać. Będą ratować przede wszystkim kobiety i dzieci. Nie chcę żyć bez ciebie.

Statek zaczął przechylać się na bok. Thadeus przytrzymał żonę, aby nie upadła na ziemię. Był poruszony jej desperacją. Sam nie miał żadnej wątpliwości, że nie ma dla nich ratunku. To, w jaki sposób Mary przyjęła świadomość zbliżającego się końca, wzruszyło go do głębi.

— Zdejmij płaszcz, kochanie. Cokolwiek się stanie, pozostaniemy razem — powiedziała Mary i przytuliła się mocniej do męża.

Western Union

Pan Thomas Dalton

„M and D” — Materiały Budowlane i Transport Wodny

15 John Street

Nowy Jork, Nowy Jork

Matka i ojciec na pokładzie Luizjany. Stop. Statek storpedowany przez niemiecką łódź podwodną. Stop. Wszyscy pasażerowie zginęli. Stop. Potrzebna interwencja rządu celem sprowadzenia zwłok do kraju. Stop. Proszę o natychmiastową pomoc. Stop.

Robert Martin

Tom siedział bez ruchu na kanapie w bibliotece Jima Mulvaneya. Był blady jak ściana. Patrząc na niego, można było odnieść wrażenie, że myślami jest gdzieś bardzo daleko, pograżony we wspomnieniach z odległego dzieciństwa. Billy siedziała obok niego na podłodze. Straszliwa wiadomość wstrząsnęła nią równie mocno jak Tomem. Gazety pełne były informacji na temat zatopienia amerykańskiego statku pasażerskiego „Luizjana” u wybrzeży Irlandii. Nikt nie miał wątpliwości, że teraz Ameryka ze zdwojoną energią zaangażuje się w działania wojenne po stronie Ententy.

— Czy na pewno nie ma żadnej nadziei, że przeżyli?

— Statek poszedł na dno w ciągu dziesięciu minut. O tej porze roku woda przy brzegach Irlandii jest lodowata. Nawet jeśli udało im się wyskoczyć przez burtę, to i tak nie mieli żadnych szans. Mówią, że załoga nie zdążyła nawet spuścić na wodę łodzi ratunkowych.

Billy podniosła się i zarzuciła Tomowi ramiona na szyję. Przytuliła się mocno do niego, choć on nawet nie drgnął. Był obojętny i zimny.

— Wyrzuć z siebie ten cały ból, Tom. Jeśli będziesz to tłamsił w głębi duszy, twoje serce nie wytrzyma podobnej tortury. Wyrzuć z siebie wszystko, co cię trapi. Przecież wiem, jak bardzo ją kochałeś!

— Nie o to chodzi — odepchnął od siebie dziewczynę. Jego twarz była pełna gniewu i irytacji. — To po prostu jest niesprawiedliwe, diabelnie niesprawiedliwe! Ona tak bardzo wierzyła w swoje szczęście. Kiedy wyszła z tej okropnej depresji po śmierci Seana, była innym człowiekiem. Tak bardzo wierzyła, że teraz wszystko ułoży się szczęśliwie. Czy ty to rozumiesz?! Kiedy rozmawiałem z nią ostatni raz przez telefon, w jej głosie czuło się szczęście. Zrozumiałem, że wreszcie odnalazła samą siebie... po tylu latach udręki! Nagle pojąłem, że całe jej dotychczasowe życie było jakąś farsą, straszliwym żartem Boga, że od początku do końca nic się w nim nie zgadzało. Ona była jakby rozdarta pomiędzy swoją przeszłością a życiem w teraźniejszości. Chylę głowę, Billy, przed mądrością Boga. On dzieli wszystko po równo. Najpierw daje, a potem odbiera. Tak było też z Mary. Kiedy po tylu strasznych przeżyciach uwierzyła, że los w końcu uśmiechnął się do niej, On znów musiał udowodnić, że to nie my, ludzie, rozdajemy karty.

Tom roześmiał się z goryczą.

— Napisała mi przed wyjazdem, iż wierzy, że ten rejs będzie wielką odmianą w jej życiu. Doprawdy! Nie można odmówić Bogu poczucia humoru.

— Posłuchaj mnie, Tom. — Billy usiadła obok niego na sofie. Jej głos był bardzo poważny. — Możesz drwić z Boga i możesz czuć się oszukany. To prawda, życie Mary było ciężkie. Być może od dnia, w którym przyszła na świat wisiało nad nią jakieś przekleństwo. Może w istocie jest tak, że my na ziemi nie mamy najmniejszego wpływu na wyroki opatrności. Jesteśmy dumni, jesteśmy nieprzejednani w najdrobniejszych sprawach, jesteśmy zacięci wobec siebie, ale wobec śmierci wciąż pozostajemy bezradni. Pamiętaj jednak, że od kiedy Mary opuściła szpital, jej życie przybrało całkiem inny kształt. Była szczęśliwa, chociaż te kilka chwil. Nie zapominaj także, że kiedy odchodziła z tego świata, miała przy sobie człowieka, którego kochała ponad wszystko. Każdy człowiek pragnąłby takiej właśnie śmierci.

Spostrzegła, że Tom ukrył twarz w dłoniach. Płakał. W pierwszej chwili nie mogła w to uwierzyć. To, że ten silny, odważny mężczyzna mógł ulec podobnej słabości, było wprost niewyobrażalne. A jednak. Żal, gorycz, rozczarowanie, które przez tyle lat wypełniały jego serce, przerwały wreszcie tamy. Był teraz słaby, zagubiony i bezbronny — całkiem jak małe dziecko. Billy objęła go mocno i wyszeptwała:

— Już dobrze, Tom. Powinieneś wypłakać cały swój ból. Nie wstydz się... Mój Boże, myślała, każdy mężczyzna jest w pewnym sensie małym, zagubionym dzieckiem, które w każdej kobiecie chce widzieć swoją matkę, nawet jeśli jest zwykłą dziwką.

Odgłos szybkich kroków wyrwał Toma z głębokiego zamyślenia. Poczł nagle mocne szarpnięcie i z zaskoczeniem stwierdził, że ktoś zerwał mu z łańcuszka kieszonkowy zegarek. To była pamiątka, otrzymał go od Jima wraz z pierwszą wypłatą. „Niech ludzie wiedzą, że mój wspólnik jest zamożnym facetem” — powiedział wówczas Mulvaney.

Tom przyjechał właśnie do Bostonu, aby spotkać się z Marshallami. Wspomnienie swojej pierwszej wyprawy do tego miasta zawsze napawało go wielką dumą. Udało mu się wówczas wyjść z nie lada opresji i to w sposób, który zadowolił wszystkie strony. Decyzja, którą wtedy podjął, po latach okazała się ze wszech miar słuszną. Mała niegdyś i podupadła firma przewozowa teraz, zwłaszcza w okresie wojny, rozrosła się w wielkie, przynoszące ogromne dochody przedsiębiorstwo transportowe.

Złodziej był szybki niczym kozica. Rozpychając przechodniów, biegł co tchu w dół ulicy.

— Stój! — krzyknął Tom i puścił się w pościg. Chłopak biegł bardzo szybko, ale jego nogi nie dorównywały długim i silnym nogom Toma. Już po dziesięciu minutach morderczego biegu ulicami Bostonu Dalton był tak blisko uciekającego złodzieja, iż zdecydował się na ostateczny skok. Podciął biegnącego i całym ciężarem swego ciała zwałił go na ziemię. Szybko wykręcił mu ręce do tyłu i wykrzyknął:

— Oddaj mój zegarek, szczeniaku!

Przerażony chłopiec wyciągnął z kieszeni złoty zegarek z zerwanym łańcuszkiem i błagalnym głosem zwrócił się do Toma:

— Wybacz mi, panie. Od kilku dni nie miałem nic w ustach do jedzenia. Głód popchnął mnie do tego desperackiego czynu!

Bezczelność chłopca była tak wielka, że Tom zaczął się śmiać. Chciał go wypuścić, ale gdy tylko poluzował swój uścisk, chłopiec natychmiast zerwał się do ucieczki. Tom więc znów przycisnął go do ziemi.

— Jak się nazywasz? Masz jakąś rodzinę?

— Sam jestem dla siebie rodziną, a nazywam się Jack Cavanaugh. — Chłopiec spojrział błagalnie na Daltona. — Poza tym... proszę, niech pan zejdzie ze mnie, bo złamie mi pan nogę.

Tom podniósł chłopca z ziemi. Ten otrzepał się dokładnie, po czym wyciągnął rękę do Toma i powiedział:

— Pozwoli pan, że się pożegnam. Jestem cholernie głodny i muszę szybko znaleźć jakiegoś innego dżentelmena ze złotym zegarkiem, ale o krótszych niż pan nogach.

— Czy masz jakiś dom, chłopcze? — Tom popatrzył na niego. Chłopak był wychudzony i blady. Wyglądał jednak na inteligentnego i bystrego.

— Od kiedy tylko sięgam pamięcią, żadnego, sir — odparł chłopiec. — W moim wieku trudno jest zdobyć jakąś pracę, dlatego radzę sobie jak mogę.

— A ile masz lat?

— Trzydzieści, prawie.

— Nie będę ci prawił kazań, chłopcze, na temat złodziejstwa. Podobasz mi się. Dam ci trochę pieniędzy, abys mógł kupić sobie coś do jedzenia. — Tom wyciągnął z portmonetki kilka monet. — A tu masz moją wizytówkę. Jeśli kiedyś znajdziesz się w Nowym Jorku, wpadnij do mnie. Zobaczmy, może będę mógł załatwić ci jakąś pracę.

Chłopiec zmarszczył brwi, na jego twarzy pojawił się wyraz dumy.

— Jack Cavanaugh nie przyjmuje jałmużny, sir — odparł z naciskiem, odpychając dłoń z pieniędzmi. — Może opuściło mnie ostatnio szczęście, ale w dalszym ciągu pozostałem dumny.

Tom wcisnął chłopcu do ręki pieniądze i wizytówkę. Był poruszony jego dumą, musiała być rzeczywiście silna, skoro zdolna była przewyciężyć głód.

— To nie jest jałmużna, Cavanaugh. Kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku, spłacisz mi ten dług.

W oczach chłopca zamigotał blask radości.

— Niech Bóg to panu wynagrodzi — wyszeptał.

Potem wsadził pieniądze do kieszeni i odszedł. Tom jeszcze długo patrzył za nim. Przypomniawszy sobie bowiem innego chłopca, równie doświadczonego przez los, który przed wielu laty opuszczał ze swoją matką Drumgillan.

— Co tam słyhać na wysuniętym przyczółku potężnego imperium Mulvaneya? — spytał Tom półżartem, kiedy witał się z Abigal i Henrym.

— Jak dobrze wiesz, skrapiamy śmierdzące łajno francuskimi perfumami — odparła Abigal, energicznie potrząsając ręką Toma. — Człowiek czuje się ohydnie, kiedy ma świadomość, że żyje z nieszczęścia innych. Ta wojna to pieprzony interes.

Henry spojrzał karzącym wzrokiem na siostrę, po czym próbując ratować atmosferę, zadał całkiem bezsensowne pytanie:

— Jaka pogoda w Nowym Jorku?

— Jeśli Abigal zechce poczęstować mnie swoją słynną w całych Stanach nalewką z jagód, chętnie wam o wszystkim opowiem.

Usiedli w trójkę w wygodnych fotelach w skromnie urządzonej, lecz wypełnionej po sufit książkami bibliotece Marshallów. Abigal z wrodzoną sobie aptekarską dokładnością wydzieliła każdemu po kieliszku wspaniałej jagodowej nalewki.

— Jak zapewne dobrze wiecie — odezwał się Tom — rząd Stanów Zjednoczonych przeznaczył czternaście milionów dolarów na transport morski, co wiąże się z przystąpieniem do wojny...

— Sądzę, że dzięki politycznym hokus-pokus twojego Mulvaneya nie miała część tej astronomicznej sumy przypadła naszemu skromnemu przedsiębiorstwu przewozowemu — dodała z kąśliwą ironią Abigal.

— Dzięki naszemu Mulvaneyowi, moja droga — sprostował Henry uprzejmym głosem.

— Och, naturalnie, Henry, jakże mogłam o tym zapomnieć.

Tom uśmiechnął się, słysząc tę wymianę zdań.

— Jak zresztą sami wiecie, większość statków zbudowanych na zamówienie rządowe nie była gotowa przed zakończeniem wojny.

— Tak, to prawda — odparł Henry z goryczą w głosie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że statki wybudowane w jego firmie niszczejają w suchym doku.

— Nie zdajecie sobie jednak sprawy z tego, że nasz Diamond Jim Mulvaney zdecydował się na — być może najśmielsze w swym życiu — posunięcie. Tom powiedział to tak tajemniczym głosem, iż zaintrygowana Abigal wykrzyknęła:

— Tom! Przestań się nad nami znęcać i powiedz od razu, o co chodzi.

Tom rozsiadł się wygodnie z fotelu, dolał sobie jeszcze trochę nalewki,

po czym przez dłuższą chwilę delektował się trunkiem, jak gdyby przeciąganie w nieskończoność stanu nie zaspokojonej ciekawości swych rozmówców sprawiało mu wielką przyjemność.

— Wyobraźcie sobie, jak wielki wybuchłby skandal, gdyby wyszło na jaw, że rząd Stanów Zjednoczonych lekką ręką wyrzucił czternaście milionów w błoto. Czy bylibyście zatem skłonni wierzyć, że wołał zrekompensować straty, sprzedając zniszczone statki po obniżonej cenie, dziesięć centów w stosunku do dolara.

Tom spojrział na Abigal i Henry'ego. Na twarzy obojga malowało się zdziwienie i niedowierzanie.

— Czy wiecie, kto zakupił od rządu te tanie statki? Jim Mulvaney.

Abigal spojrzała na brata. W jej oczach krył się zarówno podziw dla przebiegłości Mulvaneya, jak i niechęć dla prowadzonej przez niego nieuczciwej gry. Z jej punktu widzenia to, co robił Jim, było moralnie dwuznaczne.

— Doprawdy nie wiem, czy powinnam się cieszyć czy wstydzić. Co prawda, nasza firma przewozowa stała się największą w Bostonie, niemniej świadomość, że odbywa się to na koszt rządu, wzbudza we mnie wstręt.

— Jestem pewien, że w Waszyngtonie polecą głowy. Ktoś musi przecież zapłacić za to niedbalstwo. — Henry aż pokręcił głową.

— Wiercie mi, że na tym skandalu tyle samo osób skorzysta, co i straci. Oczywiście, tak samo jak i ty, Henry, ubolewam nad głupotą waszyngtońskich urzędników. Z drugiej jednak strony cieszę się, że to właśnie „M and D” należy do tych, którzy skorzystali.

— Obawiam się, że będziesz musiał wybaczyć nam nasze oburzenie, Tom — odparła Abigal. — My Jankesi szczególnie źle znosimy niekompetencję i marnotrawstwo. Myślę, że ta cała historia z zamówieniami rządowymi stanowi odstraszący przykład jednego i drugiego.

Tom nie potrafił ukryć swego rozczarowania.

— No cóż, jeśli mam być szczery, to spodziewałem się nieco więcej entuzjazmu z waszej strony. W grę wchodzi przecież miliony. Myślę, że wasz ojciec byłby dumny, gdyby wiedział, że jego skromna firma dojdzie do takich zysków.

— Nasz ojciec, który połowę swego życia spędził na Morzu Chińskim i był kimś w rodzaju pirata, na pewno by się ucieszył. Natomiast nasza pobożna mama prawdopodobnie przekręca się właśnie w grobie!

— Ależ moja droga! — powiedział Henry z wyrzutem. — Lepiej będzie, jeśli zostawisz mamusię i tatusia w spokoju.

Na te słowa Abigal i Tom wybuchnęli śmiechem.

— Henry już od dzieciństwa rozumiał wszystkie sprawy bardzo dosłownie, zbyt dosłownie — stwierdziła Abigal, a widząc zawstydzone spojrzenie brata dodała kąśliwie: — Zapewne już nie pamiętasz ciotki Cecylii. Biedaczka była co nieco przygłucha. Nasza mama, świec panie nad jej duszą, powtarzała zawsze, że ciocia powinna sobie przepłukać uszy. Henry wziął sobie tę radę tak głęboko do serca, iż kiedy ciocia spała po obiedzie, zakradł się do jej pokoju i chciał nalać jej do ucha nadmanganianu potasu. Dzięki Bogu, ciocia obudziła się w porę. Inaczej Henry mając pięć lat zostałby mordercą!

— Myślę, że to wcale nie interesuje pana Daltona.

Henry był rozzłoszczony nie na żarty! Tom przyglądał się obojgu z wielką życzliwością. Pomyślał nawet, że dzień, w którym pierwszy raz spotkał Marshallów, był dla niego dniem szczęśliwym. Zyskał bowiem dwoje wiernych przyjaciół.

BRAMA

Człowiek, którego ambicje były tak wielkie, iż można byłoby nimi obdzielić co najmniej kilku dzielnych ludzi, James Mulvaney, zwany również przez swych przyjaciół i wrogów Diamond Jim — odszedł z tego świata tak, jak i żył — w wielkim stylu.

...Ten krótki, ale pełen treści nekrolog w *New York Times* obwieścił śmierć Mulvaneya. Gazety przemilczały jednak dość skrętnie dokładne okoliczności jego zgonu. Jim uległ bowiem nagłemu udarowi serca podczas wydanego przez siebie przyjęcia dla dwunastu najbardziej wpływowych i zamożnych obywateli miasta. Odbyło się ono w domu publicznym, który posiadał na spółkę z Billy Henderson, najsłynniejszą w całym Nowym Jorku burdelmama. Już dawno jednak przestano ją tak nazywać. Była kimś w rodzaju damy i nikomu nie przeszkadzało, iż prowadziła ekskluzywny dom schadzek na Wschodniej Siedemdziesiątej Drugiej ulicy. Przyjmowała u siebie tylko najlepsze towarzystwo: polityków, adwokatów, sędziów, biznesmenów, producentów filmowych. A kiedy otrzymała w spadku po Jimie pokazną fortunę, jej sława w mieście sięgnęła szczytów. Była bogatą, wciąż jeszcze piękną i pociągającą kobietą w wieku czterdziestu trzech lat.

Na uroczystości pogrzebowe ściągnęły tłumy ludzi z całego miasta. Prezydent wysłał specjalną delegację z Waszyngtonu. Billy była przekonana, że Jim czułby się bardzo szczęśliwy i dumny, gdyby wiedział, że jak wielką pompą żegna go cały Nowy Jork. Tylko Rory odmówił udziału w pogrzebie. Kiedy dowiedział się, że dziadek spełnił swoją groźbę i przynależną starszemu wnukowi schedę przekazał kochance, wpadł we wściekłość. Spodziewał się, że jego decyzja wywoła sprzeciw Toma. Był nawet gotowy stoczyć z ojcem bitwę i wytrwać w swoim postanowieniu. Dlatego zdziwił się bardzo, kiedy Tom przyjął wiadomość, iż Rory nie weźmie udziału w pogrzebie, z całkowitą obojętnością.

— Myślę, że on nie czułby się z tego powodu specjalnie nieszczęśliwy — powiedział i nie spojrzawszy nawet na syna, zagłębił się w lekturze dokumentów, które przekazał mu tuż przed śmiercią Mulvaneya.

„Życie nigdy nie jest takie, jak byśmy tego chcieli” — powiedział do Toma Jim na łożu śmierci. Tom przyznał mu w duchu rację.

— Będzie ci go brakować? — spytał Tom Billy, kiedy po ciężkim i długim dniu, pożegnawszy się wreszcie ze wszystkimi, którzy czuli się w obowiązku osobiście złożyć im wyrazy współczucia, usiedli razem w cichym, przytulnym saloniku. Tom zadając to pytanie przyjaciółce, wiedział dobrze, że sam będzie tęsknił za tym wyjątkowym, niepowtarzalnym człowiekiem, który odmienił całe jego życie, nadał mu sens i wyznaczył cel.

— Tak, będzie mi go bardzo brakowało, Tom — odparła Billy ze smutkiem. — Nie jako kochanka, Bóg świadkiem, że w ostatnich latach te rzeczy nie były jego najsilniejszą

stroną. Był natomiast niezastąpionym przyjacielem, współnikiem i kompanem, już nigdy nikogo takiego nie spotkam.

— To piękne słowa, Billy — powiedział Tom z powagą. — Myślę, że Jim bardzo by się cieszył, gdyby mógł je teraz usłyszeć. Są bardzo szczere, nie to, co te pełne patosu wzmianki w *Timesie*.

Dalton spojrział na siedzącą obok piękną kobietę. Czarna satynowa suknia podkreślała doskonale kształty jej ciała, które pozostawało wciąż młode i pełne rozkosznych powabów, jakby zupełnie nie podlegało upływowi czasu.

— Billy, jesteś urodzoną kurtyzaną — powiedział. — Traktuj to jako wyraz podziwu z mojej strony. Każdy mężczyzna czuje się przy tobie dowartościowany. Jesteś dla nas niby magnes.

Billy odstawiła filiżankę z herbatą i spojrzała na Toma z powagą. Zbyt długo miała do czynienia z mężczyznami, by jej uwagi mógł ujść ten pełen napięcia i wewnętrznego drżenia ton, który był sygnałem dla każdej spragnionej uczuć kobiety. Czy to możliwe, by przez te wszystkie lata unikał jej z powodu honoru i poczucia godności? Od śmierci Deidry minęło już jedenaście lat, a on nie uczynił żadnego gestu, choćby najmniejszego, który pozwoliłby sądzić, że jej pragnie. Uśmiechnęła się.

— Nigdy cię nie zapomniałem — powiedział Tom z całkowitą powagą.

— A co z Deidrą? Czy ją zapomniałeś? — w tym pytaniu nie krył się żaden zarzut. Było to raczej stwierdzenie wypowiedziane tak łagodnym tonem, iż Tom przez chwilę siedział zmieszany nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Od dnia, kiedy umarła, nie tknąłem żadnej kobiety — odparł po namyśle.

— Była w moim sercu i w moich myślach. Każdej nocy, gdy kładłem się do łóżka, ona była przy mnie w mej wyobraźni. Nie potrafię wyrazić, jak wielka była nasza miłość. Myślę, że słowa zniekształciłyby jej prawdziwy sens. Kiedy straciłem Deidrę, świat przestał dla mnie istnieć. Pewnej nocy, kiedy Jim zamieszkał ze mną, pamiętasz, rozmawialiśmy ze sobą bardzo szczerze. On powiedział mi wtedy: synu, nie możesz tak dalej żyć. Rozumiem, że śmierć Deidry załamała cię, ale nie możesz przecież robić z siebie jakiegoś mnicha czy pustelnika. Myślę, że Deidra wcale by tego nie pochwałała. Bądź, do cholery, mężczyzną!

Tom dolał sobie whisky do szklanki, po czym wypił ją do dna.

— Bardzo długo zastanawiałem się nad jego słowami. Pewnego dnia wyszedłem do ogrodu. Stałem przed krzewem dzikich róż i klombem peonii, które Deidra tak bardzo lubiła, i zacząłem rozmawiać z nią zupełnie tak, jakby stała tuż obok, żywa i cała. Powiedziałem jej, jak bardzo mi jej brak i jak bardzo ją kocham... i powiedziałem jej wszystko to, co chciałem, by usłyszała za życia. A potem poprosiłem ją o wybaczenie, tłumaczyłem, że muszę przecież jakoś żyć, że dopóki nie opuszczę tego świata, wciąż jestem wśród żywych...

Możesz się ze mnie śmiać, Billy, ale od tamtej rozmowy powoli zacząłem godzić się z myślą, że Deidry już nie ma. Od tego czasu pewne sprawy znów zaczęły odgrywać dla mnie rolę.

— Masz na myśli kobiety?

— Kilka. Przelotne znajomości, które zwykle kończyły się w łóżku. Nie tego, Billy, pragnąłbym od ciebie. Naturalnie wciąż pamiętam tę upojną noc, moją pierwszą noc w Nowym Jorku spędzoną z tobą. To było cudowne przeżycie...

Billy uśmiechnęła się. Jego słowa najwyraźniej schlebiały jej.

— A więc czego oczekujesz ode mnie?

— Potrzebuję nie tylko twojego ciała, ale przede wszystkim przyjaźni. Przeżyliśmy tyle lat razem, mieliśmy wspólnych przyjaciół, to wszystko tkwi w każdym z nas... Teraz... teraz nie mógłbym tego z tobą robić... nie teraz, kiedy dopiero co pożegnaliśmy na zawsze Jima. Niemniej, kiedy w przyszłości poprosisz mnie, bym ciebie odwiedził... będę wdzięczny.

Kobieta spojrzała na niego uważnie. Tom dostrzegł w jej spojrzeniu jakiś niezrozumiały dla niego wyrzut. Wiedział, że od lat wciąż go pragnęła, dlatego spodziewał się zgoła innej reakcji.

— Zawsze wiedziałam, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, Tomie Dalton — powiedziała. A potem jakby nagle zmieniła zamiar i dodała: — Wypijmy za pamięć naszego drogiego Jima, niech Bóg, jeśli jest, ma go w swojej opiece.

Seamus Dalton siedział na łóżku w swoim pokoju w internacie szkoły w Groton. Patrzył przed siebie zamyślony i zły. Boże, jak on nienawidził być Irlandczykiem! Już sam fakt, że miał rude włosy i piegowatą twarz, przysporzył mu masy kłopotów, a do tego jeszcze to okropne imię... Był zaledwie od tygodnia w nowej szkole, a już zdążył się trzy razy pobić z powodu dowcipów, które robili sobie koledzy z powodu jego pochodzenia. Na dodatek wczoraj ktoś przykleił do drzwi jego pokoju ogłoszenie z gazety. Dotyczyło pewnego sklepu, który poszukiwał sezonowych pracowników do pomocy. Na ogłoszeniu dopisano czerwonym pisakiem: „Irlandczyków nie zatrudniamy”.

Na szczęście był już wystarczająco dorosły, by się bronić. Kolegów ze szkoły przewyższał co najmniej o głowę. Był silniejszy i bardziej sprawny fizycznie niż inni. Dlatego nie obawiał się nikogo i pięściami wymuszał od rówieśników respekt i szacunek. Cóż z tego, kiedy na każdym kroku wypominano mu jego irlandzkie pochodzenie. Instynktownie wyczuwał, że za złośliwymi żartami kolegów kryło się coś więcej niż tylko chęć dokuczenia silniejszemu. Przede wszystkim musiał zmienić to głupie imię. Seamus — to przecież śmieszne. Wiedział, że nadano mu to imię, ponieważ nosił je pewien kolega ojca zmarły przed wielu laty. Ale dlaczego on teraz ma z tego powodu cierpieć? Postanowił, że będzie nazywał się Shay. Ten pomysł podsunął mu przez przypadek kolega z pokoju. Był to fanatyczny protestant, którego umiłowanie do perfekcyjnego porządku graniczyło z pedanterią. Kiedy Seamus przedstawił mu się, półgębkiem wymawiając znienawidzone imię, chłopiec rozpromienił się na twarzy i wykrzyknął:

— Cóż za zbieg okoliczności. Matka mojego ojca też nazywała się Shay. Czy to możliwe, byśmy byli spokrewnieni?

I tak już zostało. Przygłuchy kolega przekręcił jego imię z Seamusa na Shaya, a Dalton nie miał nic przeciwko temu. Uwolnił się wreszcie od uciążliwego imienia, które w ostatnich dniach stało się dla niego prawdziwą udręką i upokorzeniem. Postanowił ponadto, że będzie wzorowym protestantem, tak jak inni. Już on pokaże, że jest prawdziwym Amerykaninem, a nie jakimś przybłądą zza oceanu. Nauczy się mówić tak jak oni: „cześć stary”, „niezła laska” i „daj grabę”. A jeśli pomimo to ktoś będzie jeszcze wytykał mu jego pochodzenie, to on takim boleśnie udowodni, że Irlandczycy mają wyjątkowo twarde pięści.

Drogi ojcze!

Pięćdziesiąt dolarów, które przysyłasz mi każdego miesiąca, ulokowałem w bardzo dochodowym przedsięwzięciu. Jak się okazało, wielu moich kolegów ze studiów odczuwa dotkliwy brak gotówki pod koniec każdego miesiąca, w związku z czym gotowi są pożyczać pie-

niądze nawet na wysoki procent. Ponieważ prowadzę tutaj dość skromne życie, głównie zajmując się studiami, potrafiłem w ten sposób powiększyć sumę pieniędzy co najmniej czterokrotnie. Intensywnie czytam „The Wall Street Journal” oraz wszystkie inne publikacje dotyczące giełdy. Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł zainwestować swój kapitał w jakieś akcje. Czuję się w obowiązku zapewnić cię, że nie zaciągnę żadnych finansowych zobowiązań, które mogłyby w jakikolwiek sposób obciążyć cię, ojcze. Wierzę, że podczas mojego następnego pobytu w domu będziemy mogli przedyskutować wspólnie moje plany. Mam nadzieję, że potwierdzisz moje przewidywania co do dalszego rozwoju na rynku papierów wartościowych.

Z wyrazami szacunku, Twój syn, Rory.

Tom odłożył list na biurko. W jego sercu ścierały się sprzeczne uczucia. Dlaczego, myślał, pomimo że Rory był tak zdolny i tak wiele potrafił, to wszystko, co robił, nie cieszyło go. Przecież w gruncie rzeczy powinien być z niego dumny. Chłopak naprawdę ciężko pracował, miał doskonałe wyniki w nauce, profesorowie byli nim zachwyceni, a teraz jeszcze zainteresował się akcjami i giełdą! Dlaczego nigdy nie potrafili się porozumieć, jakby nie łączyły ich żadne więzy krwi? Przecież Rory był całkowitym przeciwieństwem Seamusa, który interesował się tylko sportem, a wszystkie pieniądze wydawał na eleganckie ubrania. Na dodatek, jak napisała mu w swoim ostatnim liście Maeve, ostatnio zmienił podobno swoje imię!

Tom usiadł przy biurku, po czym zapisał w swoim kalendarzu, by wysłać Rory'emu w następnym miesiącu dodatkową sumę pieniędzy. To pozwoli mu bardziej aktywnie włączyć się w grę giełdową, pomyślał.

73.

Tom spostrzegł ponad głowami zebranych gości smukłą postać Billy. Odwróciła się. Kiedy spostrzegła, że patrzy na nią, uśmiechnęła się i pomachała mu. Przyjaźń, która po latach znów odżyła pomiędzy tym dwojgiem bliskich sobie ludzi, zmieniła życie Toma. Billy miała wręcz cudowny wpływ na jego nastroje. Dzięki niej znów wszystko wydawało się prostsze, bardziej kolorowe, przepełnione radością i nowym sensem.

Nowy dom Billy tonął w kaskadach światła. Elektryczne żarówki oświetlające pokoje spokojnym, łagodnym żółtawym blaskiem doskonale współgrały z kryształowymi kandelabrami, w których osadzono świece. Kandelabry były prezentem od Toma, kazał je wymontować ze swojego prywatnego wagonu, którego od śmierci żony nie używał. Olbrzymie marmurowe schody, zaprojektowane przez Stanforda White'a, zataczały łagodny łuk we wnętrzu obszernej klatki schodowej, która z powodzeniem mogłaby służyć jako sala balowa dla co najmniej stu par. Cały ten wspaniały i pełen przepychu dom był prezentem, jaki Billy otrzymała od Toma. W dniu, w którym Dalton spisał umowę z poprzednim właścicielem, przyszli do nie urządzonego jeszcze i całkiem pustego domu i przeszło godzinę spacerowali pod rękę przez obszerne pokoje. Billy cieszyła się jak dziecko. Biegała w kółko, zaglądała do wszystkich zakamarków, przekrzykiwała swoje echo, które odbijało się od pustych ścian salonów i klatki schodowej. Tom przyglądał się, urzeczony jej pełnym prostoty szczęściem. Wprawdzie utrzymywał, że kupił dom jako dogodną lokatę kapitału, ale oboje wiedzieli dobrze, że chce się w ten sposób wywdzięczyc Billy za szczęście, którym go obdarzyła. Często zastanawiał się nad związkiem, który ich łączył. Nie dlatego, by wątpił w jego sens. Im bardziej jednak jawnie reprezentował jej interesy, wspierał finansowo, pokazywał się w jej towarzystwie, tym częściej Billy stawiała się przedmiotem plotek w bogatych sferach Nowego Jorku. Martwiło go to trochę. Poza tym nie miał powodów do zmartwień. Billy dała mu szczęście, którego nie spodziewał się już zaznać po śmierci swej ukochanej żony. To dziwne, jak Bóg potrafił wynagrodzić mu wszelkie straty i nieszczęścia. W najmniej oczekiwanych momentach, gdy zwątpienie i rozpacz sięgały zenitu, los nagle odwracał w jego stronę swą uśmiechniętą twarz i jednym gestem przemieniał smutek w radość.

Billy wciąż wyglądała pięknie. Niewiele zmieniła się przez te dwadzieścia lat, które upłynęły od dnia ich pierwszego spotkania w dzielnicy portowej Nowego Jorku. Jej włosy były nadal złocistego koloru, a ciało przyciągało ukradkowe spojrzenia spragnionych miłości mężczyzn.

Były czasami chwile, jak te podczas przyjęcia z okazji otwarcia nowego domu, kiedy wspomnienia przesłaniały ciężką kurtyną żalu poczucie szczęścia i radości. Tom starał się odgonić od siebie złe myśli. Podniósł do góry kieliszek szampana. Twoje zdrowie, drogi przyjacielu! pomyślał patrząc w stronę urzekającej kobiety, która otoczona gośćmi przypominała piękny diament, błyszczący w drogocennej oprawie.

— Jak idzie chłopcom w szkole, Tom? — spytała Billy, kiedy razem wracali samochodem z zakupów.

Bardzo lubili wolne dni, które mogli spędzać na chodzeniu po sklepach. Potem zmęczeni wsiadali do luksusowego, żółtego Stutz Bearcata i zagłębieni wygodnie w miękkich fotelach patrzyli przez szyby na spieszących ulicami przechodniów. Samochód prowadzony wprawna ręką szofera Philippe'a mknął przez miasto, łagodnie kołysząc się na resorach.

Tom spoważniał na wzmiankę o dzieciach.

— Wszystko w porządku — odparł oschle.

— Powinieneś poświęcać im więcej czasu. Pojedź do nich w następny weekend. Na pewno tęsknią za tobą.

— Jeśli mam być szczery, Billy, to nigdy nie potrafiłem znaleźć z nimi wspólnego języka. Rory jest zimny jak ryba i całkowicie pochłonięty swoim światem, który roi się od sfrustrowanych, snobistycznych gnojków z bogatych rodzin. Seamus to miły chłopiec, ale w życiu interesują go tylko trzy rzeczy: pierwsza to sport, druga to sport i trzecia też sport. Nie uważasz, że to trochę monotonne?

Billy spojrzała na Toma z troską. Oczywiście, mogła teraz po raz setny zrobić mu pouczający wykład o tym, jak wielką rolę w rozwoju dzieci odgrywa ojcowska miłość. Wiedziała jednak, że i tym razem jej perswazje nie odniosłyby żadnego skutku. Tom po prostu nie wiedział, jak powinien postępować ze swymi dziećmi. Dobrze pamiętała, jak Jim niejedną raz skarżył się, że jego zięć jest bardzo oziębły wobec swoich dzieci.

— A jak czuje się Maeve? — zmieniła temat Billy.

— Wydaje się być szczęśliwa. Jak wiesz, na jej prośbę umieściłem ją w przyklasztornej szkole Serca Jezusowego. Doskonale czuje się w towarzystwie zakonnic. — Tom uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Jeśli mam być całkiem szczery, to mnie to specjalnie nie cieszy. Katolicyzm to religia dla mięczaków. Nigdy nie umiałem zaakceptować jej obłudy. Dobrze ją poznałem podczas mojego pobytu w klasztorze przed wielu laty...

— Myślę, Tom, że nie powinieneś się tym aż tak bardzo zamartwiać. — Billy pogłaskała jego dłoń. — Po prostu musisz okazywać Maeve więcej czułości. Ona tego bardzo potrzebuje. Proponuję, żebyśmy teraz wrócili do miasta i wstąpili do jakiegoś sklepu z zabawkami. Pomogę ci wybrać odpowiedni prezent dla córki.

Tom uniósł brew i spojrzał uważnie na Billy.

— Od kiedy to tak doskonale orientujesz się w pragnieniach jedenastoletniej dziewczynki?

— Kiedy byłem w wieku Maeve, moje dzieciństwo nagle przemieniło się w prawdziwe piekło. Pamiętam te dni z taką wyrazistością, jakby miały miejsce wczoraj. — Billy wyjęła z

torebki chusteczkę i odwróciła twarz. — I ponieważ wspomnienia tamtych chwil są ciągle żywe, doskonale wiem, co dzieje się w duszy każdej jedenastoletniej dziewczynki...

Tom patrzył na nią zdziwiony. Kobiety były tak bardzo skomplikowanymi wewnętrznymi istotami. Wątpił, czy kiedykolwiek zdoła je całkiem zrozumieć.

Woda

Maeve Dalton wciąż pozostawała tą samą wiecznie zawstydzoną i pełną kompleksów dziewczynką. Prześlizgiwała się przez życie z ciągłym poczuciem winy. Przy każdej okazji przeproszała wszystkich za wszystko, tak jakby już sam fakt, iż pojawiła się na tym świecie, był z jej strony niewybaczalnym przejawem bezczelności. Była przy tym ogromnie wrażliwa. Każde wydarzenie przeżywała niezmiernie mocno i kosztem straszliwych lęków, obaw i wyrzutów sumienia.

Posłuszeństwo było cechą przypisaną do jej charakteru od samego dnia narodzin. Ponieważ nie miała matki, była całkowicie i bezgranicznie posłuszna swojej niani. Nigdy nawet na myśl nie przyszedłby jej pomysł jakiegokolwiek nieposłuszeństwa czy sprzeciwu. Ojca czciła jak bóstwo. Był dla niej najwyższym autorytetem. Nic bardziej nie mogło jej uszczęśliwić, jak kilka chwil spędzonych w jego towarzystwie. Z drugiej jednak strony — bała się go. Onieśmiał ją do tego stopnia, iż w jego obecności siedziała zwykle cichutko jak myszka.

Musiało upłynąć sporo czasu, nim Tom zaczął traktować Maeve jak swoją córkę. Przez wiele miesięcy jej obecność przypominała mu bardziej o potwornych okolicznościach śmierci Deidry niż o jego ojcowskich uczuciach i obowiązkach. Teraz, kiedy zaczął bardziej się nią interesować, z coraz większym rozdrażnieniem dochodził do wniosku, iż Maeve jest na zbyt egzaltowana i zupełnie nieprzystosowana do życia.

— Ona jest jak owieczka wśród wilków, Jim — powtarzał często w rozmowach ze swoim teściem.

— Powinieneś spędzać z nią więcej czasu — niezmiennie odpowiadał Mulva — ney. — Ona jest tobą zachwycona. Tylko ty jeden możesz sprawić, że stanie się choć trochę mniej nieśmiała. Jeśli tego nie zrobisz, będziesz miał córkę zakonnice!

— Nigdy nie spotkałem w życiu tak zakompleksionego dziecka, Jim. Chyba powinienem porozmawiać o tym z panią McKay. Może ona będzie wiedziała, co trzeba zrobić.

— Maeve nie potrzebuje dobrych rad guwernantki. Ona potrzebuje ciebie, Tom! Dobrze o tym wiesz. Brakuje jej rodzinnego ciepła. Powinniście bardziej zbliżyć się do siebie. Do cholery, Tom, przecież jesteś jej ojcem...

Tom zawsze przyznawał rację Jimowi, a jednak nie potrafił przełamać dystansu, który dzielił go od dzieci, również od małej Maeve. Był dla niej bardzo miły, obsypywał ją prezentami, nie był jednak w stanie okazać jej choć odrobiny ciepła, którego potrzebuje każde dziecko. Kiedy jej najlepsza koleżanka ze szkoły zdecydowała się wstąpić do zakonu, Maeve postanowiła bez wahania pójść jej śladem. Ta decyzja nie wynikała jednak ani z dziewczęcej

solidarności, ani z poczucia autentycznego powołania. To strach przed otaczającym ją nieprzyjaznym światem oraz brak jakiegokolwiek wyobrażenia o swojej przyszłości popchnęły ją do tego. Koleżanka ze szkoły, Cecilia, była chodzącą świętością. Maeve była daleka od takiego ideału. Nie czuła się nieszczęśliwa, wręcz przeciwnie. Dom, w którym mieszkała, był pełen służby, wszelkich luksusów i wygód. Wszystko to dawało jej poczucie bezpieczeństwa, szansę ucieczki przed niezrozumiałą brutalnością świata. A jednak źle się czuła w towarzystwie rówieśniczek. Inne dzieci z bogatych rodzin potrafiły korzystać ze swoich przywilejów. Otaczający je świat wydawał się im nieskończonym skarbcem, z którego mogą bez ograniczeń czerpać wszelkie dobra. Były chwile, gdy Maeve uciekała od nich w popłochu. Wówczas jej pokój z białymi firankami w oknach, wzorzystą różową tapetą i uroczymi niebieskimi mebelkami, stawał się jej jedynym schronieniem, w którym czuła się bezpiecznie. Tu mogła spokojnie oddawać się rozmyśleniom i marzeniom. Kiedy miała osiem lat, Tom pozwolił, by urządziła pokój według swojego życzenia. Maeve uczyniła z niego prawdziwe sanktuarium spokoju. Zabarykadowała się w nim i odizolowała od zewnętrznego świata. Często czytała książki, a świat w nich ukazywany niejednokrotnie mocniej trafiał do jej świadomości niż to, co każdego dnia widziała wokół siebie. Dzięki książkom mogła przenosić się w magiczny, baśniowy świat, w którym dzielni rycerze na białych rumakach toczyli ze sobą boje o jej rękę. Maeve nigdy nie potrafiła rozmawiać z chłopcami. Podczas gdy w swoich wyobrażeniach i fantazjach prowadziła długie, pełne dowcipów i dwuznacznych słów rozmowy ze starszymi od siebie chłopcami, w rzeczywistości, kiedy przychodziło co do czego, nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Była przekonana, że uważają ją za mało atrakcyjną i głupią, chociaż w głębi serca była pewna swej wyjątkowości.

Riordan Dalton ukończył szkołę z najwyższym wyróżnieniem, podczas gdy jego młodszy brat, Seamus, z wielkim trudem i po wielu perypetiach zdołał skończyć podstawową szkołę ze średnią oceną. Był pozbawiony wszelkich ambicji, jeśli chodziło o zdobywanie wiedzy. Seamus cały swój czas poświęcał sportowi. Ćwiczenia fizyczne, doskonalenie swojego ciała, nabieranie mięśni, to sprawiało mu wyraźną przyjemność. Chciał uchodzić za silnego i wysportowanego. Uważał to nawet za powód do dumy. Chociaż Tom niejednokrotnie skarżył się na brak wytrwałości i konsekwencji w postępowaniu swojego młodszego syna, to jednak zdecydowanie wolał go bardziej niż Rory'ego.

Tom zdawał sobie sprawę, że nie był dla swoich synów najlepszym ojcem i że popełnił wiele błędów w ich wychowaniu. Nie było to jednak przecież jego zamiarem. Po śmierci Deidry czuł się tak bardzo pusty i tak okaleczony, iż w żaden sposób nie potrafił wykrzesać z siebie choć odrobiny uczucia dla dzieci. Przez długi czas były dla niego jedynie powodem udreki i cierpienia, gdyż stanowiły część przeszłości, o której chciał zapomnieć. Przypominały mu Deidrę. Ich twarze, głosy, sposób zachowania, to wszystko zlewało się w jedno bolesne wspomnienie. Przez lata nie potrafił uporać się z tym, a nawet teraz, kiedy przeszłość pogrążyła się już w mroku zapomnienia, wciąż przecież nie był w stanie nawiązać z nimi właściwego kontaktu. Po prostu brakowało mu tej umiejętności nawiązywania bezpo-

średniej więzi z ludźmi, których kochał . Był zbyt spięty, zbyt pochłonięty własnymi myślami, by okazać własnym dzieciom choć trochę czułości.

Rodzinne problemy Toma zdawały się nie mieć żadnego wpływu na jego sukcesy w interesach. Prowadził firmę z wrodzonym sobie talentem i energią. „M and D”, która zajmowała się transportem wodnym, była jedynie wierzchołkiem ogromnego finansowego imperium. Tom stworzył — zgodnie z planami Jima — prawdziwe konsorcjum, które prowadziło najróżniejsze interesy w całym kraju. Wycofał się z aktywnego udziału w życiu politycznym Nowego Jorku. Partia Demokratów już od dłuższego czasu przestała cieszyć się popularnością. Zarzucano jej korupcję i nieuczciwe interesy. Poza tym Tom był teraz wystarczająco bogatym człowiekiem, by uniezależnić się od lokalnych politycznych powiązań. Nie znaczyło to jednak, iż przestał interesować się polityką. Po prostu jego działalność zyskała nową, wyższą jakość. Zwłaszcza podczas wojny nawiązał szereg nowych kontaktów z najwyższymi przedstawicielami państwa. Te znajomości dały mu pozycję, jakiej nie zapewniłby mu żaden lokalny polityk. Jeśli burmistrz chciał pozytywnie załatwić jakąś sprawę w Waszyngtonie, najpierw jechał do pana Daltona i pytał o radę, a dopiero potem zwracał się do senatorów i sekretarzy stanu. Czasami Tom zastanawiał się, skąd wzięły się u niego te wszystkie zdolności, które pozwalały mu tak bezbłędnie kierować interesami firmy. Naturalnie Jim był doskonałym nauczycielem, ale przecież talent to dar od Boga, coś, czego nie można się nauczyć. Wiedział, że wielu ludzi z trudem przyjmowało okrutną prawdę, iż tylko nieliczni zostali wybrani, pozostała większość musi pogodzić się ze swoją przeciętnością. Tak właśnie zbudowano ten świat. Nie rodzimy się jednakowi i nie umieramy tacy sami. Są ludzie zdolni i ludzie pracowici. I tylko zazdrość powoduje, że ci pierwsi zwalczani są przez drugich. Tom zawsze uważał, że w tej zawiści ukrywa się ludzka pycha, która nie pozwala im dostrzec prawdziwych intencji Boga. Stwórca daje i zabiera. Dalton stracił wszystko, co kochał, ale Stwórca w swej nieskończonej mądrości obdarował go talentem. Wszystko czego Tom dotknął, przynosiło sukces i pieniądze. To było jego zwycięstwo, które musiał jednak okupić krwią swoich najbliższych i brakiem miłości do własnych dzieci. Małoduszni ludzie nigdy nie potrafią zrozumieć rządzącego światem prawa równowagi. Zazdroszczą nam naszych sukcesów, jakby nie dostrzegali, że płacimy za nie łzami.

75.

Chciałbym zacząć pracować w naszej rodzinnej firmie, ojcze.

Riordan, jak zwykle elegancko ubrany, starannie dobierał słowa, jakby obawiał się, że najmniejsze stylistyczne potknięcie może obrócić w proch budowany przez niego z takim mozołem idealny perfekcjonizm. Stał przed biurkiem ojca w jego biurze. Umówił się z nim na rozmowę poprzez sekretarkę, tak jak każdy młody człowiek poszukujący pracy po zakończonych studiach prawniczych w Harvardzie.

— Przyniosłem ze sobą mój dyplom, a także dokładne sprawozdanie finansowe z mojej kilkuletniej działalności na giełdzie, o której wspominałem ci w listach. Wiem, że nie mam doświadczenia w pracy w poważnej firmie, ale wierzę, że jeśli tylko dasz mi szansę, będę w stanie nauczyć się, jak prowadzić interesy.

Tom spojrział na swojego starszego syna. Denerwowało go, że Rory zwraca się do niego tak oficjalnym tonem. Czy ten chłopak nie potrafi zachowywać się jak normalny człowiek?

— Kiedy podjąłeś tę decyzję? — zapytał.

Nigdy nie sądził, że Rory zechce u niego pracować. Spodziewał się raczej, że po pewnych przykrych wydarzeniach z przeszłości, będzie unikał go jak ognia. Świadomość, że syn chce z nim współpracować, niespodziewanie okazała się mało atrakcyjna. Właściwie powinien się cieszyć. Rory pragnął podtrzymać rodzinną tradycję. To nadawałoby sens całemu przedsięwzięciu. Najpierw Mulvaney, potem Dalton, a teraz jego starszy syn. A jednak Tom czuł, że najchętniej odmówiłby Rory'emu. Było coś, co odpychało go od tego chłopca.

— Zawsze pragnąłem pracować w naszej rodzinnej firmie, ojcze. Jest mi przykro, że o tym nie wiedziałeś.

Tom uniósł wysoko brew. Dosłyszał nutę goryczy w głosie syna. Doszedł jednak do wniosku, iż chłopak miał rzeczywiście powody, by czuć się rozgoryczonym. Tom niewiele wiedział o swoim synu i niewiele zrobił, aby to zmienić.

— Czym chciałbyś się zająć?

— Zdobyłem wykształcenie prawnicze i mam, jak sądzę, pewne zdolności, które mogą okazać się bardzo przydatne w biznesie. Chciałbym rozpocząć pracę od najniższego szczebla, tak jak każdy inny człowiek w moim wieku i z moimi kwalifikacjami. Nie oczekuję specjalnego traktowania, ojcze.

— Wiem, że jestem odludkiem... Między nami nie wszystko układało się naj lepiej, ale może, teraz, kiedy będziemy pracować razem, odnajdziemy wspólny język.

— Z całą pewnością — odparł Rory chłodnym i beznamiętnym tonem. Tom spojrzał na niego niepewnym wzrokiem.

— Stawisz się u mnie w poniedziałek rano. Wtedy powiem ci dokładnie, czym będziesz się zajmował.

— Tak, ojcze.

Tom westchnął z rezygnacją. Nigdy nie potrafił pogodzić się z tą wymuszoną i nienaturalną ogładą, z jaką zwracał się do niego jego starszy syn.

— To tylko taka maniera... — tłumaczyła Billy, kiedy wieczorem opowiedział jej o wizycie syna w biurze. — Obawiam się, że twój drugi syn jest znacznie bardziej zmanierowany, przy czym jego maniera zaprowadzi go w końcu do więzienia. Znowu policja zatrzymała go, kiedy prowadził samochód po pijanemu. Był w takim stanie, iż jechał lewą stroną ulicy, potem uparł się, że zaparkuje między latarnią a ciężarówką. Skasował samochód i latarnię, przy czym, nie martw się, samochód należał do jego kolegi, a latarnia była własnością miasta.

— Pamiętam, jak Jim mówił mi, iż będę kiedyś dumny, że moim synem jest Seamus Dalton. Można powiedzieć, że miał rację — stwierdził Tom z goryczą.

— Miał wtedy na myśli sportowe, a nie pijackie wyczyny Seamusa. — Billy roześmiała się. — Czy wiesz, jak ten chłopak wyplątał się z całej historii? Policjant na posterunku okazał się jakimś cholernym fanem baseballu i rozpoznał go. Był tak zachwycony, że zupełnie zapomniał o mandacie, a na koniec poprosił jeszcze o autograf.

— Wiesz co, Billy? — powiedział Tom z namysłem. — Czasami wydaje mi się, że Bóg sprawiedliwie rozdziela wszelkie wady i zalety. Jednemu daje rozum, drugiemu ujmujący sposób bycia.

— A co twoim zdaniem podarował Bóg Maeve?

— Obawiam się, że tylko serce. Naiwne i łatwowieczne serce.

Shay Dalton zamierzał spędzić przyjemną noc w eleganckim burdelu razem ze swoimi kumplami z drużyny. Nieraz słyszał już od znajomych, że był to wprawdzie jeden z najdroższych burdeli w mieście, ale za to można było mieć pewność, że przeżycia na długo pozostaną w pamięci. Wiedział, że prowadzi go ta dziwka, z którą sypiał jego dziadek Mulvaney. Nie potrafił jednak przypomnieć sobie jej imienia. Prawdę mówiąc, tego wieczora Seamus nie mógł sobie przypomnieć również wielu innych rzeczy. Po pięciu kieliszkach wódki, trzech szklankach whisky i czterech butelkach piwa jego pamięć rozplynęła się w alkoholu na dobre. Kiedy następnego ranka obudził się z głową jak balon, leżał w łóżku z jakąś zgrabną blondynką. Nie pamiętał nawet, czy ją zerznął tej nocy. Często chwalił się przed kolegami swoimi podbojami, ale kiedy za dużo wypił, jego kogut nie dziobał wcale tak dobrze.

— To była gratka — zwierzyła się Billy następnego dnia dziewczyna. — Ten gnojek tak się zaprawił, że kiedy zaprowadziłam go na górę do pokoju, zwalił się na łóżko jak kłoda. Jego kutas był do niczego.

Billy słuchała tego z mieszanymi uczuciami. Nie była pewna, czy powinna powiedzieć Tomowi o nocnych przygodach jego syna. Chłopak najwyraźniej zdradzał skłonności do alkoholizmu. Zbyt długo miała do czynienia z mężczyznami, by nie wiedzieć, jak alkohol wpływa na ich seksualną kondycję. Jeśli dwudziestoczteroletni chłopak ma problemy w łóżku, to albo jest impotentem, albo za dużo pije i wkrótce nim zostanie. Najgorsze, że Seamusowi przytrafiło się to już niejednym razem. Postanowiła jednak nie wspominać o niczym Tomowi. Miał i tak wystarczająco dużo kłopotów ze starszym synem, którego nazywał „diabelskim nasieniem”.

— Naprawdę myślę, że nie powinieneś całować mnie w ten sposób, Teddy. — Maeve Dalton z trudem zdołała odepchnąć od siebie przystojnego młodego człowieka. Teddy był tak napalony, iż jego szczupła, ładna twarz zrobiła się całkiem czerwona. Maeve w popłochu zaczęła poprawiać fryzurę. Ta zapalczywość Tedda bardzo ją podniecała, z drugiej jednak strony bała się, że chłopak zapomni się, rzuci się na nią i zrobi... no właśnie... Maeve nie miała pojęcia, co on chce z nią zrobić.

— Słuchaj, Maeve, rozumiem, że skromne zachowanie i ta cała cholerna wstrzemięźliwość mogą uchodzić za wspaniałe zalety wśród tych twoich zakonnic. Ale, do diabła, nie ślubowałem przecież, że zostanę księdzem. Zrozum, że ja też mam swoje potrzeby.

Maeve odwróciła od niego wzrok.

— To nie o to chodzi, Teddy. Ja po prostu dotąd nigdy nie miałam nic wspólnego z mężczyznami... Ja nawet nie wiem...

Zamilkła całkiem zmieszana.

— Kochanie — wyszeptał Tedd namiętym głosem, przesuwając wargami po jej gładkiej szyi. Potem chwycił delikatnie zębami miękki płatek jej ucha. Wiedział, co ma robić. Był pewien, że prędzej czy później dotrze do celu. Nigdy nie chybił. Nie bez powodu cieszył się w szkole sławą doskonałego uwodziciela.

— Pozwól, że zatroszczę się o ciebie, będę nosił cię na rękach całe życie, obsypywał kwiatami, dbał o twoje szczęście... Nigdy, przenigdy w świecie nie pozwolę cię skrzywdzić — szeptał jej cały czas do ucha, podczas gdy jego ręka z wprawą rozpiniała guziki jej koszuli, aż wsunęła się pod majtki.

— Oh, Teddy! — wykrzyknęła Maeve. — Tak mi dobrze... Jesteś taki cudowny.

— Po jakiego grzyba zadajesz się z tą Maeve Dalton? Czy wiesz, jak nazywają ją w szkole? Mała cipciunia Maeve. — spytał Edward Schuyler Moncure Trzeci swego przyjaciela.

Właśnie siedzieli razem w bibliotece uniwersyteckiej Harvardu, obłożeni stosami książek. Theodore Brewster Talbot spojrział na swego kolegę z niewzruszoną powagą.

— Może ona i jest cipciunią, stary. Ale za to jej ojciec jest właścicielem jednej z największych fortun w Ameryce. Myślę, że to w zupełności rekompensuje wszystkie niedostatki jej urody — odparł.

— Ale to straszna, straszna nudziara. Dlaczego nie poderwiesz jakiejś bogatej damy, która oprócz pieniędzy ma jeszcze choć odrobinę humoru i ikry. Uniwersytet pełen jest takich niewyżytych panienek.

— Tu nie chodzi o jakiś szybki numerek byle gdzie i z byle kim. To coś znacznie poważniejszego.

Edward Moncure zaskoczony spojrział na przyjaciela.

— Chyba nie zamierzasz się z nią ożenić? — starał się nadać swemu pytaniu żartobliwy ton, ale najwyraźniej nie był pewien, czy przypadkiem właśnie nie odkrył prawdziwych zamiarów Tedda.

— Słuchaj, stary. Moja rodzina poza nazwiskiem i paroma portretami przodków nie ma już niczego. Mam już dosyć tych upokarzających sytuacji, kiedy ojciec musi pożyczać na tytoń od własnego kamerdynera. Trochę dopływu gotówki dobrze by nam zrobiło.

— A więc zamierzasz poślubić cipciunię dla jej pieniędzy?

— Może tak, a może nie...

— Jak to?

— Mam pewien plan, który być może pozwoli mi wydusić trochę forsy od starego Daltona i jednocześnie zaoszczędzi mi małżeństwa z cipciunią.

Edward spojrział na swego przyjaciela z podziwem.

— Daj mi znać, kiedy ryba połknie haczyk, dobrze.

— Będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

— Teddy, przestań, bardzo cię proszę. Boję się. — Maeve próbowała wydostać się spod swego adoratora, który całym ciałem przyciskał ją na tylnym siedzeniu samochodu. Miała tak nieszczęśliwą minę, iż przez chwilę Teddowi naprawdę odeszła ochota na cokolwiek.

— Wiem dobrze, co czujesz, dziecino, ale ja tak szaleję za tobą. Nie mogę się wprost powstrzymać.

Oczy Maeve aż rozbłysły ze szczęścia na myśl, że może być tak bardzo kochana i pożądana przez mężczyznę. Nie potrafiłaby niczego odmówić temu przystojnemu młodemu

człowiekowi, który całkiem ją oczarował. Nie mogła wprost uwierzyć, że ma tak urodziwego adoratora, który na dodatek pochodził z jednej z najlepszych rodzin w mieście. Czy to możliwe, by zakochał się w niej? Wiedziała przecież, że mężczyźni to dzikie bestie, które chcą jedynie wykorzystać kobiety. Nieraz słyszała o tym od sióstr zakonnych, które w porywie religijnego zapału skutecznie starały się obrzydzić swoim podopiecznym wszystko mające coś wspólnego z fizyczną miłością. Wiedziała, że mężczyźni kierują się podłą i niską żądzą, która powoduje, że napastują kobiety i później wpędzają je w same kłopoty. Dziwne było tylko to, że i ona sama odczuwała ową niską, podłą żądzę. To dziwne uczucie, coś jakby nieprzyzwoite łaskotanie w okolicach brzucha, napawało ją lękiem, ale i dawało także nieznaną do tej pory rozkosz. Kiedy spotykała się z Teddem, jej pragnienia stawały się cielesne, bardziej obrazowe, a chwilami wprost niemoralne.

— Czy naprawdę mnie kochasz, Teddy? — spytała tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jej oddania.

Młody człowiek spojrzał na nią. Mógł wyczytać z jej twarzy wszystkie uczucia i emocje, które targały jej sercem. Wiedział, że dała się złapać w pułapkę. Mógł przystąpić do ostatniego punktu swojego planu.

— Nie tylko cię kocham, ale także chcę ożenić się z tobą.

Teddy omal nie wybuchnął niepohamowanym śmiechem na widok naiwnej, egzaltowanej radości, która malowała się na twarzy dziewczyny. Wyglądała jak małe dziecko, któremu wręczono w nagrodę ulubionego lizaka. Jej kaprawe oczy rozbłysły promiennym blaskiem, a wąskie, zwykle mocno zaciśnięte usta rozchyliły się w szerokim uśmiechu.

— Mówisz poważnie, Tedd?

Maeve zadała to pytanie z tak wielką powagą i tak podniosłym, uroczystym tonem, że chłopak na moment przestraszył się. Nie mógł wprost uwierzyć, że ktoś może być aż tak naiwny.

— Naturalnie, najdroższa. Wpierw muszę jednak porozmawiać z rodzicami, rozumiesz. Nie wiem, jak zareagują, kiedy usłyszą, że jesteś katoliczką. Mnie to w ogóle nie obchodzi, ale sama wiesz, jak konserwatywni mogą być starzy.

Teddy pomyślał, że teraz nadeszła najlepsza chwila, żeby to zrobić. Perspektywa małżeństwa całkiem ją rozmiękczyła. Wystarczy, by przejawiał trochę stanowczości, a ona odda się bez oporów. Jakie to szczęście, że jego matka wprost nienawidziła katolików!

Chłopak przesunął swą dłoń wzdłuż jej szyi i zaczął nerwowo rozpinać guziki bluzki. Maeve ujęła jego dłoń i pocałowała ją czule.

— Nie teraz, Tedd — wyszeptwała.

Maeve klęczała przed ołtarzem mrocznego, opustoszałego kościoła, prosząc w duchu Boga o pomoc. Panująca wokoło cisza i unosząca się w powietrzu aura świętości nadawały temu miejscu jedyną w swoim rodzaju, tajemniczą, niemal magiczną atmosferę. Przez kolorowe witraże w oknach przedostawał się snop wątego światła, który padał wprost na pogrążoną w smutku twarz dziewczyny. Maeve klęczała na zimnej kamiennej posadzce. Czuła, jak nogi powoli zaczynają jej drętwieć. Była jednak gotowa do wszelkich ofiar. Zakonnice często powtarzały jej, że fizyczny ból i cierpienie przybliżają ludzi do boskiego majestatu, gdyż zapewniają grzesznym duszom oczyszczenie. Zgodnie z tym przekonaniem znosiła z pokorą wszystkie niepowodzenia i przeciwności losu, wierząc, że w ten sposób zasłuży sobie na przychyłność Stwórcy. Bardzo jej potrzebowała zwłaszcza teraz, kiedy w jej życiu pojawił się Teddy. Nie mogła żyć bez niego. Ten fakt nie ulegał wątpliwości. Kiedy nie było go w pobliżu, czuła straszliwą pustkę. Tęskniła za nim, marzyła o nim, wyczekiwała każdego jego przyjazdu z Bostonu. Jednak najgorsze były obawy i wyrzuty sumienia spowodowane pożądanymi pragnieniami, które odczuwała przy każdym spotkaniu z nim. Z tego też powodu już od miesiąca nie była u spowiedzi. Bała się przyznać do grzechu. Bowiem nawet tutaj, w kościele, wciąż myślała o ciepłych dłoniach Tedda, delikatnie pieszczących jej piersi. Bez wątpienia, seks był strasznym grzechem, myślała pogrążona w rozterce. Bezbożne myśli nie opuszczały jej nawet w tym świętym miejscu! Klęczy przed obliczem Boga, modli się do niego o pomoc, a w głębi duszy wciąż oddaje się rozpuście. Nie wiedziała sama, co się z nią dzieje. Co powie na to ojciec? Na myśl, iż może zawieść jego zaufanie, poczuła przejmujący strach. To było tak, jakby plunęła w twarz samemu Bogu. Tom miał wrócić w przyszłym tygodniu z kilkudniowej podróży w interesach. Maeve wiedziała, że nic się przed nim nie ukryje. Bez trudu, już choćby na podstawie rachunków za telefon, zorientuje się, że jego córka, jego niewinna, nieśmiała córeczka ma romans. Już samo to słowo przyprawiało ją o mdłości — romans.

Odgłos kroków, szerokim echem odbijający się od sklepienia budowli, wyrwał Maeve z głębokiego zamyślenia. Podniosła wzrok i spostrzegła młodego księdza, który przechodził właśnie główną nawą kościoła. Jej serce zabiło mocniej. Tak, to była jedyna nadzieja, powinna wypowiedać się, ulżyć swej zagubionej, skołatanej duszy... ale...

Maeve ponownie spuściła wzrok. To było przecież niemożliwe, pomyślała z goryczą. Jak mogła powiedzieć księdzu o tym wszystkim, co zaszło między nią a Teddem. O tych wszystkich spotkaniach w tanich pokojach hotelowych, wieczorach spędzonych razem na tylnym siedzeniu jego samochodu, gdzieś w parku lub w lesie? Nagle stało się dla niej jasne, że Bóg jej nie wysłucha. Wbrew woli, a może wiedziona jakimiś utajonymi przed samą sobą pragnieniami znalazła się po drugiej stronie — tam, gdzie boskie miłosierdzie już nie sięga.

— Mamo, pozwól, że ci przedstawię Maeve Dalton, przyjaciółkę, o której ci mówiłem. Maeve, to moja mama, pani Talbot.

Elegancka kobieta w średnim wieku wyciągnęła swoją ozdobioną pierścieniami dłoń w stronę Maeve.

— To miło poznać panią. Syn wspominał mi o waszej znajomości — powiedziała głosem zimnym i nieprzystępnym.

— Bardzo się cieszę z tego spotkania, pani Talbot. Zawsze chciałam panią poznać.

Matka Tedda była dość pulchną kobietą, a jej natłuszczona kremami twarz świeciła jak księżyc. Trzy wydatne podbródki nadawały jej twarzy wyraz prawdziwego dostojęstwa.

— Nie przypominam sobie, byśmy mieli przyjemność poznać twoją rodzinę, moja droga. — Patrzyła na dziewczynę, jakby chciała zaznaczyć dzielący je dystans.

— Maeve jest córką Toma Daltona — wyjaśnił szybko Teddy. — Właściciela tej wielkiej firmy transportowej „M and D”. Dziadkiem Maeve był Jim Mulvaney, na pewno go pamiętasz.

— Jim Mulvaney? Chyba nie masz na myśli tego irlandzkiego polityka z Nowego Jorku — Diamonda Jima Mulvaneya? Co za niebywały zbieg okoliczności!

Maeve najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Teddy nie powinien był wspominać o jej dziadku. Stara rodzina Talbotów, która zaliczała się do amerykańskiej arystokracji, nigdy jej nie zaakceptuje. Nieważne, ile by się miało pieniędzy. Wystarczyło być irlandzkim katolikiem, parszywym emigrantem, przybłądą, a drzwi salonów zamykały się przed tobą za zawsze. Maeve wiedziała, że bez problemu mogła przyjaźnić się z takimi rodzinami jak Mur — rayowie, Cuddihy'owie czy Kennedy. Lecz to nie były szczyty życia towarzyskiego w Ameryce. Ona marzyła o czymś więcej, chciała stać się częścią eleganckiego świata, w którym obracały się najwyższe sfery. Chciała, by jej nazwisko znajdowało się na słynnej liście czterystu najlepszych amerykańskich rodzin, prowadzonej przez panią Astor... To był szczyt, na który pragnęła się wspiąć. Od kiedy zaczęła chodzić do szkoły w Vassar, często spotykała się z dziećmi z takich rodzin. Onieśmiały ją, choć z drugiej strony czuła jakąś wewnętrzną siłę, która nakazywała jej nawiązywać z nimi znajomości. Wśród nich czuła się bezpieczna, dowartościowana. Była przekonana, że w pewnym sensie przynależy do nich.

Teddy przyglądał się matce z podziwem. Jej zadziwiająca umiejętność trzymania ludzi na dystans zawsze bardzo mu imponowała. Potrafiła zachować się zgodnie ze wszystkimi zasadami uprzejmości i dobrego wychowania, a jednocześnie dać dobitnie do zrozumienia, że nie żywi dla swego rozmówcy żadnego szacunku. Tedd był pewien, że po tej wizycie bez przeszkód zrealizuje swój plan do końca.

Maeve ubierała się powoli, wstrzymując oddech. Już od czterech miesięcy męczyły ją nudności i zawroty głowy. Stała przed lustrem i bacznie przyglądała się swojej figurze. Nie było żadnych wątpliwości... Oczy dziewczyny były czerwone od płaczu. Przez ostatnie tygodnie szlochała przez całe noce. To był ten jeden z rzadkich momentów w jej życiu, kiedy naprawdę żałowała, że nie ma matki. Na ogół dziewczyny nie rozmawiały ze swoimi matkami, kiedy przez przypadek zachodziły w ciążę. Raczej starały się to przed nimi ukryć. Niemniej Maeve brakowało tego poczucia, że jest ktoś, do kogo w ostateczności może zwrócić się o radę. Pozbawiona matczynej miłości, często wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby jej matka żyła nadal. Będąc jeszcze bardzo małą dziewczynką potrafiła całymi godzinami stać przed wielkim portretem Deidry, który wisiał w sypialni Toma, i przyglądać mu się z fascynacją graniczącą z uwielbieniem. Czasami, gdy wiedziała, że nie ma nikogo w pobliżu, prowadziła z matką długie rozmowy. Mój Boże, pomyślała Maeve patrząc na swoją czerwona spuchniętą od płaczu twarz, Deidra była zaledwie rok młodsza od niej, kiedy dziadek kazał namalować jej portret. Tak naprawdę Maeve nigdy nie wyzbyła się kompleksów związanych z wyglądem. Kiedy patrzyła na portret matki, na jej delikatny łuk czarnych brwi, lekko zadarty kształtny nos, piękne błyszczące oczy i kwitnące różowe usta, to nie mogła wprost uwierzyć, że tak piękna kobieta mogła być jej matką.

— Mój Boże — wyszeptała patrząc na zniechęcone odbicie w lustrze. — Tak naprawdę to nawet nie wiem, co Teddy o mnie myśli.

Prawdę mówiąc nieco inaczej wyobrażała sobie swoje życie z Teddym. Był bardzo miły, chętnie przebywał w jej towarzystwie, zwłaszcza kiedy byli sami i mogli się kochać. Poza tym zabierał ją często na przyjęcia i spotkania towarzyskie. To było cudowne uczucie! Wiedzieć te zazdrosne spojrzenia innych kobiet, kiedy patrzyły na mężczyznę u jej boku! Mimo to między nią a Teddem było coś, czego nie potrafiła określić, a co mąciło jej szczęście. Inni mężczyźni w porównaniu z nim wydawali się jej silniejsi, bardziej zdecydowani i godni zaufania, jak ojciec.

Maeve mocniej zacisnęła gorset, aby ukryć pod suknią przyczynę swego straszego wstydu. Obmyła twarz zimną wodą, by zetrzeć ślady bezsennej, przepłakanej nocy. Wiedziała, że następnego dnia nudności się powtórzą. Nie było innego wyjścia. Musiała znaleźć jakiegoś lekarza.

— Teddy, lekarz powiedział, że jestem w ciąży. — Na twarzy Maeve malował się wyraz tak wielkiego udręczenia, że Tedd przestraszył się.

— Uspokój się, Maeve. Czy jesteś całkowicie pewna, że to nie pomyłka?

— Pomyłka? Lekarz powiedział, że nie może być mowy o żadnej pomyłce! Oh, Teddy, co my teraz zrobimy. Mówiłeś, że to, co sobie nakładałeś, zapobiega ciąży. Co powie mój ojciec?

— Musimy zebrać trochę pieniędzy i załatwić tę sprawę.

— Załatwić sprawę? O czym ty mówisz?

— Nie rób z siebie idiotki, Maeve. Musimy znaleźć lekarza, który upora się z tym problemem.

— Problemem! — jej głos aż drżał z przejęcia i oburzenia. — To nie jest żaden problem, tu chodzi o nasze dziecko!

— Naturalnie, naturalnie, Maeve. Zastanów się jednak, co będzie, kiedy nasi rodzice dowiedzą się o tym. Wystarczy, że moi muszą przełknąć fakt, iż chcę się ożenić z katoliczką. Jezus Maria, chyba nie sądzisz, że teraz powiem im jeszcze, że jesteś w ciąży.

— Ależ Teddy, zrozum, ja się boję. To musi bardzo boleć, nie chcę umierać...

— Do jasnej cholery, przestań być histeryczką! Kto tu mówi o umieraniu. Żadnej kobiecie nie stała się od tego żadna krzywda. Znam kogoś, kto zajmuje się usuwaniem ciąży. To dyskretna osoba.

Maeve spojrzała na niego z przerażeniem.

— Skąd znasz kogoś takiego?

— Nieważne, po prostu znam. Problem polega na tym, że podobny zabieg cholernie dużo kosztuje, coś koło trzech tysięcy dolarów.

— Trzy tysiące dolarów? Ja nie mam aż tyle pieniędzy. Skąd je teraz weźmiemy?

— Ja nie mogę wyciągnąć ich od moich starych. Jeśli cokolwiek zwietrzą, nigdy nie pozwolą nam się pobrać, rozumiesz?

Maeve siedziała na brzegu łóżka w hotelowym pokoju. Zatopiła dłonie we włosach i siedziała tak bez ruchu przez dłuższą chwilę. Tedd nie był pewien, czy powinien nalegać, czy raczej ustąpić na jakiś czas. W końcu dziewczyna odezwała się:

— Dobrze. Idź i umów mnie z tym człowiekiem. — Uniosła głowę. Tedd mógł dostrzec na jej twarzy wyraz bolesnej desperacji. — Ale nie pójdę z tym do mego ojca. Jeśli chcesz, żebym to zrobiła, musisz sam zapłacić.

Po tych słowach dziewczyna wstała i w milczeniu wyszła z pokoju.

Na drzwiach domu stojącego na obrzeżach małego miasteczka nie było tabliczki z nazwiskiem lokatorów. W środku w niewielkim pokoiku poczekalni siedziały już trzy inne kobiety, ubrane w szpitalne szlafroki. Były smutne i wyraźnie zdenerwowane. Maeve weszła

do środka na miękkich nogach. Na widok lekarza, który stał wraz z pielęgniarką przy drzwiach gabinetu, chciała odwrócić się na pięcie i uciec. Ale Teddy mocno trzymał ją za rękę. Podeszli razem do sofy. Tedd pokazał pielęgniarce plik banknotów. Kiedy kiwnęła z aprobatą głową, usiedli.

— To miejsce nie podoba mi się — wyszeptała Maeve rozglądając się wokół. — Te kobiety wyglądają okropnie. Myślisz, że są już po czy jeszcze przed.

— Posłuchaj, Maeve. Już ci mówiłem, ten facet zna się na swoim fachu. Jeżeli się nie uspokoisz, wszyscy będziemy mieli problemy. Powinniśmy być wdzięczni, że on w ogóle chciał się tobą zająć.

Zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegł przytłumiony jęk. Jedna z kobiet siedzących na sofie zakryła usta dłonią, jakby za moment miała zwymiotować. Potem rozległ się czyjś szloch i zduszone szepty kogoś, kto najwyraźniej próbował uspokoić płaczącą. Pielęgniarka przy drzwiach spojrzała szybko w stronę czekających kobiet i uśmiechnęła się do nich, jakby przepraszając za to głośnie zachowanie pacjentki.

— Niech pani założy jeden z tych szlafroków, panno Smith, i przygotuje się — powiedziała do Maeve.

Dziewczyna spojrzała na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby nie mogła skojarzyć, do kogo skierowane były te słowa. Dopiero gdy zobaczyła, że pielęgniarka patrzy na nią, zrozumiała, że to ona jest panną Smith. Wstała i powoli podeszła do wieszaka. W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z niego lekarz, podtrzymujący młodą kobietę. Jej oczy były czerwone od płaczu, a twarz wykrzywiona bólem. Na twarzy malowało się tak straszliwe cierpienie, że Maeve aż skurczyła się w sobie. Nie mogła znieść tego widoku upokorzonej kobiety. Strąki długich, zlepionych potem włosów zwisały wzdłuż bezwładnych ramion. Była prawdopodobnie w tym samym wieku co Maeve, a w tej chwili wyglądała jak strzęp człowieka.

Maeve upuściła na ziemię szlafrok. Czowała, że serce jej bije jak oszalałe, a łzy same napływają do oczu. Rzuciła się w stronę drzwi. Szarpnęła je z całej mocy, po czym wybiegła na ulicę. Nawet nie spojrzała za siebie, by zobaczyć, czy Teddy biegł za nią. Pędziła co sił w nogach w kierunku małego, drewnianego kościółka. Zdyszana dopadła drzwi. Kiedy znalazła się w środku i ogarnęła ją przejmująca cisza świętego miejsca, uspokoiła się. Przeżegnała się, po czym podeszła do konfesjonału, przyklękła i zaczęła mówić:

— Ojcze, przebacz mi, bowiem zgrzeszyłam. Chciałam zabić swoje dziecko, chciałam to zrobić, choć nawet się jeszcze nie narodziło. O Boże, naprawdę taki miałam zamiar. Czy grzech popełniony w myślach nie jest jeszcze straszniejszy niż sama zbrodnia? Zgrzeszyłam w moim sercu... Nie, nie mam męża, jeszcze się nie pobraliśmy. Tak, jest mi wstyd i z pokorą proszę o wybaczenie... jest mi tak bardzo wstyd.

— Nie panikuj. Nic się nie stało. Po prostu pobierzemy się wcześniej niż to planowaliśmy. — Tedd był szczęśliwy, kiedy odszukał ją całą i żywą. Po tym jak zrobiła całe to przedstawienie u lekarza, obawiał się, że skoczy do rzeki albo rzuci się pod pociąg. Miałby wtedy cholerne kłopoty.

— Ale teraz wszystko się wyda. — Maeve była całkiem załamana.

— Niczego nie zdążą zrobić. W następny weekend pojedziemy do Maryland.

— Ale co zrobimy później? Gdzie będziemy mieszkać? Nie masz przecież pracy. Oboje jeszcze się uczymy.

— Myślałem, że masz jakieś pieniądze w spadku po matce i dziadku.

Maeve spojrzała na niego zaskoczona.

— Tak mam... ale ja nie mogę ich użyć. Są zainwestowane. Otrzymuję tylko dywidendy.

— Kiedy na świat przyjdzie dziecko, będziemy potrzebować znacznie więcej pieniędzy niż tylko jakieś marne dywidendy. Ostatecznie to są twoje pieniądze. Ja nie mogę na nic liczyć od swoich rodziców. Wystarczy, że pogodzą się z tym, że ich syn poślubi katoliczkę... katoliczkę w ciąży.

— Teddy, jesteś okrutny. Czasami wydaje mi się, że nic cię nie obchodzą moje uczucia.

— Słuchaj, teraz nie czas na sentymenty. Musimy myśleć praktycznie. Nie wyżywimy się powietrzem, a tym bardziej dzieckiem. Musimy dobrać się do tych pieniędzy, a potem się pobierzemy. Jeśli chcesz, możemy odwrócić kolejność.

Maeve otarła łzy i spojrzała w oczy swego ukochanego. Nie dostrzegła w nich ani cienia współczucia, czułości, nie mówiąc już o żadnym głębszym uczuciu. Były obce i zimne. Nigdy przedtem tego nie zauważyła. Teraz, gdy dokonała tego straszliwego odkrycia, przerażała się nie na żarty.

— Jak idzie ci z cipciunią? — spytał Schy Moncure. Siedzieli razem z Teddem w pubie nad kuflami ciemnego, mocnego piwa.

— Nie najgorzej, nie najgorzej. Zdaje się, że trafiłem na żyłę złota. — Zachichotał Teddy i pociągnął z kufla porządny łyk.

— Moja siostra zawsze twierdziła, że jesteś draniem i podrywaczem, stary.

— O nie, to cipciunią mnie poderwała. Właśnie w najbliższych dniach zamierzam złożyć wizytę jej szanownemu papie.

— Mówisz poważnie? — Schy aż uniósł brew ze zdziwienia.

— Myślę, że przedwczesna ciąża jest wystarczająco poważnym problemem...

Brew Edwarda podniosła się jeszcze wyżej. Na jego wąskich ustach pojawił się ironiczny uśmiech.

— Jak sądzę, ta sprawa wywoła niemało zamieszania. Co masz zamiar zrobić?

— No cóż, chyba nie mam specjalnego wyboru. Muszę się z nią ożenić. Myślałem, że uda mi się nakłonić ją, by usunęła dziecko, a potem wycisnąć z niej lub jej ojca trochę forsy, ale się nie udało. Zresztą ona boi się tknąć forsy bez zgody tatusia, a on, jak się spodziewam, jest starym skąpiradłem. Poza tym ma długie rączki. Moja matka uprzedzała mnie, bym z nim za bardzo nie zadzierał. Podobno wykończył kiedyś jakiegoś mafioso... W każdym razie takie krążą o nim plotki.

Schuyler Moncure spojrział na przyjaciela z wyraźną dezaprobatą.

— Więc postanowiłeś ożenić się z nią, by dobrać się do pieniędzy tatusia? To brzmi dość smutnie.

— Niezupełnie. Chcę po prostu żyć jak panisko i pieprzyć wszystkie dupy w całym mieście. Rozumiesz?

Moncure tylko pokiwał głową.

— Widzę, że nie pochwalasz tego, co robię.

— Jeśli mam być szczery, to nie za bardzo, Tedd — odparł. — A zresztą, ostatecznie nigdy nie brakowało mi pieniędzy. Może gdybym znalazł się w takiej sytuacji jak ty, nie byłbym tak wrażliwy na kwestie moralne. Kto wie?

— O jakiej moralności ty mówisz? Ona będzie miała męża, o którym mogła tylko marzyć, a ja będę mógł żyć na przyzwoitym poziomie, odpowiadającym mojemu urodzeniu. O co chodzi? Wszyscy coś zyskują. — Teddy był wyraźnie poirytowany reakcją przyjaciela.

— Wszyscy, tylko nie dziecko — odparł Schy i dał znak kelnerowi, że chce zapłacić rachunek. Poczuł, że musi koniecznie wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Tom Dalton przyjął wiadomość o ciąży swej córki i jej małżeństwie z Teddym Talbotem z całkowitym spokojem, żeby nie rzeć — z obojętnością. Jego samego zdziwiło, jak niewiele obchodziła go ta cała historia. Po powrocie z Maryland młoda para przyjechała prosto do niego, by poinformować go o zawartym małżeństwie. Chodził powoli po swoim gabinecie z rękoma założonymi do tyłu i ze zmarszczonym czołem słuchał ich wyjaśnień. Od pierwszego momentu widział, że jego zięć jest człowiekiem pozbawionym charakteru, słabeuszem, który na grzbiecie innych próbuje piąć się w górę. Widząc zmartwioną, bladą i przestraszoną twarz córki, zadawał sobie pytanie, jak mógł dopuścić, by wyrosła na tak naiwną, łatwowierną i nierozgarniętą dziewczynę. Jak mógł dopuścić, by wpadła w sidła zwykłego łowcy posagów. Tom nie miał bowiem wątpliwości, że Tedda interesowały jedynie pieniądze. W zachowaniu młodego człowieka, w jego spojrzeniach i sposobie, w jaki zwracał się do swojej żony, Tom nie dostrzegł nawet śladu jakiegokolwiek uczucia. Najbardziej niepojęte w tym wszystkim było to, że Maeve najwyraźniej kochała Tedda. Czy to jednak możliwe, by dziewczyna była aż tak zaślepiona, iż nie dostrzegała obojętności i chłodu swego męża? A może po prostu czuła, że wpadła w pułapkę i teraz, kiedy zaszła w ciążę, nie ma innego wyjścia, jak tylko związać się z tym mężczyzną i spróbować go pokochać?

Tom zaproponował, by Maeve w dalszym ciągu mieszkała u niego, przynajmniej do czasu, aż Tedd skończy ostatni rok studiów na Harvardzie i nie unormuje swojej sytuacji finansowej. Zwłaszcza teraz, gdy była w ciąży, potrzebowała stałej opieki, służby i poczucia bezpieczeństwa, jakie dawał jej dom rodzinny. Dalton spodziewał się sprzeciwów. To rozwiązanie oznaczało przecież rozłąkę nowożeńców i nieustanne podróże podczas weekendów do Bostonu i z powrotem. Ku jego zaskoczeniu Tedd sam niezmiernie przekonująco tłumaczył swej młodej żonie, że propozycja teścia jest w tej sytuacji jedynym sensownym wyjściem. Tom przyglądał mu się z uwagą i słuchał. Pamiętał dokładnie, jak przez pierwsze lata jego małżeństwa żadna siła nie była w stanie oderwać go od Deidry.

Maeve nie cieszyła się z perspektywy posiadania dziecka. Zupełnie inaczej niż Deidra, którą macierzyństwo napełniało radością. Dziewczyna przyjmowała to z bierną pokorą, a nie z radością i szczęściem. Długie tygodnie spędzane w domu ojca bez odwiedzin Tedda fatalnie wpływały na jej samopoczucie i psychikę. Tedd tłumaczył się nawałem pracy, egzaminami, obowiązkami w domu rodzinnym. Zawsze znalazł jakieś wytłumaczenie, by usprawiedliwić swoją nieobecność. Tom sam nie wiedział, co było gorsze: czy te pełne napięcia i oczekiwania weekendy, kiedy Tedd nie przyjeżdżał do Nowego Jorku, czy też dni, kiedy nieoczekiwanie pojawiał się w domu Daltonów. Wszystkie te nieoczekiwane wizyty kończyły się jednakowo — Maeve swym płaczącym głosem wyrzucała mu ciągłą nieobecność i lekceważenie jej potrzeb. On natomiast był wyraźnie poirytowany, dawał jej bardziej lub mniej grzecznie do zrozumienia, że jest natrętna i głupia. Podczas tych spędzonych wspólnie

pięciu miesięcy Tom często zadawał sobie pytanie, dokąd to wszystko ich zaprowadzi. Nie mógł przewidzieć, że dla jego córki to małżeństwo okaże się prawdziwą tragedią.

Maeve Dalton zmarła przy porodzie, mając zaledwie dziewiętnaście lat. Lekarze powiedzieli, że przyczyną śmierci była niewydolność układu oddechowego. Tom dobrze jednak wiedział, że prawdziwą przyczyną było jej złamane serce, nie wytrzymała już nerwowo, pierwszego dnia swego pobytu w szpitalu spożyła całą kapsułkę proszków nasennych. W końcu organizm nie wytrzymał tego obciążenia.

Tom stał nad grobem córki, choć ciągle jeszcze nie mógł pojąć, co właściwie się stało. Pograżony w rozmyślaniach, był jakby nieobecny. „On chce tylko twoich pieniędzy, tatusiu — Maeve powiedziała mu to na kilka minut przed śmiercią. — On wcale nas nie chce — ani mnie, ani dziecka”. Mówiła głosem tak przejmującym i słabym, iż wzruszony do głębi jej cierpieniem próbował ją pocieszyć. Powiedział, że to nieważne, że jej pomoże, razem wychowają dziecko, wynajmą dla niego niańkę, a potem guwernantkę... wszystko się ułoży. Ale tak się nie stało.



Dziewczyna, która siedziała na brzegu łóżka w apartamencie Billy, starała się opanować spazmatyczny szloch i wydobyć z siebie choć jedno słowo. Miała spuchnięte i zakrwawione wargi. Billy siedziała obok niej i słuchała. Z każdym wypowiedzianym słowem rosła w niej wściekłość i oburzenie.

— Skrępował mi ręce... Był naprawdę bardzo miły i wydawało mi się, że nie muszę się go wcale obawiać, Billy. Kiedy wyciągnął pejcz, pomyślałam, że należy do tych facetów, którzy potrzebują trochę teatralnych gestów i paru rekwizytów, żeby się napalić. — Dziewczyna spojrzała na Billy i zaczęła łkać dalej. — Ale potem mnie uderzył — mówiła szlochając — bardzo mocno, więc powiedziałam mu, żeby przestał... Że jeśli jest jakimś pieprzonym sadystą czy jakimś nienormalnym, to niech sobie poszuka innego miejsca, bo my tu takich nie obsługujemy. Ale on uderzył mnie po raz drugi i powiedział, żebym się zamknęła. — Dziewczyna ostrożnie dotknęła spuchniętej wargi.

— No, dalej — ponaglała ją Billy. — Co stało się później?

— Zaczął mówić o córce pana Daltona. Najwyraźniej nie przypuszczał, że wiem, kim ona była. Bałam się, że to jakiś wariat i że może mi zrobić coś złego, więc udałam, że to, co mówi, bardzo mnie interesuje.

Dziewczyna sięgnęła po kolejną chustkę leżącą na stole przy łóżku i głośno wydmuchowała nos.

— Wiem, że jesteś w szoku, kochanie — powiedziała Billy łagodnym głosem. — Lekarz będzie tutaj za parę minut i zaopiekuje się tobą. Chcę jednak, byś najpierw dokładnie powtórzyła mi, co pan Talbot ci powiedział.

Dziewczyna przytaknęła.

— Z największą chęcią. Wiem, że pan Dalton jest dobrym człowiekiem. Zapamiętałam każde słowo wypowiedziane przez tego sukinsyna Talbota czy jak mu tam.

Wyraźnie rozpierała ją duma, iż będzie mogła pomóc swojej pracodawczyni i jej słynnemu kochankowi. Billy pogłaskała ją delikatnie po rozpalonym policzku. Ciągle nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, by Theodore Brewster Talbot był aż tak podłym człowiekiem. Dzień po śmierci swej żony świętował swoje zwycięstwo w burdelu.

— Cały czas chwalił mi się, jak to szczęśliwie rozbił bank. Tak to określił. Mówił, że jego żona urodziła dziecko, a potem zabiła się. „Ta dziwka po prostu zeżarła całą fiolkę proszków nasennych” — powiedział śmiejąc się. — „Po tym jak się namęczyłem, by dostać się do jej forsy, ona po prostu podała mi ją na tacy”. Kiedy zapytałam go, w jaki sposób

śmierć żony może przyczynić się do jego bogactwa, on odparł: „Mam teraz bogatego tatu-sia”.

Dziewczyna rozplakała się znowu.

— Potem opowiedział mi o swojej rozmowie z panem Daltonem, który zapytał go, czy mógłby zaadoptować dziecko. Wtedy on odpowiedział mu: „Może tak, a może nie”. Podobno na to pan Dalton omal się nie rozplakał i zaczął prosić tego sukinsyna, by zlitował się nad nim i dzieckiem i pozwolił żyć im razem. A wtedy on odpowiedział: „Dlaczego miałbym to zrobić, skoro właśnie dziecko jest najlepszym zabezpieczeniem dla mnie. Jeśli nie dasz mi tego, co zechcę, wówczas ono będzie za karę cierpiało. Już ja się o to postaram”! Wtedy nieopatrznie powiedziałam, że jest wstrętny. Bardzo się zdenerwował. Przywiązał mnie do łóżka, a potem zaczął okładać pejczem. „Ty suko! Co ty sobie wyobrażasz? Jesteś taką samą dziwką, jaką była ta głupia krowa, moja żona!” — wrzeszczał. Joanna, która miała akurat klienta w sąsiednim pokoju, usłyszała krzyki i wezwała na pomoc Jocko. To on mnie uwolnił od tego cholernego zbrodźcy. Trzeba było to widzieć. Wyciągnął go z pokoju, tarmosząc za ucho jak jakiegoś małego gnojka. — Dziewczyna z trudem łapała oddech. Całą historię opowiedziała niemal jednym tchem.

Billy pogłaskała ją po głowie i przytuliła. Ciągle myślała o Teddym Talbocie, tym parzywym sukinsynu, który z całą premedytacją zabił córkę Deidry, jej najbliższej przyjaciółki. To było zwykłe morderstwo. Zupełnie jakby przyłożył do skroni dziewczyny rewolwer i pociągnął za cyngiel. Tej sprawy nie można było tak zostawić. Zbrodniarz powinien zostać ukarany. Od czasu, gdy umarła Deidra, Billy nigdy nie była tak bardzo rozzłoszczona i jednocześnie dotknięta do żywego. Wprost trzęsła się cała z wściekłości i oburzenia. Chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni jak dziki kot, który szykuje się do skoku. Gorączkowo obmyślała plan zemsty. Żal po stracie Maeve i świadomość, iż los, który spotkał tę dziewczynę, był tak okrutny i niesprawiedliwy, sprawiły, że Billy nie mogła powstrzymać łez. Mój Boże, kiedy to się wreszcie skończy? — myślała. Czy to fatum, które sprawia, że Tom Dalton traci w życiu wszystko, co tak bardzo kocha i co jest mu bliskie, będzie prześladować go aż do śmierci? Śmierć Maeve. Miała zaledwie dziewiętnaście lat. To wręcz nie do wyobrażenia. Mała córeczka Deidry... dziecko, którym miały opiekować się razem... Jak można pogodzić się z podobną niesprawiedliwością? Jak można znieść fakt, iż po ziemi stąpa ktoś tak plugawy i ohydny jak Theodore Talbot? Przypomniała sobie zatroskaną, bladą twarz Toma, kiedy dzień przed pogrzebem przyszedł do niej, by powiadomić ją o śmierci Maeve. Rozmawiali ze sobą zaledwie kilka minut, ale nawet w tak krótkim czasie Billy była w stanie dostrzec, jak ogromnie cierpiał. Powiedział jej, że zamierza adoptować dziecko swojej córki. Uważał, że to jedyny sposób, by ochronić je przed tragedią, upokorzeniem i nieszczęściem, których los nie skąpił jego biednej matce. Był całkowicie pochłonięty tą myślą, jakby sądził, że w ten sposób uda mu się uciszyć wyrzuty własnego sumienia. Podczas tej krótkiej rozmowy Billy spostrzegła również, że w zachowaniu Toma zaszła jakaś poważna zmiana. Znała go przecież dobrze od wielu lat. Wiedziała, że ma silny charakter, że zawsze dzielnie znosił wszystkie przeciwności losu. Do tej pory każda tragedia w jego życiu w jakiś paradoksal-

ny sposób dodawała mu siłę, mobilizowała do działania. Mścił się okrutnie na każdym, kto skrzywdził jego najbliższych. Tym razem było inaczej. Tom zupełnie załamał się pod ciężarem tragedii, którą życie tak niespodziewanie zrzuciło na jego barki. Billy sądziła, że po tym, co Talbot uczynił Maeve, Tom po prostu własnoręcznie skręci gnojce kark. Zamiast tego, sam sobie robił wyrzuty.

— Nie potrafiłem ustrzec jej od złego, Billy — powiedział zachrypniętym głosem. — Była moją córką i powinienem był przygotować ją do życia. Gdybym bardziej przejmował się jej losem, ktoś taki jak Talbot nie byłby w stanie skrzywdzić mojego dziecka. To moja wina, że ona nie żyje.

Po tych słowach Tom w milczeniu opuścił Billy.

„To nie twoja wina, Tomie Dalton” — chciała wykrzyknąć w jego stronę. — „To nie twoja wina, że nie potrafiłeś porozumieć się ze swoimi dziećmi i że Maeve była tak naiwna i tak bardzo wrażliwa!” Ale zamiast powiedzieć to, milczała. Wiedziała bowiem, że tym razem zemsta nie będzie należała do Toma, lecz do niej.

Przed dom Billy zajeżdżała wielka, elegancka limuzyna. Drzwi domu otworzyły się, Billy zeszła po schodach, przeszła szybko przez ulicę i podeszła do samochodu. Starszy mężczyzna, obok którego usiadła, przyglądał się jej uważnie, jakby ze znanostwem studiował jakąś starożytną rzeźbę w muzeum. Billy czuła, że mu się podoba, choć jego twarz pozostała niewzruszona niby oblicze sfinksa.

— Jest pani znaną kobietą, zawsze panią podziwiałem — odezwał się mężczyzna. Jego głos był niski i ciepły, choć można było wyczuć w nim ten władczy ton, tak charakterystyczny dla wszystkich ludzi świadomych władzy, jaką skupiają w swych rękach.

— Ja także zawsze podziwiałam pana, don Enzo — odparła.

— Tak więc zwróciła się pani do mnie o pomoc. A teraz zapewne z niecierpliwością oczekuje mojej odpowiedzi.

Mężczyzna uśmiechnął się tajemniczo. Billy próbowała ocenić jego wiek. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, ale mógł być znacznie starszy. Malował włosy na czarno i starannie zaczesywał je do góry, by ukryć łysinę. Miał równe, białe zęby, zbyt równe, by mogły być prawdziwe, i starannie wypielęgnowane dłonie.

— Wiele lat temu dał pan słowo honoru pewnemu mężczyźnie, który jest mi bardzo drogi. Nazywa się Thomas Dalton. Przychodzę, by dać panu okazję do spłacenia starego długu.

— To było bardzo dawno temu — powiedział don Enzo z pewnym ociąganiem. — Dlaczego sądzi pani, że po tylu latach zechcę dotrzymać słowa?

Billy spojrzała mu prosto w oczy. Chciała mu dać do zrozumienia, że sprawę tę traktuje jako kwestię honoru.

— Powiedziano mi, że ma pan dobrą pamięć.

Przytaknęła.

— Dlaczego jednak miałbym pamiętać akurat o tym?

— Ponieważ jest pan mężczyzną, don Enzo Narducci, a mężczyźni zawsze dotrzymują danego słowa.

Mężczyzna roześmiał się.

— A co dostanę od pani w zamian? — zapytał rozbawiony.

— Pański honor.

— Czy pani jest kobietą Daltona?

— Tak, jestem jego kobietą.

— To znaczy, że on jest szczęśliwym człowiekiem — pokiwał w zamyśleniu głową. Potem wziął delikatnie jej dłoń, pocałował ją i powiedział przyjacielskim tonem: — Proszę opowiedzieć mi o tej sprawie. Zobaczę, co będę mógł dla pani zrobić...

Właściwie powinna czuć niesmak do samej siebie. Przecież zdecydowała się prosić o pomoc zwykłego mafiozo, mordercę... Jej nienawiść do Talbota była jednak zbyt wielka, by mogła pozwolić, aby wykpił się z całej sprawy bez poniesienia jakiegokolwiek kary. Oko za oko, ząb za ząb, jak napisano w *Biblii*. Co prawda zemsta nie mogła być aż tak straszliwa, jakby tego pragnęła, ale jeśli Narducci dotrzyma danego słowa, Talbot przynajmniej nie będzie się czuł bezkarny. Zapłaci za śmierć Maeve, za upokorzenie Charlene, za nieszczęścia wszystkich niewinnych dziewcząt na całym świecie! Może w przyszłości pomyśli dwa razy, zanim zdecyduje się na kolejne łajdactwo. Po tym wszystkim, co spotkało go w życiu, Tom Dalton miał teraz już tylko jedno pragnienie — wychowywać wnuczkę. Jego spełnienie mogło ukoić wyrzuty sumienia i smutek po stracie córki. Billy znała to pragnienie, Talbot także. Dlatego postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, by Dalton dostał to, czego tak mocno pragnął, nawet jeśli musiała pertraktować z takimi typami jak Narducci.

Kiedy Billy wróciła do domu, spojrzała na swoje dłonie. Miała dziwne wrażenie, że są brudne. Czym prędzej poszła do łazienki, aby je umyć.

Odgłos dzwonka przy drzwiach zmącił nagle ciszę, panującą w pograżonym w ciemnościach domu. Ktoś natarczywie dzwonił przy wejściu, pięć, sześć razy. Ten alarm poderwał na nogi całą służbę. Tom wstał z łóżka i zarzucił na siebie szlafrok. Od kilku dni bardzo źle sypiał. Nie zaznał spokoju, od kiedy po pogrzebie córki rozpoczął pertraktacje z zięciem na temat adopcji ich dziecka. Teraz, kiedy stracił Maeve, tak bardzo pragnął wnuczki. Zgodnie z ostatnim życzeniem Maeve ochrzczono ją imieniem Megan. Jeśli plan adopcji się powiedzie, będzie nazywać się Megan Dalton. Niestety, sprawa zrzeczenia się praw rodzicielskich przez Talbota okazała się znacznie trudniejsza niż Tom sobie wyobrażał. Nie dlatego, by Teddy był tak bardzo przywiązany do dziecka. On sam nie stwarzał nawet takich pozorów. Od początku postawił sprawę jasno. Odda Megan, jeśli otrzyma pokaźną sumę pieniędzy. Najpierw wymienił sumę miliona dolarów i Tom zgodził się. Potem nienasycony i zachłanny Teddy podwyższył sumę. W końcu stanęło na pięciu milionach dolarów, choć Dalton był gotowy zapłacić i więcej, jeśli Talbot by tego zażądał. Zdecydował, że sprzeda wszystko, co tylko będzie możliwe, zastawi na hipotekę, zaciągnie pożyczki, ale nie pozwoli, by jego mała, biedna wnuczka pozostała choć dzień dłużej w rękach tego parszywego łajdaka. Na samą tylko myśl, iż życie Megan zależy od pozbawionego wszelkich skrupułów bandyty, dla którego własna córka jest tylko przedmiotem przetargu, Tom wprost odchodził od zmysłów.

Stary kamerdyner podszedł do drzwi. Kiedy otworzył je, na pograżonej w ciemnościach ulicy nie było żywej duszy, a na progu leżała jedynie owinięta w papier paczka.

— O co chodzi, James? — zawołał Tom schodząc ze schodów do hallu.

— Nie mam pojęcia, sir — odparł służący. — Zdaje się, że ktoś zostawił pod drzwiami jakiś pakunek.

— Daj mi go, James, ja go otworzę.

Służący schylił się, by podnieść tajemniczą przesyłkę. Potem trzymając ją ostrożnie, jakby obawiał się, że w każdej chwili może eksplodować, podał ją swojemu panu.

— Czy to wszystko, sir? — spytał ocierając pot z czoła.

-Tak, tak... możesz iść, James.

Tom odwrócił się i poszedł na górę do swojej sypialni. Na paczce wypisano jego adres, nie było natomiast żadnej informacji o nadawcy. Usiadł na brzegu łóżka i trzymając paczkę na kolanach zaczął ją rozpakowywać. W środku pudełka znajdowała się koperta i małe zawiniątko poplamione krwią. Była to najohydniejsza część ciała Teddy'ego Talbota. W kopercie umieszczono podpisany przez Tedda akt zrzeczenia się wszelkich praw rodziciel-

skich do Megan oraz kawałek papieru, na którym napisano dwa zdania: „Theodor Talbot nie zrobi już krzywdy żadnej kobiecie. Nasz dług jest spłacony”.

Przez moment Tom sądził, że to sen. Potem powróciły do niego bolesnewspomnienia. Przypomnił sobie o śmierci żony, o tym, jak własnymi rękoma zamordował Vincenzo i jego goryli, i o wizycie, którą przed laty złożył mu don Enzo Narducci. Jak to było jednak możliwe, by Enzo dowiedział się o całej sprawie z Teddem, o tym, że doprowadził on Meave do śmierci? Tom zrobił przecież wszystko, by ta historia nie przedostała się do gazet. Całą prawdę znało zaledwie kilka osób... Pomimo upływu lat dokładnie pamiętał tego niskiego, korpulentnego mafioso, który niespodziewanie zjawił się w jego gabinecie.

„Spłacimy nasz dług” — powiedział wtedy Enzo. Teraz udało mu się zmusić Talbota do podpisania aktu zrzeczenia się praw rodzicielskich.

Nieważne, że dokonał tego Narducci... Tom nie dbał o to. Najważniejsze, że Megan była bezpieczna. Teraz już nic złego jej się nie stanie. Tom uczyni wszystko, by zabezpieczyć jej przyszłość. Dalton nie mógł jednak opędzić się od wrażenia, że i tym razem los zakpił z niego. W ten niespodziewany bowiem sposób dobiegło końca dwadzieścia lat wendety pomiędzy nim a sycylijską mafią. Zakrwawiony strzęp ciała, którym pan Talbot afiszował się w nowojorskich i bostońskich burdelach, miał być, o ironio losu, ostatnim aktem tej długiej historii. A historia ta mówiła o tragicznej śmierci Deidry z rąk okrutnych oprawców i o niešťęśliwej miłości Meave, która kosztowała ją życie.

Teraz te bolesne zdarzenia na zawsze odchodzą w przeszłość — „dług jest spłacony”.

Billy z rosnącą fascynacją obserwowała, jak między Tomem i jego wnuczkąawiązuje się głębokie uczucie. Było coś wyjątkowego w tym bezgranicznym przywiązaniu starszego mężczyzny do małego dziecka, które dopiero co przyszło na świat. Można było odnieść wrażenie, że poprzez to właśnie uczucieTom miał nadzieję uchronić to, co w jego pamięci było mu najbliższe: miłość, szacunek i przywiązanie do Deidry i Maeve. Teraz pragnął przelać te uczucia na wnuczkę. Wielu ludzi dziwiło się, że Dalton obdarzał Megan tak bezgraniczną miłością. W rzeczywistości tylko Billy rozumiała prawdziwe powody jego uczuć. Megan stała się dla Toma ostatnią szansą, by połączyć szczęśliwie przeszłość z przyszłością, a tym samym odkupić własne winy. Tym razem nie popełni już błędów. Teraz zaopiekuje się małą dziewczynką, będzie dbał, by wyrosła na odważną, mądrą i świadomą swych pragnień kobietę.

— Czy to nie jest wspaniałe, Billy? — powtarzał często. — To tak, jakby życie ponownie dawało mi szansę. Nie potrafiłem ochronić Maeve. Teraz mam sposobność dać jej dziecku całą miłość i ciepło, jakie od śmierci Deidry wzięłem w swoim sercu.

To było dość niezwykle wyznanie jak na mężczyznę, który przeżył już pięćdziesiąt sześć lat.

Jakiś młody człowiek czeka na zewnątrz i chce się z panem zobaczyć, sir — oświadczył sekretarz Toma, pan Delaney, który od przeszło dziesięciu lat pracował w biurze Daltona. — Niestety, nie jest z panem umówiony — dodał z wyraźną irytacją w głosie. Pan Delaney był pedantem i perfekcjonistą, dlatego każde zdarzenie, które nie znalazło wcześniej swego miejsca w terminarzu szefa, doprowadzało go do szału.

Tom spojrział na Delaneya nieobecny wzrokiem. Od godziny pochłonięty był studiowaniem nowego kontraktu, który firmie „M and D” miał przynieść przeszło dwa miliony dolarów zysku. Tom posiwał przez ostatnie lata. Na jego twarzy pojawiły się pierwsze wyraźne zmarszczki. Chociaż jednak większość czasu spędzał przy biurku, nic nie stracił ze swej wewnętrznej siły i życiowej energii.

— Czy powiedział, o co mu chodzi?

— Powiedział, że chciałby porozmawiać o pewnym obiedzie, który pan mu zafundował, kiedy był głodny i nie miał grosza przy duszy, sir. Jeśli mam być szczery, ten człowiek nie wygląda teraz na kogoś, komu brakuje pieniędzy lub jedzenia.

— Najlepiej będzie, jeśli go wpuścisz do mnie. Niech sam powie, o co mu chodzi.

Pan Delaney, nerwowy, szczupły mężczyzna o pociągłej końskiej twarzy, skierował się w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się, jakby coś sobie przypomniał.

— Zupełnie zapomniałem, sir. Ten mężczyzna przedstawił się jako Jack Cavanaugh.

Jack Cavanaugh okazał się wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o pięknych, długich czarnych włosach, kontrastujących z jego jasną cerą, i oczach pełnych wyrazu. Od pierwszego momentu zrobił na Tomie bardzo korzystne wrażenie. Jego uwagi nie uszedł także fakt, iż młody mężczyzna był niezmiernie starannie i elegancko ubrany.

— Czy miałem już przyjemność gdzieś pana poznać? — spytał Tom na powitanie.

— Tak, miał pan przyjemność uratować mnie od śmierci głodowej, kiedy mieszkałem w bostońskich slumsach, sir — padła odpowiedź.

— W takim razie jest pan w lepszej ode mnie sytuacji...

Tom przerwał. Czy to możliwe? Przypomniał sobie pewnego chłopca, który nie mogąc zdobyć jedzenia w inny sposób, okradał przechodniów na ulicach Bostonu. To było wiele lat temu i zapewne nieletni złodziejasek wyrósł w tym czasie na dorosłego mężczyznę. Jednak młody człowiek, który stał teraz przed jego biurkiem, sprawiał wrażenie wykształconego i zamożnego. To niemożliwe, by...

— Tak, panie Dalton, to ja jestem tym chłopcem, który usiłował ukraść panu zegarek — odparł Jack, zupełnie jakby potrafił odczytać z twarzy Toma jego myśli. — A raczej to ja nim byłem. Od tego czasu bowiem wiele zmieniło się w moim życiu.

— Sądząc z pana wyglądu, musiały to być zmiany nie byle jakie. — Tom wskazał na stojący przy jego biurku fotel. — Usiądź, proszę, chętnie wysłucham historii o twojej przemianie. Często wracałem we wspomnieniach do dnia, w którym spotkaliśmy się w Bostonie... Jeśli kradzież zegarka można określić mianem spotkania. Często też zastanawiałem się, co stało się później ze sprytnym i dumnym Jackiem Cavanaughem.

— Panie Dalton, rzeczywiście historia mego życia może wydać się wręcz nieprawdopodobna. Chętnie o niej opowiem, ale dopiero podczas obiadu, na który chciałbym pana zaprosić. Jeśli nie będzie miał pan nic przeciwko temu, zjemy go dzisiaj w Waldorf-Astoria, gdzie się zatrzymałem. Mam zamiar złożyć panu także pewną bardzo interesującą, jak sądzę, propozycję.

Tom uniósł wysoko brwi. Zamierzał wprawdzie dzisiejszego dnia pójść z biura prosto do domu, niemniej ciekawość, jaką wzbudził w nim jego nieoczekiwany gość, była przeogromna.

— Panie Cavanaugh — Tom uśmiechnął się. — Czuję się zaszczycony. Pozwoli pan jednak, że przedtem dam znać mojemu kamerdynerowi, by przygotował dla nas na wieczór dobrą kawę i wyjął z piwnicy najstarszą butelkę porto.

Tom wrzucił do szuflady plik nie przeczytanych dokumentów, zamknął ją na klucz, po czym wyszedł z biura w towarzystwie swego gościa.

Obaj mężczyźni siedzieli przy okrągłym stoliku przykrytym jedwabnym obrusem w samym środku olbrzymiej jadalnej sali hotelu Waldorf-Astoria. Obsługiwało ich pięciu ubranych w czarne fraki kelnerów.

— Od czasu naszego spotkania w Bostonie wiele wydarzyło się w moim życiu — mówił Jack. — Właściwie nie wiem, od czego zacząć.

Młody człowiek z roztargnieniem odsunął od siebie poślaczany porcelanowy talerz. Był wyraźnie zmieszany i czuł się trochę nieswojo.

— Mamy przed sobą cały długi wieczór, panie Cavanaugh — powiedział Tom rozba-
wiony nieśmiałością Jacka. — Biorąc pod uwagę niesamowitą przemianę, jakiej pan uległ, historia pańskiego życia musi być bardzo ciekawa.

— Może najlepiej zacznę po prostu od początku. Jak pan zapewne pamięta, byłem sierotą. Wałęsałem się po Bostonie do szesnastego roku życia, a potem wyruszyłem na poszukiwanie mojego szczęścia, wierząc, że jest mi ono pisane.

Nasłuchałem się historii o poszukiwaczach złota na Alasce, o szczęściarzach, którzy z dnia na dzień stawali się milionerami. Dlatego zdecydowałem się pojechać nad rzekę Yukon i tam walcząc z zimmem i samotnością odnaleźć swoją własną drogę do bogactwa. Z początkiem zimy przybyłem do Dawson, miasta, które słynęło z ciągłych bójek, tajemniczych morderstw i łatwych kobiet...

Jack zaśmiał się znacząco. Tom nie miał wątpliwości, że Cavanaugh przy swojej urodzie musiał cieszyć się dużym wzięciem u kobiet, nie tylko łatwych.

— W faktorii w Dawson spotkałem pewnego człowieka. Był już bardzo stary, a mimo to pełen życia i energii. Próbował namówić mnie, bym oprócz poszukiwania złota zajął się także czytaniem książek. Nie miałem wówczas żadnego wykształcenia, a czytanie sprawiało mi wielką trudność. Wstyd przyznać się do tego teraz, ale wtedy myślałem, że ów człowiek jest jakimś oszustem, który chce mnie wykiwać. Nie rozumiem, dlaczego tak wtedy pomyślałem. Ostatecznie nawet jeśli rzeczywiście był oszustem, to co, na Boga, mógł mi wtedy ukraść? Po pewnym czasie przekonałem się jednak do niego. Żyliśmy razem, pracując całymi dniami przy poszukiwaniu złota. Przy nim szybko nauczyłem się, jak nie być Cheechako.

Tom spojrzął na Jacka.

— Tak nazywano wszystkich początkujących amatorów złota na Alasce. Zieloni jak trawa, na ogół nie byli w stanie przetrwać pierwszej zimy — tak mawiał o nich Ned. Ned Fortnum, tak nazywał się mój przyjaciel. Bez jego pomocy nie przeżyłbym pierwszej zimy. To był bardzo dobry człowiek. Pochodził z bogatej rodziny, studiował na Harvardzie. Wybrał samotne i surowe życie pełne niebezpieczeństw po zawodzie miłosnym, który go spotkał za młodu. Dziewczyna, którą kochał, wyszła za męża za jego brata. Kiedy się o tym dowiedział, porzucił wszystko i wyruszył na północ. W końcu trafił nad Yukon wiele lat przede mną.

Kelnerzy dyskretnie uprzątnęli stół po obiedzie i podali kawę w pięknych, chińskich filiżankach z porcelany.

— Wydaje mi się, że bardzo się pan przywiązał do tego człowieka, panie Cavanaugh. Czy mam rację?

— Zawdzięczam mu wszystko. Nauczył mnie czytać i pisać. Otworzył przede mną świat literatury. Trudno w to uwierzyć, ale w swoim malutkim mieszkanku pośród lodów Alaski, na kompletnym odludziu, gdzie diabeł mówi dobranoc, Ned Fortnum zdołał zgromadzić imponującą bibliotekę. To była jedyna nić, która łączyła go z cywilizowanym światem. Często czytałem mu na głos. Wówczas uważałem to za dość uciążliwy obowiązek, ale teraz rozumiem, że Nedowi bardziej chodziło o mnie niż o niego. W ten sposób poznałem cały dorobek najszlachetniejszych myślicieli wszystkich wieków i pojąłem, że kryje się we mnie nienasycone pragnienie zdobywania coraz większej wiedzy. Nasze wspólne życie układało się bardzo harmonijnie. Mieliśmy tylko jeden problem, a właściwie ja go miałem. Podczas

gdy dla Neda liczyły się tylko książki, już choćby z racji jego wieku, dla mnie kobiety wciąż odgrywały pierwszorzędną rolę. Pewnej nocy wybrałem się do Dawson. Miałem tam upatrzoną w saloonie pewną dziewczynę imieniem Lola. Ładna była bestyjka, a ja już od miesiąca siedziałem tylko, kopałem w ziemi i czytałem książki Neda. Kiedy przyszedłem, właśnie siedziała obok pewnego faceta, szulera, który ogrywał jakiegoś jelenia na dużą forszę w pokera. Kiedy spostrzegłem, że oszukują razem z dziewczyną, po prostu wściekłem się i dałem facetowi po mordzie. Ten łajdak miał jednak przy sobie pistolet, wyciągnął go i strzelił. Kula przeszła o milimetr od mojej głowy i trafiła jedną z dziewczyn tańczących na scenie. Rana była śmiertelna. Dziewczyna miała zaledwie siedemnaście lat...

— Przymknęli pana?

— Tylko na tydzień. Potem wypuścili mnie za poręczeniem Neda. Nad Yukonem prawo rządzi się swoimi własnymi zasadami. W takich wypadkach sprawiedliwość zazwyczaj wymierza rodzina poszkodowanego. Śmierć jest tam czymś powszednim. Po tym wypadku ze strzelaniną w saloonie bardzo się zmieniłem. Nie były to wyrzuty sumienia, ale zrozumiałem, że życie potrafi być bezwzględne. Ned coraz bardziej podupadał na zdrowiu, a ja opiekowałem się nim jak syn chorym ojcem. Uczył mnie historii, geografii, matematyki. Rozbudził ciekawość i ambicje. Był człowiekiem o gołęmbim sercu. Nigdy nie miałem rodziny, on mi ją zastąpił. Traktował mnie jak syna.

— No dobrze, panie Cavanaugh, ale to wszystko w niczym nie tłumaczy pańskiej cudownej przemiany... — Tom zdradzał pewne oznaki zniecierpliwienia.

— Jeszcze tylko trochę i dowie się pan wszystkiego. Otóż Ned z każdym dniem tracił siły. Nie miałem wątpliwości, że umiera. W słoneczne dni wyciągałem go z łóżka, owijałem kocami i pomagałem wyjść na dwór. Tam siedział w śniegu i podziwiał surowy krajobraz Klondike. Nigdy nie rozumiałem, co on widzi w tej lodowej pustyni, ale najwyraźniej był oczarowany widokiem pokrytych śniegiem świerków i niekończących się białych, iskrzących w słońcu pól.

Jack przerwał na chwilę, by napić się kawy.

— Moim jedynym zmartwieniem była obawa, że pewnego dnia nie znajdę na naszej działce ani okruszyny złota i będę musiał opuścić Neda, by szukać innej pracy. Nie potrafiłbym tego zrobić. Tak więc zrezygnowałem z marzeń o bogactwie i postanowiłem pozostać z przyjacielem na dobre i złe, całkowicie oddając się czytaniu książek i pogłębianiu wiedzy. Ned przywiązywał ogromną wagę do mojej nauki. Dlatego uczyłem się wszystkiego. Chciałem w ten sposób spłacić dług wdzięczności za wszystko, co dla mnie przez te lata zrobił. Pewnego ranka był już tak osłabiony, iż z trudem zdołał przejść parę kroków od swego łóżka do fotela. Wiedziałem, że jego śmierć jest już kwestią zaledwie dni. „Jesteś dobrym człowiekiem, Jack” — powiedział do mnie tuż przed śmiercią. — „Sam nawet nie wiesz, jak bardzo dobrym. Kiedy umrę, możesz wziąć, co tylko zechcesz. Nie zapomnij o Dickensie. To mój testament dla ciebie”. Ned dobrze wiedział, jak lubiłem tego autora, a zwłaszcza „Opowieść

o dwóch miastach", dlatego sądziłem, że chce mi podarować książkę jako pamiątkę. Zmarł tego samego dnia w nocy. Przyznam się, że siedziałem przy nim aż do rana i płakałem jak małe dziecko. On był moim jedynym przyjacielem, całą moją rodziną. Nigdy od nikogo nie otrzymałem tyle miłości.

Dlatego kiedy mnie opuścił na zawsze, poczułem się tak, jakby cały mój świat pogrążył się w ciemnościach.

Jack spuścił nisko głowę, jakby bał się, że siedzący naprzeciwko mężczyzna może spostrzec wzruszenie na jego twarzy.

— Ubrałem Neda w jego futro z kapturem i opatuliłem kocami, aby nie było mu zimno. — Uśmiechnął się na wspomnienie tego sentymentalnego gestu. — Zacząłem pakować swoje rzeczy, choć prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, dokąd mógłbym się udać.

Jack wyjął z wewnętrznej kieszeni swojej marynarki dużą kopertę. Przez chwilę trzymał ją w ręku, jakby zastanawiał się nad czymś, po czym wręczył ją Daltonowi.

— Ten list znalazłem w książce Dickensa...

List napisano starannym, eleganckim, kaligraficznym pismem, choć pewne drżenie linii świadczyło, iż ręka autora nie była już silna i pewna.

Mój drogi Jacku Cavanaugh,

Przed laty Pan Bóg wysłuchał modlitw samotnego człowieka i sprawił, iż pewnego dnia stanąłeś na progu mojego domu. Od tamtego czasu wiele dowiedziałem się o tobie, mój wierny towarzyszu niedoli. Mam nadzieję, że nie potraktujesz tego wyznania jako dowód sentymentalizmu starego człowieka, ale przez te wszystkie lata byłeś dla mnie moim drogim uczniem, moim przyjacielem i moim duchowym synem. Drzemią w tobie siły, które, być może, już wkrótce uczynią z ciebie wielkiego człowieka. Masz również i wady, ale one są przecież przypadłością każdego śmiertelnika. Ponieważ jesteś najdroższą mi osobą i jako że żywię prawdziwy podziw dla szlachetności twego serca i duszy, postanowiłem pozostawić ci o sobie dwa cenne prezenty. Mam nadzieję, że wartość zarówno pierwszego, jak i drugiego oszacujesz należycie.

Pierwszy prezent ode mnie to szczere wyznanie o tobie. Jesteś bowiem bardzo inteligentnym człowiekiem. Twój umysł zadziwia mnie bystrością i zdolnością analitycznego spojrzenia na świat. Ale i twoje serce w niczym nie ustępuje inteligencji, Jack. Dałeś tego wystarczające dowody podczas ostatnich miesięcy. Chociaż nie łączyły nas żadne więzy pokrewieństwa ani żadne materialne zależności, ty postanowiłeś pielęgnować mnie, starego, zniechęconego człowieka, jakbym był dla ciebie prawdziwym ojcem. Twoje wady nie są tak straszne. Powinieneś jednak zwrócić na nie uwagę, a przede wszystkim na swój niepokonany pociąg do kobiet, który już raz przysporzył ci niemało kłopotów. Nie myśl, że obce mi

są namiętności, które zajmują umysł większości mężczyzn. Kobiety i pieniądze tworzą świat, w którym wyznaczamy sobie cele i obieramy ścieżki życia. Jeśli chodzi o pieniądze, to przynajmniej, że nie byłem z tobą całkiem szczerzy. Ukryłem przed tobą prawdę z dwóch powodów: bałem się, że pieniądze mogą zatruć twoją czystą i szlachetną duszę, a z drugiej strony, nie przeczę, chciałem zatrzymać cię przy sobie jak najdłużej. Widzisz, Jack, jestem bogatym człowiekiem, bardzo bogatym. Zdecydowałem się żyć na odludziu jak ubogi człowiek po to, by uciec od bogactwa, które zawsze mi ciążyło. Wiem, że tylko niewielu może zrozumieć podobną decyzję. W dzisiejszych czasach ludzie mają oczy w kształcie banknotów, oglądają świat poprzez cyfry. Już niedługo nikt nie zrozumie sensu życia, nikt nie powie „prawo moralne we mnie, niebo gwiazdzone nade mną”, ale będzie się wyłącznie pytał, ile to kosztuje... Nigdy nie potrzebowałem pieniędzy, ale teraz zmieniłem zdanie. To, czego jeden człowiek nie potrafi wykorzystać, inny może użyć do wielkiego celu. Weź te pieniądze, są w bankowym depozycie w Dawson — i działaj. Zawsze będę przy tobie i zawsze otrzymasz moje błogosławieństwo, bowiem wierzę, że nigdy nie sprzeniewierzysz się zasadom, które ci wpoilem.

Twój przyjaciel, Ned

Jack pokiwał głową.

— Oprócz listu w kopercie znajdował się jedynie klucz i numer depozytu. Kiedy poszedłem do banku i otworzyłem kasetę, stało się dla mnie jasne, że zostałem milionerem.

— No, niezłe! — powiedział Tom z podziwem. — Ale dlaczego od razu zdecydował się pan pójść na uniwersytet w Cambridge? Każdy inny młody człowiek z taką forszą albo zacząłby robić interesy, albo udałby się w fantastyczną podróż dookoła świata...

— Myślę, że w pierwszym rzędzie zrobiłem to dla Neda. Zawsze marzyłem, abym zdobył wykształcenie. Uważałem, że tylko w ten sposób mogę wyjść naprzeciw swemu przeznaczeniu.

Jack uśmiechnął się i dodał:

— Zrobiłem to oczywiście także dla siebie.

— A co teraz, panie Cavanaugh? Co zamierza pan zrobić ze swoją fortuną i wspaniałym wykształceniem?

— No właśnie, panie Dalton, właśnie w tej sprawie chciałem się z panem spotkać. Czy byłby pan gotów zatrudnić mnie u siebie jako praktykanta? Przyznam, że pilnie odrobiłem pracę domową i zdobyłem wszelkie informacje o pańskiej firmie. Myślę, że moje doświadczenia mogą okazać się przydatne. Przemysł drzewny poznałem od podszewki, sam pracowałem trochę przy wyrębie lasów na Alasce. Dobrze znam rynek złota, posiadam także kilka złotodajnych działek w górach Klondike. Jednak najważniejsze są moje chęci. Potrafię ciężko pracować, a prowadzenie spraw finansowych nie jest mi obce.

Jack zrobił pauzę. Tom był wyraźnie zakłopotany, chciał coś powiedzieć, ale młody człowiek nie dał mu dojść do głosu.

— Nie musi mi pan dawać odpowiedzi od razu. Jeśli pan pamięta, podczas naszego spotkania w Bostonie powiedziałem, że Jack Cavanaugh jest dumnym człowiekiem. Nie dlatego zaprosiłem pana na obiad, by zrobić dobre wrażenie, i nie oczekuję jakiegoś specjalnego traktowania z pańskiej strony. Nie chcę też przychodzić do pańskiej firmy z pustymi rękami. Jeśli zgodzi się pan przyjąć mnie na swojego asystenta, zrezygnuję z wynagrodzenia za moją pracę. Jeśli pomyślnie przejdę przez okres próbny, zobowiązuję się, przy zachowaniu pełnej dyskrecji, zainwestować swoje pieniądze w któreś z pańskich przedsięwzięć. Prowadzę je przy pańskiej całkowitej kontroli. Wszelkie zyski będziemy dzielić po połowie.

Tom wziął srebrną łyżeczkę do ręki i powoli mieszał zimną kawę w filiżance.

— Szczerze mówiąc, panie Cavanaugh — odparł po namyśle — pańska propozycja jest bardzo korzystna...

— Czy to oznacza zgodę, panie Dalton? — rozpromienił się Jack.

— Nie, panie Cavanaugh, to nie oznacza zgody, choć jednocześnie nie wyklucza pewnej kontrpropozycji. Jestem gotów zatrudnić pana jako stażystę na rok. Będzie otrzymywał pan comiesięczne wynagrodzenie odpowiednie do pańskich wysiłków i efektów pracy. Zamierzam traktować pana na tych samych zasadach co pozostałych pracowników. Po upływie roku, jeśli wszystko będzie przebiegać pomyślnie, wspólnie rozważymy możliwości bliższej współpracy na warunkach, które będą odpowiadać obu stronom. Jeśli zaś nie, rozstaniemy się bez urazy. Czy akceptuje pan takie warunki, panie Cavanaugh?

— Z jednym wyjątkiem. Mów mi Jack.

Mężczyźni podali sobie ręce na znak zgody. W ten sposób dobili targu, który położył solidny fundament pod ich wieloletnią przyjaźń.

— Czy mógłbyś mi wyjaśnić, Jack, dlaczego po tylu latach, nie wiedząc o mnie prawie nic, zdecydowałeś się zaufać mi i złożyć tak korzystną propozycję?

Jack Cavanaugh uśmiechnął się:

— Kiedyś Ned Fortnum, świeć Panie nad jego duszą, powiedział do mnie: „Zbyt długo byłem sam”.

Tej nocy Tom Dalton długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, nie mogąc opędzić się od wspomnień. Był ciekaw, co by powiedział Jim, gdyby wiedział o jego nowym protegowanym. Tom nie miał złudzeń. Bez względu na to, jak bardzo utalentowanym biznesmenem był jego syn Rory, nigdy nie może liczyć z jego strony na głębsze uczucie czy choćby przyjaźń. W przeciwieństwie do niego Jack był wprost wymarzoną współpracownikiem.

Riordan Dalton był dobrym biznesmenem. Po swoim dziadku odziedziczył bezwzględność, a po ojcu łut szczęścia, który pozwalał mu wyjść zwycięsko ze wszystkich operacji. Dawało mu to poczucie pewności siebie, które z czasem zaczęło przeradzać się w zarozumiałość i opór. Rory miał niewielu przyjaciół, za to otaczała go cała masa popleczników. Należał do najlepszych klubów w mieście, oczywiście tych, które akceptowały katolików. Obracał się w najwyższych sferach towarzyskich. Ożenił się z Cynthią Braithwaite, której matka pochodziła z bardzo dobrej rodziny Harknessów. Jej przodkowie nosili również tak znakomite nazwiska jak Vanderbilt i Astor. Dlatego ludzi należących do nowojorskiej elity dziwiło, że tak dobrze urodzona panna jak Cynthia wybrała sobie za męża faceta, którego przodkowie uprawiali ziemniaki, choć żaden z nich nie lekceważył oczywistych korzyści materialnych, jakie Braithwaite'owie zyskiwali na tym małżeństwie.

Jack Cavanaugh starał się trzymać od spraw rodziny jak najdalej, zawsze ustępując z drogi Rory'emu.

— Syn zawsze pozostaje synem, Tom — powiedział Jack do swego pracodawcy. — Nie chcę stwarzać wrażenia, że roszczę sobie prawa do czegoś, co do mnie nie należy.

Minął już rok, od kiedy Jack zaczął praktykować u Daltona. Przez ten czas dał dowody swojego talentu, pracowitości i lojalności.

— Zróbmy tak, jak umówiliśmy się przed rokiem — kontynuował. — Dasz mi poprowadzić jakiś interes, może dwa, skontrolujesz, czy nauczyłem się wystarczająco dużo, by móc samodzielnie działać. Nie chcę, by Rory pomyślał, że zamierzam wysadzić go z siodła.

— Mam poważne plany związane z tobą. Chcę, byś pracował w firmie jako moja prawa ręka. Nie będę ci robił żadnych przeszkód, jeśli zaczniesz prowadzić interesy na własny rachunek. Nie zamierzam marnować twoich talentów i zdolności. Nie po to uczyłem cię przez cały rok. I nie obchodzi mnie, co o tym sądzi Rory.

W ten sposób pomimo obiekcji ze strony Jacka rozpoczęła się ich wieloletnia współpraca. Cavanaugh otrzymał wolną rękę i mógł w praktyce przekonać się, ile warte są jego umiejętności. Natomiast Tom stopniowo wprowadzał go we wszystkie tajemnice firmy. Nietrudno było zauważyć, że Dalton lubi swego wspólnika o wiele bardziej niż własnego syna. W dziwny sposób, od kiedy Rory ożenił się i miał własne dzieci, stał się dla Toma jeszcze bardziej odległy i obojętny. Riordan i Cynthia, jak pan Bóg nakazał, ciężko pracowali, by grono katolickiej gminy powiększyło się o kolejnych członków. Po trzech latach małżeństwa mieli już trójkę dzieci — dwójką chłopców natychmiast zajęła się rodzina matki, zaś dziewczynka trafiła do renomowanego i ekskluzywnego internatu dla dziewcząt. Tom nie czuł z tego powodu specjalnego urazu. Synową zawsze uważał za zimną rybę, a dzieci odziedziczyły po

niej chłód i flegmę. Dalton otaczał się tylko ludźmi, których kochał. Megan traktował z pobożną czcią jak świętość i swój największy skarb, a w sprawach biznesu całkowicie zdał się na Jacka. Jack i Megan, ta dwójka drogich mu osób, była jego ostatnią nadzieją na nieśmiertelność. Pragnął przekazać im to wszystko, czego sam nauczył się przez swoje długie i burzliwe życie. Kiedy człowiek przeszedł już tak długą drogę, zaczyna zastanawiać się, czy jego cierpienia, walka z przeciwnościami losu i ciągłe wyrzeczenia nie były nadaremne. Tom miał nadzieję, że nie.

— Powinniśmy kupić ziemię na Alasce i to teraz, zanim nie zostanie przekształcona w stan. — Jack z naciskiem podsumował sprawozdanie, które przedłożył swojemu szefowi.

— Alaska jest zbyt daleko i przy panującym tam klimacie jej eksploatacja jest niemożliwa. Poza tym Alaska nigdy nie będzie stanem! — natychmiast zaproponował Rory, dokładnie jak się tego spodziewał Jack. Pomysł wykupu ziemi na Alasce wiele znaczył dla Cavanaugha. Chciał pokazać Tomowi, iż jest nie tylko zdolny, ale potrafi prowadzić także ryzykowną i agresywną politykę inwestycyjną firmy.

— Jeśli polepszyć warunki transportu i zastosować najnowszą technologię, to klimat przestanie być jakąkolwiek przeszkodą. Poza tym taka inwestycja pozostawi naszych konkurentów daleko w tyle.

— Dopiero co zaczynamy wychodzić z recesji, Jack. Myślę, że tutaj na miejscu jest wystarczająco dużo do zrobienia. Uważam, że ryzykowne inwestowanie na Alasce może przynieść nam więcej strat niż zysków. Głosuję przeciw. — Głos Rory'ego był iodowaty.

— To prawda, że dopiero wychodzimy z recesji, Rory — Jack zareplikował niemal natychmiast. — Ale stoimy także w obliczu wojny, a wojna zawsze oznacza koniunkturę!

Tom, który w zamyśleniu przysłuchiwał się wymianie zdań pomiędzy tymi dwoma pełnymi temperamentu oponentami, drgnął, usłyszawszy ostatnie zdanie Jacka. Dokładnie tak rozumował Jim Mulvaney — „wojna zawsze oznacza koniunkturę”. Jim nie pomylił się wtedy.

Tom postanowił przerwać dyskusję. Zorientował się, że zaczyna się już zamieniać w zażartą sprzeczkę, w której górę biorą własne ambicje i animozje, a nie interes firmy. Tak było zawsze, kiedy Jack i Rory mieli odmienne zdania, a mieli je bez wyjątku zawsze.

— Panowie, obaj macie rację. Żyję wystarczająco długo, aby zrozumieć, że pewne rzeczy powtarzają się w historii.

Rory spojrział niechętnie na ojca.

— Czasy się zmieniają, ojcze...

— Ale natura ludzka pozostaje ta sama. — Rory skrzywił się, ale nic nie odpowiedział. — Hitler dostał Europę podaną na półmisku. To paranoik i na pewno nie zadowolony tym

łupem. Nasza ekonomia jest w rozpaczliwej sytuacji i potrzebuje bodźca, który zmusiłby ją do skoku naprzód. A wojna jest właśnie takim bodźcem, zawsze była. Przynosiła koniunkturę, dawała nowe miejsca pracy i nowe zamówienia. Kiedy tylko w Europie wybuchała wojna, dla nas w Ameryce rozpoczynał się czas robienia dużych pieniędzy. Obawiam się jednak — Tom wziął głęboki oddech — że na razie będę musiał wziąć stronę Rory'ego. Rzeczywiście, mamy u siebie wystarczająco dużo roboty przy zamówieniach rządowych na przewóz żywności i broni na stary kontynent.

Tom spostrzegł po minie Jacka, że chłopak poczuł się zdradzony.

— Rory, pojedziesz do Waszyngtonu i odnowisz stare znajomości. Kiedy wybuchnie wojna, musimy dostać najlepsze kontrakty. Już teraz trzeba wokół tego pochodzić.

Jack zaczął zbierać z biurka swoje papiery. Unikał spojrzeń Toma. Natomiast Rory nie potrafił ukryć radości z odniesionego nad rywalem zwycięstwa.

— Jack! — Tom zwrócił się do Cavanaugha obojętnym tonem. — Czy możesz jeszcze na chwilę zostać...

Kiedy Rory wyszedł z gabinetu, Jack ponownie usiadł na swoim miejscu.

— Gdyby od tego miała ucierpieć jego ambicja, byłby gotowy podciąć nawet gałąź, na której siedzi — burknął pod nosem.

Tom z trudem powstrzymał się od śmiechu.

— Masz oczywiście całkowitą rację, jeśli chodzi o inwestowanie na Alasce...

— To dlaczego, do cholery, robisz ze mnie idiotę przed twoim synem!

Tom uniósł wysoko brew. Nauczył się tego od Mulvaneya.

— Widzę, że musisz jeszcze wiele się nauczyć, chociażby dobrych manier. Tego nigdy nie jest za wiele. Jeśli będziesz w stanie powściągnąć swój temperament, będziemy mogli rozmawiać dalej.

Jack siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, dusząc w sobie wściekłość. Tom miał rację, zawsze brakowało mu tej umiejętności powstrzymywania własnych emocji.

— Stoimy wobec perspektywy wojny, a jednocześnie możemy zarobić dużo łatwych pieniędzy inwestując w kraju. Taki sposób myślenia na pewno wydaje ci się bardzo konserwatywny, zbyt mało ekspansywny, ale tak właśnie postępuje mój syn. Dzięki temu może spokojnie brylować w gabinetach Waszyngtonu, udawadniać, że jest niezmiernie inteligentny, nawiązywać nowe korzystne przyjaźnie z politykami. To jest jakiś sposób życia w tym kraju i przyznaję, wcale nie taki głupi. Natomiast inną sprawą jest, że Rory myli się co do przyszłości Alaski. To zawsze był sporny kawałek ziemi pomiędzy nami i Rosją. Dlatego nie sądzę, by nasz rząd pozostawił go teraz bolszewikom.

Alaska stanie się prędzej czy później kolejnym stanem Ameryki. I wierzę, że ten kraj, który przetrwał już niejedno, będzie w stanie stworzyć taką technologię, która umożliwi eksploatację cennych surowców nawet na Antarktydzie! Tak więc — Tom uśmiechnął się tajemniczo — jeśli rzeczywiście wierzysz w słuszność swojego planu, proponuję, byśmy zrealizowali go wspólnie, we dwójkę. Kupimy tę ziemię i całe to cholerne bogactwo, które kryje w sobie. Może ta inwestycja nie zwróci się za mojego życia, ale ty na pewno tego doczekasz. Zamierzam więc przepisać prawo własności ziemi na Megan, która oficjalnie będzie występować jako twój wspólnik. Co ty na to?

— Obiecuję, że od dzisiaj zacznę się uczyć dobrych manier — roześmiał się Jack.

— Dobre wychowanie czasami się opłaca, zwłaszcza jeśli idzie w parze z mądrością i doświadczeniem. Chcesz whisky? — Tom otworzył nową butelkę i nalał dwie pełne szklanki. Kiedy podał jedną Jackowi, młody człowiek bez namysłu wypił całą zawartość jednym haustem. Skrzywił się.

— Cholera, pali jak siarka. — Z ledwością mógł złapać oddech.

— To nie jest lemoniada. To się pije małymi łyżkami i delectuje smakiem — powiedział Tom z lekką nutą nagany w głosie.

Kiedy znów zasiadł za swoim biurkiem ze szklanką whisky w ręku, pomyślał, że po raz pierwszy od wielu lat czuje się naprawdę szczęśliwy. Towarzystwo Jacka bardzo mu odpowiadało.

— Ile czasu zajmie ci dokładne rozejście się w sytuacji? — spytał.

— Powiedzmy, że miesiąc, by pojechać na Alaskę, zrobić wszystkie ekspertyzy, przygotować dokumenty, dać łapówkę komu trzeba... w każdym razie niedługo.

— To dobrze. — Tom rozprostował nogi i oparł je o biurko. — Kiedy wrócisz, zajmiesz się pewną sprawą, która już od dawna chodzi mi po głowie.

— Co to takiego?

— Wszystko w swoim czasie. Najpierw skończ jedną rzecz, a potem zajmiesz się drugą.

Tom spędził całe popołudnie na rozmyślaniu o swojej przeszłości i czasie teraźniejszym. Zażyłość, która łączyła go z Jackem Cavanaugh, stawała się coraz głębsza. Dalton zastanawiał się, czy podczas pierwszych lat współpracy Jim Mulvaney obserwował go z takim samym życzliwym krytycyzmem jak teraz on Jacka. Młody człowiek odznaczał się wyjątkowym urokiem osobistym. Ludzie po prostu łączyli się do niego, a kobiety... no cóż, to była zupełnie osobna historia. Prawdę mówiąc, tylko tę niepokonaną niczym żądzą, która pchała go w coraz to inne nowe romanse, można było uważać za niewybaczalną wadę jego charakteru. Poza tym Jack był niemal ideałem. Doskonale radził sobie w biznesie, nie miał żadnych

problemów z podejmowaniem szybkich i trafnych decyzji, odznaczał się bystrym i zdyscyplinowanym umysłem. Wprawdzie jeszcze kilka lat temu, kiedy dopiero zaczynał w firmie Daltona, miał wiele braków i musiał dużo się nauczyć, to jednak naturalna skłonność zdobywania nowej wiedzy pozwoliła mu w szybkim tempie opanować tajniki prowadzenia interesów. Posiadał wyjątkową siłę ekspresji i umiejętność przekonywania do swoich racji. Dzięki temu szybko zyskiwał sympatię i miał wielu zwolenników.

Tom wziął do ręki plik dokumentów dotyczących nowych kontraktów na Alasce i uśmiechnął się pod nosem. Jack był w pewnym sensie podobny do Jima. Jeśli wyczuwał, że racjonalne, suche argumenty nie trafiają do przekonania słuchaczy, wówczas sięgał po patetyczne, teatralne gesty, które zawsze robiły pożądane wrażenie. I tym razem jego raport pełen był dramatycznych, pełnych entuzjazmu i namiętności zwrotów. Komuś o tak ciasnych horyzontach jak O'Reilly podobna argumentacja nie mogła przypaść do gustu. Od początku z niechęcią odnosił się do Jacka. W końcu złożył rezygnację tłumacząc, że jeden niezdyscyplinowany praktykant w jego życiu to wystarczająco dużo. O'Reilly skończył właśnie osiemdziesiąt jeden lat.

Tom pochylił się nad interkomem.

— Proszę połączyć mnie z panem Cavanaughem.

Po chwili w głośniku odezwał się głos Jacka.

— Czy coś się stało?

— Nie, chciałem zapytać tylko, czy dzisiaj wieczorem masz trochę czasu.

Jack był trochę zaskoczony tym pytaniem.

— Nie — odparł niepewnym tonem.

— Doskonale. Przyjdź do mnie około dziewiętej. Chciałbym cię poznać z pewną bardzo ciekawą osobą.

Kiedy Jack się wyłączył, Tom ponownie usiadł w fotelu i uśmiechnął się z satysfakcją. Od trzech lat Billy wprost terroryzowała go, by poznał ją z młodym wspólnikiem. Tom nie mógł się jednak zdecydować. Coś powstrzymywało go od tego kroku. Jego prywatne życie było owiane pewną tajemnicą i niechętnie wprowadzał do domu kogoś z zewnątrz. Ale właśnie tego dnia podczas lektury raportu, który przedstawił mu Jack, Dalton pojął, że jego wspólnik już dawno nie jest kimś z zewnątrz.

Elegancka, czarna limuzyna zatrzymała się na Siedemdziesiątej Drugiej ulicy przed rozświetlonym, pełnym gości domem. Szofer otworzył drzwiczki i z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn ubranych w smokingi. Tom przez całą drogę miał bardzo tajemniczą minę, choć podczas rozmowy sprawiał wrażenie jowialnego i promieniującego szczęściem. Kiedy stanęli przed drzwiami, Jack aż otworzył usta ze zdziwienia. W jednej chwili zorientował się,

gdzie przyjechali. To był najdroższy burdel w całym mieście. Był w nim raz, ale nigdy potem już sobie na to nie mógł pozwolić. Nawet dla niego ceny były tu za wysokie.

— Przecież to dom panny Billy.

— Zgadza się — Tom był wyraźnie rozbawiony jego zdziwieniem. — To moja stara przyjaciółka i chciałbym, żebyś ją poznał.

— Ostrzegano mnie, że ceny są tutaj astronomiczne, i to prawda.

— Och, z pewnością nie dla kogoś, kto jest właścicielem tej budy.

— Chryste! — Jackowi po prostu odjęło mowę.

— Zaskoczony?

— Jak cholera. W jaki sposób stałeś się właścicielem...

— Burdelu? To długa historia. Myślę, że najlepiej opowie ją Billy. To najbardziej wyjątkowa kobieta, jaką kiedykolwiek miałeś sposobność spotkać w życiu. Dlatego uważaj na twoje maniery, zrozumiano? Jeśli się jej spodobaś, to wierz mi, że będzie to dla ciebie zaszczyt. Będziesz wówczas jednym z nielicznych.

Kobieta, która wyszła im naprzeciw, oczarowała Jacka już przy pierwszym spojrzeniu. Trudno było ocenić, ile miała lat — coś pomiędzy czterdziestką a wiecznością. Ubrana była w czarną suknię, która prowokacyjnie odsłaniała jej jedno ramię.

— Z niecierpliwością oczekiwałam tego spotkania, Jack — jej głos był niski i namiętny. Ta kobieta wprost promieniowała zmysłowością. Ta cecha robiła największe wrażenie, potrafiła nawet przyćmić jej oszałamiającą oryginalną urodę i zaskakującą harmonię ruchów.

— Gdybym tylko wiedział o pani istnieniu, madame, oczekiwałbym tego spotkania z równą niecierpliwością — odparł z takim entuzjazmem, iż kobieta roześmiała się urzeczona jego szczerością.

Tom zdjął smoking, powiesił go na wieszaku i usiadł wygodnie na kanapie. W tym geście kryło się pewne ostrzeżenie, jakby chciał dać do zrozumienia, że to jego terytorium. Billy spostrzegła to. To było zabawne, że po tylu latach Dalton nagle przeszedł do obrony. Był zazdrosny i to na pewno satysfakcjonowało Billy.

Dla Jacka był to pamiętny wieczór. Nadskakiwał pięknej kobiecie od momentu, kiedy przekroczył progi jej domu. Był nią zachwycony. Także zachowanie Toma było dla Cavanaugha prawdziwą niespodzianką. Był w doskonałym humorze, sypał dowcipami, śmiał się, wprost emanował radością. Nigdy dotąd Jack nie widział swego szefa w tak doskonałym nastroju. Najwyraźniej obecność Billy dobrze na niego działała. Czuł się przy niej znacznie młodszy, wyzbywał się tego sztucznego, trochę sztywnego sposobu zachowania, z jakim kojarzyli go pracownicy firmy. Można było odnieść wrażenie, że Billy jest dla niego jakąś oazą

spokoju. To było jednak zupełnie niepojęte. Jack nigdy nie pomyślałby, że ten dobrze wychowany, perfekcyjny w działaniu, nieco oschły w kontaktach z ludźmi starszy mężczyzna jest kochankiem jednej z najpiękniejszych i najbardziej popularnych w Nowym Jorku kobiet. Po tym spotkaniu odczuwał dla Toma jeszcze większy podziw i jednocześnie nie mógł się wprost doczekać ponownego spotkania z Billy.

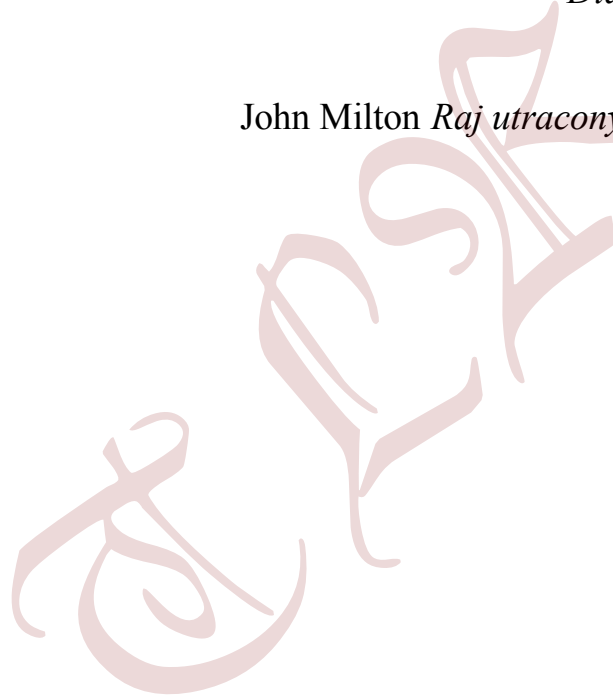
WYKŁAD

KSIĘGA VII

Megan Dalton

*I tak, trzymając się za ręce, doszli
Samotnie do swej szczęśliwej siedziby;
Było to miejsce, które sam Ogrodnik
I Władca wybrał, gdy układał wszystko
Dla radosnego użytku człowieka*

John Milton *Raj utracony* (tłum. Maciej Słomczyński)



Megan Dalton była istotą o nieprzeciętnej urodzie. Jasna, mleczna cera, odziedziczona po irlandzkich przodkach doskonale harmonizowała z długimi, miękkimi jak aksamit blond włosami. Jej śmiech tak często rozlegający się w starym domu Daltonów przypominał dźwięk tysiąca małych srebrnych dzwoneczków. Tom kazał pomalować wszystkie pokoje jasnymi, pastelowymi kolorami, by świat otaczający jego wnuczkę był zawsze jasny i pogodny.

— Moja dziewczynka nie będzie żyła w mroku — powiedział zdziwionemu niecodziennym gustem klienta dekoratorowi wnętrz.

Tom prowadził z Megan nie kończące się rozmowy. Uczył ją w ten sposób poezji, historii, greki i łaciny, jakby nauka była jedynie przyjemną grą salonową. Dziewczyna promieniowała wprost radością i energią życia. Pod tym względem była całkowitym przeciwieństwem swej mało odpornej, wrażliwej i nieśmiałej matki. Uwielbiała siadać na kolanach Toma i godzinami słuchać opowieści o Irlandii, Bostonie i Nowym Jorku. Na pierwszy rzut oka taka zażyłość mogła wydawać się nawet niestosowna. Tak też pomyślał Jack, kiedy zobaczył ich po raz pierwszy.

Tom coraz bardziej odsuwał się od interesów, przekazując większość spraw Jackowi i Rory'emu. Niestety, jego niechęć wobec starszego syna pogłębiała się wraz z upływem lat, choć w dalszym ciągu żywił podziw dla finansowych zdolności swego pierworodnego. Dzięki temu mógł całkowicie zdać się na niego w sprawach biznesu. Często rozmawiał z Jackiem o swoim synu, wypytyując go o postępy Rory'ego. Podświadomie pragnął bowiem, by jego niechęć do syna okazała się niesłuszna. Najwyraźniej sam nie był pewien swoich uczuć.

— On ma bystry umysł, a ciężka praca sprawia mu przyjemność — mówił Jack. — Ale w jego zachowaniu wyczuwa się jakąś głęboką urazę, jaką żywi do swego otoczenia.

— Wiem, że mój syn nie darzy mnie sympatią — powiedział Tom ze smutkiem. — On stwarza wokół siebie atmosferę niezdrowej konkurencji. Mam wrażenie, że za wszelką cenę stara się udowodnić, że jest lepszy ode mnie. To w pewnym sensie naturalne. Każdy człowiek pragnie, by jego dzieci zaszły w życiu dalej niż on sam.

— Tak, ale w jego przypadku to stało się chorobliwe. On jest po prostu zazdrosny o wszystko, nawet o Megan.

— Przecież ona jest jeszcze małym dzieckiem.

— Wspomnisz moje słowa, on nie darzy jej sympatią. Ma do ciebie żal, że rozpiesz-
czasz dziecko Meave, podczas gdy na j ego dzieci nie zwracasz uwagi.

Tom uśmiechnął się zakłopotany.

— Tak, masz rację. Wolę Megan od dzieci tej zimmokrwistej, nudnej i głupiej gęsi, z
którą się ożenił.

— Czy wiesz, dlaczego jesteś tak niezwykłą osobą, Megan?

Tom siedział z wnuczką w cieniu rozłożystego drzewa nad brzegiem szumiącego stru-
mienia, który przepływał przez uroczą posiadłość Daltonów i wpadał do pobliskiego jeziora.

— Tak, dziadku.

— Dlaczego więc?

— Ponieważ taką chcesz mnie widzieć.

Tom uśmiechnął się, usłyszawszy tę zgrabną odpowiedź. v — To miło z twojej strony,
ale uważam, że nie jest to cała prawda.

Megan spojrzała na niego z zaciekawieniem graniczącym z uwielbieniem. To, co mó-
wił, zawsze wydawało jej się mądre i pouczające. Imponowało jej, że traktuje ją jak dorosłą
osobę. Uważała, że jest najlepszym dziadkiem pod słońcem.

— Musisz znać swoją wartość, Megan, by cenili cię inni i byś ty sama mogła sobie za-
ufać.

— Tak, dziadku.

— Zauważysz, że z czasem, kiedy będziesz stawała się dorosłą kobietą, nieuczciwe po-
stępowanie będzie przychodzić ci łatwiej. Niekiedy kłamstwo ułatwia życie i możesz dojść
do wniosku, że nie ma nic złego w przywłaszczeniu sobie cudzej własności. Poczucie bez-
karności pomaga w pozbyciu się wyrzutów sumienia.

— Wiem, że nie powinnam nigdy kłamać, ale czasami niania jest po prostu taka wścib-
ska...

— Tak dziecko, kłamstwo jest kuszące. Wyobraź sobie jednak, co by było, gdybyś na-
gle odkryła, że oszukuję ciebie i to w najważniejszych sprawach.

— Wierzyłabym ci tak samo mocno jak teraz.

Tom uśmiechnął się, usłyszawszy to pełne oddania wyznanie.

— Kłamcom stanowczo nie wolno ufać, wyłącznie ludziom szlachetnym! Musisz koniecznie pamiętać, że kiedy będziesz dobierać sobie przyjaciół, wpierw wejrzyj głęboko w ich serca.

— Zawsze poważnie traktuję twoje przestrogi, dziadku — powiedziała Megan z głęboką szczerością.

Tom był prawdziwie dumny ze swojej małej wnuczki.

Billy usłyszała natarczywe stukanie do drzwi. Siedziała właśnie przed lustrem i rozczesywała swe długie, lśniące włosy. Zawsze była z nich bardzo dumna, tym bardziej że nikt nie wierzył, by jej fantastyczna fryzura była naturalna. Uśmiechnęła się na myśl, że każdy mężczyzna z autentyczną fascynacją pieścił jej włosy i zachwycał się ich płowym kolorem.

Było już bardzo późno, w każdym razie Billy nie przyjmowała już żadnych wizyt. Z pewnym niepokojem otworzyła drzwi i zobaczyła w progu wystraszoną dziewczynę.

— Billy — mówiła cała roztrzęsiona. — Chodzi o Joannę, ma kłopoty. Jej klient jest całkiem pijany i zachowuje się agresywnie...

Billy skrzywiła się. Nie lubiła, gdy przeszkadzano jej. Podobne historie zdarzały się od czasu do czasu w każdym burdelu.

— Zawołaj Jocko, niech zrobi z tym facetem porządek.

Dziewczyna zawahała się przez chwilę.

— Ale to chodzi o syna pana Daltona, tego wielkiego, co ciągle się upija. Sądziłam, że to panią zainteresuje...

— Oczywiście, Alice. Dziękuję ci. Zajmę się tym. Gdzie oni teraz są?

— W zielonym saloniku. Czy zawołać także Jocko?

— Tak. — Billy szybko narzuciła na siebie jedwabny haftowany szlafrok, który Tom kazał kiedyś sprowadzić dla niej specjalnie z Japonii, i wyszła z pokoju.

Krzyki, które dochodziły z saloniku, słyhać było w całym domu. Co za wstyd dla Toma! Mieć świadomość, że jego rodzony syn jest kompletnym idiotą... Billy podeszła do drzwi i zastukała w nie energicznie.

— Spierdalaj! — z wnętrza pokoju dobiegł zachrypnięty, pijacki głos. Potem rozległ się huk łamanych mebli i krzyk przerażonej kobiety.

— Niech pan otwiera drzwi, panie Dalton, albo każę je wyważyć — powiedziała tonem, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że jej groźba zostanie spełniona. W kieszeni miała zapasowy klucz, ale chciała dać Seamusowi szansę zachowania twarzy. I rzeczywiście, po chwili dał się słyszeć zgrzyt zamka. Billy weszła do pokoju. W rogu na podło-

dze leżała Joanna, blada ze strachu. Na środku przy łóżku stał całkiem nagi, młody mężczyzna o aroganckiej i złej twarzy. Billy przez moment zawahała się. Zewnętrzne podobieństwo Seamusa do Toma było uderzające. Ta chwila słabości trwała jednak tylko parę sekund. Widząc dwuznaczny, plugawy uśmiech na twarzy młodzieńca, wybuchnęła gniewem.

— Jak śmiesz zachowywać się w podobny sposób w moim domu! Mężczyźni przychodzą tutaj, bo chcą się zabawić, a nie po to, by wszczynać burdy.

Seamus nawet nie drgnął. Fakt, iż stał całkiem nago przed tą kobietą, najwyraźniej bawił go i dodawał tupetu.

— Jesteś cholernie ładną kobietą, Billy — wycedził powoli, mierząc ją wzrokiem. — Mój dziadek zawsze miał dobry gust. Tego nigdy nie mogłem mu odmówić. Dlaczego nie wyrzucisz z pokoju tej wywłoki i nie zajmiesz się trochę moim małym... co? Przecież jesteś dobra w obciążaniu druta...

— Ubieraj się i wynoś z mojego domu. Nie zapomnij o pieniądzach. Zwrócisz wszystkie koszty, związane z naprawą wyrządzonych przez ciebie szkód. I pamiętaj, więcej nie jesteś tu mile widziany.

— Proszę, proszę. Czy jak na dziwkę nie jesteś zbyt wstydliva? A może już zapomniałaś, jak wygląda męski członek? No to przyjrzyj się, bo mój jest niczego sobie...

Billy powoli podeszła do młodego człowieka, patrząc mu prosto w oczy. Nagle podciągnęła spódnicę i zanim Seamus zdążył zorientować się, co zamierza, kopnęła go pomiędzy nogi. Mężczyzna zwinął się z bólu.

— Dla ciebie, łajdaku, jestem panną Billy, a nie dziwką. Jesteś skończoną zarazą. Twój ojciec wstydzi się tylko za ciebie. A jeśli chodzi o twojego kutasa, smarkaczu... — Billy spojrzała z pogardą na leżącego na ziemi Seamusa. — To naprawdę nie masz się czym chwalić.

Dała znak Jocko, by wyprowadził Daltona, po czym z podniesioną wysoko głową opuściła pokój.

Małżeństwo Seamusa było mniej udane niż jego starszego brata. Młodszy syn Toma ożenił się z pewną piersiastą blondyną, która wygrała konkurs na Miss Nowego Jorku 1940 roku. Można rzec, że dobrali się idealnie pod względem poziomu inteligencji. Gdyby zsumować ich wspólny iloraz w dalszym ciągu pozostawałby on poniżej przeciętnej. Zanim alkohol całkiem zrujnował zdrowie niedoszłego sportowca wszechczasów, Seamus zdążył jeszcze spłodzić pięcioro dzieci, co tylko potwierdzało, że to zadanie wcale nie wymaga wielu talentów. Dzieci Seamusa, ku głębokiemu rozczarowaniu Toma, były typowymi amerykańskimi maluchami, dla których świat zaczynał się i kończył na Myszce Micky. W ich wyglądzie czy zachowaniu nie było śladu irlandzkiego pochodzenia.

Chociaż małżeństwo z piersią Miss Nowego Jorku z początku przebiegało wręcz idyllicznie, po pewnym czasie dziewczyna spostrzegła, że jej nieskazitelny bohater futbolu zdrowo pociąga z butelki. Nie omieszkała zakomunikować mu, co myśli na ten temat. Krótka wymiana słów, która wywiązała się potem między nimi zaowocowała podbitym okiem, złamanym zębem i separacją. Od tej pory małżonkowie rozmawiali ze sobą tylko za pośrednictwem adwokatów. Z punktu widzenia Seamusa było to rozwiązanie idealne. Bez przeszkód mógł bowiem oddawać się znowu pijaństwu i molestowaniu prostytutek.

Billy stała przy oknie, patrząc w dół na ulicę. Jocko wyprowadził właśnie nagiego Seamusa. Nie mogąc utrzymać bezwładnego zamroczonego alkoholem ciała młodego człowieka, po prostu posadził go na krawężniku i położył obok zwinięte ubranie. Billy nałała sobie szklankę whisky i wypła ją jednym łykiem. Nie mogła spokojnie patrzeć na młodzieńca, który tak bardzo przypominał jej Toma sprzed lat. Świadomość, że syn Daltona stoczył się tak nisko, sprawiała jej niemal fizyczny ból. To dziwne, że dzieci mogą być tak różne od swoich rodziców.

Tom podniósł wiotkie ciało Megan i posadził ją w siodle pięknego, pełnokrwistego kasztana. Wnuczka zachowywała się z wrodzoną i pełną szlachetności gracją jadąc na koniu. Trzymając wierzchowca za uzdę, Tom szedł tuż koło niej.

— Czy myślisz, że dasz sobie sama radę, Megan? — spytał.

— Mogę spróbować — uśmiechnęła się, biorąc z jego dłoni lejce.

— Ona doskonale trzyma się w siodle, sir — wykrzyknął stajenny.

Młody parobek stał przy płocie przyglądając się rozpromienionej dziewczynie. Wokoło rozciągały się bezkresne zielone łąki. Wiał delikatny, ciepły wiatr. Daltonowie już drugie lato spędzali w swej posiadłości w Peapack. Megan doskonale czuła się na wsi. Często przyjeżdżali tam, by mogła oddawać się długim przejażdżkom konnym. Tom specjalnie dla niej założył w posiadłości niewielką stadninę. Odnosiło się wrażenie, że w tym małym, cudownym rajku Megan niczego nie brakuje. A jednak dziewczyna byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby podczas wypraw do Peapack towarzyszył jej uroczy Jack Cavanaugh.

Co byś powiedział o irlandzkich pieśniach?

Megan pochyliła się nad Jackiem, który siedział przy jej łóżku. Odra była śmiertelnie nudną chorobą. Po tygodniu leżenia w łóżku i czytaniu książek dziewczyna nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Częste wizyty Jacka były jej jedyną rozrywką... miłą rozrywką.

— Znam pieśni o „Ministrancie”, „O'Donnellu”, „Kevin Barry” i „Kto boi się mówić o roku 98”. To nie jest co prawda repertuar dla takiej panny jak ty. Te pieśni mówią o rebeliantach i buntownikach.

— Myślałam, że w Irlandii śpiewa się tylko takie.

Jack roześmiał się.

— Widzę, że będę musiał porozmawiać z dziadkiem o lukach w twojej edukacji. Powinnaś bowiem wiedzieć, że Irlandia słynie nie tylko z patriotycznych pieśni, ale i miłosnych.

— Naprawdę?

— Tak. A czy chciałabyś wiedzieć, dlaczego?

— Oczywiście!

— Ponieważ Irlandczycy to wyjątkowy naród. W ich życiu walka, miłość i śmierć stale splatają się ze sobą i znajdują odbicie w poezji.

— Dziadek często czyta mi wiersze.

— Zaśpiewam ci pieśń o miłości, jeśli obiecasz, że będziesz grzeczna i szybko wyzdrowiejesz.

Jack uśmiechnął się. Megan przysunęła się do niego bliżej i położyła dłoń na jego kolanie.

— Kocham cię — powiedziała łagodnym głosem. — Tak bardzo cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

Po tym szczerym wyznaniu dziewczyna położyła się, oparła głowę na poduszce i przymknęła powieki. Jack zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i podwinął rękawy koszuli. Potem ujął jej dłoń i zaczął śpiewać:

Kathleen Mavourneen!

Już noc szarzeje,

Słysząc rogu dźwięk.

Mavourneen. Tak właśnie Jack nazywał często Megan. W języku celtyckim znaczyło to „słodkie serce”. Bardzo podobał się jej dźwięk tego słowa. *Zostaną jeszcze dzień u ciebie, A może wieczność, Któż to wie.*

— Zaśpiewaj jeszcze jedną piosenkę, Jack — poprosiła, gdy skończył.

— Mając taką słuchaczkę, mogę śpiewać całą noc.

W dolinie słońca, Eileen Aroon

Jest łąka pachnąca, Eileen Aroon

Tam piękne dziewczę

Skradło mi serce Eileen Aroon.

Lecz słodka wybranka, Eileen Aroon

Zdradziła kochanka, Eileen Aroon

Cóż zrobił zdradzony

Porzucił swe strony

Nie pokocha znowu

Bo serce ma z lodu

Eileen Aroon.

Przemija uroda, Eileen Aroon

Jak stara moda, Eileen Aroon

Mury kruszeją Miecze rdzewieją

Lecz pozostaje wspomnienie Eileen Aroon.

Ukołyszana słowami tej pieśni Megan zapadła w głęboki słodki sen. Rzeczywiście, zdążyła jeszcze pomyśleć, nim pogrążyła się w świat sennych marzeń, piękne były te irlandzkie pieśni o miłości.

— Czy myślałeś o tym, by w domu Billy otworzyć kasyno?

Jack powrócił właśnie z wyprawy do Londynu i wspomnienie dyskretnych i eleganckich klubów, w których bogaci ludzie oddawali się emocjom gier hazardowych, wciąż jeszcze było żywe w jego pamięci.

— Uważam, że powinniśmy włączyć się do tego interesu. Od czasu wprowadzenia tej cholernej prohibicji kasyna nabijają kabzę gangsterom i mafii — kontynuował Cavanaugh.

Megan położyła się właśnie spać. Jack i Tom siedzieli w bibliotece przy szklaneczce brandy.

— Dlaczego sam nie porozmawiasz z nią o tym? Billy potrafi na kilometr wyczuć dobry interes. — Tom wstał z fotela, przykucnął przed kominkiem i kutymi ozdobnie szczypcami poprawił drwa na kominku.

— Przyzwyczailem się, że wszelkie nowe pomysły wpierw konsultuję z tobą. Rory praktycznie nie zagląda do firmy. Zajmuje się polityką, co sprowadza się do ciągłych podróży do Waszyngtonu i z powrotem. Nie mam pojęcia, na ile to, co robi, wiąże się z naszym biznesem.

Tom odwrócił się i spojrzał uważnie na Jacka sponad okularów.

— To znaczy?

— To znaczy, że na twoim miejscu dowiedziałbym się dokładniej, czym twój syn się zajmuje. Masz przecież wielu przyjaciół w Waszyngtonie.

— Dziękuję za ostrzeżenie. Pozwolisz, że sam zajmę się moim synem. Nie sądzę, by robił coś niebezpiecznego. Ta cała zabawa w politykę to nic innego jak tylko snobizm. Poza tym Rory zawsze robił to, od czego ja trzymałem się zwykle z daleka, to taka głupia chęć udowodnienia mi, że jestem starym ramolem.

Jack najwyraźniej nie był zadowolony z reakcji Toma.

— Miejmy nadzieję, że masz rację. Być może rzeczywiście Rory nadaje się na jakiegoś nadętego senatora czy kogoś takiego.

Tom uśmiechnął się, słysząc nutę lekceważenia w głosie swego współnika. Między Jackiem a Rorem zawsze istniała nić niechęci i rywalizacji. Tom nigdy nie był przywiązany do syna. Również i tym razem był skłonny przyznać rację Jackowi.

— Nie miałbyś nic przeciwko temu, by Rory zrezygnował z pracy w firmie? — zapytał Tom po namyśle.

— Jeśli o mnie chodzi, wysłałbym go nawet na księżyc, żeby się go wreszcie pozbyć — wyznał szczerze Jack.

Ale to nie Rory już od pewnego czasu zaprzętał wszystkie myśli Toma. Martwił się o Megan. Mówiła ciągle tylko o Jacku, była nim po prostu zauroczona. Tom był ciekawy, czy młody człowiek spostrzegł tę przemianę, która zaszła w sercu dziewczyny.

— Zauważyłem, że dobrze rozumiecie się z Megan, Jack. Czy wiesz, że jest tobą wprost zafascynowana?

Cavanaugh rzucił szybkie, zdziwione spojrzenie w stronę starszego mężczyzny, który z obojętnym wyrazem twarzy ponownie usiadł w fotelu. Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła Jacka, choć z drugiej strony wiedział, że Tom nie lubi rozmawiać o swoim starszym synu. Unikał tego tematu.

— To wyjątkowe dziecko, Tom — odparł z namysłem. — Jest jeszcze małą dziewczynką, a sprawia wrażenie tak mądrej jak delficka wyrocznia. Czasami martwi mnie, że tak trudno nakłonić ją do śmiechu i śpiewu...

— Uważasz, że wychowałem ją w zbyt poważnej atmosferze? Przyznaję, że sześćdziesięcioletniemu mężczyźnie nie jest łatwo poznać pragnienia małej dziewczynki. Czasami zapytuję sam siebie, czy właściwie pokierowałem je; dzieciństwem.

Jack wychylił do dna szklankę, po czym stwierdził:

— Ona wydaje się być najszcześliwszym dzieckiem pod słońcem, Tom. Jej wewnętrzna radość, która promieniuje na zewnątrz, nie wypływa z naiwności czy głupoty, ale z poczucia autentycznej miłości, którą ją obdarzasz. Twoje uczucie jest dla niej niby tarcza, która pozwala wierzyć, iż nikt i nic na świecie nie może jej zagrozić.

— Może masz rację — powiedział Tom z wahaniem. — Zawsze pragnąłem dać jej poczucie bezpieczeństwa i ciepło. Czasami jednak opadają mnie wątpliwości. Czy taki stary człowiek jak ja może zastąpić dziecku miłość matki i ojca? Dlatego cieszę się, że zaprzyjaźniliście się. Młodzi ludzie zawsze lepiej potrafią zrozumieć siebie, mają w sobie więcej energii i siły życia...

— Na zawsze pozostaniesz dla niej centrum wszechświata, Tom.

Dalton uśmiechnął się. Ta uwaga sprawiła mu wyraźną radość.

— To prawda, że bez niej nie potrafiłbym żyć. Jej śmiech jest dla mnie jak orzeźwiająca woda ze źródła wiecznej młodości. Ona jest dla mnie wszystkim. Ale pewnego dnia zabraknie jej mojej miłości. Dobrze jest wiedzieć, że będziesz wówczas przy niej.

Jack przytaknął. W głębi duszy jednak słowa Toma bardzo go zaniepokoiły. Nigdy do tej pory nie słyszał, by Dalton mówił o starości lub śmierci. Sprawiał wrażenie, jakby czas nie miał nad nim żadnej władzy. Wydawał się nieśmiertelny, wieczny. Przez ostatnie kilka lat Cavanaugh starał się zgłębić tajemnicę siły, która sprawiała, że jego szef z nie spotykanym wręcz spokojem i odwagą stawiał czoło wyzwaniom rzucanym mu przez los. Jednak

dopiero gdy bliżej poznał jego prywatne życie, zrozumiał, że to miłość do Megan i przyjaźń z Billy podsycaly w nim nadzieję, która pozwalała mu przeżyć nawet najgorsze.

WYKŁAD

Billy położyła dłoń na obnażonej piersi Toma. Przez cały wieczór był dziwnie roztrągniony i zamyślony. Nie chciała mu przeszkadzać, dlatego delikatnie pieściła jego skórę i przyglądała się tej z pozoru spokojnej, trochę zatroskanej twarzy. Czuła szorstkość siwych włosów pod swoją dłonią. Chociaż minęło już tyle lat, ciało Toma wciąż pozostawało młode i silne. To wprost niewiarygodne, jak potrafiło oprzeć się działaniu czasu. Tak bardzo kochała tę wyrazistą, poważną, a jednocześnie pełną ekspresji i wyrazu twarz. Kochała te błękitne, mądre i łagodne oczy i zmysłowe, pełne usta. Kochała każdy skrawek jego ciała. Znała je dokładnie niby ślepiec, który doskonale orientuje się w rozkładzie swojego mieszkania i bez niczyjej pomocy potrafi odnaleźć w nim każdy potrzebny przedmiot.

Czy to możliwe, by się postarzeliz? Już od dłuższego czasu zadawała sobie to pytanie. Kiedy byli ze sobą w łóżku, z trudem mogła uwierzyć, że przeżyli już razem tyle lat. Mimo że od ich pierwszej nocy minęło już czterdzieści pięć lat, nadal potrafili dostarczać sobie wiele miłości i wciąż nowych doznań i wrażeń. A jednak... świadomość, że przebyli już tak daleką drogę i że w ich życiu wydarzyło się tak wiele, sprawiała, że Billy czuła się chwilami starsza od samego Matuzalema.

— No dobrze, najdroższy — Billy przerwała ciszę, która powoli zaczynała wprowadzać ją w markotny nastrój. — Wystarczy już tych rozmyślań bez względu na to, co cię trapi. Teraz poświęć swoją uwagę mnie, bo w przeciwnym razie wyrzucę cię z łóżka.

Tom uśmiechnął się, przewrócił ją na plecy i wcisnął się między jej nogi, a potem patrząc prosto w jej twarz wycedził:

— A więc chcesz mnie wyrzucić z łóżka?

— Bez chwili wahania — kobieta roześmiała się. — Chyba że powiesz mi, co cię tak trapi.

— Za chwileczkę — wymamrotał Tom i zatopił twarz w jej długich włosach. Jego dłoń powędrowała w dół, pomiędzy jej nogi. Kobieta mocno objęła ukochane ciało, które całym swym słodkim ciężarem spoczęło na niej. Pragnęła go tak mocno, aż do bólu. Kiedy kochał się z nią, oddawała mu się całym ciałem i duszą. Prowadził ją jak sternik prowadzi statek przez wzburzone fale do bezpiecznego cichego portu.

— Kocham cię, Billy — wyszeptał, kiedy jego twarda męskość weszła głęboko w jej ciało. Poczwała omdlewające ciepło. To było zupełnie tak, jak podczas ich pierwszej nocy przed laty, wciąż ta sama siła, ta sama fascynacja i to samo uniesienie.

— Ja także ciebie kocham — odpowiedziała, poddając się rytmicznemu szybkim ruchom jego ciała. Zespoleni tworzyli tę magiczną jedność, która pozwala zapomnieć przez

chwile o całym świecie. Billy krzyczała, oszalała z rozkoszy drapała jego plecy. Tom zniewolony pożądaniem, ogłuszony nagłym przyplływem zmysłowych odczuć, coraz mocniej przyciskał jej ciało. Aż nadszedł ten moment, kiedy cielesność rozplywa się w cielesności i jest tylko czysta rozkosz, która rozbłyska nagle niczym gwiazda i która świeci nie dłużej niż przez ułamek sekundy.

Kochankowie leżeli obok siebie. Ich serca były jeszcze jak oszalałe, chociaż oddechy stawały się coraz powolniejsze. Trzymając twarz przy twarzy, uśmiechali się do siebie, odczuwając ulgę spełnienia.

Tom leżał przykryty cienkim, jedwabnym prześcieradłem i patrzył w sufit. Po kilku minutach upojnego szaleństwa jego twarz ponownie przybrała wyraz smutku i zakłopotania. Czuł, że musi zwierzyć się ze swojego kłopotu. Przez kilkanaście ostatnich lat Billy była jego przyjacielem i powiernikiem. Nigdy też nie zawiodła jego zaufania.

— Chodzi o Jacka — powiedział w końcu. — Martwię się o niego. Mimo przemiany, jaką przeszedł w życiu, ciągle jeszcze ma duszę bezdomnego urwisa. Ma bez wątpienia dobry charakter, jest inteligentny, zaradny... ale brakuje mu zdecydowania, które pozwoliłoby obrać pewną drogę przyszłej kariery. Ostatnio bacznie go obserwowałem, Billy. Doskonale rozumie się z Megan. Spędza z nią dużo czasu, gra z nią, rozmawia, a nawet śpiewa piosenki. Czy wiesz, że nauczył ją właśnie kilku starych, marynarskich pieśni, które poznał będąc w poprawczaku w Bostonie?

Billy roześmiała się. Ułożyła się na boku i podparła na łokciu, odsłaniając spod prześcieradła piersi.

— Czy wiesz, że jesteś piękna? — z nie tajonym zachwytem w głosie spytał Tom.

— Nie zmieniaj tematu — skarciła go. — To ciekawe, co mówiłeś o Jacku.

— No właśnie. — Tom znów spoważniał. — Dziwi mnie, że nie ma nikogo bliskiego. To nienormalne, by mężczyzna w jego wieku nie chciał założyć rodziny.

— Ty i Megan jesteście jego rodziną.

— Dobrze wiesz, że chodzi o coś więcej. Uważam, że nadszedł czas, by spojrzeć na życie poważniej, bardziej odpowiedzialnie. Jak długo można szlajać się po burdelach lub zaczepiać dziewczyny na przystankach?

— Jeśli chcesz znać moje zdanie, to sądzę, że Jack boi się związać z jedną kobietą na dłużej. Ten lęk wynika z obawy przed rozczarowaniem, odpowiedzialnością i bólem, które może sprawić rozstanie. Moim zdaniem, on sam sobie nie ufa. Może się myłę...

Tom wyciągnął rękę i pieścił palcami jej prześliczne włosy.

— Nie mylisz się, kochanie. Znasz się na męskich charakterach lepiej niż ktokolwiek. Chciałbym jednak wiedzieć, jak można mu pomóc.

— Jest jeszcze młody. Nie każdy od razu jest zdolny spostrzec własne błędy. Potrzebuje czasu, by mógł sam poradzić sobie z własnymi problemami. Poza tym na szczęście ma nas — swoich aniołów stróżów, którzy pilnują, by zbytnio nie zboczył z właściwej drogi.

Billy roześmiała się. W kącikach jej oczu pojawiły się cieniutkie zmarszczki. O dziwo, nie postarzały jej wcale, ale nadawały jej twarzy jakiś wyraz wewnętrznej harmonii i mądrości. Czasami Tom dziwił się, że w jego życiu tak wielką rolę odegrały kobiety tak bardzo do siebie niepodobne, Deidra i Billy. Pamięć o zmarłej żonie była pamięcią wyidealizowaną, tak jak pamięta się swoją matkę lub pierwszą miłość. Kiedy Tom czasami wspominał Deidrę, czuł się tak, jakby wkraczał do jakiegoś boskiego sanktuarium. Z Billy było inaczej. Ona była rzeczywista. Twardo stąpała po ziemi, pozbawiona iluzji, jednocześnie nie zatraciła wewnętrznego ciepła i czułości. Również jej miłość do Toma była inna. A może tylko tak to sobie wyobrażał. Fascynacja i zauroczenie, które przeżył podczas swego pierwszego spotkania z Deidrą, były przecież tak różne od głębokiego zaufania i przyjaźni, na której opierał się jego związek z Billy.

— Czy mówiłem ci już, że jesteś cudowna?

— Może dwa, trzy dni temu...

— W przyszłości muszę być bardziej wymowny.

— Gdybyś rzeczywiście stał się bardziej wymowny, kochanie, to obawiam się, że żadnej nocy nie zmrużylibyśmy oka.

Tom, jak każdy człowiek w starszym wieku, zaczynał mieć swoje przyzwyczajenia. Do prawdziwego rytuału urosły codzienne spacerunki z Jackiem wzdłuż wybrzeża dzielnicy portowej. Bez względu na pogodę opuszczali biuro o czwartej i udawali się na przechadzkę. Jack wiedział, że dzielnica portowa to miejsce, które dla Toma wiązało się z wieloma wspomnieniami z odległej przeszłości. Wprawdzie Dalton nigdy nie przyznał się otwarcie, że to właśnie tęsknota za swoją młodością i utraconym czasem zmuszała go do tych codziennych wypraw. Mówił, że potrzebuje świeżego powietrza, że zapach morza i bezkresna przestrzeń oceanu wracają mu spokój i dodają energii, ale w rzeczywistości chciał po prostu odwiedzić starych przyjaciół, porozmawiać z ich duchami.

Szli wolnym krokiem wzdłuż czternastego nadbrzeża. Było zimne, jesienne popołudnie. Wiatr wiejący od morza przynosił ze sobą słodkawy zapach glonów i ryb. Tego dnia Tom był wyjątkowo zamyślony. Jack próbował bezskutecznie nawiązać z nim jakąś rozmowę, ale w końcu zrezygnował. Od dłuższego czasu szli obok siebie w zupełnym milczeniu.

— Czy nigdy nie czułeś nostalgii za utraconą ojczyzną? — spytał Tom niespodziewanie. Gdyby nie dziwny nastrój, w jakim był Dalton, Jack na pewno roześmiałby się, słysząc podobne pytanie.

— Może poczułbym, gdybym miał jakąś ojczyznę... Wprawdzie urodziłem się w Bostonie, ale to miasto nie jest mi bliskie. Nie zaznałem w nim niczego dobrego, tylko biedy i głodu.

— Nie chodzi mi o Boston. Myślałem o Irlandii, chłopcze. Bezskresne zielone pola, ciężkie chmury przesuwające się po niebie i to poczucie bezgranicznej wolności, którym wiatr napęnia twoje płuca...

Jack obrzucił Toma szybkim spojrzeniem. Nigdy dotąd nie widział Daltona tak rozmarzonego, to wręcz nie pasowało do tego człowieka.

— Nie czuję zbyt silnych związków z tym krajem. Nie mam żadnych wspomnień, wiem tylko tyle, ile opowiedziała mi matka, kiedy byłem całkiem mały... A dlaczego pytasz?

— Bo jakiś wewnętrzny głos w moim sercu nakazuje mi tam powrócić.

Chcę zakończyć to, co pozostało nie zakończone. Muszę odzyskać dom i ziemię, która należała do mojego ojca.

Przez chwilę szli w milczeniu.

— Czy ta posiadłość jest na sprzedaż? — spytał Jack, który mniej więcej orientował się w sytuacji.

— Z informacji, które zdążyłem zebrać, wynika, że jeszcze nie. — Tom przerwał na moment. Na jego twarzy malował się niezrozumiały dla Jacka ból i cierpienie. — Ale już wkrótce będzie na sprzedaż!

— Rozumiem, że masz już jakiś plan działania.

— Tak i chciałbym, żebyś to ty go zrealizował. Ale zanim wtajemniczę cię w szczegóły, musisz wpierw wysłuchać bardzo smutnej i pouczającej zarazem opowieści. Musisz zapoznać się także z pewnymi bardzo drogimi memu sercu dokumentami. Widziała je tylko moja zmarła żona, nikt więcej. Pojedziemy teraz do mnie. Tam dokładnie zaznajomię cię z całą sprawą. To nie będzie łatwe, ale musimy odzyskać Drumgillan.

Tego dnia do późna w nocy siedzieli razem w bibliotece Toma. W kominku trzeszczał ogień i rzucał migotliwe światło na wzorzyste tapety pokoju. Dalton ze łzami w oczach opowiedział młodemu przyjacielowi całą historię swojego życia. W drżącej, pokrytej delikatną siateczką błękitnych żył dłoni trzymał list, który przed pięćdziesięciu laty otrzymał od swojego ojca.

Po zjedzonym u Mangdolf'a śniadaniu Jack czuł się wspaniale. To było dopiero życie! To prawdziwe szczęście i uśmiech losu, iż spotkał na swej drodze dwóch wspaniałych ludzi, którzy nadali sens jego egzystencji. Zaśmiał się głośno, aż jakiś przechodzień spojrzał na niego ze zdziwieniem. Widocznie biedak nie ma pojęcia, co to znaczy czuć się szczęśliwym, pomyślał Cavanaugh. Szybkim, energicznym krokiem przeszedł przez dziedziniec Klubu Atletycznego i wyszedł na Wall Street.

Wall Street — magiczna nazwa, zwłaszcza dla kogoś takiego jak Jack, którego dzieciństwo upłynęło w slumsach Bostonu. Teraz spacerował wzdłuż najbogatszej ulicy świata! Miał zwyczaj trzymania rąk w kieszeniach, kiedy chodził ulicami miasta pogwizdując pod nosem. Sprawiał wrażenie człowieka, który chwycił Pana Boga za nogi i uważa, że cały świat należy do niego. Był uosobieniem owego magicznego mitu Ameryki, który od dziesiątków lat przyciągał do tego kraju spragnionych błyskawicznej i oszałamiającej kariery młodych ludzi z całego świata. Pierwszego pensa Cavanaugh zarobił, pracując jako chłopak na posyłki w jednym z bostońskich burdeli, teraz był partnerem jednego z najbogatszych ludzi w Stanach.

Tego dnia Jack miał szczególny powód do radości. Po żmudnych staraniach udało mu się wreszcie ułożyć łamigłówkę. Wiedział już, jak odzyskać dla Toma Drumgillan.

Cavanaugh rozparł się na krześle, kładąc nogi na biurko. Obok niego leżał stos papierów i dokumentów, rezultat tygodniowej ciężkiej pracy nad sprawą Drumgillan. Znalezienie jakiegokolwiek punktu zaczepienia w tej sprawie nie było łatwe. Ci cholerni arystokraci zawsze potrafili tak dopasować prawo do swoich interesów, iż żadna siła z zewnątrz nie była w stanie wyrwać im nawet najmniejszego kawałka z ich nieprzebranego bogactwa. Jeśli jakaś posiadłość była królewskim nadaniem, według angielskiego prawa cieszyła się specjalnym statutem i w specjalny sposób była też zabezpieczona. Na szczęście Randolph miał wyjątkowo perfidny charakter, który w końcu musiał go zgubić. Z takiego też założenia wyszedł Jack. Wynajął firmę detektywistyczną, która wzięła pod lupę całą przeszłość starego łajdaka. Najpierw wyszło na jaw, że w młodości zdradzał pewne skłonności do homoseksualizmu. Było to dość powszechne wśród chłopców, którzy młodość spędzali w internatach ekskluzywnych szkół. To był jednak dopiero początek rewelacji. Później okazało się, że Randolph miał romans ze swoją kuzynką Elizabeth. Po długich i trudnych poszukiwaniach wyszło na jaw, że z tego kazirodczego związku narodziło się dziecko. Wraz z matką wysłano je do Indii, do jakichś dalekich krewnych. Tam umarło na cholere. Ujawnienie tych wiadomości mogło wywołać prawdziwy skandal w kręgach towarzyskich elit i zniszczyć dobre imię rodziny Hartingtonów. Z drugiej strony Jack doskonale wiedział, że Tom nigdy nie zgodzi się na takie rozwiązanie sprawy. Trzymał się bowiem pewnych określonych zasad postępowania, nawet jeśli nie przestrzegał ich jego przeciwnik. Dlatego należało pokonać

Hartingtonów w inny sposób, poprzez odpowiednie wykorzystanie mechanizmów finansowych. Jack wiedział, że jeśli chodziło o odzyskanie Drumgillan, Tom nie zawaha się uruchomić wszystkich swoich finansowych rezerw. Dzięki mądrej i przebiegłej polityce finansowej po dwóch latach udało się wreszcie rzucić Randolfa na kolana.

Jack stał przed lustrem. Starannie zawiązał krawat, po czym wpiął w niego elegancką, złotą spinkę. Apartament, który zajmował w budynku przy Park Avenue, był zdecydowanie za duży i zbyt luksusowo urządzone jak na jego potrzeby. Z dziewięciu obszernych pokoi używał jedynie dwóch. Był jednak zdania, że człowiek z jego pozycją powinien sprawiać jak najbardziej korzystne wrażenie. Poza tym pewna nonszalancja, z jaką zwykł wydawać swoje pieniądze, zawsze przyciągała do niego mnóstwo pięknych kobiet. Dlatego lubił eleganckie ubrania i luksusowe mieszkania. Dawało mu to poczucie bezpieczeństwa i pewności siebie.

— Całkiem nieźle jak na kieszonkowca — mrugnął porozumiewawczo do odbicia w lustrze i uśmiechnął się szeroko, ukazując rząd białych, mocnych zębów.



Jack Cavanaugh zatrzymał się przed ciężkimi rzeźbionymi drzwiami z mahoni, które prowadziły do jednego z najstarszych biur prawniczych w Dublinie. Na lśniącej tabliczce przy wejściu widniał napis: ATCHESON, CAREW and MEREDITH, SOLICITORS. Cavanaugh doskonale wiedział, dlaczego właśnie tej firmie Randolph powierzył prowadzenie swoich spraw finansowych. Słynęła ona w całym kraju z tradycji, solidności i dyskrecji.

Jacka przywitał Derek Carew, starszy mężczyzna o niezmiernie nobliwym wyglądzie, owiany zapachem staroświeckiej wody kolońskiej i naftaliny. Wskazał gościowi miejsce w fotelu, po czym zasiadł za swoim olbrzymim biurkiem, niby jakiś potężny władca w sali tronowej swego zamku.

— Obawiam się, iż będę musiał pana rozczarować, panie Cavanaugh. Mój klient prosił, by poinformować pana, iż jego posiadłość nie jest na sprzedaż. Widzi pan... — mówił protekcjonalnym tonem typowego wyspiarza, który każdego Amerykanina w głębi duszy podejrzewa o kanibalizm. — My tutaj hołdujemy pewnym tradycjom, które panu mogą wydać się trochę niezrozumiałe. Drumgillan zostało nadane rodzinie Hartingtonów z woli Najjaśniejszego Pana i należy do niej od XV wieku.

Jack uśmiechnął się życzliwie na znak, że rozumie. W głębi duszy aż kipiał z radości. Uwielbiał grać, zawsze miał w sobie coś z hazardzisty. Nie okazać przeciwnikowi swych uczuć aż do samego końca, a potem zniecka uderzyć na niego i położyć na obie łopatki — to był jego ulubiony styl walki. Nigdy też nie przepuścił żadnej okazji, by utrzeć nosa każdemu zarozumiałemu dupkowi, który sądził, że zjadł wszystkie rozumy, tylko dlatego, że tatuś był jakimś tam cholernym hrabią albo baronem...

— Mimo wszystko sądzę, że pański klient zmieni zdanie.

— Na jakiej podstawie, jeśli można spytać?

Jack w milczeniu wręczył panu Carew dwie teczki, w których znajdowały się starannie uporządkowane materiały i dokumenty. Carew otworzył pierwszą, wyjął dokumenty i przejrzał je pobieżnie.

— Chyba nie zamierza pan przy pomocy tych pomówień wymusić na moim kliencie sprzedaż posiadłości? — spytał z wyraźnym niesmakiem.

— Dokumenty, które trzyma pan w ręku, świadczą niezbitnie o pewnych... nazwijmy to, dość nietypowych upodobaniach seksualnych pańskiego klienta. Oczywiście jeśli to będzie konieczne, informacje te zostaną opublikowane, chociaż jestem pewien, że jeśli przeczyta pan zawartość drugiej teczki, podobne posunięcie okaże się zupełnie zbędne.

Pan Carew otworzył drugą teczkę i tym razem poświęcił na lekturę zawartych w niej dokumentów znacznie więcej czasu. Kiedy skończył, odłożył je na biurko i uważnie spojrzął na młodego człowieka.

— Pański klient, panie Cavanaugh, zadał sobie niemało trudu i wydał niemało pieniędzy, aby postawić rodzinę Hartingtonów w sytuacji bez wyjścia. Z przedłożonych przez pana dokumentów wynika, że wykupił on ponad połowę akcji wszystkich przedsiębiorstw pana Randolfa i jeśli tylko tego zechce, może doprowadzić go do całkowitej ruiny. Czy można spytać, co jest powodem tej całej... afery? Zapewne pański klient orientuje się, że w naszym kraju nie można kupić tytułu lorda.

— Mojemu klientowi nie chodzi o tytuł. Odzyskanie Drumgillan traktuje jako zadośćuczynienie sprawiedliwości.

— Rozumiem, że powinienem niezwłocznie powiadomić pana Hartingtona o pańskich warunkach — odparł Carew z lekkim odcieniem zdziwienia w głosie. — Czy mogę znać nazwisko pańskiego klienta?

— Może pan przekazać panu Hartingtonowi, że Tom Dalton ma zamiar odzyskać to, co należy mu się słusznie po śmierci jego ojca.

Carew uniósł wysoko brew.

— A więc reprezentuje pan interesy nieprawego syna Michela Hartingtona?

— Reprezentuję interesy jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce, panie Carew, w którego rękach spoczywa teraz przyszłość Hartingtonów. Jeśli zaś chodzi o pochodzenie pana Daltona, to na pańskim miejscu nie wypowiadałbym się na ten temat.

Starszy mężczyzna przytaknął nieoczekiwanie. Jego twarz zmieniła nagle swój wyraz, stała się bardziej łagodna i życzliwa.

— Co stanie się z tymi kompromitującymi dokumentami w wypadku, gdy pan Hartington zgodzi się na warunki stawiane przez pana Daltona?

— Wówczas te dokumenty pan Hartington zabierze ze sobą do grobu.

— Rozumiem. Gdzie można pana zastać, by przekazać mu odpowiedź mojego klienta?

— Zatrzymałem się w hotelu Shelbourne... I jeszcze jedno. Pan Dalton prosił, by poinformował pan sir Randolfa, iż za dwa dni przybędzie do Drumgillan, by dokonać przeglądu swojej posiadłości.

Jack wstał z fotela i skierował się ku wyjściu.

— Panie Cavanaugh. — Głos starszego człowieka był dziwnie zmieniony. — Jest pewna rzecz, o której pan Dalton powinien wiedzieć.

Carew wahał się przez chwilę, jakby zmagał się wewnętrznie sam ze sobą, czy wypowiedzieć myśl do końca.

— Rzadko się zdarza, by ludzie naszej profesji mieli okazję brać udział w wymierzaniu sprawiedliwości — odezwał się w końcu w dość patetyczny sposób.

— Istotnie — Jack spojrzał zaintrygowany na jego zatroskaną twarz.

— Tak się złożyło, że byłem świadkiem pewnej rozmowy, która przed wielu, wielu laty miała miejsce pomiędzy umierającym sir Jeffreyem a jego starszym synem Randolfem. Musi pan bowiem wiedzieć, że nasza firma świadczy usługi rodzinie Hartingtonów już od wielu pokoleń. Kiedy sir Jeffrey umierał i Randolf przyszedł do jego sypialni, by pożegnać się z ojcem, biedny starzec nie poznał go. Sądził, że stoi przed nim jego ukochany syn Michel i drżącym głosem spytał: „Gdzie jest chłopiec?” Randolf zbladł. „Jaki chłopiec?” spytał. „Chłopiec o rudych, ognistych włosach, który tak pięknie wygląda, gdy galopuje na koniu”. Randolf dobrze wiedział, o kogo chodzi. Jego jedyny syn miał włosy czarne jak smoła. „Powiedz mu, że nie musi nas opuszczać, jest bowiem u siebie, w domu. Chciałbym lepiej go poznać”. mówił dalej starzec. „Bzdura, ojcze! Nie ma żadnego rudego chłopca w naszej rodzinie”, przerwał mu arogancko Randolf. Na te słowa sir Jeffrey ostatkiem sił uniósł głowę i odparł: „Powiedz mu... będę o nim pamiętał...” To były jego ostatnie słowa. Wszyscy, którzy znajdowali się wtedy w pokoju, dobrze wiedzieli, że stary sir Jeffrey miał na myśli Toma Daltona. Myślę, że do końca swojego życia ciężko żałował, iż nie zadbał o przyszłość swojego wnuka bez względu na to, czy był on z nieprawego łoża czy nie. Tak więc, jak sam pan widzi, panie Cavanaugh, po latach sprawiedliwości staje się zadość...

— Tak — młody człowiek pokiwał głową. — Sprawiedliwości wreszcie staje się zadość.

Drewniana, starodawna bryczka z trudem pokonywała wertepy na polnej drodze, prowadzącej przez kamieniste wzgórza porośnięte kępami trawy. Po niebie przesuwały się majestatycznie wielkie chmury. Od czasu do czasu bezkresną ciszę przerywał krzyk spłoszonych ptaków.

— Od kiedy opuściliśmy Dublin, nie odezwałeś się ani słowem, Tom. — Jack miał wyraźnie dość zachowania swego współnika. Rozumiał jego wzruszenie, ale, do cholery, przecież należały mu się słowa pochwały za wysiłki, które doprowadziły do odzyskania Dru-mgillan. Tom uśmiechnął się, choć jego twarz nadal pozostawała jakby nieobecna.

— Pomyślałem właśnie, że przebyłem bardzo długą drogę, Jack, zanim znów powróciłem do miejsca swoich urodzin. Ktoś, kto nie zna historii mego życia, nie zrozumie uczuć, jakie wywołuje w moim sercu widok stron rodzinnych. Wszystko wydaje mi się jakies mniejsze. Przez tyle lat wracałem do tych miejsc we wspomnieniach i snach, a teraz, kiedy jestem tu naprawdę, mam wrażenie, że śnię.

Bryczka zatrzymała się przed starym imponującym pałacem. Mężczyźni zeskoczyli na ziemię. Dalton przez dłuższą chwilę stał, wpatrując się w stare mury budowli, jakby chciał dokładnie sprawdzić, czy od czasu, gdy po raz ostatni ją oglądał, cokolwiek się tutaj zmieniło. Potem podszedł do olbrzymich drzwi i zastukał.

— Pięćdziesiąt pięć lat temu Randolf Hartington wyrzucił mnie z tego pałacu. Dziś mam zamiar zrewanżować mu się — powiedział do Jacka.

Otworzyła im służąca o bladej, pokrytej piegami twarzy i zaprowadziła ich do biblioteki. Po kilku minutach zjawił się Randolf. Jak na osiemdziesiąt pięć lat trzymał się jeszcze bardzo dobrze. Jego niegdyś czarne włosy były teraz białe jak śnieg. Poruszał się w dalszym ciągu z wyuczoną gracją starego arystokraty. Kiedy zwrócił się do Toma, jego głos przybrał patetyczny, trochę teatralny ton.

— Tak więc, panie Dalton, znowu się spotykamy. Nie ukrywam, że i tym razem pańska wizyta jest mi równie niemiła.

— Może być pan więcej niż pewny, że spotykamy się po raz ostatni — odparł Tom z naciskiem.

Na pomarszczonej twarzy starca zagościł ironiczny uśmiech.

— Nie traćmy więc czasu na zbędne uprzejmości. — Usiadł za imponującym, bogato zdobionym biurkiem, które, jak Tom pamiętał, należało kiedyś do jego ojca. Potem wyjął ze skózanego futerału złote pióro i powiedział z goryczą: — Nigdy nie lubiłem mojego brata. Zawsze był faworyzowany przez ojca, chociaż wystawił nas wszystkich na pośmiewisko. Jesteś tak samo nieodpowiedzialny i źle wychowany jak on... skoro zdecydowałeś się wyrzucić bezbronnego, starego człowieka z jego domu.

Wypowiedziawszy te słowa, Randolf szybkim ruchem dłoni podpisał leżący przed nim dokument. Tom Dalton uśmiechnął się szeroko.

— To prawda — odparł. — Wyrzucam cię z domu tak, jak ty zrobiłeś to ze mną i z moją matką.

Tom pochylił się nad biurkiem i złożył również swój podpis na dokumencie — tacli.

-A teraz pozwolisz, że dokonam lustracji mojej nowo nabytej posiadłości.

— Możesz sobie iść nawet do samego piekła — starzec odwrócił się do mężczyzny plecami i wyszedł z biblioteki.

— Nie mam żadnych wyrzutów sumienia, Tom — odezwał się Jack. — Wręcz przeciwnie. Sprawilo mi to przyjemność. Jutro czeka mnie następna. Mam właśnie zamiar zwolnić ze stanowiska dyrektora firmy Hartingtonów szanownego synalka Randolfa, który okazał się równie antypatyczny jak i jego tatuś. Myślę, że nadszedł czas, by zrobić porządek z całą tą rodzinką.

Tom roześmiał się. Fakt, iż Cavanaugh tak entuzjastycznie dzielił jego radość z odniesionego zwycięstwa, sprawił, że Dalton poczuł nagłą tęsknotę, zapragnął, by ten wspaniały młody człowiek był jego synem. Otoczył go swym mocnym ramieniem, po czym wyszli na dziedziniec przed pałacem.

— Tutaj wszystko się zaczęło. — Tom spojrzał na bezkresny pejzaż pól i bagien. — Tam, za tym wzniesieniem był dom, w którym mieszkała moja matka...

Zmagając się z silnym wiatrem szli pochyleni, brodząc w podmokłej trawie. Zeszli w dół łagodnej doliny, do wioski, gdzie rozpytywali się wśród mieszkańców o niejakiego Christofera Daltona, farmera z Drumgillan, któremu pierwsza żona urodziła córkę Mary. Ludzie kręcili głowami. Okolica była pełna Daltonów, odpowiadano. Jak się później okazało, właściciel knajpy w wiosce był ponad wszelką wątpliwość odległym kuzynem Toma. Późnym popołudniem wrócili do pałacu. Spacerowali przeszło godzinę po jego salach, przyglądając się wiszącym na ścianach portretom, drogocennym meblom, starym książkom. To właśnie w tych komnatach, pomyślał ze wzruszeniem Tom, swego czasu rozkwitła szaleńcza miłość Michela Hartingtona do wiejskiej dziewczyny Mary Dalton. Ta miłość dała mu życie.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy przyszli na mały cmentarz rodziny Hartingtonów. Na jednym z nagrobków widniał krótki napis:

Michel Harcourt Hartington 1855 -1882

Obok — porośnięte mchem i trawą, wysmagane przez wiatr i deszcz — wznosiły się kamienne płyty ku czci zmarłego sir Jeffreya i lady Geraldine. Tom stał zamyślony nad grobem swojego ojca. Silny wiatr targał jego siwe włosy.

— Czy jesteś zadowolony, ojcze? — odezwał się dziwnie czułym, jakby wychodzącym z najgłębszych zakamarków duszy głosem. — Postąpiłem tak, jak mi radziłeś.

Tom wyjął z kieszeni chustkę i wytarł ukradkiem oczy. Wstydził się swoich uczuć i jakby dla wyjaśnienia dodał, zwracając się do Jacka:

— Wciąż za nim tęsknię. Minęło już tyle lat, a ja wciąż za nim tęsknię. To był wyjątkowy człowiek...

— Tak jak i jego syn.

I Jack był dziwnie wzruszony. Cały ten dzień wpłynął bardzo na jego emocje. Poza tym było jeszcze coś, czego nie umiał sobie wytłumaczyć. Od kiedy ujrzał Drumgillan, te pełne spokoju i jakiegoś surowego piękna irlandzkie krajobrazy, jego serce skurczyło się w nagłym bólu. Do tej pory nie wyobrażał sobie, by na świecie mogło istnieć jakieś miejsce ciekawsze od Nowego Jorku czy Bostonu. Jednak teraz, gdy zobaczył swoją ojczyznę, której nie mógł nawet pamiętać, zrozumiał, że jest to jedyne miejsce na ziemi, w którym chciałby zamieszkać.

— Co zrobisz z posiadłością? — spytał Jack, kiedy wracali do Dublina.

— Kiedyś miałem plany, by po odzyskaniu Drumgillan urządzić tam dom dla samotnych matek z dziećmi. Chciałem pomóc kobietom, które, jak kiedyś moja matka, znalazły się w tragicznej sytuacji i potrzebują pomocy. Ale teraz, kiedy znowu ujrzałem moje rodzinne strony, zmieniłem zdanie. Chcę zachować posiadłość dla siebie. ... a właściwie dla Megan. To trudno wytłumaczyć, ale kocham ten kraj, jego zielone łąki, spowite mgłami bagna i rozrzucone w dolinach wioski. Mój ojciec znał wartość tej ziemi. Był do niej przywiązany. Te więzy miały kilkusetletnie korzenie. Wiem, że chciał, by Drumgillan należało do jego syna. Nie chciałbym teraz zawieść jego oczekiwań. Nie mógłbym tego zrobić...

Jack odczuł ulgę, kiedy usłyszał, iż Tom nie ma zamiaru zniszczyć Drumgillan. Naturalnie gdyby zapragnął zrównać pałac z ziemią, Cavanaugh nie odważyłby się mu sprzeciwić, ale byłoby mu na pewno bardzo przykro.



Jack siedział z Billy w jej apartamencie. Popijali koniak i rozmawiali. Bywał tu częstym gościem. Był urzeczony jej urodą i nieprzeciętną osobowością od momentu, kiedy ją pierwszy raz zobaczył. Fakt, iż jakikolwiek bliższy związek pomiędzy nimi nie był możliwy, sprawił, że zawiązała się między nimi głęboka przyjaźń, całkowicie pozbawiona wszelkich dwuznaczności.

— Jesteś dzisiaj bardzo tajemniczy, Jack — stwierdziła Billy. Wstała ze skórzanej kanapy, podeszła do barku i nalała do kieliszka koniaku o pięknym bursztynowym kolorze i oleistej konsystencji. Kiedy ponownie siadała, usiana cekinami suknia, ciasno opinająca jej doskonale kształty, błysnęła tęczą barw, ożywionych przez blask ognia płonącego w kominie. Tego wieczora Billy wyglądała wyjątkowo pięknie.

— Czy to aż tak łatwo można wyczytać z mojej twarzy?

Billy nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko. Przez lata przebywając w towarzystwie mężczyzn, nauczyła się cierpliwie wysłuchiwać ich nie kończących się opowieści.

— Jestem niespokojny, Billy. To, że tak szybko zrobiłem wielką karierę, napawa mnie lękiem. Mam wszystko, czego może pragnąć człowiek w moim wieku...

— A co z kobietami? — spytała otwarcie.

— Z kobietami? Dlaczego?

— Nie ma w twoim życiu żadnej, którą chciałbyś pokochać... Och, daruj sobie te opowieści o wolności, niezależności i ciągłej ucieczce przed życiem. Dorabiasz filozofię do niezmiernie banalnej słabości, na którą cierpi większość mężczyzn. Obserwuję was całe życie i, wierz mi, jesteście tak męcząco do siebie podobni.

— Nie zamierzasz chyba prawić mi morałów. Jestem już na to za stary — odparł znużonym tonem. Billy jednak nie pozwoliła zbić się z tropu i mówiła dalej:

— Powinieneś znaleźć sobie kogoś, pokochać, założyć rodzinę, mieć dzieci. Życie nie składa się z robienia pieniędzy, rozbijania kolejnych mercedesów i podrywania pańek na ulicy. W każdym razie — to nie jest wszystko. Ja wiem, co czujesz, i rozumiem twój strach...

— Strach? — Jack spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak, strach. Każdy mężczyzna boi się związać z jedną kobietą. Wydaje mu się, że kiedy odda tylko jednej swoją duszę i ciało, świat straci wszystkie swoje barwy, stanie się

smutny i nudny. To nic innego jak egoizm. Tylko niewielu z was jest pozbawionych tej słabości, jak na przykład Tom...

Jack odchylił głowę do tyłu, potrząsnął długimi włosami, ziewnął przeciągle, po czym wypił do końca kieliszek.

— Jest coś, co mnie martwi — zmienił temat rozmowy. — Ten cholerny kretyn, Rior-dan, zaczyna działać mi na nerwy. To wycieranie tyłkiem foteli w ministerialnych gabine-tach, ta cała polityczna paplanina, to zadzieranie nosa, ten śmierdzący snobizm, którego za-pach ciągnie się za nim jak za skunksem... Nienawidzę tego. Mam przeczucie, że on coś knu-je, po prostu nie ufam mu. Obrasta w piórka, staje się coraz bardziej wpływowy i... niebez-pieczny. Najchętniej uciekłbym gdzieś daleko, zanim zaczną się z nim prawdziwe kłopoty.

— Co masz na myśli?

— On wodzi nas za nos. Udaje przyjaciela, a w rzeczywistości zbiera siły, aby nas zaa-takować. Tom tego nie rozumie, pozostaje całkiem głuchy na moje ostrzeżenia. Na jego miejscu rozgniółbym tego robaka już teraz, kiedy nam jeszcze nie zagraża.

— Czy nie pomyślałeś o tym, że Tom po prostu czuje się bezradny? — przerwała mu Billy. — Moim zdaniem on nie wie, co ma zrobić z Rorym, nigdy tego nie wiedział. Od sa-mego początku nie potrafił porozumieć się ze swoimi dziećmi. Pod tym względem wykazał maksimum nieodpowiedzialności i nieudolności. Ale to już się stało. Nie powinieneś zbyt pochopnie oskarżać Toma. Ludzie kochają swoje dzieci, nawet jeśli okazują się dla nich niewdzięczne i okrutne. Zwłaszcza jeśli czują się wobec nich winni, jeśli uważają, że zrobili dla nich zbyt mało. Wtedy ich miłość staje się po prostu bezkrytyczna. Od kiedy Maeve po-pełniła samobójstwo, Tom jest przekonany, iż wyrządził swoim dzieciom niewybaczalną krzywdę. Wyrzuca sobie, że bardziej kochał Deidrę od nich, że nie zadbał, by przygotować je do dorosłego życia. W przypadku Rory'ego ich wzajemny stosunek jest jeszcze bardziej skomplikowany. Nie ulega wątpliwości, że wie on o wyrzutach sumienia swojego ojca i bezwstydnie je wykorzystuje. Chce się na nim zemścić, zranić go, upokorzyć, tak jak jego zdaniem kiedyś zranił go ojciec. Rory uważa, że Tom odwrócił się od niego po śmierci Dei-dry, ponieważ sądził, że to właśnie starszy syn ponosi w pewnym stopniu odpowiedzialność za tragedię matki. Dla nas może to brzmieć irracjonalnie, ale jeśli w dzieciństwie utrwali się jakiś schemat myślenia, to potem waży on na całym naszym życiu.

Jack siedział na brzegu kanapy. Ściśnięte dłonie trzymał pomiędzy nogami. Pochylony do przodu, z uwagą przysłuchiwał się Billy.

— Jak Tom może żyć ze świadomością tego wszystkiego?

— Może gdyby nie Megan, nie odnalazłby w sobie tyle uporów i determinacji. Jej naro-dziny potraktował jako cud sprawiony przez Boga, który w ten sposób dał mu szansę odku-pienia win. Odnajduje w swojej wnuczce to wszystko, co łączyło go z Deidrą. Ona jest jakby ich odzwierciedleniem, żywym dowodem ich dawnej miłości. — Billy spojrzała na zamy-

ślonego młodego mężczyznę. — Czy mógłbyś nalać mi jeszcze jeden kieliszek? Dzisiejszego wieczora czuję potrzebę rozmowy...

Jack podniósł się z miejsca, podszedł do barku i nalał Billy koniaku.

— Miałam ciężkie życie, Jack. Urodziłam się w biedzie, umrę jako bogata kobieta... Zapewne Tom opowiadał ci, pochodzę z bardzo ubogiej rodziny marynarzy. Trzech moich braci wraz z rodzicami umarło podczas epidemii cholery. Mnie zdołano uratować, choć kiedy teraz o tym myślę, w tym fakcie cudownego ocalenia mnie od śmierci kryła się jakaś gorzka ironia losu. Jak tylko stanęłam na nogi, zaczęłam pracować w burdelu. Miałam wtedy zaledwie jedenaście lat. Potem zjawił się Jim Mulvaney i przy jego pomocy otworzyłam własny interes, który — jak widzisz — doprowadził mnie do sporej fortuny. Kiedy zobaczyłam po raz pierwszy Toma Daltona, wiedziałam, że jest on mężczyzną mojego życia. To, że nigdy nie mógł należeć tylko do mnie, przeżyłam bardzo głęboko, choć w końcu pogodziłam się z tą myślą. Czy wiesz, że jego żona była mi bardzo bliską osobą? To może wydać się dziwne, ale tak właśnie było. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, a było to wtedy, gdy Tom uciekł z nią z domu Mulvaneya i przyszedł do mnie prosić o schronienie, byłam gotowa wydrapać jej oczy. To ona przecież zabrała mi najcudowniejszego mężczyznę pod słońcem. Ale ona była tak czysta, tak szlachetna i tak piękna, iż samą swoją obecnością potrafiła stopić lód w sercu nawet bardzo nieprzychylniej jej osoby. Była wyjątkowa. Traktowała mnie jak prawdziwą damę. Chodziłyśmy razem na zakupy, spotykałyśmy się na herbacie, wymieniałyśmy najnowsze plotki, zupełnie jakbyśmy wychowały się razem w zaprzyjaźnionych ze sobą rodzinach. Któregoś dnia powiedziała mi, że jestem jej najdroższą przyjaciółką. Pamiętam, że omal się wtedy nie rozplakałam. Tak wiele znaczyły dla mnie te słowa. Często przychodziłam do ich domu, wiedząc, że jest on również moim domem. I dzisiaj chętnie tam przychodzę... zwłaszcza w okresie świąt Bożego Narodzenia...

Jack spojrzał uważnie na siedzącą przed nim kobietę, po czym spytał ciepłym, miękkim głosem:

— Dlaczego mówisz mi to wszystko?

— Bowiem już wkrótce umrę — padła nieoczekiwana odpowiedź. — Jestem chora na raka, Jack.

Cavanaugh ukląkł u jej stóp, pochylił się w jej stronę, otoczył ramieniem i przytulił. Spodziewał się, że Billy zacznie płakać, ale ona pozostała całkiem pogodna.

— Kiedy umarli moi rodzice — mówiła dalej — spodziewałam się, że pójdę za nimi. Ale wtedy kostucha oszczędziła mi życie. Nie obawiaj się, wszystko w porządku — nie będzie hysterii. Od lat przygotowuję się do odejścia. Choroba toczy moje ciało od dawna. Chodzi jedynie o to, by Tom nie dowiedział się o tym... Nie chcę, rozumiesz. Lekarz powiedział, że mam jeszcze sześć miesięcy. Chcę ten czas spędzić z Daltonem. Chcę, by były to najszczęśliwsze miesiące w jego życiu.

Jack skinął głową na znak, że rozumie. Nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Wiadomość o śmiertelnej chorobie Billy spadła na niego tak nagle.

— Jest tyle spraw, Jack, o których chciałabym z tobą porozmawiać. — Jej głos zaczął lekko drżeć. — Bez względu na to, jak Tom postąpi w sprawie Rory'ego, tobie nie wolno brać sobie tego do serca. Na pewno zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, by uchronić Megan i ciebie. Jesteście dla niego jedyną nadzieją. To jest jego Gaesa*². Po drugie, musisz, Jack, znaleźć kogoś, kogo będziesz kochał. Świat bez miłości nie jest wiele wart. Zaufaj słowom kobiety, która zawsze przyglądała się z boku szczęściu innych ludzi. Życie w samotności jest może i łatwiej, ale gdy przychodzi zrobić na koniec rachunek sumienia, okazuje się, że wyrzekając się miłości, odrzuciło się największy dar, jaki Bóg nam dał.

Billy nachyliła się i pocałowała Jacka w czoło.

— Teraz czuję się znacznie lepiej — odetchnęła. — Powiedziałam ci wszystko. Reszta zależy już tylko od ciebie. Bez względu na to, czy mnie posłuchasz czy nie, pamiętaj, w słowach umierającego zawsze kryje się prawda.

Billy siedziała samotnie przed lustrem w sypialni. Rozchyliła szlafrok i dotknęła dłonią swoich ciepłych piersi. Przez te wszystkie straszne i piękne lata zdarzały się chwile, gdy przeklinała swoje ciało. Innym razem znowu otaczała je prawdziwym kultem, pielęgnowała ponad miarę, wychwalała jego walory i ceniła doznania, jakich jej dostarczało. To ciało było jej niewolnikiem i przeznaczeniem zarazem. Jak trudno było uwierzyć, że tak obecne, realne i materialne, gdzieś w głębi toczono przez straszną, nieubłaganą chorobę. Niewidzialna śmierć zaczynała zbierać swoje żniwo. O tak, czas był dla jej ciała łaskawy. Ale tym trudniej było teraz pogodzić się z nieodwracalnym. Tak, Billy wierzyła, że istnieje także i dusza, a jednak nigdy nie pociągała jej religijna retoryka, zimny świat zbawienia i doskonałości. Żyła w realnym świecie zmysłów i choć czasami był on powodem jej udręki i upokorzenia, to jednak radość, którą czerpała z fizycznej miłości, była głęboka i szczerą. Nawet tego wieczora, kiedy w pewnej chwili podczas rozmowy z Jackiem dostrzegła ten, jakże znajomy błysk w oczach mężczyzny, poczuła, jak po całym jej ciele rozchodzi się miłe ciepło satysfakcji. Już sama świadomość bycia pożądaną dawała prawdziwą przyjemność.

Billy zrzuciła na ziemię szlafrok i położyła się naga do łóżka. Poczowała dreszcz, gdy jej miękką, rozgrzaną skórą zetknęła się z chłodną, pachnącą pościelą. Leżąc na wznak z przymkniętymi oczami rozmyślała o Tomie i o swojej bezgranicznej miłości do niego. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, miała dwadzieścia trzy lata. Teraz była bliska śmierci. Wbrew swej woli musiała opuścić ukochanego mężczyznę. W życiu Toma będzie to kolejne rozstanie... Choć przecież w ich wieku nie powinno to być już niespodzianką.

² *Gaesa — przepowiednia wygłaszana przez druidów, celtyckich kapłanów, podczas narodzin wojowników. Tak jak greckie fatum, Gaesa nie mogła zostać zmieniona i nie podlegała ludzkiej woli [przyp.tłum.].

Odwróciła się na bok i poczuła, jak gorące łzy spływają jej po policzku. Billy rzadko płakała, ale tej nocy... tej nocy nadszedł moment, w którym nie trzeba było powstrzymywać łez.

Wielki

Jack wszedł do hallu wielkiego domu Daltonów. Zdjął energicznym ruchem płaszcz i podał go lokajowi.

— Gdzie jest pan Dalton, James?

— W saloniku, właśnie skończył śniadanie. Czy życzy pan sobie coś do jedzenia, panie Cavanaugh?

— Nie, dziękuję. Wystarczy kawa.

Tom stał przed oknem z założonymi do tyłu rękoma, wpatrując się w kołysane wiatrem drzewa w ogrodzie. Na stole stało nie tknięte śniadanie i poranne wydanie The New York Times.

— A więc już wiesz? — spytał Jack.

— Właśnie skończyłem czytać — odparł Tom smutnym głosem. — Czy słyszałeś coś podobnego? Trumna z ciałem Andrewa Furusetha ma być wystawiona na Kapitolu! Po tych wszystkich latach, kiedy chcieli go zabić, zmieszać z błotem, skompromitować, zniszczyć i wyśmiać, teraz oddają mu hołd jak prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Tom podszedł do stołu i nalał filiżankę kawy. Był bardzo poruszony. Czuł dumę i oburzenie zarazem.

— To był wyjątkowy człowiek — powiedział Jack. Wiedział, że przed laty Tom przyjaźnił się z Furusethem, a później, gdy się rozstali, regularnie co roku wysyłał pokaźną sumę, by wesprzeć działalność legendarnego Norwega. — Mówiono, że nigdy nie godził się na pensję większą od przeciętnej płacy zwykłego robotnika portowego, mimo że był przecież przewodniczącym związków.

— Nie miał sobie równych, Jack! — Tom pokiwał głową. — Był silny jak dąb, uparty jak byk i przezorny jak lis. Nawet sam wielki J.P. Morgan nie mógł dać mu rady. Z drugiej strony odznaczał się zaskakującą wręcz łagodnością i wrażliwością. Tacy jak on rodzą się raz na tysiąc lat.

Tom zamilkł na chwilę. W myślach powrócił do odległych wspomnień. Potem ocknął się z zamyślenia i powiedział:

— To dzięki jego staraniom i uporczywej długoletniej walce wprowadzono w 1915 roku Kartę Marynarza. Zawierała ona wszystkie prawa, których ludzie morza mogli dochodzić na drodze sądowej, jeśli to było konieczne. Po raz pierwszy w historii ci, którym odmawiano

przez wieki wszelkich praw, których traktowano jak niewolników, mogli wreszcie poczuć się pełnoprawnymi obywatelami tego państwa...

— Czy pójdziemy na pogrzeb?

— Ależ oczywiście... Weźmiemy ze sobą także naszą małą dziewczynkę, co ty na to? Furuseth był wielkim człowiekiem i na pewno przyjdą tłumy, aby go pożegnać. Chciałbym, aby Megan zobaczyła to na własne oczy.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Jack na pewno przyznałby Tomowi rację, iż podobnie podniosłe przeżycie może być niezapomnianą lekcją dla każdego młodego człowieka. Ale Megan była wyjątkiem. Ta dziewczyna przypominała chodzącą encyklopedię. Była bardzo inteligentna i według Jacka prawdopodobnie przeczytała już wszystkie książki, jakie kiedykolwiek napisano. Na pewno o Andrewie Furuseth'cie wie znacznie więcej, niż to zamieścił The New York Times na dwóch stronach rozkładówki. Oczywiście, Cavanaugh nie wątpił, że wyrośnie z niej prawdziwa piękność. Już teraz wyglądała bardzo zachęcająco. Niemniej dziwiło to, że tak mocno związana była ze swoim dziadkiem. Można było odnieść wrażenie, że nie potrafi bez niego żyć. Co będzie więc, kiedy stary człowiek umrze?

— Czy nie wiesz, gdzie mają zamiar go pochować? — spytał Jack, kiedy wychodzili z domu.

— Nic o tym nie słyszałem. Andrew nie miał żadnej rodziny ani krewnych. Wiem natomiast, że zawsze chciał, by pochowano go w morzu. Prawdę mówiąc uważam, że powinniśmy zrobić wszystko, by spełniono jego życzenie.

— Zobaczę, co da się zrobić.

Jack Cavanaugh poruszony do głębi patrzył na Toma Daltona i Megan, którzy stali obok siebie, ramię przy ramieniu, na pokładzie parowego statku s/s Shoharie.

Uroczystości pogrzebowe odprawione na łądzie stały się szeroko komentowanym wydarzeniem, w którym wzięli udział senatorzy, kongresmeni, przedstawiciele związków i wiele innych osobistości życia publicznego. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, jego ciało spalono, a urnę z prochami przetransportowano do Sacannah, gdzie przeniesiono ją na pokład parowca.

Była godzina dwunasta i czterdzieści pięć minut. Parowiec majestatycznie kołysał się dryfując na morskich falach. Wiał lekki wiatr. Napokładzie zebrała się cała załoga. Pojawił się również kapitan statku Thomas F. Webb. Zdjął z głowy czapkę, włożył ją pod pachę, odchrząknął i przemówił mocnym, trochę zachrypniętym głosem:

— Marynarze, ludzie morza! Zebraliśmy się tutaj, by oddać hołd doczesnym szczątkom Andrewa Furusetha, wielkiego człowieka, którego upór odmienił nasze życie. Nikt inny nie uczynił dla nas tak wiele jak on. Dlatego czuję się zaszczycony, iż to właśnie mnie przypadło w udziale poprowadzić tę ważną ceremonię. Prochy Andrewa Furusetha zostaną zgodnie z

jego życzeniem rozsypane na morzu. Zanim to się jednak stanie, pozwólcie, że przeczytam kilka słów z modlitewnika dla marynarzy.

Kapitan walcząc z włosami, które rozwiewał mu wiatr, otworzył zniszczoną, pożółkłą ze starości książkę i odczytał patetycznym, trochę sztucznym głosem:

Boże Wszechmogący, Ty, który dajesz nam życie i je odbierasz, przyjmij duszę naszego drogiego brata. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, pamiętając Twoje słowa, poświęcamy morzu, naszemu domowi, naszej jedynej ojczyźnie, szczątki jednego z nas. Wierzimy, że w Dniu Sądu Ostatecznego, kiedy Jezus Chrystus zstąpi na ziemię, by oszacować nasze winy, morze zwróci tych wszystkich braci, którzy w nim teraz spoczywają. Dzięki twej bezgranicznej łasce i miłosierdziu, gdy zmartwychwstaną, znów popłyną błękitną flotą pośród chmur na chwałę Twoją, o Boże.

Jack, który stał z boku, spostrzegł w oczach Daltona łzy. Dyskretnie zbliżył się do stojącej obok Megan i delikatnie pociągnął ją za rękaw.

— Myślę, że twój dziadek powinien pozostać przez chwilę sam. Powinniśmy uszanować jego cierpienie — szepnął.

Megan przytaknęła i posłusznie odsunęła się na bok, patrząc wciąż na swojego dziadka, który wyprostowany stał na pokładzie. Dwóch młodych marynarzy przy akompaniamencie marynarskiego gwizdka podeszło z urną do burty i rozsypało prochy Furusetha, powierzając je morskim głębinom.

Megan przeglądała się w lustrze... Miała piękne, śnieżnobiałe zęby, jasne i miękkie włosy i długie, choć może trochę zbyt chude jeszcze, nogi. Nie było wcale tak źle. Chłopcy na ulicy zaczęli już zwracać na nią uwagę. Dziewczyna upewniła się, czy w pobliżu nie ma nikogo, po czym zdjęła koszulę i krytycznie przyjrzała się swoim piersiom. Melissa Hodgekiss z dziesiątej klasy, to miała dopiero piersi. Nie ma co mówić. Wszyscy chłopcy szaleli na jej punkcie. Kiedy szła ulicą, podskakiwały w rytm jej kroków, wywołując przyspieszony puls u kolegów i szczerą zazdrość wśród koleżanek. Megan też jej zazdrościła. Miała jednak nadzieję, że Cava — naugh poczeka jeszcze trochę, aż stanie się prawdziwą kobietą. Przystojny przyjaciel dziadka nie wykazywał zresztą zbyt wielkiej ochoty do żeniaczki... miała więc spore szanse. Często myślała o nim. Właściwie towarzyszył jej przez całe dzieciństwo, ale dopiero od niedawna Megan zaczęła traktować go nieco inaczej niż dotychczas. Zaczęła traktować go jak mężczyznę. Był silny, przystojny, dowcipny i bardzo, bardzo pociągający... Te zewnętrzne przymioty młodego człowieka jeszcze przed rokiem nie odgrywały dla Megan żadnej roli, ale teraz... teraz było całkiem inaczej. Wiedziała, że w życiu Jacka jest wiele kobiet. Często widziała jego zdjęcia w magazynach na łamach kroniki towarzyskiej. Zawsze otaczała go grupka wielbicielek. Ale dziadek mówił zawsze, że Jack żadnej z nich nie kocha, poza tym gdyby nie lubił jej choć trochę, na pewno nie spędzałby z nią tyle czasu.

Dochodziła jedenasta. Megan szybko skończyła się ubierać, wcisnęła do torebki wzięte kieszonkowe wydanie Powieści o dwóch miastach, po czym wyszła z domu. Była umówiona z Jackiem na lunch.

Jack zamknął ostrożnie drzwi od sali konferencyjnej, dyskretnie podszedł do swojego miejsca i zasiadł za olbrzymim, lśniącym stołem, przy którym siedziało już kilka osób. Zwykle w takich sytuacjach zachowywał się z właściwą mu pewnością siebie, a jego notoryczne spóźnienia, jak żartowano, miały w istocie zwrócić po prostu na niego uwagę. Jack lubił robić wiele zamieszania wokół swojej osoby. Tym razem jednak spóźnienie było niezamierzone. Cavanaugh chciał bowiem dyskretnie przyjrzeć się Rory'emu, który prowadził zebranie z charakterystycznym dla siebie zimnym, wyrachowanym spokojem i kamienną twarzą pokerzysty. Zawsze starał się całkowicie zapanować nad słuchaczami, podporządkować ich sobie, zniewolić. Spokój, poczucie siły i pełne godności zachowanie to były cechy, które nierozwalnie kojarzyły się z ogólnie podziwianym i szanowanym Tomem Daltonem. Rory, który zawsze pragnął prześcignąć swego ojca, starał się naśladować także jego zachowanie. Ale właśnie w tym kryła się, zdaniem Jacka, pułapka. Bowiem naśladowując swego ojca, Rory nigdy nie był w tym naturalny. Jego działanie nie wynikało z wewnętrznej potrzeby, ale z zazdrości i kompleksów. Ludzie wyczuwali ten słaby punkt Riordana i nigdy do końca nie

traktowali go z należytą powagą. W ich przekonaniu pozostawał nieudaną kopią swojego wielkiego ojca.

Jack rozejrzał się wokoło i ze zdziwieniem stwierdził, że wśród przybyłych nie było Toma. Z biegiem czasu coraz więcej spraw oddawał w ręce Rory'ego. Nie było to dowodem słabości. Tom doskonale potrafił zadbać o swoje interesy, a zwłaszcza o interesy swej wnuczki Megan. Po prostu w głębi serca cały czas żywił nadzieję, że jego syn ma na względzie prócz własnego dobra, także dobro rodziny. Jack nie miał argumentów, Rory był bowiem jak najbardziej kompetentny, by prowadzić sprawy firmy. Pod tym względem nie można było mu niczego zarzucić. Niemniej Cavanaugh wciąż nie mógł uwierzyć w czystość jego intencji.

Już od pewnego czasu Rory był niezmiernie uprzejmy w stosunku do Jacka... można rzec, aż nazbyt uprzejmy. Ta nagła zmiana w jego zachowaniu musiała mieć jakąś przyczynę. Tom zawsze powtarzał w takich wypadkach: „Jeśli zobaczysz, że pełźnie do ciebie żmija, niech ci się nie wydaje, że sprawił to twój nieprzeparty osobisty urok”. W tym powiedzeniu kryło się wiele prawdy.

Jack spojrział na zegarek. Zebranie powinno skończyć się za dziesięć minut. Jak dotąd nic niespodziewanego nie miało miejsca. Te same rutynowe raporty, jałowe, nic nie wnoszące dyskusje. Cavanaugh zamknął wieczne pióro i włożył je do wewnętrznej kieszeni marynarki. W tym momencie odezwał się Rory:

— Przy okazji, panowie — powiedział obojętnym tonem. — Myślę, że nikt nie będzie miał nic przeciwko zainicjowaniu nowego projektu badawczego... To nic wielkiego, po prostu rutynowe badania dotyczące konkurencji.

To było taktyczne działanie. Wszyscy zebrali powoli szykowali się już do wyjścia, nerwowo spoglądając na zegarki. Każdy chciał jak najszybciej zakończyć zebranie, by zdążyć na umówiony lunch na mieście.

— O jaki projekt badawczy ci chodzi? — spytał Jack. Ta niespodziewana propozycja zaniepokoiła go.

— To pomysł pewnego faceta z Harvardu, specjalisty od statystyki. Nazywa się Howard Berthold i przeprowadza pionierskie badania dla takich firm jak nasza. Dokładniej — chodzi o pogłębione studium na temat konkurencji, ale nie przez pryzmat ekonomii i finansów, ale bardziej pod kątem psychologicznej analizy zarządzania.

— Wydawało mi się, że na temat konkurencji wiemy już wszystko — przerwał Jack oschłym tonem.

— Masz bez wątpienia rację... Wszyscy zapewne zgodzą się z twoją opinią, ale wydaje mi się, że takie badania nie mogą zaszkodzić, natomiast mogą przynieść nowe ciekawe informacje, dzięki którym wzmocnimy naszą pozycję na rynku. — Spokojnie odparł Rory.

Jack spostrzegł jednak, że spokój Rior — dana był tylko pozorny. Najwyraźniej miał nadzieję, że projekt badawczy zdoła przeforsować podczas zebrania bez większych oporów. Pytania, które stawiał Cavanaugh, krzyżowały jego plany.

— Chodzi o całkiem prostą sprawę. Jak ci zapewne wiadomo, podczas przeprowadzanych z innymi firmami negocjacji często napotykamy na brak podstawowych informacji. — Rory przybrał taki ton, jakby tłumaczył mało pojętnemu dziecku rzecz całkiem oczywistą. — Myślę jednak, że nie ma potrzeby, byśmy marnowali cenny czas nas wszystkich do roztrząsania detali. Korzyści płynące z takich badań są dla każdego oczywiste...

— Sądzę, że twój ton jest niestosowny. — Jack uśmiechnął się uprzejmie. — Poza tym większość z nas zdaje sobie sprawę nie tylko z korzyści podobnych projektów, ale i z ich kosztów. Domyślam się bowiem, że twój przyjaciel pan Berthold nie będzie robił swych badań za darmo. A może się mylę?

Na twarzach zebranych przy konferencyjnym stole pojawiły się ironiczne uśmiechy. Mężczyzna siedzący po lewej stronie Rory'ego odezwał się polubownym tonem:

— Myślę, że nie ma sensu przeciągać tej dyskusji dłużej, tym bardziej iż śpieszymy się wszyscy na lunch. Proponuję, by pan Dalton przesłał nam wszystkie informacje o spornym projekcie. Rozpatrzmy tę sprawę w późniejszym terminie — podczas następnego zebrania.

Rory uśmiechnął się z aprobatą. Wszyscy wstali od stołu, spakowali teczki i wyszli. W pomieszczeniu konferencyjnym pozostał jedynie Jack. Siedział wpatrzony w okno i nerwowo stukał ołówkiem w blat stołu. Nie mógł opędzić się od złych myśli. Cała ta sprawa z tajemniczym projektem badawczym, która tak nagle i zupełnie nieoczekiwanie została przedłożona zarządowi, wydała mu się bardzo podejrzana. Nie miał pewności, ale czuł instynktownie, że Rory coś knuje. Ten mały sukinsyn o czarnych przylizanych włoskach ukrywał swoje prawdziwe zamiary. To było widać! Ale co roіło się w jego cholernej głowie? Jaki diabelski plan wymyślił, by pokonać swojego ojca, tego biednego, naiwnego i łatwowieznego starca? Jack pokiwał głową. Powoli zaczynał wątpić w instynkt samozachowawczy swojego szefa.

Wstał, zebrał swoje rzeczy i zbiegł szybko na dół. Zerknął na zegarek. Był spóźniony o pół godziny. Tego dnia miał zjeść lunch z Megan i bardzo zależało mu na punktualnym stawieniu się na spotkanie. Miał więc jeszcze jeden powód, by nienawidzić Rory'ego.

91.

— Dziadku? — trzynastoletnia Megan, ubrana w schludny szkolny mundurek siedziała w Central Parku obok Toma Daltona. — Dlaczego jesteś dzisiaj taki smutny?

Mężczyzna o białych jak śnieg włosach, które z łagodnym dostojeństwem spływały na jego szerokie ramiona, uśmiechnął się zamyślony i odparł swym łagodnym, ciepłym głosem:

— Myślałem o twoim wujku, Riordanie. Spodziewam się z jego strony dużych kłopotów, ale nie mogę nic zrobić, by zapobiec jego szkodliwemu działaniu.

— Wujek nie jest zbyt sympatyczną postacią — stwierdziła dziewczynka. Ta uwaga wypowiedziana arbitralnym i stanowczym tonem wywołała uśmiech na twarzy starego człowieka.

— Nikt nie pomyślałby nawet, iż jesteście jedną i tą samą rodziną.

— Czy on zawsze był taki, dziadku?

— Doprawdy nie wiem, skarbie, to takie trudne. — Na twarzy Toma pojawił się nagle wyraz znużenia. — Człowiek nie może wszystkiego pamiętać. Niemniej Rory, jak sięgam pamięcią, zawsze był nieco wyobcowany i zamknięty w sobie, nawet wtedy, gdy żyła jeszcze jego matka. Potem, kiedy w naszym życiu zdarzyła się ta wielka tragedia, coś nagle zmieniło się w charakterze tego chłopca na gorsze, jakby jego młode serce stężało w cierpieniu i przemieniło się w twardą skałę. Pomiędzy nim a matką zawsze istniała, dla mnie zbyt odległa, nieporozumienia. Ona potrafiła rozpalić w jego duszy ogień uczucia, ale kiedy odszła, ten wąty płomyk zgasł na zawsze...

— Ciągłe tęsknisz za nią, prawda?

— Tak, tęsknię.

— Czy będziesz szczęśliwy, jeśli ci powiem, że podjęłam decyzję, by nie jechać następnej jesieni do szkoły w Bready?

— Tak zdecydowałaś? Dlaczego?

— Ponieważ nie potrafię żyć, kiedy nie jestem z tobą. — Nachyliła się w stronę Toma i pocałowała go w szorstki, kłujący zarostem policzek. — Jesteś jak słońce, które oświetla dni mojego istnienia. Kiedy tracę cię z oczu, świat przestaje istnieć, amen.

Tom z rozrzewnieniem spojrział na wnuczkę.

— Jesteś prawdziwym skarbem — pogładził jej delikatną, gładką dłoń. — Obawiam się jednak, iż nie będę mógł świecić ci przez całe twoje życie. Mam siedemdziesiąt lat i większą część swej drogi już za sobą.

— Właśnie dlatego nie pojedę do szkoły, to już postanowione. Chcę jak najwięcej czasu spędzać z tobą. — Potem spojrzała na Toma bardzo tajemniczym wzrokiem i dodała: — Czy wiesz, że chwilami odnoszę bardzo dziwne wrażenie, że jesteśmy jedną i tą samą osobą?

— To znaczy?

— Dokładnie nie wiem. Ale to tak, jakbym dokładnie znała twoje myśli, tak jak ty znasz moje. Bez trudu mogę wyczuć, czy jesteś zmartwiony, czy coś ukrywasz przede mną lub przed Jackiem... Poza tym różnimy się od pozostałych członków naszej rodziny i jak wiesz, niespecjalnie nas za to lubią.

Tom roześmiał się serdecznie.

— Tu masz całkowitą rację.

— Jesteśmy wyjątkowi, ty, dziadku, i ja. Kiedy odejdiesz, to mimo to wciąż będziesz żył, tak długo, dopóki mnie Pan Bóg nie przywoła przed swoje oblicze. Czy rozumiesz, co mam na myśli?

— Tak, wiem. To prawdziwe szczęście mieć świadomość, że pozostawię cię na tym świecie. Ty jedna jesteś naprawdę częścią mojej duszy. Kiedy poznasz mężczyznę swego życia, być może będziesz chciała przekazać tę częśćkę dalej.

— Nie zamierzam wychodzić za mąż. — Dziewczyna nachmurzyła się. — Ty jesteś mężczyzną mojego życia.

Tom ponownie roześmiał się, ale spoważniał natychmiast, kiedy ujrzał w oczach swej wnuczki niezachwianą wręcz wiarę w szczerłość wypowiedzianych przed chwilą słów.

Nieuchronność konfliktu pomiędzy Jackiem a Rorym od wielu lat spędzała sen z powiek Tomowi Daltonowi. Robił wszystko, aby trzymać ich z daleka od siebie. Od kiedy Rory całkowicie poświęcił się polityce i większość czasu spędzał na bankietach w Waszyngtonie, Tom bez większego trudu mógł tak aranżować spotkania, by obaj oponenti nie widzieli się zbyt często.

Jack był nie tylko protegowanym i wspólnikiem Toma, był także jego serdecznym przyjacielem. Nić porozumienia, która zbliżała ich do siebie w naturalny sposób, sprawiła, iż Tom często myślał o Cavanaughu jako o swoim następcy w „M and D”. Jednak to Rory był synem Daltona, jego najstarszym synem, pierworodnym i prawo związku krwi nakazywało, by to właśnie on przejął po Tomie zarząd nad firmą. Mimo wszystko, jeśli pominąć całą antypatię, jaką Dalton czuł do swojego syna, oraz fakt, iż nigdy nie potrafili się porozumieć, to jednak Tom wraz z upływem lat oraz świadomością zbliżającej się śmierci odczuwał głęboką

potrzebę, by dorobek swojego życia oddać w pewne ręce. Rozsądek nakazywał, by był to Rory. Ostatecznie Jack i tak miał dużo pieniędzy. Oczywiście, młody człowiek, bez wątplenia bardzo ambitny, byłby szczęśliwy, gdyby to właśnie jemu przypadła w udziale jedna z największych i najbardziej dochodowych firm w Stanach Zjednoczonych. Z drugiej jednak strony wspólna inwestycja na Alasce już za kilka lat przyniesie mu niewyobrażalną wręcz fortunę. Jeśli jest rzeczywiście zdolny i wytrwały, będzie potrafił sam założyć własne przedsiębiorstwo i kto wie... może stanie się konkurentem dla Rory'ego...

BRISZ

Najpiękniejsze miesiące życia, o których mówiła Billy, szybko minęły. Tom Dalton stał u wezglowia łoża, na którym spoczywało ciało jego najdroższej przyjaciółki. Wraz z Billy odchodziła od niego cała jego przeszłość. Teraz pozostawało mu jedynie obcowanie z jej cieniami. Z trudem znosił widok martwej twarzy Billy. Jej pozbawione życia usta, które tak często i z tak wielkim uniesieniem całował, jej woskowa skóra o nieziemskim, matowym połysku, wspaniałe blond włosy, które przypominały teraz niezręcznie nałożoną perukę — to wszystko w niemły i dotkliwy sposób uzmysławiało mu, iż Barnacle Billy, najbardziej zmysłowa i pociągająca kobieta, jaką znał, uosobienie seksu i rozkoszy, już nie istnieje. Pozostał tylko fantom, wspomnienie, cień rzeczywistości i nic więcej.

— Strzeż się swojego syna. — Powiedziała na łożu śmierci, gdy konała. — Jego oczy są złe i jego dusza jest czarna...

Nawet gdy umierała, troszczyła się o los Toma. Było w tym coś irracjonalnego, a jednocześnie coś niebywale przejmującego. Nawet w obliczu śmierci myślała jedynie o swojej największej miłości... Tomie Daltonie.

Stary mężczyzna podszedł do łóżka i przesunął dłonią po mokrym policzku.

— Nie zmarnowaliśmy naszego uczucia — wyszeptał. — Nie zmarnowaliśmy...

Pochylił się nad leżącą kobietą i pocałował jej zimne, sine usta.

— Niech nikt nie zakłóci twojej podróży — powiedział. - I powiedz wszystkim naszym przyjaciółom, że wkrótce wszyscy znów się spotkamy.

— Gdzie pan Dalton wybiera się każdego piątku przed południem, Hank? — spytał Cavanaugh szofera, który właśnie zaparkował czarną limuzynę w garażu.

— Prawdę mówiąc zabroniono mi udzielania komukolwiek informacji na ten temat, ale dla pana mogę zrobić wyjątek. Pan Dalton zawsze w piątki jedzie na cmentarz — na grób swojej żony i panny Billy. Nie zdarzyło się jeszcze ani razu, by zapomniał o tym. Nawet kiedy leje deszcz albo jest śnieżycą, zawsze punktualnie o dziesiątej wyruszamy na cmentarz.

Jack pokiwał głową, po czym ruszył z powrotem w stronę swego mercedesa.

— Myślałem, że chce się pan spotkać z panem Daltonem — powiedział zaskoczony szofer.

— Tak, ale zmieniłem zdanie. Myślę, że będzie lepiej, jeśli dzisiaj zostawię go w spokoju. Dziękuję, że mi powiedziałeś.

— Nie ma za co — odparł Hank nieco zażenowany.

Megan powiedziała dobranoc do wymuskanego i pachnącego drogą wodą kolońską młodego człowieka, po czym wysiadła z samochodu, zatrzasnąwszy za sobą z ulgą drzwi. Pocałował ją na pożegnanie, potem zupełnie nieoczekiwanie jego ręka znalazła się na jej piersiach, a nogi przywarły mocno do jej kolan. Doprawdy w ostatnim momencie udało się jej wyrwać z natrętnego uścisku. Megan nie miała nic przeciwko temu, by ją całowano czy nawet dotykano. Nie bała się miłości, choć w dalszym ciągu miała o niej jedynie mgliste wyobrażenie. Problem polegał raczej na tym, że żaden z jej amantów, a miała ich wielu, nie odpowiadał jej oczekiwaniom. Zawsze byli albo zbyt nachalni albo za mało inteligentni, zbyt zniewieściali lub zbyt zarozumiali. Megan pragnęła spotkać w swoim życiu prawdziwego mężczyznę. Takiego, który zrozumiałby ją, potrafił nie tylko całować czy pieścić, ale także stworzyć intymną i niepowtarzalną atmosferę bliskości i głębokiej zażyłości. Chłopcy, których znała, byli na to po prostu zbyt młodzi. Choć miała zaledwie szesnaście lat, pragnęła poznać smak zakazanego owocu fizycznej miłości. Ale nie było jej obojętne, kto zostanie jej partnerem. To musiał być ktoś naprawdę wyjątkowy i godny zaufania. Ktoś, kto zechce być nie tylko kochankiem, ale i przyjacielem, wyrozumiałym i mądrym towarzyszem życia.

Rory studiował plik dokumentów, które otrzymał od Howarda Bertholda. To był efekt blisko czterech lat ciężkiej pracy, mozolnych badań i analiz. Wszystko trwałoby zapewne znacznie krócej, gdyby nie wści — bski Cavanaugh, który co chwila piętrzył na drodze Riordana kolejne przeszkody.

Pod stertą dokumentów w foliowej teczce znajdowało się zdjęcie senatora Harveya Goodhoue'a. Rory dokładnie przyglądał się jego twarzy z mieszanymi uczuciami fascynacji i dystansu. Na odwrocie zdjęcia w punktach wypisano najważniejsze fakty:

- Harvey Goodhue
- 61 lat
- senator Stanów Zjednoczonych czwartej kadencji
- słabość do kobiet i burbona
- właściciel trzeciej co do wielkości firmy budowlanej
- megaloman, pozbawiony zasad, skąpy
- wykorzystuje swego zięcia, by ukryć nielegalne interesy
- skłonny do zaakceptowania propozycji o założeniu fuzji handlowej

Rory odsunął od siebie dokumenty i rozparł się w fotelu. Uśmiechnął się pod nosem. Goodhue. To nazwisko mówiło mu, że koniecznie powinien poznać jego właściciela.

Riordan Dalton siedział w miękkim skórzanym fotelu w spowitej dymem z cygar wielkiej sali Klubu Demokratów i uważnie, z pewnej odległości, obserwował siedzących przed sobą dwóch mężczyzn. Jeden z nich, senator Goodhue, mężczyzna w starszym wieku, o ogromnym, wręcz karykaturalnym nosie w kształcie rozgnieczonego kartofla, popijał dostojnie ze szklanki mar — garitę, co chwila wycierając chusteczką spocony kark. Matka senatora prawdopodobnie nigdy nie zarobiła więcej niż dwadzieścia dolarów tygodniowo, ale jej syn, ten chytry i pozbawiony wszelkich skrupułów byczek, doszedł do ogromnej fortuny dzięki swojemu przedsiębiorstwu budowlanemu. Nadmiar gotówki, od której pęczniał portfel senatora, uwidaczniał się między innymi w bardzo eleganckim ubraniu, prawdopodobnie sprowadzonym z Paryża, które jednak w bolesny dla Rory'ego sposób kontrastowało z czerwonym, topornym obliczem Goodhoue'a. Obok niego siedział Elwood Grady, zblazowany młody mężczyzna, który pragnąc podreperować finansowo swoją podupadłą arystokratyczną rodzinę pochodzącą z Anglii, ożenił się z córką senatora i odgrywał teraz rolę pajaca, który swoim

lordowskim nazwiskiem wystawiał świadectwo moralności wszelkim nieuczciwym transakcjom, na których wspierało się finansowe imperium jego teścia.

— A więc zdecydował się pan sprzedać swojego staruszka? — odezwał się senator z pewnym namysłem do Rory'ego. — Obawiam się jednak, iż nie zaakceptuję pańskiej propozycji tak długo, dopóki nie poznam jej prawdziwych powodów.

— Większość synów nie znosi swoich ojców — odparł Elwood tonem, który zdradzał dużą znajomość rzeczy w tym względzie.

— Zamknij się — senator porzucił wyszukaną elokwencję, która najwyraźniej była dla niego zbyt uciążliwa. — Dobrze wiem, że niejeden chętnie wykastrowałby swego ojca 'publicznie...

Rory nie za bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć na tę niewątpliwie głęboką myśl, wypowiedzianą przez szacownego senatora, dlatego na wszelki wypadek przychylnie skinął głową i z nic nie mówiącym uśmiechem na twarzy oświadczył:

— Mój ojciec przysposobił mnie do zawodu biznesmena. To jedyne, co od niego dostałem. Sam będąc młodym człowiekiem dostał się do firmy Jima Mulvaneya i zajął miejsce starego. Teraz ja zamierzam zrobić dokładnie to samo. Może pan to traktować jako naszą rodzinną tradycję, panie Goodhue.

Goodhue, który nienawidził, gdy przypominano mu jego nazwisko, w jego mniemaniu zbyt pospolite i mocno trące prowincjonalizmem, skrzywił się, po czym uniósł szklankę do góry i zawołał:

— Jesteś kompletnym idiotą, Dalton, zalatujesz gównem i wymiocinami, niemniej... — na jego twarzy pojawił się szatański uśmiech — bardzo lubię pomagać właśnie takim ludziom jak ty!

Po tych słowach jednym haustem wypił całą zawartość szklanki i wygramolił się z fotela. Trzej mężczyźni poszli w kierunku sali jadalnej, by zjeść lunch. Ktoś, kto obserwowałby ich z boku, stwierdziłby zapewne, że są oni starymi i bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Shay Dalton zachował swoją atletyczną sylwetkę, choć jego twarz była zmęczona i wymięta. Teraz kiedy stał przed biurkiem starszego brata, wyrażała ona to pełne naiwnego, dziecięcego zmieszania zdziwienie, które zawsze tak bardzo denerwowało Rory'ego.

— To, co chcesz zrobić ojcu, nie jest sprawiedliwe. On zawsze był wobec nas w porządku.

Riordan spojrział na brata z odrazą. Nigdy nie darzył go sympatią. Nienawidził jego słabości. Zapadło długie, nieprzyjemne milczenie. Cynthia starała się złagodzić napiętą atmosferę, kursując nieustannie pomiędzy barkiem a gośćmi. Francine, druga żona Shaya z niešťczęśliwą miną Joanny D'Arc, która rzuca się na płonący stos składając ze swego życia

ofiare, przyjęła podaną jej szklankę alkoholu. Uśmiechnęła się nawet do Cynthii, choć w głębi serca nienawidziła rodziny brata męża. Teraz z napiętą uwagą oczekiwała, co powie wreszcie Rory. Z wyraźnym wysiłkiem słuchała paplaniny męża i z najwyższym trudem powstrzymywała rosnącą irytację.

— Ojciec jest już stary, Shay. Najwyższy czas, aby firmą pokierował ktoś młodszy, bardziej energiczny. Dopóki nie odsuniemy go na bok, moja pozycja w firmie wciąż będzie niepewna. Ojciec myśli tylko o córce Maeve i o tym przybłędzie Cavanaughu. Chyba nie chcesz, by po jego śmierci cały spadek przypadł im.

Shay spojrzał przestraszony na brata. Prawdę mówiąc nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tym, co stanie się po śmierci Toma. Był przekonany, że otrzyma sporą część majątku. W ogóle nie brał pod uwagę takiej ewentualności, by mógł zostać bez grosza.

— Czego właściwie chcesz od nas, Rory? Biznes to twoja sprawa, ja się zajmuję kopaniem piłki. — Shay uśmiechnął się z nie skrywaną dumą i mrugnął w stronę żony. Ta nie zwróciła jednak na niego najmniejszej uwagi.

— Chcę, abyś mnie wsparł, kiedy senator Harvey Goodhue złoży naszej firmie niezmiernie hojną propozycję.

— Dlaczego akurat Goodhue?

— Ponieważ on chce mieć „M and D” i zapłaci za to górę pieniędzy. Shay, pomyśl tylko, górę pieniędzy! A to wszystko będzie dla nas, miliony dolarów.

— A co będzie z ojcem?

— Na pewno trochę się zmartwi, ale przeżyje, jak sądzę. Ma przecież jeszcze udziały w innych przedsiębiorstwach.. Nie bój się, nie umrze z głodu. Po prostu podzieli się z nami tym, co i tak słusznie nam się należy...

— Ty go nienawidzisz, prawda? — to proste pytanie zaskoczyło Rory'ego. Zdziwiony spojrzał na młodszego brata.

— Moja antypatia do ojca nie odgrywa tu żadnej roli. To sprawa pieniędzy. Chodzi o zysk. Nie pozwolę, by ten stary dziwak rozdał wszystkie pieniądze dziecku i jakiemuś przybłędzie. Zbyt ciężko sam pracowałem na sukces tej firmy, rozumiesz?

Shay podszedł chwiejnym krokiem do barku i nalał sobie kolejną szklankę dzinu. Czuł, jak głowa pęka mu z bólu. Nie mógł zebrać myśli. To, co proponował mu brat, było zwykłym świństwem, ale z drugiej strony... Rory miał rację, że Cavanaugh przymierzał się do fotela prezesa w firmie. Kto wie, do czego by to doprowadziło. Czy miał pozwolić, by pozbawiono go środków do życia? Przecież nie utrzyma się z samej gry w piłkę, zwłaszcza teraz, kiedy od dłuższego czasu musiał zadowolić się kontraktami z drugiej ligi.

— Dobrze — Seamus zrobił głęboki wdech. — Powiedz, co mam zrobić.

Rory spojrział z ulgą na swoją żonę, która uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo. Zawsze powtarzała, że Shay jest miękki jak plastelina.

— Musimy nawiązać kontakt z wszystkimi udziałowcami. Trzeba przedstawić im nową sytuację i wytłumaczyć, że odłączając się od nas, nie mają żadnych szans na zyski. To zmusi ich do namysłu.

Shay przytaknął, dolewając sobie kolejną porcję dżinu. Czuł, jak alkohol zaczyna działać. Uśmiechnął się. W sumie życie wcale nie było takie straszne.

WYKONANIE

Jack ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w planszę szachownicy, oczekując na kolejny ruch przeciwnika. Megan spojrzała na niego z rozbawieniem, po czym sięgnęła po gońca i dała królowi Jacka mata.

— Lepiej zrobię herbaty — powiedziała wstając od stołu.

Kiedy wychodziła z pokoju, Cavanaugh z uwagą śledził jej ruchy. Megan wyrosła na piękną dziewczynę. Odznaczała się naprawdę niepospolitą urodą i zapewne wielu mężczyzn szalało na jej punkcie. Miała już osiemnaście lat i pozostało jej zaledwie pół roku do skończenia college'u. Kiedy dziewczyna wróciła z tacą zastawioną serwisem do herbaty, Jack spytał:

— Czy myślałaś już, co będziesz robiła po skończeniu szkoły?

— Jak to, już zapomniałeś? — udała najwyższe zdziwienie. — Mam zamiar wyjść za ciebie za mąż.

Jack roześmiał się. Prawda, Megan jeszcze jako mała dziewczynka twierdziła z uporem, że obok dziadka jedynym mężczyzną jej życia jest właśnie Jack.

— No dobrze, ale poza tym zapewne zamierzasz zrobić także i inną karierę. Przy twojej wiedzy, odcytaniu i wykształceniu powinnaś zająć się czymś poważnym.

Megan nalewając herbatę do filiżanek zerknęła spod swych długich rzęs na przystojnego mężczyznę.

— Widzisz, Jack, to wszystko nie jest takie proste. Możesz uznać, że jestem zblazowaną, rozkapryszoną dziewczyną, ale męczy mnie, iż jestem tak bardzo bogata. Właściciele nie muszą wcale pracować. Gdybym była pozbawiona wszelkich ambicji i celów w życiu, mogłabym kursować pomiędzy Nowym Jorkiem i Paryżem, podrywać bogatych facetów i kupować drogie ciuchy... Jeśli mam być szczerą, to nie jest moim marzeniem.

— Możesz przecież założyć rodzinę...

— Oczywiście. Bardzo tego pragnę. Chcę mieć dom i dzieci, ale poza tym chciałabym zrobić także coś naprawdę wartościowego. Nie chcę być po prostu jedną z tych bogatych idiotek, które nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić. Chciałabym być pożyteczna.

— Dobrze wiesz, że jesteś — Jack uśmiechnął się.

— Chciałabym napisać książkę, wydaje mi się, że potrafiłabym opowiedzieć tyle różnych historii. Byłabym ci również bardzo wdzięczna, gdybyś zapoznał mnie z interesami naszej firmy.

Słowo „nasza” bardzo mu się spodobało. Po raz pierwszy Megan mówiła o „M and D” jak o wspólnej firmie Toma, jej i Jacka.

— Co tylko zechcesz — odparł.

Nigdy nie potrafił sprecyzować dokładnie, na czym polegał jego stosunek do Megan. Podobała mu się, była piękna i im bardziej stawała się dojrzała, tym mocniej uwidaczniała się jej wyjątkowa uroda. Długie blond włosy, błękitne oczy, a przede wszystkim szlachetne rysy twarzy, trochę surowe, jakby należące do starożytnego posągu, a jednocześnie trochę dzikie, nieokiełznane, pełne ekspresji. Od pewnego czasu czuł się nieswojo w jej towarzystwie. Nigdy nie potrafił zdecydować, kim właściwie jest dla niego ta piękna dziewczyna — przyjacielem, córką bliskiego mu człowieka, którą traktował jak własną siostrę, czy ewentualną kochanką, a może kimś więcej.

Woda

Cynthia Braithwaite Dalton przeprowadzała właśnie ostateczną inspekcję przed przyjęciem, które miało odbyć się tego wieczora. To była wyjątkowa okazja. Sam wiceprezydent z małżonką miał złożyć im kurtuazyjną wizytę, dlatego należało dopilnować, by przyjęcie udało się i by przygotowano je w najdrobniejszych szczegółach. Przeglądając się w lśniących ostrzach srebrnych noży stołowych, Cynthia pomyślała z ulgą, jakie to szczęście, iż nie zaprosiła Shaya i jego żony Francine. Już samo to, że jej szwagierka f nosiła takie właśnie imię, przyprawiało ją o ból głowy.

Żona Rory'ego po raz kolejny przejrzała listę zaproszonych gości. Odpowiednia liczba polityków, pisarzy i aktorów to była najlepsza recepta na udane przyjęcie. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego wysocy urzędnicy państwowi, poważni w końcu ludzie, tak chętnie pokazywali się w towarzystwie gwiazd filmowych. Oczywiście najbardziej krytycznym momentem wszystkich przygotowań do wieczornego przyjęcia był wybór odpowiedniej kreacji. Cynthia stojąc w bieliźnie przed olbrzymią otwartą na oścież szafą po raz tysięczny przeżywała nie rozwiązany dylemat, co ma na siebie założyć. W końcu zdecydowała się na kreację Schiaparelliego, którą przywiozła ze swej ostatniej podróży do Paryża.

— Czy przygotuje pani sama przesyłkę dla dzieci? — głos służącego wyrwał Cynthię z zamyślenia. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, o co właściwie chodzi. Rzeczywiście był drugi wtorek miesiąca i trzeba było wysłać milusińskim paczki z łakociami.

— Jak trudno jest pamiętać o wszystkim! — westchnęła. Usiadła przy swoim empierowym biurczku, wyjęła złote pióro Parkera i zaczęła sporządzać listę zakupów.

W tym samym czasie, Riordan Dalton stał w swym pokoju przed lustrem, troskliwie poprawiając biały goździk w butonierce smokingu. Ten wieczór był dla niego niezmiernie ważny. Stanowił bowiem uwieńczenie wieloletnich starań zmierzających do przejęcia kontroli nad „M and D”. Z niemałą satysfakcją skonstatował, że ojciec tak chętnie zgodził się wziąć udział w przyjęciu. Najwyraźniej perspektywa wspólnej kolacji z wiceprezydentem schlebiała staremu. Był to dowód na to, iż Tom od dawna nie był już sobą. Dawniej podobna małostkowość w jego zachowaniu była nie do pomyślenia. Najwyższy więc czas, by to Rory przejął cały majątek. Z taką fortuną i politycznymi koneksjami już wkrótce pozostanie prawdopodobnie ambasadorem. Z tego stanowiska prowadzi krótka droga do fotela senatorskiego. A potem, kto wie, może także do owalnego gabinetu w Białym Domu.

To skurwiel! — Jack z wściekłością rzucił słuchawkę na widelki telefonu. A więc o to chodziło temu podstępnemu, śliskiemu łajdakowi. Za plecami ojca chciał sprzedać „M and D”. To, co stanowiło powód ich dumy i było dorobkiem całego życia Jima Mulvaneya i Toma Daltona znalazło się w rękach hochsztaplera. To było nie do pomyślenia! A jednak Jack wiedział, że nic już nie mogło powstrzymać Rory'ego. Udziały w akcjach były rozproszone. Jim pozostawił udziały Billy, Tomowi, Meave, Seamusowi i wielu jeszcze innym zaprzyjaźnionym ludziom. Niepewnasytu — acja przed wojną oraz duże wahania koniunktury na rynku sprawiły, że Rory wszedł w posiadanie sporej części udziałów. Billy swoje akcje zapisała Seamusowi, a ten z pewnością sprzeda je starszemu bratu. W ten sposób Riordan będzie miał większość udziałów. Jack wątpił, by Tom i Megan mogli zebrać w sumie więcej niż dwadzieścia pięć procent akcji. Gdyby Rory'emu rzeczywiście chodziło o zysk ze sprzedaży „M and D”, można by było z nim jeszcze pertraktować. Ale jego celem była po prostu chęć zemsty, podsycana przez f ambicje polityczne. — Słodki Boże! — wykrzyknął Jack stojąc w pustym pokoju swego mieszkania. — Przecież on chce sprzedać firmę konkurencji, senatorowi Goodhue. Z pewnością dostanie za to jakiś pieprzony stołek w ministerstwie lub coś podobnego.

Jack uderzył pięścią w stół. Nagle zrozumiał, że wszystko stracone. On sobie jakoś poradzi. Ale jak zachowa się Tom, kiedy dowie się o zdradzie syna?

Tom Dalton siedział za biurkiem w skórzanym fotelu i wpatrywał się w okno wychodzące na ogród. Właśnie skończył rozmawiać przez telefon z Jackiem. Spokojnie wysłuchał jego długiej tyrady o Rorym i umowie, którą zawarł z senatorem Goodhue. Był dziwnie spokojny. Myślami cofał się w przeszłość — do Drumgillan, do pogrążonego w kontemplacji klasztoru św. Ignacego i uniwersyteckich kruzganków w Dublinie. Uśmiechnął się z goryczą na wspomnienie słów, które wypowiedziała Billy na łożu śmierci: „Strzeż się Rory'ego”.

Wciąż nie potrafił znaleźć satysfakcjonującego go rozwiązania, które pozwoliłoby mu na honorowe wybrnięcie z kłopotu. Jeśli pozwoli Rory'emu sprzedać firmę, wyjdzie na głupca. Jeśli natomiast podejmie wyzwanie, to wówczas walka może trwać tak długo, iż nie starczy mu życia, by doczekać zwycięstwa. Nie miał zamiaru ryzykować całą fortuną swej wnuczki w tej niepewnej grze. Chociaż „M and D” była dorobkiem jego życia, to jednak w tej chwili musiał przede wszystkim uczynić wszystko, co tylko możliwe, by uchronić majątek Megan przed zachłannością Rory'ego. Być może, to już ostatnie, ale na pewno najbardziej odpowiedzialne zadanie w jego życiu.

Tom wyciągnął rękę w stronę interkomu. Było już po piątej, ale na szczęście sekretarka nie wyszła jeszcze z pracy.

— Każ przyjść do mnie moim dzieciom, Dorothy, dotyczy to również Jacka i Megan. Zaprosz ich wszystkich na dzisiaj wieczór na obiad do mnie. Dorothy....

— Tak, panie Dalton?

— Poproś również o przybycie mojego adwokata, i niech nie zapomni o dwóch świadkach i moim testamencie.

W głośniku zapadła długa chwila milczenia. W końcu Dorothy spytała niepewnym głosem:

— Czy wszystko jest w porządku, panie Dalton... To znaczy, mam na myśli, czy czuje się pan dobrze?

— Nic mi nie jest, Dorothy. I jeszcze jedno. Ani słowa na temat naszej rozmowy.

— Oczywiście, sir.

Wielki

EPILOG

Ostateczne rozstanie

Boże, zachowaj nasze rodziny w zdrowiu,

Daj nam pokój, radość i jasność umysłu,

Daj nam siłę, by znieść niepowodzenia,

Wytrwać w niebezpieczeństwie

I zmiennych kolejach losu.

Spraw, byśmy po dzień Sądu Ostatecznego

Miłowali się jak bracia.

R.L. Stevenson

To było przeżycie jedyne w swoim rodzaju. Jack zafascynowany panującą w jadalni napiętą atmosferą oczekiwania, uważnie studiował twarze zebranych przy stole członków rodziny Toma Daltona. Czas dłużył się. Dzieci Rory'ego i Seamusa, wymyte, uczesane i wciśnięte w odświętne ubrania zaczęły stroić głupie miny i zachowywać się zbyt głośno. Cynthia i Francine, ignorując zachowanie dzieci, mierzyły się złowrogimi spojrzeniami, gotowe w każdej chwili rzucić się na siebie. Rory wyraźnie zdenerwowany, nadrabiał miną, co chwila spoglądał na sufit albo rozglądał się po pokoju jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Seamus kiwał się na krześle. Policzki miał zaczerwienione, widocznie tego dnia dość wcześnie zaczął świętować.

Kiedy wybiła godzina siódma, do jadalni wszedł Tom, wspierając się na ramieniu Megan. Był wytwornie ubrany w czarny smoking. Skinieniem głowy przywitał zebranych, po czym zasiadł za stołem. Służba zaczęła podawać obiad, który zjedzono w całkowitym milczeniu. Kiedy uporano się wreszcie z deserem, Tom Dalton odchrząknął i powiedział:

— Droga moja rodzinno. Zapewne dziwicie się, dlaczego zaprosiłem was wszystkich do siebie tak niespodziewanie, bez żadnego uprzedzenia. Pomyślałem jednak, że w tej przyjemnej atmosferze, przy dobrym jedzeniu, porozmawiamy o rzeczach poważnych.

Przerwał i rozejrzał się po twarzach zebranych.

— Jak wiecie, mam już siedemdziesiąt cztery lata i jak każdy człowiek na tym świecie nie jestem nieśmiertelny. Dlatego zdecydowałem się poinformować was o mojej ostatecznej decyzji dotyczącej podziału majątku.

Rory niespokojnie poruszył się na krześle.

— Spokojnie, drogie dzieci. Zapewniam, że każde z was dostanie to, na co zasługuje. Mój drogi i wierny kamerdyner, osobisty szofer oraz rodzina zmarłego sekretarza pana Delaney'a otrzymają odpowiednią rentę, ale to — jak sądzę — zbyt mało was nie interesuje. Przejdźmy więc do rzeczy istotnych.

W jadalni panowała pełna napięcia cisza.

— Ten dom oraz posiadłość Drumgillan oddaję swojej drogiej wnuczce Megan Dalton i z dniem dzisiejszym są one jej własnością. Jak dobrze się orientujecie, oznacza to, że obie te nieruchomości wyłączone zostają z masy spadkowej.

Tom przerwał. Można było odnieść wrażenie, że delektuje się rosnącą atmosferą konsternacji, jaka zaczęła udzielać się wszystkim siedzącym przy stole członkom rodziny.

— Wszystkie moje akcje, wyłączając z tego moją największą firmę „M and D”, po polowie otrzymują Jack Cavanaugh i Megan. Myślę, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu. Jack ciężko dla mnie pracował, zaś część Megan jest tym, co należy się jej po zmarłej matce. Zresztą i tak nie możecie zmienić mojej decyzji.

Riordan poczerwieniał na twarzy. Chciał coś wykrzyknąć, ale stanowczy gest ojca nakazał mu bezwzględne milczenie.

— Każde z moich pozostałych wnucząt otrzyma po milionie dolarów, ale... — Tom uśmiechnął się chytrze — dopiero po skończeniu czterdziestu pięciu lat. Ten warunek wystarczająco zabezpieczy je przed przemożnym wpływem ich szanownych rodziców. Na koniec przejdźmy do moich dwóch ukochanych synów. Mając na względzie wasze szczególne zainteresowanie firmą „M and D”, postanowiłem wspaniałomyślnie oddać wam wszystkie moje w niej udziały. Od tej pory możecie bez kłopotów zrobić to, co już i tak od dawna zamierzaliście, czyli sprzedać ją waszemu senatorowi Goodhue. Mam nadzieję, że w ten sposób przekonacie się, że zdecydowanie łatwiej jest niszczyć dorobek innych ludzi niż samemu go budować. Tak, dobrze słyszycie, uważam, że to, co zamierzacie, będzie doskonałą lekcją dla was obu. Sprzedacie „M and D” i będziecie bardzo bogatymi ludźmi. Ty, Rory, dostaniesz wreszcie jakieś wysokie stanowisko rządowe od twojego senatora. Będziesz mógł wygodnie rozsiąść się w urzędowym fotelu i snuć nierealne marzenia o prezydenturze. Ale uważaj! Ten sen nie będzie trwał wiecznie. Czy sądzisz, że Goodhue długo będzie twoim sprzymierzeńcem? Kim będziesz bez „M and D”? Jeszcze jednym śmierzącym karierowiczem, od których roi się w Waszyngtonie. A dla samego Goodhue'a ile będziesz wart, kiedy sprzedasz własnego ojca? Pamiętaj, że złodzieje nie mają dla siebie żadnych względów.

Tom spojrzał na drugiego syna.

— A ty, Seamus? Co zrobisz z pieniędzmi, które dostaniesz za moją firmę... To znaczy twoją, ponieważ od tego wieczora jesteś jej współwłaścicielem. Na jak długo ci one starczą. Ile litrów whisky wypijesz za nie, ile kobiet sobie kupisz? Myślisz, że twój kochany brat będzie ci pomagał i wspierał. Czy zastanowiłeś się, jak uciążliwy musi być dla ambitnego, wybijającego się polityka brat alkoholik? Czy ty na jego miejscu nie pozbyłbyś się takiego ciężaru? Tak więc sami widzicie — głos Toma był całkiem spokojny, wręcz beznamiętny.

— Wiele problemów zacznie się teraz piętrzyć przed wami. Wybaczcie, że nie zamierzam wam pomóc. Od dzisiaj wasze sprawy nie obchodzą mnie.

Tom wstał od stołu i skierował się ku wyjściu. Kiedy otworzył drzwi, odwrócił się i dodał:

— Mam nadzieję, że obiad wam smakował...

W tym momencie stała się rzecz niespodziewana. Cynthia, to uosobienie taktu, dobrego wychowania i pełnego dystansu chłodu, ta zawsze posłuszna i grzeczna córeczka swoich ro-

dziców, która nigdy w życiu nie włożyła do ust papierosa, nagle w obecności wszystkich, całkiem po prostu, powiedziała na głos:

— O kurwa...

dziców

98.

Lekarz wyszedł z sypialni Toma. Z jego twarzy można było wyczytać wszystko. Nie było żadnej wątpliwości, Tom Dalton umierał. Dwudziestoletnia Megan wśliznęła się po ciachu do ciemnego pokoju.

— Megan — od strony olbrzymiego, masywnego łoża, na którym leżał Tom, dobiegł ją głos.

— Jestem, dziadku...

Stary człowiek odetchnął z ulgą. Związek łączący tych dwoje zawsze wspierał się na wzajemnej relacji: Megan bezgranicznie i bez zastrzeżeń wierzyła swojemu dziadkowi, a on wiedział, że nigdy go nie opuści, nawet w dniu jego śmierci.

— To koniec, drogie dziecko? — niegdyś tak silny głos teraz utracił swoją moc, stał się ledwo słyszalnym głosem umierającego starca.

— Nie pytaj mnie, proszę — po policzkach Megan płynęły łzy.

— Czy słyszałaś ją? — Tom uśmiechnął się. — Słyszałaś, jak wołała w nocy? To zjawia zwiastująca śmierć. Przybyła z tamtego świata wysłana przez moich przyjaciół, którzy czekają na mnie.

Przez chwilę Tom nie mógł złapać tchu. Trzymał się za gardło, z trudem oddychając.

— Tak, dziadku, słyszałam. Przyszła pod okno i zawodziła, jak to zwykle ona robi — odparła Megan, z trudem panując nad swoimi uczuciami. Miała wrażenie, że jej serce za chwilę pęknie z rozpaczy.

— Już wkrótce będę z Deidrą — wyszeptał.

Tom Dalton zaśmiał się. Odchodził z tego świata jak prawdziwy Irlandczyk.

— Nadszedł już czas, by zamienić ze sobą ostatnie słowo. Podejdz bliżej, dziecko... Ten dom jest pełen wrogów. Czuję ich obecność, krążą nad nami jak sępy, gotowe wyrwać ci wątrobę... nasza rodzina. Ty jedna jesteś coś warta. Ty jedna nigdy mnie nie zdradziłaś...

Megan poczuła, że jej dusza rośnie. Otarła łzy, po czym powiedziała stanowczym głosem:

— Kocham cię, dziadku. Nie bój się. Jestem silniejsza od nich wszystkim razem wziętych. Nie odbiorą nam naszego domu. Przrzekam!

— Zostawiam ci dość pieniędzy, byś mogła obronić się przed zachłannością sępów. Jack pomoże ci, kiedy odejdę. Ale prócz tego chciałem powierzyć ci skarb największy, moje szczęście. Pilnuj go dobrze...

Tom powoli sięgnął pod poduszkę i drżącą dłonią podał Megan malutki kluczyk zawieszony na łańcuszku.

— W bezpiecznym miejscu znajduje się skrzynka, którą otworzysz tym kluczykiem. W środku znajdziesz list mojego ojca. To twoje dziedzictwo, Megan. Strzeż go jak własnej duszy. Jack wie, gdzie znajduje się skrzynka.

Tom zamknął oczy. Przez chwilę leżał w milczeniu, ciężko oddychając.

— Kiedy będziesz sama — odezwał się znowu — przeczytaj ten list. Zawsze, kiedy było mi źle, czytałem go i zawsze dodawał mi otuchy. Byłem dumny z tego, skąd pochodzę i kim był mój ojciec. Kiedy będziesz miała dzieci, Megan, dopilnuj, by również przeczytały ten list. Powinny wiedzieć, skąd wywodzą się ich korzenie.

Zdawało się, że myśli Toma odpływają w nieznanym kierunku. Megan mocniej ścisnęła jego dłoń, jakby tym gestem pragnęła powstrzymać go od odejścia.

— Zawsze zastanawiałem się, czy zjawa przepowiadająca śmierć przyjdzie do mnie w ostatniej godzinie...

Tom wyszeptał te słowa, po czym zamknął oczy. To był koniec. Megan uklękła przy łóżku i wtuliła twarz w pozbawioną życia dłoń dziadka. Gdyby to było możliwe, pozostałaby tak na wieki. Pomyślała, że jeśli nie opuści go nawet w tej chwili, to on pozostanie jeszcze wśród żywych. Wiedziała, że w chwili, gdy dopuści do swej świadomości nieubłagany fakt jego śmierci, on przestanie istnieć naprawdę.

Ciszę panującą w pokoju zmąciły odgłosy dobiegające zza drzwi. Do sypialni weszła cała rodzina. Podeszli do łóżka zmarłego i otoczyli je ciasnym kołem. Megan, która pogrążona w rozpacz, nawet nie spostrzegła, jak weszli, przestraszyła się. Poderwała się na równe nogi i wykrzyknęła prosto w twarz Riordanowi.

— Wynoście się stąd! Zostawcie nas samych...!

— Nie histeryzuj, Megan — głos wuja był jak zawsze beznamiętny i zimny. — On już nie żyje. Nic nie możesz zrobić. Przecież nie będziesz tu siedzieć całą wieczność...

Za plecami Megan pojawił się Jack. Położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał dać do zrozumienia Rory'emu, że od tej pory wnuczka Toma znajduje się pod jego opieką.

— Dobrze, pójdę — odparła ze łzami w oczach. — Ale jeszcze tu wrócę! — i wybiegła z pokoju.

W wielkim, zimnym pokoju na pokrytym kwiatami katafalku leżała otwarta trumna z ciałem Toma Daltona. Wyglądał jakby dopiero zasnął i jeśli delikatna dłoń jego wnuczki dotknie jego skroni, przebudzi się. Tak bardzo Megan pragnęła, by to wszystko okazało się jedynie strasznym snem. Ale rzeczywistość zawsze okazuje się silniejsza.

Megan klęczała przy katafalku na kamiennej posadzce. Płomienie świec rzucały na ściany dziwne, migotliwe cienie. Była sama.

— To wstyd, wstyd, dziadku, że opuścili ciebie — wyszeptała i gorące perliste łzy spłynęły po jej policzkach.

Podziwiała go. Jak to możliwe, by jeden człowiek mógł znieść w życiu tyle cierpień i zawodów. Będąc małym dzieckiem, otoczony wrogością ludzi, zdany na łaskę okrutnej i niechętniej mu rodziny ojca, musiał wraz z matką opuścić rodzinne strony i wyruszyć w nieznaną... Potem sam jeden, bez rodziców, zamknięty w zimnych i obcych murach klasztoru, walczył o zachowanie swojej godności i sumienia. Kiedy zaś wszystko w jego życiu zaczęło układać się szczęśliwie, utracił najdroższą sobie osobę, Deidrę... Czy jedno serce może znieść tyle bólu?

Megan Dalton otarła łzy i cichutko zaczęła nucić starą, irlandzką piosenkę, której kiedyś przed laty nauczył ją dziadek. Za oknem padał deszcz, a zimowy wiatr złowrogo świstał w kominie i stukał okiennicami o okna.

Dzwonek do apartamentu Jacka dzwonił przeszło dziesięć minut, zanim zaspany Cavanaugh wygrzebał się z łóżka i otworzył drzwi. Była trzecia w nocy.

— Czy mogę wejść? — na progu stała Megan, jakaś dziwnie spłoszona i nieswoja.

— Oczywiście. — Jack wpuścił ją do środka.

Dziewczyna zrzucając płaszcz na podłogę, poszła prosto do salonu i wyczerpana rzuciła się na tapczan. Minął zaledwie dzień od uroczystości pogrzebowych.

— Pomyślałam, że jesteśmy teraz jedną rodziną, Jack. Ty i ja, oboje jesteśmy sierotami. — Z wysiłkiem uśmiechnęła się. — Czy mógłbyś zrobić mi herbaty?

— Tak, oczywiście... może też coś do jedzenia. Usiądziemy sobie razem i porozmawiamy jak za dobrych, starych czasów. A może zagramy z szachy?

Dziewczyna popatrzyła na niego i powiedziała:

— Nie, Jack, nie będziemy rozmawiać, będziemy się kochać.

Jack omal nie usiadł z wrażenia. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, chcąc upewnić się, czy mówi poważnie. Często żartowali między sobą, rozmawiali o poważnych rzeczach tonem ironicznym bądź w formie figlarnej zabawy. Teraz jednak najwyraźniej Megan doskonale wiedziała, co mówi.

— Posłuchaj — jękając się zaczął mówić Jack. — To nierozsądne, jestem od ciebie dwa razy starszy, poza tym jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko kobietą, z którą idzie się do łóżka.

Megan wstała z kanapy, podeszła do Jacka i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Posłuchaj. — Jej twarz była bardzo poważna. — Jestem kobietą... przede wszystkim kobietą. Mam już dwadzieścia lat, a nigdy jeszcze nie kochałam się z mężczyzną i nie dlatego, bym nie miała do tego okazji. Po prostu nie jest mi obojętne, z kim to zrobię. Zostałam całkiem sama, Tom odszedł od nas. Jesteś jedynym mężczyzną, któremu mogę zaufać. Chcę, abyś to ty właśnie wprowadził mnie w życie, Jack.

W tym momencie dziewczyna chwyciła koszulę i rozdarła ją na całej długości, ukazując zdumionemu mężczyźnie swoje piękne, młode piersi. Jej ciało pokryte było gęsią skórą. Drżała jak mała, delikatna roślina na zimnym porywistym wietrze.

— Otul mnie, przykryj mnie — wyszeptała.

Jack chwycił ją mocno i wniósł na rękach do sypialni. Tam położył ją na wielkim łóżku i usiadł naprzeciwko. Przez chwilę patrzył na jej rozpaloną twarz i rozrzucone w nieładzie włosy, jakby nie mógł jeszcze uwierzyć, że to, co widzi, nie jest tylko snem.

Kiedy zdjął jej spódnicę i bieliznę, instynktownie położyła dłoń na swoim łonie. Ze zdziwieniem i rosnącą fascynacją przyglądał się jej pełnym, dojrzałym kształtom. Zawsze była dla niego tylko małą dziewczynką, trochę przemądrzałą, wszystkowiedzącą dziewczynką, która za każdym razem wygrywała z nim w szachy. Pochylił się nad nią. Patrzyła, z napięciem śledząc każdy jego ruch. Przyłożył swoje ciepłe wargi do jej ucha, po czym wepchnął język głęboko do jego wnętrza. Megan syknęła z rozkoszy. Próbowwała rękoma odepchnąć jego twarz, ale on wiedział, że to tylko gra i jeszcze mocniej, natarczywiej napierał na nią. Megan poczuła, jak jego muskularne ciało ostrożnie ułożyło się za jej plecami. Czuła delikatny dotyk jego dłoni, wyznaczających na jej skórze znaki miłości. Znów pochylił się do jej ucha, ale tym razem usłyszała cichy i ciepły szept. W pierwszej chwili nie rozumiała, co mówi, lecz już po chwili, przerażona, zorientowała się, że są to najbardziej ordynarne słowa, jakie kiedykolwiek słyszała w swoim życiu. Była zaskoczona, bo zamiast strachu czy oburzenia poczuła tak olbrzymią żądzę, iż nie mogąc już dłużej zapanować nad swoimi zmysłami, odwróciła się i przywarła całym ciałem do Jacka, mocno obejmując go nogami.

— Kochaj mnie, kochaj! — wykrzyknęła.

On położył palec na jej ustach i wyszeptał:

— Spokojnie... po prostu połóż się na plecach i daj się prowadzić.

Patrząc mu prosto w oczy, trochę przestraszona, ale bardziej zafascynowana chwilą uniesienia, weszła pod niego. Przyglądała się, jak zdejmuje koszulę i ściąga spodnie. Z bijącym sercem spoglądała na jego silne, harmonijnie zbudowane ciało, na mocną pierś pokrytą ciemnymi włosami, umięśnione ręce, które, nie miała co do tego wątpliwości, mogły powalić na ziemię nawet byka. Z rosnącą fascynacją przyglądała się jego brzuchowi, a potem spojrzała niżej, na to coś, co było tak nienaturalnie wielkie, przerażająco pociągające i co samym swoim wyglądem rozpałało jej zmysły do szaleństwa.

Jack ostrożnie położył się na niej. Poczuła, jak jego członek wciska się pomiędzy jej nogi.

— Leż spokojnie i niczego się nie bój...

Czuła, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. Jego silne ramiona oplótły ją. Nie mogła się poruszyć, była całkowicie zdana na łaskę tego potężnego, górującego nad nią mężczyzny. A potem poczuła, jak wdziera się boleśnie w jej ciało. Wydawało się jej, że straci przytomność. Jej myśli zawirowały niby porwane przez jakąś wichurę i uniosły się w przestrzeń, które do tej pory były dla niej zupełnie nie znane. Podniecające ciepło rozlewało się po całym jej ciele. Czuła rytmiczne uderzenia jego ciała i ciężki urywany oddech na swojej twarzy. Chwyciła jego potargane długie włosy. Ten gest podniecił go jeszcze bardziej. Nagle

jego twarz wykrzywiła się z rozkoszy, stężała. Na czole pojawiły się kropelki potu, potem nagle całe jego ciało skurczyło się niby przed ostatecznym skokiem, a potem równie nagle wyprężyło, jakby zdjęto z niego kilkutonowy ciężar. Jack rzucił się na pościel obok Megan. Był cały mokry. Zdążyli jedynie spojrzeć na siebie i uśmiechnąć się. Żadne z nich nie zorientowało się nawet, w którym momencie zmorzył ich sen.

WYKŁAD

Kiedy Jack otworzył oczy, zobaczył piękną kobietę siedzącą przed otwartym balkonowym oknem jego apartamentu przy Park Avenue. Jej jasne włosy, spięte w nieładzie, odsłaniały śnieżnobiałą gładką szyję. Kobieta miała na sobie tylko męską koszulę. Gładkie, długie nogi opierała o barierkę balkonu i w skupieniu przyglądając się hałaśliwemu miastu, powoli popijała z kubka kawę. To była Megan. Jack musiał dopiero uświadomić sobie ten fakt. Ta piękna i pociągająca kobieta w oknie była ową małą przemądrzałą Megan, wnuczką Toma Daltona, która zawsze potrafiła onieśmielić go swoją powagą i inteligencją. Nigdy do tej pory nie widział jej takiej... takiej dorosłej. Zbyt często przebywał w jej towarzystwie, by przez te wszystkie lata spostrzec, iż powoli zmienia się i z pąka wyrasta przepiękny i wonny kwiat. Przyzwyczaił się do myśli, że Megan jest tylko małą wnuczką jego przyjaciela, jakby jego młodszą siostrą. Nigdy nie traktował jej poważnie, aż do tej nocy. Kiedy tak leżąc w łóżku, obserwował ją, ze zdziwieniem odkrywał, iż jest już dojrzałą kobietą. Miała dwadzieścia lat, była piękna, świeża i... taka niewinna. Dla czterdziestoletniego Jacka było to prawdziwym, fascynującym odkryciem. Przez tyle lat, uganiając się za kobietami, regularnie odwiedzając burdele, nocami wypuszczając się jak myśliwy na miasto, poszukiwał istoty, która potrafiłaby poruszyć jego obojętne, zimne serce. Już dawno stracił nadzieję, że znajdzie kogoś takiego. Teraz okazało się, że był ślepy. Nie dostrzegał, że u jego boku przez te wszystkie lata dorasta kobieta, którą mógłby pokochać... Tak! Jack uświadomił to sobie nagle. To Megan była jego wymarzoną, nigdy nie spotkaną kobietą ze snów.

„Pokochaj kogoś, znajdź bliską sobie osobę. Życie bez miłości nie jest wiele warte”, często powtarzała mu Billy. Tak, Jack czasami uświadamiał sobie, że jego życie nie jest wiele warte. Oczywiście, miał wszystko, czego tylko można było zapragnąć. W ciągu zaledwie kilku lat zdobył fortunę, do której inni dochodzą przez całe pokolenia. Był wciąż przystojny, każda kobieta poszłaby za nim w ogień na jedno tylko jego skinienie. Dziennikarze w rubrykach towarzyskich gazet rozpisywali się o miłosnych podbojach „złotego chłopca z Bostonu”, jak go określano. Jego zdjęcia pojawiały się na pierwszych stronach magazynów, a jednak... czegoś mu brakowało w tym świecie z baśni.

Brakowało ciepła, brakowało uczucia, świadomości, że zawsze w domu ktoś na ciebie czeka. Jack przekroczył już magiczny próg czterdziestki. Były chwile, gdy czuł się zmęczony. Za spędzoną na pijaństwie lub w burdelu noc — inaczej niż za młodu — płacił koszmarnym bólem głowy i zgasnątym nad ranem.

Wstał z łóżka, owinął się prześcieradłem, podszedł do Megan i objął ją.

— Dobrze spałaś? — zapytał z troską.

— O tak! — Uśmiechnęła się. — Nigdy tak dobrze nie spałam. Przy tobie czuję się taka bezpieczna, Jack. Zawsze, kiedy byłeś przy mnie, wiedziałam, że nic mi nie grozi.

Szczerota i entuzjazm w jej glosie wprawiły go w zakłopotanie. Czuł wyrzuty sumienia. Kiedy mówiła, znów wydawała się dzieckiem, małą dziewczynką, którą znał od dzieciństwa.

— Czy dobrze się czujesz? — spytał ostrożnie.

— Ależ tak! — Dziewczyna była zdziwiona tymi pytaniami. — Jestem bardzo szczęśliwa, naprawdę. — Wstała i zarzuciła mu ramiona na szyję. Twarz miała rozpromienioną, pachnącą słońcem i wiosennym wiatrem.

— Jestem szczęśliwa z tobą, Jack, i chciałabym, aby tak było zawsze.

Cavanaugh opuścił wzrok. Odchrząknął i odezwał się niepewnym głosem:

— Widzisz, Megan. Nie jestem pewien, czy to, co stało się poprzedniej nocy, było rzeczywiście dobre. Straciłem panowanie nad sobą. Nie powinienem był wykorzystywać sytuacji. Biorąc pod uwagę moje doświadczenie i wiek, byłeś bez szans.

Megan roześmiała się.

— Ależ Jack, ja ciebie kocham!

„Powinieneś pokochać kogoś, znaleźć sobie bliską osobę”, Jack znów usłyszał głos Billy. Odnosił dziwne wrażenie, jakby zmarła przyjaciółka kierowała jego losami, strzegąc go i pilnując, by nic złego mu się nie stało. To uczucie peszyło go jeszcze bardziej. Jack wiedział, ile Megan znaczyła dla Billy... i Toma.

— To wcale nie jest takie proste — wyszeptał, pieszcząc jej włosy. — Jestem dwa razy starszy od ciebie. Ta różnica wieku może wszystko zmienić. Poza tym...

Jack przerwał na chwilę. Uważnie przyglądał się Megan. Jej błękitne oczy były wpatrzone w niego jak w bóstwo. Czuł, jak jego serce topnieje.

— Nigdy nikogo nie kochałem, Megan. Nie potrafiłem związać się z inną kobietą na stałe. Zawsze uciekałem. Moje całe życie to pogoń za czymś, czego sam nie potrafię sprecyzować.

— Biedny Jack. — Megan powiedziała to z całkowitą powagą. Wtopiła swe dłonie w jego czarne, długie włosy, potem wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Jego wargi były tak zmysłowo ciepłe!

Jack wtulił głowę w jej piersi. To było dziwne, ale nagle poczuł się całkiem bezpieczny, zupełnie, jakby znalazł się w ramionach swojej matki.

— Poza tym — dodał po chwili — nigdy nie uznawałem takich rzeczy jak małżeństwo czy rodzina. Te sprawy są mi całkiem obce. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. Chciałbym, abyś dobrze pomyślała, zanim po raz drugi powiesz mi, że mnie kochasz...

— Kocham cię — odparła bez chwili namysłu.

Jack wziął ją w ramiona i pocałował. Była taka wiotka i bezbronna. Czuł jakąś głęboką wewnętrzną potrzebę, by opiekować się nią, ochraniać, by być zawsze przy niej.

Wielki

Megan zdecydowała, że ciało Toma Daltona spocznie w Drumgillan, na tamtejszym cmentarzu obok Michela Hartingtona. W ten sposób ziemską wędrówkę Toma zatoczyła koło i kończyła się dokładnie w punkcie, w którym się rozpoczęła. Riordan z początku robił trudności. Uważał, że pomysł, by trumnę ze zwłokami wieźć do Irlandii, jest sentymentalny i kosztowny. Ale Megan była nieugięta. Wiedziała, że dziadek życzyłby sobie spocząć właśnie w irlandzkiej ziemi.

Wiał zimny wiatr. Wokół rozciągały się bezkresne pola Drumgillan. W oddali na wzgórzu, otoczony drzewami parku wznosił się pałac, jak zawsze dostojny, potężny, niewzruszony. Wśród kamiennych nagrobków wyróżniał się świeży monument z piaskowca. Na jego tablicy wyryto napis:

Thomas Dalton Ukochany syn Mary Dalton i Michela Harcourta Hartingtona.

1874 -1950

Cóż pozostaje mi innego, jak tylko modlić się o jego duszę, człowieka ukochanego, w nadziei, że szum anielskich skrzydeł ukoi go do snu.

Megan stała samotnie na rodzinnym cmentarzu Hartingtonów. Patrząc na kamienną płytę grobowca, w którym złożono ciało jej dziadka, odczuwała zarazem smutek i radość. Utraciła najdroższą osobę. Człowiek, wokół którego kręcił się cały jej świat, odszedł na zawsze w ciemność. Oczywiście miała Jacka, ale czas dzieciństwa nigdy już nie powróci. Z drugiej strony jednak rozpierała ją duma. Czuła się bowiem spadkobierczynią wszystkich marzeń i pragnień swojego kochanego dziadka. Miała w sobie dość siły, by spełnić to, czego on spełnić nie zdołał. Była panią na Drumgillan, mogła nareszcie działać, robić to, o czym zawsze marzyła, czuć się potrzebną i pożyteczną. Tyle było przecież do zrobienia!

— Czuję tę pachnącą irlandzką ziemię — pisała w liście do Jacka. — Pulsuje w rytm mojego serca. Jest moją kotyską i będzie moim grobem. Ten magiczny świat druidów i celtyckich legend jest moją ojczyzną. W jego śpiewie odnalazłam swoją duszę. Powróciłam tam, skąd wyszli moi przodkowie. To niepowtarzalne uczucie, jakbyś narodził się na nowo. Bardzo bym chciała, abyś był teraz przy mnie, tutaj...

W słoneczne dni Megan wychodziła na wzgórze, skąd mogła ogarnąć wzrokiem całą posiadłość. Wśród bagien i łąk wiła się żółta wstęga wyboistej drogi prowadzącej do głównej

szosy. Kiedy padał deszcz, stała w oknie i patrzyła, jak wielkie krople rozpryskują się na kamiennym tarasie. Czekła, cierpliwie czekała, aż on przyjedzie. Wiedziała, że ten dzień nadejdzie już niedługo.

szosy

Szczególne wyrazy wdzięczności dla:

Robynne Hubert, która podczas mojej pracy nad książką trzymała w ryzach całe biuro i przepisywała tekst jak burza.

Bea Hurwitz, która wspaniałomyślnie zgodziła się zweryfikować wszystkie fakty i daty pojawiające się w książce.

Mort Janklow, który w cudowny i magiczny sposób potrafił zamienić marzenia w rzeczywistość.

Patty Kerr, która wspierała mnie i zachęcała do dalszej pracy.

Harold Krensky, który zgodził się podzielić swymi wiadomościami o starym Bostonie, dzięki czemu Mary odnalazła dla siebie azyl w Ameryce.

Diane Moriarity, która cierpliwie odczytywała moje gryzmoły dyktując je maszynistce.

Alexandra Penney, która zawsze przekonywała mnie, że historia Toma Daltona mogła zdarzyć się naprawdę.

Fred Purches, którego stanowczość i zdyscyplinowanie zawsze dodawały mi otuchy w chwilach zwątpienia.

Anne Sibbald, która jako pierwsza zachwycona pierwszymi stronami mego rękopisu do końca zachęcała mnie do skończenia powieści.

Bronwyn Spellman, który znosił wszystkie moje kaprysy podczas pracy nad powieścią.

Cee Cee Spellman, bez której nigdy nie zdołalibyśmy doprowadzić do wydania tej książki.

Charles Spicer, który znakomicie zredagował tekst. Jego entuzjazm do pracy, duże doświadczenie oraz celność uwag i tym razem okazały się nieocenione.

Ched Vuckovic, który wiernie wspierał mnie przez cały ten trudny okres.

A zwłaszcza dla:

Catherine Gibbons Cash, mojej matki, która od kołyski wpajała mi miłość do Irlandii, jej historii i literatury.

Harry Cash, mojego ojca, który zawsze powtarzał, że miłość jest najsilniejsza.

Bibliografia

Zamki Irlandii

Brian de Breffny, Thames and Hudson, 1977

Celtyckie mity i legendy, poezja i romanse

Charles Squire, Bell Books, 1979

Kościóły i klasztory Irlandii

Brian de Breffny and George Mott, Thames and Hudson, 1976

Historia Irlandii

pod redakcją T.W.Moody and F.X.Martin, The Mercier Press, 1981

Historia wczesnego chrześcijaństwa w Irlandii Maire and Liam de Paor, Thames and Hudson, 1958

Informacje o Irlandii

Departament Spraw Zagranicznych, Dublin

Głód

Liam O'Flaherty, David R. Godine, 1982

Wielki głód

Cecil Woodham-Smith, Harper and Row, 1962

Posiadłości ziemskie w Irlandii

Brian de Breffny, Crown, Bounty Books

Ilustrowana historia narodu irlandzkiego

Kenneth Neill, Mayflower Books, 1979

Irlandczycy w Ameryce

Andrew M. Greeley, Harper and Row, 1981

Irlandzkie przypowieści ludowe

Jeremiah Curtin, The Talbot Press, 1956

Dwory i pałace w Irlandii

Desmond Guinness and William Wyan, The Viking Press, 1971

Mój ukochany i przeklęty Dublin

Eamonn MacThomas, The O'Brien Press, 1974

Stare celtyckie legendy

P.W.Joyce, Devin-Adair, 1964

Oby nigdy więcej tam nie wrócić

Lawrence Milman, Brown, 1977

Obrazy Dublina

Desmond Guinness, The Viking Press, 1967

Emigracja w Stanach Zjednoczonych

Maldwyn Allen Jones, University of Chicago Press, 1960

Irlandzka emigracja w Ameryce

William V. Shannon, Collier, 1974

Poza tygłem

Nathan Glazer and Daniel P. Moynihan, The M.I.T. Press, 1970

Emigranci w Bostonie

Oscar Handlin, Atheneum, 1977

Dzielnica Bowery

Michael Zettler, Drake Publisher, 1955 Piąta Avenue

Kate Simon, Harcourt Brace Jovanovich, 1979

Dno piekieł

Benjamin Appel, Pantheon Press, 1977

To były stare dobre czasy

Edgar R. Jones, Simon and Schuster, 1971

Chleb i róże

Milton Meltzer, Simon and Schuster, 1977

Doznania emigranta

Redakcja Thomas C. Wheeler, Penguin Books, 1972

Robotnicy portowi

Charles B. Barnes, Russell Sage Poundation, 1915

Ludzie wzdłuż wybrzeża

Maund Russell, Russell and Russell, 1966

Nowoczesna sztuka żeglarstwa

Austin M. Knight, D. Van Nostrand Co., 1937

Historia irlandzkich związków zawodowych 1729-1970

Andrew Boyd,

Anvil Books, 1972

Dzieje portu w Nowym Jorku

Robert Green and Ralph Albion, Scribners, 1970

Zapiski w dzienniku pokładowym

Adm. Robley D. Evans, P. Appleton and Co., 1901

Sternik

Steven Brill, Pocket Books, 1978

Spoleczne problemy w dzielnicy portowej

Edward Swanstrom, Fordham University Press, 1938